

James Ellroy

Czarna Dalia

The Black Dahlia

Tłumaczenie
Robert P. Lipski



Odstawiam cię już, ty mój pijaku, mój nawigatorze,
Wielki ty stracony, choć tęsknię i zerknę może...

Anne Sexton

PROLOG

Nie znałem jej, kiedy jeszcze żyła. Istnieje dla mnie za pośrednictwem innych osób i tego, jaki wpływ na ich życie wywarła jej śmierć. Powracając do przeszłości, poszukując jedynie faktów, ustaliłem, że była smutną, młodą dziewczyną i dziwką, być może osobą, która dobrze się zapowiadała, a co jak co, ale to określenie doskonale pasowało także do mnie. Chciałbym móc zapewnić jej anonimowy koniec, sprowadzić ją do kilku lapidarnych słów w raporcie końcowym policjanta z wydziału zabójstw, na kopii przesłanej do biura koronera i formularzach niezbędnych dla wyprawienia jej pogrzebu na państwowej, cmentarnej parceli. Ale to życzenie nie może się spełnić - ponieważ ona by tego nie chciała. Choć fakty są okrutne i krwawe, pragnęłaby, aby wszyscy je poznali. A jako że mam wobec niej spory dług i jestem jedynym, który zna całą historię, podjąłem się napisania tego pamiętnika.

Przed Dalią miałem partnera, a jeszcze wcześniej była wojna, wojenne restrykcje i manewry na komendzie głównej, przypominające nam, że policjanci także byli żołnierzami, choć nie tak popularnymi, jak ci, co walczyli z Niemcami i Japończykami. Każdego dnia po służbie funkcjonariusze musieli uczestniczyć w ćwiczeniach na wypadek alarmu lotniczego, postępowania w związku z zaciemnieniem i ewakuacją podczas pożaru, a co za tym idzie wszyscy musieliśmy stać na baczność na środku Los Angeles Street i modlić się w duchu, byśmy w razie faktycznego ataku messerschmittów nie wyszli na skończonych durniów. Służbę w patrolu dziennym przydzielano nam w porządku alfabetycznym i wkrótce po ukończeniu Akademii, w sierpniu '42, tak właśnie poznałem Lee.

Cieszył się sporą reputacją, a ja na pamięć znałem jego dotychczasowe dokonania: Lee Blanchard, czterdzieści trzy zwycięstwa, cztery porażki, dwa remisy w wadze ciężkiej, była gwiazda Hollywood Legion Stadium; i ja: Bucky Bleichert, waga półciężka, trzydzieści sześć zwycięstw, zero porażek i remisów, niegdyś sklasyfikowany na dziesiątym miejscu na liście pisma *Ring*, zapewne dlatego, że Nata Fleischera bawiło, jak drażniłem przeciwników moimi wielkimi, końskimi zębami. Statystyki nie mówią jednak wszystkiego. Blanchard bił mocno, ale też sporo obrywał, za jeden zadany cios przyjmował pół tuzina uderzeń, ot, klasyczny łowca głów; ja tańczyłem, uderzałem z kontry i biłem w wątrobę, zawsze trzymałem mocną gardę, w obawie, że zbyt wiele przyjętych ciosów mogłoby zniweczyć moją urodę, którą i tak już psuły te wielkie, końskie zęby. Jeżeli chodzi o styl, byliśmy z Lee jak ogień i woda, i za każdym razem, gdy stykaliśmy się na służbie, zastanawiałem się, który

z nas wyszedłby z tego starcia zwycięsko?

Badaliśmy się wzajemnie prawie przez rok. Nigdy nie rozmawialiśmy o boksie ani o sprawach służbowych, nasze pogawędki ograniczały się do zdawkowych uwag na temat pogody. Fizycznie też różniliśmy się od siebie diametralnie - Blanchard był jasnowłosy i rumiany; mierzył sześć stóp wzrostu, był barczysty, miał masywny tors, nieco pałkowate nogi i wciąż mocny, choć już trochę powiększony brzuch. Ja miałem ciemne włosy, bladą cerę, sześć stóp i trzy cale wzrostu i żylaste, choć mocno umięśnione ciało. Który z nas wygrałby to starcie?

W końcu przestałem się nad tym zastanawiać. Tymczasem tę kwestię podjęli inni policjanci, i podczas naszego pierwszego roku na komendzie głównej doszły mnie dziesiątki różnych opinii; Blanchard wygrywa przez nokaut; Bleichert wygrywa decyzją sędziów; Blanchard przegrywa przez RSC/zostaje poddany, przecież nie może kontynuować walki wskutek kontuzji łuku brwiowego - wszystko, tylko nie to, że Bleichert wygrywa przez nokaut.

Przypadkiem dochodziły mnie słuchy o naszych pozaringowych dokonaniach: o tym jak Lee wstąpił do policji Los Angeles i zapewnił sobie szybki awans za walki z wstawionymi „kelnerami”, podsuwanymi przez wysokich rangą oficerów i ich koleśków ze świata polityki, jak rozwiązał sprawę napadu na bank Boulevard-Citizens w '39 i zakochał się w dziewczynie jednego z rabusiów, jak pokpił sprawę niemal pewnego przeniesienia do wydziału śledczego, kiedy wspomniana dziewczyna wprowadziła się do niego - co było jawnym pogwałceniem zasad panujących w wydziale - i poprosiła, aby dał sobie spokój z boksem. Plotki na temat Blancharda były dla mnie jak krótkie, boleśnie kłujące ciosy proste - i zastanawiałem się, ile jest w nich prawdy. Fragmenty mojej własnej historii były niczym ciosy w korpus, ponieważ nie było w nich ani odrobiny blagi: Dwight Bleichert wstąpił do policji, bo nie chciał iść do wojska i na front, groziło mu wydalenie z Akademii, kiedy wyszło na jaw, że jego ojciec jest członkiem Niemiecko-Amerykańskiego Bundu, i aby nie zostać wyrzuconym z policji, zaczął donosić do urzędu imigracyjnego na Japończyków, z którymi dorastał. Nie walczył z ustawionymi przeciwnikami, bo nie miał nokautującego ciosu.

Blanchard i Bleichert: bohater i kapuś.

Wspomnienie Sama Murakamiego i Hideo Ashidy, skutych i wywożonych do Manzanar, przynajmniej początkowo pomogło ułatwić sprawy między nami. A potem zaczęliśmy działać wspólnie i moje wcześniejsze odczucia dotyczące Lee - i mnie samego - zostały zatarte.

Był początek czerwca '43. Tydzień wcześniej marynarze wdali się w bójkę z

ubranymi w fantazyjne garnitury Meksykanami przy Lick Pier w Venice. Plotki głosiły, że jeden z brudasów stracił oko. Niebawem w całej okolicy zaczęły wybuchać zamieszki: personel bazy marynarki wojennej z Chavez Ravine kontra Meksykanie z Alpine i Palo Verde. Rozeszły się plotki, że uzbrojeni w sprężynowce Meksykańczycy w garniturach obwieszają się faszystowskimi insygniami i nie trzeba było długo czekać, aby w śródmieściu LA zaroilo się od marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej, dzierzących w dłoniach długie deski i kije baseballowe. Równie liczna grupa kolorowych zbierała się przy Browarze Brew 102 w Boyle Heights zaopatrzona w podobne akcesoria. Wszyscy funkcjonariusze z patroli zostali wezwani na posterunek, gdzie wydano im blaszane hełmy z I wojny światowej i długie, masywne pałki zwane „pacyfikatorami czarnuchów”.

O zmierzchu przewieziono nas na miejsce zajęć wypożyczonymi od wojska transporterami opancerzonymi i wydano tylko jeden rozkaz: przywrócić porządek. Na posterunku odebrano nam służbowe rewolwery, dowództwo nie chciało, aby trzydziestki ósemki wpadły w ręce ubranych jak fircyki, meksykańskich gangsterów z włosami na brylantynę. Kiedy wyskoczyłem z transportera przy Evergreen i Wabash, trzymając w dłoniach długą na trzy stopy pałkę, owiniętą przy rączce taśmą, aby nie ślizgała się w rękę, byłem przerażony stokroć bardziej niż kiedykolwiek, wychodząc na ring, i bynajmniej nie z powodu chaosu otaczającego mnie ze wszystkich stron.

Byłem przerażony, ponieważ złymi facetami okazali się ci dobrzy chłopcy.

Marynarze wybijali okna wzdłuż całej Evergreen; piechociarze w mundurach polowych rozwalali jedną po drugiej wszystkie latarnie, aby móc działać dalej wśród anonimowej ciemności. Niejako w przepływie rywalizacji między formacjami, żołnierze piechoty morskiej zaczęli przewracać auta stojące przed winiarnią, podczas gdy młodzi marynarze w charakterystycznych strojach okładali pałami i kijami znacznie od nich liczniejszą gromadę Latynosów zgromadzonych na chodniku opodal. Kątem oka dostrzegłem grupkę moich kolegów z komendy, dołączających do funkcjonariuszy straży przybrzeżnej i żandarmerii wojskowej. Nie wiem, jak długo tam stałem, otępiały, zastanawiając się, co mam robić. W końcu powiodłem wzrokiem wzdłuż Wabash, w stronę Pierwszej Ulicy, ujrzałem stojące tam małe domki, drzewa; jak okiem sięgnąć nie było widać żadnych Meksykanów, gliniarzy ani żadnych krwi żołnierzy. Zanim się zorientowałem, pognałem co sił w nogach w tę stronę. Biegłbym tak, dopóki bym nie padł, ale wysoki śmiech od strony jednego z ganków sprawił, że znieruchomiałem jak wryty.

Podszedłem w stronę, skąd dobiegł mnie ten dźwięk. Wysoki głos zawołał: - Jesteś drugim, młodym gliną, który dał nogę z tego bajzlu. Nie mam ci tego za złe. Trudno

stwierdzić, komu właściwie należałoby założyć obrączki, co nie?

Wszedłem na ganek i spojrzałem na staruszkę.

- W radiu podali, że taksjary kursują stąd do bazy marynarki w Hollywood i zwożą tu marynarzy całymi tabunami. W KFI określono to zajście mianem ataku piechoty morskiej i co parę minut puszczają tam „Anchors Aweigh”. Widziałem na ulicy parę transporterów opancerzonych. Czy to się właśnie nazywa desant?

- Nie wiem, ale wracam tam.

- Nie ty jeden dałeś stąd nogę. Nie tak dawno przebiegł tędy inny, wielki facet.

Ten staruszek wyglądał trochę jak mój ojciec, ale był od niego o wiele bardziej przebiegły.

- Latynosi w całej okolicy czekają, abyśmy przywrócili tu porządek.

- Sądysz, że to takie proste, chłopcze?

- Sprawię, że to wyda się bardzo proste.

Staruszek zarechotał w głos. Zszedłem z ganku i wróciłem do moich obowiązków, uderzając końcem pałki o nogę. Wszystkie latarnie zostały już wygaszone: prawie niemożliwością było odróżnić Meksykanów od żołnierzy. Zdawałem sobie sprawę, że to pozwoli mi uporać się z moim dylematem i szykowałem się do przyłączenia się do walki. Wtem usłyszałem za sobą wołanie: - Bleichert! - i wiedziałem już, kto był drugim uciekinierem z terenu zamieszek.

Pobiegłem w tę stronę. Zobaczyłem Lee Blancharda. Spora, choć nie tak wielka nadzieja białych z Południa stał naprzeciwko trzech żołnierzy piechoty morskiej i Latynosa w fikuśnym garniturku. Zapędził ich w róg podwórza przy zapuszczonym, starym bungalowu i trzymał ich w szachu celnymi ciosami pacyfikatora czarnuchów. Piechociarze próbowali go dosięgnąć trzymanymi w dłoniach deskami, lecz ich zamaszyste uderzenia chybiały celu, ponieważ Blanchard płynnie i szybko uchylał się do tyłu i w bok, balansując na palcach stóp. Latynos z całą kolekcją medalików na szyi wyglądał na kompletnie zdezorientowanego.

- Bleichert, kod trzy!

Wkroczyłem do akcji, dźgając pałką raz po raz, moja broń bezbłędnie trafiała w mosiężne guziki i barwne baretki. Zarobiłem parę bolesnych ciosów w ramiona i barki, po czym dziarsko ruszyłem naprzód, aby piechociarze nie mieli dość miejsca, by zamachnąć się i zadać kolejne uderzenia. Poczulem się, jakbym znalazł się w klinczu z ośmiornicą i w pobliżu nie było sędziego, nie mogłem też liczyć na dzwonek, który oznajmi zakończenie trzyminutowej rundy, toteż instynktownie upuściłem pałkę, wtuliłem głowę w ramiona i zacząłem wymierzać ciosy w korpus; każde uderzenie było celne i nieznacznie złagodzone

przez warstwę gabardyny, w którą przyobleczone były ciała moich przeciwników. W pewnej chwili usłyszałem: - Bleichert, cofnij się!

Zrobiłem to i zobaczyłem Lee Blancharda, trzymającego w uniesionej wysoko ręce pacyfikator czarnuchów. Piechociarze zastygli w bezruchu; pałka opadła: raz, drugi, trzeci, trafiając bez pudła w ramiona i barki. Kiedy z trójki tamtych pozostała wijąca się z bólu na ziemi, bezkształtna, skłębiona masa ciał, Blanchard rzekł: - Spadajcie do Trypolisu, frajerzy - i odwrócił się do Latynosa: - *Hola*, Tomasie.

Pokręciłem głową i przeciągnąłem się. Bolały mnie ramiona i plecy; kłykcie prawej dłoni pulsowały tęnym bólem. Blanchard skuł Latynosa, a mnie jedyne, co przychodziło do głowy, to: - O co tu chodzi, u licha?

Blanchard uśmiechnął się. - Wybacz, zapomniałem o dobrych manierach. Posterunkowy Bucky Bleichert, przedstawiam ci señora Tomasa Dos Santosa, poszukiwanego za zabójstwo dokonane podczas pospolitej kradzieży zuchwałej. Tomas wyrwał staruszcze torebkę, na rogu Szóstej i Alvarado, a stara tak się tym zdenerwowała, że dostała zawału i kipnęła na miejscu. Tomas rzucił torebkę i wziął nogi za pas. Pozostawił jednak na torebce wyjątkowo wyraźne odciski palców, a w dodatku całe zajście widziało kilku naocznych świadków. - Blanchard szturchnął mężczyznę. - *Habla ingles*, Tomasie?

Dos Santos pokręcił głową, że nie; Blanchard ze smutkiem pokręcił swoją. - On jest już trupem. Smoluchy za zabójstwo drugiego stopnia dostają komorę gazową. Ten leszcz tutaj za sześć tygodni pożegna się z tym światem.

Od strony Evergreen i Wabash doszły mnie odgłosy strzałów. Wspinając się na palce, ujrzałem błękitnobiałe płomienie bijące z ciągu okien i błyski wyładowań elektrycznych z zerwanych linii telefonicznych i przewodu linii tramwajowej. Przeniosłem wzrok na żołnierzy piechoty morskiej, a jeden z nich pokazał mi palec. Powiedziałem: - Mam nadzieję, że żaden z nich nie zapamiętał numeru twojej odznaki.

- Wisi mi to, nawet gdyby tak było.

Wskazałem kępę palm, które zmieniły się w kule ognia. - Nie damy rady dziś go zapuszkować. Przybiegłeś aż tutaj, żeby ich spacyfikować? Sądziłeś, że...

Blanchard uciszył mnie krótkim ciosem prostym, zatrzymując dłoń tuż przed moim ciałem. Jego kłykcie nie dotknęły nawet mojej odznaki. - Przybyłem tu, bo wiedziałem, że i tak nijak nie zdołam pomóc w przywróceniu porządku, a gdybym za długo się tam kręcił, mógłbym nawet zginąć. Mówi ci to coś?

Zaśmiałem się. - Tak. A potem...

- Potem zauważyłem tych typów ścigających Latynosa, który podejrzenie przypominał

poszukiwanego z listu gończego cztery jedenaście łamane przez czterdzieści trzy. Tu mnie osaczyli, ale zauważyłem ciebie, wracającego w stronę obszaru zamieszek, jakbyś szukał guza, więc pomyślałem, że skoro już chcesz rozróbę, to przynajmniej dam ci dobry powód. Brzmi przekonująco?

- Całkiem, całkiem.

Dwaj piechociarze zdołali podnieść się z ziemi, a teraz pomagali wstać trzeciemu. Kiedy ramię w ramię ruszyli w stronę chodnika, Tomas Dos Santos z całej siły prawą nogą kopnął tego z nich, który miał największy tyłek. Tłusty szeregowy, ofiara naglej napaści, odwrócił się do Latynosa. Postąpiłem naprzód. Zrezygnowawszy z dalszej kampanii we wschodnim Los Angeles, trzech młodzi piechociarze pokuśtykali przez ulicę, pośród huku wystrzałów i gorejących palm. Blanchard przecesał dłonią włosy Dos Santosa. - Już nie żyjesz, nieboraku. Chodź, Bleichert, znajźmy jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy przeczekać cały ten szajs.

*

Kilka przecznic dalej odnaleźliśmy dom, gdzie na ganku leżał cały plik gazet, i włamaliśmy się tam. W kuchennym kredensie stała pełna butelka Cutty Sark, a Blanchard przełożył kajdanki z przegubu Santosa na jego kostki, aby Latynos miał wolne ręce i też mógł się napić. Zanim zdążyłem zrobić kanapki z szynką i whisky z wodą sodową, Latynos wyłopał już pół flaszki i zaczął śpiewać na całe gardło „Cielito Lindo” oraz meksykańską wersję „Chattanooga Choo Choo”. W godzinę później w butelce nie zostało już nic, a Tomasowi urwał się film. Położyłem go na kanapie, przykryłem kocem, a Blanchard powiedział: - To mój dziewiąty przestępca, jakiego dorwałem w 1943. Za niecałe sześć tygodni gość nałyka się gazu, a ja nie dalej jak za trzy lata zacznę pracować w północno-wschodnim albo głównym wydziale egzekucyjnym.

Jego pewność siebie kompletnie mnie zdumiała. - Nie ma mowy. Jesteś za młody, nie zrobiłeś nawet sierżanta, mieszkasz z kobietą na kocią łapę, straciłeś kumpli z wysokiego szczebla, kiedy przestałeś staczać walki z ustawionymi przeciwnikami, ani nie masz za sobą służby jako śledczy po cywilnemu. Poza tym...

Przerwałem, kiedy Blanchard uśmiechnął się, po czym podszedł do okna w salonie i wyjrzał na zewnątrz. - Płomienie na całej Michigan i Soto. Pięknie.

- Pięknie?

- Właściwie tak, pięknie. Sporo o mnie wiesz, Bleichert.

- Ludzie sporo o tobie mówią.

- O tobie też gadają.

- A co konkretnie?

- Że twój stary ma jakieś powiązania z faszystami. Że aby dostać się do policji, zakapowałeś federalnym swego najlepszego kumpla. I że podrasowałeś swój rekord, walcząc w wadze półciężkiej.

Te słowa zawisły w powietrzu jak trzy poważne oskarżenia. - Poważnie?

Blanchard odwrócił się do mnie. - No. I mówią, że nigdy nie uganiałeś się za kobitkami i że twoim zdaniem mógłbyś mnie pokonać.

Przyjąłem wyzwanie. - To wszystko prawda.

- Tak? Podobnie jak to, co słyszałeś na mój temat. Tyle tylko, że jestem na liście tych, co mogą uzyskać awans do stopnia sierżanta, w sierpniu przenoszą mnie do obyczajówki w Highland Park, i znam zastępcę prokuratora okręgowego; ten mały Żydek aż się ślini na samą myśl o bokserach. Obiecał mi posadę w egzekucyjnym, kiedy tylko zwolni się tam jakieś miejsce.

- Jestem pod wrażeniem.

- Tak? A chcesz być pod jeszcze większym wrażeniem?

- Wal.

- Moje pierwsze dwadzieścia nokautów to byli zwykli „kelnerzy” wybrani osobiście przez mojego menadżera. Moja dziewczyna widziała cię, jak walczyłeś w Olympic i powiedziała, że byłbyś całkiem przystojny, gdybyś zrobił coś z tymi zębami, i kto wie, może mógłbyś mnie pokonać.

Nie potrafiłem wtedy stwierdzić, czy ten facet szukał zwady, chciał się ze mną zaprzyjaźnić, sprawdzał mnie czy ze mnie podrwiwał, a może chciał po prostu wyciągnąć jak najwięcej informacji. Wskazałem na Tomasa Dos Santosa, który drzemał, niespokojnym, pijackim snem. - A co z Meksykańcem?

- Jutro rano odstawimy go do aresztu.

- Ty go odstawisz.

- Też przyłożyłeś ręki do jego zatrzymania.

- Dzięki, ale tym razem sobie odpuszczę.

- W porządku, partnerze.

- Nie jestem twoim partnerem.

- Może kiedyś.

- Raczej nigdy, Blanchard. Może pójdziesz do egzekucyjnego i będziesz odzyskiwał mienie oraz wypełniał druczki dla prawników ze śródmieścia, a ja raczej odslużę swoje, zgarnę moją emeryturę i osiadę gdzieś, na jakiejś ciepłej posadce.

- Mógłbyś pójść do federalnych. Wiem, że masz kumpli w imigracyjnym.

- Nie przeginaj.

Blanchard znowu wyjrzał przez okno. - Pięknie. Byłaby z tego śliczna pocztówka. Kochana mammo, żałuj, że nie byłaś ze mną podczas barwnych i hucznych zamieszek we wschodnim LA. Szkoda, że cię tu nie ma.

Tomas Dos Santos poruszył się przez sen, wybełkotał - Inez? Inez? Que? Inez?

Blanchard podszedł do szafy w hallu, wyjął stary, wełniany płaszcz i przykrył go. Ciepłe okrycie najwyraźniej uspokoiło śpiącego, przestał mamrotać pod nosem. Blanchard rzekł: - Cherchez la femme. Co nie, Bucky?

- Że co?

- Szuka kobiety. Nawet pijany w sztok, nasz stary Tomas nie pozwala Inez odejść. Stawiam dziesięć do jednego, że kiedy trafi do komory gazowej, ona będzie tam razem z nim.

- Może sąd złagodzi karę. Może dadzą mu od piętnastu do dożywocia i wyjdzie po dwudziestu latach na wolność.

- Nie. On jest już trupem. Cherchez la femme, Bucky. Zapamiętaj to.

Przeszedłem przez dom, szukając miejsca, gdzie mógłbym się przespać, aż w końcu wybrałem dla siebie sypialnię na parterze, z niewygodnym łóżkiem, za krótkim jak na moje nogi. Położyłem się, wsłuchując w dobiegający z oddali jęk syren i huk strzałów. Potem powoli odpłynąłem w sen i śniłem o moich nielicznych, krótkotrwałych związkach z kobietami.

*

Do rana zamieszki ustały, niebo jednak wciąż było zasnuwane dymem, a na ulicach wały się potłuczone butelki oraz porzucone deski i kije baseballowe. Blanchard zadzwonił na posterunek Hollenbeck i poprosił o przysłanie radiowozu, którym mógłby zabrać swego dziewiątego w 1943 roku zatrzymanego przestępcę do aresztu przy gmachu sądu. Tomas Dos Santos szlochał, gdy policjanci zabierali go tam. Blanchard i ja uścisnęliśmy sobie nawzajem dłonie i osobno wróciliśmy do centrum - on do biura prokuratora okręgowego, aby napisać raport na temat schwytania złodzieja torebek, ja na komendę główną, gdzie czekał mnie kolejny dzień pracy.

Rada miasta Los Angeles zakazała noszenia fantazyjnych garniturów, a Blanchard i ja powróciliśmy do niezobowiązujących pogawędek o pogodzie. I wszystko, co powiedział owej nocy z niezłomną, niewzruszoną pewnością siebie, spełniło się.

Blanchard uzyskał awans do stopnia sierżanta, a na początku sierpnia został przeniesiony do obyczajówki w Highland Park, a Tomas Dos Santos w tydzień później trafił

do komory gazowej. Minęły trzy lata, a ja wciąż jeździłem wozem patrolowym, pracując w komendzie głównej. Wreszcie któregoś ranka spojrzałem na tablicę przeniesień i awansów i na samym szczycie listy dostrzegłem nazwisko: Blanchard, Leland C., sierżant; przen. 15/09/46 z obyczajówki Highland Park do centralnego wydziału egzekucyjnego.

No i rzecz jasna zostaliśmy partnerami. Gdy sięgam pamięcią wstecz, wiem na pewno, że ten człowiek nie miał za grosz daru przewidywania, po prostu pracował, by zapewnić sobie jak najlepszą przyszłość, podczas gdy ja bez przekonania, niepewnie zbliżałem się do mojej własnej. Jego słowa - *cherchez la femme* - wypowiedziane tym charakterystycznym, matowym głosem wciąż nie dają mi spokoju. Ponieważ nasza współpraca, to, że zostaliśmy partnerami, stanowiło jedynie wstęp do sprawy Dalii. I koniec końców to właśnie ona, Dalia posiadała nas bez reszty.

I

OGIEŃ I LÓD

1.

Droga do naszego partnerstwa rozpoczęła się bez mojej wiedzy i zorientowałem się, że coś jest na rzeczy, gdy doszły mnie plotki o możliwej walce Blanchard-Bleichert.

Zszedłem właśnie ze służby, po długim pobycie w pułapce na kierowców nie przestrzegających ograniczeń prędkości przy Bunker Hill. Mój bloczek mandatowy był pełen, a mózg otępiały po ośmiu godzinach wodzenia wzrokiem przy skrzyżowaniu Drugiej i Beaudry. Przeszedłem przez salę odpraw na komendzie głównej i tłum funkcjonariuszy czekających na wydanie popołudniowych okólników i listów gończych; mało brakowało, a nie usłyszałbym słów Johnny'ego Vogela: - Oni od lat nie walczyli, a Horrall zakazał wystawiania do pojedynków ustawionych przeciwników, więc nie sądzę, aby coś z tego wyszło. Mój tato zna dobrze tego Żydka, a on powiedział, że gdyby tylko tamten tańczył, jak mu zagrają, mógłby spróbować szczęścia z samym Joe Louisem.

W tej samej chwili Tom Joslin szturchnął mnie łokciem: - Mówią o tobie, Bleichert.

Spojrzałem na Vogela, stojącego nieopodal i rozmawiającego z innym gliniarzem. - Mam słuch, Tommy.

Joslin uśmiechnął się. - Znasz Lee Blancharda?

- A czy papież zna Jezusa?

- No, ale gość pracuje w głównym egzekucyjnym.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Może to? Partner Blancharda kończy właśnie regulaminowe dwadzieścia lat służby. Nikt nie spodziewał się, że już zechce odejść, ale tak właśnie jest. Szefem egzekucyjnego jest zastępca prokuratora okręgowego Ellis Loew. Przyjął pod swoje skrzydła Blancharda, a teraz szuka bystrzaka, który mógłby zastąpić jego partnera. Plotki głoszą, że szefunio ma słabość do bokserów i chce właśnie ciebie. Stary Vogel pracuje w śledczym. Zna dobrze Loewa i podsunął mu kandydaturę swego syna. Chce, aby to on został partnerem Blancharda. Szczerze

mówiąc, uważam, że żaden z was nie ma do tego odpowiednich kwalifikacji. Ja, z drugiej strony...

Byłem cały spięty, ale mimo to udało mi się rzucić ciętą ripostę, aby dać Joslinowi do zrozumienia, że mało mnie to obchodzi. - Masz za małe zęby. Nie nadają się do gryzienia przeciwnika podczas klinczu. A w egzekucyjnym pracuje wielu takich, co bardzo lubią walkę w klinczu.

*

A jednak to mnie obchodziło.

Tej nocy siedząc na schodach przed moim domem, patrzyłem na garaż, gdzie wisiał ciężki worek i gruszka bokserska, gdzie znajdował się album z wycinkami z gazet na mój temat, programy z moich walk i artykuły z nimi związane. Pomyślałem, że powinienem być dobry, ale nie za dobry, że mógłbym zrzucić trochę wagi, choć w rzeczywistości powinienem przybrać z dziesięć funtów i walczyć w wadze ciężkiej, rozmyślałem o starciach z napęczniałymi od tortilli Meksykanami w Eagle Rock Legion Hall, gdzie mój stary uczęszczał na zebrania swego Bundu. Waga półciężka była ziemią niczyją, ale dla mnie wydawała się istnym rajem. Mogłem tańczyć na palcach przez całą noc przy wadze 175 funtów, zadawać celne ciosy sierpowe i haki, a mego lewego prostego mógł uniknąć jedynie buldożer.

Niestety, w wadze półciężkiej nie było żadnego buldożera, ponieważ wszyscy żądni walki pięściarze wążący 175 funtów woleli przybrać na wadze i przejść do ciężkiej, nawet za cenę utraty szybkości i sporej części siły ciosu. Waga półciężka była bezpieczna. Gwarantowała rzetelną zapłatę bez ryzyka poniesienia trwałego uszczerbku na zdrowiu. Bokser z półciężkiej był obiektem drwin Bravena Dyera z *Timesa*, pochlebstw ze strony ojca i jego zramolałych kolegów, ziejących nienawiścią wobec Żydów, ale był również sławną postacią - dopóki tylko nie opuszczałem Glassell Park i Lincoln Heights. Traktowałem to jak coś naturalnego, bez konieczności poddawania próbie mojej wytrzymałości psychicznej.

I wtedy pojawił się Ronnie Cordero.

Był Meksykaninem z półciężkiej, z El Monte, szybkim, mającym nokautujący cios z obu rąk i umiejącym się skutecznie bronić, trzymającym gardę wysoko, a łokcie blisko ciała, dla ochrony przed ciosami na korpus. Mimo iż miał zaledwie dziewiętnaście lat, był grubokościsty, jak na swoją wagę, a ponieważ wciąż jeszcze rósł, istniała spora szansa, że w przyszłości przejdzie do wagi ciężkiej i zacznie zarabiać ciężkie pieniądze. W Olympic błysnął ciągiem czternastu kolejnych zwycięstw przez nokaut, pokonując wszystkich czołowych pięściarzy z Los Angeles w wadze półciężkiej. Wciąż rozwijający się i starający o

dobór jak najlepszych i coraz bardziej wymagających przeciwników, Cordero rzucił mi wyzwanie na łamach działu sportowego *Heralda*.

Wiedziałem, że pożre mnie żywcem. I wiedziałem, że przegrana ze zjadaczem taco zrujnuje moją karierę lokalnej sportowej sławy. Wiedziałem, że ucieczka przed walką wyrządzi mi sporo szkód, ale gdybym do niej stanął, to by mnie zabiło. Zacząłem szukać miejsca, dokąd mógłbym zwać. Wojsko, marynarka wojenna i piechota morska wydawały się dobrym rozwiązaniem, ale właśnie wtedy zbombardowano Pearl Harbor i nic już nie było takie jak dawniej. Potem mój ojciec doznał udaru, stracił pracę i pobory, i trzeba go było karmić przez słomkę, papkami jak dla niemowląt. Jeżeli chodzi o mnie, dostałem odroczenie z uwagi na ciężką sytuację rodzinną i wstąpiłem do policji Los Angeles.

Wiedziałem, dokąd zmierzały moje rozważania. Agenci FBI pytali mnie, czy uważam się za Niemca, czy za Amerykanina, i czy zechciałbym dać dowód mego patriotyzmu, denuncjując osoby podejrzanego pochodzenia. Następnie, aby o tym nie myśleć, skupiłem się na kocie właściciela domu, gdzie mieszkałem, polującego na sójkę na dachu garażu. Kiedy kot rzucił się na swoją ofiarę, przyznałem w duchu, że bardzo pragnąłem, aby plotki Johnny Vogela sprawdziły się.

Wydział egzekucyjny był wymarzony dla każdego gliniarza. Pracowali tam funkcjonariusze po cywilnemu, nie trzeba było nosić marynarek ani krawatów, używano też nieoznakowanych aut. Czegoż chcieć więcej? Tam ścigano prawdziwych przestępców, przez duże P, a nie pijaczków, bezdomnych i ekshibicjonistów prezentujących swe wątpliwe wdzięki zde gustowanym przechodniom. Praca w egzekucyjnym to jak praca z biurem prokuratora okręgowego i wydziałem śledczym równocześnie, w połączeniu z późnymi kolacjami w towarzystwie burmistrza Bowrona, gdy ten był akurat w wylewnym nastroju i miał ochotę posłuchać wojennych historii.

Myślenie o tym wszystkim sprawiało ból. Poszedłem więc do garażu i zacząłem tłuc w gruszkę bokserską, aż całkiem ścięły mi ręce.

*

Przez kolejnych kilka tygodni jeździłem wozem patrolowym wzdłuż północnej granicy rewiru. Za partnera miałem wyszczerzonego żółtodzioba nazwiskiem Sidwell, dzieciaka po trzyletniej służbie w żandarmerii wojskowej w Canal Zone. Chłonał każde moje słowo jak wierny pies i tak polubił pracę w policji, że nawet już po zakończeniu służby wciąż kręcił się na posterunku, rozmawiając z klawiszami, strzelając z ręcznika do postaci z listów gończych rozwieszonych w szatni i generalnie uprzykrzając się wszystkim, dopóki ktoś kategorycznie nie kazał mu iść do domu.

Chłopak nie miał za grosz taktu, był w stanie rozmawiać ze wszystkimi o wszystkim. Byłem jednym z jego ulubionych tematów i dowiadywałem się od niego o wszystkich plotkach na mój temat, jakie krążyły wśród funkcjonariuszy komendy głównej.

Większość tych plotek traktowałem z lekceważeniem: szef Horall zamierzał stworzyć międzywydziałową drużynę bokserką i chciał przenieść mnie do egzekucyjnego, aby doprowadzić do mojego pojedynku z Blanchardem; Ellis Loew przed wojną miał wygrać sporą sumkę, stawiając na mnie, a teraz zamierzał mi się za to zrewanżować. Horall unieważnił zakaz ustawiania konkretnych pojedynków, a jakaś gruba ryba z samej góry chciała sprawić mi przyjemność, a przy okazji nabić sobie kabzę, stawiając na mnie. Te historie wydawały się mocno przesadzone, niemniej jednak wiedziałem, że otrzymywałem pewne fory tylko dlatego, że byłem bokserem. Podejrzywałem, że prawda przedstawiała się tak, iż miejsce w egzekucyjnym naprawdę miało przypaść w udziale Johnny'emu Vogelowi albo mnie.

Vogel miał ojca pracującego w komendzie głównej; ja pięć lat temu zakończyłem moją karierę na ziemi niczyjej w wadze półciężkiej, z trzydziestoma sześcioma zwycięstwami, bez choćby jednego remisu, czy porażki. Zdając sobie sprawę, że mogłem zmierzyć się z nepotyzmem jedynie poprzez odzyskanie wagi, zacząłem trenować na worku, zmniejszyłem liczbę spożywanych posiłków i ćwiczyłem na skakance, aż powróciłem do dawnej wagi, jak wtedy, gdy walczyłem w półciężkiej. Potem mogłem już tylko czekać.

2.

Od tygodnia utrzymywałem stałą wagę 175 funtów, wymęczony treningami, śniąc każdej nocy o stekach, chiliburgerach i kokosankach. Moje nadzieje na posadę w egzekucyjnym zmniejszyły się do tego stopnia, że byłem gotów je zaprzedać za porządnie wysmażony stek w przydrożnym barze, a sąsiad, który opiekował się moim ojcem za dwie dychy miesięcznie, zadzwonił do mnie, by obwieścić, że stary znów zaczął świrować, strzelając z wiatrówki do bezdomnych psów i przepuszczając pieniądze z zasiłku na kolorowe pisemka i modele do sklejanania. Dotarłem do punktu, w którym musiałem coś postanowić w związku z nim, a każdy bezzębny staruch, jakiego widziałem podczas patrolu, jawił się w moich oczach jak zdeformowana, karykaturalna kopia Dolpha Bleicherta. Patrzyłem właśnie, jak jeden z takich tetryków kuśtyka przez Trzecią i Hill, po czym odebrałem wezwanie, które na zawsze odmieniło moje życie.

- 11-A-23 zgłoś się na posterunek. Powtarzam: 11-A-23 zgłoś się na posterunek.

Sidwell szturchnął mnie łokciem. - Wzywają nas, Bucky.

- Potwierdź tylko przyjęcie zgłoszenia.

- Dyspozytor kazał nam zgłosić się na posterunek.

Skreśliłem w lewo, zatrzymałem radiowóz, po czym wskazałem na stojącą na rogu budkę policyjną. - Zadzwoń z budki, kluczyk masz przy kajdankach.

Sidwell usłuchał i po chwili wrócił truchtem do radiowozu. Miał ponurą minę. - Masz natychmiast zgłosić się do szefa detektywów - powiedział.

W pierwszej chwili pomyślałem o ojcu. Z ciężką stopą pokonałem sześć przecznic do ratusza, zaparkowałem radiowóz przy Sidwell, po czym wjechałem windą na trzecie piętro, gdzie mieścił się gabinet szefa Thada Greene'a. Sekretarka wpuściła mnie do wewnętrznego gabinetu, gdzie na skórzanych fotelach siedzieli Lee Blanchard i więcej grubych ryb z wydziału niż kiedykolwiek widziałem w jednym miejscu, i chudy jak szczapa facecik w trzyczęściowym, tweedowym garniturze.

Sekretarka powiedziała: - Funkcjonariusz Bleichert - i zostawiła mnie tam. Zdawałem sobie sprawę, że na moim wychudzonym ciele mundur wisiał jak na strachu na wróble. Wreszcie to Blanchard ubrany w płócienne spodnie i brązową marynarkę podniósł się z miejsca i odegrał rolę mistrza ceremonii.

- Panowie, to Bucky Bleichert. Bucky, od lewej do prawej mamy mundurowych: inspektora Malloya, inspektora Stenslanda i szefa Greene'a. Ten dzentelmen w gajkerku to zastępca prokuratora okręgowego, Ellis Loew.

Pokiwałem głową, a Thad Green wskazał mi wolny fotel naprzeciwko zebranych. Rozsiadłem się na nim; Stensland podał mi plik papierów. - Proszę to przeczytać. To artykuł Bravena Dyera do sobotniego wydania *Timesa*.

U góry strony widniała data: 14.X.46, a poniżej, drukowane litery układały się w tytuł: „Ogień i Lód wśród stróżów prawa Los Angeles.” Tekst poniżej brzmiał następująco:

Przed wojną miasto Los Angeles zostało obdarzone dwoma wybornymi pięściarzami, którzy urodzili się i dorastali w odległości zaledwie pięciu mil od siebie nawzajem, których styl walki jest różny jak ogień i lód. Lee Blanchard był wojownikiem o kabłąkowatych nogach, uwielbiającym wdawać się w wymianę ciosów, do tego stopnia, że gdy szedł do ataku, z jego rękawic aż leciały skry. Bucky Bleichert wchodził do ringu tak spokojny, wyciszony i opanowany, że łatwo było uwierzyć, iż w ogóle się nie poci. Umiał tańczyć na palcach lepiej niż Bojangles Robinson, a jego krótkie proste zmieniały twarze przeciwników

w befszytk tatarski. Obaj ci bokserzy byli prawdziwymi poetami: Blanchard poetą brutalnej siły, Bleichert poetą szybkości i uniku. Wspólnie wygrali 79 walk, przegrali zaledwie cztery. Tak w ringu, jak i w swoim żywiole, Ogień i Lód są nie do pokonania.

Ogień i Lód nigdy nie walczyli przeciwko sobie. To skutek tego, że walczyli w różnych kategoriach wagowych. Jednak poczucie obowiązku połączyło ich duchowo i obaj wstąpili do policji Los Angeles, gdzie kontynuują walkę poza ringiem, tym razem jednak tocząc nieustanną wojnę z przestępcami. Blanchard rozwiązał sprawę bulwersującego napadu na bank Boulevard-Citizens w 1939 i pochwycił obrzydliwego rabusia - zabójcę, Tomasa Dos Santosa; Bleichert zasłużył się podczas zamieszek „garniturowców” w ’43. Obecnie obaj służą w komendzie głównej: Ogień, lat 32, jest sierżantem w prestiżowym wydziale egzekucyjnym, Lód, lat 29 funkcjonariuszem patrolu pracującym w najniebezpieczniejszym rewirze, w śródmieściu LA. Niedawno zapytałem ich obu, czemu zrezygnowali z tak obiecującej kariery na ringu i zostali policjantami. Ich odpowiedzi pokazują, jak niepoślednimi i szczerymi są ludźmi.

Sierżant Blanchard: kariera nie trwa wiecznie, w przeciwieństwie do satysfakcji, jaką daje służba społeczeństwu.

Funkcjonariusz Bleichert: chciałem walczyć z o wiele bardziej groźnymi przeciwnikami, czyli ściślej rzecz biorąc, przestępcami i komunistami.

Lee Blanchard i Bucky Bleichert ponieśli wiele ofiar, służąc swemu miastu, a 5 listopada, w dniu wyborów, wszyscy posiadający prawo głosu mieszkańcy Los Angeles zostaną poproszeni o to samo: o poparcie dla propozycji wypuszczenia obligacji o wartości pięciu milionów dolarów, które mogłyby wesprzeć i odpowiednio wyposażyć policję Los Angeles oraz zapewnić ośmioprocentową podwyżkę płac dla całego jej personelu. Nie zapomnijcie o przykładzie, jak dali nam Ogień i Lód. W dniu wyborów oddajcie swój głos na „tak” i poprzyjcie emisję obligacji na ten szczytny cel.

Kiedy skończyłem, oddałem kartki inspektorowi Stenslandowi. Chciał coś powiedzieć, ale Thad Green uciszył go, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Niech pan nam powie, co o tym sądzi. Tylko szczerze.

Przelknąłem ślinę, by zachować spokojny ton głosu. - To dość subtelne.

Stensland zaczerwienił się, Green i Malloy uśmiechnęli się, a Blanchard zahuczał w głos. Ellis Loew powiedział: - Propozycja emisji obligacji raczej przypadnie, ale jest szansa na jej ponowienie przy okazji nadchodzących wyborów, na wiosnę przyszłego roku. Chodziło nam natomiast...

Green rzucił: - Ellis, proszę... - i skupił całą uwagę na mnie. - Jedną z przyczyn, dla których nie dojdzie do emisji obligacji, jest to, że ludzie nie są zadowoleni z usług, jakie im świadczymy. Podczas wojny brakowało nam funkcjonariuszy, a niektórzy z tych, których przyjęliśmy do służby, okazali się być przysłowiowymi zgniłkami i zbrukali nasze dobre imię. Poza tym, od zakończenia wojny musimy użerać się z samymi żółtodziobami, a wielu dobrych funkcjonariuszy odeszło na emeryturę. Dwa posterunki wymagają generalnego remontu, a żeby przyciągnąć do pracy naprawdę dobrych ludzi, potrzebujemy wabika w postaci lepszych zarobków. Wszystko wymaga pieniędzy, a w listopadzie głosujący na pewno nam ich nie zapewnią...

Zaczynałem już rozumieć. Malloy rzucił: - To był pański pomysł, mecenasie. Niech pan mu o tym opowie.

Loew rzekł: - Stawiam dolary przeciwko orzechom, że przy okazji wyborów w '47 uda się nam przeforsować naszą propozycję. Musimy jednak odzyskać u ludzi zaufanie. Musimy zaimponować społeczeństwu i pochwalić się, jakich ludzi mamy w naszych szeregach. Zdolni, biali bokserzy, to nasza karta atutowa, Bleichert. Wiesz o tym doskonale.

Spojrzałem na Blancharda. - Ty i ja, tak?

Blanchard mrugnął. - Ogień i Lód. Powiedz mu wszystko do końca, Ellis.

Loew skrzywił się, że tamten zwrócił się do niego po imieniu, po czym dodał: - Dziesięciorundowy pojedynek, mniej więcej za trzy tygodnie od dziś, w sali treningowej Akademii. Braven Dyer to mój dobry przyjaciel i rozgłosi tę sensację na łamach prasy. Bilety będą sprzedawane po dwa dolary od sztuki, połowa z nich zostanie rozprowadzona wśród funkcjonariuszy policji i ich rodzin, druga połowa trafi do cywilów. Kwota ze sprzedaży ogółu biletów zasili konto policyjnego funduszu charytatywnego. Od tej pory zaczniemy też tworzyć międzywydziałową drużynę bokserską. Złożoną z samych krzepkich, białych pięściarzy. Członkowie zespołu będą mieć w tygodniu jeden dzień wolny, aby uczyć dzieciaki z biednych rodzin sztuki samoobrony. W ten sposób zaczniemy podreperowywać naszą renomę i odzyskamy zaufanie społeczeństwa akurat do wyborów w '47.

Patrzył teraz na mnie. Wstrzymałem oddech, czekając na ofertę posady w egzekucyjnym. Kiedy się tego nie doczekałem, łypnąłem z ukosa na Blancharda. Jego tors wciąż był wyjątkowo silny, ale brzuch wydawał się odrobinę sflaczały, a ja byłem młodszy, wyższy i zapewne dużo szybszy. Zanim zdążyłem ugryźć się w język, rzuciłem: - Wchodzę w to.

Przełożeni powitali moje słowa oklaskami; Ellis Loew uśmiechnął się, prezentując zęby, których nie powstydzilby się młody rekin. - Wyzaczyliśmy datę spotkania na 29

października, tydzień przed wyborami - powiedział. - Obaj będziecie mieć nieograniczony dostęp do sali treningowej, aby móc swobodnie ćwiczyć. Dziesięć rund to spory wymóg dla pięściarzy, którzy jak wy od tak dawna nie boksowali, ale walka na krótszym dystansie wyglądałaby niepoważnie. Zgadza się ze mną?

Blanchard parsknął. - Jak walki u komuchów.

Loew wyszczerzył się do niego.

- Owszem, tak - przyznałem uprzejmie, a Malloy uniósł aparat fotograficzny i powiedział: - Spójrz tutaj, synu, zaraz wyleci ptaszek.

Wstałem i uśmiechnąłem się, nie rozchylając ust; błysnął flesz. Zobaczyłem gwiazdy, poczułem klepnięcie w plecy, a kiedy oznaki koleżeńskiej poufałości skończyły się i odzyskałem ostrość widzenia, zobaczyłem stojącego przede mną Ellisa Loewa, mówiącego: - Idę o zakład, że mogę spodziewać się po tobie tylko tego, co najlepsze. I jeżeli nie przegram zakładu, liczę na to, że wkrótce się zaprzyjaźnimy.

Pomyślałem: „Subtelny z ciebie łajdak”, ale powiedziałem tylko: - Oczywiście, sir.

Loew podał mi rękę, miał bardzo miękki uścisk dłoni, po czym oddalił się. Przetarłem dłońmi oczy, by pozbyć się wirujących gwiazdek i przekonałem się, że w pokoju prócz mnie nie było już nikogo. Zjechałem windą na parter, zastanawiając się nad najbardziej optymalnym sposobem odzyskania wagi, jaką ostatnio straciłem. Blanchard prawdopodobnie ważył 200 funtów i gdybym zmierzył się z nim, ważąc jak zwykle 175 funtów, bez trudu poradziłby sobie z każdą próbą ataku z mojej strony. W głębi duszy wybierałem już pomiędzy soczystym stekiem a paroma hamburgerami, gdy wyszedłem na parking i nagle ujrzałem mego przeciwnika we własnej osobie - rozmawiającego z jakąś kobietą puszczającą kółka z dymu w kierunku bezchmurnego nieba wyglądającego jak z pocztówki.

Podszedłem do nich. Blanchard opierał się o nieoznakowany wóz, gestykułując do kobiety, która wciąż wydmuchiwała pod niebo kółka z dymu. Była do mnie zwrócona profilem, głowę lekko uniosła do góry, wygięła plecy w łuk, jedną rękę oparła na drzwiczkach auta. Kasztanowe włosy przycięte na pazia delikatnie dotykały jej ramion i długiej, szczupłej szyi, obcisła kurtka à la Eisenhower i wełniana spódniczka tylko podkreślały jej szczupłą figurę.

Blanchard zauważył mnie i szturchnął swoją towarzyszkę. Wydmuchnęła ustami kłęb dymu i odwróciła się. Gdy podszedłem bliżej, ujrzałem silne, atrakcyjne oblicze, złożone zdawałoby się z nie pasujących do siebie części: wysokie czoło, które sprawiało, że jej fryzura wyglądała dziwacznie, haczykowany nos, pełne usta i duże czarno-brązowe oczy. Blanchard dokonał prezentacji: - Kay, to Bucky Bleichert. Bucky, to Kay Lake.

Kobieta zgasila papierosa. Powiedzialem: - Cześć - zastanawiając się, czy to właśnie tę dziewczynę Blanchard poznał podczas procesu sprawców rabunku banku Boulevard-Citizens. Nie wyglądała jak przyjaciółeczka złodziei, nawet jeśli od lat mieszkała na kocią łapę z policjantem. W jej głosie wychwyciłem lekki akcent z okolic dalekich prerii. - Widziałam cię w kilku walkach. Zwycięskich.

- Wygrałem wszystkie. Lubisz boks?

Kay Lake pokręciła głową. - Lee mnie tam zaciągnął. Przed wojną chodziłam na zajęcia na Akademii Sztuk Pięknych, toteż zabierałam ze sobą szkicownik i rysowałam bokserów.

Blanchard objął ją ramieniem. - Zmusiła mnie, żebym przestał brać udział w aranżowanych walkach. Powiedziała, że nie chce, abym się zmienił w warzywo. - Przez chwilę naśladował nieudolnie ciosy pięściarza, który zarobił zbyt wiele ciosów, a Kay Lake odruchowo odsunęła się od niego. Blanchard zerknął na nią, po czym zaprezentował serię prawych i lewych haków. Ciosy były sygnalizowane, a ja w myślach skontrolowałem prawym - lewym na szczękę i splot słoneczny.

Głośno rzuciłem: - Postaram się ciebie nie uszkodzić.

Kay przyjęła moje słowa z marsową miną; Blanchard uśmiechnął się. - Dobrych parę tygodni trwało, nim zdołałem ją przekonać, aby pozwoliła mi stanąć do tej walki. Obiecałem jej nowy wóz, o ile tylko nie będzie za bardzo sarkać.

- Ty lepiej nie obstawiaj zakładów, których nie byłbyś w stanie później spłacić.

Blanchard zaśmiał się, po czym stanął obok Kay i objął ją ramieniem.

- Kto to wszystko wymyślił? - zapytałem.

- Ellis Loew. Znalazł dla mnie posadę w egzekucyjnym, a potem mój partner przeszedł na emeryturę i Loew zaczął zastanawiać się nad twoją kandydaturą, abyś go zastąpił. Nakłonił Bravena Dyera, aby napisał ten kretyński tekst o Ogniu i Lodzie, później zaś poszedł z całym tym majdanem do Horalla. On nie zdecydowałby się na to, ale wszystkie znaki na niebie i ziemi świadczą, że sprawa obligacji przepadnie z kretelem, więc chcąc nie chcąc, musiał się zgodzić.

- I zamierza na mnie postawić? Jeśli wygram, przeniesie mnie do egzekucyjnego?

- Mniej więcej. Prokurator okręgowy nie popiera tej decyzji, uważa, że jako partnerzy jesteśmy skazani na porażkę, nigdy nie będziemy naprawdę zgrani. Ale nie będzie też sprawiać kłopotów, Horall i Green zdołali go przekonać. Osobiście mam w głębi duszy nadzieję, że wygrasz. W przeciwnym razie moim partnerem zostanie Johnny Vogel. Jest gruby, puszcza baki, cuchnie mu z gęby, a jego stary to największa ciota w całej komendzie

głównej, załatwia wszystkie sprawy dla Żydka, tamten od lat się nim wyręcza. Poza tym...

Postukałem Blancharda w pierś palcem wskazującym. - A co tobie z tego przyjdzie?

- Zakłady działają w obie strony. Można sporo stracić, ale też zarobić. Moja dziewczyna lubi ładne rzeczy, a ja nie mogę jej zawieść, No nie, mała?

Kay wycedziła: - Mów o mnie dalej w trzeciej osobie, to zobaczysz.

Blanchard uniósł obie ręce w ironicznym geście poddania; w ciemnych oczach Kay malowała się wściekłość. Zaciekawiony tą kobietą spytałem: - A co pani sądzi o tym wszystkim, panno Lake?

Teraz jej oczy pojaśniały. - Z powodów czysto estetycznych mam nadzieję, że obaj dobrze się prezentujecie bez koszul. Z powodów natury moralnej mam nadzieję, że policja w Los Angeles zostanie wyśmiana za aranżowanie tego rodzaju farsy. Z przyczyn finansowych mam nadzieję, że Lee wygra.

Blanchard zaśmiał się i klepnął dłonią w maskę auta; zapomniałem o próżności i roześmiałem się, otwierając szeroko usta. Kay Lake spojrzała mi prosto w oczy i właśnie wtedy, po raz pierwszy, nie wiedzieć czemu, poczułem, że Ogień i ja zostaniemy przyjaciółmi. Podałem mu rękę i powiedziałem: - Życzę szczęścia podczas walki.

Lee uścisnął moją dłoń i odparł: - Nawzajem.

Kay spojrzała na nas jak na przygłupie dzieci. Uchyliłem przed nią kapelusza i odwróciłem się, by odejść. W pewnej chwili Kay zawołała:

- Dwight! - a ja zacząłem zastanawiać się skąd znała moje imię. Kiedy się odwróciłem, rzekła: - Byłby z ciebie niezły przystojniak, gdybyś tylko zrobił coś z tymi zębami.

3.

Pojedynek stał się sensacją całego wydziału, a potem Los Angeles; bilety na walkę zostały wyprzedane w ciągu dwudziestu czterech godzin, po tym jak Braven Dyer ogłosił ją na łamach *Timesa*. Porucznik z posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej uważany za oficjalnego doradcę policji w sprawie ustalania zakładów, określił Blancharda faworytem tego pojedynku w stosunku 3 do 1, podczas gdy prawdziwi bukmacherzy określali zwycięstwo Ognia przez nokaut na 2 do 1 i decyzję sędziów na 5 do 3. Między wydziałami rozgorzała gorączka obstawiania zakładów, na wszystkich posterunkach powstały punkty bukmacherskie. Dyer i Morrie Ryskind z *Mirror* podsycali gorączkę treścią kolejnych

artykułów, a dyskdzokej stacji KMPC skomponował utwór, który nazwał „Tango Ognia i Lodu”. Pod sugestywną muzyką jazzową ognisty sopran śpiewał: Ogień i Lód to ból, pot i trud; Dwieście kilo w ringu, aż ziemia drży, z rękawic sypią się skry. Ogień ciało me rozpala aż do czerwoności, Lód zmrozi mnie do szpiku kości. Nie ma drugich takich jak tych dwóch, mówię wam, po prostu szkoda słów!

Znów byłem lokalną sławą.

Po powrocie ze służby patrzyłem, jak na posterunku gliniarze jeden po drugim obstawiają kolejne zakłady; nieznani mi dotąd koledzy po fachu zagadywali do mnie na każdym kroku. Gruby Johnny Vogel łypał spode łba za każdym razem, kiedy mijał mnie w szatni. Sidwell, jak zawsze znający nowe plotki, poinformował mnie, że dwóch gliniarzy z nocnego patrolu postawiło swoje auta, a dowódca posterunku, kapitan Harwell, miał przechowywać weksle do czasu zakończenia walki. Gliniarze z obyczajówki przestali nękać bukmacherów, ponieważ Mickey Cohen zarabiał dziesięć patoli dziennie z samych tylko zakładów i odpalał pięć procent agencji reklamowej, zatrudnionej przez miasto w celu przeforsowania sprawy obligacji okolicznościowych. Harry Colin, gruba ryba z Columbia Pictures, postawił krocie na moje zwycięstwo decyzją sędziów i gdybym zwyciężył, miałem rzekomo zapewniony upojny weekend z Ritą Hayworth.

To wszystko nie miało większego sensu, ale było całkiem przyjemne, i aby nie oszaleć, trenowałem ciężiej niż kiedykolwiek dotąd.

Pod koniec służby każdego dnia udawałem się prosto na salę treningową i ćwiczyłem. Ignorowałem Blancharda i jego wścibską ekipę oraz innych gliniarzy kręcących się wokół mnie i po prostu tłukłem w ciężki worek, lewy prosty, prawy sierpowy, lewy hak, przez pięć minut bez przerwy i w dodatku stale balansując lekko na palcach; sparowałem z moim starym kumplem Pete'em Lukinsem i trenowałem z gruszką bokserską, aż pot zalewał mi oczy, a ręce stawały się miękkie jak z gumy. Zrzuciłem ćwiczenia ze skakanką i zacząłem biegać po wzgórzach Elysian Park z dwufuntowymi ciężarkami przy kostkach, zadając serie ciosów w kępy krzaków i konary drzew oraz ścigając się z bezdomnymi psami, od których aż się tu roiło. W domu zjadałem się wątróbką, soczystymi stekami i szpinakiem, po czym zasypiałem w ubraniu.

Wreszcie, gdy do walki zostało zaledwie dziewięć dni, spotkałem się z ojcem i postanowiłem zrobić skok na kasę.

Miało to miejsce podczas mojej comiesięcznej wizyty i kiedy opuszczałem Lincoln Heights, miałem wyrzuty sumienia, że nie zjawilem się tu, gdy tylko doszły mnie słuchy, że ojciec znów zaczyna świrować. Przywiozłem prezenty potwierdzające to, że czułem się

winny: żywność w puszkach, zwiniętą ze sklepów podczas służby i skonfiskowane kolorowe pisemka dla mężczyzn. Gdy zajechałem pod dom, zdałem sobie sprawę, że to nie wystarczy. Mój ojciec siedział na ganku, popijając z butelki syrop na kaszel. W ręku trzymał pistolet-wiatrówkę, strzelając od niechcienia w rozstawione na trawniku, wykonane z balsy modele samolotów. Zatrzymałem wóz, po czym podszedłem do ojca. Ubranie miał zaplamione wymiocinami, spod skóry wylaniały się ostre kości, wyglądające jakby zostały połączone pod niewłaściwymi kątami. Cuchnęło mu z ust, oczy miał pozółkłe, wzrok mętny, a skórę przezierającą spod brudnej, siwej brody przecinały popękane żyłki. Wyciągnąłem rękę, by pomóc mu wstać; odtrącił ją brutalnie, bełkocząc: - Scheisskopf! Kleine Scheisskopf!

Podźwignąłem go do pionu. Wypuścił z dłoni wiatrówkę, butelkę z syropem i powiedział: - Guten Tag, Dwight - jakby widział mnie nie dalej niż wczoraj.

Otarłem łzy z oczu. - Mów po angielsku, tato.

Ojciec zacisnął dłoń na zgięciu ramienia i potrząsnął mi przed nosem zaciśniętą pięścią. - English Scheisser! Churchill Scheisser! Amerikanish Juden Scheisser!

Zostawiłem go na ganku i zajrzałem do domu. W salonie wałało się mnóstwo części modeli samolotów i otwarte puszkę z fasolą, wokół których unosiły się stada much, sypialnię wyklejono fotkami gołych panienek, większość zresztą przyklepiono do góry nogami. W łazience cuchnęło moczem, a w kuchni trzy koty bobrowały, w na wpół pełnych, otwartych puszkach z tuńczykiem. Zasyczały na mnie, kiedy się zbliżyłem; cisnąłem w nie krzesłem i wróciłem do ojca.

Opierał się o poręcz ganku, przeczesując palcami brodę. W obawie, że mógłby się przewrócić, ująłem go za ramię. Obawiając się, że mógłbym się rozplakać, zawołałem: - Powiedz coś, tato. Rozzłość mnie. Powiedz, w jaki sposób zdołałeś zaledwie w ciągu miesiąca zrobić z tego domu taki chlew.

Ojciec próbował uwolnić się z mego uścisku. Przytrzymałem go mocniej, ale w końcu puściłem, bo bałem się, że jego słabe kości mogłyby trzasnąć jak zapalka. Powiedział: - Du, Dwight? Du? - i zrozumiałem, że znów miał wylew i znów zapomniał angielskiego. Szukałem w myślach odpowiednich niemieckich słów i zwrotów - bez powodzenia. W dzieciństwie nienawidziłem ojca tak bardzo, że zapomniałem języka, którego mnie nauczył.

- Wo ist Greta? Wo, mutti?

Objąłem ojca ramieniem. - Mama nie żyje. Byłeś zbyt skąpy, żeby kupić jej butelkę najtańszej wódki, więc nabyła flaszkę bimbru od czarnuchów z Flats. To był alkohol metylowy, tato. Mama oślepla. Umieściłeś ją w szpitalu, a ona się zabiła; skoczyła z dachu.

- Greta!

Schwyciłem go mocniej. - Cii. To było czternaście lat temu, tato. Dawno temu.

Ojciec próbował się wyszarpnąć; pchnąłem go na wspornik przy poręczy ganku i przyszpiliłem całym ciałem do słupa. Usta ojca wykrzywiły się, gotowe na jakieś obelżywe słowo, i nagle jego twarz stała się pusta, bez wyrazu i zrozumiałem, że ojciec nie był już nawet w stanie odnaleźć w sobie właściwych słów. Zamknąłem oczy i to ja znalazłem je dla niego: - Czy wiesz, ile mnie kosztujesz, ty draniu? Mogłem trafić do policji z czystą kartą, ale nagle okazało się, że mój ojciec jest cholernym zwolennikiem faszystów. Zmusili mnie, abym zakapował Sammiego i Ashidę, a Sammy umarł później w Manzanar. Wiem, że wstąpiłeś do Bundu tylko po to, by spotykać się z kumplami na pogawędkach i podrywać panienki, ale powinienś był dobrze się nad tym zastanowić, bo przez ciebie mam zszarganą opinię.

Otworzyłem oczy i przekonałem się, że były suche; oczy mojego ojca pozostały puste i bez wyrazu. Puściłem go i powiedziałem: - Ale ty się nad tym nie zastanawiałeś i teraz muszę żyć z reputacją kapusia. Wiesz co? Powiem ci jedno - zawsze byłeś cholerną łajzą i oportunistą. Zabiłeś mamę i to jedyne, co naprawdę udało ci się osiągnąć. Ty do tego doprowadziłeś.

Nagle przyszło mi do głowy, jak mogę wywinąć się z całego tego ambarasu. - Odpocznij teraz, tato. Zaopiekuję się tobą.

*

Tego popołudnia obejrzałem trening Lee Blancharda. Oparty był on na czterominutowych rundach z żyłastymi pięściarzami wagi półciężkiej wynajętymi z Main Street Gym, których bezlitośnie masakrował, jednego po drugim. Przesuwając się do przodu, lekko przykucał i zawsze wykonywał zwód górną połową ciała; jego ciosy proste były zdumiewająco dobre. Nie odkrywał się ani wystawiał, jak się tego spodziewałem, a haki zadawane na brzuch czułem aż z odległości dwunastu jardów. Kiedy walczył za konkretną forszę, dawał z siebie wszystko i wiedział, o co walczy.

Ja też wiedziałem. Musiałem więc zadbać o forszę.

Pojechałem do domu, odwiedziłem emerytowanego listonosza, który miał oko na mojego ojca, i zaproponowałem mu stówę za posprzątanie w domu i czuwanie nad moim starym, aż do dnia mojej walki. Przystał na to, ja zaś zadzwoniłem do starego kumpla z Akademii, który pracował w obyczajówce w Hollywood, i poprosiłem go o namiary na kilku bukmacherów. Sądząc, że zamierzam postawić na siebie, podał mi nazwiska dwóch niezależnych, jednego od Mickeya Cohena i drugiego związanego z gangiem Jacka Dragny. Zarówno niezależni jak człowiek od Cohena obstawiali Blancharda jako faworyta, w stosunku 2 do 1, ale facet od Dragny nie faworyzował Ognia; jego zdaniem mieliśmy równe szanse, a

zgodnie z relacjami wielu reporterów prezentowałem się całkiem obiecująco, byłem szybki i silny. Mogłem za każdego postawionego na siebie dolara w przypadku zwycięstwa odebrać dwa dolce.

Rankiem zadzwoniłem na posterunek, powiedziałem, że jestem chory, a szef dziennej zmiany kupił tę historyjkę, ponieważ byłem lokalną znakomitością, zaś kapitan Harwell nie życzył sobie, by ktokolwiek zakłócał mi tok treningów. Gdy już się z tym uporałem i zapewniłem sobie wolny dzień, zlikwidowałem konto oszczędnościowe, spieniężyłem bony skarbowe i wziąłem pożyczkę bankową na dwa tysiące dolarów, wykorzystując w charakterze gwarancji mojego prawie nowego chevroleta, rocznik '46. Z banku pojechałem do Lincoln Heights i odbyłem krótką rozmowę z Pete'em Lukinsem. Zgodził się zrobić to, o co go poprosiłem, i w dwie godziny później zadzwonił do mnie, by zdać relację z tego, co załatwił.

Bukmacher od Dragny, do którego go wysłałem, przyjął od niego pieniądze, postawione na wygraną Blancharda przez nokaut w jednej z końcowych rund, w stosunku dwa do jednego. Gdybym padł na deski pomiędzy ósmą a dziesiątą rundą, zarobiłbym w sumie 8640 dolarów, to wystarczyłoby na uiszczenie opłaty za pobyt mego ojca w domu spokojnej starości za okres dwóch, a może nawet trzech lat. Wymieniłem pracę w egzekucyjnym na spłatę starych długów, a perspektywa pocałowania desek dopiero w jednej z końcowych rund miała zabić we mnie wyrzuty sumienia. Dzięki temu nie powinienem czuć się jak tchórz.

Nie szedłem na ten układ sam, ktoś musiał mi pomóc, a tym kimś był Lee Blanchard.

Na siedem dni przed walką dzięki diecie, jaką sobie narzuciłem, przybrałem na wadze do 192 funtów, biegałem na coraz dłuższych dystansach i wydłużałem cykle treningu na worku i gruszcze boksinerskiej do sześciu minut. Duane Fisk, oficer, którego wyznaczono na mego trenera i pomocnika, ostrzegał, żebym się nie przetrenował, ale ja zrozumiałem jego słowa i przykręciłem śrubę aż do dwóch dni przed wyznaczonym terminem walki. Później zwolniłem tempo, przeszedłem na lekki trening rozluźniający i skupiłem się na technice mego przeciwnika.

Zająwszy miejsce w głębi sali gimnastycznej patrzyłem, jak Blanchard sparuje na ringu środkowym. Wypatrywałem luk w jego podstawowym ataku i badałem reakcje na różne sztuczki kolejnych sparringpartnerów. Zauważyłem, że podczas klinczu trzymał łokcie blisko ciała, aby chronić korpus, ale za to odsłaniał się na krótkie, mierzone ciosy podbródkowe, które sprawiały, że natychmiast podnosił gardę i równocześnie odkrywał się na haki pod żebra. Zauważyłem, że jego najlepszy cios, prawy sierpowy, zawsze był sygnalizowany, Blanchard robił dwa półkroki w lewo i zmyłkę głową. Zwróciłem uwagę, że przy linach był

naprawdę zabójczy i potrafił przytrzymać przy nich słabszych przeciwników, unieruchamiając ich łokciami i zadając krótkie, celne ciosy w korpus. Gdy podszedłem bliżej, zauważyłem liczne blizny na jego łukach brwiowych. Wolałem ich nie uszkodzić, aby nie doszło do przerwania pojedynku z uwagi na niemożność kontynuowania walki przez Blancharda. Obiecałem sobie, że nie będę celował w te miejsca, dostrzegłem jednak długą bliznę ciągnącą się pionowo, po lewej stronie jego klatki piersiowej i uznałem, że ciosy w to miejsce musiały być szczególnie bolesne.

- Przynajmniej dobrze się prezentuje bez koszuli.

Odwróciłem się w stronę, skąd dobiegły mnie te słowa. Kay Lake patrzyła na mnie; kątem oka zobaczyłem Blancharda, który usiadł na stołku i przyglądał się nam. - Gdzie twój szkicownik? - spytałem.

Kay pomachała do Blancharda; ten posłał jej całusa obiema dłońmi, w bokserskich rękawicach. Zabrzmiał gong i Blanchard oraz jego sparringpartner znów wdali się w zaciętą wymianę ciosów.

- Rzuciłam to - odparła Kay. - Nie byłam w tym zbyt dobra, więc zmieniłam kierunek studiów.

- Na jaki?

- Najpierw na medycynę, potem psychologię, literaturę angielską, a w końcu historię.

- Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą.

Kay uśmiechnęła się. - Ja też, ale nie znam żadnej takiej. A czego ty chcesz?

Zlustrowałem wzrokiem wnętrze sali treningowej. Na składanych krzeselkach wokół środkowego ringu siedziało trzydziestu albo czterdziestu widzów, w większości policjantów po służbie albo reporterów; większość z nich paliła. Nad ringiem unosił się gęsty kłęb tytoniowego dymu, a blask reflektorów podsufitowych przydał oparowi żółtego, siarczanego odcienia. Wzrok wszystkich skierowany był na Blancharda i jego sparringpartnera, wszystkie okrzyki i brawa skierowane były pod jego adresem, ale dopóki nie będę naprawdę gotów uporać się ze starymi sprawami i spłacić stare długi, to wszystko nie miało większego znaczenia. - Jestem częścią tego wszystkiego. To jest to, czego chcę.

Kay pokręciła głową. - Rzuciłeś boks pięć lat temu. To już nie jest twoje życie.

Agresywność tej kobiety zaczęła mnie drażnić. Odparowałem: - Twój chłopak też ani trochę mnie nie prześciga, a zanim cię poznał, to ty byłaś dziewczyną gangstera. O ile wiem...

Kay Lake wybuchnęła śmiechem i skutecznie mnie uciszyła. - Czytałeś wycinki prasowe na mój temat?

- Nie. A ty czytałaś o mnie?

- Tak.

Nie miałem odpowiedniej riposty na jej szczerą odpowiedź. - To wiesz dlaczego Lee zerwał z boksem? Czemu wstąpił do policji?

- Chwywanie przestępców daje mu poczucie ładu i porządku. A ty masz dziewczynę?

- Szykuję się na randkę z Ritą Hayworth. Ty często flirtujesz z gliniarzami czy robisz dla mnie wyjątek?

Tłum widzów wydał gromki okrzyk radości. Spojrzałem w stronę ringu i stwierdziłem, że sparringpartner Lee Blancharda padł na deski. Johnny Vogel wspiął się na ring i wyjął powalonemu ochraniacz na szczękę. Leżący na deskach bokser wypłuł krew z ust. Kiedy odwróciłem się do Kay, zauważyłem, że bardzo pobladła i otuliła się szczelniej skórzaną kurtką. Powiedziałem: - Jutro wieczorem będzie znacznie gorzej. Powinnaś zostać w domu.

Kay wzdrygnęła się. - Nie. To wielka chwila dla Lee.

- Kazał ci przyjść?

- Nie. Nigdy by tego nie zrobił.

- Wrażliwiec, co nie?

Kay sięgnęła do kieszeni po papierosy i zapalki, po czym zapaliła jednego. - Tak. Jak ty, ale nie tak drażliwy.

Poczułem, że się czerwienię. - Zawsze stoicie za sobą murem? Na dobre i na złe, i w ogóle?

- Staramy się.

- Wobec tego czemu się nie pobierzecie? Życie w konkubinacie, na kocią łapę to wbrew regulaminowi, a jeśli przełożeni zechcą, mogą za to nabrudzić Lee w papierach i zablokować mu dalszą karierę.

Kay zaczęła wydumuchiwać kółka z dymu, w stronę podłogi, po czym uniosła wzrok i spojrzała na mnie. - Nie możemy tego zrobić.

- A to czemu? Mieszkacie ze sobą od lat. To dla ciebie zerwał z boksem. Pozwala ci flirtować z innymi facetami. Jak dla mnie to wymarzony układ.

Znów dały się słyszeć głośne okrzyki widzów. Zerkając w bok, spostrzegłem, jak Blanchard niemiłosiernie obija kolejnego sparringpartnera. Zacząłem odruchowo kontrolować jego uderzenia, chłoszcząc pięściami gęste od dymu powietrze. Po kilku sekundach zorientowałem się, co właściwie robię i przestałem. Kay pstryknęła niedopałek papierosa w stronę ringu i powiedziała: - Muszę już iść. Powodzenia, Dwight.

Tylko ojciec się tak do mnie zwracał. - Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Kay rzekła: - Ja i Lee nie spiamy ze sobą. - Po czym oddaliła się, nim zdołałem cokolwiek powiedzieć. Kompletnie otępiąły, w milczeniu odprowadziłem ją wzrokiem.

*

Zostałem w sali treningowej jeszcze przez prawie godzinę. Przed zmierzchem zaczęli schodzić się fotoreporterzy i dziennikarze, kierując się prosto w stronę środkowego ringu, Blancharda i jego niszczących nokautów, które serwował kolejnym sparringpartnerom o szczękach ze szkła. Wciąż miałem w pamięci ostatnie słowa Kay, jej promienną twarz i uśmiech, gdy uchylałem przed nią kapelusza. Kiedy usłyszałem, jak któryś z reporterów ryknął: - Hej, tam jest Bleichert! - dałem nogę i wybiegłem na parking, gdzie czekał mój dwukrotnie zastawiony chevrolet. Gdy ruszałem z miejsca, uświadomiłem sobie, że nie mam dokąd się udać i jedyne, czego pragnąłem, to zaspokoić moją ciekawość, jeżeli chodzi o kobietę, która była szczerą do bólu i kryła w sobie olbrzymie pokłady smutku. Dlatego też wybrałem się do centrum, aby poszperać w wycinkach prasowych. Pracownik z archiwum *Heralda*, na którym moja odznaka zrobiła spore wrażenie, poprowadził mnie do stołu. Powiedziałem mu, że interesuje mnie sprawa napadu na bank Boulevard-Citizens i proces schwytanego rabusia, dodając, że wydarzenie to miało miejsce na początku roku '39, a proces kilka miesięcy później, najprawdopodobniej jesienią. Zostawił mnie tam i wrócił po dziesięciu minutach z dwiema dużymi, oprawnymi w skórę albumami. Stronice z gazet były przyklejone do czarnych arkuszy kartonu, ułożone w porządku chronologicznym i musiałem przejrzeć wycinki z dni od 1 do 12 lutego, zanim znalazłem to, o co mi chodziło.

11 lutego 1939 czteroosobowy gang uprowadził na jednej z cichych, bocznych uliczek Hollywood opancerzoną furgonetkę. Wykorzystując w charakterze przynęty przewrócony motocykl, napastnicy obezwładnili strażnika, który wysiadł z furgonetki, by zbadać, co się stało. Przyłożywszy mu nóż do gardła zmusili dwóch innych konwojentów, znajdujących się w opancerzonym wozie, aby wpuścili ich do środka. Znalazłszy się wewnątrz, uspiłi trzech strażników chloroformem, związali ich, po czym zamienili sześć worków z pieniędzmi na worki zawierające żetony i pocięte książki telefoniczne.

Jeden z rabusiów udał się następnie opancerzoną ciężarówką do centrum Hollywood, podczas gdy trzej pozostali przebrali się w mundury identyczne jak te, które nosili konwojenci. Mundurowi weszli do banku Boulevard-Citizens przy Yucca i Ivar, dźwigając worki wypchane kawałkami papieru i żetonami, a dyrektor otworzył dla nich skarbiec. Jeden z rabusiów dał kierownikowi po głowie, a dwaj inni zgarnęli worki z pieniędzmi i skierowali się w stronę wyjścia.

Do tego czasu kierowca furgonetki wszedł do banku i sterroryzował kasjerów. Zagonił

ich do skarbcza, gdzie zostali pobici do nieprzytomności i zamknięci w środku. Wszyscy czterej rabusie wyszli już na ulicę, kiedy pod bank podjechał radiowóz z wydziału Hollywood, powiadomiony przez wewnętrzną linię alarmową z banku na komendę. Funkcjonariusze próbowali zatrzymać rabusiów; tamci zaczęli strzelać. Policjanci odpowiedzieli ogniem. Dwóch rabusiów zginęło na miejscu, dwóch uciekło, z czterema workami pełnymi nieoznakowanych banknotów pięćdziesięciu- i studolarowych.

Gdy nie natrafiłem na żadną wzmiankę o Blanchardzie czy Kay Lake, przejrzałem dwie pierwsze strony gazet z kolejnego tygodnia w poszukiwaniu informacji na temat śledztwa w sprawie napadu.

Zabitych rabusiów zidentyfikowano jako Chicka Geyera i Maxa Ottensa, dwóch szemranych osiłków z San Francisco bez znanych współników w Los Angeles. Naoczni świadkowie z banku nie zdołali zidentyfikować tych dwóch, którzy zbiegli, na podstawie zdjęć z kartoteki policyjnej, ani nawet podać ich opisu pamięciowego - obaj nosili czapki konwojentów, naciągnięte głęboko na głowę, a do tego okulary - lustrzanki. Na miejscu porwania furgonetki nie było żadnych świadków, a konwojenci zostali odurzeni chloroformem tak szybko, że nie zdążyli przyjrzeć się napastnikom. Kradzież została zepchnięta ze strony drugiej i trzeciej na dalsze, do rubryk, gdzie opisywano słynne skandale. Bevo Means pisał o tej sprawie przez trzy dni z rzędu, sugerując, że zbiegłych rabusiów ścigał gang Bugsy'ego Siegela, ponieważ w furgonetce znajdowały się pieniądze odebrane z należącego doń salonu galanterii męskiej, domniemanej pralni brudnych pieniędzy.

Siegel poprzysiągł, że odnajdzie sprawców, mimo iż dwaj rabusie zbiegli z pieniędzmi, które nie należały do niego, lecz do banku.

Treść artykułów Meansa miała coraz mniej wspólnego z interesującą mnie sprawą, a ja wertowałem kolejne strony, aż pod datą 28 lutego natknąłem się na krzykliwy nagłówek: „Cynk od eksboksera pomaga rozwikłać zagadkę krwawego napadu na bank!” W artykule znalazły się liczne pochwały pod adresem Ognia, ale faktów było jak na lekarstwo. Funkcjonariusz Leland C. Blanchard, lat 25, policjant z komendy głównej Los Angeles i były pięściarz „zasięgnął informacji” wśród swoich znajomych z boksterskiego światka i nie tylko, i dostał cynk, że za napadem na bank Boulevard-Citizens stał niejaki Robert „Bobby” De Witt. Blanchard przekazał tę informację śledczym z komendy głównej, którzy przeprowadzili nalot na dom De Witta w Venice Beach. Znaleziono tam spory zapas marihuany, mundury konwojentów oraz worki z banku Boulevard-Citizens. De Witt upierał się, że jest niewinny, ale został aresztowany i oskarżony o podwójny napad z bronią w ręku, postawiono mu też pięć zarzutów o napaść i naruszenie nietykalności cielesnej, jeden o kradzież pojazdu

mechanicznego i jeden o przechowywanie niedozwolonych substancji odurzających. Odmówiono mu wypuszczenia za kaucją - a ja wciąż nie napotkałem żadnej wzmianki o Kay Lake.

Znużony złodziejami i policjantami, wertowałem kolejne strony. De Witt, pochodzący z San Bernardino, mający na koncie trzy wyroki za czerpanie zysku z nierządu, uparcie zarzekał się, że został wrobiony przez gang Siegela albo policję: oskarżał gangsterów, bo zdarzało mu się działać jako alfons na terytorium Siegela, gliny zaś, dlatego że potrzebowali kozła ofiarnego w sprawie napadu na bank Boulevard-Citizens. Nie miał alibi na dzień, kiedy dokonano kradzieży, i powiedział, że nie zna Chicka Geyersa, Maxa Ottensa ani wciąż przebywającego na wolności czwartego sprawcy. Stał przed sądem, a ława przysięgłych nie dała wiary jego słowom. Został uznany winnym wszystkich postawionych mu zarzutów i zarobił dożywocie z minimum dychą w San Quentin. Kay pojawiła się w końcu 21 czerwca w artykule „Dziewczyna gangstera zakochana w policjancie! Czyżby powrót na dobrą drogę? A może to początek nowej drogi życia?”. Artykuł ozdobiony był zdjęciami Kay i Lee Blancharda, a także fotografią Bobby’ego De Witta, osobnika o zaciętej, kanciastej twarzy z włosami upomadowanymi na brylantynę. Na początku artykułu zrelacjonowano pokrótce napad na bank Boulevard-Citizens, udział Blancharda w rozwikłaniu całej tej zagadki, dalszy jego ciąg zaś brzmiał następująco:

...w czasie gdy dokonano napadu, De Witt udzielał schronienia młodej dziewczynie. Katherine Lake, lat 19, w 1936 roku przybyła na zachód z Sioux Falls, w Południowej Dakocie, nie szukała jednak szczęścia w Hollywood, lecz pragnęła się kształcić. Jej wykształcenie ograniczyło się jednak do bliższego zapoznania się z przestępczym półświatkiem.

- Zamieszkałam z Bobbym, bo nie miałam dokąd pójść - powiedziała „Kay” Lake reporterowi *Herald Express* Aggiemu Underwoodowi. - W kraju wciąż szalał Wielki Kryzys, nie było szans na zdobycie jakiegokolwiek pracy. Często spacerowałam w pobliżu tego okropnego pensjonatu, gdzie miałam swoje łóżko, i właśnie podczas jednej takiej przechadzki poznałam Bobby’ego. Wydzielił dla mnie osobny pokój w swoim domu i powiedział, że zapisze mnie na uniwersytet, jeśli tylko będę u niego sprzątać. Nie zrobił tego, ale dostałam od niego więcej, niż mogłam się spodziewać...

Kay sądziła, że Bobby De Witt jest muzykiem, ale tak naprawdę handlował on narkotykami i zajmował się stręczycielstwem. - Z początku był dla mnie miły - wyznała Kay. - A potem zaczął zmuszać mnie do picia laudanum i siedzenia całymi dniami w domu, abym

odbierała telefony. Potem było już tylko gorzej.

Kay Lake nie wyjaśniła, na czym polegało to „gorzej”, i nie zdziwiło jej, kiedy policja aresztowała De Witta za udział w krwawym napadzie z 11 lutego. Znalazła dla siebie pokój w pensjonacie dla dziewcząt w Culver City, a kiedy wezwano ją do sądu, aby złożyła zeznanie w sprawie De Witta, zrobiła to, mimo iż bardzo bała się swego byłego „dobroczyńcy”. - To był mój obowiązek - powiedziała. - I oczywiście na procesie poznałam Lee.

Lee Blanchard i Kay Lake zakochali się w sobie wzajemnie. - Kiedy tylko ją zobaczyłem, zrozumiałem, że to dziewczyna stworzona właśnie dla mnie - wyznał funkcjonariusz Blanchard reporterowi Bevo Meansowi. - Ma w sobie coś, co mnie pociąga, tę niezwykłą, ujmującą urodę. Życie jej nie pieściło, ale uczynię wszystko, aby jej los się odmienił.

W życiu Lee Blancharda także nie brakowało tragedii. Kiedy miał 14 lat, zaginęła bez śladu jego 9-letnia siostrzyczka. Jej los do dziś pozostaje nieznanym. - Myślę, że to dlatego zerwałem z boksem i zostałem policjantem - powiedział. - Chwywanie przestępców daje mi poczucie ładu i porządku.

I tak oto z tragedii zrodziła się historia miłosna. Ale jak się ona zakończy? Kay Lake odpowiada: - Teraz jestem szczęśliwa. A zważywszy na to, że opiekę roztoczył nad Kay sam wielki Lee Blanchard, wydaje się, że tak już pozostanie.

Zamknąłem album. Oprócz wzmianki o młodszej siostrze nie odnalazłem nic, co mogłoby mnie zdziwić. Ale równocześnie pomyślałem o kolejnych, błędnych posunięciach: Blanchardzie porzucającym obiecującą karierę pięściarską, dziewczynce, która najprawdopodobniej została zamordowana i porzucona gdzieś jak worek śmieci i Kay Lake zadającej się tak z przestępcami, jak i stróżami prawa. Nawet mając dziewiętnaście lat, wydawała się o wiele za sprytna, by mogła wypowiedzieć słowa, które Bevo Means włożył jej w usta. A widząc, w jak naiwny sposób próbował ją ukazać, poczułem narastającą wściekłość. Oddałem album pracownikowi archiwum i wyszedłem z gmachu Hearsta, zastanawiając się, czego właściwie szukałem, ale przede wszystkim mając świadomość, że treść przejranych przeze mnie wycinków z gazet przemawiała na korzyść Kay.

Jeździłem bez celu po mieście, dla zabicia czasu, chcąc zmęczyć się do tego stopnia, abym mógł pospać aż do późnego popołudnia, i wtedy to sobie uświadomiłem: kiedy już zapewnię ojcu godziwy byt i na dobre stracę szansę przeniesienia do egzekucyjnego, moją jedyną naprawdę interesującą perspektywę na przyszłość stanowili właśnie Kay Lake i Lee Blanchard; musiałem zatem poznać ich od podszewki, a nie tylko na podstawie relacji z

drugiej ręki, półprawd, plotek czy insynuacji.

Zatrzymałem się przy barze na Los Feliz i pochłonąłem wielki, soczysty stek ze szpinakiem i brązową fasolą, po czym pojechałem na Hollywood Boulevard i Strip. Żaden z tytułów filmów granych w tutejszych kinach nie zaciekał mnie, a kluby przy Sunset wydawały się zbyt snobistyczne dla takiego nieudacznika jak ja. Przy Doheny kończył się długi ciąg neonów, udałem się więc na wzgórze. Na Mulholland roilo się od zaczajonych na amatorów szybkiej jazdy gliniarzy z drogówki, toteż w drodze na plażę zachowywałem dozwoloną prędkość. W końcu zmęczyła mnie jazda zgodnie z przepisami i zjechałem na pobocze. Niebo nade mną było rozjaśnione przez reflektory kin z Westwood Village; patrzyłem, jak smugi światła przesuwały się, omiatając zwarte kłęby nisko wiszących chmur. Podążanie wzrokiem za światłem wywarło na mnie prawie hipnotyczny wpływ i wprawiło w stan lekkiego otępienia.auta mknące po Mulholland nie były w stanie odwrócić mojej uwagi, a kiedy światła wreszcie zgasły, spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że jest już po północy.

Przeciągnąwszy się, przeniósłem wzrok na nieliczne już domy, w których jeszcze paliło się światło, i pomyślałem o Kay Lake. Czytając między wierszami artykułów z gazety, ujrzałem ją, obsługującą Bobby'ego De Witta i jego kumpli, może nawet sprzedającą się dla niego, jak uzależniona od laudanum hausfrau stręczyciela. Była to prawdziwa, choć bolesna wizja, jakby między nami coś zaczęło iskrzyć. Ostatnie słowa Kay nabrały dla mnie innego, prawdziwego znaczenia, choć zastanawiałem się, jak to możliwe, aby Blanchard mógł mieszkać z nią pod jednym dachem, nie posiadłszy jej zupełnie.

Światła w domach gasły jedno po drugim i w końcu zostałem sam. Od wzgórz powiał chłodny wiatr; zadrzałem i uzyskałem odpowiedź, której tak pragnąłem.

Masz za sobą zwycięską walkę. Ociekasz potem, czujesz w ustach smak krwi, wydaje ci się, że możesz osiągnąć gwiazd, ale wciąż jeszcze ci się chce. Ci, co na tobie zarobili, podsunęli ci dziewczynę. Profesjonalistkę, półprofesjonalistkę, amatorkę, która także poznała smak własnej krwi. Robisz to w szatni, na tylnym siedzeniu, gdzie drętwieją ci nogi, a niekiedy nawet wybijasz stopami boczne szyby. Kiedy już potem wychodzisz na ulicę, gromadzą się wokół ciebie tłumy ludzi, którzy pragną cię dotknąć, i znów odnosisz wrażenie, że możesz osiągnąć gwiazd. To staje się częścią innej gry, jedenastą rundą dziesięciorundowego pojedynku. A kiedy powracasz do zwyczajnego życia, jest to uważane za słabość, stratę. Tak długo, jak znajdował się poza grą, Blanchard musiał o tym wiedzieć, musiał chcieć, by jego miłość do Kay nie została przez to naruszona.

Wsiadłem do samochodu i wróciłem do domu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek powiem Kay, że nie miałem kobiety, ponieważ seks miał dla mnie smak krwi, żywicy i

przemywanych szwów.

4.

Wyszliśmy z szatni równocześnie, na sygnał dzwonka. Otwarcie drzwi było dla mnie jak zastrzyk adrenaliny. Dwie godziny wcześniej przeżulem wielki stek, wysysając soki i wypływając mięso; czułem, że mój pot jest przesiąknięty wonią zwierzęcej krwi. Tańcząc na palcach, dotarłem do mojego narożnika, przedzierając się przez największy tłum kibiców, jaki kiedykolwiek widziałem.

Sala treningowa pękała w szwach, widzowie siedzieli ściśnięci na wąskich, drewnianych krzeselkach i trybunach. Wydawało się, że wszyscy krzyczą, a ci, co siedzieli najbliżej ringu, szarpali mnie za szlafrok i zachęcali, abym załatwił mego przeciwnika. Ringi boczne zdemontowano, a ten środkowy skąpany był w strugach gorącego, żółtego światła. Chwytając za środkową linę, wspiałem się na ring. Sędzia, stary wyga z nocnego patrolu, służący na komendzie głównej, rozmawiał z Jimmym Lennonem, który na ten wieczór został wypożyczony z Olympic, gdzie zapowiadał walki; przy ringu zauważyłem Stana Kentona, a obok niego Misty June Christy, Mickeya Cohena, burmistrza Bowrona, Raya Millanda i całą gromadę policyjnych grubych ryb, po cywilnemu. Kenton pomachał do mnie; zawołałem do niego: - Ruszam w rytmie! - Zaśmiał się, a ja wyszczerzyłem się do tłumu, który na widok moich wielkich zębów zareagował gromkim aplauzem. Ryk tłumu osiągnął crescendo; odwróciłem się i zobaczyłem, że na ring wszedł Blanchard.

Ogień ukłonił się w moją stronę; zasalutowałem mu serią szybkich, krótkich ciosów, Duane Fisk podprowadził mnie do stołka; zdjąłem szlafrok i oparłem się o narożnik, przerzucając ramiona przez górną linę. Blanchard przyjął podobną pozycję; nasze spojrzenia spotkały się. Jimmy Lennon gestem dłoni odesłał sędziego do neutralnego narożnika, a spod sklepienia, gdzie umieszczono reflektory, opuścił się mikrofon na długim przewodzie.

Lennon wziął mikrofon do ręki i zawołał, przekrzykując ryk tłumu:

- Panie i panowie, funkcjonariusze policji i sponsorzy wspierający stróżów prawa z LA, nadszedł czas na Tango Ognia i Lodu!

Tłum oszalał, ludzie zaczęli tupać i pohukiwać. Lennon zaczekał, aż wrzawa ucichnie, po czym zaintonował: - Dziś wieczorem czeka nas walka w wadze ciężkiej, do dziesięciu rund. W białym narożniku, w białych spodenkach policjant z Los Angeles mający na koncie czterdzieści trzy zwycięstwa, cztery porażki i dwa remisy. Panie i panowie, oto ważący

dwieście trzy i pół funta Wielki Lee Blanchard!

Blanchard zdjął szlafrok, ucałował rękawice i uklonił się w czterech kierunkach. Lennon odczekał, aż widzowie wyrażą swój podziw, i po chwili jeszcze donośniejszym głosem oznajmił: - A w narożniku czarnym, ważący sto dziewięćdziesiąt jeden funtów, policjant z Los Angeles, niepokonany i mający dotąd na koncie trzydzieści sześć kolejnych zwycięstw na zawodowych ringach, Zwinny Bucky Bleichert!

Chłonałem ostatnie chwile mojej sławy, zapamiętując twarze przy ringu i robiąc dobrą minę do złej gry. Nie zamierzałem dać mu po sobie poznać, że się wyłożę. Hałas w sali przycichł; wyszedłem na środek ringu. Blanchard również; sędzia powiedział coś, czego nie usłyszałem; Ogień i ja stuknęliśmy się rękawicami. Byłem piekielnie przerażony, gdy wróciłem do swego narożnika; Fisk włożył mi do ust ochraniacz na zęby. Zaraz potem zabrzmiał gong i zaczęła się walka. Blanchard zaatakował. Spotkałem się z nim pośrodku ringu, uderzając podwójnymi prostymi, na co Lee zareagował, kuląc się w sobie i lekko przechylając głowę z boku na bok. Ciosy chybiały celu, ale ja wciąż poruszałem się w lewo, nie próbując kontrować, w nadziei, że da się nabrać i nadzieje się na mój prawy prosty.

Jego pierwszy cios okazał się zamaszystym lewym hakiem na korpus. Zauważyłem ten ruch i skróciłem dystans, kontruując krótkim lewym krzyżowym na głowę. Hak Blancharda musnął moje plecy, to był jeden z najsilniejszych ciosów, jakie kiedykolwiek przyjąłem. Opuścił nisko prawą rękę, a ja wszedłem z krótkim, groźnym podbródkowym. Cios czysto dosięgnął celu, a kiedy Blanchard uniósł gardę, zaatakowałem kombinacją ciosów w klatkę piersiową. Wycofałem się, zanim zdążył mnie sklinczować albo samemu zaatakować na korpus - w sumie zarobiłem tylko jedno uderzenie w szyję. Ten cios z lewej wstrząsnął mną; wspiąłem się na palce i zacząłem krążyć wokół mego przeciwnika.

Blanchard szedł za mną, krok w krok. Trzymałem się na dystans, zasypując jego poruszającą się bez przerwy głowę gradem ciosów prostych, z których co drugi był celny, i upomniałem się, że powinienem bić nisko, aby nie pootwierały się zabliznione rany na jego brwiach. Blanchard tymczasem wyprostował się i zaatakował hakami na korpus. Mniej więcej po minucie udało mi się zsynchronizować moje krótkie ciosy proste z jego zmyłkami, i kiedy tylko poruszył głowę, skracałem dystans, dżgając krótkimi, prawymi hakami w żebra.

Tańczyłem, krążyłem i atakowałem całymi seriami. Blanchard tylko sunął za mną jak cień, wyczekując na okazję do zadania jednego, nokautującego ciosu. Runda się kończyła, a ja zdałem sobie sprawę, że w tym świetle i dymie nie widzę lin. Instynktownie obejrzałem się przez ramię. Gdy się odwróciłem, dostałem potężny cios w bok głowy.

Zatoczyłem się do białego narożnika; Blanchard rzucił się na mnie. Dudniło mi w

głowie, a w uszach huczało, jakby szalały w nich japońskie bombowce nurkujące. Uniosłem obie ręce, by osłonić twarz; Blanchard rąbnął w moją gardę hakami - lewy - prawy - zmuszając mnie, abym opuścił ręce. Zaczęło mi się przejaśniać w głowie i skoczyłem, a potem zamknąłem mego przeciwnika w iście niedźwiedzim uścisku, po czym wolnym, kołyszącym krokiem, przez cały czas się mocując, wyszliśmy znów na środek ringu. Wreszcie zainterweniował sędzia, komendą „Break!”, ale ja wciąż klinczowałem i musiał rozdzielić nas siłą.

Zacząłem się cofać, uczucie otępienia i dzwonienie w uszach ustało. Blanchard zbliżał się do mnie wolnym krokiem, z szeroko otwartą gardą. Zrobiłem zmyłkę lewą, a Wielki Lee dosłownie nadział się na mój prawy kontrujący. Blanchard usiadł na tyłku, na deskach ringu.

Nie wiem, kto był bardziej wstrząśnięty. Blanchard siedział z tępym wyrazem twarzy, podczas gdy sędzia rozpoczął liczenie. Przeszedłem do neutralnego narożnika. Blanchard podniósł się na nogi przy siedmiu i tym razem to ja zaatakowałem. Ogień stał niewzruszenie na miejscu, na szeroko rozstawionych nogach, gotów mnie zabić lub umrzeć. Byliśmy już niemal w zasięgu ciosu, kiedy sędzia wskazał pomiędzy nas i zawołał: - Gong! Gong!

Wróciłem do swego narożnika. Duane Fisk wyjął mi ochraniacz na szczękę i obmył mi twarz mokrym ręcznikiem; spojrzałem na widzów, wstali z miejsc i głośno wiwatowali. Ich twarze zdradzały to, o czym ja też już wiedziałem: że mogłem pokonać Blancharda i że nie sprawiłoby mi to większych trudności. Przez krótką chwilę jakbym tak słyszał chór głosów namawiający mnie, abym nie przegrał tej walki.

Fisk odwrócił mnie ku sobie, włożył mi do ust ochraniacz i zasyczał:

- Nie wdawaj się z nim w wymianę ciosów! Trzymaj się na dystans! Powstrzymuj go ciosami prostymi!

Rozległ się gong. Fisk zszedł z ringu; Blanchard zaatakował. Trzymał się teraz prosto i rzucił się na mnie z serią prostych ciosów, które jednak nie dosięgły celu, ponieważ zwinnie i szybko odskoczyłem w tył. Blanchard wciąż czekał na okazję do zadania potężnego prawego sierpowego i doskonale o tym wiedziałem. Miętko, na palcach cofnąłem się, zwiększając dystans pomiędzy nami i usiłując wejść w rytm, który mógłby sprawić, że Blanchard choć przez chwilę by się odsłonił.

Większość moich ciosów dosięgła celu; Blanchard wciąż napierał. Rąbnąłem go prawym hakiem w żebra; odpowiedział kontrą z prawej. Skróciwszy dystans obaj zadawaliśmy sobie wzajemnie ciosy w korpus, z obu rąk; jako że z tak bliskiej odległości nie było mowy o wzięciu silniejszego zamachu, uderzenia te były dość lekkie i słabe, a Blanchard opuścił głowę nisko, niemal dotykał brodą obojczyka, najwyraźniej z obawy przez moimi

ciosami podbródkowymi.

Walcząc w półdystansie, zadawaliśmy sobie nawzajem tylko lekkie uderzenia w ramiona i barki. Czułem moc ciosów Blancharda - był ode mnie silniejszy, ale nie próbowałem się cofnąć, chciałem zadać mu ból, nim powrócę do dawnego stylu walki. Zamierzałem dać mu jasno do zrozumienia, że z nas dwóch, to ja jestem tym bystrzejszym pięściarzem.

W trakcie wymiany ciosów Blanchard zrobił nagle krok w tył i rąbnął mnie z całej siły lewym prostym w żołądek. Zabolało i natychmiast się cofnąłem, gotów znów ruszyć do tańca. Poczulem, że dotykam lin, i uniosłem gardę, ale zanim zdążyłem uskoczyć w bok, poza zasięg ciosu, lewy hak Blancharda dosięgnął mojej szczęki. Odbiłem się od lin i padłem na kolana, na matę. Fale pulsującego bólu przenikały całą moją głowę, od podbródka aż po mózg; jak przez mgłę ujrzałem sędziego powstrzymującego rozjuszonego Blancharda i odwołującego go do neutralnego narożnika. Podniosłem się na jedno kolano, schwyciłem za dolną linę i nagle straciłem równowagę, a potem klapnąłem na brzuch. Blanchard stanął w neutralnym narożniku; widziałem go kątem oka, ale odzyskałem już ostrość widzenia. Zaczęłem głęboko oddychać, nowy zapas powietrza przyćmił ból w mojej głowie. Sędzia wrócił i zaczął liczenie; przy sześciu spróbowałem się podnieść. Kolana lekko się pode mną ugięły, ale udało mi się stanąć prosto. Blanchard przesyłał całusy do swoich wielbicieli, a ja zacząłem hiperwentylować tak zawzięcie, że niemal wypadł mi ochraniacz na szczękę. Przy ośmiu sędzia wytarł moje rękawice o swoją koszulkę i przywołał Blancharda, aby wznowić walkę. Z wściekłości byłem bliski utraty panowania nad sobą, jak upokorzone dziecko. Blanchard ruszył na mnie rozluźniony, nawet nie zacisnął pięści, jakbym nie był tego wart. Wyszedłem mu na spotkanie i gdy tylko znalazł się w zasięgu ciosu, zaatakowałem ciosem prostym. Blanchard uniknął go z łatwością - na co skądinąd liczyłem. Zamachnął się, by dosięgnąć mnie prawym sierpowym, i kiedy odchylił rękę do tyłu, uderzyłem z kontry, trafiając go prawym prostym w nos. Głowa odskoczyła mu do tyłu; poszedłem za ciosem i rąbnąłem go lewym hakiem w korpus. Ogień opuścił gardę; zadałem mu jeszcze krótki cios podbródkowy. Gong zabrzmiał, gdy mój przeciwnik zatoczył się na liny.

Tłum zaczął skandować „Buc-kee! Buc-kee! Buc-kee!”, gdy podchodziłem do swego narożnika. Wyplułem ochraniacz i zacząłem ciężko chwytać powietrze; powiodłem wzrokiem po twarzach kibiców i zrozumiałem, że mam gdzieś obstawione zakłady, że załatwię Blancharda bez mydła i wyciągnę z egzekucyjnego dla siebie tyle, ile zdołam, a potem za te pieniądze umieszczę ojca w domu opieki i będę odcinał kupony z własnej sławy. Duane Fisk zawołał: - Wal go! Lej, ile wlezie! - Policyjni sędziowie ringowi uśmiechnęli się do mnie; w

odpowiedzi wyszczerzyłem do nich moje słynne, końskie zęby. Fisk przyłożył mi do ust butelkę z wodą. Napilem się, przepłukałem usta i wyplułem wodę do wiaderka. Fisk przełamał mi pod nosem kapsułkę z amoniakiem, włożył mi ochraniacz na szczękę i w tej samej chwili zabrzmiał gong.

Teraz trzeba było działać ostrożnie, a to akurat było moją specjalnością.

Przez kolejne cztery rundy tańczyłem, wykonywałem zwody i uderzałem z półdystansu, wykorzystując w pełni przewagę wynikającą z większego zasięgu ramion - nie pozwoliłem ani razu, by Blanchard zamknął mnie w klinczu albo osaczył przy linach. Teraz skoncentrowałem się już tylko na jednym celu - jego pokiereszowanych brwiach - i zacząłem zadawać szybkie jak błyskawica ciosy z prawej i z lewej ręki na przemian. Jeżeli cios dochodził celu i Blanchard odruchowo unosił ręce, skracałem dystans i uderzałem prawym hakiem na żołądek. Blanchard kontrował jeden na dwa moje ciosy, ale po każdym z nich uginały się pode mną nogi i wydawałem z siebie zduszone sapnięcie bólu. Pod koniec szóstej rundy brwi Blancharda ociekały krwią, a moje boki od pasa aż po zebra były mocno poobijane. Obaj traciliśmy siły. Runda siódma przypominała wojnę pozycyjną pomiędzy dwoma mocno już wyczerpanymi wojownikami. Próbowałem utrzymywać dystans i tylko żądlić przeciwnika ciosami prostymi; Blanchard trzymał rękawice wysoko, by ocierać krew z oczu i chronić łuki brwiowe przed jeszcze większym rozbiciem. Za każdym razem gdy przyskakiwałem, wymierzając jeden po drugim dwa ciosy na gardę i żołądek, odpowiadał bolesną reprimendą w splot słoneczny.

Pojedynek zamienił się w wojnę na wyniszczenie. Czekaając na rozpoczęcie ósmej rundy, spostrzegłem, że sińce na moich bokach nabiegają krwią. Okrzyki „Buc-kee! Buc-kee!” raziły moje uszy. Po drugiej stronie ringu trener Blancharda przecierał jego brwi laseczką do tamowania krwi i przyklejał zwieszającą się luźno rozdartą skórę małymi kawałkami plastra. Usiadłem na stołku i pozwoliłem, by Duane Fisk podał mi wodę i rozmasował mi ramiona; przez całe sześćdziesiąt sekund wpatrywałem się w mego przeciwnika, wyobrażając go sobie jako steranego życiem starca, aby wykrzesać z siebie dość sił do przeboksowania pozostałych dziewięciu minut.

Zabrzmiał gong. Na trzęsących się nogach wyszedłem na środek ringu. Blanchard nisko pochylony rzucił się na mnie. Jemu też drżały nogi, a trener skutecznie poradził sobie z uszkodzonymi łukami brwiowymi.

Zadałem niepewny, słaby cios. Blanchard przyjął go na rękawice i parł dalej, zbijając moją rękę w bok. Nogi miałem tak zmęczone, że nie byłem w stanie wycofać się na bezpieczną odległość. Poczulem, że sznurówki przy rękawicy rozdzierają mu brew, dostałem

silny cios w brzuch i zgiąłem się wpół, dokładnie w tej samej chwili, gdy twarz Blancharda zalała się krwią. Nogi ugięły się pode mną; wyplułem ochraniacz na szczękę, zatoczyłem się w tył i rąbnąłem plecami o liny. W moją stronę jak pocisk mknęła przyobleczone w skórzaną rękawicę, prawa pięść. Wyglądała, jakby leciała w moją stronę, pokonując odległość dziesiątków i setek mil i wiedziałem, że zdążę skontrować to uderzenie. Włożyłem całą nienawiść w mój własny prawy prosty i zadałem go, mierząc w zakrwawiony cel, znajdujący się dokładnie na wprost mnie. Poczułem charakterystyczne chrupnięcie gruchotanej chrząstki nosa, a potem wszystko spowiła czerń i gorąca żółć. Spojrzałem w górę, w oślepiające światło reflektora i poczułem, że ktoś mnie podnosi; Duane Fisk i Jimmy Lennon pojawili się nagle obok mnie, trzymając za ręce. Splunąłem krwią i wycodziłem jedno słowo: - Wygrałem; - Nie dziś, chłopcze - odparł Lennon. - Przegrałeś w ósmej rundzie, przez nokaut.

Kiedy to wszystko do mnie dotarło, roześmiałem się i uwolniłem ręce. Ostatnia myśl, jaka zaświtała mi w głowie, nim straciłem przytomność, brzmiała, że oto wreszcie raz na zawsze skutecznie uwolniłem się od ojca.

*

Otrzymałem dziesięciodniowy urlop, na wyraźne żądanie lekarza, który zbadał mnie po walce. Miałem poobijane żebra, szczękę spuchniętą tak, że była dwa razy większa niż zwykle, a po jednym z przyjętych ciosów obluzowało mi się aż sześć zębów. Lekarz powiedział mi później, że Blanchard miał złamany nos, a na rozcięte łuki brwiowe założono mu aż dwadzieścia sześć szwów. Jeżeli chodzi o kontuzje, jakie obaj odnieśliśmy, był remis.

Pete Lukins odebrał moją wygraną, po czym wspólnie zaczęliśmy sprawdzać domy spokojnej starości, aż w końcu znaleźliśmy jeden, który wydawał się całkiem odpowiedni, King David Villa, znajdujący się o przecznicy od Miracle Mile. Za dwa tysiące rocznie, plus pięćdziesiąt dolców pobranych co miesiąc z zasiłku, mój ojciec będzie mieć tam własny pokój i sporo „zajęć grupowych”. Większość pensjonariuszy było Żydami i w głębi duszy cieszyłem się, że ten szalony Szwab spędzi resztę życia w obozie wroga. Pete i ja ulokowaliśmy go tam; kiedy odjeżdżaliśmy, ojciec wdał się w zażartą dyskusję z przełożoną pielęgniarek i łypał lubieżnym okiem na kolorową dziewczynę, ścielącą mu łóżko. Później przez parę dni nie wychodziłem z domu, czytałem tylko i słuchałem jazzu w radio, zjadając się zupą i lodami, jedynymi rzeczami, które mogłem swobodnie spożywać. Byłem zadowolony, bo uważałem, że dałem z siebie wszystko - i przez chwilę byłem nawet bliski wygranej. Tak czy owak, osiągnąłem swój cel.

Telefon dzwonił bez przerwy; ponieważ wiedziałem, że muszą to być dziennikarze albo gliny pragnący przekazać mi wyrazy współczucia z powodu przegranej walki, ani razu

nie podniosłem słuchawki. Nie oglądałem wiadomości sportowych ani nie czytałem gazet. Chciałem gładko i bezboleśnie pożegnać się z opinią lokalnej sławy i jedynym na to skutecznym sposobem było kompletne odcięcie się od świata.

Moje obrażenia goiły się szybko i po tygodniu miałem szczerą chęć wrócić na służbę. Popołudnia spędzałem na tylnych schodach za domem, patrząc, jak kot właścicieli poluje na ptaki. Chico łypał właśnie głodnym wzrokiem na siedzącą opodal sójkę, gdy usłyszałem drżący, niepewny głos: - Jeszcze cię to nie znudziło?

Opuściłem wzrok. Lee Blanchard stał u podnóża schodów. Jego łuki brwiowe roiły się od świeżo założonych szwów, nos był spłaszczony i fioletowy. Zaśmiałem się i powiedziałem: - Jak dotąd nie, ale już mało mi brakuje.

Blanchard zatknął kciuki za pas. - Chcesz pracować w Egzekucyjnym?

- Co takiego?

- Słyszałeś. Kapitan Harwell dzwonił, aby samemu cię o to zapytać, ale ty całkiem odseparowałeś się od świata.

Przeszedł mnie dreszcz. - Przecież ja przegrałem. A Ellis Loew powiedział...

- Chrzanić to, co powiedział. Nie czytasz gazet? Wczoraj przegłosowano sprawę emisji obligacji, prawdopodobnie dlatego, że zgotowaliśmy wyborcom naprawdę niezłe widowisko. Horrall powiedział Loewowi, że Johnny Vogel odpada i że chce tylko ciebie. To jak, chcesz tę robotę?

Zszedłem po schodach i wyciągnąłem rękę. Blanchard uścisnął ją i mrugnął do mnie.

I tak właśnie zostaliśmy partnerami.

5.

Wydział egzekucyjny mieścił się na piątym piętrze gmachu komendy głównej policji, pomiędzy wydziałem zabójstw a wydziałem karnym biura prokuratora okręgowego - pomieszczenie podzielono przepierzeniami tworzącymi nieduży kantorek i ustawiono w nim naprzeciw siebie dwa biurka, dwie szafki, pękające w szwach od akt, a na szybie przylepiono mapę hrabstwa Los Angeles. Na drzwiach z mleczną szybą pośrodku widniały litery układające się w napis: Zastępca Prokuratora Okręgowego Ellis Loew. Drzwi te oddzielały kantorek od gabinetu szefa wydziału egzekucyjnego i prokuratora okręgowego Burtona Fittsa - jego przełożonego; nic jednak nie oddzielało go od pomieszczeń dla gliniarzy z wydziału zabójstw, równie dużej sali z rzędami biurek i korkowymi tablicami na ścianach, gdzie

wieszano raporty z dochodzeń, listy gończe i rozmaite okólniki. Na bardziej poobijanym z dwóch biurków stała tabliczka z napisem: sierżant L.C. Blanchard. Biurko naprzeciw niego musiało należeć do mnie, toteż osunąłem się na fotel, wyobrażając sobie drewnianą tabliczkę z napisem: posterunkowy D.W. Bleichert, na biurku, obok telefonów.

Byłem sam na całym piątym piętrze. Właśnie wybiła siódma rano i postanowiłem zjawić się pierwszego dnia w nowej pracy możliwie jak najwcześniej, aby mój debiut wypadł jak najkorzystniej. Kapitan Harwell zadzwonił, by poinformować mnie, że zaczynam pracę od 9 rano w poniedziałek 17 listopada i że dzień powinienem rozpocząć od przejrzenia raportu na temat przestępstw z minionego tygodnia, co należało do obowiązków wszystkich pracowników policji Los Angeles i wydziału karnego biura prokuratora okręgowego. Lee Blanchard i Ellis Loew stopniowo wprowadzą mnie w tajniki nowej pracy, potem zaś czekało mnie już tylko poszukiwanie zbiegłych i ukrywających się przestępców.

Na piątym piętrze mieściły się same elitarne wydziały: zabójstw, obyczajówka, napaści i włamań, oraz egzekucyjny i główny wydział śledczy. To była domena prawdziwych specjalistów, gliniarzy mających koneksje polityczne i otwartą karierę przed sobą. Od teraz to było także moje miejsce. Miałem na sobie najlepszą wiatrówkę i płócienne spodnie, a mój służbowy rewolwer tkwił w nowiutkiej kaburze podramiennej. Wszyscy pracownicy służb policyjnych mieli u mnie dług za przeforsowanie ośmioprocentowej podwyżki płac, w połączeniu z emisją obligacji. Dopiero się rozgrzewałem. Byłem gotowy na wszystko.

Oprócz powrotu do ostatniej walki. O 7:40 na wydziale zaroilo się od policjantów skarżących się na kaca i ogólnie nie lubiących poniedziałku, a ja, Bucky Bleichert, nowy, już tam na nich czekałem. Siedziałem w swoim kantorku, dopóki nie usłyszałem, że wychodzą na korytarz. Kiedy w sali zapadła cisza, podszedłem do drzwi z napisem: Sala Odpraw. Kiedy je otworzyłem, powitała mnie owacja na stojąco.

To była owacja w wojskowym stylu, około czterdziestu gliniarzy po cywilnemu stało przy swoich krzesłach, klaszcząc unisono. Spojrzawszy przed siebie, zobaczyłem tablicę z napisem wykonanym kredą: 8%!!! Lee Blanchard stał przy tablicy, a obok niego blady, otyły mężczyzna roztaczający wokół siebie aurę wyższości. Musiał być jakąś szychą. Przeniósłem wzrok na Blancharda. Uśmiechnął się, a tłuścioch podszedł do pulpitu i uderzył weń kłykciami. Oklaski ucichły; funkcjonariusze zajęli miejsca. Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem; grubas po raz ostatni zastukał kostkami w pulpit.

- Posterunkowy Bleichert, funkcjonariusze komendy głównej, wydziału zabójstw, napadów i włamań, obyczajówki itd. - powiedział - znasz już sierżanta Blancharda i pana Loewa. Ja jestem kapitan Jack Tierney. Ty i Blanchard jesteście w obecnej chwili

najsłynniejszymi białymi, to wasze pięć minut, mam zatem nadzieję, że nacieszyliście się tą owacją, bo następną usłyszycie dopiero przy okazji przejścia na emeryturę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Tierney znów uderzył kłykciami w pulpit i rzekł do mikrofonu: - Dość tych bzdur. Ta odprawa ma na celu zrelacjonowanie przestępstw, jakie miały miejsce do 14 listopada 1946. Słuchajcie uważnie, choć wiem, że to może wydawać się nudne.

Po pierwsze sprawa trzech napadów na sklepy monopolowe w nocy 10, 12 i 13 listopada; wszystkich dokonano w obrębie dziesięciu przecznicy przy Jefferson, w dzielnicy uniwersyteckiej. Dwóch białych nastolatków z obrzynkami i majchrami, najprawdopodobniej ćpuny. Gliny z posterunku University nie mają żadnego tropu, a szef tamtejszego wydziału chce, aby sprawą zajął się zespół od napadów i włamań. Poruczniku Ruley, spotkamy się w tej sprawie dziś o 9.00 w moim gabinecie, niech pańscy ludzie skontaktują się ze swoimi informatorami, naćpani po uszy rabusie nie wróżą nic dobrego.

Kierując się dalej na wschód, mamy prostytutki pracujące na własną rękę w barach i restauracjach w Chinatown. Obsługują swoich klientów w zaparkowanych samochodach, a tym samym panienki od Mickeya Cohena działające w tamtej okolicy zarabiają coraz mniej. Sprawa jest w sumie dość błaha, ale Mickeyowi C. taki układ się nie podoba, Chińczykom zresztą też nie, bo dziewczynki Mickeya mają mety przy Alameda, w hotelikach, które należą do Chińczyków. Prędzej czy później poleje się krew, pragnę więc, aby właściciele barów i restauracji z waszą pomocą zrozumieli, że popełniają spory błąd, a każda dziwka z Chinatown, jaka wpadnie wam w ręce, ma trafić za kratki na 48 godzin. Kapitan Harwell wyznaczył tuzin policjantów z nocnego dyżuru do przeprowadzenia nalotów w tym tygodniu, a ja chciałbym jeszcze, abyście przejrzyli akta wszystkich prostytutek znajdujące się w archiwum obyczajówki i wydobyli z nich zdjęcia oraz teczki niezależnych dziwek, jakie pracują w naszym rewirze. Niech zajmie się tym dwóch policjantów z komendy głównej, pod nadzorem oficera obyczajówki. Poruczniku Pringle, proszę przyjść do mnie o 9.15.

Tierney przerwał i przeciągnął się; rozejrzałem się po sali i zauważyłem, że większość policjantów zapisuje coś w swoich notesach. Skląłem sam siebie w duchu, że nie miałem swojego, gdy nagle kapitan uderzył otwartymi dłońmi w pulpit. - Jest pewna sprawa, której zamknięcie niezmiernie by mnie uradowało. Mam tu na myśli włamania do domów na Bunker Hill, nad którymi pracują sierżanci Vogel i Koenig. Fritzie, Bill, czytaliście okólniki na ten temat?

Dwaj mężczyźni siedzący o kilka krzeseł ode mnie zawołali: „Nie, panie kapitanie” i „Nie, sir”.

Przyjrzałem się jednemu z nich, starszemu; z profilu wypisz, wymaluj Gruby Johnny Vogel, tyle że grubszy.

Tierney rzekł: - Sugeruję, abyście zapoznali się z nim zaraz po odprawie. Dla wiadomości osób nie zaznajomionych bliżej z tą sprawą, chłopcy od daktyloskopii odnaleźli na miejscu ostatniego włamania odciski palców; przy kredensie ze srebrami. Odciski należały do mężczyzny rasy białej, nazwiskiem Coleman Walter Maynard, lat 31, mającego na koncie dwa wyroki pod zarzutem sodomii. To znany policji pedofil-degenerat. W wydziale zwolnień warunkowych nic na niego nie mają. Gość mieszkał w przytułku przy Czternastej i Bonnie Brae, ale wziął nogi za pas, kiedy zaczęły się te kradzieże. W Highland Park mają cztery nie rozwiązane przypadki sodomii, wszystkie dotyczą małych chłopców w wieku około 8 lat. Może to robota Maynarda, a może nie, ale biorąc pod uwagę te gwałty i włamania z wtargnięciem, moglibyśmy go przymknąć i odesłać do San Quentin. Fritzie, Bill, nad czym jeszcze pracujecie?

Bill Koenig pochylił się nad swoim notesem; Fritz Vogel odchrząknął i rzekł: - Przeczesywaliśmy ostatnio hotele w śródmieściu. Przyskrzyniliśmy paru złodziei kluczy i kieszonkowców.

Tierney postukał w pulpit kłykciami. - Fritzie, czy tymi złodziejami kluczy okazali się Jerry Katzenbach i Mike Purdy?

Vogel poruszył się na krześle. - Tak, sir.

- Fritzie, czy oni zakapowali na siebie nawzajem?

- N-no... tak, sir.

Tierney uniósł wzrok ku niebu. - Pozwólcie, że oświecę tych z was, którzy nie słyszeli o Jerrym i Mike'u. To homoseksualiści, mieszkają u matki Jerry'ego, w przytulnym, małym gniazdku w Eagle Rock. Sypiąją ze sobą, odkąd Bóg był jeszcze niemowlęciem, ale od czasu do czasu, gdy się o coś poprzytykają, mają ochotę na świeże mięsko zza kratki i jeden donosi na drugiego. Potem ten drugi odwzajemnia się swemu kumplowi tym samym i obaj trafiają do więzienia stanowego. Kiedy są w pace, zabawiają się z tamtejszymi lalami i donoszą na członków rozmaitych gangów, za co zyskują zwykle skrócenie wyroku. Ta sytuacja trwa od czasu, kiedy Mae West była jeszcze dziewczicą. Fritzie, nad czym jeszcze pracujecie?

W całej sali rozległ się zduszony śmiech. Bill Koenig zaczął się podnosić i odwracać głowę, aby sprawdzić, komu było tak wesoło. Fritz Vogel pociągnął go za rękaw marynarki, po czym rzekł: - Sir, wykonywaliśmy też pewną pracę dla pana Loewa. Musieliśmy sprowadzić dla niego świadka.

Blade oblicze Tierneya zaczęło przybierać czerwonawy odcień. - Fritzie, to ja, a nie

pan Loew jestem szefem wydziału śledczego. Dla pana Loewa pracują sierżant Blanchard i funkcjonariusz Bleichert, nie ty i sierżant Koenig. Rzuć więc to, co robisz dla pana Loewa, daj spokój kieszonkowcom i zgarnij Colemana Waltera Maynarda, nim zgwałci kolejnych małych chłopców, bardzo cię proszę. Na tablicy znajdziesz listę wszystkich jego znanych wspólników i sugeruję, aby wszyscy się z nią zapoznali. Maynardowi usuwa się grunt spod nóg i kto wie, może zaszył się u któregoś ze starych kumpli.

Zauważyłem, że Lee Blanchard wychodzi bocznym wyjściem z sali odpraw. Tierney przejrzał plik papierów na pulpicie i powiedział: - Jest jeszcze coś, o czym zdaniem szefa Greena powinniście wiedzieć. Od trzech tygodni ktoś podrzuca zmasakrowane ciała zabitych kotów na cmentarze w Santa Monica i Gower. Komenda w Hollywood ma już na ten temat z pół tuzina raportów. Porucznik Davis z komendy przy Siedemdziesiątej Siódmej uważa, że to wizytówka któregoś z młodocianych czarnych gangów. Większość ciał kotów podrzucano w czwartkowe noce, a we czwartki do późna czynny jest tor wrotkarski, więc może jest to jakoś powiązane. Popytajcie tu i tam, przyciśnijcie informatorów, a jeżeli dowiecie się czegoś konkretnego, zgłóście to do sierżanta Hollandera z Hollywood. A teraz wydział zabójstw. Russ?

Wysoki, siwowłosy mężczyzna w nieskazitelnym, dwurzędowym garniturze zajął miejsce przy pulpicie; kapitan Jack klapnął na jedno z wolnych krzeseł. Wysoki mężczyzna dystyngowanym zachowaniem przywołał raczej na myśl sędziego albo rzutkiego adwokata niż glinę; kojarzył mi się z wygadany pastorem luterańskim, który przyjaźnił się z moim ojcem, do czasu gdy członkostwo w Bundzie nie zostało uznane za działalność politycznie podejrzaną, żeby nie powiedzieć wywrotową. Funkcjonariusz siedzący obok mnie wyszeptał: - Porucznik Millard. Numer dwa w wydziale zabójstw, ale faktycznie szef. Gładki jak aksamit.

Pokiwałem głową. I słuchałem, jak porucznik z wyraźnie aksamitnym głosem mówi:

- ...kroner stwierdził, że przypadek Russo-Nickerson to morderstwo i samobójstwo. Biuro zajmuje się sprawą potrącenia ze skutkiem śmiertelnym i ucieczki z miejsca wypadku przy Pico i Fuguroa z 10/11; udało się nam odnaleźć pojazd, kabriolet la salle, rocznik '39, porzucony. Jest zarejestrowany na Meksykanina nazwiskiem Luis Cruz, lat 42, zamieszkały przy Alta Lorna Vista 1349 w South Pasadena. Cruz już dwa razy odsiadywał w Folsom za kradzież z rozbojem. Gość jakby się zapadł pod ziemię, a jego żona twierdzi, że la salle został skradziony we wrześniu. Mówi mi, że to sprawka kuzyna Cruza, Armando Villareala, lat 39, który także zaginął. Harry Sears i ja zajęliśmy się tą sprawą i znaleźliśmy naocznych świadków, twierdzących, że w samochodzie znajdowało się dwóch Meksykanów. Masz coś

jeszcze, Harry?

Niski, krępy, z wyglądu zaniedbany mężczyzna odwrócił się i zlustrował wzrokiem wnętrze sali. Przełknął ślinę kilka razy, po czym wykrztusił: - Ż-ż-żona Cruza g-g-gzi się z k-k-kuzynem. N-n-nie b-b-było zgłoszenia o k-k-kradzieży auta, a sąsiedzi mówią, że żona chce d-d-doprowadzić, aby k-k-kuzynowi cofnęli zwolnienie w-w-warunkowe, aby C-C-Cruz się o nich nie dowiedział.

Harry Sears usiadł gwałtownie. Millard uśmiechnął się do niego i rzekł: - Dzięki, partnerze. Panowie, Cruz i Villareal są odtąd uznawani za przestępców, którzy złamali przepisy zwolnienia warunkowego i należy ich traktować jak poszukiwanych zbiegów. Wystosowano już za nimi listy gończe. Jak wiemy, obaj mężczyźni za kołnierz nie wylewają. Jako prowadzący po pijanemu i uciekający z miejsca wypadku stanowią zagrożenie, którego nie wolno nam lekceważyć. Dorwiemy ich jak najszybciej. To tyle, kapitanie...

Tierney wstał i zawołał: - Rozejść się!

Wokół mnie zaroilo się od policjantów, ściskających moją dłoń, poklepujących po ramionach i drapiących żartobliwie pod brodą. Znosiłem to dzielnie, aż sala odpraw opustoszała i podszedł do mnie Ellis Loew, bawiący się kluczykiem bractwa Phi Beta Kappa zwieszającym się z dewizki przy jego kamizelce.

- Nie powinieneś być iść z nim na wymianę ciosów - powiedział, obracając kluczyk w palcach. - Na wszystkich trzech kartach punktowych miałeś wygraną w kieszeni.

Spojrzałem prokuratorowi prosto w oczy. - Sprawa obligacji została jednak przeforsowana, panie Loew.

- Owszem, tak. Ale niektórzy z twoich przełożonych stracili trochę grosza. Tu, gdzie jesteś obecnie, musisz wykazać się większym sprytem i bystrością umysłu. Nie strać tej okazji, nie sfuszeruj, tak jak to zrobiłeś ze swoją ostatnią walką...

- Jesteś gotowy, twarzowcu?

Głos Blancharda ocalił mnie z opresji. Ruszyłem w stronę mego partnera, zanim zdążyłem powiedzieć coś, co na zawsze mogłoby przekreślić moją rozwijającą się dopiero, obiecującą karierę.

*

Pojechaliśmy na południe cywilnym wozem Blancharda - fordem coupe, rocznik '40 z nielegalnym radiem pod deską rozdzielczą. Lee gadał o pracy, podczas gdy ja lustrowałem wzrokiem ulicę LA.

- ...zwykle ścigamy najbardziej poszukiwanych zbiegów, ale czasem uganiamy się za ważnymi świadkami dla Loewa. Niezbyt często, bo zwykle takie sprawy załatwia dla niego

Fritzie Vogel z Billem Koenigiem w charakterze mięśniaka. Oni obaj to frajerzy. Tak czy owak miewamy czasem przestoje, a wtedy powinniśmy udać się na inspekcję do innych komend i przejrzeć nakazy egzekucyjne z sądów regionalnych. Na każdym posterunku policji w LA jest dwóch pracowników egzekucyjnego, ale przez większość czasu uganiają się oni za jakimiś bzdurami w rodzaju chwywania ludzi, na których złożono donos, i musimy im pomóc. Niekiedy, tak jak dziś, można usłyszeć coś ciekawego podczas odprawy albo przeczytać o czymś interesującym na tablicy ogłoszeń. Jeśli naprawdę jest posucha, możesz roznosić nakazy sądowe dla tych nigusów z Departamentu 92. Trzy dolce od każdego pliku, nędza. Lepiej się wychodzi u komorników. Mam listę delikwentów z H. J. Caruso Dodge i Yeakel Brothers Olds, same zimne czarnuchy, agenci od kredytów boją się tknąć ich choćby palcem. Jakies pytania, partnerze?

Już miałem zapytać: „Dlaczego nie bzykasz Kay Lake?” albo „A skoro już o niej mowa, jaka jest jej historia?” - ale zmitygowałem się.

- Tak. Czemu rzuciłeś boks i wstąpiłeś do policji? I nie mów mi, że to z powodu zniknięcia twojej młodszej siostry, ani że chwywanie przestępców daje ci poczucie ładu i porządku. Słyszałem to już dwa razy i jakoś tego nie kupuję.

Lee patrzył na drogę. - Masz może siostrę? Młodsze rodzeństwo, które naprawdę kochasz?

Pokręciłem głową. - Cała moja rodzina nie żyje.

- Podobnie jak Laurie. Doszedłem do tego, gdy skończyłem piętnaście lat. Mama i tato wydawali kupę forsy na ulotki i detektywów, ale ja wiedziałem, że ktoś musiał ją zabić. Wyobrażałem ją sobie, jak dorasta: królową balu maturalnego, świadectwo z czerwonym paskiem, same szóstki, jej własną rodzinę. To bolało jak cholera, więc zacząłem wyobrażać sobie jej błędy i potknięcia. No wiesz, postrzegałem ją jako nieudacznicę. I rozpustną babę. To było dość pocieszające, ale miałem wrażenie, jakbym brukał jej pamięć.

- Wybacz, naprawdę mi przykro - powiedziałem.

Lee lekko szturchnął mnie łokciem. - Daj spokój. Przecież masz rację. Rzuciłem boks i wstąpiłem do policji, ponieważ Benny Siegel zaczął na mnie nagonkę. Wykupił mój kontrakt, przepędził mojego menadżera i obiecał mi pojedynek z samym Joe Louisem, jak tylko dwa razy się podłożę. Powiedziałem - nie, i zostałem gliną, bo chłopcy z żydowskiego syndykatu mają zasadę, że nie zabijają policjantów. Bałem się jak jasna cholera, że on jednak mimo wszystko mnie kropnie, toteż kiedy usłyszałem, że sprawcy napadu na bank Boulevard-Citizens zgarnęli przy okazji część szmalu Benny'ego, przykręciłem śrubę paru moim informatorom, aż dali mi na talerzu Bobby'ego De Witt. I jako pierwszemu powiedziałem o

nim Benny'emu. Jego prawa ręka wybił Benny'emu z głowy pomysł sprzątnięcia De Witta, toteż oddałem Bobby'ego gliniarzom z Hollywood. Jesteśmy teraz z Bennym kumplami. Wciąż daje mi cynk, jakie konie warto obstawić. Następne pytanie?

Postanowiłem nie pytać go o Kay. Obserwując ulicę, zwróciłem uwagę, że opuściliśmy już śródmieście i znajdujemy się teraz w dzielnicy pełnej niedużych, zaniedbanych domów. Wciąż miałem w myślach historię o Bugsym Siegelu, gdy Lee zwolnił i zatrzymał nagle wóz przy chodniku.

- Co u licha? - wybuchnąłem.

Lee odparł: - To będzie dla mojej własnej satysfakcji. Pamiętasz tego gwałciciela, o którym wspomiano podczas odprawy?

- Jasne.

- Tierney powiedział, że w Hollywood Park miały miejsce cztery dotąd nie rozwiązane przypadki sodomii, zgadza się?

- Jak najbardziej.

- Mówił też, że w okólniku pojawiły się szczegółowe informacje na temat znanych policji współników tego sodomity?

- No tak, ale...

- Bucky, przeczytałem tę notatkę i okazało się, że nazwisko jednego z paserów, Bruno Albanese, coś mi mówi. Gość pracuje w meksykańskiej knajpie w Highland Park. Kontaktowałem się z tamtejszymi glinami, otrzymałem od nich adresy, gdzie doszło do tych napaści, i okazało się, że dwie z nich zdarzyły się o niecałe pół mili od knajpy, w której robi ten typek. To jego dom, a w archiwum powiedziano mi, że facet ma do zapłacenia całą masę mandatów, grozi mu przy tym spora grzywna za zwłokę. Wyłożyć ci całą resztę?

Wysiadłem z auta i przeszedłem przez zachwaszczony trawnik pełen psich kup. Lee dołączył do mnie na ganku i nacisnął dzwonek; z wnętrza domu dobiegło głośnie ujadanie.

Drzwi otwarły się, zabezpieczone łańcuchem. Ujadanie osiągnęło crescendo; przez szczelinę dostrzegłem niechlujnie ubraną, zaniedbaną kobietę. Zawołałem: - Policja! - Lee wcisnął stopę między drzwi a framugę, ja zaś wsunąłem rękę do środka i szarpnięciem zerwałem łańcuch. Lee pchnięciem otworzył drzwi, a kobieta wybiegła na ganek. Wpadłem do domu, zastanawiając się, co mogło tak głośno szczeleć. Lustrowałem wzrokiem obskurny salon, gdy nagle rzucił się na mnie wielki, brązowy mastif, z szeroko rozdziawioną paszczą. Sięgnąłem po spluwę, a bestia... zaczęła lizać mnie po twarzy.

Staliśmy tam, pies oparł przednie łapy o moje ramiona, jakby chciał się ze mną bawić. Liznął mnie wielkim jęzorem, a kobieta zapiszczała: - Bądź grzeczny, Piła! Bądź grzeczny!

Schwyciłem psa za łapy i opuściłem na podłogę; teraz mastif zaczął z lubością obwąchiwać moje krocze. Lee tymczasem wdał się w rozmowę z kobietą, pokazując jej zdjęcia z policyjnej kartoteki. Kobieta oparła dłonie na biodrach, pokręciła głową i sprawiała wrażenie rozdrażnionej, prawej obywatelki. Podeszedłem do nich. Piła posłusznie dreptał tuż obok mnie.

Lee rzekł: - Pani Albanese, to mój starszy rangą kolega. Czy zechce pani powtórzyć mi to, co mi przed chwilą powiedziała?

Kocmołuch zaczął potrząsać pięściami; Piła zainteresował się kroczem Lee.

- Gdzie pani mąż? - zapytałem prosto z mostu. - Nie mamy całego dnia.

- Powiedziałam to jemu, a teraz mówię panu. Bruno spłacił swój dług wobec społeczeństwa! Nie zadaje się z kryminalistami i nie znam żadnego Colemana jak-mu-tam! Bruno to biznesmen. Jego kurator polecił mu dwa tygodnie temu, aby rzucił robotę w tej meksykańskiej knajpie, i odtąd go nie widziałam! Nie wiem, gdzie teraz jest. Piła, uspokój się!

Spojrzałem na swego starszego rangą partnera, który tańczył z uczepionym jego nogi, dwustufuntowym psem. - Pani mąż to znany policji paser, który w dodatku ma na koncie wiele nie zapłaconych mandatów. Mam w wozie listę skradzionych przedmiotów i jeśli nie powie mi pani, gdzie mogę go znaleźć, zrobię w tym domu taki kipisz, aż znajdę choćby jedną trefną rzecz. A potem aresztuję panią za posiadanie przedmiotów pochodzących z kradzieży. To jak będzie?

Kocmołuch zaczął uderzać pięściami o uda; Lee postawił wreszcie Piłę na ziemi i rzekł: - Do niektórych ludzi nie da się przemawiać w cywilizowany sposób. Pani Albanese, czy wie pani, na czym polega gra w rosyjską ruletkę?

Kobieta wyduła wargi. - Nie jestem głupia, a Bruno spłacił swój dług względem społeczeństwa!

Lee wyjął zza paska krótkolufową trzydziestkę ósemkę, sprawdził bębenek i ponownie go zatrzasnął. - W bębenku jest jeden nabój. Jak myślisz, Piła, czy dopisze ci szczęście?

Piła szczechnął „hau”, a kobieta rzekła: - Nie odważ się pan.

Lee przyłożył lufę rewolweru do skroni psa i pociągnął za spust. Kurek natrafił na pustą komorę; kobieta jęknęła w głos i nagle pobladła; Lee powiedział: - Jeszcze pięć. Szykuj się, ruszasz do psiego nieba, Piła.

Lee ponownie nacisnął spust; stłumiłem w sobie śmiech, gdy kurek znów tylko szczechnął metalicznie, a Piła znudzony tym wszystkim zaczął lizać się po jądrach. Pani Albanese modliła się żarliwie, z zamkniętymi oczami. Lee rzekł: - Czas na spotkanie ze

Stwórcą, psino!

Kobieta wybuchnęła: - Nie, nie, nie, nie, nie! Bruno prowadzi bar w Silverlake! Buena Vista, przy Vendome! Proszę, nie krzywdź mojego maleństwa!

Lee pokazał mi pusty bębenek w swoim rewolwerze, po czym obaj wróciliśmy do samochodu, odprowadzani echem radosnego szczekania Piły. Przez całą drogę do Silverlake nie mogłem się opanować i zaśmiewałem się do rozpuku.

*

Buena Vista była sporą knajpką w kształcie hiszpańskiego ranczo, z bielonymi ścianami z cegły suszonej na słońcu i wieżyczkami ozdobionymi lampkami choinkowymi na sześć tygodni przed świętami. Wewnątrz panował półmrok i chłód. Zaraz przy holu znajdował się długi, dębowy bar, za którym stał mężczyzna, wycierający szklanki. Lee błysnął mu pod nosem odznaką i zapytał: - Bruno Albanese?

Mężczyzna wskazał na tyły baru, po czym spuścił wzrok.

Na tyłach knajpy było dość wąsko, umieszczono tam oddzielone przepierzeniami, wykładane skórą kanapy ustawione wokół eleganckich stolików. Światło było przyćmione, dyskretne. Od strony ostatniego stolika doszły nas odgłosy łapczywego przeżuwania. Tylko ten jeden stolik był zajęty. Chudy, śniady mężczyzna pochylał się nad talerzem pełnym fasoli, chili i huevos rancheros, pochłaniając danie, jakby miało być ono jego ostatnim posiłkiem na ziemi.

Lee zastukał w blat stolika. - Policja. Bruno Albanese?

Mężczyzna uniósł wzrok, po czym zapytał: - Kto, ja?

Lee usiadł przy stoliku i wskazał na zdobiony religijnym motywem gobelin na ścianie. - Nie, święty turecki. Miejmy to szybko z głowy, abym nie musiał patrzeć, jak jesz. Jesteś poszukiwany za nie zapłacone mandaty, ale mnie i mojemu partnerowi spodobał się twój pies, więc cię nie zapuszczujemy. Nie uważasz, że to miłe z naszej strony?

Bruno Albanese czknął, po czym rzekł: - A co mam zrobić w zamian?

- Bystrzak - mruknął Lee i położył na blacie zdjęcie Maynarda.

- Ten typ lubi gwałcić małych chłopców. Wiemy, że przynosi do ciebie fanty, ale mamy to gdzieś. Chcemy tylko wiedzieć, gdzie on teraz jest.

Albanese spojrział na zdjęcie i czknął. - Nigdy go nie widziałem. Nie znam faceta. Ktoś się pomylił, przysyłając was do mnie.

Lee spojrział na mnie i westchnął. Mruknął: - Niektórzy nie umieją rozmawiać w cywilizowany sposób. - To rzekłszy schwycił Bruna Albanese za kark i zdecydowanym ruchem wcisnął mu twarz w talerz gęstej, brejowatej papki. Ostre chili z fasolą dostało się do

nosa i ust Bruna, lepki, gęsty sos spłynął mu po czole do oczu. Mężczyzna zaczął gwałtownie wymachiwać rękoma i tupać nogami pod stołem. Lee przytrzymał go za głowę, cedząc słowa: - Bruno Albanese był dobrym facetem. Dobrym mężem i ojcem dla swego syna, Piły. Nie lubił współpracować z policją, ale cóż, nikt nie jest doskonały. Partnerze, czy przychodzi ci do głowy choćby jeden powód, dla którego miałbym darować życie temu śmierzdelowi?

Albanese zaczął się krztusić; z porcją huevos rancheros zaczęła mieszać się krew. - Miej litość - powiedziałem. - Nawet paserzy zasługują na lepszą ostatnią wieczerzę.

- Dobrze powiedziane - orzekł Lee i puścił głowę Albanese'a.

Tamten natychmiast zaczął łapczywie chwytać powietrze, ciężko dyszał, ocierając z twarzy całą meksykańską książkę kucharską. Kiedy odzyskał oddech, wychrypiął: - Apartamenty Versailles przy Szóstej i Saint Andrews, pokój 803, ale na Boga, błagam, nie mówcie nikomu, że ja wam to powiedziałem!

- Smacznego, Bruno - rzucił krótko Lee. - Rozsądny z ciebie gość.

Wybiegliśmy z knajpy, wróciliśmy do auta i z piskiem opon pomknęliśmy w stronę Szóstej i Saint Andrews.

*

Zgodnie z tym, co widniało na skrzynce na listy w Versailles, Maynard Coleman mieszkał pod numerem 803. Wjechaliśmy windą na siódme piętro i zadzwoniliśmy do drzwi. Przyłożyłem do nich ucho, ale nic nie usłyszałem. Lee wyjął z kieszeni pęk wytrychów i włożywszy jeden do otworu zamka zaczął manipulować nim, aż rozległ się ostry, suchy szcęk ustępującego mechanizmu.

Weszliśmy do ciemnego, dusznego, niedużego pomieszczenia. Lee zapalił światło; blask podsufitowej lampy ukazał naszym oczom dziecięce łóżeczko pełne pluszowych zwierzaków - miśków, pand i tygrysów. Łóżeczko cuchnęło potem i jakimś innym, farmaceutycznym odorem, którego nie potrafiłem zidentyfikować. Zmarszczyłem nos, a Lee rozwiązał tę zagadkę za mnie: - Wazelina z kortizonem. Pedzie używają tego do nawilżania tyłków. Miałem zamiar oddać Maynarda osobiście kapitanowi Jackowi, ale teraz chyba pozwolę, aby najpierw zajęli się nim Vogel i Koenig.

Podszedłem do łóżka i przyjrzałem się zwierzakom; wszystkie miały w kroczu przyklejone taśmą kosmyki delikatnych, dziecięcych włosów. Wzdrygnąłem się i spojrzałem na Lee. Był blady, na jego twarzy pojawił się silny tik nerwowy. Nasze spojrzenia spotkały się i po chwili bez słowa wyszliśmy z pokoju i zjechaliśmy windą na dół.

- Co teraz? - spytałem, gdy wyszliśmy na ulicę.

Lee odparł drżącym głosem: - Znajdź budkę telefoniczną i zadzwoń do biura

ewidencji pojazdów mechanicznych. Podaj im nazwiska, jakich używa Maynard, ten adres i zapytaj, czy w ubiegłym miesiącu zarobił jakieś mandaty. Jeśli okaże się, że tak, poproś o opis wozu i numer rejestracyjny. Spotkamy się przy samochodzie.

Pobiegłem do rogu ulicy, odnalazłem budkę i zadzwoniłem na numer policyjnej linii informacyjnej ewidencji pojazdów. Oficer dyżurny odparł: - A kto pyta?

- Funkcjonariusz Bleichert z policji Los Angeles, numer odznaki 1611. Chodzi o informację na temat zakupu samochodu, Maynard Coleman albo Coleman Maynard, zamieszkały przy South Saint Andrews 643, w LA. Zakupu dokonano raczej niedawno.

- Dobra... proszę chwilkę zaczekać.

Czekałem, z notesem i piórem w dłoni, rozmyślając o pluszowych zwierzakach. W jakieś pięć minut później usłyszałem: - Udało się. Mamy go.

- Słucham.

- De soto, ciemnozielony model, sedan, rocznik 1938, numer rejestracyjny B jak Barbara, V jak Victoria, 1-4-3-2, powtarzam, B jak...

Zapisałem to wszystko, odłożyłem słuchawkę i biegiem wróciłem do samochodu. Lee przeglądał książkową mapę Los Angeles i robił jakieś notatki.

- Mamy go - powiedziałem.

Lee zamknął mapę. - Ten łajdak prawdopodobnie poluje na dzieciaki pod szkołą. W pobliżu miejsc napadów w Highland Park znajdują się podstawówki, w tej okolicy jest ich sześć. Skontaktowałem się z komendami w Hollywood i Wilshire i powiedziałem im, co mamy. Radiowozy będą krążyć w pobliżu szkół, może uda się namierzyć Maynarda. A czego się dowiedziałeś w ewidencji?

Pokazałem mu swoje zapiski. Lee sięgnął po mikrofon i włączył krótkofalówkę. Usłyszeliśmy tylko trzaski, a potem radiostacja wysiadła.

- Pieprzyć to, ruszamy - wycedził Lee.

*

Krążyliśmy w pobliżu podstawówek w Wilshire i Hollywood, Lee prowadził. Przepatrywałem okoliczne chodniki i parkingi przy szkołach w poszukiwaniu zielonego de soto i podejrzanych osobników. Zatrzymaliśmy się raz przy policyjnej budce, a Lee zadzwonił na posterunki w Wilshire i Hollywood, przekazując informacje uzyskane w wydziale ewidencji pojazdów, na co zapewniono go, że wiadomość ta zostanie przekazana wszystkim patrolom, zarówno pieszym, jak zmechanizowanym oraz funkcjonariuszom po cywilnemu.

Przez cały ten czas prawie nie rozmawialiśmy. Lee zaciskał dłonie na kierownicy tak

mocno, że aż zbieleły mu kłykcie; samochód wolno sunął po ulicy. Wyraz twarzy Lee zmienił się tylko przez moment, kiedy zatrzymaliśmy wóz, aby popatrzeć na bawiące się dzieci. Wtedy jego oczy mętniały, dłonie trzęsły się i nie wiedziałem, czy zaraz wybuchnie płaczem, czy może eksploduje.

Ale on tylko patrzył, a prosta czynność, jaką było ponowne włączenie do ruchu, uspokajała go. Zupełnie jakby wiedział doskonale jak daleko może się posunąć jako człowiek, zanim powrócił do roli policjanta i wypełniania obowiązków służbowych.

Parę minut po trzeciej ruszyliśmy wzdłuż Van Ness na południe mijając kolejną podstawówkę. Pokonaliśmy następną przecznicę, docierając do Polar Palace i dokładnie w tej samej chwili minął nas jadący w przeciwną stronę zielony de soto, który zatrzymał się na parkingu przy lodowisku.

- Mam go - rzekłem. - Lodowisko Polar Palace.

Lee zakręcił i zatrzymał wóz przy chodniku, dokładnie naprzeciw parkingu. Maynard zamknął kluczykiem drzwiczki de soto, lustrując wzrokiem grupkę dzieci z łyżwami zmierzającą w stronę wejścia.

- Chodźmy - powiedziałem.

- Ty go zgarnij - rzekł Lee. - Ja mógłbym stracić nad sobą panowanie. Tylko upewnij się, że żadnemu dziecku nie stanie się przy tym krzywda, a gdyby próbował pogrywać nieczysto, po prostu zabij sukinsyna.

Zatrzymanie dokonane przez pojedynczego funkcjonariusza po cywilnemu było wbrew przepisom. - Chyba ci odbiło. To...

Lee wypchnął mnie z auta. - Zgarnij go, do jasnej cholery! To wydział egzekucyjny, a nie pieprzona szkółka niedzielna! Dorwij drania!

Pobiegłem przez ulicę, dotarłem na parking i dostrzegłem Maynarda wchodzącego do Polar Palace wśród licznej gromady dzieci. Podbiegłem do frontowych drzwi i otworzyłem je, upominając się w myślach, że mam działać szybko i sprawnie. Chłodne, rześkie powietrze oszołomiło mnie; ostre światło odbijające się w tafli lodowiska raziło w oczy. Oslaniając je dłonią, rozejrzałem się dokoła i zobaczyłem fiordy z paper mâché i stoisko z przekąskami, wykonane w kształcie igloo. Na lodowisku śmigało kilkoro dzieci, a inna grupka zachwycała się wielkim, wypchanym niedźwiedziem polarnym stojącym na tylnych łapach, przy bocznym wyjściu. Na lodowisku nie było ani jednego dorosłego. I wtedy coś mi wpadło do głowy: zajrzyj do męskiej toalety.

Tabliczka skierowała mnie w stronę piwnic. Byłem już w połowie drogi, gdy na schodach ujrzałem Maynarda. Szedł na górę, z pluszowym króliczkiem pod pachą. Znów

poczułem w nozdrzach woń pokoju 803. Kiedy mnie mijał, powiedziałem: - Policja, jesteś aresztowany. - I wyciągnąłem służbową trzydziestkę ósemkę.

Gwałciciel dzieci uniósł obie ręce do góry; króliczek spadł po schodach. Pchnąłem sodomitę na ścianę, obszukałem go i skułem mu ręce za plecami. Krew dudniła mi w skroniach, kiedy popychałem go po schodach na górę. Aż nagle poczułem, że coś tłucze mnie po nogach. - Zostaw mojego tatę! Puść go! Daj mu spokój!

Napastnikiem okazał się mały chłopiec w krótkich spodenkach i marynarskim wdzianku. W okamgnieniu zorientowałem się, że musiał być synem gwałciciela, podobieństwo nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Chłopiec uczeplił się mego paska i ryczał: - Puść mojego tatę! Zostaw go!

Ojciec poprosił tylko o krótką chwilę, aby mógł załatwić dla niego opiekunkę. Brnąłem jednak naprzód, sunąc po schodach, a później przez Polar Palace; przez cały czas mierzyłem z rewolweru w głowę zboczeńca, a drugą ręką popychałem go przed sobą; dzieciak włókł się z tyłu za mną, skamłając i okładając mnie pięściami. Zaczął gromadzić się tłum. - Policja! - zawołałem, aż rozstąpili się i przepuścili mnie do wyjścia.

Jakiś staruch otworzył mi drzwi i nagle rzucił: - Ejże, czy ty nie jesteś czasem Bucky Bleichert?

- Złap tego dzieciaka i sprowadź dla niego opiekunkę - wychrypiałem, silne ręce ściągnęły ze mnie niezmordowane dziecięce tornado.

Do stojącego na parkingu forda Lee podprowadziłem Maynarda i zmusiłem go, by zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Lee nadusił klakson i ruszył z piskiem opon; pedofil mamrotał coś bez ładu i składu. Ja zaś zastanawiałem się w duchu, dlaczego klakson nie był w stanie zagłuszyć ryku chłopca na próżno nawołującego ojca.

*

Odstawiwszy Maynarda do aresztu, Lee zadzwonił do Fritza Vogela na komendę główną, by powiadomić go, że gwałciciel został zatrzymany i można go przesłuchać w związku z kradzieżami w Bunker Hill. Potem czekał nas powrót na posterunek, powiadomienie glin z Highland Park o aresztowaniu Maynarda i skontaktowanie się z policją z Hollywood, abym mógł uspokoić sumienie, jeżeli chodzi o tamtego dzieciaka. Opiekunka, z którą rozmawiałem, poinformowała mnie, że Billi Maynard był tam, ponieważ czekał na matkę, była żoną Colemana Maynarda, tanią dziwką, mającą na koncie kilka wyroków za prostytuowanie się w zaparkowanych autach.

Spisanie raportu zajęło nam w sumie trzy godziny. Sporządziłem stenograficzny zapis przebiegu aresztowania, a Lee przepisał go na maszynie, pomijając wzmiankę o naszym

włamaniu do mieszkania Colemana Maynarda. Ellis Loew kręcił się obok naszego kantorka, mrucząc pod nosem: - Świetna robota. - I jeszcze: - Wykończę ich w sądzie za sprawą tego dzieciaka.

Robotę papierkową skończyliśmy o siódmej. Lee wykonał dłonią zamaszysty ruch i orzekł: - Jeszcze jeden załatwiony na konto Laurie Blanchard. Zgłodniałeś, partnerze?

Wstałem i przeciągnąłem się; posiłek to był całkiem niezły pomysł. Nagle zauważyłem podchodzących do naszego kantorka Fritza Vogela i Billa Koeniga. Lee wyszeptał: - Bądź uprzejmy, oni mają chody u Loewa.

Z bliska ci dwaj wyglądali jak odrzuty z drużyny LA Rams. Vogel, wysoki i otyły, z wielką, płaską głową wyrastającą wprost znad kołnierzyka koszuli, miał najjaśniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem; Koenig był po prostu wielki, wyższy ode mnie o dobrych parę cali, jednak jego ciało zawodowego futbolisty zaczynało tracić muskulaturę i sprężystość. Miał szeroki, spłaszczony nos, uszy jak dwa kalafiora, nierówny zgryz i małe, poszczerbione zęby. Wyglądał na przygłupa, podczas gdy Vogel sprawiał wrażenie chytrego i podstępnego. Obaj tworzyli w sumie dość paskudny duet.

Koenig zachichotał: - Przyznał się. Do zgwałcenia tych dzieciaków i do włamań. Fritzie mówi, że wszyscy dostaniemy pochwały.

Wyciągnął rękę. - Nieźle walczyłeś, nie ma co.

Uścisnąłem wielkie łapsko, by zauważyć ślady świeżej krwi na mankiecie koszuli. Powiedziałem: - Dzięki, sierzancie. - Po czym wyciągnąłem rękę do Fritza Vogela.

Uścisnął ją lekko, wbił we mnie spojrzenie świdrujących, lodowato zimnych oczu i puścił moją dłoń, jakby dotykał czegoś obrzydliwego.

Lee poklepał mnie po plecach. - Bucky to prawdziwy as. Ma głowę i ikrę. Rozmawiałeś z Ellisem o zeznaniu?

Vogel rzekł: - Po imieniu mogą zwracać się do niego tylko funkcjonariusze od porucznika w górę.

Lee zaśmiał się. - Jestem uprzywilejowany. Poza tym ty za jego plecami nazywasz go Żydkiem i pejsachem, więc co ci do tego?

Vogel zaczerwienił się; Koenig rozejrzał się dokoła, z otwartymi ustami. Kiedy się odwrócił, zauważyłem plamki krwi na przodzie jego koszuli. Vogel zawołał: - Chodź, Billi. - I Koenig posłusznie podreptał za nim.

- Bądź uprzejmy, powiadasz? - rzuciłem.

Lee wzruszył ramionami. - To frajerzy. Gdyby nie zostali gliniarzami, byłiby dziś w Atascadero. Rób to, co mówię, a nie to samo co ja, partnerze. Tamci się mnie boją, a ty

przecież jesteś tu nowy.

Przez chwilę szukałem w myślach błyskotliwej riposty. I nagle Henry Sears, wyglądający dwa razy bardziej niechlujnie niż rano, zajrzał przez drzwi. - Usłyszałem coś, o czym powinieneś wiedzieć, Lee.

- Powiedział to bez jednego zająknięcia. Oddech miał przesiąknięty wonią alkoholu.

- Wal - rzucił Lee.

I Sears powiedział: - Byłem akurat w wydziale zwolnień warunkowych i dowiedziałem się, że Bobby De Witt otrzymał kategorię „A”. W połowie stycznia wyjdzie na warunkowe. Uznałem, że powinieneś wiedzieć.

Sears kiwnął do mnie głową i usiadł. Spojrzałem na Lee, który trząsał się jak w pokoju 803 w Versailles. Powiedziałem: - Partnerze...

Lee wysilił się na uśmiech. - Wrzućmy coś na ząb. Kay przyrządziła pieczeń z rusztu, czuj się zaproszony.

*

Przyjąłem zaproszenie i zdumiał mnie wygląd domu, do którego mnie zawieziono - beżowej budowli w stylu Art Deco, stojącej o ćwierć mili od Sunset Strip. Podchodząc do drzwi, Lee rzekł: - Tylko ani słowa o De Witcie, Kay mogłaby się zdenerwować.

Pokiwałem głową i wszedłem do salonu, który wyglądał jak z reklamy.

Boazeria z mahoni, meble duńskie, w nowoczesnym stylu, z jasnego drewna w kilku różnych odcieniach. Na ścianach reprodukcje znanych i uznanych XX-wiecznych artystów, dywany w modernistyczne wzory skąpanych w oparach mgieł drapaczy chmur, strzelistych drzew albo wieżyc jakiejś fabryki, wytworu wyobraźni niemieckiego impresjonisty. Do salonu przylegała kuchnia, na stole stały świeże kwiaty, a z kuchni dochodził aromat smakowitych potraw. Powiedziałem: - Całkiem niezłe jak na policyjną pensyjkę. Bierzesz w łapę, partnerze?

Lee wybuchnął śmiechem. - To z forsy za moje walki. Hej, mała, gdzie ty jesteś?

Kay Lake wyszła z kuchni, ubrana w kwiecistą sukienkę pasującą do tulipanów na stole. Podała mi rękę i powiedziała: - Cześć, Dwight.

Poczułem się jak małolat na balu maturalnym. - Witaj, Kay.

Uścisnęła moją dłoń i puściła ją, kończąc najdłuższy uścisk w historii. - Ty i Leland partnerami. Aż chciałoby się uwierzyć w bajki, nieprawdaż?

Rozejrzałem się dokoła, szukając Lee, ale tamten gdzieś zniknął. - Nie. Jestem raczej realistą.

- Ja nie.

- Tak przypuszczałem.
- Mnie poznanego realizmu wystarczy już do końca życia.
- Wiem.
- A skąd?
- *Z LA Herald Express.*

Kay zaśmiała się. - A więc czytałeś moje wycinki prasowe. Jakież wnioski?

- Owszem. Bajki są dobre dla dzieci.

Kay mrugnęła jak Lee; odniosłem wrażenie, że to ona go tego nauczyła. - Właśnie dlatego bajki zamienia się w rzeczywistość. Leland! Kolacja!

Lee znów się pojawił i zasiedliśmy do posiłku; Kay otworzyła szampana; napełniliśmy kieliszki. Wtedy Kay rzekła: - Za wszystkie bajki.

Wypiliśmy, Kay ponownie napełniła kieliszki, a Lee zawołał: - Za emisję obligacji okolicznościowych.

Bąbelki poszły mi do nosa i aż się zaśmiałem. Powiedziałem: - Za rewanż Bleichert-Blanchard w Polo Grounds, większą atrakcją niż Louis i Schmeling.

- Za drugie zwycięstwo Blancharda - dodał Lee.

A Kay powiedziała: - Za bezkrwawy remis.

Wypiliśmy, opróżniliśmy butelkę, a Kay przyniosła z kuchni nową i otwierając ją, strzeliła Lee korkiem w pierś; kiedy kieliszki były już pełne, zebrałem się na odwagę i rzuciłem: - Za nas.

Lee i Kay spojrzeli na mnie jak w zwolnionym tempie i zauważyłem, że nasze dłonie niemal się stykały. Kay też zwróciła na to uwagę i mrugnęła filuternie; Lee rzekł: - Uczyłem się tego od mistrzyni.

Równocześnie unieśliśmy kieliszki do toastu i zgodnym chórem powiedzieliśmy: - Za nas.

*

Najpierw przeciwnicy, potem partnerzy, wreszcie przyjaciele. A wraz z przyjaźnią pojawiła się Kay, nigdy nie weszła pomiędzy nas, ale zawsze wypełniała nasze życie poza pracą wdziękiem i stylem.

Jesienią '46 wszędzie bywaliśmy razem. Kiedy szliśmy do kina, Kay zajmowała środkowy fotel i trzymała nas za ręce w najbardziej dramatycznych momentach filmu; kiedy spędzaliśmy piątkowe wieczory w Malibu Rendezvous, tańczyła z nami na przemian i zawsze rzucała monetą, by przekonać się, kto zatańczy z nią ostatni wolny kawałek. Lee nigdy nie okazywał zazdrości, a początkowa otwartość Kay nie przybrała bardziej zdecydowanych

form. Tyle tylko, że gdy przypadkiem otarliśmy się o siebie, radio grało znany przebój, Lee powiedział coś zabawnego albo zauważyliśmy ciekawy slogan na billboardzie, nasze spojrzenia nieodmiennie się spotykały. Im łagodniej to się odbywało, tym większą miałem świadomość, że Kay może być moja, i tym bardziej jej pragnąłem. Mimo to nie naciskałem, nie dlatego, że to położyłoby kres mojemu partnerstwu z Lee, ale dlatego, że zakłóciłoby to nasz perfekcyjny trzyosobowy układ.

Po służbie Lee i ja wracaliśmy do domu i zastawaliśmy Kay przy lekturze, zakreślając żółtą kredką fragmenty tekstu w książkach. Przygotowywała kolację dla całej naszej trójki, a niekiedy Lee wybierał się później na przejażdżkę po Mulholland swoim motocyklem. Potem rozmawialiśmy. Zawsze też omijaliśmy temat Lee, jakby dyskusja o nim była swego rodzaju zdradą. Kay opowiadała o sześciu latach studiów i dwóch kierunkach magisterskich, które Lee opłacił z pieniędzy za swoje walki, a także o tym, że jej praca nauczycielki na zastępstwo była idealna dla „nadmiernie wyedukowanej dyletantki”, jaką się stała. Ja mówiłem o dorastaniu w duchu niemieckiego wychowania, w Lincoln Heights. Nigdy nie podejmowaliśmy tematu donosów, jakie złożyłem do wydziału imigracyjnego, ani jej życia z Bobbym De Wittem. Oboje domyślaliśmy się smutnej prawdy, jaka się z tym wiązała, ale nie chcieliśmy znać szczegółów. Pod tym względem ja miałem przewagę - bracia Ashida i Sam Murakami już od dawna nie żyli, a Bobby'ego De Witta dzielił miesiąc od wyjścia na zwolnienie warunkowe - i czułem, że Kay bała się tego powrotu.

Jeżeli Lee się tego obawiał, nie dawał tego po sobie poznać, odkąd dowiedział się o całej sprawie od Harry'ego Searsa, i nie wspominał o tym ani słowem podczas najlepszych chwil, jakie spędziliśmy razem - w wydziale egzekucyjnym. Tej jesieni poznałem, na czym naprawdę polega gliniarski fach, a Lee był moim nauczycielem.

Od połowy listopada aż do Nowego Roku schwytaliśmy w sumie jedenastu groźnych przestępców, osiemnastu poszukiwanych w związku z pogwałceniem przepisów drogowych i trzech mających na koncie łamanie nakazów zwolnienia warunkowego. Podczas legitymowania podejrzanych osobników aresztowaliśmy sześciu za, jak się okazało, posiadanie narkotyków. Wykonywaliśmy konkretne polecenia Ellisa Loewa, ścigaliśmy przestępców poszukiwanych listami gończymi i od czasu do czasu ufaliśmy również instynktowi Lee. Jego postępowanie bywało niekiedy ostrożne i wymijające, a kiedy indziej brutalne i bezpośrednie, ale Blanchard zawsze był delikatny wobec dzieci, a kiedy używał siły, by zdobyć jakieś informacje, robił to dlatego, że nie miał wyboru.

Tak oto stworzyliśmy zespół śledczy stosujący podczas przesłuchań technikę „dobry glina - zły glina”. Ogień był tym złym, Lód tym dobrym. Nasza reputacja jako bokserów

pozwoili nam zyskać spory szacunek na ulicy, a kiedy Lee nie oszczędzał pięści, aby wydobyć od kogoś informacje, ja wstawiałem się za nieszczęśliwym i zwykle dostawaliśmy to, o co nam chodziło.

Nasz partnerski układ nie był doskonały. Kiedy pracowaliśmy po dwadzieścia cztery godziny na dobę, Lee zaczynał nękać ćpunów, zabierał im tabletki benzedryny i łykał je całymi garściami, aby zachować czujność; potem każdy Murzyn, z jakim mieliśmy do czynienia, stawał się dla niego „czarnuchem”, każdy biały „frajerem”, a Meksykanin „brudasem”. Wychodziła zeń cała brutalność i nieokrzesanie, usuwając w cień resztki finezji i dwa razy musiałem go pohamować, gdy za bardzo wcielił się w rolę złego gliny.

Lecz niewielka to cena za to, czego się nauczyłem. Pod czujnym okiem Lee szybko okrzepłem, i nie tylko ja zdawałem sobie z tego sprawę. Pomimo iż stracił na walce prawie pół tysiąca, Ellis Loew był do mnie nastawiony coraz przychylniej, gdy Lee i ja sprowadzaliśmy kolejnych przestępców, których Loew mógł później z lubością posłać za kratki; a Fritz Vogel, który nienawdził mnie za sprzątnięcie jego synowi posady sprzed nosa, z wahaniem musiał przyznać, że jestem naprawdę wyśmientym gliną.

To zdumiewające, ale sława, jaka mnie otaczała, przynosiła mi też sporo dobrego. Lee miał chody u H. J. Caruso, dealera samochodowego, znanego ze słynnych reklam radiowych, a kiedy akurat nie było żadnych zleceń, odzyskiwaliśmy niespłacone auta w Watts i Compton. Kiedy odnajdywaliśmy jakieś, Lee kopniakiem wybijał szybę od strony kierowcy i uruchamiał je „na krótko”, a ja stałem na czatach. Potem dwoma samochodami zajeżdżaliśmy na parking Carusa przy Figueroa, a H. J. odpalał nam po dwadzieścia doliców na głowę. Rozmawialiśmy z nim o policjantach, złodziejach i walkach, później zaś Caruso wręczał nam butelkę wybornego burbona, którą Lee zawsze oddawał Harry’emu Searsowi, aby móc nadal otrzymywać od niego ciekawe i wartościowe informacje prosto z wydziału zabójstw.

Niekiedy dołączaliśmy do H. J. podczas środowych, wieczornych walk w hali Olympic. Miał specjalnie skonstruowaną łożę tuż przy ringu, doskonale osłoniętą, by nie wpadały do niej rzucane na ring z górnych trybun przez Meksykanów monety ani kubki wypełnione moczem, a Jimmy Lennon zawsze oficjalnie nas witał podczas zapowiedzi, jeszcze przed rozpoczęciem walk. Od czasu do czasu do łoży zaglądał Bugsy Siegel, a wówczas on i Lee odchodzili na stronę, aby porozmawiać. Po powrocie Lee zawsze wyglądał na nieco wystraszonego. Człowiek, któremu się kiedyś sprzeciwił, był najpotężniejszym gangsterem na Zachodnim Wybrzeżu, a w dodatku miał opinię wyjątkowo mściwego i porywczego. Lee stale otrzymywał jednak typy na wyścigi i te konie, które podpowiadał mu Siegel, zazwyczaj wygrywały.

I tak minęła jesień. Na święta ojciec dostał przepustkę z domu opieki, a ja zabrałem go na wieczerzę wigilijną do Lee. Powoli wracał do zdrowia po udarze, ale wciąż nie mówił po angielsku, tylko bełkotał po niemiecku, bez ładu i składu. Kay poczęstowała go indykiem i gęsią, a Lee przysłuchiwał się jego szwabskim monologom przez cały wieczór, wtrącając tylko: - Nieźle powiedziane, staruszk - i: - Ale obłąd, człowieku - kiedy tylko przerywał, by zaczerpnąć tchu. Gdy już odwiozłem go do domu opieki, odprawił mnie obraźliwym gestem i zdołał wejść do środka o własnych siłach.

W sylwestra pojechaliśmy na wyspę Balboa na występ orkiestry Stana Keatona. Tanecznym krokiem weszliśmy w 1947 rok, nabuzowani szampanem, a Kay rzucała monetą, by przekonać się, kto zatańczy z nią ostatni taniec i kto jako pierwszy pocałuje ją o północy.

Taniec wygrał Lee, a ja patrzyłem, jak śmigają po parkiecie w rytm „Perfidii”, zatruwony tym, w jaki sposób tych dwoje odmieniło moje życie. A potem wybiła północ, orkiestra zagrała tusz, a ja nie wiedziałem, jak mam dalej rozegrać tę sytuację.

Kay rozwiązała problem za mnie, całując mnie leciutko w usta i wyszeptając: - Kocham cię, Dwight. - A zanim zdążyłem odpowiedzieć, jakaś gruba kobieta zatrąbiła mi hałaśliwie prosto w twarz.

Wróciliśmy do domu wzdłuż Pacific Coast Highway, w długim taborze aut pełnych naciskających bez zahamowań na klakson imprezowiczów. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, mój samochód nie chciał odpalić, toteż przygotowano mi posłanie na kanapie i ani się obejrzałem, jak od nadmiaru alkoholu urwał mi się film. Tuż przed świtem obudziły mnie dochodzące przez ściany, dziwne, stłumione dźwięki. Wyteżyłem słuch, aby je zidentyfikować, i wychwyciłem szloch, a niedługo potem głos Kay, dużo delikatniejszy, niż kiedykolwiek dotąd miałem okazję go słyszeć. Szloch przybrał na sile i przerodził się w żalosne skomlenie. Nakryłem głowę poduszką i zmusiłem się, by ponownie zasnąć.

6.

Przez dłuższą część odprawy z 10 stycznia bezczelnie drzemałem, by obudzić się dopiero, gdy kapitan Jack warknął: - To wszystko. Poruczniku Millard, sierżancie Sears, sierżancie Blanchard i posterunkowy Bleichert, macie natychmiast udać się do biura pana Loewa! Odmaszerować!

Ruszyłem wzdłuż korytarza w stronę wewnętrznego sanktuarium Ellisa Loewa. Lee, Russ Millard i Harry Sears już tam byli, tłocząc się przy biurku Loewa i przeglądając plik

porannego *Heralda*.

Lee mrugnął i podał mi egzemplarz, otwarty na stronie z informacjami lokalnymi. Zauważyłem artykuł zatytułowany: „Czy zastępca prokuratora okręgowego z wydziału kryminalnego sięgnie po fotel szefa w wyborach '48?” Przeczytałem trzy akapity wychwalające Ellisa Loewa i jego troskę o dobro obywateli Los Angeles, po czym rzuciłem gazetę na biurko, zanim mdłości zdążyły podejść mi do gardła. Lee zawołał: - Uwaga, stary już idzie... Witaj, Ellis, zamierzasz wejść do świata polityki? To może zacytuj: „Jedynym, czego musimy się lękać, jest sam lęk...” Zobaczmy, jak to brzmi w twoich ustach.

Lee parodiując Franklina Delano Roosevelta wywołał wśród zebranych wybuch szczerego śmiechu; nawet Loew zachichotał, dając nam kopie akt z przypiętymi do nich zdjęciami groźnego przestępcy. - Oto człowiek, którego wszyscy musimy się obawiać. Przeczytajcie to, a zrozumiecie dlaczego.

Przeczytałem otrzymane materiały. Opisywano w nich przebieg kariery Raymonda Douglasa „Juniora” Nasha, mężczyzny rasy białej, urodzonego w Tulsie, w Oklahomie, w roku 1908. Więzienne perypetie Nasha rozpoczęły się w roku 1926 i składały się na nie odsiadki za gwałt, napad z bronią w rękę, ciężkie uszkodzenie ciała i napaść. W Kalifornii ścigano go w sumie za pięć przestępstw: trzy napady z bronią w rękę, na północy, w hrabstwie Oakland i dwa gwałty dokonane w tym roku w Los Angeles, przy czym jedna z jego ofiar była nieletnia. Materiały kończyły się informacją z wydziału policji San Francisco, zgodnie z którą Nash był podejrzany o co najmniej tuzin napadów w Bay Area i jak głosiły plotki, miał być współnikiem z zewnątrz podczas próby ucieczki więźniów z Alcatraz w maju 1946. Przeczytawszy wszystkie załączniki, spojrzałem na zdjęcie. Junior Nash wyglądał jak typowy wiejski troglodyta, rezultat wielopokoleniowego chowu wsobnego: pociągła głowa o wyrazistej strukturze kostnej, wąskich ustach, oczach jak paciorki i uszach, których nie powstydzilby się słoń Dumbo.

Spojrzałem na pozostałych mężczyzn. Loew czytał o sobie w *Heraldzie*; Millard i Sears jeszcze przeglądali materiały, ich twarze wydawały się być nieodgadnione. Lee rzekł: - A teraz przekaz nam dobrą wiadomość, Loew. Gość jest w LA i zaczął rozrabiać, mam rację?

Loew bawił się kluczykiem bractwa Phi Beta Kappa. - Naoczni świadkowie twierdzą, że to on stoi za dwoma napadami na sklepy dokonane w ten weekend w Leimert Park i właśnie dlatego nie mówiono o nim podczas dzisiejszej odprawy. Ten typek podczas drugiego napadu pobił pistoletem starszą kobietę - ta staruszka zmarła przed godziną w szpitalu.

Harry Sears wykrztusił: - A są z-z-znani współnicy?

Loew pokręcił głową. - Kapitan Tierney rozmawiał dziś z policją w San Francisco.

Powiedzieli mu, że Nash jest typem samotnego wilka. Działa w pojedynkę. Najwyraźniej został zwerbowany do pomocy przy ucieczce z Alcatraz, ale to wyjątek potwierdzający regułę. I tyle...

Russ Millard uniósł dłoń. - Czy jest jakiś czynnik łączący dokonane przez Nasha przestępstwa na tle seksualnym?

- Właśnie do tego zmierzałem - rzekł Loew. - Najwyraźniej Nash lubi czarnoskóre dziewczynki. Bardzo młode, ledwie nastolatki. Wszystkie ofiary jego napaści były kolorowe.

Lee ruchem ręki wskazał mi drzwi. - Zajrzymy na posterunek University, poczytamy raporty policyjne i zabierzemy się za tę sprawę od tej strony. Idę o zakład, że Nash ukrywa się gdzieś w Leimert Park. To dzielnica białych, ale niedaleko stamtąd, na południe jest Manchester. Sporo miejsc, by zapolować na kawałek smakowitego, ciemnego ciała.

Millard i Sears ruszyli do wyjścia. Loew podszedł jeszcze do Lee i rzekł: - Sierzancie, postarajcie się tylko go nie zabić. Wprawdzie w pełni na to zasłużył, ale mimo wszystko lepiej się pohamuj.

Lee posłał mu w odpowiedzi swój wystudiowany, demoniczny uśmiech. - Postaram się, szefie, ale wtedy trzeba dopilnować, aby przed sądem dostał to, na co zasłużył. Wyborcy chcą, aby śmieci w rodzaju Juniora Nasha trafiły na krzesło; dzięki temu nocami będą się czuć bezpieczniej.

*

Najpierw zawitaliśmy na posterunek University. Tamtejszy oficer łącznikowy pokazał nam raporty na temat włamań i powiedział, żebyśmy nie zawracali sobie głowy przeszukiwaniem okolicy wokół obu sklepów, bo zajęli się tym już Millard i Sears, i lepiej zabrali się za poszukiwanie wozu Nasha, który rzekomo miał być powojennym, białym sedanem. Kapitan Jack zadzwonił na posterunek University, aby wspomnieć o szczególnych upodobaniach seksualnych Nasha, i w związku z tym wyznaczono trzech funkcjonariuszy po cywilnemu, aby przetrząsnęli burdele w południowej dzielnicy, specjalizujące się w młodych, kolorowych dziewczętach. Komendy z Newton Street i Siedemdziesiątej Siódmej, obsadzone niemal wyłącznie kolorowymi, wysłały nocne patrole w okolice miejsc, gdzie gromadzili się młodzi czarni, z poleceniem, by funkcjonariusze wypatrywali Nasha i ostrzegali dzieciaki przed zagrożeniem.

Nie mogliśmy zrobić nic innego, jak tylko krążyć po okolicy w nadziei, że Nash wciąż jeszcze tu jest, i postawić w stan gotowości informatorów Lee.

Najwięcej działało się w okolicy Crenshaw Boulevard. Szeroki, biegnący na północ od Wilshire, a na południe od Baldwin Hills, Crenshaw stanowił uosobienie tego, co można by

określić mianem „powojennego boomu”. Każdą przecnicę od Jefferson do Leimert otaczały zrujnowane, niegdyś wspaniałe domy, które jeden po drugim wyburzano, a ich fasady zastępowano wielkimi billboardami z reklamami markowych sklepów, centrów handlowych, parków rozrywki dla dzieci oraz kin. Daty ukończenia wahały się od Gwiazdki '47 do, jak obiecywano, początku '49 i nagle uświadomiłem sobie, że do roku 1950 ta część Los Angeles zmieni się nie do poznania. Jadąc na wschód, mijaliśmy kolejne puste parcele, na których zapewne już wkrótce wyrosną domy, a potem całe przecznice przedwojennych budynków z cegły suszonej na słońcu, rozpoznawalne tylko po kolorze i stanie frontowego ganku. Im dalej na południe, tym więcej było starych, drewnianych chałup, w coraz gorszym stanie.

Na ulicy nie było nikogo, kto choć trochę przypominałby Juniora Nasha; a za kierownicą białego sedana, gdy już się taki pojawił, siedziała kobieta albo facet z kanciastą szczęką, o wyglądzie osiłka.

Gdy dojechaliśmy do Santa Barbara i Vermont, Lee przerwał długie milczenie: - Ta wycieczka po mieście nic nam nie da. Spróbuję z innej strony. Pewni ludzie są mi winni przysługę.

Zajechał na stację benzynową, wysiadł i podszedł do budki telefonicznej; ja słuchałem rozmów przez radio. W jakieś dziesięć minut później Lee wrócił, spocony i blady jak ściana. - Dostałem cynk. Mój informator twierdzi, że Nash jest teraz z jakimś dzieciakiem w chacie przy Slauson i Hoover.

Wyłączyłem radio. - Tam są sami kolorowi. Myślisz, że...

- Myślę, że powinniśmy, kurwa, jechać.

Dotarliśmy wzdłuż Vermont do Slauson, a potem na wschód, mijając nieduże kościółki, salony fryzjerskie, gdzie prostowano włosy, puste place i sklepy monopolowe bez nazwy - jedynie z neonami układającymi się w napis: A-L-K-O-H-O-L-E, nawet o pierwszej po południu. Skręciwszy w prawo, w Hoover, Lee zwolnił i zaczął uważnie rozglądać się dokoła. Minęliśmy grupkę trzech czarnych i starszego białego, stojącą na schodach wyjątkowo obskurnej rudery. Zauważyłem, że tamci w mig zorientowali się, że jesteśmy glinami. Lee mruknął: - Ćpuny. Nash podobno zadaje się z czarnymi ćpunami, więc weźmy się za nich. Jeżeli mają coś na sumieniu, może powiedzą nam, gdzie go szukać.

Skinąłem głową; Lee zatrzymał wóz pośrodku ulicy. Wysiedliśmy i podeszliśmy bliżej; cała czwórka włożyła ręce do kieszeni i zaczęła przestępować z nogi na nogę - wszystkie podejrzane typki na całym świecie w podobnej sytuacji zachowują się tak samo. - Policja - rzekłem. - Pod ścianę, tylko powoli i bez numerów. - Przyjęli pozycję do przeszukania, wychyleni do przodu, z rękoma powyżej głowy, dłońmi opartymi o ścianę

budynku i szeroko rozstawionymi nogami.

Lee zajął się dwoma po prawej; białas wymamrotał: - Co u licha... Blanchard?

- Stul dziób, frajerze - warknął Lee i zaczął go przeszukiwać.

Ja przesunąłem dłońmi po brzuchu Murzyna, potem sprawdziłem, czy nie ma czegoś w rękawach, aż w końcu sięgnąłem do jego kieszeni.

Lewą ręką wyłuskałem paczkę lucky strike'ów i zapalniczkę zippo; prawą garść skrętów. - Trawka - powiedziałem i upuściłem marychę na chodnik, po czym zerknąłem z ukosa na Lee. Czarnuch w garniturku obok niego zaczął sięgać za pazuchę; błysnęło światło odbite od metalu, gdy cofnął rękę. - Lee! - zawołałem i wyjąłem moją trzydziestkę ósemkę.

Białas obrócił się na pięcie; Lee prawie z przyłożenia strzelił mu dwa razy w twarz. Murzyn w garniturze wyszarpnął nóż, w tej samej chwili gdy w mojej dłoni pojawił się rewolwer; strzeliłem, tamten upuścił nóż, złapał się za szyję i zatoczył pod ścianę. Obracając się gwałtownie, zauważyłem, że trzeci z czarnych próbuje wyjąć coś zza paska spodni, i wpakowałem mu trzy kule. Runął do tyłu; usłyszałem: „Bucky, na ziemię!” Całując chodnik, zobaczyłem, jak Lee i ostatni z czarnych celują do siebie nawzajem, z odległości zaledwie paru stóp. Trzy strzały Lee skosiły tamtego, nim zdążył nacisnąć spust małego derringera. Gość padł trupem na miejscu, z odstrzeloną do połowy głową.

Wstałem, spojrzałem na cztery ciała i zalany krwią chodnik, podszedłem chwiejnym krokiem do krawężnika i zwymiotowałem do rynsztoka, aż rozbolała mnie cała klatka piersiowa. Usłyszałem jęk zbliżających się syren, przypiąłem blachę do marynarki, po czym się odwróciłem. Lee przetrząsał kieszenie sztywniaków, wyrzucając noże i skręty na chodnik, z dala od kałuż krwi. Podszedł do mnie i miałem nadzieję, że powie coś zabawnego, aby mnie uspokoić. Nie zrobił tego; szlochał jak dziecko.

*

Opisanie dziesięciu sekund minionego popołudnia zajęło mi czas aż do wieczora. Napisaliśmy raporty na posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej i zostaliśmy przesłuchani przez śledczych z wydziału zabójstw, którzy prowadzili sprawy wszystkich przypadków, kiedy dochodziło do użycia broni przez funkcjonariusza policji. Powiedzieli nam, że trzech czarni - Willie Walker Brown, Caswell Pritchford i Cato Early handlowali trawą, a ten biały - Baxter Fitch w końcu lat dwudziestych był dwukrotnie skazany za pobicie. Jako że wszyscy czterej byli uzbrojeni i mieli przy sobie marihuanę, zapewniono nas, że nie dojdzie do oficjalnego wszczęcia sprawy i przesłuchania przed przysięgłymi.

Przyjąłem maglowanie ze spokojem; Lee znacznie gorzej, był cały roztrzęsiony i mamrotał, że parę razy, gdy pracował w Highland Park, przyskrzynył Fitcha za włóczęgostwo,

choć ogólnie polubił tego gościa. Na posterunku prawie nie odstępowałem Lee na krok, po czym wyprowadziłem go do samochodu, przebijając się przez tłum dziennikarzy zasypujących nas pytaniami.

Kiedy dotarliśmy do domu, Kay już czekała na nas na ganku; jeden rzut oka na jej wymizerowaną twarz i zrozumiałem, że już o wszystkim wiedziała. Podbiegła do Lee i uściskała go, szepcząc: - Och, kochanie, moje kochanie.

Przyglądałem im się przez chwilę, po czym przeniósłem wzrok na gazetę na poręczy.

Sięgnąłem po nią. Był to egzemplarz *Mirror* z wielkim, krzykliwym nagłówkiem na pierwszej stronie: „Gliny bokserzy wdają się w strzelaninę! Zginęło czterech przestępców!” Poniżej zamieszczono zdjęcia moje i Lee, w rękawicach bokserskich oraz fotografie zabitych opryszków. Przeczytałem mocno okrojoną relację ze strzelaniny i październikowej walki, gdy nagle usłyszałem krzyk Lee: - Ty nigdy tego nie zrozumiesz, więc daj mi spokój, do cholery!

Lee przebiegł przez podjazd do garażu, Kay była tuż za nim. Stałem na ganku, nie mogąc się nadziwić, że najtwardszy sukinsyn, jakiego kiedykolwiek znałem, też bywa w środku miękki jak wosk. Usłyszałem warkot uruchamianego motocykla Lee; po chwili z piskiem opon Blanchard wyjechał z garażu, wziął ostro zakręt i odjechał, zapewne w kierunku Mulholland.

Kay wróciła, kiedy tylko ryk motoru ucichł w oddali. Ujmując ją za rękę, powiedziałem: - Przewalczy to w sobie. Znał jednego z tych facetów, dlatego jest mu z tym trudniej. Ale w końcu przewalczy to w sobie.

Kay dziwnie na mnie spojrzała. - Jesteś bardzo spokojny.

- Sprawa była prosta, oni albo my. Zajmiesz się Lee jutro. Na razie mamy wolne, ale kiedy wrócimy na służbę, będzie mu cholernie ciężko.

- Ty też miej go na oku. Za tydzień De Witt wychodzi na warunkowe, a jeszcze na procesie poprzysiągł, że zabije Lee i wszystkich, którzy przyczynili się do jego aresztowania. Lee się boi, a ja znam Bobby'ego. To prawdziwy świr. Zły jak wszyscy diabli.

Objąłem Kay i mocno przytrzymałem. - Cii. Ogień i Lód czuwają, możesz być spokojna.

Kay wyrwała się z mego uścisku. - Nie znasz Bobby'ego. Nie wiesz, do czego mnie zmuszał.

Odgarnąłem znad jej oczu kosmyk włosów. - Wiem, ale nie obchodzi mnie to. To znaczy obchodzi mnie, ale...

- Wiem, co chcesz powiedzieć - wtrąciła Kay i odepchnęła mnie od siebie. Pozwoliłem jej odejść, bo wiedziałem, że gdybym nalegał, powiedziałyby mi mnóstwo

rzeczy, których nie chciałem usłyszeć. Trzasnęły frontowe drzwi, a ja usiadłem na schodach, zadowolony, że mogę przemyśleć i poukładać sobie to wszystko w samotności.

Cztery miesiące temu byłem w patrolu miejskim, bez żadnych perspektyw. Teraz pracowałem w egzekucyjnym, i to w dużej mierze dzięki mnie doszło do przeforsowania emisji wielomilionowych obligacji, a w dodatku miałem na koncie dwa trupy. Za miesiąc skończę trzydzieści lat, będę miał za sobą pięć lat służby w policji i będę mógł podejść do egzaminu na stopień sierżanta. Jeżeli go zdam i rozegram wszystko jak należy, zostanę detektywem porucznikiem, zanim skończę trzydzieści pięć lat - a to był dopiero początek.

Poczułem, że muszę coś zrobić, więc wszedłem do środka i pokręciłem się po salonie, przeglądając czasopisma i regały z książkami. Wtedy usłyszałem szum płynącej wody, gdzieś na tyłach domu. Poszedłem w tę stronę, a ujrzawszy otwarte drzwi do łazienki i kłębiące się wewnątrz obłoki pary, zrozumiałem, że to wszystko jest przeznaczone dla mnie.

Kay stała naga pod prysznicem. Jej twarz pozostała pusta, bez wyrazu, nawet gdy nasze spojrzenia spotkały się. Otaksowałem wzrokiem całe jej ciało, od piegowatych piersi z ciemnymi sutkami, po szerokie biodra i płaski brzuch; i nagle specjalnie dla mnie wykonała piruet. Zakręciła się jak fiyga, a ja zauważyłem stare blizny od noża ciągnące się od ud aż po kręgosłup; stłumiłem w sobie dreszcz, który przeszył mnie na wskroś i odszedłem, żałując w duchu, że pokazała mi się tak akurat w dniu, kiedy zabiłem dwóch ludzi.

II

Przy trzydziestej dziewiątej i Norton

7.

Telefon obudził mnie w środę, wczesnym rankiem, wyrываяc ze snu, w którym kontemplowałem wtorkowe nagłówki z gazet: „Policjanci Ogień i Lód nokautują bandę czarnych opryszków” i podziwiałem piękną blondynkę o ciele Kay. Sądząc, że to dziennikarze, którzy nie dawali mi spokoju od czasu strzelaniny, zdjąłem tylko słuchawkę z widełek i ponownie ułożyłem się, by wrócić do krainy Morfeusza. I właśnie wtedy usłyszałem: - Pobudka, partnerze! - i natychmiast sięgnąłem po słuchawkę.

- Słucham, o co chodzi, Lee?

- Wiesz, jaki dziś dzień?

- Piętnastego. Dzień wypłaty. Dzwonisz do mnie o szóstej rano, aby... - przerwałem, gdy wychwyciłem lekkie zdenerwowanie w głosie Lee. - Wszystko gra?

- Jeszcze jak. Przejechałem się po Mulholland z prędkością stu dwudziestu na godzinę, a wczoraj przez cały dzień bawiliśmy się z Kay w dom. Ale już mi się znudziło. Masz ochotę trochę popracować?

- Mów dalej.

- Rozmawiałem właśnie z informatorem, który ma u mnie spory dług. Twierdzi, że Junior Nash ma chatę, gdzie sprowadza swoje lale - garaż przy Coliseum i Norton, na tyłach zielonego apartamentowca. Ścigamy się, kto dotrze tam pierwszy? Przegrany stawia piwo podczas wieczornych walk?

Przed moimi oczami znów pojawiły się krzykliwe nagłówki gazet. Powiedziałem: - Niech będzie - odłożyłem słuchawkę, ubrałem się w rekordowym tempie, po czym pognałem do samochodu i w rajdowym tempie pokonałem osiem czy dziewięć mil do Leimert Park. Lee już tam był, stał oparty o swego forda, zaparkowanego przed jedyną budowlą wzniesioną wśród ciągnących się na przestrzeni całej przecznicy, pustych parcel - bungalowu w kolorze flegmy, z piętrową przybudówką na tyłach. Zatrzymałem wóz tuż za nim i wyszedłem. Lee

mrugnął i rzekł: - Przegrałeś.

- Oszukiwałeś - odparłem krótko.

Zaśmiał się. - Masz rację. Zadzwoiłem z budki. Reporterzy nie dawali ci spokoju?

Spojrzałem na niego znacząco. Wydawał się rozluźniony, ale pod fasadą wystudiowanego luzu kryło się spięcie i zdenerwowanie. - Jakoś zaszyłem się w domu. A ty?

- Bevo Means złożył mi wizytę, chciał wiedzieć, jak się czuję. I usłyszał, że nie chciałbym przeżywać czegoś takiego na co dzień.

Wskazałem w stronę podwórza: - Rozmawiałeś z mieszkańcami? Rozglądałeś się za autem Nasha?

Lee odparł: - Wozu nigdzie nie ma, ale rozmawiałem z właścicielem. Wynajmował Nashowi tę przybudówkę na tyłach. Parę razy się tam zabawiał, ale właściciel nie widział go od tygodnia, a może nawet dłużej.

- Zajrzałeś tam?

- Czekałem z tym na ciebie.

Wyjąłem trzydziestkę ósemkę i przyłożyłem do uda. Lee mrugnął i zrobił to samo, po czym obaj przeszliśmy przez podwórze w stronę przybudówki. Na parterze i na piętrze znajdowały się drewniane, z wyglądu nietrwałe drzwi; na piętro prowadziły rozchwierutane schody. Lee sprawdził drzwi na parterze; otwały się ze skrzypnięciem. Przyłgnęliśmy do ściany po obu stronach wejścia, aż w końcu to ja pierwszy wskoczyłem do środka, z rewolwerem w dłoni.

Cicho jak makiem zasiał, zero ruchu, tylko pajęczyny i drewniana podłoga zasłana pozółkłymi gazetami i łysymi oponami. Wycofałem się; Lee na paluszkach pierwszy wszedł po schodach. Na podeście przystanął, poruszał klamką, pokręcił głową, że zamknięte, i kopniakiem wywalił drzwi z zawiasów.

Wbiegłem po schodach; Lee wpadł do środka, z bronią gotową do strzału. Gdy znalazłem się na podeście, zobaczyłem, jak Lee chowa rewolwer do kabury. - Pijacka melina - orzekł, zataczając ręką szeroki łuk. Przystanąłem przed drzwiami i pokiwałem głową potakująco.

Melina cuchnęła tanim winem. Na podłodze leżały dwa rozłożone fotele samochodowe, pełniące funkcję łóżka. Wały się na nich zużyte gumki i strzepy wyściółki. W kącie leżały puste butelki po tanim winie; jedyne okno było straszliwie brudne i zasnutę pajęczynami. Smród był nie do wytrzymania, podszedłem więc i otworzyłem okno. Wyglądając na zewnątrz, ujrzałem grupę policjantów w mundurach i po cywilnemu stojących na chodniku przy Norton, w połowie przecznicy biegnącej do Trzydziestej Dziewiątej.

Wszyscy patrzyli na coś, co znajdowało się wśród chwastów na pustej parceli; przy krawężniku stały dwa radiowozy i jeden nieoznakowany samochód służbowy.

- Podejź tu, Lee - powiedziałem.

Lee wychylił głowę przez okno i lekko przymrużył oczy. - Chyba widzę Millarda i Searsa. Mieli dziś polować na informatorów, więc może...

Wybiegłem z rudery, zbiegłem po schodach i po chwili znalazłem się na Norton. Lee był tuż za mną. Ujrzeliśmy podjeżdżający wóz koronera i techników śledczych, jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku. Harry Sears pociągnął z butelki, na oczach pół tuzina policjantów; w jego oczach dostrzegłem przerażenie. Na plac weszli technicy od zdjęć i zajęli miejsca, kierując obiektywy aparatów w stronę czegoś, co leżało na ziemi. Przepisnąłem się pomiędzy gliniarzy z patrolu, rozpychając się łokciami i dopiero teraz zobaczyłem, co spowodowało cały ten bałagan.

Wśród traw leżały nagie, zmasakrowane zwłoki młodej kobiety, rozplątane na dwoje, na wysokości talii. Dolna połowa spoczywała pośród chwastów, o kilka stóp od górnej, z rozłożonymi szeroko nogami. Z lewego uda wycięto spory, trójkątny fragment skóry i tkanek, długie, szerokie cięcie ciągnęło się też od miejsca rozpołowienia ciała aż do szczytu wzgórka łonowego. Skóra po obu stronach rany była rozchylona na boki, organów wewnętrznych nie było. Górna połowa ciała wyglądała jeszcze gorzej: na plecach widniały liczne ślady od oparzeń papierosem, prawa pierś zwisała luźno, połączona z korpusem jedynie cienkim pasemkiem skóry; lewą wokół sutka porozcinano jakimś ostrym narzędziem. Cięcia były głębokie, sięgały aż do kości, ale najgorzej wyglądała twarz dziewczyny. Przywodziła na myśl jeden wielki, fioletowy siniec, nos zmiądzono i wbito do wnętrza czaszki, usta rozcięto od ucha do ucha, wywołując złudzenie uśmiechu, który zdawał się drwić z całej reszty brutalnych obrażeń, jakie zadano ofierze. Wiedziałem, że nie zapomnę tego uśmiechu do końca życia.

Gdy uniosłem wzrok, zrobiło mi się zimno; miałem płytki, przyspieszony oddech. Ktoś przechodził obok mnie, potrzącał, usłyszałem też mieszające się ze sobą głosy. - Nie ma tu nawet jednej cholernej kropli krwi... To najgorsza zbrodnia dokonana na kobiecie, jaką widziałem w ciągu całej mojej szesnastoletniej służby... Związał ją. Spójrz, tu, na kostkach widać otarcia od sznura... - Dał się słyszeć długi, przeciągły gwizd.

Tuzin funkcjonariuszy przestało dyskutować między sobą i spojrzęło na Russa Millarda. Powiedział ze spokojem: - Spróbujmy opanować sytuację, zanim wymknie się nam z rąk. Jeśli to zabójstwo zostanie szeroko ogłoszone w mediach, będziemy mieli całą nawałę przyznających się do winy. Tej dziewczynie wypruto wnętrza. Będziemy musieli zataić

pewne szczegóły, aby z ich pomocą wyeliminować świrów - stawiam właśnie na to. Nie mówcie o tym nikomu. Żonie, dziewczynie ani nawet innym funkcjonariuszom... Harry?

Harry Sears mruknął: - Tak, Russ. - I ukrył butelkę w dłoni, aby szef jej nie spostrzegł.

Millard to zauważył i wywrócił oczami z niesmakiem. - Żaden reporter nie może zobaczyć ciała. Niech technicy szybko obfotografują zwłoki. Kiedy tylko skończą, niech ludzie z biura koronera natychmiast zakryją ciało prześcieradłem. Funkcjonariusze z patrolu mają uformować kordon w odległości sześciu stóp od ciała - nie wolno wam dopuścić bliżej nikogo niepowołanego. Jeśli jakiś reporter spróbuje się przedrzeć, macie go natychmiast aresztować. Kiedy dotrze tu ekipa, by dokonać oględzin zwłok, macie zepchnąć dziennikarzy na drugą stronę ulicy. Harry, zadzwoń do porucznika Haskinsa z posterunku University i powiedz mu, żeby przysłał mi tu każdego wolnego funkcjonariusza do pomocy przy opanowywaniu tłumu. - Millard rozejrzał się dokoła i zauważył mnie. - Bleichert, co ty tu robisz? Blanchard też tu jest?

Lee kucnął przy denatce i zapisywał coś w notesie. Wskazując na północ, powiedziałem: - Junior Nash wynajmuje garaż na tyłach tego budynku. Przetrzęsaliśmy tę norę, kiedy zauważyliśmy, że coś się tu dzieje.

- Czy w rzeczonym pomieszczeniu natrafiliście na ślady krwi?

- Nie. To nie robota Nasha, poruczniku.

- Niech o tym lepiej zdecydują eksperci. Harry!

Sears siedział w radiowozie, rozmawiając przez mikrofon policyjnego radia. Gdy usłyszał wołanie, odkrzyknął: - Tak, Russ!

- Harry, kiedy zjawią się tu technicy z laboratorium kryminalistyki, niech pofatygują się do garażu na tyłach tego zielonego budynku i poszukają śladów krwi, i pobiorą odciski palców. Potem chcę, żeby cała ulica została zamknięta...

Millard przerwał, gdy zobaczył samochody wjeżdżające na Norton i zatrzymujące się nieopodal; spojrzałem na zwłoki. Technicy wciąż robili zdjęcia z różnych ujęć, pod różnym kątem; Lee nadal zapisywał coś w notatniku. Ludzie zbierający się na chodniku zerkali na denatkę, po czym odwracali wzrok. Na ulicy z furgonetek i aut zaczęli wychodzić reporterzy i dziennikarze, Harry Sears i kordon „niebieskich” czekali w gotowości, by nie dopuścić ich bliżej. A ja znowu uważnie otaksowałem wzrokiem martwą dziewczynę.

Nogi miała rozłożone szeroko, jak do stosunku, a sądząc po wygięciu kolan, musiały one zostać pogruhotane; na kruczoczarnych włosach nie było skorupy z krwi, jakby zabójca przed porzuceniem ofiary umył jej głowę. Ten przeraźliwy, śmiertelny uśmiech wydawał się być ostatnim aktem bluźnierczej przemocy, a widok połamanych zębów wystających z

bezlitośnie poranionych dziąseł zmusił mnie ostatecznie do odwrócenia wzroku.

Odnalazłem Lee stojącego na chodniku, gdzie pomagał rozciągnąć sznury mające stanowić granicę policyjnego kordonu. Spojrzał na wskroś mnie, jakby mnie w ogóle nie dostrzegał i widział jedynie duchy unoszące się w powietrzu. - Junior Nash, pamiętasz? - spytałem.

Lee popatrzył na mnie. - On tego nie zrobił. To śmieć, ale tego nie zrobił.

Od strony ulicy dobiegł głośny hałas, gdy na miejsce zbrodni zjeżdżali kolejni reporterzy, a policjanci zwarli szeregi, aby ich zatrzymać. Zawołałem podniesionym głosem: - Ale to on pobił staruszkę na śmierć! To dla nas priorytetowa sprawa! Musimy go dopaść!

Lee schwycił mnie za ramiona i ścisnął brutalnie. - To jest dla nas sprawa priorytetowa i tu właśnie zostaniemy! Jestem starszy rangą i będzie tak, jak powiedziałem!

Te słowa zostały wypowiedziane tak donośnie, że kilka osób odwróciło się w naszą stronę. Uwolniłem się z uścisku Lee i przez chwilę zastanawiałem się, co za diabeł opanował Blancharda.

- Dobra, partnerze, niech będzie.

*

Przez następną godzinę przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton zaroilo się od wozów policyjnych, reporterów i gapiów. Zwłoki wywieziono na noszach, przykryte dwoma prześcieradłami; jeszcze w wozie koronera eksperci pobrali odciski palców denatki, po czym przewieziono ją do kostnicy. Harry Sears przekazał prasie sporządzony przez Russa Millarda raport dotyczący odnalezienia ciała, zatajając jednak, że zwłoki były pozbawione wnętrzości. Sears pojechał do gmachu komendy głównej policji, by zajrzeć do akt Biura Osób Zaginionych, a Millard został na miejscu zbrodni, by pokierować czynnościami śledczymi.

Technicy z laboratorium kryminalistyki przeszukiwali plac w poszukiwaniu potencjalnych narzędzi zbrodni i ubrania kobiety; inny zespół ekspertów wysłano, by sprawdził, czy w melinie Juniora Nasha są jakieś ślady krwi i pobrał odciski palców. Potem Millard przeliczył funkcjonariuszy. Czterech kierowało ruchem i utrzymywało gapiów w ryzach; dwunastu mundurowych, pięciu po cywilnemu, Lee i ja. Millard wyjął z auta mapę miasta i podzielił cały obszar Leimert Park na sektory i wydzielił dla każdego z funkcjonariuszy po jednym, wraz z listą standardowych pytań, jakie mieli zadać osobom w domach, sklepach i mieszkaniach: Czy słyszał pan/pani krzyki kobiety w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin? Czy widział pan/pani kogoś wyrzucającego lub palącego damską garderobę? Czy zauważył pan/pani jakieś podejrzane osoby lub samochody krążące w tej

okolicy? Czy przechodził pan/pani Norton Avenue przy Trzydziestej Dziewiątej i Coliseum w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, a jeżeli tak, czy zauważył pan/pani kogoś na którymś z pustych placów?

Mnie trafiła się Olmstead Avenue, trzy przecznice na wschód od Norton, od Coliseum na południe aż do Leimert Boulevard; Lee miał obskoczyć sklepy i place budów przy Crenshaw, od Trzydziestej Dziewiątej na północ aż do Jefferson. Ustaliliśmy, że o ósmej spotkamy się pod Olympic i poszliśmy każdy w swoją stronę; ruszyłem szlifować bruki.

Szedłem tak, dzwoniąc do drzwi, zadając pytania, otrzymując odpowiedzi odmowne i zapisując adresy, pod którymi nikogo nie zastałem - aby mogła tam w późniejszym terminie zawitać druga grupa śledczych. Rozmawiałem z popijającymi sherry gospodyniami domowymi i złośliwymi dzieciakami, z emerytami i funkcjonariuszami służb publicznych na urlopie, w tym nawet z jednym gliną pracującym na co dzień w zachodnim LA. Dorzuciłem parę pytań na temat Juniora Nasha i ostatniego modelu białego sedana i pokazałem mu zdjęcie poszukiwanego. I nic, kompletnie nic; o siódmej wróciłem do samochodu zawiedziony fiaskiem podjętych przeze mnie działań.

Wóz Lee zniknął, a wokół miejsca zbrodni, przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton, rozstawiono lampy łukowe. Pojechałem do Olympic, w nadziei, że wieczór udanych walk pozwoli mi pozbyć się nieprzyjemnego smaku po wydarzeniach minionego dnia.

H. J. Caruso zostawił dla nas bilety przy wejściu, z liścikiem, że ma gorącą randkę i raczej się dziś nie pojawi. Bilet Lee wciąż znajdował się w kopercie; odebrałem mój i ruszyłem w stronę łoży. Pierwsze pojedynki tego wieczoru, w wadze koguciej, już się rozpoczęły, usiadłem więc i czekałem na Lee.

Dwaj drobni meksykańscy pięściarze stoczyli zacięty pojedynek, co spotkało się z przychylną reakcją kibiców. Z górnych trybun posypał się deszcz monet, rozległy się okrzyki w językach hiszpańskim i angielskim. Po czterech rundach wiedziałem już, że Lee się nie zjawi; bokserzy wagi koguciej, obaj mocno pokiereszowani, sprawili, że zacząłem rozmyślać o zaszlachtowanej dziewczynie. Wstałem i wyszedłem; wiedziałem, gdzie znajdę Lee.

Wróciłem na Trzydziestą Dziewiątą przy Norton. Cały plac został oświetlony lampami łukowymi, było tu jasno jak w dzień. Lee stał tuż przy linach rozwieszonych wokół placu. Noc zrobiła się chłodna, Lee, skulony, patrzył z uwagą na techników krzątających się wśród chwastów.

Podszedłem do niego. Lee dostrzegł mnie i żartobliwym gestem udał, że dobywa broni, po czym „strzelił” do mnie z palców wskazujących, odwodząc kciuki zamiast kurków. Zawsze się tak zachowywał, gdy brał benzedrynę.

- Mieliśmy się spotkać. Pamiętasz?

W świetle lamp łukowych twarz Lee była bladolina. - Mówiłem, że to priorytetowa sprawa. Nie pamiętasz?

Spoglądając w dal, zauważyłem, że inne place także zostały oświetlone. - Dla wydziału to faktycznie może być sprawa priorytetowa. Dla nas najważniejszy jest Junior Nash.

Lee pokręcił głową. - To wielka sprawa, partnerze. Parę godzin temu zjawili się tu Horall i Thad Green. Jack Tierney został oddelegowany do wydziału zabójstw, aby przeprowadził śledztwo, a do pomocy przydzielono mu Russa Millarda. Chcesz znać moje zdanie?

- Wal.

- To pokazówka. Zabito miłą, białą dziewczynę, a wydział robi co może, aby dopaść zabójcę i pokazać wyborcom, że przegłosowanie sprawy obligacji pomogło w dofinansowaniu i wzmocnieniu policji.

- Może wcale nie była miłą dziewczyną. Może ta staruszka, którą zabił Nash, była czyjąś ukochaną babcią. Może traktujesz tę sprawę za bardzo osobiście i lepiej chyba pozwolić, aby zajął się nią wydział, a samemu wrócić do naszych obowiązków, zanim Junior zabije kolejną osobę...

Lee zacisnął dłonie w pięści. - Jeszcze jakieś „może”?

Postąpiłem naprzód. - Może boisz się wyjścia z mamra Bobby’ego De Witt. Może jesteś zbyt dumny, aby poprosić mnie o pomoc w przegonieniu go od kobiety, na której obu nam zależy. Może pozwólmy, aby wydział zrehabilitował się tą sprawą za Laurie Blanchard...

Lee rozluźnił dłonie i odwrócił się; patrzyłem, jak kołysze się na piętach, i liczyłem, że zacznie się wściekać, rzuci jakąś kąśliwą uwagę albo zrobi co innego, byle tylko nie dał po sobie poznać, że to go zraniło. Aż w końcu to moje dłonie zacisnęły się w pięści i krzyknąłem: - Mów do mnie, cholera! Jesteśmy partnerami! Zabiliśmy wspólnie czterech pieprzonych bandziorów, a ty teraz tak ze mną pogrywasz!

Lee odwrócił się. Znowu posłał mi swój wystudiowany, demoniczny uśmiezek, ale wydawał się on smutny, nerwowy, wyzuty z wszelkich emocji. Głos miał ochrypy i cichy.

- Czuwałem nad Laurie, kiedy się bawiła. Byłem prawdziwym zabijaką. Inne dzieci bały się mnie. Miałem wiele dziewcząt, no wiesz, cieleca miłość i takie tam. Młodzieńcze zadurzenie. Dziewczęta żartowały ze mnie, że spędzam tyle czasu z Laurie, jakby to ona była moją jedyną miłością... A ja naprawdę ją kochałem. Była piękna i mądra.

Nasz tato mówił o zapisaniu Laurie na lekcje baletu, nauki gry na pianinie oraz

śpiewu. Byłem pewien, że tak jak ojciec właśnie pójdę do pracy w fabryce opon Firestone, a Laurie zostanie artystką. To tylko słowa, ale byłem wtedy dzieckiem i to, co mówiłem, wydawało mi się prawdziwe.

W czasie kiedy zniknęła, tato często mówił o tych wszystkich lekcjach i byłem bardzo zły na Laurie. Zacząłem zostawiać ją samą, gdy szła się bawić po szkole. Do naszego sąsiedztwa wprowadziła się ta bezpruderyjna dziewczyna. Była łatwa, nie miała żadnych zahamowań, a w dodatku lubiła sobie golnąć i podrywała wszystkich chłopców. Bzykałem ją, kiedy zniknęła Laurie, bzykałem ją, kiedy powinienem był ochraniać siostrę...!

Sięgnąłem, by dotknąć ramienia mego partnera i dać mu do zrozumienia, że wiedziałem, o co mu chodzi; Lee odtrącił moją dłoń.

- Nie mów mi, że rozumiesz, bo powiem ci coś, co jest w tym wszystkim najgorsze. Laurie nie żyje. Ktoś ją zabił. Jakiś zboczeniec udusił ją albo poćwiartował. A kiedy ona umierała, ja bardzo źle o niej myślałem. O tym, że jej nienawidzę, bo dla taty była prawdziwą księżniczką, a ja tępym, bezmózgim osiłkiem. Dziś rano wyobraziłem sobie moją siostrę porżniętą jak ta nieznana dziewczyna i przypomniałem sobie, jak się wtedy śmiałem, będąc z tą wywłoką, pieprząc się z nią i żłopiąc wódę jej ojca.

Lee wziął głęboki oddech i wskazał na miejsce oddalone o kilka jardów od nas. Rozstawiono tam drugi, wewnętrzny perymetr, miejsce odnalezienia dwóch połówek zwłok zostało oznaczone niegaszonym wapnem. Spojrzałem na obrys rozłożonych szeroko nóg; Lee rzekł: - Dorwę go. Dopadnę go, z tobą lub bez ciebie.

Na moich ustach pojawił się widmowy uśmiezek. - Do zobaczenia jutro na komendzie.

- Z tobą lub bez ciebie.

- Słyszałem - odparłem krótko i wróciłem do auta. Gdy uruchamiałem silnik, zwróciłem uwagę, że na pustym placu opodal także rozstawiono i zapalono przenośne lampy łukowe.

8.

Pierwsze, co zobaczyłem, kiedy wróciłem na posterunek następnego ranka, to Harry Sears czytający nagłówek z *Heralda*: „Polowanie na wampira po makabrycznym zabójstwie!!!”; drugie to pięciu mężczyzn: dwóch pijaczków, dwóch silnoręki i jeden w więziennych drelichach, przykutych kajdankami do ławy. Harry odłożył gazetę i wykrztusił: -

T-t-to ci, c-c-co się p-p-przyznali. Twierdzą, że t-t-to oni p-p-pokroili tę cież.

Skinąłem głową, słysząc krzyki dochodzące z pokoju przesłuchań.

W chwilę później Bill Koenig wyprowadził z pokoju zgiętego wpół grubasa i ogłosił wszem i wobec: - On tego nie zrobił.

Paru funkcjonariuszy ironicznie zaklaskało w dłonie; pół tuzina innych odwróciło wzrok z odrazą.

Koenig wypchnął tłuszciocha na korytarz. Zwróciłem się do Harry'ego: - Gdzie Lee?

Harry skinął ręką w stronę gabinetu Loewa: - Z E-E-Ellisem. I r-r-reporterami.

Podszedłem i zajrzałem do środka przez szparę w drzwiach. Ellis Loew stał za swoim biurkiem, pozując przed grupą dziennikarzy. Lee siedział obok zastępcy prokuratora okręgowego, ubrany w swój jedyny garnitur. Wyglądał na zmęczonego... choć nie tak wzburzonego jak ubiegłej nocy.

Loew mówił z przejęciem: - ...wyjątkowo odrażająca natura tej zbrodni zmusza nas, abyśmy dołożyli wszelkich starań i schwytali tego potwora najszybciej, jak to możliwe. Grupa doskonale przeszkolonych funkcjonariuszy, wśród nich między innymi byli pięściarze - Ogień i Lód - została odsunięta od dotychczasowych obowiązków, aby dopomóc w śledztwie, a gdy za dochodzenie biorą się tacy jak oni, śmiem twierdzić, że już wkrótce możemy spodziewać się pozytywnych rezultatów. Poza tym...

Nie usłyszałem nic więcej, tak głośno pulsowała krew w moich skroniach. Uchyliłem trochę bardziej drzwi. Lee zauważył mnie, skinął głową do Loewa i opuścił gabinet. Odprowadził mnie do naszego kantorka w egzekucyjnym; odwróciłem się: - To ty zdjąłeś nas z dotychczasowego śledztwa, zgadza się?

Lee uspokajającym gestem położył dłoń na mojej piersi. - Powoli i spokojnie, dobra? Po pierwsze przekazałem Ellisowi szczegółowy raport. Stwierdza on autorytatywnie, że Nash zwiął z terytorium objętego naszą jurysdykcją.

- Chyba ci odbiło!

- Cii. Zrozum, chodziło mi tylko o uwolnienie się od niepotrzebnego brzemienia. Nash wciąż jest poszukiwany listem gończym, jego melina pozostaje pod obserwacją, wszystkie gliny z Southville aż się palą, żeby go przyskrzynić. Ja sam zamierzam spędzić najbliższą noc w tym jego „gniazdku miłości”. Mam lornetkę i z jej pomocą w świetle lamp łukowych powinienem bez trudu odczytać numery rejestracyjne aut przejeżdżających przez Norton. Może ten zabójca wróci na miejsce zbrodni, aby się trochę ponapawać. Spiszę numery rejestracyjne, a potem sprawdzę je w ewidencji pojazdów i naszym archiwum.

Westchnąłem. - Jezu, Lee.

- Partnerze, jedyne, czego chcę, to tydzień pracy nad sprawą tej dziewczyny. Nash jest kryty, a jeśli do tej pory go nie dorwę, znów się nim zajmiemy.

- On jest zbyt niebezpieczny, żebyśmy mogli go zostawić. Wiesz o tym.

- Powtarzam. On jest kryty, partnerze. A teraz powiedz mi, że nie chcesz podbudować swojej kariery na sprawie tego zabójstwa. Nie mów, że twoim zdaniem taki cienias jak Junior Nash jest lepszy niż zabita dziewczyna.

Oczyrna duszy ujrzałem kolejne nagłówki z naszymi przydomkami.

- Jeden tydzień, Lee. Ani dnia więcej.

Lee mrugnął. - Się wie.

Z interkomu dobiegł głos kapitana Jacka: - Panowie, zapraszam wszystkich do sali odpraw. Natychmiast.

Sięgnąłem po mój notes i przeszedłem przez całą salę. Liczba osób, które przyznały się do zabójstwa, wzrosła. Kolejni domniemani sprawcy zostali przykuci kajdankami do rur centralnego ogrzewania i kaloryferów. Bill Koenig bił po twarzy jakiegoś staruszka, który domagał się widzenia z burmistrzem; Fritzie Vogel spisywał nazwiska w notatniku na podkładce. W sali odpraw pojawili się wyżsi rangą funkcjonariusze z komendy głównej i biura śledczego oraz wielu gliniarzy po cywilnemu, których nigdy dotąd nie widziałem. Kapitan Jack i Russ Millard stali przy mikrofonie. Tierney postukał palcem w mikrofon, odchrząknął i rzekł:

- Panowie, to odprawa ogólna w sprawie zabójstwa w Leimert Park. Jestem pewien, że wszyscy czytaliście gazety i zdajecie sobie sprawę, że sytuacja jest poważna, tak jak zbrodnia, którą popełniono. Czekają nas sporo ciężkiej pracy. Biuro burmistrza jest zasypywane telefonami, my również, podobnie jak Ratusz; szef Horall także odbiera mnóstwo telefonów od ludzi, których nie chcielibyśmy niepotrzebnie niepokoić. Ten wampir, o którym piszą w gazetach, przysporzy nam tylko kolejnych problemów, których, nawiasem mówiąc, wolelibyśmy uniknąć. Postarajmy uporać się z tym możliwie jak najszybciej.

Zacznijmy od ustalenia łańcucha dowodzenia. Ja nadzoruję wszystko, porucznik Millard jest moją prawą ręką, a sierżant Sears będzie pełnił funkcję gońca pomiędzy wydziałami. Zastępca prokuratora okręgowego Loew to nasz łącznik z prasą i władzami cywilnymi, a z dniem 16.01.47 następujący funkcjonariusze zostają oddelegowani do wydziału zabójstw: sierżant Anders, detektyw Arcola, sierżant Blanchard, posterunkowy Bleichert, sierżant Cavanaugh, detektyw Ellison, detektyw Grimes, sierżant Koenig, detektyw Liggett, detektyw Navarette, sierżant Pratt, detektyw J. Smith, detektyw W. Smith, sierżant Vogel. Po odprawie zapraszam panów do gabinetu porucznika Millarda. Russ, przekazuję ci

tych ludzi.

Wyjąłem pióro, szturchając stojącego obok mnie mężczyznę łokciem, aby mieć więcej miejsca. Wszyscy gliniarze wokoło robili to samo; i patrzyli z uwagą na przełożonych.

Millard odezwał się jak adwokat podczas mowy końcowej w sądzie: - Wczoraj, o siódmej rano przy Norton Avenue, pomiędzy Trzydziestą Dziewiątą i Coliseum, na pustym placu odnaleziono zwłoki nagiej dziewczyny, rozplątane na dwoje. Najwyraźniej była torturowana, ale wstrzymam się z tym stwierdzeniem, dopóki nie porozmawiam z chirurgiem, który przeprowadził autopsję - doktor Newbarr miał się tym zająć dziś po południu, w kostnicy szpitala Queen of Angels. Żadnych dziennikarzy, są szczegóły, które chcielibyśmy przed nimi zataić.

Cały teren został gruntownie przeszukany - jak dotąd zero jakichkolwiek tropów. W miejscu odnalezienia ciała nie było nawet kropli krwi, ewidentnie dziewczynę zamordowano gdzieś indziej, a potem zwłoki podrzucono na pustą parcelę. W tej okolicy jest wiele pustych placów; przeszukaliśmy je w poszukiwaniu broni i śladów krwi. Przy tej samej ulicy garaż wynajmował Raymond Douglas Nash - sprawdziliśmy tę melinę na obecność śladów krwi i odcisków palców. Chłopcy z laboratorium nic nie znaleźli; Nash nie jest podejrzanym w sprawie zabójstwa tej dziewczyny.

Jak dotąd nie udało nam się jej zidentyfikować, nie pasuje do żadnej z osób z archiwum Biura Osób Zaginionych. Przesłaliśmy jej odciski palców, toteż już wkrótce powinniśmy otrzymać stosowny raport. Nawiasem mówiąc, wszystko zaczęło się od anonimowego telefonu na posterunek University. Funkcjonariusz, który przyjął zgłoszenie, powiedział, że na komendę zadzwoniła rozhisteryzowana kobieta, która odprowadzała córkę do szkoły. Kobieta nie podała swoich personaliów i odłożyła słuchawkę; myślę, że możemy wyeliminować ją jako podejrzaną...

Ton głosu Millarda zmienił się na bardziej mentorski: - Do czasu zidentyfikowania zwłok śledztwo ma się toczyć wokół Trzydziestej Dziewiątej i Norton, następnym krokiem będzie ponowne przeczesanie całego terenu.

Rozległ się donośny, płynący z wielu ust jęk. Millard skrzywił się i rzekł: - Posterunek University będzie pełnił funkcję punktu dowodzenia i tam też będą gromadzone i przechowywane notatki funkcjonariuszy z działań w terenie. Urzędnicy z komendy zajmą się zbieraniem raportów ogólnych i ewidencjonowaniem zebranych dowodów. Wszystkie materiały zostaną wywieszane na tablicach ogłoszeń, a ich kopie trafią do szefa funkcjonariuszy policji i pracowników biura szeryfa. Pracownicy innych wydziałów mają ogłosić to, o czym tu dziś usłyszają, w swoich macierzystych jednostkach, do wiadomości

wszystkich funkcjonariuszy. Wszelkie informacje zdobyte przez policyjne patrole mają być niezwłocznie przekazane do wydziału zabójstw z komendy głównej, wewnętrzny 411. Mam tu listę nowych miejsc, które macie odwiedzić, wszyscy oprócz Bleicherta i Blancharda. Bucky, Lee, przeczeszecie ten sam obszar co wczoraj. Funkcjonariusze innych placówek, proszę pozostać na miejscach, pozostali wyznaczeni przez kapitana Tierneya spotkają się ze mną już teraz. To wszystko!

Wyszedłem i zbiegłem schodami pożarowymi na parking: chciałem znaleźć się jak najdalej od Lee, aby zapomnieć o spreparowanym przez niego raporcie na temat Nasha, z którym przez moje milczenie chcąc nie chcąc się zgodziłem. Niebo stało się ciemnoszare, przez całą drogę do Leimert Park rozmyślałem o burzy zacierającej ślady na pustych placach, rozmywającej tropy w sprawie zabójstwa młodej dziewczyny i łzy wylewane przez Lee za utraconą siostrą, aż kanały wypełnią się, wyleją i Junior Nash wychyli głowę ze swej kryjówki, błagając, abyśmy go aresztowali. Gdy zaparkowałem wóz, chmury zaczęły się rozplýwać; niedługo potem skąpały mnie pierwsze, jeszcze nieśmiałe promienie słońca i równocześnie kolejne przeczące odpowiedzi, jakie otrzymywałem, jęły podsycać moją fantazję.

Zadawałem te same pytania co poprzedniego dnia, teraz jednak położyłem większy nacisk na sprawę Nasha. I tym razem było inaczej. Gliny przeczesywały cały teren, spisując numery rejestracyjne zaparkowanych aut i przebagrowując kanały w poszukiwaniu części damskiej garderoby, a miejscowi słuchali radia i czytali gazety.

Jakaś cuchnąca wiśniówką pijaczka pokazała mi plastikowy krucyfiks i zapytała, czy to pomoże odstraszyć wampira; stary przyk w kalesonach i koloratce powiedział mi, że ta martwa dziewczyna to ofiara dla Boga za to, że mieszkańcy Leimert Park głosowali w czasie wyborów w '46 na demokratów. Mały chłopiec pokazał mi filmowy plakat z Belą Lugosim w roli Draculi i wyjaśnił, że pusty plac przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton był platformą startową jego rakiety; zaś kibic i miłośnik boksu, który rozpoznał mnie z walki z Blanchardem, poprosiwszy o autograf, bez ogródek stwierdził, że zabójcą był baset jego sąsiada, i zapytał, czy nie zechciałbym z łaski swojej odstrzelić tego wrednego sukinsyna?

Te same przeczące odpowiedzi były równie nużące, jak fantazyjne okazywały się odpowiedzi świrów i poczułem się jak aktor w jakiejś farsie. O wpół do drugiej wróciłem do auta, rozmyślając o lunchu i skontaktowałem się z posterunkiem University. Pod wycieraczką tkwiła złożona kartka, z osobistej papeterii Thada Greene'a z adnotacją następującej treści: „Potwierdzony świadek policji - proszę wpuścić tego funkcjonariusza na autopsję NN #31, 16.01.47 o 14”. U dołu nabazgrano podpis Greene'a, choć charakter pisma wyglądał dziwnie

znajomo jak pismo sierżanta Lelanda C. Blancharda. Śmiejąc się mimowolnie, pojechałem do szpitala Queens of Angels.

W korytarzu roiło się od pielęgniarek i staruszków na wózkach noszowych. Pokazałem jednej ze starszych sióstr moją odznakę i zapytałem, gdzie przeprowadza się autopsje; przeżegnała się i poprowadziła mnie w głąb korytarza, wskazując na dwuskrzydłowe drzwi z napisem: Patologia. Podszedłem do policjanta na straży przy wejściu i pokazałem mu kartkę; stanął na baczność, otworzył dla mnie drzwi, a ja wszedłem do małego, chłodnego pomieszczenia, pomalowanego na białą, pośrodku którego wznosił się duży, metalowy stół sekcyjny. Leżały na nim dwa przykryte prześcieradłem obiekty. Usiadłem na ławie naprzeciw stołu, dygocząc na myśl, że znów ujrzę ten upiorny, makabryczny uśmiech, grymas na oszpeconych ustach martwej kobiety.

Dwuskrzydłowe drzwi otwarły się w kilka sekund później. Do środka wszedł wysoki, starszy mężczyzna palący cygaro oraz pielęgniarka z notesem w dłoni. Za nimi do pomieszczenia weszli Russ Millard, Harry Sears i Lee; prawa ręka szefa z wydziału zabójstw pokręcił głową: - Ty i Blanchard macie niemiły zwyczaj pojawiania się, gdzie was nie proszą. Doktorze, czy możemy zapalić?

Staruszek wyjął skalpel z tylnej kieszeni spodni i otarł ostrze o nogawkę. - Jasne. Dziewczynie to już nie zaszkodzi, na dobre przeniosła się na łono Abrahama. Siostrzo Margaret, proszę mi pomóc zdjąć to prześcieradło.

Lee usiadł na ławce obok mnie; Millard i Sears zapalili papierosy, po czym wyjęli pióra i notesy. Lee ziewnął i zapytał: - I co? Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

Zauważyłem, że benzedryna, którą łyknął, przestawała działać. - Tak. To robota wampira z kosmosu. Buck Rogers ściga go swoją rakieta, a ty powinieneś pojechać do domu i trochę się przespać.

- Później. Mnie próbowano wmówić, że zrobili to faszyci. Gość powiedział mi, że widział Hitlera w knajpie przy Trzydziestej Dziewiątej i Crenshaw... O Jezu, Bucky...

Lee spuścił wzrok; spojrzałem na stół sekcyjny. Ciało zabitej dziewczyny zostało odsłonięte, jej głowa była przechylona w naszą stronę. Spojrzałem na swoje buty, podczas gdy doktor zaczął mówić, używając medycznego żargonu:

- Mamy dziś sekcję kobiety rasy białej. Kolor mięśni wskazuje, że ma ona pomiędzy 16 a 30 lat. Zwłoki zostały przepołowione na wysokości pępka. Co się tyczy górnej połowy: głowa jest cała, czaszka nosi ślady licznych, rozległych obrażeń, rysy twarzy w dużej mierze zniekształcone wskutek sporych wybroczyn i obrzęków. Chrzątka nosowa przesunięta z przemieszczeniem ku dołowi. Głębokie nacięcia w rejonie obu kącików ust, sięgające wzdłuż

zuchwy, aż do małżowin usznych. Brak widocznych zasinień na szyi. Liczne rany cięte w górnej części klatki piersiowej, głównie na piersiach. Prawa pierś niemal całkiem odcięta od tułowia. Badanie górnej części wnętrza jamy brzusznej nie stwierdziło obecności krwi. Jelita, żołądek i śledziona zostały usunięte.

Doktor wziął głęboki oddech; uniosłem wzrok i patrzyłem, jak tamten wydmuchuje dym z cygara. Pielęgniarka przerwała stenografowanie, Millard i Sears patrzyli tępo na denatkę, podczas gdy Lee wlepił wzrok w podłogę i ocierał pot z czoła.

- Brak hipertrofii piersi wskazuje, że w chwili śmierci nie była w ciąży. - Sięgnął po skalpel i zaczął gmerać w nim w dolnej części ciała trupa.

Zamknąłem oczy i słuchałem z uwagą.

- Badanie dolnej części ciała denatki wykazało długie, pionowe nacięcie od pępka aż do spojenia łonowego. Krezka, macica, jajniki i odbyt zostały usunięte; liczne rany cięte zarówno po zewnętrznej, jak i wewnętrznej stronie ścian jamy brzusznej. Duża, trójkątna rana z usunięciem tkanek na lewym udzie... Siostro, proszę pomóc mi ją odwrócić.

Usłyszałem otwierające się drzwi, ktoś zawołał: „Poruczniku!”. Otworzyłem oczy i zobaczyłem jak Millard wstaje, a doktor i pielęgniarka przewracają denatkę na brzuch. Potem doktor uniósł kostki zmarłej i wyprostował jej nogi. - Obie nogi złamane w kolanach, obrażenia zadano jeszcze za życia denatki, bo rany zaczęły się goić, lekkie ślady chłostania na barkach i ramionach. Ślady otarć na obu kostkach. Siostro, poproszę o wziernik i wacik.

Millard wrócił i podał Searsowi kartkę papieru. Tamten przeczytał i szturchnął Lee. Lekarz i pielęgniarka odwrócili dolną część ciała denatki, rozkładając szeroko jej nogi. Poczulem, że żołądek podchodzi mi do gardła; Lee rzucił: - Bingo. - Wlepił wzrok w kartkę, podczas gdy doktor beznamytnym głosem mówił o braku obrażeń pochwy i warg sromowych i obecności starego nasienia. Chłód w jego głosie wzbudził we mnie gniew. Sięgnąłem po kartkę i przeczytałem „Russ - denatka to Elizabeth Ann Short, ur. 29.07.24 w Medford, Massachusetts. Federalni zidentyfikowali jej odciski palców; aresztowano ją we wrześniu '43 w Santa Barbara. Trwa sprawdzanie jej przeszłości. Prześlij na komendę główną szczegółowe wyniki autopsji. I ściągnij wszystkich dostępnych funkcjonariuszy w terenie. J.T.”

Doktor rzekł: - To jedynie autopsja wstępna. Później dokonam bardziej szczegółowego badania i przeprowadzę podstawowe testy toksykologiczne. - Nakrył prześcieradłem obie połowy ciała Elizabeth Ann Short, po czym spytał: - Jakies pytania?

Pielęgniarka z notatnikiem, w którym stenograficznie zapisała wyniki wstępnej sekcji, ruszyła w stronę drzwi.

- Czy mógłby pan odtworzyć dla nas przebieg zdarzeń? - zapytał Millard.

- W oczekiwaniu na wyniki testów, oczywiście, że tak. Oto co wiemy na pewno: nie była w ciąży, nie została zgwałcona, ale w ubiegłym tygodniu odbyła stosunek płciowy, na który wyraziła przyzwolenie. W ubiegłym tygodniu została też, jakby to powiedzieć, w delikatny sposób wychłostana; ostatnie ślady na plecach są starsze niż nacięcia z przodu ciała. Oto co moim zdaniem się wydarzyło. Sądzę, że została związana i była traktowana z użyciem noża przez trzydzieści sześć do czterdziestu ośmiu godzin. Jej nogi zostały połamane jakimś gładkim, zaokrąglonym narzędziem, w rodzaju kija baseballowego, kiedy jeszcze żyła. Śmiem twierdzić, że zatłuczono ją na śmierć narzędziem w rodzaju kija baseballowego albo zakrzusiła się na śmierć krwią z rany na ustach. Po śmierci jej ciało przepołowiono z pomocą noża rzeźnickiego lub innego tego typu narzędzia, a zabójca zabrał się za usuwanie jej narządów wewnętrznych, używając w tym celu czegoś w rodzaju scyzoryka. Później odsączył ciało z krwi i umył ją do czysta, przypuszczalnie w wannie. Pobraliśmy parę próbek krwi z nerek i za kilka godzin będziemy wiedzieć, czy w jej ciele znajdowały się jakieś narkotyki, czy może alkohol.

Lee wtrącił: - Doktorze, czy ten facet znał się na medycynie albo przynajmniej na anatomii? Po co usuwał organy wewnętrzne?

Doktor utkwiał wzrok w rozżarzonej koniuszku cygara. - Niech pan mi to powie. Organy z górnej połowy ciała mógł usunąć bez większych problemów. Organy dolne musiał wykrajać nożem i robił to z takim zapalem, że można przypuszczać, że to na nich najbardziej mu zależało. Mógł mieć przeszkolenie medyczne albo równie dobrze może być weterynarzem, wypychaczem zwierząt, absolwentem wydziału biologii, pasjonatem zajęć z fizjologii albo studentem uczęszczającym na moje zajęcia z patologii na UCLA. Niech pan mi to powie. Ja wiem jedno, ta dziewczyna zmarła na sześć do ośmiu godzin przed tym, nim ją znaleziono, i zabito ją w jakimś odludnym miejscu, gdzie musi być bieżąca woda. Harry, czy wiadomo już, jak ona się nazywa?

Sears próbował odpowiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Millard położył mu dłoń na ramieniu i rzekł: - Elizabeth Short.

Doktor zasalutował cygarem ku niebu. - Bóg cię kocha, Elizabeth. Russell, kiedy dorwiesz skurwiela, który jej to zrobił, przykop mu w jaja i powiedz, że to od doktora Fredericka D. Newbarra. A teraz jazda stąd, wszyscy. Za dziesięć minut mam randkę ze skoczkiem-samobójcą.

*

Po wyjściu z windy usłyszałem głos Ellisa Loewa, oktawę donośniejszy i głębszy niż zazwyczaj, rozbrzmiewający w głębi korytarza. Wychwyciłem: „Wiwisekcja młodej kobiety”,

„Wampir psychopata” i „Moje aspiracje polityczne są podporządkowane pragnieniu, aby sprawiedliwości stało się zadość”. Za drzwiami do wydziału zabójstw ujrzałem błyskotliwego republikańskiego chłopca stojącego przed istnym lasem mikrofonów, podczas gdy ekipa od nagrań czuwała tuż obok. W klapę miał wpięty znaczek Ligi Amerykańskiej, najprawdopodobniej nabyty od pijaczka-legionisty, który sypiał na pobliskim parkingu, a którego Loew niegdyś ostro prześladował pod zarzutem włóczęgostwa.

Udałem się wprost do gabinetu Tierneya. Lee, Russ Millard, Harry Sears i dwaj starzy gliniarze, których prawie nie znałem - Dick Cavanaugh i Vern Smith tłoczyli się przy biurku kapitana, zerkając na kartkę, którą trzymał w dłoni.

Zajrzałem Harry’emu przez ramię. Do jednej z kartek przypięte były zdjęcia olśniewająco pięknej brunetki i trzy fotografie przedstawiające w zbliżeniu zwłoki denatki znalezionej przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton. Znów zobaczyłem te rozplątane, szczerzące się w niemym uśmiechu usta. Kapitan Jack powiedział: - Zdjęcia pochodzą z komendy policji w Santa Barbara. Zgarnęli tę Short we wrześniu ’43 za to, że choć nieletnia, piła alkohol, po czym odesłali ją do matki, w Massachusetts. Policja z Bostonu skontaktowała się z nią godzinę temu. Przyleci tu jutro, aby zidentyfikować zwłoki. Gliny z Bostonu badają przeszłość denatki, odwołaliśmy wszystkie dni wolne pracowników naszego wydziału. Jeśli ktoś spróbuje się skarżyć, niech spojrzy na te zdjęcia. Russ, co powiedział doktor Newbarr?

Millard rzekł: - Torturowano ją przez dwa dni. Przyczyna śmierci: uszkodzenie czaszki albo rana na ustach. Nie ma śladów gwałtu. Wewnętrzne organy usunięto. Zmarła na sześć do ośmiu godzin przed tym, jak jej zwłoki podrzucono na placu. Co jeszcze wiemy na jej temat?

Tierney zajrzał do papierów leżących na biurku. - Pomijając to aresztowanie, kiedy była jeszcze nieletnia, jej akta są czyste. Cztery siostry, rodzice rozwiedzeni, podczas wojny pracowała w kantynie w Camp Cooke. Ojciec jest tu, w LA... Co dalej?

Tylko ja zamrugalem, kiedy szef zwrócił się z tym pytaniem do swego asystenta i prawej ręki. Millard rzekł: - Chcę raz jeszcze obejść cały teren Leimert Park, ze zdjęciami tej dziewczyny. Ja, Harry i jeszcze dwóch innych. Potem chcę wybrać się na posterunek University, przeczytać raporty i dowiedzieć się, jaki był odzew. Czy Loew udostępni zdjęcia prasie?

Tierney skinął głową. - Tak, a Bevo Means powiedział, że ojciec sprzedał *Timesowi* i *Heraldowi* stare zdjęcie swojej córki. Fotografie pojawią się w dzisiejszych wieczornych wydaniach tych gazet.

Millard warknął: - Cholera. - To jedyne brzydkie słowo, jakie kiedykolwiek padło z

jego ust. - Te sępy nie przeoczą żadnej sytuacji, aby tylko dopiąć swego - wycedził przez zęby. - Czy ojciec został już przesłuchany?

Tierney pokręcił głową i zajrzał do swoich papierów. - Cleo Short, South Kingsley 1020, okręg Wilshire. Poleciałem jednemu z funkcjonariuszy, aby się z nim skontaktował. Miał poprosić go, aby nie wychodził z domu, bo chcieliśmy z nim porozmawiać i niebawem przyślemy do niego kilku ludzi... Russ, jak sądzisz, czy nasi psychole darują już sobie teraz tę biedną dziewczynę?

- Ilu się do tej pory przyznało?

- Osiemnastu.

- Do rana będzie ich dwa razy tylu, albo nawet więcej, jeśli Loew urzeknie prasę swym miódopłylnym głosem.

- Powiedziałbym raczej, że da im niezbędną wiedzę, poruczniku. I nie nazwałbym mego głosu miódopłylnym. Po prostu opisuję zbrodnię w najprostszy z możliwych sposobów! - Ellis Loew stał w drzwiach; towarzyszyli mu Fritz Vogel i Bill Koenig.

Millard przeniósł wzrok na gwiazdę radia. - Zbyt duży rozgłos powoduje niepotrzebne trudności, Ellis. Gdybyś był policjantem, wiedziałbyś o tym.

Loew zaczerwienił się i sięgnął po swój kluczyk bractwa Phi Beta Kappa. - Jestem funkcjonariuszem służb cywilnych wyznaczonym przez miasto Los Angeles jako oficer łącznikowy z miejscową policją.

Millard uśmiechnął się. - I jako cywil, prokuratorze.

Loew zjeżył się, po czym zwrócił się do Tierneya: - Kapitanie, czy wysłano ludzi, aby rozmawiali z ojcem tej dziewczyny?

- Jeszcze nie, Ellisie - odparł kapitan Jack. - Zrobię to niebawem.

- Może posłać tam Vogela i Koeniga? Na pewno dowiedzą się tego, o co nam chodzi.

Tierney spojrzął na Millarda. Porucznik niemal niedostrzegalnie pokręcił głową; kapitan Jack rzekł: - Widzisz, Ellisie, przy tak poważnych sprawach jak zabójstwo, to komendant wyznacza osoby do konkretnych działań operacyjnych... Russ, jak sądzisz, kto powinien się tym zająć?

Millard otaksował wzrokiem Cavanaugha i Smitha, ja starałem się nie rzucać w oczy, a Lee ziewnął ostentacyjnie, oparty plecami o ścianę. W końcu padło: - Bleichert, Blanchard, to wy zajmiecie się przesłuchaniem ojca tej Short. Jutro rano na posterunku University ma się znaleźć raport z przesłuchania.

Loew silnym szarpnięciem zerwał z łańcuszka kluczyk bractwa Phi Beta Kappa; mały przedmiot spadł na podłogę. Bill Koenig precyzyjnie się przez drzwi i podniósł kluczyk; Loew

z ponurą miną wyszedł na korytarz. Vogel łypnął na Millarda spode łba, po czym podążył za nim. Harry Sears, z oddechem przesyconym wonią Old Grand Dad powiedział: - Wyśle taki paru czarnuchów do komory gazowej i od razu woda sodowa uderza mu do głowy.

Vern Smith rzekł: - Czarnuchy musiały się przyznać.

Dick Cavanaugh dodał: - Gdy Fritz i Bill wezmą się do roboty, to nie ma mocnych, każdy się przyzna.

Russ Millard mruknął: - Tępy, zarozumiały sukinsyn.

*

Pojechaliśmy każdy swoim autem do okręgu Wilshire, by o zmierzchu spotkać się przed budynkiem przy South Kingsley 1020. Był to budynek mieszkalny, przystosowany z dawnego garażu, wielkości magazynu, stojący na tyłach dużej, wiktoriańskiej rezydencji. Wewnątrz paliło się światło; Lee ziewnął i rzekł: - Dobry glina, zły glina. - Po czym nadusił dzwonek.

Drzwi otworzył chudy mężczyzna po pięćdziesiątce i powiedział: - Gliny, tak? - Miał ciemne włosy i jasne oczy, jak dziewczyna ze zdjęcia, ale na tym rodzinne podobieństwo się kończyło. Elizabeth Short była olśniewająca, on wyglądał jak ofiara losu; kościsty facet w workowatych, brązowych spodniach i brudnym podkoszulku, ze znamionami na ramionach i zaciętą twarzą, pokrytą bliznami po wietrznej ospie. Zapraszając nas do środka, zaznaczył: - Mam alibi; na wypadek gdyby przyszło wam do głowy, że to moja robota. Niepodważalne jak wszyscy diabli.

Jak na dobrego glinę przystało, powiedziałem: - Jestem detektyw Bleichert, panie Short. To mój partner, sierżant Blanchard. Wyrazy współczucia z powodu śmierci córki.

Cleo Short trzasnął drzwiami. - Czytałem gazety, wiem, kim pan jest. Żaden z was nie wytrzymałby jednej rundy z Dzentelmenem Jimem Jeffriesem. A jeśli chodzi o kondolencje, cóż, c'est la vie. Betty lubiła żyć na wysokich obrotach i zapłaciła za to najwyższą cenę. Na tym świecie nie ma nic za darmo. Chcecie poznać moje alibi?

Usiadłem na wyświechtanej kanapie i zlustrowałem wzrokiem pokój. Wzdłuż ścian ciągnął się regał, którego półki, od podłogi aż po sufit, wypełnione były tanimi powieściami; była tu kanapa, jedno drewniane krzesło i nic więcej. - Skoro tak panu pilno, aby opowiedzieć nam swoją wersję, słuchamy.

Short rozsiadł się na krześle i poszorował stopami po podłodze jak zwierzę grzebiące w ziemi. - Od wtorku czternastego o drugiej do środy piętnastego o piątej byłem w pracy. Całe dwadzieścia siedem godzin, tak od siedemnastu lat. Zajmuję się naprawą lodówek, jestem najlepszym specjalistą na całym zachodzie. Pracuję we Frost King Appliances, South

Berendo 4831. Mój szef nazywa się Mike Mazmanian. Zadzwońcie do niego. Zapewni mi alibi pewniejsze niż śmierć i podatki, dając głowę.

Lee ziewnął i zapisał to; Cleo Short skrzyżował ramiona na zapadniętej klatce piersiowej, w zuchwałej pozie, jakby rzucał nam wyzwanie, abyśmy podważyli wiarygodność jego słów. Zapytałem: - Kiedy ostatni raz widział pan swoją córkę, panie Short?

- Betty przybyła na zachód wiosną '43. Była pełna nadziei i miała fiu-bździu w głowie. Od tej pory jej nie widziałem. Moją żonę, tę zasuszoną starą jędzę zostawiłem w Charleston, Massachusetts, 1 marca 1930 i chwala Bogu. Ale Betty napisała do mnie, mówiła, że potrzebuje kasy, więc...

Lee wszedł mu w słowo: - Do rzeczy, ojczulku. Kiedy ostatni raz widziałeś Elizabeth?

- Wyluzuj, partnerze - wtrąciłem. - Ten człowiek chce współpracować. Proszę mówić dalej, panie Short.

Cleo Short rozsiadł się wygodniej na krześle, łypiąc gniewnie na Lee. - Zanim ten popędliwy osiłek mi przerwał, chciałem powiedzieć, że pobrałem z mojego konta sto dolarów i wysłałem je Betty, aby miała za co pojechać na zachód, po czym obiecałem jej kąpiel pod dachem i piątaka na tydzień, jeśli tylko będzie utrzymywać dom w czystości. To całkiem hojna propozycja, jeżeli chcecie znać moje zdanie. Ale Betty miała inne sprawy na głowie. Była z niej marna gospodyni, więc wyrzuciłem ją na zbity pysk 2 czerwca 1943 i od tej pory już jej nie widziałem.

Zapisałem tę informację, po czym zapytałem: - Czy wiedział pan, że była ostatnio w LA?

Cleo Short przestał łypać społem na Lee i spojrzał gniewnie na mnie. - Nie.

- Czy miała wrogów, o których by pan wiedział?

- Tylko siebie samą.

- Bez cwanych odpowiedzi, ojczulku - rzucił Lee.

Wyszeptałem: - Pozwól mu mówić. - Po czym już głośniejszym głosem: - Dokąd udała się Elizabeth, kiedy opuściła pański dom w czerwcu 1943?

Short wycelował palcem w Lee. - Powiedz swojemu koledze, że jeśli jeszcze raz nazwie mnie ojczulkiem, ja zacznę go nazywać nieudacznikiem. Powiedz mu, że każdemu należy się odrobina szacunku! Powiedz, że osobiście nareperowałem maytaga 821 pana Horalla i zrobiłem to na tip-top!

Lee przeszedł się do łazienki i zauważyłem, że łyknął tam garść pigułek i popił wodą z kranu. Spokojnym głosem, jak na dobrego glinę przystało, powiedziałem: - Panie Short, dokąd udała się Elizabeth w czerwcu 1943?

Short odparł: - Jeżeli ten narwaniec spróbuje tknąć mnie choćby palcem, załatwię go na amen, jak mi Bóg miły.

- Nie wątpię. Czy zechciałby pan od...

- Betty przeniosła się do Santa Barbara i podjęła pracę w kantynie w Camp Cooke. W lipcu przysłała mi pocztówkę. Napisała w niej, że jakiś żołnierz dotkliwie ją pobił. To ostatnia wiadomość, jaką od niej otrzymałem.

- Czy podała nazwisko tego żołnierza?

-

<u>PROLOG.....</u>	<u>3</u>
<u>I.....</u>	<u>12</u>
<u>OGIEŃ I LÓD.....</u>	<u>12</u>
<u>1.....</u>	<u>12</u>
<u>2.....</u>	<u>15</u>
<u>3.....</u>	<u>21</u>
<u>4.....</u>	<u>33</u>
<u>5.....</u>	<u>39</u>
<u>6.....</u>	<u>58</u>
<u>II.....</u>	<u>65</u>
<u>Przy trzydziestej dziewiątej i Norton.....</u>	<u>65</u>
<u>7.....</u>	<u>65</u>
<u>8.....</u>	<u>72</u>
<u>9.....</u>	<u>90</u>
<u>10.....</u>	<u>111</u>
<u>11.....</u>	<u>126</u>
<u>12.....</u>	<u>140</u>
<u>13.....</u>	<u>154</u>
<u>14.....</u>	<u>158</u>
<u>15.....</u>	<u>162</u>
<u>16.....</u>	<u>168</u>
<u>17.....</u>	<u>170</u>
<u>18.....</u>	<u>174</u>
<u>19.....</u>	<u>178</u>
<u>20.....</u>	<u>179</u>
<u>21.....</u>	<u>190</u>

<u>22</u>	<u>197</u>
<u>23</u>	<u>201</u>
<u>24</u>	<u>218</u>
<u>III</u>	<u>238</u>
<u>Kay i Madeleine</u>	<u>238</u>
<u>25</u>	<u>238</u>
<u>26</u>	<u>241</u>
<u>27</u>	<u>247</u>
<u>28</u>	<u>248</u>
<u>IV</u>	<u>257</u>
<u>Elizabeth</u>	<u>257</u>
<u>29</u>	<u>257</u>
<u>30</u>	<u>258</u>
<u>31</u>	<u>262</u>
<u>32</u>	<u>268</u>
<u>33</u>	<u>297</u>
<u>34</u>	<u>302</u>
<u>35</u>	<u>315</u>
<u>36</u>	<u>318</u>
<u>37</u>	<u>320</u>

Czemu „ha”? - odłożyłem pióro.

Stary zaczął śmiać się tak donośnie i głośno, że obawiałem się, że jego koguci tors może nagle eksplodować. Lee wyszedł z łazienki; dałem mu znak, żeby się nie wtrącał. Pokiwał głową i usiadł obok mnie; czekaliśmy, aż Short się uspokoi. Kiedy mężczyzna przestał w końcu rechotać, powiedziałem: - Proszę opowiedzieć mi o Betty i jej związkach z mężczyznami.

Stary zachichotał. - Lubiła ich, a oni ją. Betty stawiała na ilość, nie na jakość i tak jak jej matka, nie potrafiła odmawiać.

- Może jakieś konkrety - wtrąciłem. - Nazwiska, daty, opisy.

- Chyba zarobiłeś w ringu o kilka ciosów w głowę za dużo, synu, bo gadasz jak potłuczony. Nawet Einstein nie zapamiętałby nazwisk wszystkich chłopaków Betty, a ja nie mam na imię Albert.

- To chociaż te nazwiska, które pan pamięta.

Short zatknął kciuki za pas i zakołysał się na krześle. - Betty miała fioła na punkcie

facetów w ogóle, a żołnierzy w szczególności. Ślinała się do każdego białego, który nosił mundur. Zamiast sprzątać u mnie w domu, ona spacerowała po Hollywood Boulevard, sącząc drinki, które stawiali jej mundurowi. Kiedy tu mieszkała, czułem się jak w bazie wojskowej.

Lee wtrącił: - Chce pan powiedzieć, że córka była puszczalska?

Stary wzruszył ramionami. - Mam pięć córek. Jedna czarna owca w rodzinie to nic wielkiego.

Lee był wściekły, czułem to; uspokajającym gestem położyłem mu dłoń na ramieniu; wewnątrz cały aż się gotował. - A co z nazwiskami, panie Short?

- Tom, Dick, Harry. Te łajzy na mój widok od razu zabierały Betty z domu i zwijały żagle. To wszystko, co wiem na ich temat. Jak poszukacie w miarę przystojnych facetów w mundurze, powinniście znaleźć przynajmniej kilku z nich.

Przekręciłem stronę w notesie. - A co z pracą? Czy podczas swego pobytu tutaj Betty zajmowała się czymś?

Stary wrzasnął. - Jej zadaniem było prowadzić dom i to była jej praca! Twierdziła, że szuka zatrudnienia w filmie, ale łągała w żywe oczy! Jedyne, czego chciała, to szwendać się po Bulwarze w tym czarnym wdzianku i polować na facetów! Zniszczyła mi wannę, farbując swoje ciuchy na czarno, a potem dała nogę, zanim zdążyłem potrącić jej za to z poborów! Włóczyła się po mieście jak czarna wdowa, nic dziwnego, że tak skończyła! To wina jej matki, nie moja! Tej tępej, puszczalskiej, irlandzkiej zdziry! To nie moja wina!

Lee przesunął palcem wskazującym po gardle; wyszliśmy na ulicę, pozostawiając Cleo Shorta wrzeszczącego do czterech ścian.

Lee mruknął: - To ci dopiero tatuś, ja pierdołę.

- Tak - westchnąłem, uświadamiając sobie, że podejrzanymi tutaj byli wszyscy członkowie amerykańskich sił zbrojnych.

Sięgnąłem do kieszeni po dziesięciocentówkę. - Rzucimy monetę, kto ma napisać raport?

- Ty to zrób, dobra? - orzekł Lee. - Ja zamelinuję się w garażu Juniora Nasha i spiszę numery rejestracyjne aut, które pojawiają się w okolicy.

- Spróbuj się tam choć trochę przespać.

- Spróbuję.

- Nieprawda.

- Bujać to my, a nie nas. Cóż, przejrzałeś mnie. A może ty pojedziesz do domu i dotrzymasz Kay towarzystwa? Na pewno martwi się o mnie; nie chcę, aby była sama.

Pomyślałem o tym, co ubiegłej nocy powiedziałem przy Trzydziestej Dziewiątej i

Norton, wypowiadając na głos to, o czym wiedzieliśmy wszyscy troje, ale o czym nigdy nie rozmawialiśmy, o tym jednym, jedynym kroku, który mogła podjąć wyłącznie Kay.

- Jasne, Lee.

*

Kay zastałem na kanapie w salonie, gdzie jak zawsze o tej porze pogrążona była w lekturze. Nie uniosła wzroku, gdy wszedłem, wypuściła tylko leniwie ustami kółko z dymu i rzekła: - Cześć, Dwight.

Przystawiłem sobie krzesło do stolika i usiadłem obok niej. - Skąd wiedziałaś, że to ja?

Kay zakreśliła urywek w książce. - Lee tupie, ty stąpasz miękko i ostrożnie.

Zaśmiałem się. - Jest w tym pewna symbolika, ale nie mów nikomu.

Kay zgasiła papierosa i odłożyła książkę. - Wygląda na to, że coś cię martwi.

Odparłem: - Lee za bardzo się przejął tą nieżyjącą dziewczyną. Doprowadził do tego, że odsunięto nas od śledztwa, które prowadziliśmy, a do tego zaczął brać benzedrynę i zachowuje się dość gwałtownie. Mówił ci o niej?

Kay pokiwała głową. - Troszeczkę.

- A czytałaś gazety?

- Unikam ich.

- No cóż, ta dziewczyna to najgorętsza sensacja od czasu wyprodukowania bomby atomowej. Przy sprawie jednego morderstwa pracuje stu ludzi, Ellis Loew zamierza się na tym wybić, a Lee wziął sobie to śledztwo za bardzo do serca i...

Kay uśmiechnęła się, czym kompletnie mnie rozbroiła. - W poniedziałek ty też byłeś na pierwszych stronach gazet, ale teraz to już przebrzmiały wieści. Chcesz po prostu dopaść wielkiego, złego bandytę i ponownie zobaczyć swoje nazwisko w nagłówkach.

- Touché, ale to tylko część prawdy.

- Wiem. Kiedy tylko zaczynają o tobie pisać, zaszywasz się i przestajesz czytać gazety.

Westchnąłem. - Jezu, czy zawsze musisz być cwańsza ode mnie?

- A ja wolałabym, żebyś nie był taki zachowawczy i złożony... Dwight, co z nami będzie?

- Z naszą trójką?

- Nie. Z nami.

Rozejrzałem się po salonie pełnym drewna, skóry i chromu w stylu Art Deco. Był tam przeszklony, mahoniowy kredens; leżały na nim złożone kaszmirowe swetry Kay, we

wszystkich kolorach tęczy, po czterdzieści dolców od sztuki. A sama Kay, biała wywłoka odmieniona przez miłość gliniarza, siedziała naprzeciw mnie, ja zaś po raz pierwszy powiedziałem wprost, co mnie dręczyło: - Nigdy go nie opuścisz. Nigdy nie zostawisz tego wszystkiego. Może gdybyś się na to zdobyła, gdybyśmy przestali być partnerami, Lee i ja, mielibyśmy szansę, aby spróbować być razem, we dwoje. Ale ty tego nigdy nie rzucisz.

Kay powoli, z pietyzmem zapaliła papierosa. Wydmuchnąwszy kółko z dymu, rzekła: - Wiesz, ile on dla mnie zrobił?

- Dla mnie też - odparłem.

Kay odchyliła głowę do tyłu i wlepiła wzrok w sufit zdobiony sztukaterią i boazerią z mahoniu. Wydmuchując kółka z dymu, powiedziała: - Zadurzyłam się w tobie jak nastolatka. Bobby De Witt i Lee zabierali mnie na walki. Zwykle brałam ze sobą szkicownik, aby nie czuć się jak jedna z tych okropnych kobiet, które każdą swoim facetom, udając, że lubią boks. A tak naprawdę lubiłam tylko ciebie. To, jak robiłeś z siebie małą, szczerząc zęby do tłumu kibiców, i jak trzymałeś wysoko gardę, żeby nie zarobić po pysku. A potem wstąpiłeś do policji, a Lee powiedział mi, że słyszał o tobie, że podobno zakapowałeś paru swoich kumpli, Japończyków. Nie znieawidziłam cię za to, po prostu wydałeś mi się bardziej prawdziwy. Tak samo było z tymi zamieszkami Meksykanów. Stałeś się moim bohaterem z bójk, tyle tylko, że te historie były prawdziwe, ot małe fragmenciki tu i tam. A potem doszło do tej walki i mimo iż mierziło mnie na samą myśl o niej, powiedziałam Lee, żeby zgodził się wziąć w niej udział, bo w ten sposób nasza trójka mogła się wreszcie połączyć, o co mi zawsze chodziło.

Przychodziły mi do głowy różne rzeczy, które chciałem powiedzieć, a wszystkie prawdziwe i dotyczące tylko nas dwojga. Ale nie mogłem się na to zdobyć i wykorzystałem Lee w charakterze zasłony dymnej.

- Nie chcę, żebyś przejmowała się Bobbym De Wittem. Jak wyjdzie z paki, wezmę go w obroty. Nie zbliży się więcej ani do ciebie, ani do Lee.

Kay spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, pod maską surowości krył się smutek: - Przestałam przejmować się Bobbym. Lee się nim zajmie.

- Myślę, że Lee się go boi.

- To prawda. Ale chyba tylko dlatego, że tyle o mnie wie i nie chce, aby on zaczął rozpowiadać o tym innym. Choć szczerze mówiąc, wątpię, aby kogokolwiek to w ogóle interesowało. Kogo to obchodzi?

- Mnie. A jak się już wezmę za De Witt, to jego szczęście, jak po wszystkim w ogóle będzie w stanie mówić.

Kay wstała. - Masz wielkie serce i niezłomną odwagę, co się rzadko zdarza. Idę do łóżka. Dobranoc, Dwight.

Kiedy z sypialni Kay doszły mnie dźwięki kwartetu smyczkowego Schuberta, wziąłem z kredensu kartkę papieru i pióro, po czym napisałem raport z przesłuchania ojca Elizabeth Short. Wspomniałem w nim o jego „niepodważalnym” alibi, o zachowaniu dziewczyny, kiedy mieszkała z nim w '43, o pobiciu jej przez żołnierza z Camp Cooke i o całej gromadzie jej bezimiennych kochanków. Ubarwiając raport zgłębiłem niepotrzebnymi szczegółami, na pewien czas zapomniałem o Kay, a gdy skończyłem, zrobiłem sobie dwie kanapki z szynką, popiłem je szklanką mleka i zasnąłem na kanapie.

We śnie ujrzałem zdjęcia znanych i poszukiwanych ostatnio przez policję przestępców; nawet Ellis Loew, który reprezentował tę właściwą stronę prawa, miał na ukos przez pierś wypisany stosowny paragraf. Betty Short dołączyła do niego w czerni i bieli; zobaczyłem ją en face i z obu profilów. A potem wszystkie twarze zlały się w stertę raportów policyjnych spływających niekończącym się strumieniem, ja zaś na próżno starałem się wpisywać w pozostawione w nich puste kratki informacje na temat obecnego miejsca pobytu Juniora Nasha.

Obudziłem się z bólem głowy, wiedząc, że mam przed sobą wyjątkowo długi dzień.

Świtało. Wyszedłem na ganek i sięgnąłem po poranne wydanie *Heralda*. Nagłówek na pierwszej stronie brzmiał następująco: „Pościg za dawnymi sympatiami w poszukiwaniu rozwiązania zagadki okrutnego morderstwa”. Poniżej, dokładnie pośrodku strony zamieszczono portretowe zdjęcie Elizabeth Short. Podpisano je „Czarna Dalia”, a artykuł poniżej zaczynał się następująco: „Policja rozpoczyna dziś zakrojone na szeroką skalę poszukiwanie bliskich znajomych 22-letniej Elizabeth Short, ofiary «Wampira», która jak twierdzą jej przyjaciele, prowadziła wyjątkowo bujne życie towarzyskie. Romanse ją odmieniły i z niewinnej dziewczyny przeistoczyła się w odzianą na czarno, uganianą za mężczyznami lubieżną rozpustnicę znaną jako Czarna Dalia”.

Poczułem, że Kay stoi obok mnie. Sięgnęła po gazetę, rzuciła okiem na pierwszą stronę i lekko się wzdrygnęła. Oddając mi gazetę, zapytała: - Jak sądzisz, ile to jeszcze potrwa?

Przewertowałem gazetę. Elizabeth Short zajmowała całe sześć stron, a ton artykułów był aż nadto wyraźny. Autorzy opisywali ją jako wyuzdaną femme fatale w obcisłej, czarnej sukni. - Długo. Bardzo długo - odparłem z westchnieniem.

9.

Posterunek University był oblężony przez reporterów. Na parkingu nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki, a przy ulicy stał rząd furgonetek radiowych, zatrzymałem więc auto „na drugiego”, wcisnąłem pod wycieraczkę plaketkę z napisem: Wóz Służbowy, i przecisnąłem się przez kordon dziennikarzy, pochylając nisko głowę, aby mnie nie rozpoznano. Nie udało się; usłyszałem: „Buck-kee!” i „Blei-chert!”, po czym w moją stronę zaczęły wyciągać się czyjeś dłonie. Ktoś rozerwał mi kieszeń marynarki, ale udało mi się wejść do budynku. W holu roiło się od mundurowych, którzy przyszli właśnie na służbę, za łącznikowymi drzwiami, w drugiej sali panował spory harmider. Pod ścianami rozstawiono połówki; zauważyłem Lee leżącego na jednej z nich, z nogami zakrytymi gazetami. Na stolikach wokół nas dzwoniły telefony i znów rozboleła mnie głowa, tępy, pulsujący ból był nie do wytrzymania.

Ellis Loew przypinał kartki papieru do tablicy na ogłoszenia. Postukałem go mocno w ramię.

Odwrócił się. Powiedziałem: - Chcę się wypisać z tego cyrku. Jestem pracownikiem egzekucyjnego, a nie wydziału zabójstw i mam swoich przestępców do ścigania. Chcę wrócić do dawnych obowiązków. Natychmiast.

Loew syknął: - Nic z tego. Pracujesz dla mnie, a ja chcę, żebyś zajmował się sprawą tej Short. To ostateczne, bezwzględne i nieodwołalne. Nie zniosę z waszej strony dalszych fochów, posterunkowy. Nie jesteście żadną primadonną. Czy to jest jasne?

- Ellis, do cholery!

- Zanim będzie wam wolno tak się do mnie zwracać, musicie najpierw zdobyć parę belek na rękawie, Bleichert. Do tej pory macie się do mnie zwracać per: panie Loew. A teraz idźcie, przeczytajcie raport Millarda.

Przeszedłem na drugi koniec sali. Russ Millard spał w fotelu, z nogami opartymi o blat biurka. O kilka stóp dalej, na tablicy korkowej przypiętych było kilka kartek. Przeczytałem ich treść:

Pierwszy raport doraźny

w sprawie ofiary zabójstwa

Short, Elizabeth Ann (k) (rb)

ur. 29.07.24 - sporz. na dzień 12.01.47 godz. 6 rano

Panowie,

To pierwszy doraźny raport ws. E. Short, zm. 15.01.47 odnalezioniej przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton w Leimert Park.

1. Jak dotąd mamy 33 zarejestrowanych domniemanych sprawców, którzy przyznali się do popełnienia tego czynu. Osoby ewidentnie niewinne zwolniono do domów, inne, wykazujące większe lub mniejsze zaburzenia psychiczne, trafiły do aresztu, gdzie oczekują na sprawdzenie alibi i badania psychiatryczne. Znani policji dewianci są przesłuchiwani przez doktora De Rivera, naszego konsultanta z dziedziny psychiatrii, przy współudziale detektywów z wydziału śledczego. Jak na razie nie mamy nic konkretnego.

2. Wyniki autopsji wstępnej i szczegółowej przedstawiają się następująco: ofiara zadławiła się na śmierć krwią, po tym jak rozplątano jej usta od ucha do ucha. W chwili śmierci w jej krwi nie było alkoholu ani narkotyków. (Szczegóły w aktach nr 14-187-47).

3. Policja z Bostonu bada przeszłość E. Short, sprawdzając gdzie znajdowała się jej rodzina i dawni kochankowie, w czasie gdy dokonano zabójstwa. Ojciec (C. Short) ma niepodważalne alibi i został już wykluczony z grona podejrzanych.

4. Wydział śledczy z Camp Cooke sprawdza nasz raport, zgodnie z którym Elizabeth Short została pobita przez jednego z żołnierzy, kiedy we wrześniu 1943 pracowała w tamtejszej kantynie. We wrześniu '43 E. Short aresztowano jako nieletnią, pod zarzutem picia alkoholu. Wydział śledczy stwierdza, że wszyscy aresztowani wówczas wraz z nią żołnierze przebywają za oceanem i można wykluczyć ich z kręgu podejrzanych.

5. Przebagrowano wszystkie kanały w całym mieście w poszukiwaniu odzieży E. Short. Wszystkie znalezione elementy damskiej garderoby zostaną poddane szczegółowej analizie w centralnym laboratorium kryminalistyki. (Szczegóły w rap. dor. z przebiegu bad. lab.)

6. Zebrano i przeczytano raporty z działań w terenie na całym obszarze LA w dn. 12.01.47 - 15.01.47. Jeden potencjalny trop - kobieta z Hollywood zadzwoniła ze skargą na dziwne i podejrzane „wrzaski i niezrozumiały bełkot” wśród wzgórz H.W., nocą 13.01. i 14.01. Wynik dalszego śledztwa: za zakłócanie porządku odpowiadają balujący imprezowicze. Funkcjonariusze terenowi zalecają niebranie tego incydentu pod uwagę.

7. Z potw. inf.: tel. E. Short prawie przez cały grudzień '46 mieszkała w San Diego, w domu p. Elvery French. Ofiara poznała córkę pani French, Dorothy, w kinie, gdzie Dorothy pracowała; opowiedziała jej (nie potwierdzoną) historię o porzuceniu przez męża. Frenchowie przyjęli ją do siebie, a E. Short opowiedziała im wiele sprzecznych z sobą historii: że była wdową po majorze sił powietrznych, że zaszła w ciążę z pilotem lotnictwa, że jest zaręczona z

wojskowym - lotnikiem. Ofiara podczas całego swego pobytu w domu Frenchów spotykała się z wieloma różnymi mężczyznami. (Szczegóły, patrz: wywiady 14-187-47)

8. E. Short opuściła dom Frenchów 9.01.47 w towarzystwie mężczyzny, którego nazywała „Rudy” (opis: biały, wiek 25-30 lat, wysoki, przystojny, wzrost 170-180 cm., rude włosy, niebieskie oczy). „Rudy” to najprawdopodobniej komiwojażer. Jeździ przedwojennym dodgem sedanem z tablicami z Huntington Park. Sprawdzenie numeru w toku. Za „Rudym” wystosowano list gończy.

9. Potw. inf.: Val Gordon (biała) z Riverside w Kalifornii zatelefonowała i przedstawiła się jako siostra nieżyjącego majora sił powietrznych, Matta Gordona. Powiedziała, że E. Short napisała do niej i jej rodziców jesienią '46, wkrótce po tym, jak major Gordon zginął w katastrofie samolotu. Skłamała, że była narzeczoną Gordona, i próbowała wyłudzić od nich pieniądze. Rodzice i panna Gordon odmówili przesłania jej pieniędzy.

10. W biurze Railway Express w centrum LA odnaleziono kufer należący do E. Short. (Urzędnik RE zauważył nazwisko i zdjęcia ofiary w gazetach i przypomniał sobie, że ofiara złożyła kufer na przechowanie w listopadzie '46). Kufer został przekazany policji. Wewnątrz znaleziono kopie stu listów miłosnych do różnych mężczyzn (głównie mundurowych) i kilka (znacznie mniej) listów i liścików napisanych do niej. Były tam również liczne zdjęcia E. Short z wojskowymi. Listy są czytane, nazwiska i opisy mężczyzn są rejestrowane.

11. Potw. inf. tel.: Z Mobile w Alabamie zadzwonił były porucznik sił powietrznych J.G. Fickling, gdy trafił na nazwisko i zdjęcie E. Short w lokalnych gazetach. Powiedział, że on i ofiara mieli „krótki romans” w Bostonie, w końcu '43 i rzeczona E. Short „spotykała się wówczas z dziesięcioma innymi mężczyznami równocześnie”. Fickling ma potwierdzone alibi na czas morderstwa. Został wykreślony z listy podejrzanych i zaprzecza, że kiedykolwiek był zaręczony z E. Short.

12. Do policji Los Angeles i biura szeryfa docierają kolejne doniesienia telefoniczne. Osoby sprawiające wrażenie niezrównoważonych psychicznie są eliminowane, relacje innych sprawdzają funkcjonariusze wydziału zabójstw. Wszystkie informacje są rejestrowane i potwierdzane.

13. Inf. nt. adresów (potw.) E. Short mieszkała pod ww. adresami w 1946. (Do adresu dołączono nazwiska osoby dzwoniącej lub potwierzonego lokatora zam. pod tym samym adresem. Wszystkie, prócz Lindy Martin potw. przez wydz. ew. poj. mech.) N. Orange Dr. 13-A-1611, Hollywood (Harold Costa, Donald Leyes, Maijorie Graham); Carlos Ave 6024, Hollywood; N. Cherokee 1842, Hollywood (Linda Martin, Sheryl Saddon); Linden 53, Long

Beach.

14. Wyniki prac wyd. śledczego: na pustych placach w okolicy Leimert Park nie znaleziono damskiej garderoby, a wszelkie ostrza od noży i noże były zbyt zardzewiałe, aby mogły stanowić narzędzie zbrodni. Nie odnaleziono śladów krwi.

15. Wyniki inspekcji w Leimert Park (z prezentacją zdjęć E. Short) negatywne. (Wszystkie doniesienia to najwyraźniej humbug.)

Wnioski: Uważam, że dalsze działania operacyjne powinny skoncentrować się wokół przesłuchań znajomych E. Short, zwłaszcza jej licznych kochanków. Sierżant Sears i ja udamy się do San Diego, by przesłuchać jej tamtejszych bliskich znajomych. To jedyna - prócz listu gończego za „Rudym” i przesłuchania bliskich znajomych E. Short z LA - nasza szansa na zdobycie istotnych informacji w tej bulwersującej sprawie.

Por. Russell A. Millard,

Nr odznaki 493, wydział zabójstw komendy głównej.

Odwrociłem się, by ujrzeć przyglądającego mi się Millarda. Powiedział: - I co o tym sądzisz, tylko szczerze?

Musnąłem dłońmi rozdartą kieszeń. - Czy to jest tego warte, poruczniku?

Millard uśmiechnął się; zauważyłem, że pomięty garnitur i dwudniowy zarost ani trochę nie ujął mu klasy. - Chyba tak. Twój partner tak uważa.

- Lee ściga Czarnego Luda, poruczniku.

- Możesz mi mówić Russ.

- Dobrze, Russ.

- Czego ty i Blanchard dowiedzieliście się od ojca?

Oddałem Millardowi mój raport. - Nic konkretnego, jedynie sugestie, że dziewczyna do opierających się to nie należała. O co chodzi z tą Czarną Dalią?

Millard poklepał podłokietniki fotela. - Możemy za to podziękować Bevo Meansowi. Pojechał do Long Beach i rozmawiał z recepcjonistą z hotelu, gdzie dziewczyna mieszkała latem ubiegłego roku. Recepcjonista powiedział mu, że Betty Short zawsze nosiła obcisłe czarne sukienki. Bevo skojarzyło się to z filmem „Czarna Dalia” z Alanem Laddem, stąd ten przydomek. Sądzę, że ten wizerunek jest odpowiedzialny za co najmniej tuzin kolejnych świrów przyznających się do popełnienia tego czynu każdego dnia. Jak mówi Harry, kiedy wypije kilka głębszych: Hollywood cię wykorzysta, kiedy nikt inny nie zechce tego zrobić... Jesteś zawzięty i cholernie cwany, Bucky. Co o tym sądzisz?

- Myślę, że chciałbym już wrócić do egzekucyjnego. Pogadasz o tym z Loewem?

Millard pokręcił głową. - Nie. Odpowiesz na moje pytanie?

Stłumiłem w sobie chęć, by rozwalić coś albo zacząć go błagać. - Powiedziała tak albo nie niewłaściwemu facetowi w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. A skoro ta panienska spaliła więcej gum niż samochody na autostradzie San Bernardino i wymyśliła tyle bajeczek, że odróżnienie prawdy od kłamstwa nie będzie łatwe, powiedziałbym, że znalezienie sprawcy tego morderstwa graniczy z niemożliwością. To będzie piekielne śledztwo.

Millard wstał i przeciągnął się. - No dobra, cwaniaku, idź teraz na posterunek Hollywood i porozmawiaj z Billem Koenigiem, a potem obaj w moim imieniu przesłuchajcie lokatorów zamieszkałych w Hollywood, pod wymienionymi adresami. Trzymaj Koeniga na krótkiej smyczy, jeśli tylko zdołasz, i osobiście napisz raport, bo Billi jest praktycznie analfabetą. Kiedy skończysz, zgłoś się znowu do mnie.

Mój ból głowy przerodził się w migrenę, ale nie próbowałem oponować, tylko wypełniłem polecenie. Ostatnie, co usłyszałem, zanim wyszedłem na ulicę, to donośny rechot grupki policjantów, czytających na głos fragmenty listów miłosnych Betty Short.

*

Odebrałem Koeniga na posterunku Hollywood i pojechałem z nim pod adres przy Carlos Avenue. Zatrzymując wóz przed domem o numerze 6024, powiedziałem: - Ty jesteś wyższy rangą, sierżancie. Jak chciałbyś to rozegrać?

Koenig odchrząknął głośno, po czym przełknął ślinę. - Zawsze to Fritzie gada, ale siedzi teraz w domu, bo jest chory. Może ty będziesz mówił, a ja będę cię ubezpieczał? - Rozchylił marynarkę, aby pokazać mi zatkniętą za pasek, skórzaną pałkę. - Sądziysz, że trzeba będzie użyć przy tym siły?

- Raczej dobrej gadki - odparłem i wysiadłem z auta.

Na ganku domu o numerze 6024, dwupiętrowego budynku z oszalowanymi ścianami i tabliczką z napisem: Pokoje do Wynajęcia, stojącą na trawniku, siedziała jakaś staruszka. Zobaczyła, jak podchodzę, zamknęła Biblię i rzekła: - Bardzo mi przykro, młody człowieku, ale wynajmuję pokoje wyłącznie młodym dziewczynom, z referencjami, poszukującym pracy.

Błysnąłem odznaką. - Jesteśmy z policji, proszę pani. Przyjechaliśmy, aby pomówić z panią o Betty Short.

Staruszka rzekła: - Znałam ją jako Beth - po czym zerknęła na Koeniga, stojącego na trawniku i ukradkiem dłubiącego w nosie.

- Szuka śladów - powiedziałem.

Kobieta parsknęła. - W tym kinolu raczej ich nie znajdzie. Kto zabił Beth Short, panie

władzo?

Wyjąłem notes i pióro. - Tego właśnie chcemy się dowiedzieć. Czy mogę spytać, jak pani godność?

- Loretta Janeway. Zadzwoiłam na policję, kiedy usłyszałam przez radio imię Beth.

- Pani Janeway, kiedy Elizabeth Short mieszkała pod tym adresem?

- Sprawdziłam w moich księgach, kiedy tylko usłyszałam, co się stało. Beth mieszkała w pokoju na drugim piętrze, na tyłach domu, od czternastego września do dziewiętnastego października.

- Czy została pani polecona?

- Nie. Pamiętam to bardzo dobrze, bo Beth była taką piękną dziewczyną... Zastukała do drzwi i powiedziała, że przechodziła właśnie ulicą i zobaczyła tabliczkę na trawniku. Wyjaśniła, że jest młodą, początkującą aktorką i potrzebuje niedrogiego pokoju, dopóki nie otrzyma swojej wielkiej szansy. Odparłam, że już to wszystko słyszałam, i powiedziałam, żeby jak najszybciej pozbyła się tego okropnego, bostońskiego akcentu. Na to Beth się uśmiechnęła i zacytowała: „Oto nadszedł czas, aby wszyscy prawi mężczyźni pospieszyli z pomocą i pokazali, na co ich stać” - bez cienia akcentu. I dodała: „Widzi pani? Umiem słuchać dobrych rad”. Była tak usłużna i miła, że wynajęłam jej pokój, mimo iż z natury nie przyjmuję tu początkujących aktorek.

Zapisałem te wszystkie informacje, po czym spytałem: - Czy Beth była dobrą lokatorką?

Pani Janeway pokręciła głową. - Niech Bóg ma w opiece jej duszę, z przykrością muszę stwierdzić, że jako lokatorka była okropna i pożałowałam, że uczyniłam dla niej wyjątek. Zawsze spóźniała się z płaceniem czynszu, zastawiała biżuterię, by mieć na jedzenie, i próbowała nakłonić mnie, aby mogła płacić czynsz za dobę, a nie za tydzień. Chciała płacić dolara dziennie! Wyobraża sobie pan, ile musiałabym trzymać ksiąg, gdybym pozwoliła na coś takiego moim lokatorom?

- Czy Beth zaprzyjaźniła się z innymi lokatorkami?

- Na Boga, nie. Pokój na drugim piętrze, na tyłach domu ma własne schody, więc Beth nie musiała wchodzić od frontu jak inne dziewczęta i nie uczestniczyła też w spotkaniach przy kawie, u mnie po niedzielnej mszy. Beth nie chodziła do kościoła i kiedyś powiedziała mi wprost: „Fajnie jest czasem, od wielkiego dzwonu poplotkować z dziewczętami, ale z chłopakami mogę rozmawiać na okrągło”.

- A teraz najważniejsze pytanie, pani Janeway. Gdy kiedy Beth tu mieszkała, spotykała się z jakimiś chłopakami?

Staruszka sięgnęła po Biblię i przycisnęła ją do piersi.

- Panie władzo, gdyby zjawiali się tu frontowym wejściem, jak sympatie innych dziewcząt, widziałabym ich. Nie chcę oczerniać zmarłych, więc powiem tylko, że często słyszałam kroki na schodach do pokoju Beth, i to o takich najbardziej nieodpowiednich porach.

- Czy Beth wspominała, że ma jakichś wrogów? Kogoś, kogo się bała?

- Nie.

- Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

- W końcu października, w dniu kiedy się wyprowadziła. Powiedziała: znalazłam sobie o wiele przytulniejsze gniazdko - milutkim głosikiem dziewczyny z Kalifornii.

- Czy powiedziała, dokąd się przeprowadza?

- Nie - odparła pani Janeway, po czym nachyliła się lekko w moją stronę i skinęła na Koeniga, który szedł w stronę auta, drapiąc się bez żenady między nogami. - Powinien pan pomówić z nim o konieczności zachowania higieny osobistej. To odrażające.

Powiedziałem: - Dziękuję, pani Janeway. - Wróciłem do auta i usiadłem za kierownicą.

Koenig mruknął: - Co ta stara raszpla mówiła na mój temat?

- Twierdzi, że jesteś uroczy.

- Tak?

- Tak.

- Co jeszcze mówiła?

- Ze facet taki jak ty mógłby sprawić, że znów poczułaby się dzierlatką.

- Tak?

- Tak. Powiedziałem, żeby o tym zapomniała, bo jesteś żonaty.

- Ale ja nie jestem żonaty.

- Wiem.

- To dlaczego tak powiedziałeś?

Włączyłem się do ruchu. - Chciałbyś, żeby przysyłała ci miłosne liściki na komendę?

- Hm, no tak. Już kapuję. A co mówiła o Fritziem?

- Ona zna Fritziego?

Koenig spojrział na mnie, jakbym to ja był mało rozgarnięty. - Wiele osób mówi o Fritziem za jego plecami.

- A co zwykle mówią?

- Kłamstwa.

- Jakie kłamstwa?

- Paskudne.

- Na przykład?

- Choćby takie, że nabawił się syfa, pieprząc dziwki podczas służby w obyczajówce. Albo że dostał miesiąc urlopu zdrowotnego, aby się z tego wykurować. I że przeniesiono go w związku z tym do komendy głównej. Paskudne kłamstwa, gorsze nawet niż te.

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Skręciłem w Cherokee i zapytałem: - A jakie?

Koenig przysunął się do mnie. - Bierzesz mnie na spytki, Bleichert? Szukasz kwitów na Fritziego? Też chcesz mówić paskudne rzeczy na Fritziego?

- Nie. Byłem po prostu ciekawy.

- Ciekawość pierwszy stopień do piekła. Pamiętaj.

- Nie omieszka. A co dostałeś z egzaminu na sierżanta, Bill?

- Nie wiem.

- Jak to?

- Fritzie odfajkował to za mnie. I pamiętaj o ciekawości, Bleichert. Nie chcę, by ktokolwiek mówił źle o moim partnerze.

Naszym oczom ukazał się wielka, zdobiona stiukiem kamienica czynszowa, o numerze 1842. Zatrzymałem wóz przy chodniku, mruknąłem: - Ja będę mówił - i ruszyłem w stronę holu.

Na liście ściennej ujrzałem nazwisko S. Shaddon pod nr 604 i dziewięć innych - ale nie mieszkała tu żadna Linda Martin. Wjechałem windą na piąte piętro, przeszedłem wzdłuż korytarza, w którym czuć było słabą woń marihuany, i zapukałem do drzwi. Dźwięki big bandu ucichły, drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda kobieta w błyszczącym egipskim stroju, trzymająca w ręku nakrycie głowy z papier mâché. Zapytała: - Pan jest kierowcą z RKO?

- Policja - odparłem. W tej samej chwili dziewczyna zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Usłyszałem szum wody spuszczonej w toalecie; dziewczyna wróciła zaraz potem, a ja, nie czekając na zaproszenie, wszedłem do mieszkania.

Salon miał wysokie, łukowate sklepienie, pod ścianami stał rząd prostych, fatalnie posłanych łóżek. Z otwartych drzwi wylewały się na zewnątrz walizki, sakwojaże, kufry i torby podróżne, a pokryty linoleum stół był wciśnięty ukośnie między dwa pozbawione materaców łóżka. Na stole stały kosmetyki i lusterka. Na popękanych deskach podłogi widać było rozsypany puder i róż.

Dziewczyna rzekła: - Czy chodzi o te mandaty za przechodzenie przez ulicę w

niedozwolonym miejscu, które zapomniałam zapłacić? Proszę posłuchać, mam trzy dni zdjęć na planie „Klątwy grobowca mumii” w RKO, a kiedy mi zapłacą, wyślę wam czek. Może być?

Odparłem: - Chodzi o Elizabeth Short, panno...

Dziewczyna jęknęła w teatralny, wystudiowany sposób: - Saddon. Sheryl, przez „y-l”, Saddon. Rozmawiałam dziś rano przez telefon z jednym z pańskich kolegów. Sierżantem jak-mu-tam, nie pamiętam nazwiska, ale strasznie się jąkał. Zadał mi dziesięć tysięcy pytań o Betty i jej dziesięć tysięcy kochanków, a ja dziesięć tysięcy razy odpowiedziałam mu, że nocuje tu wiele dziewcząt, które umawiają się z wieloma chłopakami i większość z nich jest tu tylko przelotnie. Powiedziałam mu, że Betty mieszkała tu od piątego listopada do początku grudnia, że płaciła dolara dziennie, jak my wszystkie, i że nie zapamiętałam nazwiska żadnego z jej chłopaków. Czy to wystarczy? Mogę już iść? Ciężarówka będzie tu lada chwila, a ja potrzebuję tej roboty...

Sheryl Saddon była zdyszana i pociła się pod metalicznym kostiumem. Wskazałem na rząd łóżek. - Usiądź i odpowiedz mi na pytania albo zamknę cię za skręty, które spuściłaś w toalecie.

Trzydniowa Kleopatra wypełniła polecenie i posłała mi spojrzenie, od którego Juliusz Cezar nie doczekałby Idów Marcowych. Powiedziałem: - Pierwsze pytanie. Czy mieszka tu Linda Martin?

Sheryl Saddon sięgnęła po paczkę old goldenów, wytrząsnęła papierosa i zapaliła. - Już to mówiłam temu jąkał. Betty wspomniała kilka razy o Lindzie Martin. Mieszkała u niej na chacie, przy De Longpre i Orange... Ale zaraz, żeby kogoś aresztować, musi pan najpierw mieć jakieś dowody.

Wyjąłem notes i pióro. - Czy Betty miała jakichś wrogów? Może ktoś jej groził?

- Problemem Betty nie byli wrogowie, a raczej nadmiar przyjaciół, jeżeli rozumie pan, o co mi chodzi. Kuma pan? Przyjaciele, chłopaki, znaczy się.

- Bystra dziewczynka. Czy któryś z nich kiedykolwiek jej groził?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Posłuchaj pan, czy możemy trochę się z tym pospieszyć?

- Ochłoń trochę. Gdzie pracowała Betty, kiedy tu mieszkała?

Sheryl Saddon parsknęła. - Kpi pan czy o drogę pyta? Betty nie pracowała. Sępiła drobne od innych dziewcząt tutaj, a drinki i kolacje stawiali jej starsi mężczyźni, których zaczepiała na Bulwarze. Parę razy zniknęła na dwa, trzy dni i wracała z pieniędzmi; oczywiście próbowała wcisnąć nam kit, skąd je wzięła. Nie umiała kłamać i żadna z nas nie uwierzyła w ani jedno jej słowo.

- Opowiedz mi o tych zmyślonych historyjkach. I o kłamstwach Betty w ogóle.

Sheryl zgasila papierosa i natychmiast zapalila nastepnego. Palila w milczeniu przez kilka chwil, a ja zrozumialem, ze tkwiacą w niej aktorkę korciło, aby sparodiować Betty Short. W końcu odparła: - Wie pan, co piszą w gazetach, o Czarnej Dalii i w ogóle?

- Tak.

- No cóż, Betty zawsze ubierała się na czarno, aby zrobić wrażenie na kierownikach castingu, kiedy miała zdjęcia próbne z innymi dziewczętami, co nie zdarzało się często, ponieważ Betty lubiła zwykle sypiać do południa. Czasami jednak mawiała, że nosi się na czarno, bo zmarł jej ojciec albo ma żałobę po tych wszystkich chłopakach, którzy zginęli na wojnie. A następnego dnia otwarcie twierdziła, że jej ojciec żyje. Kiedy znikła na parę dni i wróciła już przy forsie, powiedziała, że zmarł bogaty wujek pewnej dziewczyny i zostawił jej część spadku, a kiedy indziej, że wygrała forszę, grając w pokera w Gardenie. Wymyślała dziesięć tysięcy kłamstw, że była żoną dziesięciu tysięcy różnych bohaterów wojennych. Kapuje pan, o co mi chodzi?

- Jeszcze jak - odparłem. - Zmieńmy temat.

- Świetnie. Może pomówimy o wielkich finansach?

- A może o filmach? Wy wszystkie szukacie szczęścia w świecie filmu, zgadza się?

Sheryl posłała mi spojrzenie filmowego wampa. - Mnie się udało. Grałam w „Kobiecie kuguarze”, „Ataku widmowego gargulca” i „Słodkim smaku kapryfolium”.

- Moje gratulacje. Czy Betty dostała kiedyś jakąś rolę?

- Może. Najwyżej raz, chociaż kto wie, przecież była taką okropną kłamczuchą.

- Mów dalej.

- W Święto Dziękczynienia wszystkie babki z piątego piętra składały się na uroczystą kolację, a Betty była przy forsie i kupiła całe dwie skrzynki piwa. Chwaliła się, że dostała rolę i obnosiła się wszędzie z wizjerem, który rzekomo miała dostać od reżysera. Wiele dziewcząt ma takie wizjery, prezenty od filmowców, ale ten był drogi, na łańcuszku, z małym, aksamitnym pudełeczkiem. Pamiętam, że Betty była tej nocy w siódmym niebie, bujała w obłokach i gadała niestworzone rzeczy.

- Czy wymieniła tytuł tego filmu?

Sheryl pokręciła głową. - Nie.

- Czy wymieniła nazwiska osób związanych z tym filmem?

- Jeżeli nawet, to i tak nie pamiętam.

Rozejrzałem się po pokoju, naliczyłem dwanaście łóżek, po dolarze za noc i pomyślałem, że właścicielka domu zbijała na tym całkiem niezłą kasę. - Czy znasz pojęcie:

kariera poprzez łóżko?

W oczach filmowej Kleopatry pojawił się gniew. - Nie ze mną te numery, koleś. Ja nie jestem z tych.

- A Betty Short?

- Być może.

Usłyszałem dźwięk klaksonu, podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Za moim autem zatrzymała się odkryta ciężarówka, na pace której ujrzałem tuzin Kleopatrz i faraonów. Odwróciłem się, by powiedzieć o tym Sheryl, ale ona wybiegła już z mieszkania.

*

Ostatnim adresem na liście Millarda było North Orange Drive 1611, zdobiony różowym stiukiem dom noclegowy dla turystów w cieniu Hollywood High School. Koenig przestał dłużyć w nosie, gdy zaparkowałem na drugiego przed budynkiem, i wskazał na dwóch mężczyzn, przeglądających na schodach stertę gazet: - Ja zajmę się nimi. Ty spódniczkami. Znasz ich nazwiska?

Odparłem: - Może to Harold Costa i Donald Leyes. Ty wyglądasz mi jednak na zmęczonego. Nie chcesz sobie tego odpuścić?

- Nudzi mi się. O co powinienem się zapytać?

- Już ja zajmę się nimi, sierżancie.

- Pamiętaj o kociaku, Bleichert. To samo co ją, spotkało facetów, którzy próbowali ze mną pogrywać, kiedy w pobliżu nie było Fritziego. O co mam spytać tych gości?

- Sierżancie...

Koenig opryskał mnie śliną: - Jestem wyższy rangą, żółtodziobie! Masz robić, co ci mówi wielki Bill!

Zrobiło mi się czerwono przed oczami i powiedziałem: - Sprawdź ich alibi i zapytaj, czy Betty Short trudniła się prostytutką.

Koenig zarechotał w odpowiedzi. Przetruchałem przez trawnik i wspiałem się po schodach; dwaj mężczyźni odstępili na bok, aby mnie przepuścić. Za frontowymi drzwiami znajdował się zaniedbany salon; siedziała w nim grupka młodych ludzi, paląc i przeglądając pisma o filmach. - Policja - zawołałem. - Szukam Lindy Martin, Marjorie Graham, Harolda Costy i Donalda Leyesa.

Blondynka o włosach w kolorze miodu i w spodniem przeglądająca mocno już wyswiechtany egzemplarz *Photography* odparła: - Ja jestem Marjorie Graham, a Hal i Don są na zewnątrz.

Pozostałe osoby wstały i wyszły do holu, jakbym był zadżumiony.

- Chodzi o Elizabeth Short. Zналиście ją?

W odpowiedzi tamci tylko zaprzeczyli bez słowa, w ich oczach dostrzegłem smutek i niepokój. Usłyszałem krzyk Koeniga: - Gadajcie prawdę, ale już! Czy ta mała Short puszczała się, czy nie?

Maijorie Graham rzekła: - To ja zadzwoniłam na policję, panie władzo. Podałam im nazwisko Lindy, bo ona też znała Betty.

Wskazałem na drzwi: - A ci na zewnątrz?

- Don i Harold? Obaj spotykali się z Betty, Harold zadzwonił do was, bo wiedział, że będziecie szukać tropów... Kto się tam tak wydziera?

Zignorowałem pytanie, usiadłem przy Maijorie Graham i wyjąłem notes: - Co może mi pani powiedzieć o Betty, czego dotąd nie wiem? Może jakieś fakty? Nazwiska innych chłopaków, rysopisy, konkretne daty? Wrogowie? Potencjalne motywy, dla których ktoś chciałby ją zabić?

Kobieta drgnęła nerwowo; zdałem sobie sprawę, że podniosłem głos. Zniżyłem go odrobinę: - Zaczynamy od dat. Kiedy Betty tu mieszkała?

- Na początku grudnia - odrzekła Maijorie Graham. - Pamiętam dokładnie, bo siedzieliśmy tu całą grupą, słuchając w radio programu o rocznicy ataku na Pearl Harbor, kiedy się tu zjawiała.

- A zatem było to siódmego grudnia?

- Tak.

- Jak długo tu przebywała?

- Nie dłużej niż tydzień, półtora.

- Skąd dowiedziała się o tym miejscu?

- Chyba od Lindy Martin.

Raport Millarda stwierdzał, że Betty Short spędziła większość grudnia w San Diego. Powiedziałem: - Ale wkrótce potem się wyprowadziła, prawda?

- Tak.

- Dlaczego, panno Graham? Wiemy, że ubiegłej jesieni Betty mieszkała pod trzema adresami - wszystkie są z Hollywood. Dlaczego tak często się przeprowadzała?

Marjorie Graham wyjęła z torebki chusteczkę i zaczęła miąć ją w dłoniach. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

- Czy ścigał ją jakiś zazdrosny chłopak?

- Nie sądzę.

- A co pani zdaniem mogło być tego przyczyną?

Marjorie westchnęła: - Widzi pan, panie władzo, Betty wykorzystywała ludzi. Pożyczała od nich pieniądze, opowiadała różne historyjki i... no cóż, mieszka tu sporo cwanych ludzi, chyba udało im się bardzo szybko przejrzeć Betty...

- Proszę mi opowiedzieć o Betty. Lubiła ją pani, prawda?

- Tak. Była słodka, ufna, trochę głupiutka, ale... pełna pasji i natchnienia. Można powiedzieć, że miała osobliwy dar. Była gotowa uczynić absolutnie wszystko, aby zyskać sympatię innych, i w pewnym sensie podzielała zachowania osób, z którymi się aktualnie zadawała. Tutaj wszyscy palą, to i Betty zaczęła palić, mimo iż to jej szkodziło, bo miała astmę i przecież nie znosiła papierosów. Zabawne jest, że starała się naśladować chód i sposób mówienia innych, ale robiąc to, zawsze pozostawała sobą. Zawsze była Betty, Beth, czy jakiego tam jeszcze używała zdrobnienia od Elizabeth.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem. - O czym rozmawiała pani z Betty?

- Zwykle po prostu słuchałam Betty. To ona mówiła. Siadywałyśmy tutaj, słuchałyśmy radia, a Betty opowiadała różne historie. Uwielbiałam historie o tych wszystkich bohaterach wojennych - poruczniku Joe, majorze Matcie i innych. Wiedziałam, że to tylko zmyślane bajeczki. Czasem opowiadała o swoich aspiracjach, o tym, jak zostanie gwiazdą filmową i jedyne, co miała zrobić w tym celu, to chodzić po ulicach w czarnych, obcisłych sukienkach, a pręcej czy później ktoś ją odkryje. To mnie trochę wkurzało, bo uczęszczałam na zajęcia w Pasadena Playhouse i wiem, że aktorstwo to ciężki fach.

Sięgnąłem do notatek z przesłuchania Sheryl Saddon.

- Panno Graham, czy Betty wspominała, że w końcu listopada zagrała w filmie?

- Tak. Chwaliła się tym już pierwszego wieczoru. Powiedziała, że zagrała jedną z głównych ról i pokazała nam wszystkim ten mały wizjer. Paru chłopaków wypytywało ją o szczegóły, na co odparła, że film nakręcono w studiu Paramount, ale innemu wmawiała, że w Foxie. Chyba chciała tylko zaimponować innym albo skupić na sobie uwagę.

Napisałem na następnej kartce „nazwiska” i podkreśliłem ją trzy razy. - A co z nazwiskami, Marjorie? Chłopakami Betty, mężczyznami, z którymi ją pani widywała?

- No cóż, wiem, że spotykała się z Donem Leyesem i Haroldem Costą, a kiedyś widziałam ją z jakimś marynarzem i...

Nie dokończyła; zauważyłem wyraz zatroskania w jej oczach.

- O co chodzi? Może mi pani powiedzieć.

Głos Marjorie zmienił się w szept: - Zanim się wyprowadziła, widziałam Betty i Lindę Martin rozmawiające ze starszą, postawną kobietą przy Bulwarze. Miała na sobie męski

garnitur i włosy obcięte krótko, po męsku. Widziałam je tylko raz, więc może to o niczym nie świadczy...

- Chce pani powiedzieć, że ta kobieta była lesbijką?

Marjorie pokiwała głową i sięgnęła po chustkę; Bill Koenig wszedł po schodach i kiwnął na mnie palcem. Podeszedłem do niego. Wyszeptał: - Te typki zaczęły mówić, twierdzą, że nasza cizia dawała dupy, jak jej się nie układało. Zadzwoiłem do pana Loewa. Powiedział, żebyśmy tego nie rozgłaszali, bo lepiej utrzymywać jej wizerunek miłej, słodkiej cnotki.

Miałem chęć wspomnieć o jej przypuszczalnych lesbijskich skłonnościach; prokurator okręgowy i jego zausznik na pewno to też by zatuszowali. - Potrzebuję tu jeszcze chwilkę. Spisz zeznania tych typków, dobra?

Koenig zachichotał i wyszedł na zewnątrz. Powiedziałem Marjorie, by została na miejscu, i wyszedłem do holu. Była tam recepcja; na blacie leżała otwarta księga meldunkowa. Stałem przy kontuarze i zacząłem kartkować księgę, aż napotkałem nabazgrane dziecięcym charakterem pisma „Linda Martin” i „pokój 14”. Podeszedłem wzdłuż korytarza, zatrzymałem się przy drzwiach o numerze 14 i zapukałem. Kiedy nikt mi nie otworzył, po pięciu sekundach nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły, otworzyłem je na oścież. W małym, ciasnym pokoiku stało tylko nieposłane łóżko. Zajrzałem do szafy - była pusta. Na nocnym stoliku leżał plik wczorajszych gazet z artykułami o grasującym w mieście „wampirze” na pierwszej stronie. Coś mi mówiło, że panna Martin zerwała się chyba z domu. Przykucnąłem i sięgnąłem pod łóżko, by wyjąć spod niego jakiś nieduży, płaski przedmiot.

Była to czerwona, plastikowa portmonetka. Otworzyłem ją i znalazłem wewnątrz dwie pięciocentówki, jedną dziesięciocentówkę i legitymację szkolną na nazwisko Lorna Martilkova, ur. 19.12.1931. Pod pieczętką było zdjęcie pięknej, młodej dziewczyny, a ja zacząłem już w myślach prokurować list gończy za zbiegłą małolatą.

W drzwiach pojawiła się Marjorie Graham. Pokazałem jej legitymację; powiedziała: - To Linda. Boże, ona ma tylko piętnaście lat.

- To jak na Hollywood jest w średnim wieku. Kiedy widziała ją pani ostatni raz?

- Dziś rano. Powiedziałam, że skontaktowałam się z policją i że ktoś przyjedzie, by porozmawiać z nami o Betty. Źle zrobiłam?

- Nie mogła pani wiedzieć. Dziękuję.

Marjorie uśmiechnęła się, a ja w myślach zacząłem życzyć jej, by pospiesznie opuściła krainę filmowego blichtru. Nie wypowiedziałem tego życzenia na głos, uśmiechnąłem się tylko i wyszedłem na zewnątrz. Na ganku Bill Koenig stał dziarsko na

baczność, a Donald Leyes i Harold Costa leżeli rozciągnięci w fotelach, z nietęgimi minami i zielonymi twarzami - co, jak mogłem przypuszczać, było skutkiem kilku bolesnych ciosów w dołek.

Koenig rzekł: - Oni tego nie zrobili.

- Jak na to wpadłeś, Sherlocku?

- Nie mam na imię Sherlock - powiedział Koenig.

- Bez kitu - mruknąłem.

- Że niby co? - burknął Koenig.

*

Na posterunku Hollywood zgodnie z regulaminem wypełniłem formularze wystosowania listu gończego za zbiegłą osobą małoletnią, podając, że Lorna Martilkova/Linda Martin jest ważnym świadkiem w prowadzonej sprawie, i przekazałem je do rąk własnych szefa dziennej zmiany, który powiadomił mnie, że pismo zostanie rozesłane w ciągu godziny, a on sam wyśle funkcjonariuszy pod adres North Orange Drive 1611, aby wypytać lokatorów o możliwe miejsce pobytu Lindy/Lorny. Gdy już to miałem za sobą, napisałem raport z przeprowadzonych przesłuchań, z których jasno wynikało, że Betty Short była notoryczną kłamczuchą i być może w końcu listopada '46 zagrała w jakimś filmie. Zastanowiłem się, czy na koniec dodać jeszcze krótką wzmiankę o starszej lesbijce, o której opowiedziała mi Marjorie Graham. Gdyby Ellis Loew dostał ten raport w swoje ręce, zapewne usunąłby tę informację, tak jak to, że Betty najprawdopodobniej dorabiała jako prostytutka, postanowiłem więc je pominąć i przekazać tę wiadomość osobiście Russowi Millardowi.

Z telefonu na posterunku zadzwoniłem do Screen Actor's Guild i biura castingu, by zapytać o Elizabeth Short. Usłyszałem, że nikt o tym nazwisku ani imieniu, choćby nie wiadomo jak zdrobniałym, nie był u nich zarejestrowany, czyli wątpliwe jest, aby mogła wystąpić w którymś z filmów wyprodukowanych w Hollywood. Odłożyłem słuchawkę, uznawszy, że sprawa filmu była kolejną bajeczką Betty, a wizjer stanowił tylko rodzaj niezbędnego rekwizytu.

Było późne popołudnie. Uwolniwszy się od Koeniga, poczułem się jak chory, który przezwyciężył raka, a trzy przesłuchania sprawiły, że na jakiś czas miałem powyżej uszu Betty/Beth Short i jej ostatnich miesięcy na tym padole łez. Byłem zmęczony i głodny, toteż wyrwałem się, do Lee, aby przegryźć kanapkę i trochę się zdrzemnąć - i po raz kolejny tego dnia spotkałem się z Czarną Dalią.

Kay i Lee stali przy stole w jadalni, oglądając zdjęcia z miejsca zbrodni przy

Trzydziestej Dziewiątej i Norton. Było tam zbliżenie zmasakrowanej głowy Betty Short; jej pociętych piersi; opróżnionej jamy brzusznej i szeroko rozłożonych nóg - wszystko w błyszczącej czerni i bieli. Kay nerwowo paliła papierosa i raz po raz zerknęła na fotografię; Lee patrzył na nie bez przerwy, na jego twarzy widać było liczne nerwowe tiki, wyglądał jak kosmita nafaszerowany benzedryną. Żadne z nich nie odezwało się do mnie; po prostu tam stałem jak prostaczek przed obliczem najsłynniejszej denatki w historii LA. Wreszcie Kay rzuciła: „Cześć, Dwight”, kiedy Lee wskazał drżącym palcem na zdjęcie ukazujące pokiereszowany tors. - Wiem, że to nie jest przypadkowa sprawa. Vern Smith twierdzi, że jakiś facet poderwał ją na ulicy, wywiózł ją gdzieś, torturował, a potem podrzucił ją na plac. Bzdura. Facet, który to zrobił, nienawidził jej z jakiegoś powodu i chciał, aby dowiedział się o tym cały świat. Jezu, kroił ją żywcem przez całe dwa dni. Mała, byłaś na medycynie, czy twoim zdaniem ten facet miał przeszkolenie medyczne? No wiesz, jakiś szalony doktor?

Kay zgasła papierosa i powiedziała: - Lee. Dwight tu jest...

Lee odwrócił się.

Powiedziałem: - Cześć, partnerze. - A Lee próbował mrugać, uśmiechać się i powiedzieć coś równocześnie.

Wszedł z tego jeden szpetny grymas i słowa: - Bucky, słuchaj Kay, wiedziałem, że studia, które jej opłaciłem, kiedyś się opłacą.

Odwróciłem wzrok.

Głos Kay był delikatny, cierpliwy: - Tego rodzaju teoretyzowanie jest bzdurą, ale spróbuję wysnuć jakąś teorię, jeżeli zjesz coś i spróbujesz się uspokoić.

- Jestem bardzo ciekaw twojej teorii.

- To tylko przypuszczenie, ale może było dwóch zabójców, zwróć uwagę, że rany zadawane podczas tortur są toporne i chaotyczne, a przecięcie w talii i rana na podbrzuszu, wykonane bez wątplenia po śmierci ofiary, wyglądają na czyste i zdecydowane. A może jest tylko jeden zabójca, który już po zabiciu dziewczyny uspokoił się, a potem ją przepołowił i rozplątał pionowo, prawie do krocza. Przy ciele przeciętym na pół praktycznie każdy mógłby wyjąć z jamy brzusznej organy wewnętrzne. Sądzę, że szaleni doktorzy występują tylko w filmach. Lepiej to ty się uspokój i wycisz, mój drogi. Przestań łykać te prochy i zacznij normalnie jeść. Słuchaj Dwighta, on powie ci to samo.

Spojrzałem na Lee. Powiedział: - Jestem za bardzo nakręcony, aby jeść - po czym wyciągnął do mnie rękę, jakbym dopiero co wszedł.

- Cześć, partnerze. Dowiedziałeś się dziś czegoś ciekawego na temat naszej dziewczyny?

Miałem chęć powiedzieć mu, że z tego, co się dowiedziałem, na zajmowanie się tą dziewczyną szkoda było czasu pracujących na okrągło gliniarzy z kilku wydziałów. Chciałem opowiedzieć o lesbijskim tropie i nieskończonych kłamstwach małej, puszczańskiej Betty Short. Ale widok napuchniętej od prochów twarzy Lee sprawił, że powiedziałem: - To wszystko nie jest warte tego, co z sobą robisz. Nie powinieneś doprowadzać się do takiego stanu, skoro ten frajer, którego posłałeś do San Quentin, ma za trzy dni wyjść na wolność. Pomyśl, co by powiedziała twoja siostra, gdyby cię takiego zobaczyła. Pomyśl o niej...

Przerwałem, kiedy ze szklistych, mętnych oczu Lee popłynęły strużki łez. Teraz to on sprawiał wrażenie nieproszonego gościa, który znalazł się w zupełnie obcym miejscu. Kay weszła między nas i położyła dłonie na ramieniu moim i Lee. Wyszedłem z domu, zanim Lee zdążył na dobre się rozplakać.

*

Na posterunku University także trwało szaleństwo związane z Czarną Dalią.

W szatni znajdowała się oficjalna lista obstawianych zakładów. Na topornie przyciętym kawałku filcu ze stołu do gry wyrysowano tabele, w których rozpisano w kolejności: „Sprawa rozwiązana - płacimy 2 do 1”. „Przypadkowy klient - płacimy 4 do 1”, „Sprawa nierozwiązana - wypłacamy równowartość wpłaty”, „Chłopak - płacimy 4 do 1”, „Rudy - zakłady wstrzymane do czasu ujęcia podejrzanego”. Zakłady przyjmował sierżant Shiner i jak dotąd najwięcej zakładów przyjmowano, że to robota któregoś z chłopaków - podpisało się pod tym tuzin funkcjonariuszy, wszyscy wpłacili po piątce, aby wygrać dwadzieścia pięć dolców.

W sali odpraw panowała o niebo luźniejsza atmosfera. Ktoś powiesił w drzwiach rozciętą na pół, tanią, czarną sukienkę. Harry Sears, na pół zalany, tańczył z czarną sprzątaczką, przedstawiając ją jako prawdziwą Czarną Dalię, najlepszą, kolorową piosenkarkę od czasów Billie Holliday. Popijali wspólnie z piersiówki Harry'ego, sprzątaczką śpiewała pieśni gospel, podczas gdy funkcjonariusze na gwałt kończyli prowadzone przez telefon rozmowy, aby mieć wolne ręce i móc zatkać sobie nimi uszy.

Praca wrzała na całego. Policjanci kontaktowali się z wydziałem ewidencji pojazdów i Huntington Park, w związku z tropem „Rudego”, z którym Betty Short opuściła San Diego; inni czytali jej listy miłosne, a dwaj funkcjonariusze sprawdzali numery rejestracyjne aut, spisane przez Lee podczas ubiegłonocnego czuwania w „miłosnym gniazdku” Juniora Nasha. Millarda i Loewa nie było, toteż wrzuciłem mój raport z przesłuchań i notatkę o wystawieniu listu gończego do dużej skrzynki z napisem Raporty z terenu. A potem wyszedłem, zanim któryś z tych kłownów zdążył zmusić mnie, abym dołączył do tego cyrku.

Teraz, gdy właściwie nie miałem nic konkretnego do roboty, zacząłem myśleć o Lee; a myślenie o Lee sprawiło, że zatęskniłem za komendą, gdzie przynajmniej gliniarze mieli poczucie humoru i traktowali sprawę martwej dziewczyny z przymrużeniem oka. Wreszcie myślenie o Lee sprawiło mnie we wściekłość i zacząłem myśleć o Juniorze Nashu, zatwardziałym bandycie uzbrojonym i niebezpiecznym, dużo groźniejszym niż pięćdziesięciu zazdrosnych kochanków-morderców. Znow byłam gliną z egzekucyjnego i poszukiwałem przestępcy w Leimert Park.

Ale przed Czarną Dalią nie było ucieczki.

Mijając Trzydziestą Dziewiątą, zobaczyłem gapiów zgromadzonych wokół pustego placu, zajadających się lodami i hot dogami od ulicznych sprzedawców; starsza kobieta handlowała zdjęciami Betty Short pod knajpą przy Trzydziestej Dziewiątej i Crenshaw, a ja zastanawiałem się, czy negatywy zdjęć, oczywiście za odpowiedni procent, otrzymała od przedsiębiorczego Cleo Shorta. Wściekły jak osa wyrzuciłem ze swego umysłu całą tę bufonadę i wziąłem się do roboty.

Przez bite pięć godzin krążyłem po South Crenshaw i South Western, pokazując ludziom zdjęcia Nasha i podążając dalej tropem tego odrażającego miłośnika ciemnoskórych dzieci. W odpowiedzi słyszałem jedynie zaprzeczenia i pytanie: Czemu nie szuka pan faceta, który poszlachtował tę milutką Dalię? Pod wieczór byłem prawie gotów uwierzyć, że może Junior Nash faktycznie opuścił Los Angeles. Wciąż zły jak osa wróciłem do cyrku.

Pochłonawszy na kolację parę hamburgerów zadzwoniłem na nocny dyżur do obyczajówki i zapytałem o znane policji miejsca spotkań lesbijek. Oficer dyżurny sprawdził akta i podał mi nazwy trzech cocktail barów, wszystkie mieściły się przy tej samej ulicy, przy Ventura Boulevard, w Valley: Dutchess, Swank Spot i La Verne's Hideaway. Już miałem odłożyć słuchawkę, gdy oficer dyżurny dodał, że miejsca te znajdowały się poza jurysdykcją policji LA, na obszarze patrolowanym przez funkcjonariuszy z biura szeryfa i najprawdopodobniej działały za ich wiedzą i przyzwoleniem - rzecz jasna nie za darmo.

W drodze do Valley nie myślałem o jurysdykcjach, tylko o kobietach zadających się z kobietami. Nie o lesbijkach, ale o delikatnych dziewczynach zahartowanych przez życie, jak dziewczyny zapowiadające kolejną z moich walk w ringu.

Przejeżdżając przez przełęcz Cahuenga, próbowałem połączyć je w parę. Jedyne, co potrafiłem sobie wyobrazić, to ich ciała i woń skórzanej tapicerki - zero twarzy. Potem wykorzystałem twarze Betty/Beth i Lindy/Lorny, w połączeniu z ciałami dziewcząt, które zapamiętałem z moich ostatnich zawodowych walk w ringu. Obrazy stały się nieco bardziej wyraziste; wreszcie moim oczom ukazała się przecznica Ventura Boulevard od numeru 1100 i

miałem okazję na własne oczy zobaczyć amatorki kobiecego piękna.

Swank Spot miało fronton jak drewniana chata z bali i podwójne drzwi na zawiasach, jak te w saloonach, w westernach. Wnętrze było wąskie i słabo oświetlone; potrzebowałem sporo czasu, nim moje oczy przywykły do ciemności. A wówczas zobaczyłem ze dwadzieścia kobiet, które patrzyły na mnie złowrogo. Były wśród nich postawne, grube lesby w koszulkach khaki i wojskowych spodniach, a także delikatne dziewczyny w sweterkach i spódniczkach. Jedna ponura lesba otaksowała mnie wzrokiem od stóp do głów, stojąca obok niej, posągowa ruda dziewczyna położyła głowę na jej ramieniu i nie bez trudu objęła ją w tali. Poczujęm, że zaczynam się pocić. Rozejrzałem się w poszukiwaniu baru i kogoś, kto mógł prowadzić ten lokal. Na tyłach sali dostrzegłem bambusowe foteliki i stolik, na którym stały butelki z różnymi trunkami, wszystko było okolone ściennym neonem, mrugającym fioletowo, żółto i na koniec pomarańczowo. Podszedłem tam, rozdzielając po drodze kilka obejmujących się czule par; było dość ciasno, ale jakoś się między nimi przecisnąłem.

Lesbijka za barem naląła szklaneczkę whisky i postawiła przede mną ze słowami: - Pan od zezwoleń na wyszynk?

Miała jasne, przenikliwe oczy, odbijający się w nich blask neonów sprawił, że wydawały się niemal przezroczyste. Odniosłem niepokojące wrażenie, że wiedziała, o czym myślałem, jadąc tutaj.

Wychyliłem do dna i rzekłem: - Wydział zabójstw, policja LA.

Lesbijka skwitowała moje słowa: - To nie twój teren, ale kogo sprzątnęli?

Sięgnąłem po zdjęcie Betty Short i legitymację Lorny/Lindy i położyłem na kontuarze. Whisky złagodziła mój ochrypliwy głos. - Widziałaś kiedyś którąś z nich?

Kobieta spojrzała na zdjęcia, potem na mnie i przez chwilę taksowała mnie wzrokiem. - Chcesz powiedzieć, że Dalia jest jedną z nas?

- Ty mi powiedz.

- Powiem, że widziałam ją wyłącznie w gazetach, a tej szczeniary w ogóle, bo ja i moje dziewczyny nie zadajemy się z nieletnimi. Capice?

Wskazałem na szklaneczkę, a barmanka ponownie ją napełniła.

Wypiłem; mój pot wyparował. - Capice, o ile to samo powiedzą mi twoje dziewczęta i zdołają przekonać mnie na tyle, że im uwierzę.

Kobieta gwizdnęła i w tej części sali nagle zrobiło się gęsto. Sięgnąłem po zdjęcia i pokazałem je kobiecie obejmującej olbrzymkę o posturze drwala. Obie obejrzały zdjęcia, pokręciły głową i przekazały fotografie kobiecie w kombinezonie lotniczym. Powiedziała: - Nie. To podpada pod prokuratora. - I oddała zdjęcia parze stojącej obok. Dwie kobiety

wypowiedziały równocześnie: - Czarna Dalia. - W ich głosie wychwyciłem nutę przerażenia. Obie odparły: - Nie. - A ostatnia lesbijka rzekła: - Nie, niet, nein, a przy tym i tak nie w moim typie. - Podsunęła fotki w moją stronę, po czym splunęła na podłogę.

- Dobranoc paniom - powiedziałem i ruszyłem do drzwi, słysząc za sobą szeptane raz po raz: „Dalia”.

W Dutchess zarobiłem dwa kolejne darmowe drinki, tuzin równie wrogich jak wcześniej spojrzeń i zgodne odpowiedzi: „Nie”, tym razem wyłącznie po angielsku. Wchodząc do La Verne’s Hideaway, byłem na wpół pijany i spragniony czegoś, na czym mogłem oprzeć moje dalsze dochodzenie.

W La Verne’s było ciemno, małe lampki pod sufitem rzucały wątpliwy blask na ściany pokryte tapetą w palmy. Pary lesbijek obściskowały się na wygodnych, miękkich sofach przy stolikach; widok całujących się kobiet skupił moją uwagę przez chwilę, po czym odwróciłem wzrok w poszukiwaniu baru.

Kontuar znajdował się przy ścianie po lewej, długi szynkwaz z kolorowymi światełkami rzucającymi refleksy na pejzaż z Waikiki Beach. Przy barze nie było nikogo, stołki przy kontuarze świeciły pustkami. Przeszedłem na drugi koniec sali, chrząkając głośno, aby zakochane gołąbki w luksusowych łóżach przestały gruchać i wróciły z obłoków na ziemię. Moja strategia poskutkowała; kobiety przestały się obłapiać i całować, gniewne i zaskoczone spojrzenia skierowały się w moją stronę, w oczekiwaniu na złe wieści, których byłem zapowiedzią.

- Policja - rzekłem i podałem zdjęcia lesbijce znajdującej się najbliżej mnie. - Ta ciemnowłosa to Elizabeth Short. Czarna Dalia, o ile czytacie gazety. Ta druga to jej przyjaciółka. Chcę wiedzieć, czy któraś z was je widziała, a jeżeli tak, to z kim.

Zdjęcia zaczęły krążyć od stolika do stolika; obserwowałem reakcje, które były dla mnie ważniejsze niż prosta odpowiedź „tak” lub „nie”. Nikt się nie odezwał, na twarzach kobiet dostrzegłem zaciekanie mieszające się w kilku przypadkach z pożądaniem. Zdjęcia zostały mi zwrócone przez lesbijkę ostrzyżoną na zapałkę i ubraną w motocyklową kurtkę, jakie noszą członkowie gangów. Schowałem zdjęcia i już miałem wyjść na ulicę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy nagle spostrzegłem za barem kobietę, wycierającą szklanki.

Podszedłem do kontuaru, położyłem zdjęcia na blacie i przywołałem barmankę, kiwając na nią palcem. Wzięła do ręki zdjęcie Betty Short i powiedziała: - Widziałam ją w gazecie, to wszystko.

- A co z tą dziewczyną? Używa nazwiska Linda Martin.

Barmanka sięgnęła po legitymację Lorny/Lindy i spojrzała na nią, lekko mrużąc powieki. Zauważyłem, że rozpoznała twarz ze zdjęcia, ale starała się nie dać tego po sobie poznać. - Niestety, przykro mi.

Nachyliłem się nad kontuarem. - Nie próbuj, kurwa, wciskać mi kitu. Ona ma zaledwie piętnaście lat, więc gadaj, co wiesz, albo przyskrzynię cię za współudział i przez następne pięć lat będziesz lizać cipy w Tehachapi.

Lesbijką cofnęła się gwałtownie; w głębi duszy spodziewałem się, że spróbuje sięgnąć po butelkę i rąbnąć mnie po głowie. Wlepiając wzrok w kontuar, powiedziała: - Ta mała faktycznie tu przychodziła. Dwa, może trzy miesiące temu. Ale Dalii nigdy nie widziałam i wydaje mi się, że ona raczej woli chłopaków. Może po prostu naciągała siostry, żeby stawiały jej drinki, ot i wszystko.

Kątem oka dostrzegłem kobietę, która zamierzała usiąść przy barze, ale zmieniła zdanie, sięgnęła po torebkę i ruszyła w stronę drzwi, jakby przestraszyła się tego, o czym rozmawiałem z barmanką. W świetle lampki podsufitowej zobaczyłem jej twarz - była trochę podobna do Elizabeth Short.

Zabrałem zdjęcia, policzyłem do dziesięciu i ruszyłem w ślad za kobietą; gdy wsiałem do samochodu, zobaczyłem ją, jak otwierała drzwiczki śnieżnobiałego packarda coupe, zaparkowanego o kilka miejsc dalej. Kiedy ruszyła, policzyłem do pięciu i pojechałem za nią.

Trasa tej inwigilacji przywiodła mnie z Ventura Boulevard przez przełęcz Cahuenga do Hollywood. Ruch uliczny o tak późnej porze był znikomy, toteż pozwoliłem, by wyprzedziło mnie kilka aut i w ten sposób, kierując się na północ wzdłuż Highland, opuściłem Hollywood i dotarłem do Hancock Park. Przy Czwartej Ulicy kobieta skręciła w lewo, w kilka sekund później znaleźliśmy się w samym sercu Hancock Park, obszarze, który gliniarze z Wilshire nazywają Bazanciarnią.

Packard skręcił za róg przy Muirfield Road i stanął przy olbrzymiej rezydencji w stylu Tudorów, przed którą rozciągał się trawnik wielkości boiska futbolowego. Jechałem dalej, reflektory mego auta oświetliły tablicę rejestracyjną wozu: CAL RQ 765. Spojrzawszy w lusterko wsteczne zobaczyłem, jak kobieta zamyka kluczykiem drzwiczki samochodu; nawet z daleka widać było, że ma śliczną figurę, podkreśloną przez obcisły kostium ze skóry rekina.

Wyjechałem z Hancock Park Trzecią Ulicą. Przy Western zauważyłem budkę telefoniczną, wszedłem i zadzwoniłem na nocny dyżur do ewidencji pojazdów, by zapytać, kto jest właścicielem białego packarda coupe o numerze CAL RQ 765 i czy ma na koncie jakieś przewinienia. Oficer dyżurny kazał mi czekać prawie pięć minut, po czym podał co

następuje: Madeleine Cathcart Sprague, kobieta rasy białej, urodzona 14.11.1925 w LA, zamieszkała przy South Muirfield Road 482, żadnych mandatów, nakazów egzekucyjnych ani brudów w papierach.

Gdy jechałem do domu, wypity alkohol powoli wyparował mi z głowy. Zacząłem się zastanawiać, czy Madeleine Cathcart Sprague miała cokolwiek wspólnego z Betty/Beth i Lorną/Lindą, czy może była tylko bogatą lesbijką lubiącą najgorsze męty i szumowiny. Kierując autem jedną ręką, wyjąłem z kieszeni zdjęcia Betty Short i nałożyłem je w myślach na twarz panny Sprague; wyszło z tego dość pospolite, w sumie całkiem zwyczajne podobieństwo. A potem ujrzałem samego siebie, zdzierającego z niej ten obcisły kostium w rekiniej skóry i zdałem sobie sprawę, że takie szczegóły jak te, które rozważałem przed chwilą, przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

10.

Następnego ranka w drodze na posterunek University słuchałem radia. Kwartet Dextera Gordona, grający bebop, wprowadził mnie w dobry nastrój, kiedy „Billie’s Bounce” zostało przerwane jak ucięte nożem i usłyszałem rozgorączkowany głos: - Przerwywamy nasz program, aby przekazać komunikat specjalny. Zatrzymano głównego podejrzanego w sprawie zabójstwa Elizabeth Short, kruczowłosej piękności, znanej jako Czarna Dalia! Określany wcześniej jako „Rudy”, to Robert Manley, lat dwadzieścia pięć, sprzedawca obwoźny towarów żelaznych z Huntington Park. Manley został zatrzymany dziś rano w jednym z domów w South Gate i jest obecnie przesłuchiwany na posterunku Hollenbeck we wschodnim Los Angeles. W specjalnym wywiadzie dla KGFJ, zastępca prokuratora okręgowego, Ellis Loew, orzeł Temidy pracujący nad tą sprawą jako cywilny łącznik powiedział: - „Rudy” Manley to istotny podejrzany. Wiemy, że to on zabrał Betty Short z San Diego dziewiątego stycznia, na sześć dni przed tym, jak jej okaleczone ciało odnaleziono na pustym placu w Leimert Park. Wygląda na to, że mamy przełom, o który nam chodziło. Bóg wysłuchał naszych modlitw!

Po wypowiedzi Ellisa Loewa z radia popłynęła reklama Preparatu H. gwarantującego złagodzenie bólu osób cierpiących na hemoroidy albo zwrot pieniędzy. Zgasilem radio i zmieniłem kierunek. Pojechałem na posterunek Hollenbeck.

Ulica przed komendą była zablokowana drewnianymi kozłami, policjanci nie dopuszczali dziennikarzy poza granicę kordonu. Zaparkowałem w alejce na tyłach posterunku

i wszedłem tylnymi drzwiami do tej części budynku, gdzie mieścił się areszt. Pijaczkowie mamrotali coś bez ładu i składu w swoich celach po obu stronach metalowej kładki; zza krat patrzyli gniewnie zatwardziali przestępcy. Było tu zupełnie jak w więzieniu, choć jak okiem sięgnąć nie było widać ani jednego klawisza. Otwierając łącznikowe drzwi na posterunek, zrozumiałem, dlaczego tak było.

Wyglądało na to, że wszyscy funkcjonariusze tej komendy zebrali się w wąskim korytarzu, przy pokojach przesłuchań. Wszyscy próbowali zajrzeć przez lustro weneckie do środkowego pokoju po lewej. Z głośnika płynął gładki, kojący głos Russa Millarda. Szturchnąłem stojącego tuż obok mnie funkcjonariusza. - Przyznał się?

Tamten pokręcił głową: - Nie. Millard i jego partner próbują go rozgryźć po dobroci.

- Przyznał się, że znał tę dziewczynę?

- Tak. Dorwaliśmy go dzięki informacjom z biura ewidencji pojazdów, nie stawiał oporu. Chcesz się założyć? Winny czy niewinny, obstawiaj. Czuję, że mam dziś fart.

Zignorowałem jego propozycję, przycisnąłem się do szyby i zajrzałem do środka. Millard siedział przy poobijanym, drewnianym stole, naprzeciw niego przycupnął przystojny, młody mężczyzna z włosami koloru marchewki i modną fryzurą; nerwowo obracający w dłoniach paczkę papierosów. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Millard sprawiał wrażenie modelowego, dobrego gliny, który potrafił wszystko przyjąć, zrozumieć i wybaczyć. Z głośnika dobiegł głos „Rudego”: - Proszę, mówiłem to już trzy razy.

Millard powiedział: - Robercie, robimy to, ponieważ nie zgłosiłeś się do nas dobrowolnie. Betty Short od trzech dni nie schodzi z pierwszych stron gazet w całym LA i wiedziałaś doskonale, że chcemy z tobą pomówić. A ty próbowałaś się ukrywać. I jak to twoim zdaniem wygląda?

Robert „Rudy” Manley zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i zakasłał: - Nie chciałem, żeby moja żona dowiedziała się, że ją zdradzam.

- Ale przecież jej nie zdradziłeś. Betty ci nie uległa. Drażniła się tylko z tobą, ale do niczego nie doszło. Nie miałeś powodu, aby ukrywać się przed policją.

- Umawiałem się z nią w Dago. Tańczyliśmy wolne tańce. To też zdrada, w pewnym sensie, ma się rozumieć.

Millard położył dłoń na ramieniu Manleya: - Zacznijmy jeszcze raz od początku. Opowiedz mi, jak poznałeś Betty, co robiliście, o czym rozmawialiście. Nie śpiesz się, nikt cię nie popędza.

Manley zgasił papierosa w mocno już przepelnionej popielniczce, zapalił następnego i otarł pot z czoła. Rozejrzałem się po korytarzu i zobaczyłem Ellisa Loewa opierającego się o

ścianę. Vogel i Koenig stali po obu jego bokach jak dwa psy tylko czekające na sygnał do ataku. Z głośnika dobiegło przeciągłe westchnienie; odwróciłem się i patrzyłem, jak podejrzany wierci się na krześle. - Czy to już ostatni raz? Mam dość powtarzania tego w kółko.

Millard uśmiechnął się: - Na pewno. A teraz mów, synu.

Manley wstał, przeciągnął się i zaczął mówić, krążąc w tę i z powrotem: - Spotkałem Betty na tydzień przed Bożym Narodzeniem, w barze w centrum Dago. Zaczęliśmy rozmawiać, a Betty dała mi do zrozumienia, że nie ma forsy i ledwo wiąże koniec z końcem, a mieszka z panią French i jej córką. Postawiłem jej kolację we włoskiej knajpce na starówce, a potem poszliśmy na tańce w Sky Room w hotelu El Cortez. My...

Millard wszedł mu w słowo: - Czy zawsze uganiaś się za spódniczkami, kiedy wyjeżdżasz za miasto w interesach?

Manley wrzasnął: - Nie uganiam się za spódniczkami.

- To co robiłeś?

- Zakochałem się. To wszystko. Nie potrafiłem stwierdzić, czy Betty była naciągaczką, czy miłą dziewczyną, i chciałem się tego dowiedzieć. Chciałem sprawdzić, czy jestem lojalny wobec żony i tylko...

Manley nie dokończył; Millard rzekł: - Synu, na miłość boską, zacznij wreszcie mówić prawdę. Chciałeś się zabawić, zgadza się?

Manley osunął się na krzesło: - Tak.

- Jak zawsze, gdy wyjeżdżałeś z miasta w interesach, mam rację?

- Nie, z Betty było inaczej!

- Pod jakim względem? Panienska z innego miasta to nie grzech, tak?

- Nie. Ja nie zdradzam żony, kiedy wyjeżdżam w trasę. Betty po prostu...

Millard mówił tak cicho, że ledwie było go słyhać. - Betty po prostu ci się spodobała. Podkręciła cię. Mam rację?

- Tak.

- Zapragnąłeś zrobić z nią rzeczy, których nigdy nie robiłeś, a potem się wściekłeś i...

- Nie! Nie! Chciałem ją zerznąć! Nie chciałem jej skrzywdzić!

- Cii! Cii! Wróćmy do tamtych dni. Do Bożego Narodzenia. Wtedy miałeś pierwszą randkę z Betty. Pocałowałeś ją na dobranoc?

Manley ścisnął popielniczkę w obu dłoniach; jego ręce drżały, niedopałki wysypywały się na blat. - W policzek.

- Daj spokój, Rudy. Nie próbowałeś niczego więcej?

PROLOG.....	3
I.....	12
OGIEŃ I LÓD.....	12
1.....	12
2.....	15
3.....	21
4.....	33
5.....	39
6.....	58
II.....	65
Przy trzydziestej dziewiątej i Norton.....	65
7.....	65
8.....	72
9.....	90
10.....	111
11.....	126
12.....	140
13.....	154
14.....	158
15.....	162
16.....	168
17.....	170
18.....	174
19.....	178
20.....	179
21.....	190
22.....	197
23.....	201
24.....	218
III.....	238
Kay i Madeleine.....	238
25.....	238
26.....	241

<u>27.....</u>	<u>247</u>
<u>28.....</u>	<u>248</u>
<u>IV.....</u>	<u>257</u>
<u>Elizabeth.....</u>	<u>257</u>
<u>29.....</u>	<u>257</u>
<u>30.....</u>	<u>258</u>
<u>31.....</u>	<u>262</u>
<u>32.....</u>	<u>268</u>
<u>33.....</u>	<u>297</u>
<u>34.....</u>	<u>302</u>
<u>35.....</u>	<u>315</u>
<u>36.....</u>	<u>318</u>
<u>37.....</u>	<u>320</u>

Łagodne światło, drinki, miła muzyka, a potem próbowałeś się do niej dobierać, zgadza się?

- Do cholery, niech pan przestanie powtarzać to „zgadza się?”. Próbowałem pocałować Betty, a ona uraczyła mnie historyjką, że nie może pójść ze mną do łóżka, bo chce mieć dziecko z bohaterem wojennym, a ja należałem tylko do orkiestry wojskowej. Miała bzika na tym punkcie! Była kompletnie szurnięta! Wciąż mówiła tylko o tych cholernych bohaterach wojennych!

Millard wstał: - Dlaczego powiedziałaś: cholernych bohaterach wojennych?

- Bo wiedziałem, że to wszystko kłamstwa! Betty mówiła, że jest żoną tego czy owego albo że jest zaręczona z tym czy z owym, a ja zdawałem sobie sprawę, że chce mnie w ten sposób upokorzyć, bo nigdy nie znalazłem się na polu bitwy.

- Wymieniła jakieś nazwiska?

- Nie, tylko stopnie. Major taki, kapitan taki, jakbym powinien się wstydzić, że jestem tylko kapralem.

- Nienawidziłeś jej za to?

- Nie! Niech pan nie mówi za mnie czegoś, czego nie powiedziałem!

Millard przeciągnął się i usiadł. - A po tej drugiej randce kiedy ponownie widziałeś się z Betty?

Manley westchnął i oparł się czołem o blat stołu. - Mówiłem to wszystko już trzy razy.

- Synu, im prędzej powtórzysz to raz jeszcze, tym szybciej będziesz mógł wrócić do

domu.

Manley wzdrygnął się i otulił ramionami. - Od tamtej drugiej randki Betty nie odezwała się do mnie aż do ósmego stycznia, kiedy przysłała mi do biura telegram. Napisała w nim, że chce się ze mną zobaczyć, kiedy znów przyjadę do Dago. W odpowiedzi wysłałem do niej telegram, że muszę być pilnie w sprawie służbowej w Dago nazajutrz po południu i że chętnie się z nią spotkam. Podjechałem po nią, a ona poprosiła, żebym ją zabrał do Los Angeles. I ja wtedy...

Millard uniósł prawą dłoń do góry: - Czy Betty mówiła, co chce robić w LA?

- Nie.

- Czy wspominała, że ma się z kimś spotkać?

- Nie.

- Zgodziłeś się, bo pomyślałeś, że w ten sposób chce dać ci do zrozumienia, że jednak masz u niej jakąś szansę?

Manley westchnął. - Tak.

- Mów dalej, synu.

- Tego dnia Betty jeździła ze mną do kolejnych klientów. Zostawała w wozie, kiedy ja załatwiałem sprawy służbowe. Miałem kilka zleceń w Oceanside, dnia następnego, więc spędziliśmy noc w tamtejszym motelu i...

- Powtórz raz jeszcze jego nazwę, synu.

- Comucopia Motor Lodge.

- Czy Betty odmówiła ci także tej nocy?

- Ona... powiedziała, że ma okres.

- A ty dałeś się nabrać na ten stary numer?

- Tak.

- To cię rozzłościło?

- Do jasnej cholery, ja jej nic nie zrobiłem!

- Cii. Spędziłeś noc w fotelu, a Betty spała na łóżku, zgadza się?

- Tak.

- A rano?

- Rano pojechaliśmy do LA. Betty mi towarzyszyła, gdy odwiedzałem moich klientów, i nawet próbowała naciągnąć mnie na piątkę, ale zwyczajnie ją zbyłem. Potem opowiedziała mi bajeczkę, że ma spotkać się z siostrą przed hotelem Biltmore. Chciałem się jej pozbyć, więc wysadziłem ją przed tym hotelem, około piątej po południu. I więcej jej nie widziałem, chyba że na zdjęciach w gazetach, już jako tę Dalię.

Millard rzekł: - A zatem o piątej w piątek dziesiątego stycznia widziałeś ją po raz ostatni, zgadza się?

Manley pokiwał głową. Millard wbił wzrok w szybę, poprawił węzeł krawata, po czym wyszedł na korytarz. Natychmiast otoczyli go policjanci, zadając pytania. Harry Sears wślizgnął się do pokoju, pośród hałasu usłyszałem rozlegający się obok mnie znajomy głos: - Teraz zobaczysz, po co Russ trzyma pod ręką Harry'ego.

To był Lee, uśmiechał się jak głupi do sera. Szturchnąłem go lekko w szczękę: - Witaj z powrotem na ziemi.

Lee też szturchnął mnie w podbródek: - To twoja wina, że tak dobrze wyglądam. Zaraz po tym jak wyszedłeś, Kay podała mi głupiego jasia, co zważyło mnie z nóg. Jak już wstałem, byłem pewny, że mógłbym zjeść konia z kopytami.

- To twoja wina. Nie trzeba było posyłać jej na studia, gdzie uczą podstaw chemii. Co sądzisz o Rudym?

- W najgorszym razie pies na baby. Śmiem twierdzić, że jeszcze przed końcem tygodnia rozwiedziony pies na baby. Czytałeś mój raport?

- Tak, na komendzie University. Dobra robota z tym listem gończym za nieletnią. Masz jeszcze coś?

- Nie - skłamałem, a oczyma duszy ujrzałem kobietę w kostiumie ze skóry rekina, z olśniewającą figurą. - A ty?

Patrząc przez lustro weneckie, Lee rzekł: - Nie, ale to, co powiedziałem o dopadnięciu tego drania, wciąż jest aktualne. Jezu, spójrz na Harry'ego.

Zrobiłem to. Subtelny jękała krążył wokół stołu, obracając w dłoniach nabijaną metalem pałkę i uderzając nią regularnie w blat stołu. Z głośnika dobiegło głuche - łup! „Rudy” Manley otulił się ramionami i przy każdym uderzeniu wzdrygał się gwałtownie. Lee szturchnął mnie lekko: - Russ ma jedną zasadę - podejrzany nie może zostać uderzony. Ale zobacz jak...

Odrąciłem dłoń Lee i patrzyłem przez szybę. Sears stukał końcem pałki o stół o kilka cali od twarzy Manleya, jego zacinający się głos ociekał lodowatą wściekłością. - Miałeś chęć sobie poużywać, pomyślałeś, że Betty Short jest łatwa. Próbowaleś się do niej dobierać, a kiedy odmówiła, zacząłeś ją błagać. To nie poskutkowało, więc zaproponowałeś jej pieniądze. Powiedziała ci, że jest splukana, i to była ostatnia kropla, która przelała czarę. Kiedy i tym razem cię splawiła, zapragnąłeś, aby cierpiała. Chciałeś utoczyć jej krwi. Powiedz mi, jak odcinałeś jej cycki. Powiedz...

Manley wrzasnął: - Nie!

Sears trzasnął pałką w popielniczkę, szkło pękło, niedopałki rozsypały się po stole. Rudy przygryzł dolną wargę aż do krwi, czerwona strużka spłynęła mu po brodzie. Sears rąbnął pałką w rozbitą popielniczkę, szkło rozprysło się po całym pokoju. Manley skamlał: - Nie, nie, nie, nie, nie. - Sears zasyczał: - Wiedziałeś, co chcesz zrobić. Od dawna uganiaasz się za panienkami, znasz wiele miejsc, gdzie można spotkać te chętne i gotowe. Postawiłeś Betty parę drinków, wciągnąłeś ją w rozmowę o byłych chłopakach, udawałeś jej przyjaciela, miłego, małego kaprala, co to gotów jest oddać Betty w ręce prawdziwych mężczyzn, ludzi, którzy wiedzą, co znaczy walczyć, którzy brali udział w niejednej bitwie, i zasłużyli, by pójść do łóżka z tak oddaną słodką dupeczką jak ona...

- Nie!

Sears uderzył pałką w blat stołu - łup! - O tak, Rudzielcu, o tak. Myślę, że zabrałeś ją do szopy z narzędziami, może do któregoś z opuszczonych magazynów przy starych zakładach fordów w Pico-Rivera. Wala się tam sporo szpagatu i narzędzi do cięcia, a ty byłeś napalony. Ale spuściłeś się, nim zdążyłeś włożyć Betty swego wacka. Wcześniej byłeś wkurzony, ale dopiero teraz wściekłeś się na całego. Zacząłeś myśleć o tych wszystkich dziewczynach, które śmiały się z twojego małego fiutka, i o tych wszystkich przypadkach, kiedy twoja żona mawiała: „Nie dzisiaj, rudzielcu. Głowa mnie boli”. Więc ją uderzyłeś, związałeś, a potem pobiłeś i pociąłeś, jak chciałeś. Przyznaj się do tego, ty cholerny zboczeńcu!

- Nie!

Łup!

Manley omal nie spadł z krzesła; gdyby Sears nie przytrzymał dłonią za oparcie, krzesło przewróciłoby się do tyłu.

- Tak, Rudzielcu. Tak. Pomyślałeś o każdej dziewczynie, która powiedziała ci: „Nie obciążam”, o każdym razie, kiedy dostałeś lanie od matki i kiedy prawdziwi żołnierze patrzyli na ciebie wilkiem, gdy grałeś na puzonie w orkiestrze wojskowej. Cienias, fajtłapa, nieudacznik, oto co sobie pomyślałeś. Za to miała zapłacić Betty, mam rację?

Ślina i krew pociekły na podolek Manleya; mężczyzna zaczął się krztusić. - Nie. Proszę. Bóg mi świadkiem, że nie kłamię.

Sears mruknął: - Bóg nie cierpi kłamców! - I trzykrotnie rąbnął pałką w stół. Łup! Łup! Łup! Manley pochylił głowę i zaczął cichutko szlochać; Sears ukląkł przy jego krześle: - Powiedz, jak Betty krzyczała i błagała, Rudzielcu. Powiedz mi, wyznaj to Bogu.

- Nie. Nie. Nie skrzywdziłem Betty.

- Znowu ci wtedy stanął? Miałeś wytrysk, jeden po drugim, im bardziej ją krociłeś?

- Nie. O Boże, o Boże.

- Właśnie tak, Rudzielcu. Mów do Boga. Opowiedz Mu wszystko. On ci wybaczy.

- Nie, Boże, błagam.

- Powiedz to, Rudzielcu. Powiedz Bogu, jak masakrowałeś, torturowałeś i kroiliś Betty Short przez trzy pieprzone dni, a potem przeciąłeś ją na pół.

Sears trzasnął w blat raz, drugi i trzeci, po czym przewrócił stół na bok. „Rudy” zsunął się z krzesła i padł na klęczki. Złożył dłonie i wyszeptał: - Pan jest moim Pasterzem, nie brak mi niczego. - A potem wybuchnął płaczem.

Sears patrzył na lustro weneckie, a jego rumiane, podpuchnięte od alkoholu oblicze przepełniała odraza do samego siebie. Dał znak skierowanym do dołu kciukiem i wyszedł z pokoju.

Russ Millard czekał na niego za drzwiami i odprowadził z dala od reszty funkcjonariuszy, idąc w moją stronę. Wychwyciłem zasadniczy fragment ich prowadzonej szeptem rozmowy: obaj uważali, że Manley był czysty, ale chcieli jeszcze zrobić mu zastrzyk z pentotalu i przeprowadzić test na wykrywaczu kłamstw. Spoglądając przez lustro weneckie, zobaczyłem, jak Lee i jeszcze jeden gliniarz po cywilnemu zakuwają „Rudego” w kajdanki i wyprowadzają go z pokoju przesłuchań. Lee potraktował zatrzymanego ulgowo, jakby miał do czynienia z dzieckiem, mówił do niego półgłosem, trzymając mu rękę na ramieniu. Tłum rozproszył się, kiedy cała trójka znikła za drzwiami prowadzonymi do aresztu. Harry Sears wrócił do swego kantorka i zabrał się za sprzątanie. Millard odwrócił się do mnie. - Napisałeś wczoraj dobry raport, Bleichert.

- Dzięki - odparłem, mając świadomość, że tamten taksuje mnie wzrokiem. Nasze spojrzenia spotkały się. - Co dalej?

- Ty mi powiedz.

- A pan za to odeśle mnie z powrotem do egzekucyjnego, zgoda?

- Nie odeślę, ale ty mów dalej.

- Dobra, więc przeczeszemy cały Biltmore i spróbujemy zrekonstruować poczynania Betty Short od dziesiątego stycznia, kiedy Red się z nią rozstał, aż do dwunastego lub trzynastego, kiedy została zabita. Zrobimy to bardzo drobiazgowo, porównamy raporty z terenu i miejmy nadzieję, że tropy, jakie uzyskamy, nie zagubią się w labiryncie zmyśleń i kłamstw, jakie narosły wokół tej sprawy.

- Mów dalej.

- Wiemy, że Betty była puszczalska i pragnęła zostać gwiazdą filmową, a w dodatku chwaliła się, że w końcu listopada zagrała w jakiejś produkcji, toteż śmiem twierdzić, że nie

odmówiłaby, gdyby zaproponowano jej karierę przez łóżko. Przydałoby się popytać o nią wśród szemranych producentów i szefów castingu, zobaczymy, co się okaże.

Millard uśmiechnął się: - Dziś rano zadzwoniłem do Buzza Meeksa. To były glina, obecnie szef ochrony w Hughes Aircraft. To nieoficjalny łącznik z wytwórnią firmową, popyta dla nas, kogo trzeba. Dobrze ci idzie, Bucky. Tak trzymaj.

Zawahałem się - chciałem zaimponować przełożonemu i miałem chęć osobiście wziąć na spytki bogatą lesbę. Pochwała Millarda miała w sobie nutę protekcyjności, w ten sposób, dzięki paru słowom liczył, że zdoła powstrzymać młodego glinę przed dalszym uciekaniem od niechcianej sprawy. Wyobrażając sobie w myślach Madeleine Cathcart Sprague, powiedziałem: - I trochę też powinien pan mieć oko na Loewa i jego chłopaków. Nie wspomniałem o tym w swoim raporcie, ale gdy Betty Short była bez grosza, nie wahała się kupczyć własnym ciałem, a Loew próbuje to zatuszować. Chyba jest gotów nawet cenzurować raporty, aby tylko nie wynikało z nich, że ta dziewczyna źle się prowadziła. Im więcej sympatii zyska ta dziewczyna wśród opinii publicznej, tym większą sławę zdobędzie on sam, jako prokurator, gdyby ta niezwykła i bulwersująca sprawa kiedykolwiek trafiła do sądu.

Millard zaśmiał się: - No, no, cwaniaku, chcesz powiedzieć, że twój przełożony zataja istotne dla sprawy materiały dowodowe?

- Też mi to przeszło przez myśl... Tak, a w dodatku uważam go za oślizgłego, zadufanego w sobie pyszałka.

- Touché - mruknął Millard i podał mi kartkę papieru. - Tam widziano Betty, to nazwy i adresy restauracji i barów w Wilshire. Możesz się tym zająć w pojedynkę albo wspólnie z Blanchardem, jest mi to obojętne.

- Wolałbym raczej popracować w terenie, w Biltmore.

- Nie wątpię, ale tam potrzebni mi są funkcjonariusze, którzy znają ten rewir, a cwaniaków wolałbym wykorzystać do wyeliminowania fałszywych tropów, z listy domniemań, jakie wciąż otrzymujemy.

- A pan czym się zajmie?

Millard uśmiechnął się smutno: - Będę miał oko na pewnego oślizgłego, zadufanego w sobie pyszałka, który ma niemiły zwyczaj zatajania dowodów, i na jego koleśki, aby nie próbowali przemocą wymusić od tego niewinnego nieszczęśnika w areszcie przyznania się do winy.

*

Nie udało mi się znaleźć Lee, zniknął z posterunku, jakby się zapadł pod ziemię, toteż

zabrałem się do pracy w pojedynkę. Teren, który miałem przebadać, znajdował się w samym centrum Wilshire - bary, restauracje i knajpki mieściły się przy Western, Normandie i Trzeciej Ulicy. Przeważnie przyszło mi rozmawiać z ómami barowymi, ludźmi, którzy za dnia pragnęli pogawędzić z kimś innym, niż to zazwyczaj czynili wieczorami i nocami, w lokalach, gdzie przesiadywali. Choć poszukiwałem faktów, w odpowiedzi otrzymywałem jedynie zwykłe bajeczki - praktycznie każda z osób, z którymi rozmawiałem, widziała Betty Short w czasach, kiedy ta faktycznie przebywała w Dago z „Rudym” Manleyem albo była w innym miejscu, zamęczana brutalnie na śmierć.

Im dłużej tego słuchałem, tym bardziej zaczęli opowiadać o sobie, przeplatając własne, smutne opowieści z historią Czarnej Dalii, która w ich mniemaniu była bajeczną syreną zmierzającą wprost do hollywoodzkiej fabryki gwiazd. Zupełnie jakby zamieniali swoje własne życie na opisywaną barwnie i szczegółowo opowieść o śmierci z pierwszych stron gazet. Nie omieszkałem wypytać ich o Lindę Martin/Lornę Martilkową, Juniora Nasha i Madeleine Cathcart Sprague z jej białym packardem, lecz w odpowiedzi tamci tylko patrzyli na mnie tępym wzrokiem, nie mówiąc ani słowa. Uznałem, że mój raport z działań w terenie ograniczę do dwóch słów - same bzdury.

Skończyłem tuż po zmierzchu i pojechałem do domu na kolację.

Gdy zatrzymałem wóz przed domem, Kay wybiegła na zewnątrz i zbiegła po schodach, ciskając na trawnik naręcze jakichś papierów, a potem prędko wróciła do środka, w towarzystwie Lee, który krzychał coś, gwałtownie gestykulując. Podeszedłem i ukląknę przy rozsypanych papierach - były to kopie raportów policyjnych. Przeglądając je, odkryłem raporty z działań operacyjnych, listy materiałów dowodowych, raporty z przesłuchań, spis doniesień telefonicznych, a także pełny protokół autopsji - z dopiskiem u góry „E. Short (k) (rb) zm. 15.01.47”. Najwyraźniej zwędził to wszystko z posterunku University; sam fakt, że dokumenty te były w jego posiadaniu, wystarczał do natychmiastowego zawieszenia Lee w obowiązkach służbowych.

Kay wróciła z nowym naręczem papierów, wołając na cały głos: - Jak możesz robić coś takiego po tym wszystkim, co się stało i co może się wydarzyć?

Cisnęła trzymane w ręku papiery obok pierwszej sterty; zobaczyłem błysk czarno-białych, lśniących zdjęć wykonanych przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton. Lee schwycił ją za ramiona i mocno przytrzymał, choć próbowała mu się wyrwać. - Do cholery, wiesz, ile to dla mnie znaczy. Przecież wiesz. Wynajmę pokój, aby przenieść tam to wszystko, ale mała, zrozum, potrzebuję cię, musisz mi pomóc. To moja sprawa i jesteś mi potrzebna... zresztą sama wiesz...

I wtedy mnie zauważyli. Lee rzucił: - Bucky, ty jej to powiedz. Spróbuj przemówić jej do rozsądku.

W całym tym cyrku związanym z Dalią, to była najzabawniejsza kwestia, jaką usłyszałem: - Kay ma rację. W związku z tą sprawą popełniłeś jak dotąd co najmniej trzy wykroczenia, to wszystko wymyka ci się spod kontroli... - przerwałem, zastanawiając się nad moimi własnymi przewinieniami i nad tym, dokąd wybierałem się o północy. Spojrzawszy na Kay, wolałem wyznać: - Obiecałem mu, że pozwolę, aby pracował nad tą sprawą przez tydzień. Czyli zostały mu jeszcze cztery dni. We środę będzie po wszystkim.

Kay westchnęła: - Dwight, czasami wydaje się, że nie masz wcale ikry. - Po czym wróciła do domu.

Lee otworzył usta, aby powiedzieć coś zabawnego. Ja tymczasem przemaszerowałem po stercie rozrzuconych policyjnych dokumentów i wróciłem do swego auta.

*

Śnieżnobiały packard stał w tym samym miejscu, co zeszłej nocy. Obserwowałem go z mego auta, zaparkowanego tuż za nim. Skulony nisko na przednim siedzeniu przez wiele godzin obserwowałem, jak kolejni goście wchodzą i wychodzą z trzech barów przy tej ulicy, lesbijki, te bardziej i te mniej kobiece oraz faceci, zapewne pracownicy biura szeryfa, o bystrych, nerwowych oczach. Północ nadeszła i minęła; ruch na ulicy wyraźnie się zwiększył - głównie lesbijki w drodze na gorącą randkę, w którymś z pobliskich moteli, po drugiej stronie ulicy. Wreszcie także ona wyszła z La Verne's Hideaway, sama, olśniewająco piękna, w zielonej, jedwabnej sukience.

Wysiadłem z auta w chwili, gdy akurat wyszła na ulicę i obrzuciła mnie zdawkowym spojrzeniem. - Szlaja się pani po nocach, panno Sprague?

Madeleine Sprague przystanęła; zmniejszyłem dzielący nas dystans. Sięgnęła do torebki, wyjęła kluczyki i gruby plik banknotów.

- A więc tatko znów zaczął mnie szpiegować. Zapewne znów rozpoczął jedną ze swych kalwinistycznych krucjat i powiedział, że nie musi być pan wobec mnie subtelny. - Zaczęła naśladować głos ojca z wyraźnym szkockim akcentem, całkiem udanie. - Maddy, moja droga, nie powinnaś być w takich podejrzanych miejscach. One nie są dla ciebie. Nie powinnaś się tam pokazywać. Po cóż ci, co tam przychodzą, mają ciebie tam widzieć?

Moje nogi drżały, jak wówczas gdy czekałem na gong oznaczający rozpoczęcie pierwszej rundy. - Jestem z policji - oznajmiłem.

Madeleine Sprague znów zaczęła mówić normalnym głosem: - Och? Tatko kupuje nawet gliniarzy?

- Mnie nie kupił.

Wyciągnęła w moją stronę dłoń z pieniędzmi i otaksowała mnie wzrokiem od stóp do głów. - Nie, zapewne nie. Gdyby pan dla niego pracował, lepiej by się pan ubierał. Wobec tego stawiam na biuro szeryfa z West Valley. Ściągacie już haracz z La Verne's, a teraz wpadł pan na pomysł, że można by też zgarnąć trochę grosza od tutejszych klientów?

Wziąłem od niej pieniądze, doliczyłem się stu dolarów i oddałem jej z powrotem: - Proszę spróbować raczej - wydział zabójstw. I do tego - Elizabeth Short i Linda Martin.

Buńczuczna poza prysła, Madeleine Sprague zrzędała mina. Na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania i dostrzegłem, że jej podobieństwo do Betty/Beth kryło się przede wszystkim we fryzurze i makijażu; rysy miała o wiele mniej subtelne niż Dalia i ogólne wrażenie, z daleka uderzające, było z bliska bardzo powierzchowne. Przyjrzałem się jej twarzy, w przepelnionych paniką piwnych oczach odbijało się światło ulicznej latarni; czoło zmarszczyło się, jakby jej mózg wyrabiał nadgodziny. Dłonie Madeleine drżały, toteż odebrałem jej kluczyki i pieniądze, włożyłem do torebki i cisnąłem je na maskę packarda. Zdając sobie sprawę, że trop zaczyna mi się wymykać, powiedziałem: - Możemy porozmawiać tutaj albo na komendzie, panno Sprague. Tylko bez kłamstw. Wiem, że ją znałaś, więc jeśli spróbujesz wcisnąć mi kit, zabiorę cię na posterunek, a chyba wolisz tego uniknąć?

Bogata dziewczyna wreszcie wzięła się w garść. Powtórzyłem: - Tu czy na komendzie? - Otworzyła drzwiczki packarda od strony pasażera i wsiadła do środka, wślizgując się za kierownicę. Dołączyłem do niej, zapalając podsufitową lampkę, aby móc widzieć odmalowujące się na jej twarzy reakcje. Poczułem w nozdrzach woń tapicerki i przytęchłych perfum. Powiedziałem: - Powiedz mi, od jak dawna znałaś Betty Short?

Madeleine Sprague zaczęła wiercić się na fotelu. - Skąd pan wie, że ją znałam?

- Znałaś wczoraj wieczorem, kiedy przesłuchiwałem barmankę. A co z Lindą Martin? Też ją znasz?

Madeleine przesunęła długimi, czerwonymi paznokciami po kierownicy. - To czysty przypadek. Poznałam Betty i Lindę w La Verne's, jesienią zeszłego roku. Betty powiedziała, że była tam po raz pierwszy. Chyba rozmawiałam z nią potem jeszcze tylko raz. Z Lindą rozmawiałam parę razy, ot tak, przy drinku.

- Jesienią ubiegłego roku, ale kiedy konkretnie?

- W listopadzie... chyba.

- Spałaś z którąś z nich?

Madeleine drgnęła. - Nie.

- Dlaczego nie? Przecież to bar dla lesbijek, nieprawdaż? Czy nie o to tu chodzi?

- Niezupełnie.

Postukałem ją w przyobleczone w zielony jedwab ramię; mocno: - Jesteś lesbijką?

Madeleine znów zaczęła naśladować szkocki akcent ojca: - Mogę powiedzieć, chłopcze, że biorę to, co mi dają.

Uśmiechnąłem się, po czym poklepałem ją w to samo miejsce, które przed chwilą boleśnie szturchnąłem. - Chcesz powiedzieć, że twoje kontakty z Lindą Martin i Betty Short ograniczają się do paru rozmów przy drinku w barze, dwa miesiące temu?

- Tak. Dokładnie to chciałam powiedzieć.

- Czemu więc wczoraj tak szybko się zmyłaś?

Madeleine wywróciła oczami i wycodziła: - Och, chłopcze... - Ze szkockim akcentem.

- Daj sobie spokój i wal prosto z mostu - wycodziłem.

Zamożna dziewczyna rzuciła: - Panie władzo, moim ojcem jest Emmet Sprague. Ten Emmet Sprague. Wybudował połowę Hollywood i Long Beach, a to, czego nie zbudował, to kupił. Nie lubi rozgłosu i raczej wolałby, żeby jego córka nie była przesłuchiwana w sprawie Czarnej Dalii ani żeby w gazetach nie ukazały się artykuły z nagłówkami na pierwszej stronie: Córka przemysłowca milionera składa zeznania w sprawie bulwersującej zbrodni - sensacyjny nowy trop wiedzie do barów dla lesbijek!!! Czy teraz pan już rozumie?

- Jasno i wyraźnie - odparłem i poklepałem Madeleine po ramieniu.

Odsunęła się ode mnie i westchnęła: - Czy moje nazwisko trafi do archiwum, gdzie będą mogli je zobaczyć wszyscy sprzedajni gliniarze i szemrani reporterzy?

- Może tak, może nie.

- Co musiałabym zrobić, aby do tego nie doszło?

- Przekonać mnie co do paru rzeczy.

- To znaczy?

- Na początek powiedz mi, jakie było twoje pierwsze wrażenie, jeżeli chodzi o Betty i Lindę. Jesteś bystra, improwizuj.

Madeleine pogłaskała kierownicę, a potem lśniąca deskę rozdzielczą. - Cóż, na pewno nie były lesbijkami, raczej wykorzystywały klientki Hideaway, aby stawiały im drinki i kolacje.

- Skąd to przypuszczenie?

- Widziałam, jak spławiały babki, które próbowały je poderwać.

Pomyślałem o starszej kobiecie o masywnej, męskiej budowie, o której wspominała Marjorie Graham. - Czy niektóre z tych kobiet ponawiały próbę? Były natarczywe, nachalne,

no wiesz... Mam na myśli te bardziej męskie lesbijki... czy któraś z nich nie przestała się nimi interesować?

Madeleine zaśmiała się: - Nie, te, które próbowały szczęścia, były bardzo kobiece.

- Znasz którąś z tych kobiet?

- Nie, nigdy wcześniej ich nie widziałam.

- A potem?

- Potem też nie.

- A z nimi o czym rozmawiałaś?

Madeleine znów wybuchnęła śmiechem: - Linda mówiła o chłopaku, którego zostawiła w jakiejś pipidowie w Nebrasce, czy skąd tam pochodziła, a Betty o najnowszym numerze Świata Kina. Jeżeli chodzi o rozmowę, dyskutowały na bardzo przyziemne tematy jak pan, tyle tylko, że były bardziej atrakcyjne wizualnie.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem: - Jesteś milutka.

Madeleine uśmiechnęła się i rzekła: - A pan nie. Proszę posłuchać, jestem zmęczona. Nie zażyczy pan sobie, abym mu udowodniła, że to nie ja zabiłam Betty? Ponieważ mogę to udowodnić, chyba raz dwa zakończyłabym w ten sposób całą tę farsę.

- Zaraz do tego dojdziemy. Czy Betty wspominała kiedykolwiek, że zagrała w filmie?

- Nie, ale miała na tym punkcie prawdziwą obsesję.

- Czy pokazywała ci kiedykolwiek swój wizjer? Mały gadżet na łańcuszku?

- Nie.

- A Linda? Czy mówiła, że występowała w filmie?

- Ona nie, ale podobno jej chłopak z tego miasteczka na zadupiu, owszem.

- Domyślasz się, dokąd mogłaby pojechać, gdyby coś nie ułożyło się po jej myśli?

- Tak, do swojej pipidowy w Nebrasce.

- A gdzieś indziej?

- Nie. Czy mogłabym już...

Dotknąłem ramienia Madeleine, to było raczej pieszczotliwe muśnięcie niż gwałtowny gest. - Dobrze, a teraz opowiedz mi o swoim alibi. Gdzie byłaś i co robiłaś pomiędzy poniedziałkiem trzynastego stycznia a środą piętnastego.

Madeleine przyłożyła obie dłonie do ust, zadęła w nie jak w róg, a potem oparła je o siedzenie tuż obok mojego kolana. - Byłam w naszym domu w Lagunie, od niedzieli wieczorem aż do czwartku rano. Byli tam ze mną rodzice i siostra Martha oraz cała nasza służba. Gdyby chciał pan to potwierdzić, proszę zadzwonić do taty. Nasz numer to Webster

4391. Ale bardzo proszę o dyskrecję. Niech pan nie mówi mu, gdzie pan mnie spotkał. A teraz, czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Mój prywatny trop w sprawie Dalii spalił na panewce, ale równocześnie zapaliło się zielone światło wiodące w całkiem innym kierunku. - Owszem, robiłaś to kiedykolwiek z mężczyznami?

Madeleine dotknęła mego kolana. - Żadnego ostatnio nie spotkałam, ale chętnie zrobię to z tobą, aby tylko moje nazwisko nie trafiło do prasy.

Nogi miałem miękkie jak z waty. - Jutro wieczorem?

- Dobrze. Przyjdź po mnie o ósmej, jak przystało na dzentelmena. Mój adres to South Muirfield 482.

- Już go znam.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jak się nazywasz?

- Bucky Bleichert.

Madeleine skwitowała: - Pasuje do twoich zębów¹.

- O ósmej - rzuciłem krótko i wysiadłem z packarda, póki jeszcze moje nogi jako-tako funkcjonowały.

11.

Lee powiedział: - Masz ochotę obejrzeć dziś wieczorem kilka starych filmów z walk w Wiltern? Pokazują samych mistrzów - Dempseya, Ketchela, Greba. Co ty na to?

Siedzieliśmy przy przeciwległych biurkach, w sali na posterunku University, odbierając telefony. Tutejsi funkcjonariusze przydzieleni do sprawy Short dostali w niedzielę wolne i ich obowiązki musieli przejąć zwyczajni policjanci, przyjmując zgłoszenia, zapisując doniesienia, oszacowując ich potencjalną przydatność i przekazując do dalszego rozpatrzenia wydziałom z innych komend. Zajmowaliśmy się tym przez godzinę bez przerwy, a w powietrzu między nami wciąż wisały wypowiedziane przez Kay słowa o tym, że jestem facetem bez ikry. Patrząc na Lee, zauważyłem, że jego źrenice zwężyły się jak główki szpilek, co oznaczało, że znów zaczął łykać benzedrynę. - Nie mogę - odparłem.

- Dlaczego nie?

- Jestem umówiony.

Lee wyszczerzył się do mnie: - Tak? A z kim?

¹ bucky (ang.) - jelen bądź królik.

Zmieniłem temat: - Załagodziłeś sprawę z Kay?

- Tak. Wynająłem pokój, aby przenieść tam ten cały majdan. W hotelu El Nido przy Santa Monica i Wilcox. Dziewięć dolców za tydzień, warto wydać tych parę groszy, aby tylko Kay była zadowolona.

- De Witt jutro wychodzi. Chyba powinienem go trochę przycisnąć albo namówić Vogela i Koeniga, aby się tym zajęli.

Lee kopnął kosz na śmieci. Zmięte kulki z papieru i puste kubki po kawie wysypały się na podłogę; policjanci siedzący przy innych biurkach spojrzeli w naszą stronę. Wtedy zadzwonił telefon.

Lee podniósł słuchawkę: - Wydział zabójstw, sierżant Blanchard przy telefonie.

Wlepiłem wzrok w leżące na biurku formularze; Lee słuchał swego rozmówcy w milczeniu. We środę skończy ze sprawą Dalii, choć ten dzień wydawał się odległy jak cała wieczność - a ja zastanawiałem się, czy zdoła bez pomocy, sam odstawić benzedrynę. W moich myślach znów pojawiła się Madeleine Sprague i to, jak powiedziała „Chętnie zrobię to z tobą, aby tylko moje nazwisko nie trafiło do prasy”. Lee słuchał jeszcze dłuższą chwilę, nie odzywając się ani słowem i nie przerywając swemu rozmówcy. Jakże pragnąłem, aby i mój telefon się odezwał, uwalniając mnie od wspomnień o Madeleine.

Lee odłożył słuchawkę.

- Coś konkretnego? - spytałem.

- Kolejny szajbus. Z kim masz dziś tę randkę?

- Z dziewczyną z sąsiedztwa.

- Milutka jest?

- Sam miód. Posłuchaj, partnerze, jeżeli po wtorku dalej będziesz brał prochy, możesz spodziewać się rewanzu Bleichert-Blanchard.

Lee uśmiechnął się do mnie. Wyglądał jak kosmita. - Nawet gdyby do tego doszło, i tak znowu przegrasz. Idę po kawę. Napijesz się?

- Czarną, bez cukru.

- Mówisz i masz.

*

Odebrałem i zarejestrowałem w sumie sześć informacji telefonicznych, z czego tylko połowa wydawała się w miarę sensowna. Lee zmył się wczesnym popołudniem, a Loew przydzielił mi za zadanie przepisania na maszynie kolejnego raportu zbiorczego Russa Millarda. Stwierdzono w nim, że „Rudy” Manley został zwolniony do domu po pomyślnym przejściu testów na wykrywaczu kłamstw i z użyciem serum prawdy. Przejrzano też

dokładnie listy miłosne Betty Short. Udało się zidentyfikować wielu z jej kochanków i zaraz skreślić z listy podejrzanych, podobnie jak tych, których rozpoznano na zdjęciach. Trwały działania operacyjne w celu identyfikacji pozostałych mężczyzn, zaś żandarmeria z bazy wojskowej Camp Cooke poinformowała, że żołnierz, który pobił Betty w '43, zginął podczas operacji w Normandii. Co się tyczy licznych rzekomych ślubów i zaręczyn Betty, w archiwach miejskich stolic czterdziestu ośmiu stanów nie znaleziono ani jednego aktu ślubu wystawionego na jej nazwisko.

Potem było już z górki. Sprawdzenie numerów rejestracyjnych aut, spisanych przez Lee z okna „miłosnego gniazdka” Juniora Nasha, nie przyniosło żadnych rezultatów; na policję i do biura szeryfa zgłoszono ponad trzysta doniesień na temat zamordowania Czarnej Dalii. Jak dotąd zarejestrowano dziewięćdziesiąt trzy przypadki przyznania się do popełnienia tej zbrodni, w tym cztery od osobników cierpiących na poważne urojenia i nie posiadających alibi, a obecnie przetrzymywanych w areszcie na komendzie głównej, gdzie oczekiwali na przeprowadzenie badań psychiatrycznych, a później zapewne na przewiezienie do Camarillo. Przesłuchania prowadzone w terenie nadal szły pełną parą - obecnie nad sprawą w pełnym wymiarze godzin pracowało stu dziewięćdziesięciu funkcjonariuszy. Jedyne promyczek nadziei zdawały się zapowiadać wyniki moich działań w terenie z 17.01.: Lindę Martin/Lornę Martilkovą widziano w kilku cocktail barach w Encino i właśnie w tym rejonie prowadzono obecnie zakrojone na szeroką skalę działania operacyjne mające na celu jej zatrzymanie. Skończyłem przepisywanie raportu, przekonany, że morderca Elizabeth Short nigdy nie zostanie schwytany, i postawiłem na to - dwadzieścia dolarów na sprawę nie rozwiązana, w punkcie przyjmowania zakładów na naszym posterunku.

*

Zadzwoiłem do drzwi rezydencji Sprague'ów punktualnie o ósmej. Byłem ubrany odświętnie, w granatowy blezer, białą koszulę i szare, flanelowe spodnie - choć mogłem się założyć, że w tej okolicy na pierwszy rzut oka uznano by mnie za ubożego krewnego - na szczęście zrzucę te ciuchy, kiedy tylko Madeleine i ja znajdziemy się w moim mieszkaniu. Dziesięć godzin przy telefonie dało mi nieźle w kość, mimo że jeszcze na posterunku wziętem prysznic. Czulem się tu absolutnie nie na miejscu, a lewe ucho wciąż mnie bolało od przykładania słuchawki i wysłuchiwania kolejnych rewelacji w sprawie Dalii.

Madeleine otworzyła drzwi, wyglądała olśniewająco, w spódnicy i obcisłym, kaszmirowym sweterku. Otaksowała mnie wzrokiem, wzięła mnie za rękę i rzekła: - Nie wiem, jak to powiedzieć, ale tato dowiedział się o tobie. Uparł się, abyś został na kolacji. Powiedziałam mu, że spotkaliśmy się na wystawie prac artystycznych w księgarni Stanleya

Rose'a, więc gdybyś chciał wypytać go o moje alibi, zrób to w miarę subtelnie, dobrze?

- Jasne - zapewniłem, pozwalając, by Madeleine ujęła mnie pod rękę i wprowadziła do środka.

Główny hol był urządzone w stylu hiszpańskim, podczas gdy całą rezydencję wzniesiono w stylu Tudorów: gobeliny i skrzyżowane miecze z kutego żelaza na tle bielonych ścian, na polerowanych, drewnianych posadzkach leżały grube, perskie dywany. Z holu wchodziło się do wielkiego salonu, przywodzącego na myśl kluby dla mężczyzn, fotele obite zieloną skórą stały przy niskich stolikach i otomanach, do tego duży, kamienny kominek; małe, orientalne dywaniki, wielokolorowe i ułożone pod różnym kątem, tak by można było podziwiać widoczną pomiędzy nimi klepkę podłogową. Ściany wyłożono boazerią z wiśniowego drewna; zdobiły je oprawne w ramy fotografie w sepii przedstawiające całą rodzinę i jej przodków.

Moją uwagę zwrócił wypchany spaniel postawiony przy kominku i trzymający w pysku zrolowaną, pozólkłą gazetę. Madeleine objaśniła:

- To Balto. Gazeta to *LA Times* z pierwszego sierpnia 1926. Tego dnia tatko dowiedział się, że zarobił swój pierwszy milion. Balto był naszym domowym pupilem. Akurat zadzwonił księgowy taty i powiedział: „Emmett, jesteś milionerem!”. Tatko właśnie czyścił swoje pistolety, a do salonu wszedł Balto, z gazetą w pysku. Tatko chciał jakoś uczcić tę wiekopomną chwilę, więc bez zastanowienia uniósł pistolet i tak zastrzelił psa. Jeśli przyjrzesz się uważnie, dostrzeżesz w piersi Balto dziurę po kuli. Wstrzymaj oddech, kochanie. Zaraz spotkasz się z moją rodziną...

Z opadłą szczęką pozwoliłem, by Madeleine wprowadziła mnie do niewielkiej bawialni. Na ścianach wisiały oprawne w ramki fotografie; na jednakowych fotelach zajmowało miejsca troje Sprague'ów. Wszyscy unieśli wzrok, nikt nie wstał. Uśmiechając się, lecz nie pokazując zębów, powiedziałem: - Witam.

Madeleine dokonała prezentacji, podczas gdy ja gapiłem się na tę osobliwą martwą naturę. - Bucky Bleichert, pozwól, że przedstawię moją rodzinę. Moja matka, Ramona Cathcart Sprague. Mój ojciec, Emmett Sprague. Moja siostra, Martha McConville Sprague.

Towarzystwo nieco się ożywiło, pokiwało głowami, uśmiechnęło się. Po chwili Emmett Sprague rozpromienił się, wstał i wyciągnął do mnie rękę. - Bardzo mi miło, panie Sprague - rzekłem i uściśnąłem jego rękę, przyglądając mu się, tak jak on mnie.

Patriarcha rodu był niski, miał masywny, beczkowaty tors, poorane bruzdami, ogorzałe od słońca oblicze i gęstą grzywę siwych włosów, które prawdopodobnie miały kiedyś barwę piasku. Ocenilem, że musiał mieć około pięćdziesięciu lat, a mocny uścisk

wskazywał, że musiał parać się przez dłuższy czas pracą fizyczną. W jego mocnym głosie wychwyciłem ostry szkocki akcent, inny jednak niż ten, który usiłowała naśladować Madeleine: - Widziałem twoją walkę z Mondo Sanchezem. Dałeś mu bobu, nie ma co. Byłeś nowym Billem Connem.

Pomyślałem o Sanchezie, niezującym już napakowanym mięśniaku wagi półciężkiej, z którym stoczyłem walkę, bo mój menadżer chciał, abym zyskał reputację prawdziwego pogromcy Meksykanów. - Dziękuję, panie Sprague.

- To ja dziękuję za wspaniały pokaz boksu. Z Mondo też był niezły chłopak. Co się z nim stało?

- Zmarł wskutek przedawkowania heroiny.

- Niech Bóg ma go w swojej opiece. Szkoda, że nie zginął na ringu. To oszczędziłoby jego rodzinie wiele smutku. A skoro o rodzinach mowa, przywitaj się z pozostałymi członkami mojej.

Martha Sprague podniosła się jak na komendę. Była niską, pulchną blondynką, bardzo podobną do ojca, z niebieskimi oczami w tak jasnym odcieniu, jakby celowo sama go odbarwiła, i szyją pokrytą trądzikiem oraz czerwonymi śladami od częstego drapania. Wyglądała jak nastolatka, która nigdy nie straciła dziecięcego tłuszczu i nie przerodziła się w prawdziwą, dojrzałą piękność. Zdecydowanym ruchem uściśnięm jej dłoń, a w głębi duszy było mi jej żal; od razu zorientowała się, że tak myślałem. Jej blade oczy rozbłysły wewnętrznym ogniem, gdy gwałtownie cofnęła rękę.

Ramona Sprague jako jedyna z całej trójki przypominała Madeleine, gdyby nie ona, pomyślałabym, że ta zamożna dziewczyna była adoptowana. Choć po pięćdziesiątce, miała lśniące, ciemne włosy i jasną cerę, jak Madeleine, ale nie było w niej nic choćby odrobinę atrakcyjnego. Była bardzo gruba, wręcz tłusta, jej twarz wydawała się rozlazła i obrzmiała, szminki i różu nie nałożono zbyt dokładnie, przez co twarz wydawała się odrobinę krzywa i nieregularna. Ściskając rękę, usłyszałem: - Madeleine opowiadała mi o tobie wiele miłych rzeczy - a w jej głosie wychwyciłem charakterystyczną lekką chrypkę. Nie zionęła alkoholem, zastanawiałem się, czy była zwolenniczką prochów.

Madeleine westchnęła: - Tatusiu, czy możemy już zacząć jeść? Bucky i ja chcemy zdążyć na seans o wpół do dziesiątej.

Emmett Sprague klepnął mnie w plecy. - Zawsze ustępuję mojej najstarszej. Bucky, czy zechcesz zabawić nas paroma anegdotami związanymi z boksem i pracą w policji?

- Pomiędzy kolejnymi kęsami, o tak - odparłem.

Sprague znów klepnął mnie w plecy, tym razem nieco mocniej: - Widać po tobie, że

nie zarobiłeś zbyt wielu ciosów w kiepełę. Jesteś jak Fred Allen. Chodźcie wszyscy. Podano kolację.

Weszliśmy do wielkiej, wykładanej drewnem jadalni. Stół pośrodku był nieduży, przygotowano już na nim pięć nakryć. Przy drzwiach stał wózek kuchenny, od strony którego płynęła wyraźnie rozpoznawalna woń peklowanej wołowiny i kapusty.

Stary Sprague rzekł: - Dobre jedzenie to dobrzy ludzie, a haute cuisine to powód, dlaczego na świecie jest tylu degeneratów. Wcinaj, chłopcze. Służąca wybrała się na całotygodniowe spotkanie wyznawców woodoo, jak zawsze w niedzielę wieczorem, więc prócz nas, białych, nie ma tu nikogo.

Sięgnąłem po talerz i nałożyłem dla siebie sporą porcję jedzenia. Martha Sprague nalala wina, a Madeleine nabrała dla siebie po trosze wszystkiego i usiadła przy stole, zapraszając, abym zajął miejsce obok niej. Zrobiłem to, a Martha ogłosiła wszem i wobec: - Chcę usiąść naprzeciw pana Bleichert'a, abym mogła go narysować.

Emmett wychwycił moje spojrzenie i mrugnął: - Bucky, czeka cię ciężka próba. Martha tworzy wyjątkowo trafne i uszczypliwe karykatury. Ma zaledwie dziewiętnaście lat, ale jest już znaną i uznaną, wysoko opłacaną artystką. Maddy to moja ślicznotka, ale Martha jest naprawdę genialna.

Martha skrzywiła się. Postawiła talerz dokładnie naprzeciw mnie i usiadła, rozkładając przy serwetce ołówki i nieduży szkicownik. Ramona Sprague zajęła miejsce obok niej i poklepała ją po ramieniu. Emmett, stojąc przy swoim krześle u szczytu stołu zaproponował toast: - Za nowych przyjaciół, dostatek i wielki sport, jakim jest boks.

- Amen - rzekłem, wkładając do ust plasterki wołowiny i żując powoli. Mięso było suche i tłustawe, ale udałem, że bardzo mi smakuje, i powiedziałem: - Naprawdę pyszne.

Ramona Sprague spojrzała na mnie beznamiętnym wzrokiem; Emmett mruknął: - Lacey, nasza służąca, wierzy w woodoo. A raczej w jakąś chrześcijańską odmianę tej religii. Najprawdopodobniej rzuciła czar na krowę, dobijając targu z jej czarnoskórym Jezusem, aby zwierzę było dobre i soczyste. A skoro o naszych kolorowych braciach mowa, jakie to było uczucie rozwalić tych dwóch brudasów, Bucky?

Madeleine wyszeptwała: - Rozbaw go.

Emmett usłyszał ten komentarz i zachichotał: - Właśnie, chłopcze, rozbaw mnie. W gruncie rzeczy powinieneś rozbawiać wszystkich zamożnych facetów dobiegających sześćdziesiątki. Kto wie, może któryś z nich będzie na tyle ogarnięty demencją starczą, że pomyli cię ze swoim prawowitym dziedzicem.

Zaśmiałem się, pokazując moje wielkie zęby; Martha sięgnęła już po ołówek, aby je

narysować. - Nie ma o czym gadać. Sprawa była prosta. Albo oni, albo my.

- A twój partner? Ten blondyn, z którym walczyłeś w ubiegłym roku?

- Lee zniósł to nieco gorzej ode mnie.

Emmett skwitował: - Blondyni są nadwrażliwi. Coś o tym wiem, bo jestem jednym z nich. Dzięki Bogu mam w rodzinie dwie ciemnowłose, które dzięki swemu pragmatyzmowi pozwalają nam zachować większą równowagę. Maddy i Ramona są zawzięte jak buldog, czego mnie i Marcie brakuje.

Tylko to, że miałem pełne usta, powstrzymało mnie przed wybuchnięciem śmiechem. Pomyślałem o zepsutej pannicy, bywalczyńi podrzędnych lokali, którą zamierzałem bzyknąć jeszcze tej nocy, i jej matce uśmiechającej się pusto, siedząc po drugiej stronie stołu. Coraz bardziej chciało mi się śmiać; w końcu przełknąłem to, co miałem w ustach, czknąłem, zamiast wybuchnąć śmiechem i uniosłem kieliszek. - Za pana, panie Sprague. Za to, że po raz pierwszy od tygodnia zdołał pan szczerze mnie rozbawić.

Ramona spojrzała na mnie z niesmakiem; Martha skoncentrowała się na swojej pracy. Madeleine pieściła mnie stopą pod stołem, a Emmett uniósł kieliszek w moją stronę, odwzajemniając toast: - Miałeś ciężki tydzień, chłopcze?

Zaśmiałem się: - Jeszcze jak. Zostałem przeniesiony do wydziału zabójstw, aby pomóc przy śledztwie w sprawie Czarnej Dalii. Anulowano mi wolne dni, mój partner ma obsesję na punkcie tego dochodzenia, a na policję zgłaszają się całe tabuny świrów próbujących przekonać nas, że to ich robota. Nad jedną sprawą pracuje w sumie dwustu gliniarzy. To jakiś absurd.

- To doprawdy straszna tragedia - mruknął Emmett. - Jaką masz na ten temat teorię, chłopcze? Kto mógł zrobić coś tak okropnego? Jaki człowiek mógłby być zdolny, aby potraktować w ten sposób swojego bliźniego?

Madeleine była w pewien sposób powiązana z Betty Short i postanowiłem nie sprawdzać jej alibi. - Wydaje mi się, że to było przypadkowe zabójstwo. Ta Short należała do osób dość lekkiego prowadzenia. W dodatku notorycznie kłamała i miała ze stu chłopaków. Jeżeli uda się nam odnaleźć zabójcę, to chyba tylko dzięki jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

- Niech Bóg ma ją w swojej opiece - orzekł Emmett. - Mam nadzieję, że go dopadniesz i następną randkę ten potwór odbędzie z tym małym, zielonym pokoikiem w San Quentin.

Przesuwając palcami stopy po mojej nodze, Madeleine zaszczębiotała: - Tatusiu, monopolizujesz całą rozmowę i zmuszasz Bucky'ego, aby nas zabawiał, a przecież on jest tu

gościem.

- A co, ja mam zabawiać jego? Mimo że to ja jestem tu głową rodziny?

Stary Sprague był wściekły - zauważyłem to po rumieńcach, jakie pojawiły mu się na twarzy i sposobie, w jaki kroił plastry wołowiny.

Zaciekawiony jego osobą, zapytałem: - Kiedy właściwie przybył pan do Stanów?

Emmett rozpromienił się. - Jeżeli chodzi o opowiadanie naszemu gościowi historii mojego sukcesu jako imigranta... cóż, proszę bardzo. A co to w ogóle za nazwisko, Bleichert? Holenderskie?

- Niemieckie - odparłem.

Emmett uniósł kieliszek: - Niemcy... wspaniali ludzie. Hitler był trochę za bardzo niepoahamowany, ale zapamiętaj moje słowa, że kiedyś będziemy żałować, iż nie połączyliśmy z nimi sił do walki przeciwko czerwonym. A skąd konkretnie pochodzisz, chłopcze? Z którego miasta w Niemczech?

- Z Monachium.

- Ach, München! Dziwię się, że twoja rodzina stamtąd wyjechała. Gdybym ja dorastał w Edynburgu albo jakimś innym cywilizowanym miejscu, wciąż nosiłbym kilt. Ale pochodzę z cholernego Aberdeen, więc tuż po zakończeniu pierwszej wojny przybyłem do Ameryki. Na wojnie zabiłem wielu twoich ziomków, chłopcze. Ale widzisz, oni także próbowali zabić mnie, więc czuję się usprawiedliwiony. Czy widziałeś Balto w naszym salonie?

Pokiwałem głową; Madeleine jęknęła, Ramona Sprague skrzywiła się i wbiła widelec w ziemniaka. Emmett rzekł: - Jego wypchaniem zajął się mój stary przyjaciel, Georgie Tilden. Georgie to niepoprawny marzyciel, miał wiele różnych, osobliwych talentów. W czasie wojny służyliśmy razem w pułku szkockim, a ja uratowałem mu życie, kiedy twoi ziomkowie, Niemcy, zaatakowali nas, ruszając do walki na bagnety. Georgie był zakochany w kinie, uwielbiał seanse w kinematografie. Po ogłoszeniu zawieszenia broni wróciliśmy do Aberdeen i kiedy zrozumieliśmy, że to wymarłe miasto bez żadnych perspektyw, Georgie zdołał przekonać mnie, abym wybrał się z nim do Kalifornii - chciał pracować przy niemych filmach. Był nieudacznikiem, beze mnie nie dałby sobie rady i kiedy rozejrzałem się po Aberdeen i uświadomiłem sobie, że nie czeka mnie tam świetlana przyszłość, jaką sobie wymarzyłem, powiedziałem krótko: „Dobra, Georgie, może być Kalifornia. Może faktycznie zbijemy tam fortunę. A jeżeli nawet nie, to przynajmniej będziemy klepać biedę tam, gdzie zawsze świeci słońce!”

Pomyślałem o moim ojcu, który przybył do Ameryki w 1908 z wielkimi nadziejami - ale poślubił pierwszą niemiecką imigrantkę, którą poznał, i osiadł na laurach, zarabiając grosze za niewolniczą pracę na rzecz firmy Pacific Gas & Electric.

- Co było potem?

Emmett Sprague postukał w stół końcem widelca. - Odpukać, to był właściwy moment, aby się tam zjawić. Hollywood to było wtedy jedno wielkie pastwisko, na którym pasły się krowy, ale kino nieme przeżywało okres największego rozkwitu. Georgie dostał robotę jako oświetleniowiec, a ja załapałem się do pracy przy budowie domów - naprawdę dobrych i w dodatku tanich. Mieszkałem pod gołym niebem, a każdy zarobiony grosz odkładałem na założenie własnego interesu i w końcu wziąłem pożyczki z wszelkich możliwych banków i od lichwiarzy, którzy chcieli robić ze mną interesy - by mieć własny dom, naprawdę dobry i tani. George przedstawił mnie Mackowi Sennettowi, a ja pomogłem mu budować plany filmowe w jego studiu w Edendale, a potem poprosiłem go o pożyczkę na zakup gruntów pod nieruchomości. Stary Mack poznał się na mnie, wiedział, że jestem człowiekiem z ambicjami, bo sam też taki był. Udzielił mi pożyczki, pod warunkiem, że pomogę mu w realizacji projektu, jaki sobie zamarzył - budowy osiedla domków Hollywoodland, pod tym wielkim, okropnym, mierzącym sto stóp wysokości napisem, który wznosił na zboczu Mount Lee, dla upamiętnienia szczytnego przedsięwzięcia. Stary Mack wiedział jak się zarabia pieniądze, umiał wycisnąć z ciebie cały szmal, co do centa. Jego statysci dorabiali na boku jako robotnicy i vice versa. Odwoziłem ich do Hollywoodland po dziesięciu, dwunastu godzinach na planie każdej slapstickowej komedii z udziałem Keystone Kops¹, a przez następne sześć godzin pracowali przy świetle pochodni. Stary Mack był mi tak wdzięczny za wyciśnięcie przeze mnie ostatnich soków z jego pracowników, że umieścił moje nazwisko na czołowych planszach kilku ze swoich filmów. Miałem pełnić funkcję zastępcy reżysera.

Madeleine i Ramona w milczeniu konsumowały posiłek, a wyraz ich twarzy świadczył, że znały tę historię niemal na pamięć. Martha wciąż jeszcze rysowała, wpatrując się we mnie z przejęciem - była bez reszty pochłonięta moją osobą.

- A co się stało z pańskim przyjacielem? - zapytałem.

- Niech Bóg ma go w swojej opiece, każda historia sukcesu ma swój odpowiednik mówiący o porażce. Georgie nie umiał dogadać się jak należy z odpowiednimi ludźmi. Brakowało mu ikry, aby wykorzystać talent otrzymany od Boga, i w efekcie wypadł z obiegu.

¹ Keystone Kops - potoczna nazwa fajtlapowatych policjantów występujących w niemych komediach slapstickowych, produkowanych przez wytwórnię filmową Macka Sennetta.

Uległ ciężkiemu wypadkowi samochodowemu w '36, wskutek którego doznał poważnych obrażeń ciała, został oszpecony - i od tej pory kompletnie się załamał. Stał się zupełnie innym człowiekiem. Od czasu do czasu zlecam mu drobne prace przy sprzątanii moich posiadłości, a poza tym zdarza mu się także czasem sprzątać śmieci dla naszego miasta...

Usłyszałem ostry, drażniący zgrzyt i spojrzałem w tę stronę. Ramona próbowała wbić widelec w następnego ziemniaka, ale spudłowała i tylko poszorowała sztućcem po talerzu. Emmett wycedził: - Matko, dobrze się czujesz? Smakuje ci jedzenie?

Ramona wlepiła wzrok w podołek i odrzekła: - Tak, ojcze. - Wydawało się, że Martha delikatnie przytrzymała ją za rękę. Madeleine znów zaczęła pieścić mnie stopą pod stołem; Emmett dodał: - Matko, mam wrażenie, że nasza genialna córka nie dokłada starań, aby należycie zabawić naszego gościa. Czy zechciałybyście wziąć udział w naszej rozmowie?

Madeleine wpiła palce stóp w moją kostkę - i to w chwili gdy zamierzałem rozładować sytuację jakimś zabawnym komentarzem. Ramona Sprague nabrała do ust kolejną, niewielką porcję jedzenia, zaczęła żuć delikatnie i rzekła: - Czy wiedział pan, panie Bleichert, że Ramona Boulevard nazwano na moją cześć?

Twarz Ramony do tej pory dziwnie krzywa i asymetryczna nabrała osobliwej godności, gdy z ust kobiety popłynęły te słowa. - Nie, pani Sprague, nie wiedziałem. Sądziłem, że nazwano go na pamiątkę Ramony Pageant.

- Noszę imię właśnie po niej - odparła. - Kiedy Emmett ożenił się ze mną przez wzgląd na pieniądze mego ojca, obiecał mojej rodzinie, że wykorzysta swoje wpływy, aby na mą cześć nazwano którąś z ulic, jako że wszystkie swoje pieniądze miał włożone w nieruchomości i nie stać go było, aby kupić mi obrączkę ślubną. Ojciec przypuszczał, że będzie to mała ulica w dzielnicy willowej, ale Emmett pozyskał do swoich celów jedynie krótką, ślepą uliczkę w dzielnicy czerwonych latarni, w Lincoln Heights. Zna pan tę dzielnicę, panie Bleichert? - W beznamiętnym dotąd głosie pojawiła się nuta wściekłości.

- Dorastałem tam - odparłem.

- Wobec tego wie pan, że meksykańskie prostytutki eksponują swoje wdzięki z za szyb wystawowych, aby przyciągnąć do siebie klientów. Cóż, po tym, jak Emmettowi udało się zamienić nazwę Rosalinda Street na Ramona Boulevard, zabrał mnie tam na krótki spacer. prostytutki witały go i zwracały się do niego po imieniu. Niektóre miały nawet dla niego specjalne przydomki związane ze szczegółami jego budowy anatomicznej. To mnie zasmuciło. Poczulałam się zraniona, ale zagryzłam zęby, odczekałam tyle, ile było trzeba i wzięłam odwet. Kiedy dziewczynki były jeszcze małe, postanowiłam stworzyć własne przedstawienie i wystawić je na trawniku pod naszym domem. W roli statystów wystąpiły

dzieci sąsiadów. „Aktorzy” odtworzyli pewne epizody z przeszłości pana Sprague’a, o której on wolałby raczej zapomnieć. I które to starał się...

Od silnego uderzenia w blat zatrząsł się cały stół; kieliszki poprzewracały się, talerze zagrzechotały, brzęknęły sztućce. Wlepiłem wzrok w podolek, aby nie wprawić sklóconych członków rodziny w jeszcze większe zażenowanie, i zauważyłem, że Madeleine ścisnęła ojca za kolano tak mocno, że aż zbieleły jej palce. Druga ręka złapała za kolano mnie; była o wiele silniejsza, niż sądziłem. Upiorna cisza przedłużała się, aż wreszcie Ramona Cathcart Sprague rzekła: - Ojcie, będę tańczyć, jak mi zagrasz, gdy na kolację przyjdzie do nas burmistrz Bowron albo radny Tucker, ale nie zamierzam mizdrzyć się do kolejnej męskiej dziwki Madeleine. W dodatku do zwykłego gliniarza. Na Boga, Emmecie, jak nisko mnie cenisz.

Usłyszałem szuranie odsuwanych pospiesznie krzeseł, głuche stuknięcia kolan o nogi stołu, a potem kroki kogoś, kto właśnie opuścił jadalnię; zauważyłem że dłoń, którą trzymałem za rękę Madeleine, zacisnąłem w ten sam sposób jak wtedy, gdy miałem na niej założoną rękawicę bokserską. Bogata dziewczyna wyszeptała: - Przepraszam, Bucky, bardzo mi przykro.

Zaraz potem radosny głos rzucił: - Panie Bleichert? - a ja uniosłem rękę, ponieważ w głosie tym usłyszałem szczere rozbawienie i sporą dawkę zdrowego rozsądku.

To była Martha McConville Sprague. Podała mi kartkę papieru. Sięgnąłem po nią wolną ręką; Martha uśmiechnęła się i wyszła. Madeleine wciąż jeszcze przeproszała mnie półgłosem, kiedy z pewną nieśmiałością spojrzałem na rysunek. Przedstawiał nas oboje - byliśmy nadzy. Madeleine miała nogi rozłożone szeroko. Ja kuciałem pomiędzy nimi, wgrzyzając się w jej ciało moimi wielkimi, końskimi zębiskami.

*

Pojechaliśmy packardem do motelu w La Brea. Ja prowadziłem, a Madeleine przezornie milczała, dopóki nie minęliśmy budynku z żuźlowych bloków, za neonem Red Arrow Inn. Wtedy orzekła: - Tutaj. To dobre miejsce.

Zaparkowałem wśród przedwojennych landar; Madeleine weszła do recepcji i wróciła z kluczem do pokoju nr 11. Otworzyłem drzwi i włączyłem światło.

Pokoik był urządony w różnych odcieniach brązu i cuchnął poprzednimi lokatorami. Usłyszałem, że za ścianą, w dwunastce jacyś goście handlują narkotykami; Madeleine zaczęła wyglądać jak karykatura z rysunku siostry. Sięgnąłem dłonią po wyłącznik światła, aby przerwać niechciane skojarzenie.

- Nie. Proszę - powiedziała. - Chcę cię widzieć.

Goście targujący się o prochy zaczęli się klócić. Zauważyłem radio na komódce i

włączyłem je - reklama sklepu Gorton's Slenderline zagłuszyła gniewne słowa. Madeleine zdjęła sweter i na stojąco ściągnęła pończochy. Była już w bieliźnie, nim ja niezdarnie zacząłem się rozbierać. Zdejmując spodnie, uszkodziłem suwak w rozporoku, a pozbywając się kabury podramiennej, rozerwałem koszulę na torsie. W chwilę później Madeleine już naga położyła się na łóżku - i wspomnienie karykatury przysło jak mydlana bańka.

W sekundę potem ja też byłem nagi, a po dwóch znalazłem się obok zamożnej dziewczyny. Mruknęła coś jakby: - Nie znieawidź mojej rodziny, nie jest taka zła - a ja uciszyłem ją brutalnym pocałunkiem. Odwzajemniła go; nasze wargi i języki dotykały się, aż zaczęło brakować nam tchu. Przesunąłem dłońmi w stronę jej piersi, pieszcząc je i ugniatając palcami. Madeleine mruknęła coś o zadośćuczynieniu za wszystkich Sprague'ów. Im mocniej ją całowałem, pieściłem i smakowałem, tym bardziej to się jej podobało i tym więcej mówiła o nich, schwyciłem ją więc za włosy i wysyczałem: - To nie oni, to ja. Rób to ze mną. Bądź ze mną.

Madeleine usłuchała i wślizgnęła się między moje nogi, jak odwrotność karykatury Marthy. Unieruchomiony w ten sposób, czułem, że lada moment eksploduję. Odepchnąłem Madeleine od siebie, aby nie dojść zbyt wcześnie, i wyszeptalem: - To ja, nie oni - i pogłaskałem ją po włosach, usiłując skoncentrować się na bliżej nieokreślonym, radiowym dżinglu. Madeleine brała mnie mocniej niż jakakolwiek inna dziewczyna, z którą miałem okazję być; kiedy trochę ochłonąłem i byłem gotowy, pchnąłem ją na wznak i wszedłem w nią. Teraz nie było już zwykłego gliny i bogatej, puszczałskiej dziewczyny. Byliśmy oboje, razem, jedno ciało, wyginające się w łuk, prężące się, poruszające i przyspieszające tempa, choć przecież miało dla siebie tyle czasu, ile trzeba; i dżingle się skończyły, sygnał radia ucichł zupełnie, a w małym pokoiku nie było słychać nic prócz naszych oddechów i cichego szelestu ocierających się o siebie ciał. A potem skończyliśmy, dochodząc w idealny sposób, bo równocześnie.

Gdy już było po wszystkim, jeszcze przez dłuższą chwilę leżeliśmy mocno spleceni i złani potem, od stóp do głów. Pomyślałem, że za cztery godziny miałem rozpocząć dyżur, i jęknąłem w głos; Madeleine oswobodziła się z mego uścisku i zrobiła to, co było moją wizytówką - uśmiechnęła się, pokazując idealne zęby.

Zaśmiałem się. - No, no, możesz być pewna, że twoje nazwisko nie trafi do prasy.

- Dopóki nie ogłosimy oficjalnych zaręczyn pary narzeczonych Bleichert-Sprague?

Wybuchnąłem śmiechem: - Twojej matce to by się nie spodobało.

- To hipokrytka. Bierze pigułki przepisane jej przez lekarza, więc nie jest ćpunką. Ja puszczam się na prawo i lewo, więc jestem dziwką. Jej wolno robić to, co robi, mnie nie.

- Owszem, tobie też wolno - zaproponowałem. - Jesteś moją... - nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa „dziwką”.

Madeleine połaskotała mnie po żebrach. - Powiedz to. Nie udawaj świętoszkowatego gliny. Powiedz to.

Schwyciłem ją za rękę, nim do reszty zdążyła rozbroić mnie łaskotkami. - Jesteś moją ukochaną, moją oblubienicą, moją wybranką serca, kobietą, dla której zataiłem istotne dla sprawy informacje...

Madeleine ugryzła mnie w ramię i wycodziła: - Jestem twoją dziwką.

Zaśmiałem się znowu: - Dobrze, jesteś osobą naruszającą paragraf 234 kk.

- A co to takiego?

- Oznaczenie z kalifornijskiego kodeksu karnego, a konkretnie paragraf dotyczący prostytutki.

Madeleine uniosła brwi. - Czyli kurew?

Uniosłem obie ręce w górę. - To nie ja powiedziałem.

Bogata dziewczyna zaczęła mnie pieścić i całować. - Lubię cię, Bucky.

- Ja też cię lubię.

- Nie od razu mnie polubiłeś. Powiedz prawdę, z początku chciałeś mnie po prostu przelecieć.

- To prawda.

- Wobec tego kiedy mnie polubiłeś?

- W momencie kiedy się rozebrałaś.

- Ty draniu! A chcesz wiedzieć, kiedy ja polubiłam ciebie?

- Tylko mów prawdę.

- Kiedy powiedziałam tacie, że poznałam bardzo miłego policjanta, Bucky'ego Bleicherta. Tacie opadła szczęka. Był pod wrażeniem, a Emmettowi McConville Sprague'owi trudno zaimponować.

Pomyślałem o okrucieństwie tego człowieka wobec własnej żony i wtrąciłem neutralny komentarz: - To imponujący człowiek.

- Dyplomata - odrzekła Madeleine. - Twardy, niezłomny, pazerny szkocki sukinsyn, ale jednak człowiek. Wiesz, jak naprawdę zarobił całą tę fortunę?

- Jak?

- Na układach z gangsterami, a nawet gorzej. Tatko kupował zbutwiałe drewno i stare dekoracje z planów filmowych od Macka Sennetta i budował z nich domy, używając firm „krzaków”. W całym LA aż się roi od wzniesionych przez niego budynków, z których każdy

jest potencjalną ogniową pułapką, albo może grozić w każdej chwili zawaleniem. Przyjaźni się z Mickeyem Cohenem. Jego ludzie pobierają od lokatorów czynsz.

Wzruszyłem ramionami: - A Mick ma w garści Bowrona i połowę zarządu. Widziałś moją broń i kajdanki?

- Tak.

- Cohen za nie zapłacił. Założył fundusz i regularnie na niego łoży, aby pomóc młodszym funkcjonariuszom opłacać niezbędne wyposażenie. To jest dobrze przyjmowane przez opinię publiczną. Fiskus nigdy nie skontroluje jego ksiąg, bo Mick płaci za olej i benzynę do aut, którymi poruszają się jego taksatorzy. Tak więc nie całkiem udało ci się mnie zaszokować.

- A zdradzić ci tajemnicę? - zapytała Madeleine.

- Jasne.

- Podczas trzęsienia ziemi w '33 zaważyło się pół przecznicy domów zbudowanych przez tatkę na Long Beach. Zginęło dwanaście osób. Tatko wyłożył sporo grosza, aby jego nazwisko zostało wykreślone z dokumentów wykonawcy tego zlecenia.

Odsunąłem się nieznacznie od Madeleine. - Czemu mi to mówisz?

Pogłaskała mnie po rękach i odrzekła: - Bo zaimponowałeś tacie. Bo jesteś jedynym facetem spośród tych, których przyprowadziłam do domu, który zdaniem taty jest w ogóle coś wart. Tatko ceni sobie twardych ludzi i uważa, że jesteś twardy. Kto wie, może jak będziemy spotykać się ze sobą dłużej, tak na poważnie, któregoś dnia sam ci to powie. Tamci ludzie są dla niego ciężarem, a on wyżywa się za to na matce, bo to za jej pieniądze pobudował te feralne domy. Pewne wrażenia bywają mylące, a ja cię lubię i nie chciałabym...

Przyciągnąłem Madeleine do siebie. - Spokojnie, maleńka. Jesteś teraz ze mną, nie ze swoją rodziną.

Przytuliła mnie mocno. Chciałem powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, i lekko uniosłem jej głowę. Miała łzy w oczach. Wyszepiała: - Bucky, nie powiedziałam ci wszystkiego o Betty Short.

Schwyciłem ją za ramiona. - Co takiego?

- Nie złość się na mnie. To nic wielkiego, ale nie chciałam dłużej trzymać tego w tajemnicy. Z początku cię nie lubiłam, więc nie sądziłam, że...

- Powiedz mi to, od razu.

Madeleine spojrzała na mnie; oddzieliło nas pasmo wilgotnej od potu pościeli. - Ubiegłego lata sporo czasu spędziłam w barach. W zwykłych barach, w Hollywood. Usłyszałam o dziewczynie, która rzekomo miała być do mnie bardzo podobna. To mnie

zaciekawilo. Zainteresowalam sie jej osoba i zaczalam zostawiac dla niej liściki w różnych miejscach - „Ta bardzo podobna do ciebie chcialaby cie poznać” i do tego mój prywatny, domowy numer telefonu. Betty zadzwoniła do mnie, spotkaliśmy się. Pogadałyśmy trochę i to wszystko. Ponownie spotkałam ją z Lindą Martin w La Verne’s, w listopadzie zeszłego roku. To był zwykły zbieg okoliczności.

- I to już wszystko?

- Tak.

- Wobec tego, maleńka, lepiej się przygotuj. Ponad pół setki gliniarzy przeczesuje bary i jeśli choćby jeden z nich natrafi na pozostawioną przez ciebie informację z numerem telefonu, trafisz ekspresem na pierwsze strony gazet. A ja nic na to nie będę mógł poradzić. Więcej nawet, jeśli do tego dojdzie, nie prosz mnie o pomoc, bo i tak zrobiłem dla ciebie wszystko, co mogłem.

Odsuwając się ode mnie, Madeleine rzekła: - Sama się tym zajmę.

- Chcesz raczej powiedzieć „twój tatko”?

- Bucky, czy tylko mi się wydaje, czy jesteś zazdrosny o mężczyznę dwa razy starszego i o połowę lżejszego od ciebie?

Pomyślałem o Czarnej Dalii, o jej śmierci, która usunęła z pierwszych stron gazet informacje o strzelaninie z moim udziałem. - Po co chciałaś się spotkać z Betty Short?

Madeleine zadrżała, mrugając neon w kształcie czerwonej strzały, od którego wziął swoją nazwę cały motel, zalewał pulsującym światłem wewnątrz pokoju. Szkarłatna poświata rozjaśniła jej twarz.

- Ciężko pracowałam, aby wyrwać się z tej klatki i być wreszcie wolną - powiedziała.

- Ale z tego, co ludzie mówili o Betty, wynikało, że dla niej było to zgoła coś oczywistego i normalnego. To była prawdziwie dzielna, wolna dziewczyna. Rzadki ewenement w dzisiejszych czasach.

Pocałowałem moją małą dzikuskę. Potem znów się kochaliśmy, a ja przez cały czas wyobrażałem ją sobie, jak robi to z Betty Short - i obie czynią to z taką swobodą, jakby były do tego stworzone.

12.

Russ Millard przyjrzał się moim pomiętym ciuchom i rzekł: - Dziesięcotonowa ciężarówka czy kobieta?

Rozejrzałem się po sali na posterunku University, do której zaczęli schodzić się funkcjonariusze z dziennej zmiany. - Betty Short. Dziś zero pracy przy telefonie, dobrze, szefie?

- Masz chęć popracować na świeżym powietrzu?

- Słucham propozycji.

- Zeszłej nocy w Encino widziano Lindę Martin, jak próbowała nabyć alkohol w kilku barach. Pojedź z Blanchardem do Valley i poszukaj jej. Zaczynicie od Victory Boulevard, od numeru 20000 i kierujcie się na zachód. Przyślę wam wsparcie, kiedy tylko zjawią się kolejni funkcjonariusze.

- Kiedy?

Millard spojrział na zegarek. - Zaraz, albo nawet szybciej.

Poszukałem wzrokiem Lee, ale nigdzie go nie było, pokiwałem głową i sięgnąłem po telefon. Zadzwoniłem do domu, do biura wydziału egzekucyjnego i na informację, aby podano mi numer hotelu El Nido. W domu Blancharda nie było, nie zastałem go też pod dwoma pozostałymi adresami. Wrócił Millard z Fritzem Vogelem i - co niezwykle - z Johnnym Vogelem po cywilnemu.

Wstałem. - Nie mogę namierzyć Lee, szefie.

Millard rzekł: - Pojedziesz z Fritzem i Johnem. Weź nieoznakowany wóz służbowy, abyś mógł utrzymywać kontakt z innymi funkcjonariuszami pracującymi w terenie.

Grubi Vogelowie spojrzeli na mnie, po czym popatrzyli jeden na drugiego. Ich wzrok stwierdzał, że mój niechlujny wygląd klasyfikuje się jako klasyczne wykroczenie.

- Dzięki, Russ - powiedziałem.

*

Pojechaliśmy do Valley, Vogelowie z przodu, ja na tylnym siedzeniu. Próbowałem się zdrzemnąć, ale monolog Fritziego na temat dziwek i morderców kobiet skutecznie to uniemożliwiał. Johnny kiwał głową, a za każdym razem, kiedy jego ojciec przerywał, aby nabrać tchu, powtarzał: - Racja, tato. - Gdy przejechaliśmy przez przełęcz Cahuenga, Fritzemu zabrakło konceptu, Johnny też przestał się odzywać. Zamknąłem oczy i oparłem głowę o szybę.

Madeleine wykonywała powolny striptiz w rytm szumu silnika, gdy nagle usłyszałem szept Vogelów.

- ...on śpi, tato.

- Nie mów do mnie tato, gdy jesteśmy w pracy. Powtarzałem ci to milion razy. W ten sposób wychodzisz na ciotę.

- Udowodniłem, że nie jestem ciotą. Pedzie nie byliby w stanie zrobić tego co ja. Nie jestem już prawiczkim, więc nie nazywaj mnie ciotą.

- Milcz, do cholery.

- Tatusiu, to znaczy, tat...

- Powiedziałem, morda w kubeł, Johnny.

Tłusty, chełpliwy glina sprowadzony do roli dziecka zwrócił moją uwagę; zachrapałem, udając, że śpię, aby tamci sobie nie przeszkadzali. Johnny wyszeptał: - Widzisz, tato, on śpi. I to on jest ciotą, nie ja. Udowodniłem to. Frajer z wielkimi zębiskami. Mógłbym go załatwić, tato. Wiesz, że mógłbym. Skurwiel zwinął mi posadę sprzed nosa; miałem tę robotę.

- Johnie Charlesie Vogelu, albo natychmiast zamilknieisz, albo złoję ci skórę, niezależnie, że masz już dwadzieścia cztery lata i jesteś policjantem.

Wtedy z radia dobył się jakiś hałas; udałem, że ziewam przeciągle. Johnny odwrócił się i uśmiechnął: - Nie ma to jak sen dla zdrowia i urody, co? - rzucił jakby mimochodem; jego cuchnący oddech przeszedł już do legendy.

W pewnej chwili miałem ochotę powiedzieć mu do słuchu, co myślę o jego umiejętnościach bokserskich i o tym, że mógłby mnie pokonać, ale górę wziął wrodzony oportunizm. - Tak, miałem ciężką noc.

Johnny mrugnął nieudolnie. - Ja też lubię pofiglować. Tydzień przerwy i tak mi tego brakuje, że aż chodzę po ścianach.

Dyspozytor powiedział: - ...powtarzam, 10-A-94, podaj swoją pozycję.

Fritzie sięgnął po mikrofon. - 10-A-94, jesteśmy przy Victory i Saticoy.

Dyspozytor odrzekł: - Porozmawiajcie z barmanem w Caledonia Lounge, przy Victory i Valley View. Podobno poszukiwana Linda Martin właśnie się tam zjawiła. Kod trzy.

Fritzie włączył syrenę i wcisnął gaz do dechy. Inne auta zaczęły ustępować nam z drogi. Pomknęliśmy przed siebie środkowym pasem. W duchu zacząłem modlić się do Boga kalwinistów, w którego wierzyłem jako dziecko: niech tylko ta mała Martin nie wspomni ani słowem o Madeleine Sprague. Przed nami w oddali pojawiła się Valley View Avenue; Fritz wziął ostry zakręt w prawo i wyłączył syrenę, zatrzymując wóz przed knajpą z frontonem stylizowanym na bambusową chatę.

Drzwi do baru, także stylizowane na bambusowe, otwarły się gwałtownie; Linda Martin/Lorna Martilkova wyglądająca dokładnie jak na zdjęciu wybiegła na zewnątrz. Wskoczyłem z auta i pobiegłem za nią. Vogelowie, sapiąc i dysząc, popędzili za mną.

Linda/Lorna gnała jak antylopa, przyciskając do piersi sporych rozmiarów torebkę. Przyspieszyłem tempa i zmniejszyłem dzielący nas dystans. Dziewczyna dotarła do ruchliwej, bocznej ulicy i wybiegła na nią; samochody zaczęły skręcać z piskiem opon, żeby ją ominąć. Dopiero teraz obejrzała się przez ramię: uskokczyłem przed ciężarówką przewożącą piwo i motocyklem, który mknął na mnie po kursie kolizyjnym, nabrałem powietrza i pobiegłem dalej.

Dziewczyna potknęła się o krawężnik chodnika po drugiej stronie, torebka wypadła jej z rąk, a ja dałem ostatniego susa i schwyciłem ją z całej siły. Poderwała się z ziemi, plując i okładając mi tors małymi piąstkami. Złapałem ją brutalnie za przeguby, wykręciłem jej ręce i zakułem w kajdanki. Teraz Lorna próbowała mnie kopać, zadawała celne uderzenia w moje nogi i kostki. W pewnej chwili trafiła mnie w goleń, ale że miała skute ręce, straciła równowagę i wylądowała na tyłku. Pomogłem jej wstać, za co odpłaciła mi się, opluwając mi przód koszuli. I zapiszczała: - Jestem nieletnia, ale znam swoje prawa i jeśli spróbujesz mnie tknąć, nie sprowadziwszy dla mnie policyjnej opiekunki, pozwę cię do sądu!

Łapiąc oddech, podprowadziłem ją, a raczej dowlokłem do miejsca, gdzie leżała jej torebka.

Podniosłem ją, zaskoczony ciężarem i rozmiarami torebki. Zajrzawszy do środka, zobaczyłem nieduży, metalowy pojemnik na taśmę filmową. - Co to za film?

Dziewczyna wykrztusiła: - P-p-proszę, niech p-p-pan sprowadzi moich r-r-rodziców.

Usłyszałem klakson; zobaczyłem Johnny'ego Vogela wychylającego się z samochodu przez opuszczoną szybę: - Millard kazał przywieźć ją na oddział dla nieletnich przy George Street.

Podprowadziłem Lornę do auta i usadowiłem na tylnym siedzeniu, sam usiadłem obok niej. Fritzie dał gaz do dechy i pojechaliśmy.

*

Dotarcie na miejsce zajęło nam trzydzieści pięć minut.

Millard i Sears czekali na nas na schodach przy gmachu, gdzie mieścił się wydział do spraw nieletnich, przy George Street. Wprowadziłem dziewczynę do środka, podczas gdy Vogelowie pomaszzerowali przodem. Opiekunki policyjne i gliny z wydziału dla nieletnich utorowali nam drogę; Millard otworzył drzwi z napisem: Przesłuchania zatrzymanych. Zdjąłem Lornie kajdanki, Sears wszedł do pokoju, ustawił krzesła, porozkładał notesy i popielniczki. Millard rzekł: - Johnny, wrócisz na posterunek University i będziesz obsługiwał telefony.

Grubas próbował protestować, po czym spojrzął na ojca. Fritzie potaknął ruchem

głowy; Johnny wyszedł, wyraźnie urażony. Fritzie oznajmił: - Zadzwoń do pana Loewa. Powinien przy tym być.

Millard rzekł: - Nie. Dopóki nie zdobędziemy zeznania.

- Daj ją mnie, zdobędę dla ciebie zeznanie.

- Chcę, żeby to zeznanie było dobrowolne, sierżancie.

Fritzie zaczerwienił się. - Uważam twoje słowa za obelżywe, Millard.

- Możesz sobie uważać, ale i tak będziesz robił, co ci każę, i nie próbuj zasłaniać się panem Loewem.

Fritz Vogel znieruchomiał. Wyglądał jak ludzka bomba atomowa, która może lada chwila eksplodować, jego głos brzmiał jak syk zapalonego lontu: - Kurwiłaś się z tą Dalią, co nie, laleczko? Dawłaś dupy jak ona. Nie żałowałaś swego kroku. Powiedz, gdzie byłaś w dniach, kiedy ona zaginęła.

Lorna odparła: - Pieprz się, facet.

Fritzie podszedł do niej.

Millard stanął pomiędzy nimi. - Ja będę zadawał pytania, sierżancie.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Vogel stał twarz w twarz z Millardem. Chwila pełna napięcia przedłużała się, wreszcie Fritzie pisnął:

- Ty cholerny, miękki bolszewiku.

Millard postąpił krok naprzód; Vogel natychmiast się cofnął.

- Wyjdź stąd, Fritzie.

Vogel zrobił trzy kroki wstecz. Stuknął obcasami o ścianę i wyszedł, trzaskając drzwiami. Echo tego trzasku słyhać było jeszcze przez parę chwil. Harry do reszty rozbroił tę bombę: - Jakie to uczucie być sprawczynią tego zamieszania, panno Martilkova?

Dziewczyna odparła: - Jestem Linda Martin. - I wygładziła spódniczkę.

Usiadłem, wychwyciłem spojrzenie Millarda i wskazałem na leżącą na stole torebkę, z której wystawało blaszane pudełko na taśmę filmową. Porucznik skinął głową i usiadł obok Lorny. - Wiesz, że chodzi nam o Betty Short, prawda, moja droga?

Dziewczyna opuściła głowę i zaczęła pochlipywać; Harry podał jej chusteczkę higieniczną. Podarła ją na paski i wygładziła na stoliku. - Czy to znaczy, że będę musiała wrócić do moich rodziców?

Millard skinął głową: - Tak.

- Ojciec mnie bije. To głupi Słowak, wciąż jest pijany i mnie bije.

- Złotko, kiedy wrócisz do Iowa, będziesz pod nadzorem kuratora. Wystarczy, że powiesz mu, że ojciec cię bije, a on raz dwa położy temu kres.

- Jeżeli ojciec dowie się, co robiłam w LA, zleje mnie, jak nigdy dotąd.

- Nie dowie się, Lindo. Kazałem tamtym dwóm wyjść, aby mieć pewność, że to, co powiesz, pozostanie sprawą poufną.

- Jeżeli odeśle mnie pan do Cedar Rapids, znów stamtąd ucieknę.

- Nie wątpię. Im szybciej powiesz nam to, co chcemy wiedzieć na temat Betty, i im szybciej ci uwierzymy, tym szybciej znajdziesz się w pociągu i będziesz mogła wziąć nogi za pas. To chyba dobry powód, żebyś była wobec nas szczerą i prawdziwą, co, Lindo?

Dziewczyna znów zaczęła bawić się strzępami chustki. Wyczułem, że jej mały, podstępny mózdek kombinował jak najęty, poszukując wszelkich możliwych dróg wyjścia z tej sytuacji. W końcu westchnęła.

- Proszę mi mówić Lorno. Skoro mam wrócić do Iowa, muszę do tego przywyknąć.

Millard uśmiechnął się, Henry Sears zapalił papierosa i uniósł pióro nad bloczkiem do stenografii. Moje ciśnienie krwi wzrosło, zestrzajając się z rozbrzmiewającym w moich uszach: tylko nie Madeleine, nie Madeleine, nie Madeleine.

Ross rzekł: - Lorno, czy jesteś gotowa z nami porozmawiać?

Dziewczyna do niedawna nazywająca się Linda Martin odparła: - Wał pan.

Millard zapytał: - Kiedy i gdzie poznałaś Betty Short?

Lorna zburzyła układankę z pasków chustki do nosa. - Jesienią zeszłego roku, w pensjonacie dla dziewcząt przy Cherokee.

- North Cherokee 1842?

- Uhm-hm.

- Zaprzyjaźniłyście się?

- Uhm-hm.

- Proszę, Lorno, odpowiadaj tak lub nie.

- Tak, zostałyśmy przyjaciółkami.

- Co robiłyście razem?

Lorna zaczęła obgryzać skórki wokół paznokci: - Plotkowałyśmy, jak to dziewczyny, chodziłyśmy na castingi, naciągaliśmy frajerów na drinki i kolacje w barach...

Wszedłem jej w słowo: - W jakich barach?

- To znaczy?

- Czy to były miłe knajpki? A może mordownie? Speluny dla żołnierzy?

- Och, takie tam, zwyczajne knajpki w Hollywood. Te, w których nie spodziewaliśmy się, że ktoś spróbuje mnie wylegitymować.

Moje ciśnienie osłabło. Millard rzekł: - Powiedziałaś Betty o pensjonacie przy Orange

Drive, gdzie sama mieszkałaś, zgadza się?

- Uhm-hm, to znaczy, tak.

- A dlaczego Betty wyprowadziła się z domu przy Cherokee?

- Było tam zbyt tłoczno, a ona naciągała dziewczyny, dolara od jednej, dolara od drugiej, aż w końcu się pokłóciły.

- Czy któraś żywiła wobec niej szczególną urazę?

- Nie wiem.

- Czy jesteś pewna, że Betty nie wyprowadziła się stamtąd, bo miała kłopoty z którymś ze swoich chłopaków?

- Jestem pewna.

- A czy pamiętasz nazwiska mężczyzn, z którymi Betty spotykała się jesienią ubiegłego roku?

Lorna wzruszyła ramionami: - To były krótkie znajomości.

- A co z nazwiskami, Lorno?

Dziewczyna zaczęła odliczać na palcach i przerwała przy trzech: - No cóż, na Orange Drive miała dwóch facetów, Dona Leyesa i Hala Costę, a także marynarza imieniem Chuck.

- Znasz nazwisko tego Chucka?

- Nie, ale wiem, że był artylerzystą na okręcie.

Millard chciał zadać kolejne pytanie, ale przerwał mu, unosząc prawą rękę.

- Lorno, rozmawiałem z Marjorie Graham; podobno powiedziała ci, że powiadomiła policję i funkcjonariusze mieli zjawić się na Orange Drive, aby przesłuchać mieszkańców w sprawie Betty Short. A ty wtedy uciekłaś. Dlaczego?

Lorna odgryzła kawałek skórki i polizała bolące skaleczenie. - Ponieważ wiedziałam, że jeśli w gazetach pojawi się moje zdjęcie w związku ze sprawą Betty, moi rodzice dowiedzą się o tym i nakłonią policję, aby odesłała mnie do domu.

- I dokąd się udałaś po swojej ucieczce?

- Poznałam w barze pewnego mężczyznę i nakłoniłam go, aby wynajął dla mnie pokój w motelu, w Valley.

- A czy...

Millard wykonał tnący gest dłonią, skutecznie mnie uciszając. - Mówiłaś, że ty i Betty chodziłyście na castingi. Czy dostałaś rolę w jakimś filmie?

Lorna zaczęła manipulować palcami ułożonymi na podolku. - Nie.

- Czy zatem możesz mi opowiedzieć, co to za film, który masz w torebce?

Ze wzrokiem wlepionym w podłogę i łzami spływającymi po policzkach Lorna

Martilkova wyszeptała: - To tylko film.

- Porno?

Lorna skinęła głową. Łzy rozpuściły jej tusz i po twarzy zaczęły ściekać ciemne smużki. Millard podał dziewczynie chusteczkę. - Złotko, musisz opowiedzieć nam wszystko od początku. Zastanów się teraz dobrze i nie spiesz się. Bucky, przynieś jej wody.

Wyszedłem na korytarz, znalazłem saturator i automat z papierowymi kubkami, po czym napełniłem jeden kubek prawie do pełna i wróciłem do pokoju przesłuchań.

Lorna mówiła półgłosem, kiedy postawiłem przed nią na blacie papierowy kubek. - ...polowałam na frajerów, w tym barze w Gardenie. Ten Meksykanin, Raoul, Jorge, czy jak mu tam, nawiązał ze mną rozmowę. Sądziłam, że jestem w ciąży, i bardzo mi zależało na forsie. Powiedział, że da mi dwieście dolarów, jeżeli zgodzę się zagrać w rozbieranym filmie.

Lorna przerwała, wypła wodę, wzięła głęboki oddech i mówiła dalej: - Ten gość powiedział, że potrzebuje jeszcze jednej dziewczyny, więc zadzwoniłam do Betty, w domu przy Cherokee. Zgodziła się, a ten Meks i ja przyjechaliśmy po nią. Facet dla rozluźnienia poczęstował nas trawką, pewnie bał się, że spanikujemy i wycofamy się. Pojechaliśmy do Tijuany i nakręciliśmy ten film w dużym domu za miastem. Meksykanin zajął się oświetleniem i obsługiwał kamerę, mówił nam, co mamy robić, a potem odwiózł nas z powrotem do LA. I tyle, naprawdę nic więcej. I co teraz, zadzwoni pan do moich starych?

Spojrzałem na Russa, potem na Harry'ego; wpatrywali się w dziewczynę beznamiętnym wzrokiem. Pragnąc zapełnić luki w moim prywatnym śledztwie, zapytałem: - Kiedy nakręciłaś ten film, Lorno?

- Tak koło Święta Dziękczynienia.

- Czy możesz nam opisać tego Meksykanina?

Lorna wbiła wzrok w podłogę. - To był zwykły, brudny Meksykanin. Jakieś trzydzieści, czterdzieści lat, trudno powiedzieć coś więcej. Byłam naćpana, nie pamiętam za dobrze.

- Czy wydawał się szczególnie zainteresowany Betty?

- Nie.

- Czy dotykał którejś z was? Był brutalny? Próbował się do was dobierać?

- Nie. Tylko nas ustawiał.

- Razem?

Lorna wyszeptała: - Tak.

Krew wzburzyła mi się w żyłach. Nawet mnie mój własny głos wydał się obcy, jak głos kukły brzuchomówcy: - Więc to nie był tylko film rozbierany? Ty i Betty zagrałyście w

scenach lesbijskich?

Lorna zaszlochała i pokiwała głową: pomyślałem o Madeleine i poszedłem za ciosem, nie zważając na reakcje dziewczyny. - Jesteś lesbijką? A Betty? Bywałaś w pubach dla lesbijek?

Millard warknął: - Bleichert, przestań!

Lorna nachyliła się do przodu na krzesło, schwyciła miękkiego, zachowującego się po ojcowsku glinę i mocno go objęła. Russ spojrział na mnie i powoli opuścił rękę, jak dyrygent uciszający orkiestrę. Drugą ręką delikatnie pogładził dziewczynę po włosach, po czym wskazał palcem na Searsa.

Dziewczyna jęknęła: - Nie jestem lesbijką, to było tylko na raz.

Millard tulił ją do siebie, jak dziecko.

Sears zapytał: - Lorno, czy Betty była lesbijką?

Wstrzymałem oddech. Lorna wytarta oczy w połę marynarki Millarda i spojrzała na mnie. Powiedziała: - Nie jestem les i Betty też nie była, odwiedzałyśmy tylko zwyczajne bary, a ten jeden raz zrobiliśmy to na potrzeby filmu, bo byliśmy splukane, naćpane i jeśli to wszystko przedostanie się do gazet, ojciec mnie zabije.

Zerknąłem na Millarda, przeczuwając, że to kupił, a w głębi duszy miałem coraz silniejsze przekonanie, że lesbijski trop tej całej sprawy prowadził w ślepią uliczkę. Harry zapytał: - Czy ten Meksykanin dał Betty na pamiątkę wizjer?

- Tak - odparła cicho Lorna, wtulając głowę w ramię Millarda.

- Pamiętasz, jaki miał wóz? Markę albo kolor?

- Chyba... był czarny i stary.

- A pamiętasz, jak nazywał się bar, gdzie go poznałaś?

Lorna uniosła głowę; zauważyłem, że łzy na jej policzkach obeschły.

- To było chyba przy Aviation Boulevard, niedaleko zakładów lotniczych.

Jęknąłem; ta część Gardeny na długości mili pełna była tanich knajpek, salonów gry i burdeli ochraniających za opłatą przez policję.

Harry rzekł: - Kiedy ostatni raz widziałaś Betty?

Lorna wróciła na swoje miejsce, powstrzymując się przed kolejnym wybuchem gwałtowniejszych emocji - to była rzadko spotykana reakcja jak na piętnastolatkę. - Ostatni raz widziałam ją parę tygodni później. Tuż po tym, jak wyprowadziła się z Orange Drive.

- Czy Betty spotkała się jeszcze z tym Meksykaninem?

Lorna zaczęła zdrapywać lakier z paznokci. - Ten Meks to była jednorazowa przygoda. Zapłacił nam, odwiózł do LA i odjechał.

Wtrąciłem: - Ale ty jeszcze się z nim spotkałaś, prawda? Nie ma mowy, aby zdążył zrobić kopię, zanim odwiózł was wtedy z Tijuany.

Lorna wpatrywała się w swoje paznokcie. - Zaczęłam go szukać w Gardenie, gdy przeczytałam w gazetach artykuły o Betty. Zamierzał wrócić do Meksyku, a ja namówiłam go, aby zrobił dla mnie kopię tamtego filmu. On... nie czytał gazet, więc nie wiedział, że Betty nagle, z dnia na dzień stała się sławna. Pomyślałam, że... pornos z Dalią to rarytas dla kolekcjonerów i gdyby policja chciała odesłać mnie do starych, mogłabym go sprzedać i wynająć prawnika, aby podjął walkę o moją ekstradycję. Oddacie mi go, prawda? Nie pozwolicie, aby ktoś go zobaczył?

Rozpacz z ust dziecka. Millard rzekł: - Wróciłaś do Gardeny i znów spotkałaś się z tym człowiekiem?

- Uhm-hm, to znaczy, tak.

- Gdzie?

- W jednym z barów przy Aviation.

- Możesz opisać to miejsce?

- Było ciemne, z frontonem pełnym błyskających światełek.

- I ten człowiek z własnej woli dał ci kopię filmu? Za darmo?

Lorna wlepiła wzrok w podłogę. - Musiałam obsłużyć jego i jego kumpli.

- Czy zatem możesz opisać go trochę dokładniej?

- Był gruby i miał małą kuśkę! Był paskudny, tak jak i jego kumple.

Millard wskazał Searsowi drzwi; Harry wyszedł po cichu. Russ rzekł: - Spróbujemy zrobić wszystko, aby to nie przedostało się do gazet, i zniszczymy film. Jedno pytanie, zanim opiekunka odprowadzi cię do twojego pokoju. Czy gdybyśmy zawieźli cię do Tijuany, udałoby ci się odnaleźć dom, gdzie powstał ten film?

Lorna pokręciła głową. - Nie. Nie chcę wracać do tego okropnego miejsca. Chcę pojechać do domu.

- I zarobić w skórę od ojca?

- Nie. Żebym mogła znów stamtąd uciec.

Wrócił Sears z opiekunką; kobieta wyprowadziła twardą/miękką/ żalosną/zepsutą Lindę/Lornę z pokoju. Harry, Russ i ja wymieniliśmy spojrzenia; smutek tej dziewczyny kompletnie mnie przytłoczył. Wreszcie mój przełożony rzekł: - Jakies komentarze?

Harry odezwał się pierwszy: - Dziewczyna zwała wszystko na Meksykanina z chatą w Tijuanie. Pewno facet ją bił i rznął aż wióry leciały, a teraz ona chce mu się w ten sposób odplacić. Ale poza tym jej historia wydała mi się całkiem przekonująca.

Russ uśmiechnął się. - A co ty o tym sądzisz, bystrzaku?

- Jeżeli chodzi o tego Mekska, dziewczyna jest kryta. Sądzę, że pieprzyła się z nim regularnie, a teraz chroni go przed oskarżeniami o uprawianie seksu z nieletnią. Poza tym śmiem twierdzić, że ten facet jest biały, a ona określiła go jako Mekska tylko po to, aby usprawiedliwić zdjęcia do filmu, kręcone w domu w Tijuanie - co, nawiasem mówiąc, brzmi dość sensownie - to miejsce to mekka pedofilii, wiem coś o tym, kiedy pracowałem w patrolu, większość zbrojczyków kręciła tam swoje porno.

Millard mrugnął à la Blanchard: - Naprawdę bystrzak z ciebie, Bucky. Harry, chcę, żebyś porozmawiał z porucznikiem Watersem z wydziału dla nieletnich. Powiedz mu, żeby na siedemdziesiąt dwie godziny kompletnie odciął tę dziewczynę od świata. Chcę, by zamknięto ją w osobnej celi i niech przydzielą jej w roli współwięźniarki Meg Caulfield z Wilshire Clerical. Powiedz Meg, by przemaglowała ją najlepiej, jak umie, i niech składa nam raporty co dwadzieścia cztery godziny.

A kiedy z tym się uporasz, skontaktuj się z naszym archiwum i obyczajówką, aby odnaleźć akta wszystkich mężczyzn, białych i Meksykanów, mających na koncie wyroki za pornografię, potem jeszcze porozmawiaj z Vogelem i Koenigiem i wyślij ich do Gardeny, aby rozejrzeli się za naszym „filmowcem”. Zadzwoń też do biura i powiedz kapitanowi Jackowi, że mamy do obejrzenia ekskluzywny filmik z Dalią. Zadzwoń też do *Timesa* i podrzuć im trop z nieletnią, nim Ellis Loew zdąży to zatuszować. Nie mów im o Łomie, wspomnij tylko o NN, prywatnych filmach porno i spakuj manatki, bo dziś wieczorem wybierzemy się do San Diego i Tijuany.

- Russ, wiesz, że to nikły trop - powiedziałem.

- Ale najlepszy, jaki mamy, od czasu gdy ty i Blanchard daliście sobie nawzajem wycisk i zostaliście partnerami. Rusz się, bystrzaku. Dziś na komendzie odbędzie się specjalny pokaz filmowy; wstęp tylko dla zaproszonych gości.

*

W sali odpraw ustawiono projektor i ekran, zaproszeni goście czekali już na rozpoczęcie specjalnego pokazu filmowego, a Lee, Ellis Loew, Jack Tierney, Thad Green i szef policji L.B. Horrall zajęli miejsca przed ekranem. Millard podał pudełko z taśmą operatorowi projektora, mamrocząc pod nosem: - A gdzie popcorn?

Szef podszedł do mnie i energicznie uściskał moją dłoń.

- Witam - powiedziałem. - Bardzo mi miło.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Lód, pragnę podziękować w imieniu żony za podwyżkę, którą nam zapewniłeś, wspólnie z Ogniem. - Wskazał mi puste krzesło obok

Lee. - Światła! Kamera! Akcja!

Usiadłem obok mego partnera. Lee wyglądał na przygnębionego, ale nie był naćpany. Na podółku miał rozłożony egzemplarz *Daily News*. Zauważyłem nagłówek: „Organizator napadu na bank Boulevard-Citizens po ośmiu latach odsiadki wychodzi na wolność”. Lee przyjrzał mi się z uwagą i zapytał: - Masz coś konkretnego?

Już miałem odpowiedzieć, gdy w sali zgasły światła. Na ekranie pojawił się rozmyty obraz i kłęb papierosowego dymu. Pojawił się też, na mgnienie oka, tytuł: „Niewolnice z piekła rodem”, później zaś w ziarnistej czerni i bieli naszym oczom ukazał się wielki pokój, o wysokim sklepieniu, z egipskimi hieroglifami na ścianach. W całym pomieszczeniu rozstawione były kolumny w kształcie splecionych węży, a kamera zrobiła zbliżenie na dwa splecione ze sobą węże połykające wzajemnie swoje ogony. Potem w miejsce węży pojawiła się Betty Short, ubrana tylko w pończochy i wykonująca, skądinąd dość nieudolnie, z założenia zmysłowy taniec brzucha.

Poczułem dziwny ucisk w kroczu; usłyszałem, jak Lee westchnął gwałtownie. Na ekranie pojawiła się ręka, podając Betty długi, cylindryczny przedmiot. Wzięła go; kamera zrobiła zbliżenie. Był to sztuczny członek, jego trzon pokrywały łuski, z wielkiej, obszernej główki sterczały sztuczne kły. Betty włożyła go do ust i zaczęła ssać, oczy miała otwarte szeroko i szkliste.

Nastąpiło gwałtowne cięcie i na ekranie pojawiła się Lorna; leżała naga na otomanie, z szeroko rozłożonymi nogami. W kadrze znalazła się także Betty. Uklękła pomiędzy nogami Lorny, włożyła sztuczny członek w jej pochwę i z jego pomocą zaczęła symulować stosunek płciowy. Lorna wiła się i poruszała mocno biodrami, obraz stał się nieostry i nagle znów nastąpiła zmiana ujęcia. Zobaczywszy zbliżenie twarzy wijącej się Lorny, udającej narastającą ekstazę, nawet dwulatek potrafiłby stwierdzić, że robiła wszystko, co w jej mocy, aby nie zacząć wyc z bólu; musiała okropnie cierpieć.

Na ekranie znów pojawiła się Betty, klęcząc między udami Lorny. Spojrzała w kamerę, a jej usta poruszyły się bezgłośnie, jakby chciała powiedzieć: „Proszę, nie”. Zaraz potem siłą zmuszono ją, aby pochyliła głowę i zaczęła pracować językiem tuż obok sztucznego penisa - ujęcie było tak wyraźne, że wszystko, nawet najobrzydliwsze szczegóły wydawały się być powiększone milion razy.

Chciałem zamknąć oczy, ale nie mogłem. Siedzący obok mnie Horall powiedział ze spokojem: - I co o tym sądzisz, Russ? Uważasz, że może to mieć coś wspólnego z zabójstwem tej dziewczyny?

Millard odparł ochryple: - To strzał w ciemno, szefie. Film nakręcono w listopadzie, a

z tego, co powiedziała Martilkova, nie wydaje się, aby ten Meksykanin mógł być zabójcą. Niemniej jednak trzeba to sprawdzić. Może Meks pokazał komuś ten film i ten ktoś napalił się na Betty. Wydaje mi się...

Lee kopnięciem przewrócił krzesło i zawołał: - Kogo, kurwa, obchodzi, że ten gnój jej nie zabił! Za mniejsze przewinienia wysyłano za kratki prawdziwych harcerzyków! Jeżeli żaden z was nic z tym nie zrobi, przysięgam, że sam się tym zajmę!

Wszyscy siedzieli w bezruchu, wstrząśnięci tym nagłym wybuchem. Lee stanął przed ekranem, mrużąc powieki, bo oślepiało go światło projektora. W pewnej chwili odwrócił się i zamachnął z całej siły. Ekran, na którym widać było kolejne sekwencje obscenicznego filmu, oraz trójnóg runęły z głuchym trzaskiem na podłogę.

Betty i Lorna wciąż kontynuowały wyuzdane, seksualne karesy, lecz już tylko na czarnej powierzchni tablicy. Lee wybiegł z sali. Usłyszałem, że przebiegając tuż obok, zrzucił projektor z podwyższenia, z tyłu, za mną. Millard zawołał: - Za nim, Bleichert! Zatrzymaj go!

Wstałem, potknąłem się, znów się poderwałem i wybiegłem z sali odpraw, by ujrzyć Lee wsiadającego do windy na końcu korytarza. Kiedy drzwi zamknęły się za nim i winda ruszyła na dół, pogałem w stronę schodów, pokonując pięć pięter i wybiegając na parking w chwili, gdy Lee z piskiem opon wyjeżdżał właśnie na Broadway, kierując się na północ. Na parkingu stało kilkanaście nieoznakowanych wozów służbowych. Potruchtałem do najbliższego z nich i zerknąłem pod fotel kierowcy. Leżały tam kluczyki. Uruchomiłem wóz i ruszyłem na pełnym gazie.

Prułem jak szatan i bardzo szybko zmniejszyłem dystans dzielący mnie od forda Lee, który zjechał właśnie na środkowy pas Sunset; kierował się teraz na zachód. Nacisnąłem trzy razy klakson, w odpowiedzi dał mi klaksonem sygnał, który w policyjnym żargonie oznaczał: funkcjonariusz prowadzi pościg.auta zjeżdżały mu z drogi - nie mogłem zrobić nic, jak tylko też naciskać klakson i trzymać się możliwie jak najbliżej uciekiniera, aby nie stracić go z oczu.

Wyjechaliśmy z centrum, przemknęliśmy przez Hollywood; zostawiając z tyłu przełęcz Cahuenga. Zjeżdżając na Ventura Boulevard, zaniepokoiłem się trochę; wiedziałem bowiem, że właśnie tu, niedaleko, na długości całej przecznicy mieściły się bary dla lesbijek. Kiedy Lee zatrzymał tam forda pośrodku, przewalczyłem w sobie falę paniki i pomyślałem: „On nie może wiedzieć o mojej bogatej dziewczynie, nie ma mowy, najwyraźniej ten lesbijski film musiał namieszać mi w głowie...” Wreszcie Lee wysiadł i wszedł do La Verne's Hideaway. Ogarnięty coraz silniejszą paniką dałem po hamulcach i niemal wjechałem moim autem na chodnik. Myśli o Madeleine i potencjalnym oskarżeniu o zatajanie istotnych dla

sprawy informacji skłoniły mnie, abym wszedł do knajpki w ślad za moim partnerem.

Lee stał naprzeciw stolików i łóż zajętych przez lesbijki, zarówno te bardziej męskie jak i te bardziej kobiece, klnąc na czym świat stoi. Rozejrzałem się gwałtownie dookoła w poszukiwaniu Madeleine i barmanki, którą wziąłem ongiś na spytki. Kiedy ich nie dostrzegłem, podszedłem bliżej, aby uspokoić mego partnera.

- Słuchajcie no, lesby zasrane - wołał - widziałyście może film zatytułowany „Niewolnice z piekła rodem”? Kupujecie pornosy od grubego Meksa pod czterdziestkę? Gadajcie, bo jak nie...

Schwyciłem Lee z tyłu, założyłem mu półnelsona i obróciłem go ku drzwiom. Ramiona miał unieruchomione, plecy wygięte w łuk, ale udało mi się wykorzystać jego ciężar ciała przeciwko niemu. Wyszliśmy chwiejnym krokiem na zewnątrz i potknęliśmy się, by spleceni w mocnym uścisku walnąć ciężko na chodnik. Nie zwolniłem uścisku, unieruchomiłem Lee z całej siły i nagle usłyszałem jęk syreny. Równocześnie zdałem sobie sprawę, że Lee nie stawiał oporu - po prostu leżał na chodniku, mamrocząc pod nosem: - Partnerze.

Jęk syreny przybrał na sile i nagle ucichł; usłyszałem trzask zamykanych drzwiczek aut. Puściłem Lee i pomogłem mu wstać; był miękki jak szmaciana lalka. A Ellis Loew już tu był.

W oczach Loewa dostrzegłem żądzę mordy. Zdałem sobie sprawę, że wybuch Lee miał jakiś związek z jego osobliwą wstrzemięźliwością seksualną, tygodniami śmierci, prochów i oglądanym przez nas amatorskim pornosem. Objąłem mego partnera ramieniem: - Panie Loew, to wina tego cholernego filmu. Lee pomyślał, że tutejsze lesby mogą naprowadzić nas na trop tego Meksykanina...

Loew zasyczał: - Zamknij się, Bleichert. - Po czym wyładował swój tłumiony, jedwabisty gniew na Lee: - Blanchard, pracujesz w egzekucyjnym. Jesteś moim pracownikiem, a ty zrobiłeś ze mnie durnia w obliczu dwóch najpotężniejszych ludzi z wydziału. To nie lesbijskie zabójstwo, dziewczyny były naćpane i nie cierpiały tego, co robiły. Udało mi się załagodzić całą sprawę, jeżeli chodzi o Horralla i Greena, ale nie wiem, czy pomoże ci to jakoś na dłuższą metę. Gdybyś nie był Ogniem, Wielkim Lee Blanchardem, zostałbyś z miejsca zawieszony w obowiązkach. Zaangażowałeś się osobiście w sprawę Short, a to przejaw braku profesjonalizmu. Nie zamierzam tego tolerować. Jutro z samego rana wracasz do swoich obowiązków w egzekucyjnym. Zgłoś się do mnie o ósmej, z oficjalnymi przeprosinami na piśmie dla szefa Horralla i szefa Greena. Jeżeli zależy ci na twojej pensji, radzę, abyś się porządnie ukorzył.

Lee, wiotki i chwiejący się na nogach, powiedział: - Chciałbym pojechać do Tijuany, aby poszukać tego filmowca od pornosów z nieletnimi.

Loew pokręcił głową: - W tych okolicznościach twoja prośba wydaje się cokolwiek absurdalna. Do Tijuany pojedą Vogel i Koenig, ty wracasz do egzekucyjnego, a ty, Bleichert, pozostajesz przy sprawie Short. Życzę wam miłego dnia, panowie.

Loew wściekły jak osa wrócił do radiowozu; kierowca, funkcjonariusz z patrolu, zakręcił, aby włączyć się do ruchu. Lee rzekł: - Muszę pomówić z Kay.

Pokiwałem głową, radiowóz z biura szeryfa przejechał tuż obok, gliniarz siedzący na fotelu pasażera słał całusy lesbijkom stojącym w drzwiach knajpy. Lee pomaszerował w stronę swego auta, mruczając pod nosem: - Laurie, Laurie, och, ty maleńka.

13.

Zjawiłem się w biurze nazajutrz o ósmej rano, pragnąc złagodzić nieco Lee gehennę związaną z powrotem do egzekucyjnego i wziąć po części na siebie nawałę obowiązków, które bez wątpienia przydzielili mu Ellis Loew. Na naszych biurkach leżały notatki następującej treści: „Jutro, 22.01.47, o 18.00 w moim gabinecie”.

Odręcznie napisane słowa miały w sobie coś złowieszczonego.

Lee nie zjawił się o ósmej. Przesiedziałem następną godzinę przy moim biurku, wyobrażając go sobie przejętego zwolnieniem Bobby'ego De Witta, nękanego przez prywatne upiory, a to, co mogło uchronić go przed koszmarami, skończyło się z chwilą zdjęcia go ze sprawy Dalii. Zza przepierzenia, gdzie mieścił się gabinet prokuratora, usłyszałem jak Loew płaszczy się i sroży, rozmawiając przez telefon z naczelnymi *Mirror* i *Daily News*, republikańskich szmatławców, które jak głosiły plotki, sympatyzowały z jego aspiracjami politycznymi. Z jego zapewnień wynikało, że zamierzał pomóc tamtym przebić pod względem popularności *Timesa* i *Heralda*, a to za sprawą poufnych informacji na temat Dalii, które będzie im przekazywał, w miarę rozwoju śledztwa, o ile tylko zechcą na swoich łamach ukazać Betty Short jako miłą, choć trochę zagubioną dziewczynę. Sądząc po dość ciepłym pożegnaniu, mogłem się domyślać, że obaj naczelni przystali na ten układ, zważywszy, że Loew zakończył swój wywód słowami: - Im więcej sympatii względem tej dziewczyny zdołamy wzbudzić, tym większe będzie zainteresowanie społeczeństwa, gdy postawimy jej zabójcę przed sądem.

Kiedy Lee nie pokazał się do dziesiątej, udałem się do sali odpraw i przejrzałem coraz

bardziej opasłe akta sprawy E. Short, aby upewnić się, że nie pojawiło się w nich nazwisko Madeleine. Dwie godziny i dwieście stron później okazało się, że wśród setek przesłuchanych osób i tych, których wskazali anonimowi informatorzy, nie było jej nazwiska. Wzmianki o lesbijkach pochodziły z mało wiarygodnych źródeł, od ziejących jadłem oszołomów, którzy dzwoniąc na policję, pragnęli raz na zawsze rozprawić się z „lesbijskimi zakonnicami, które złożyły tę dziewczynę w ofierze dla papieża Piusa XII”, albo „lesbami odprawiającymi komunistyczne, antychrześcijańskie rytuały”.

Dochodziło południe, a Lee wciąż nie było. Zadzwoiłem do domu, na posterunek University i do hotelu El Nido - bez powodzenia. Udając mocno zajętego, aby nikt nie przydzielił mi nowych obowiązków, zacząłem czytać raporty rozwieszane na korkowej tablicy.

Russ Millard umieścił tam najnowsze doniesienia, zanim ubiegłego wieczoru udał się do San Diego i Tijuany. On i Harry Sears mieli sprawdzić archiwa policyjne i obyczajówki w poszukiwaniu przestępców skazanych prawomocnymi wyrokami i podejrzanych o zajmowanie się pornografią, a także domu, gdzie nakręcono oglądany ostatnio przez nas amatorski filmik. Vogelowi i Koenigowi nie udało się zlokalizować w Gardenie Meksykanina, o którym mówiła Lorna Martilkova, i także wybrali się do Tijuany, aby pomóc w tamtejszych działaniach operacyjnych. Wczoraj, w obecności koronera odbyła się identyfikacja zwłok, dokonana przez matkę ofiary. Marjorie Graham i Sheryl Saddon złożyły zeznania w sprawie pobytu i zachowania Betty w Hollywood, a „Rudy” Manley opowiedział, jak zabrał Betty z Dago i dziesiątego stycznia zostawił ją przed hotelem Biltmore. Szeroko zakrojone przesłuchania w tym rejonie nie zaowocowały nowymi, obiecującymi doniesieniami, w dalszym ciągu sprawdzano alibi znanych policji przestępców seksualnych, sadystów i zбочeńców; czterech szajbusów, którzy przyznali się do popełnienia tej zbrodni, wciąż przebywało zamkniętych w areszcie na komendzie głównej. Cyrk trwał w najlepsze, odnotowywano kolejne mgliste, nie potwierdzone doniesienia i w efekcie policjanci mieli przesłuchiwać osoby, które znały osoby, znające słynną Dalię. To było jak szukanie igły w stogu siana. Funkcjonariusze pracujący za biurkami zaczęli patrzeć na mnie wilkiem, toteż czym prędzej wróciłem do mego kantorka. Nagle przysłała mi do głowy Madeleine. Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do niej.

Odebrała po trzecim sygnale. - Rezydencja Sprague'ów.

- To ja. Może się spotkamy?

- Kiedy?

- Teraz. Przyjadę po ciebie za czterdzieści pięć minut.

- Nie przyjeżdżaj tu, tatko ma biznesowe spotkanie. Może umówimy się w Red Arrow?

Westchnąłem. - Wiesz, ja mam własne mieszkanie.

- Rznę się tylko w motelach. To jedna z moich zasad. Taka tam mania bogatej dziewczyny. W pokoju jedenaście, w Arrow, za czterdzieści pięć minut?

- Będę tam - odparłem i odłożyłem słuchawkę.

Ellis Loew postukał w przepierzenie: - Do roboty, Bleichert. Obijałeś się przez cały rano i to zaczyna działać mi na nerwy. A kiedy zobaczysz się ze swoim widmowym partnerem, przekaż mu, że dzisiejsza absencja będzie go kosztować tygodniowe pobory. A teraz ruszaj do samochodu, sprawdź, czy radio działa, i jazda, do roboty.

*

Pojechałem prosto do motelu. Packard Madeleine stał zaparkowany w alejce za domkami; drzwi do pokoju jedenaście były otwarte. Wszedłem do środka, poczułem aromat jej perfum i spróbowałem przeniknąć wzrokiem ciemność, ale reakcją na moje wysiłki był tylko dochodzący skądś cichy chichot. Kiedy zacząłem się rozbierać, moje oczy przywykły wreszcie do braku światła; zobaczyłem Madeleine, kompletnie naga, rozciągniętą na łóżku, wśród postrzępionej pościeli.

Zaczęliśmy to robić w takim pośpiechu i tak gwałtownie, że aż sprężyny łóżka zadudniły o podłogę. Madeleine, całując całe moje ciało, od ust poprzez tors aż do krocza, sprawiła, że mi stanął, a wówczas położyła się na wznak. Wszedłem w nią, myśląc o Betty i węzowej imitacji penisa, po czym odegnałem od siebie te wspomnienia, koncentrując się na czerwonej tapecie, którą miałem przed oczami. Chciałem trochę zwolnić, ale Madeleine wyszeptwała: - Nie zmieniaj tempa, jestem gotowa. - Naparłem z całej siły, wbijając się w nią brutalnie i chwytając się oburącz wezgłowia łóżka. Madeleine oplótła mnie nogami w pasie, także schwyciła się wezgłowia i wila się jak wąż, odpychając i przyciągając mnie do siebie. Doszliśmy oboje, zaledwie parę sekund jedno po drugim, tworząc przeciągający się, zmysłowy kontrast. Kiedy uderzyłem głową o poduszkę, przygryzłem ją, by uspokoić dreszcze miotające moim ciałem.

Madeleine wyslizgnęła się spode mnie. - Wszystko w porządku, kotku?

Znów zobaczyłem to węzowate cudo. Madeleine zaczęła mnie łaskotać; odwróciłem się i spojrzałem na nią, pragnąc, by ta wizja przysła. - Uśmiechnij się do mnie. Chcę cię zobaczyć miłą, łagodną i delikatną.

Uśmiechnęła się do mnie jak Pollyanna. Jej rozmazana szminka skojarzyła mi się z makabrycznym uśmiechem na rozplątanych ustach Dalii; zamknąłem oczy i mocno ją

objąłem. Pogładziła mnie delikatnie po plecach, szepcząc: - Co się stało, Bucky?

Spojrzałem na zaslonę przy oknie. - Zgarnęliśmy wczoraj Lindę Martin. Miała w torebce kopię filmu porno, w którym ona i Betty Short grały role lesbijek. Film nakręcono w Tijuanie i był naprawdę okropny. Wstrząsnął mną do głębi, ale jeszcze bardziej poruszony był mój partner. Naprawdę ciężko to zniósł.

Madeleine przestała mnie pieścić. - Czy Linda wspomniała o mnie?

- Nie, a ja dla pewności przejrzałem całe akta. Nie natrafiłem na wzmiankę o pozostawianych przez ciebie liścikach z numerem telefonu. Ale w celi razem z nią siedzi jedna z naszych policjantek i jeśli Linda zacznie sypać, to jesteś załatwiona na amen.

- Nie martw się, kotku. Linda prawdopodobnie nawet mnie nie pamięta.

Zmieniłem nieznacznie pozycję, aby móc przyjrzeć się uważniej Madeleine. Jej usta umazane szminką wyglądały jak okrwawione; otarłem je poduszką. - Zrozum, maleńka, przez wzgląd na ciebie zatajam istotne dla sprawy informacje. To uczciwa wymiana za to, co dostaję w zamian, ale i tak boję się tego jak jasna cholera. Musisz mieć pewność, że wyjdiesz z tego kompletnie czysta. Zapytam tylko raz. Czy jest coś, co dotyczy ciebie, Betty i Lindy, o czym mi dotąd nie mówiłaś?

Madeleine przesunęła palcami w dół mego mostka, dotykając śladów po ostatniej walce z Blanchardem. - No cóż, kotku, Betty i ja raz się kochałyśmy, tamtego razu, latem ubiegłego roku, kiedy się poznałyśmy. Zrobiłam to, aby się przekonać, jak to jest, gdy robi się to z dziewczyną, która jest tak bardzo podobna do mnie.

Poczułem się, jakbym tonął, jakby niewidzialne dłonie wyrwały spode mnie łóżko. Madeleine sprawiała wrażenie, jakby znajdowała się na końcu długiego tunelu, to wszystko wyglądało niczym osobliwa filmowa sztuczka.

Powiedziała: - To już wszystko, Bucky, przysięgam, że to już wszystko.

Jej falujący głos dochodził z głębi nicości. Wstałem, ubrałem się i dopiero gdy przypiąłem do paska rewolwer i kajdanki, przestałem czuć się, jakbym stąpał po lotnych piaskach.

- Proszę cię, kotku, zostań - rzuciła błagalnie Madeleine, a ja wyszedłem z pokoju, nim zdążyłem ulec jej prośbom.

Wszedłem do wozu, włączyłem radio i wsłuchałem się w hałaśliwy szum, w nadziei, że pozwoli mi on trochę się po tym wszystkim otrząsnąć. Potrzebowałem czegoś, czym mógłbym się zająć. Dyspozytor warknął: - Kod cztery, wszystkie jednostki mają zgłosić się na róg Creshaw i Stocker. Potrzeba oczyścić teren przy miejscu włamania, dwóch zabitych, podejrzany nie żyje; jednostka 4-A-82 donosi, że podejrzanym jest Raymond Douglas Nash,

mężczyzna rasy białej, poszukiwany listem gończym numer...

Szarpnąłem przewód radia, uruchomiłem silnik auta, włączyłem syrenę i wcisnąłem gaz do deski. Miałem wrażenie, że zrobiłem to wszystko równocześnie. W mojej głowie wciąż pobrzmiwały uspokajające słowa Lee, zapewniającego, że taki śmieć jak Junior Nash nie jest przecież lepszy niż martwa dziewczyna. Mknąc na pełnym gazie do śródmieścia, uświadomiłem sobie, że chcąc nie chcąc, zacząłem ścigać fantomy jak mój partner, choć przecież wiedziałem, że prawdziwym mordercą, Czarnym Ludem z krwi i kości, był właśnie Junior Nash. Zatrzymując wóz na parkingu przy komendzie, widziałem Lee namawiającego mnie prośbą, groźbą i perswazją, abym tańczył tak, jak on mi zagra; gdy wbiegałem na górę po schodach, zrobiło mi się czerwono przed oczami.

Wpadłem na wydział, wrzeszcząc na całe gardło: - Blanchard!

Dick Cavanaugh, który wyszedł z sali odpraw, wskazał w stronę toalety. Kopniakiem otworzyłem drzwi na oścież. Lee stał przy umywalce i mył ręce. Uniósł dłonie w górę, aby mi je pokazać; z pokiereszowanych kłykci sączyła się krew. - Rozwaliłem je, waląc z całej siły w ścianę. To pokuta za Nasha.

Ale to nie wystarczyło. Pozwoliłem, by szkarłatny opar owładnął mną bez reszty i nie szczędząc pięści, zacząłem okładać nimi mego najlepszego przyjaciela, aż moje dłonie także pokryły się ranami i zaczęły ociekać krwią, a on sam padł nieprzytomny u moich stóp.

14.

Pierwsza przegrana z Blanchardem uczyniła ze mnie lokalną sławę, zapewniła mi posadę w egzekucyjnym i blisko dziewięć tysięcy w gotówce; wygrana w rewanżu kosztowała mnie zwichnięcie nadgarstka, dwa wybite palce i dzień w łóżku, w którym przeleżałem otepiały wskutek reakcji alergicznej na pigułki kodeiny otrzymanej od kapitana Jacka, gdy ten dowiedział się o walce i zobaczył, jak w moim kantorku próbuję okleić sobie plastrem uszkodzoną dłoń.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka wynikła z mego „zwycięstwa”, było dwudziestoczterogodzinne uwolnienie się od Elizabeth Short; najgorsze wciąż miałem przed sobą - spotkanie z Lee i Kay i próba ocalenia całej naszej trójki, tak bym nie stracił przy tym jaj.

Pojechałem tam we środę po południu, w dzień kiedy Lee miał na dobre rzucić sprawę Dalii i kiedy mijał równo tydzień od znalezienia ciała słynnej już denatki. Na osiemnastą

miałem wyznaczone spotkanie z Thadem Greenem i jeśli do tego czasu zdążyłbym jeszcze uporać się z problemami związanymi z Lee, musiałem przynajmniej spróbować.

Drzwi frontowe były otwarte; na stoliku do kawy leżał egzemplarz *Heralda*, otwarty na stronach drugiej i trzeciej. Widniała na nich cała brudna prawda o moim pochrzanionym życiu - Dalii, posępnym Bobbym De Wittie wracającym do domu i Juniorze Nashu, który został zastrzelony przez będącego po służbie funkcjonariusza z biura szeryfa, tuż po tym, jak dokonał napadu na mały sklepik z owocami, zabijając jego właściciela, Japończyka, z czternastoletnim synem.

- Jesteśmy sławni, Dwight.

Kay stała w korytarzu. Zaśmiałem się; czułem tępe pulsowanie w uszkodzonych kłykciach. - Raczej popularni. Gdzie Lee?

- Nie wiem. Wyjechał wczoraj po południu.

- Wiesz, że ma kłopoty, prawda?

- Wiem, że go pobiliś.

Podszedłem do niej. Oddech Kay cuchnął papierosami, twarz miała czerwoną od płaczu. Przytuliłem ją, odwzajemniła uścisk i rzekła: - Nie mam ci tego za złe.

Zacząłem gładzić ją po włosach. - De Witt jest już w LA. Jeżeli Lee nie wróci do wieczora, przyjadę i zostanę z tobą.

Kay odsunęła się ode mnie. - Nie przyjeżdżaj, chyba że chcesz się ze mną przespać.

- Nie mogę, Kay - odparłem.

- Dlaczego? Z powodu tej dziewczyny z sąsiedztwa, z którą się widujesz?

Przypomniałem sobie kłamstwo, które wcisnąłem Lee. - Tak... nie, nie w tym rzecz. Tyle tylko, że...

- Tyle tylko, że co, Dwight?

Objąłem Kay, aby nie mogła spojrzeć mi w oczy, i zrozumiałem, że to, co zamierzałem powiedzieć, było po części dziecinnie naiwne, po części zaś było kłamstwem. - Chodzi o to, że ty i Lee jesteście moją rodziną, Lee to mój partner i dopóki nie uporamy się z kłopotami, w jakie wdepnął, i nie przekonamy się, czy wciąż jeszcze jesteśmy partnerami, ty i ja nie możemy pozwolić sobie na nic więcej. Ta dziewczyna, z którą się spotykam, nic dla mnie nie znaczy.

Kay powiedziała: - Boisz się wszystkiego, co nie dotyczy walk, policji, broni i w ogóle... - Po czym wzmocniła uścisk.

Nie próbowałem się wyrwać, wiedziałem, że doskonale to ujęła. Wreszcie uwolniłem się z jej uścisku i przy wtórze w głowie tego „i w ogóle” pojechałem na komendę.

*

Zegar w poczekalni przy gabinecie Thada Greena wskazywał 18.00, a Lee wciąż nie było; o 18.01, sekretarz Greena otworzył drzwi do jego gabinetu i wpuścił mnie do środka. Szef detektywów uniósł wzrok znad biurka.

- Gdzie Blanchard? Właściwie to z nim chciałem się dziś widzieć.

- Nie wiem, sir - odpowiedziałem i przyjąłem postawę zasadniczą.

Green wskazał mi krzesło. Usiadłem, szef zmierzył mnie świdrującym spojrzeniem. - Masz niespełna pięćdziesiąt słów, aby wytłumaczyć zachowanie swego partnera w poniedziałkowy wieczór. Zaczynaj.

Powiedziałem: - Sir, młodsza siostra Lee została zamordowana, gdy miała zaledwie dziewięć lat, a sprawa Dalii stała się praktycznie jego obsesją. Bobby De Witt, facet, którego wsadził do pudła za napad na bank Boulevard-Citizens, wyszedł wczoraj z więzienia, a tydzień temu zabiliśmy tych czterech bandziorów. Ten film porno był kroplą, która przelała czarę. Lee stracił nad sobą panowanie i zrobił awanturę w knajpie dla lesbijek, ponieważ sądził, że zdoła dzięki nim dotrzeć do faceta, który nakręcił to „dziełko”.

Green przestał kiwać głową. - Mówisz jak papuga, próbująca usprawiedliwiać zachowanie swego klienta. Policjant, z chwilą gdy otrzymuje odznakę, musi umieć pohamować emocje, w przeciwnym razie prędzej czy później przyjdzie mu pożegnać się z pracą. Ale tak między nami, powiem, że jestem go w stanie zrozumieć. Zawieszam Blancharda do czasu wszczęcia przeciwko niemu postępowania dyscyplinarnego, ale nie pod zarzutem awantury, jaką urządził w poniedziałek wieczorem. Zawieszam go za notatkę, w której stwierdził, że Junior Nash opuścił teren objęty naszą jurysdykcją. Uważam, że sfałszował tę informację. A co wy o tym sądzicie, posterunkowy?

Poczułem, że zadrzały mi nogi. - Ja w to uwierzyłem, sir.

- Wobec tego nie jesteś tak bystry, jak sądziłem, przeglądając twoje wyniki z Akademii. Kiedy zobaczysz się z Blanchardem, powiedz mu, że ma zdać służbową broń i odznakę. Ty zostajesz przy śledztwie w sprawie Short i byłbym rad, gdybyś powstrzymał się od pojedynków na pięści w miejscu pracy. I tyle, posterunkowy.

Wstałem, zasalutowałem i z kamienną twarzą wyszedłem z gabinetu, sztywnym, żołnierskim krokiem, który utrzymałem, dopóki nie znalazłem się w korytarzu, przy sali odpraw. Sięgnąłem po stojący na biurku telefon, zadzwoniłem do Lee, na posterunek University i do hotelu El Nido - lecz bez powodzenia. I nagle wpadła mi do głowy mroczna myśl: wybrałem numer lokalnego wydziału zwolnień warunkowych. Oficer dyżurny rzucił do słuchawki: - Wydział zwolnień warunkowych hrabstwa Los Angeles, czym mogę służyć?

- Mówi funkcjonariusz Bleichert z policji. Potrzebuję informacji w sprawie jednego z więźniów zwolnionych niedawno warunkowo.

- Słucham, o kogo chodzi?

- O Roberta „Bobby’ego” De Witt. Wyszedł wczoraj z San Quentin.

- To akurat proste. Nie zgłosił się jeszcze do swego kuratora. Zadzwoniliśmy na dworzec autobusowy w Santa Rosa i dowiedzieliśmy się, że De Witt nie kupił biletu do LA, tylko do San Diego, z przesiadką do Tijuany. Ale nie wystosowaliśmy jeszcze listu gończego za De Wittem pod zarzutem pogwałcenia zasad zwolnienia warunkowego. Kurator twierdzi, że De Witt mógł wybrać się do Tijuany na panienki. Daje mu czas do jutra rana, aby się pokazał.

Odłożyłem słuchawkę i odetchnąłem z ulgą na wieść, że De Witt nie udał się prosto do LA. Zamierzając poszukać Lee, zjechałem windą na parking i zobaczyłem Russa Millarda i Harry’ego Searsa zmierzających w stronę tylnych schodów. Russ zauważył mnie i przywołał skinieniem palca; podszedłem do niego szybkim krokiem.

- I jak tam było w Tijuanie? - zapytałem.

Harry, ciężko dysząc, odparł: - W sprawie tego pornosa, nic, kompletne zero. Szukaliśmy tej chaty, ale bez powodzenia, próbowałem też wziąć na spytki paru znanych policji pedofilów i zbrojeńców. I też nic. Pogawędziliśmy sobie z kilkoma znajomymi tej Short z Dago - i znowu nic. Sam już...

Millard położył dłoń na ramieniu partnera: - Bucky, Blanchard jest w Tijuanie. Funkcjonariusz z patrolu granicznego, z którym rozmawialiśmy, twierdzi, że go widział, rozpoznał go, bo zawsze interesował się boksem. Podobno Blanchard kombinował coś tam z paroma podejrzanymi wyglądającymi rurales...

Pomyślałem o De Witcie jadącym do Tijuany i zacząłem zastanawiać się, po co Lee miałby rozmawiać z meksykańską policją stanową.

- Kiedy?

Sears rzekł: - Ubiegłej nocy. Loew, Vogel i Koenig też tam są, w hotelu Divisidero. Rozmawiali z glinami z Tijuany. Russ sądzi, że szukają kozła ofiarnego wśród Meksów, aby zrobić go w zabójstwo Dalii.

W moich myślach Lee ścigał pedofilskie demony; ujrzałem go okrwawionego u moich stóp i zadrzałem. Millard rzekł: - To wszystko o kant dupy potłuc, bo Meg Caulfield dowiedziała się wszystkiego o tym filmowcu za dychę od Lorny Martilkovej. To biały, nazywa się Walter „Duke” Wellington. Sprawdziliśmy jego akta w obyczajówce, gość ma na koncie pół tuzina wyroków za stręczycielstwo i pornografię. Wszystko ładnie, pięknie, tyle

tylko, że kapitan Jack otrzymał od Wellingtona list, nadany przed trzema godzinami. Facet się ukrywa, z uwagi na hałas, jaki zrobił się wokół sprawy z Betty Short i Lorną. Boi się, żebyśmy nie próbowali zrobić go w to zabójstwo, i przesłał szczegółowe alibi na cały okres zaginięcia Betty. Jack sprawdził je bardzo skrupulatnie, alibi jest nie do podważenia. Wellington przesłał kopię tego listu do redakcji *Heralda*, jutro mają go opublikować.

- A więc Lorna kłamała, aby go ochronić? - spytałem.

Sears skinął głową. - Na to wygląda. Wellington wciąż jest poszukiwany za stręczycielstwo, a kiedy Lorna zorientowała się, że Meg jest podstawiona, nabrała wody w usta. A teraz najciekawsze: zadzwoniliśmy do Loewa, aby mu powiedzieć, że ten Meks to lipa, ale nasi kumple rurales twierdzą, że Vogel i Koenig wciąż biorą na warsztat kolejnych Latynosów.

Cały ten cyrk zaczął zmieniać się w farsę. - Jeżeli list wydrukowany na łamach prasy skłoni ich do zaprzestania łowów na Meksykanów, zaczną szukać kozła ofiarnego na tym terenie. Powinniśmy przestać dzielić się z nimi informacjami. Lee został zawieszony, ale zrobił kopie wszystkich materiałów znajdujących się w aktach i zgromadził je w wynajętym pokoju hotelowym w Hollywood. Powinniśmy go zająć, wykorzystać, aby tam przechowywać nasze materiały.

Millard i Sears przytaknęli; to, co podali, naprawdę mną wstrząsnęło. Dlatego dodałem: - W wydziale zwolnień warunkowych powiedziano mi, że Bobby De Witt kupił bilet do Tijuany. Jeżeli Lee też tam jest, mogą być kłopoty.

Millard wzdrygnął się: - To mi się nie podoba. Ten De Witt to prawdziwy łajdak, drań jakich mało, może dowiedział się, że Lee właśnie tam się wybiera. Skontaktuję się z patrolem granicznym i powiem, żeby wystawili za nim list gończy. Jeżeli się tam pokaże, mają go natychmiast zatrzymać.

Nagle zdałem sobie sprawę, że teraz wszystko zależało już tylko ode mnie. - Jadę tam - powiedziałem.

15.

Przekroczyłem granicę o świcie. Tijuana dopiero budziła się do życia, gdy skręciłem na główną ulicę miasta - *Revolución*. Żebrzące dzieci grzebały w śmietnikach, w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, sprzedawcy *taco* mieszały w garnkach gulasz z psiego mięsa, marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej wyprowadzano z burdeli, gdzie kończyli swą

upojną noc za garść dolarów. Ci bardziej roztropni człapali od razu na Calle Colon, do aptekarzy sprzedających penicylinę, ci głębsi maszerowali w stronę East TJ, Blue Foxa i Chicago Club, bez wątpienia pragnąc zdążyć na poranny pokaz numerku z osłem. Auta turystów stały jeden za drugim, przy wejściach do tanich knajpek i podrzędnych lokali. Rurales w przedwojennych chevroletach krążyli jak sępy, a ubrani w czarne mundury wyglądali trochę jak esesmani.

Uświadomiłem sobie, że mój partner został zawieszony, miał przy sobie nielegalną broń i prawdopodobnie był tak spięty, że jedno mylne słowo ze strony zaczepionego gliny mogłoby skłonić go do popełnienia niewybaczalnego i, co gorsza, nieodwracalnego błędu. Z moich wypraw na południe w czasach licealnych zapamiętałem hotel Divisidero, toteż udałem się na obrzeża miasta, aby poszukać pomocy u Amerykanów.

Różowy monstrualny koszmarek w stylu Art Deco stał na skale, z której rozciągał się widok na slumsy pełne szałasów z blachy falistej. Przycisnąłem recepcjonistę; ten powiedział mi, że „ekipa Loewa” znajduje się w apartamencie 462. Odnalazłem go na tyłach budynku, na parterze, zza drzwi dobiegały gniewne głosy.

Fritzie Vogel krzyczał: - A ja mówię wam, że trzeba szukać Meksa! W liście do „*Heralda*” nie było słowa o pornosie, tylko o tym, że Wellington zobaczył się z Dalią i tą drugą dziewczyną w listopadzie! Dlatego dalej bym...

Ellis Loew odkrzyknął: - Nie możemy tego zrobić! Wellington przyznał się Tierneyowi, że nakręcił ten film! To nasz przełożony, wyżej niego nie podskoczymy!

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem Loewa, Vogela i Koeniga siedzących na krzesłach i trzymających w dłoniach zapewne jeszcze ciepłe egzemplarze *Heralda*. Cała ekipa zamilkła. Koenig spojrział na mnie tępym wzrokiem; Loew i Vogel powtórzyli jednocześnie: - Bleichert.

- Pieprzyć pieprzoną Dalię - rzuciłem. - Jest tu Lee, a także Bobby De Witt i zapowiada się niezła rozróżba. Powinniście...

Loew warknął: - Pieprzę Blancharda, on jest zawieszony.

Ruszyłem na niego, zaciskając dłonie w pięści. Koenig i Vogel zastąpili mi drogę, przebić się przez nich to tak jakby próbować rozbić ceglany mur. Prokurator wycofał się na drugi koniec pokoju, Koenig złapał mnie za ręce, a Vogel położył mi dłonie na piersi i wypchnął na korytarz. Loew łypał na mnie gniewnie od progu, a Fritzie połaskotał mnie pod brodą. - Mam słabość do wagi półciężkiej. Jeżeli obiecasz mi, że nie uderzysz Billy'ego, pomogę ci odnaleźć twego partnera.

Pokiwałem głową, a Koenig puścił mnie. - Weźmiemy mój wóz - powiedział Fritzie. -

Sądząc po tym, jak wyglądasz, nie jesteś w stanie prowadzić.

*

Fritzie kierował, ja rozglądałem się na prawo i lewo. Mój szofer bez przerwy trajkotał o sprawie Short i randze porucznika, jaką dzięki niej zyska. Ja obserwowałem żebraków osaczających turystów jak hieny, dziwki robiące chętnym loda na przednim fotelu auta i młodzików w odpicowanych garniturach, szukających okazji, aby napić się i porozrabiać. Po czterech godzinach bezowocnych poszukiwań na ulicach zrobiło się zbyt tłoczno, aby można było swobodnie manewrować, wysiedliśmy więc i poszliśmy dalej pieszo.

Teraz, gdy musieliśmy maszerować, było jeszcze gorzej. Mali żebracy przyskakiwali do nas ze wszystkich stron, szwargocząc jak nakręceny i podsuwając pod nos krzyżyki, którymi handlowali. Fritzie przepędzał ich brutalnie, nie szczędząc razów ani kopniaków, ale wynędzniałe, wychudzone od głodu twarzyczki tych dzieciaków ujęły mnie do żywego, wymieniałem więc piątki na peso i gdy zbliżała się do nas kolejna gromadka, ciskałem garść drobniaków do rynsztoka. Dzieciaki biły się bez pardonu o każdy grosz, drapiąc, kopiąc i gryząc, ale było to lepsze niż patrzeć w ich puste oczy i nie dostrzegać absolutnie niczego.

Po godzinie pieszego patrolu nie udało nam się odnaleźć Lee, jego forda rocznik '40 ani gringos przypominających Bobby'ego De Witta. Wtem mój wzrok przykuł gość w czarnej koszuli i oficerkach, stojący w progu jednego z domów. Zapytał: - Policia? - W odpowiedzi przytaknąłem i błysnąłem moją odznaką.

Gliniarz sięgnął do kieszeni i wyjął przesłaną teleksem kopię zdjęcia. Było zbyt zamazane, żeby można rozpoznać widniejącą na nim twarz, lecz podpis Robert „Bobby” De Witt był wyraźnie widoczny. Fritzie poklepał glinę po pagonach. - Gdzie, generale?

Meksykanin strzelił obcasami i warknął: - Estacio, Vamanos!

Ruszył pierwszy, prowadząc nas w uliczkę, przy której mieściły się kliniki leczenia chorób wenerycznych, po czym wskazał na budynek z żuźlowych bloków, otoczony siatką zabezpieczoną drutem kolczastym. Fritzie wręczył mu dolara; Meks zasalutował jak Mussolini i odszedł sztywnym krokiem. Ja ruszyłem w stronę posterunku, powstrzymując się, by nie zacząć biec.

Przy wejściu stało dwóch rurales z pistoletami maszynowymi. Pokazałem im odznakę, strzelili obcasami i wpuścili mnie do środka.

Fritzie dołączył do mnie w chwilę później i z banknotem dolarowym w dłoni podszedł od razu do stanowiska oficera dyżurnego.

Meks chciwie wyrwał mu z ręki banknot, a Fritzie rzekł: - Fugitivo? Americano? De Witt?

Oficer dyżurny uśmiechnął się, nacisnął przycisk obok swego fotela i krata w bocznej ścianie otwarła się z cichym szcękaniem. Fritzie mruknął: - Czego właściwie chcieliśmy się dowiedzieć od tej wrednej łajzy?

Odparłem: - Jest tu Lee i prawdopodobnie idzie tropem kręconych tu pornosów z udziałem nieletnich. De Witt przyjechał tu prosto z Quentin.

- Nie zameldowawszy się u swego kuratora?

- Otóż to.

- W dodatku ten De Witt ma do Blancharda uraz za to, że go zwinął po napadzie na bank Boulevard Citizens?

- Zgadza się.

- To mi wystarczy.

Przeszliśmy wzdłuż korytarza, po obu stronach którego znajdowały się cele. De Witt siedział na podłodze w ostatniej z nich. Rozległo się brzęczenie i drzwi się otworzyły. Deprawator Kay Lake wstał. Lata w pace nie były dla niego łaskawe; twardej z kanciastą szczęką, którego zdjęcia zdobyły pierwsze strony gazet w roku '39, wyglądał teraz na dość zużytego i steranego życiem; był mocno podtatusiały, nieogolony, a jego fryzura modna przed laty wydawała się równie przestarzała jak garnitur z Armii Zbawienia.

Fritzie i ja weszliśmy do celi. De Witt powitał nas buńczucznie, choć z lekką dozą pokory. - Gliny, co? Cóż, przynajmniej jesteście Amerykanami. Nie spodziewałem się, że ucieszy mnie wasz widok.

- Po co miałbyś zmieniać dawne przekonania? - mruknął Fritzie i przykopał mu w krocze. De Witt zgiął się wpół.

Fritzie schwycił go za pióra, a drugą ręką dzielił na odlew w twarz. De Witt zaczął się pieniść. Fritzie puścił go i wytarł brylantynę w rękaw marynarki tamtego. De Witt osunął się na podłogę, po czym podczołgał się do muszli sedesowej. Zwymiotował. Kiedy próbował podźwignąć się do pionu, Fritzie na powrót wetknął mu głowę do muszli i przytrzymał, wpijając mu w kark obcas swego wypastowanego na glans trzewika. Były złodziej i alfons nałykał się wody przemieszanej z moczem i wymiocinami.

Vogel rzekł: - Lee Blanchard zjawił się w Tijuanie i ty też tu jesteś, prosto po wyjściu za bramę San Quentin. To cholernie dziwny zbieg okoliczności i coś mi tu śmierdzi. To wszystko ani trochę mi się nie podoba. Nie podobasz mi się ty ani chora na syfilis dziwka, z której wypełzłeś, nie podoba mi się, że muszę przyjeżdżać do tego zasranego kraju, gdzie roi się od szczurów i robactwa, kiedy mógłbym spędzić miło czas w domu, z rodziną. Lubię zadawać ból bandziorem, więc lepiej odpowiedz szczerze na pytanie albo tak cię urządzę, że

popamiętasz.

Fritzie cofnął stopę; De Witt uniósł głowę, ciężko chwycił powietrze. Podniosłem z podłogi brudny podkoszulek i już miałem mu go podać, kiedy przypomniałem sobie blizny na udach Kay. Ta wizja sprawiła, że cisnąłem podkoszulkiem w De Witta, a potem przystawiłem sobie krzesło i sięgnąłem po kajdanki. Fritzie otarł twarz byłego więźnia, ja pchnąłem De Witta na krzesło i przypiąłem go kajdankami do listewek oparcia.

De Witt uniósł wzrok i spojrzał na nas; na nogawkach jego spodni pojawiły się ciemne plamy, gdy opróżnił pęcherz. Fritzie zapytał: - Wiedziałeś, że sierżant Blanchard jest w Tijuanie?

De Witt wykrztusił: - Nie.

Fritzie poprawił go: - Nie, proszę pana - i znów dał mu po twarzy. De Witt zwiesił głowę na piersi. Fritzie szturchnął go palcem wskazującym. - Nie? Co?

De Witt wychrypiał: - Nie, proszę pana!

Nawet pomimo nienawiści, jaką pałałem wobec niego, natychmiast zorientowałem się, że mówił prawdę. - Blanchard się ciebie boi - powiedziałem. - Dlaczego?

Wierząc się na krześle, tak że wypomadowana fryzura raz po raz spadała mu na czoło, De Witt wybuchnął śmiechem. To był szaleńczy śmiech, z rodzaju tego, który jest w stanie zabić ból, a potem go spotęgować. Fritzie zacisnął dłoń w pięść, aby uspokoić delikwenta, ale ja go powstrzymałem. - Zostaw go, Vogel.

Usłuchał. Obląkańczy rechot De Witta w końcu ucichł.

Nabierając głęboko powietrza, De Witt powiedział: - Święci pańscy, toż to śmiechu warte. Lee ani chybi boi się mnie za te odgrazania po procesie, ale tak naprawdę to były bujdy. Paka mnie odmieniła, niech skonam, jeśli kłamię. Wtedy może faktycznie myślałem o zemście i zwierzałem się kumplom spod celi, co zrobię, kiedy już wyjdę na wolność, ale kiedy w gazetach podali, że Wielki Lee rozwalił tych czarnuchów...

Vogel trzasnął De Witta prawym hakiem, przewracając go wraz z krzesłem na podłogę. Plując krwią i zębami, podstarzały bandzior jęczał i śmiał się równocześnie; Fritzie ukląkł przy nim i ścisnął mu tętnicę szyjną, odcinając łącznie dopływ krwi do mózgu. - Widzisz, Bobby, nie przepadam za sierżantem Blanchardem, ale to mój kolega po fachu i nie pozwolę, aby taki gnój jak ty kalał jego dobre imię. Za wycieczkę tutaj ryzykujesz oskarżeniem o złamanie zasad zwolnienia warunkowego, za co mogą odesłać cię z powrotem do San Quentin. Kiedy puszczę twoją szyję, powiesz mi, co tu robisz, albo znów tak cię ścisnę, że twoje szare komórki zaczną strzelać jak prażona kukurydza na patelni.

Fritzie rozluźnił uścisk. Twarz De Witta zmieniła kolor z sinego na purpurowy. Vogel

jedną ręką schwycił podejrzanego i krzesło i postawił w poprzedniej pozycji. Bandzior Bobby znów zaczął się śmiać, ale zaraz zakrztusił się krwią i przestał. Gdy patrzył na Fritziego, przywodził mi na myśl psa, który kocha swego okrutnego pana, bo ten jest jedynym, którego ma. Łamiącym się głosem zaskomlał: - Przyjechałem tu, żeby zgarnąć trochę towaru i przewieźć go do LA, nim zgłoszę się do kuratora. Facet, którego mi przydzielili, to mięczak, ciepłe kluchy, wystarczy mu powiedzieć: „Zrozum, stary, przez osiem lat w mamrze nie ciupciałem”, a gość nie podkablowałby cię za to, że nie zgłosiłeś się do niego w ustalonym terminie.

De Witt wziął głęboki oddech; Fritzie rzucił: - Jak kukurydza.

Mały psiak imieniem Bobby, skomlał, dokończył swoje zeznanie i to w przyspieszonym tempie: - Facet, z którym miałem się tu spotkać dziś w nocy nazywa się Felix. Byliśmy umówieni na spotkanie w motelu Calexico Gardens. Facet z LA jest bratem gościa, którego poznałem w San Quentin. Ale spotkałem się z nim i proszę, nie róbcie mi już więcej krzywdy.

Fritzie wydał przeciągły okrzyk radości i wybiegł z celi, by donieść o tym, czego się właśnie dowiedział; De Witt oblizywał zakrwawione wargi i spojrzał na mnie, swego nowego pana, teraz kiedy zabrakło Vogela. - Dokończ to, co zacząłeś mówić o tobie i Lee Blanchardzie - powiedziałem. - I tym razem bez hysterii.

De Witt odparł: - To, co mnie łączy z Lee Blanchardem, to fakt, że pieprzyłem tę dzirę, Kay Lake, proszę pana.

Pamiętam, że podszedłem do niego, i pamiętam, że schwyciłem go oburącz za szyję, zastanawiając się, jak mocno trzeba ścisnąć psa za gardło, aby oczy wyszły mu z orbit. Pamiętam, że jego twarz zmieniła kolor, i pamiętam głosy mówiące po hiszpańsku, a także wołanie Fritziego: - Jego historia się zgadza! - A potem pamiętam, że zostałem odepchnięty do tyłu i pomyślałem: A więc to takie uczucie, kiedy rąbniesz głową o żelazne kraty. Później zaś nie pamiętałem już nic.

*

Doszedłem do wniosku, że zostałem znokautowany w trzecim pojedynku Bleichert-Blanchard, zastanawiając się, jak mocno dołożyłem mojemu przeciwnikowi. - Lee? - wybełkotałem. - Lee? Nic ci nie jest? - a potem zobaczyłem dwóch tęgich gliniarzy w czarnych koszulach, z odznakami jak wyciętymi z kawałka blachy.

Fritzie Vogel górował nad nimi, mówiąc: - Puściłem Bobby'ego, aby mógł nas doprowadzić do swego kumpla. Kazałem go śledzić. Ale on dał nogę, kiedy ty smacznie sobie spałeś, i nawet nie wiedział, że popełnia największy błąd w swoim życiu.

Ktoś piekielnie silny podniósł mnie z podłogi; otrząsając się z odrętwienia pojąłem, że tym kimś mógłby być tylko Wielki Bill Koenig. Otępiały, na uginających się nogach, pozwoliłem, by Fritzie i Bill pomogli mi zająć miejsce na tylnym siedzeniu. Kierowca włączył najgłośniejszą syrenę, jaką kiedykolwiek słyszałem, a potem ruszył na pełnym gazie.

Wyjechaliśmy z miasta i ruszyliśmy na zachód, by zatrzymać się na zwirowym parkingu w kształcie podkowy przed jednym z moteli. Gliny z Tijuany w mundurach khaki i bryczesach trzymali straż przed jednym z domków, uzbrojeni w strzelby śrutowe. Fritzie mrugnął i zaoferował mi ramię, abym mógł się na nim wesprzeć. Podziękowałem i wyszedłem z auta o własnych siłach. Fritzie ruszył przodem; gliniarze zsalutowali nam trzymanymi w dłoniach strzelbami, po czym otworzyli przed nami drzwi.

Pokój wyglądał jak cuchnąca kordytem rzeźnia. Bobby De Witt i Meksykanin leżeli na podłodze, ich ciała były podziurawione kulami jak sito. Jedną ze ścian niemal w całości pokrywały strugi rozbryźniętej krwi i strzępy mózgu; na szyi De Witta wciąż jeszcze było widać sińce po tym, jak próbowałem go udusić. Moją pierwszą świadomą myślą było, że zrobiłem to w momencie kompletnego zaćmienia umysłu, w przypiływie niepoahowanej żądzy zemsty, aby chronić jedyne dwie osoby, które naprawdę kochałem. Fritzie chyba musiał czytać w moich myślach, bo zaśmiał się i rzekł: - To nie twoja robota, chłopcze. Ten Meks to Felix Chasco, znany handlarz narkotyków. Może to robota innego handlarza, może to był Lee albo, kto wie, może dosięgła ich boża sprawiedliwość. Powiedziałbym, że nasi meksykańscy koledzy potrafią całkiem nieźle sami radzić sobie z własnymi brudami, więc nie zwlekajmy, wracajmy do LA i dorwijmy tego skurwiela, który zamordował Dalię.

16.

Śmierci Bobby'ego De Witta poświęcono pół kolumny na łamach *LA Mirror*, ja zarobiłem wolny dzień od wyjątkowo spolegliwego Ellisa Loewa, a zniknięciem Lee zajęła się ekipa śledczych z wydziału miejskiego, pracując nad tą sprawą 24 godziny na dobę.

Większość wolnego dnia spędziłem w biurze kapitana Jacka, przesłuchiwany przez jego ludzi. Zadawali mi setki pytań na temat Lee - począwszy od przyczyn jego wybuchu podczas projekcji amatorskiego pornosa i wizyty w La Verne's Hideaway, po jego obsesję na punkcie sprawy Short, notatkę dotyczącą Juniora Nasha i jego układy z Kay. Mieszałem fakty z fikcją, pomijałem pewne szczegóły, nie pisałem ani słowa o nadużywaniu przez Lee benzedryny, pokoju w hotelu El Nido, gdzie przeniósł całe swoje archiwum, ani o tym, że

zachowywał wobec Kay absolutną wstrzemięźliwość seksualną. Gliny z miejskiego raz po raz pytali mnie, czy sądzę, że to Lee zabił Bobby'ego De Witta i Felixa Chasco. Ja uparcie odpowiadałem, że mój partner nie był zdolny do popełnienia morderstwa. Zapytany o możliwą przyczynę zachowania partnera, opowiedziałem im, jak pobitem Lee za Juniora Nasha, dodając, że Blanchard był eksbokserem, a może już niedługo także ekspliną, za starym, aby prowadzić zwykłe, monotonne życie, Meksyk zaś wydawał się być odpowiednim miejscem dla ludzi jego pokroju. Gdy przesłuchanie dobiegło końca, zdałem sobie sprawę, że śledczym ani trochę nie zależało na zapewnieniu Lee bezpieczeństwa - szykowali się natomiast do dyscyplinarnego wydalenia go z policji. Raz po raz upominali mnie, abym nie mieszał się w ich dochodzenie, i za każdym razem, gdy zapewniałem, że tego nie zrobię, musiałem wpijać mocno palce we wnętrza dłoni, aby nie zacząć obrzucać ich inwektywami, a może nawet gorzej.

Z komendy pojechałem na spotkanie z Kay. Wcześniej odwiedziło ją już dwóch śledczych z miejskiego i wzięło ją w obroty, przemaglowując w związku z Lee i Bobbym De Wittem. Spojrzała na mnie z takim wyrzutem, że miałem chęć spalić się ze wstydu albo zapaść się pod ziemię. Było mi przykro, że jestem gliną, tak jak tamci dwaj. Kiedy próbowałem ją pocieszyć, że Lee wróci, mruknęła: - I w ogóle. - Po czym odepchnęła mnie od siebie.

Zajrzałem do pokoju 204 w hotelu El Nido, w nadziei, że Lee zostawił jakąś wiadomość w rodzaju: „Wróć i znów będziemy we troje jak dawniej”. Zastałem tam jednak tylko kapliczkę poświęconą Elizabeth Short.

Pokój wyglądał jak typowa, zaniedbana kawalerka - jedno łóżko, umywalka, mała szafa. Na ścianach jednak rozwieszono portretowe zdjęcia Betty Short, z policyjnego archiwum, gazet, czasopism i sekcji - w tym tuziny powiększonych do tego stopnia, że nawet najbardziej przerażające szczegóły były na nich wyraźnie widoczne. Na łóżku leżały kartonowe pudła, zawierające materiały z akt sprawy, z kopiami najbardziej prozaicznych notatek, listą zgłoszeń telefonicznych, spisem materiałów dowodowych i raportami, zarówno z działań w terenie, jak i przesłuchań świadków. Jako że nie miałem co robić i z kim, zacząłem przeglądać akta. Ogrom informacji był wręcz przytłaczający, a fakt, że dotyczyły one jednej, głupiotkiej dziewczyny, wydawał się najbardziej zdumiewający. Nie wiedziałem, czy mam wzniesić toast za pamięć Betty Short, czy pozrywać jej zdjęcia ze ścian, toteż przy wyjściu z hotelu pokazałem recepcjoniście moją odznakę i zapłaciłem za miesiąc z góry, aby pokój pozostał w obecnym stanie, jak to już wcześniej obiecałem Millardowi i Searsowi, choć tak naprawdę zrobiłem to wszystko dla sierżanta Lelanda C. Blancharda.

Który był gdzieś tam, pośród Wielkiego Nic.

Zadzwoiłem do działu ogłoszeń *Timesa*, *Mirror*, *Heralda* i *Daily News*, aby zaczęli zamieszczać dzień w dzień, aż do odwołania tekst następującej treści: „Ogniu, pokój kwiatowy pozostanie nietknięty. Prześlij mi wiadomość - Lód”. Uporawszy się z tym pojechałem w jedno, jedyne miejsce, które przychodziło mi teraz na myśl.

Róg Trzydziestej Dziewiątej i Norton był teraz jednym, długim pasmem pustych placów. Bez lamp łukowych, radiowozów i gapiów. Gdy tam stałem, powiał wiatr Santa Ana, a im bardziej w skrytości ducha pragnąłem powrotu Lee, tym mocniej byłem przekonany, że mój porywczy przyjaciel oszedł, równie daleko i nieodwołalnie jak będąca ulubienicą wszystkich, młodziutka, zepsuta dziewczyna.

17.

Rankiem przesłałem moim przełożonym wiadomość. W składziku nieopodał mojego kantorka napisałem na maszynie w kilku kopiach pisemną prośbę o przeniesienie, po jednym egzemplarzu dla Loewa, Russa Millarda i kapitana Jacka. Treść była następująca:

Proszę o natychmiastowe odsunięcie mnie od sprawy Elizabeth Short i przywrócenie do pracy w wydziale egzekucyjnym. Uważam, że dochodzenie w sprawie Short prowadzone jest przez dostateczną ilość funkcjonariuszy, ja zaś lepiej przysłużyłbym się, wracając na poprzednie stanowisko w wydziale egzekucyjnym. Co więcej, od czasu zaginięcia mojego partnera, sierżanta L. C. Blancharda, zyskałem status starszego funkcjonariusza operacyjnego i będę potrzebował kogoś w razie szczególnej nawały prac w naszym wydziale. Przygotowując się do pełnienia nowych obowiązków, uczyłem się pilnie do egzaminu na stopień sierżanta i spodziewam się podejść do niego przy najbliższej okazji, czyli wiosną tego roku. Jestem przekonany, że pozwoli mi to zyskać niezbędne doświadczenie, jeżeli chodzi o kierowanie ludźmi, i uzupełnić względne braki w kwestii prac w terenie, jako funkcjonariusza po cywilnemu.

Z poważaniem

Dwight W. Bleichert, nr odznaki 1611

Wydział Śledczy Komendy Głównej

Kiedy skończyłem, raz jeszcze przeczytałem list, aby stwierdzić, że zawierał właściwą

mieszankę szacunku i rozdrażnienia, a półprawdy dotyczące egzaminu na stopień sierżanta stanowiły odpowiednie zakończenie. Podpisywałem właśnie kopie tego listu, gdy usłyszałem dochodzący z głównej sali podejrzany hałas i gwar. Złożyłem listy na pół, włożyłem w kieszeń i poszedłem sprawdzić, co się stało. Grupa detektywów i techników z laboratorium kryminalistyki w białych kitlach zebrała się wokół stołu, wpatrując się w coś, co na nim leżało, szturchając to niepewnie i cofając nerwowo dłonie. Dołączyłem do nich, mamrocząc: - Co, u licha? - I zobaczyłem, co było obiektem ich zainteresowania.

Na metalowej tacy na materiały dowodowe leżała koperta. Była ofrankowana, ostemplowana i roztaczała słabą woń benzyny. Widniały na niej wycięte z gazet i czasopism drukowane litery przyklejone na białym papierze. Litery układały się w słowa:

DO HERALDA I INNYCH GAZET W LA.

TO RZECZY DALII.

LIST WKRÓTCE.

Technik w gumowych rękawiczkach rozciął kopertę i wydobyl z niej zawartość - mały, czarny notes z adresami, oprawną w plastik legitymację ubezpieczeniową i cienki plik fotografii. Przeczytałem nazwisko na legitymacji - Elizabeth Ann Short - i zrozumiałem, że sprawa Dalii znów stanie się sensacją numer jeden, prowadzoną najwyższym nakładem sił i środków. Stojący obok mnie mężczyzna opowiadał o tym jak dostarczono tę paczkę - pocztowiec, który natknął się na tę kopertę w skrzynce na listy przy bibliotece, omal nie dostał zawału, po czym zatrzymał przejeżdżający radiowóz i policjanci z patrolu przewieźli przesyłkę na komendę.

Ellis Loew precyzyjnie przycisnął się do stołu i stanął przy jednym z techników. Fritzie Vogel był tuż za nim. Główny technik gestykulował gniewnie, dały się słyszeć różne, często sprzeczne opinie i spekulacje. Wreszcie pośród tego gwaru rozległ się przeciągły gwizd i Russ Millard zawołał:

- Do cholery, cofnijcie się trochę i dajcie im pracować. I pamiętajcie, że oni potrzebują skupienia i ciszy.

Zrobiliśmy to.

Technicy zabrali się za kopertę, pokrywając ją proszkiem daktyloskopijnym, przeglądając notes z adresami, oglądając zdjęcia i oznajmiając kolejne znaleziska jak chirurdzy przy stole operacyjnym:

- Dwa fragmentaryczne odciski na tylnej części koperty, rozmazane, jeden, góra dwa możliwe punkty zbieżne, za mało, by stanowiły podstawę dalszego śledztwa, ale może wystarczyć do analizy porównawczej z odciskami potencjalnych podejrzanych.

- Na legitymacji ubezpieczeniowej brak jakichkolwiek odcisków.

- Strony notesu adresowego do odczytania, ale przesiąknięte benzyną, nie ma mowy, aby zachowały się na nich jakieś odciski. Nazwiska i numery telefonów, głównie mężczyzn, nie zapisane w porządku alfabetycznym, niektóre strony wyrwane...

- Zdjęcia przedstawiają Short z żołnierzami w mundurach, twarze mężczyzn są wydrapane...

Otępiały, zacząłem się zastanawiać: czy faktycznie ten zapowiadany list nadejdzie? Jako że tę przesyłkę nadesłał bez wątplenia zabójca, czy to on był jednym z mundurowych na zdjęciach? Czy bawił się w kotka i myszkę, a może to, co uczynił, stanowiło jedynie preludium do ujawnienia się i złożenia zeznań? Inni funkcjonariusze wokół mnie szli tym samym torem rozumowania, zadawali te same pytania, rozmawiając w małych, kilkusobowych grupkach, lub sprawiali wrażenie podekscytowanych do tego stopnia, że mówili do siebie. Technicy wyszli, zabierając ze sobą materiały dowodowe. Wreszcie jedyny spokojny człowiek w tym pokoju ponownie gwizdnął przeciągle. Wszyscy znów zamarli w bezruchu. Russ Millard z pokerową twarzą policzył głowy i gestem polecił nam, byśmy podeszli do korkowej tablicy, gdzie wieszano listy gończe, okólniki i biuletyny. Kiedy tam przystanęliśmy, Russ powiedział: - Nie wiem, co to wszystko ma znaczyć, ale domyślam się, że te rzeczy przysłał zabójca. Chłopcy z laboratorium będą potrzebowali więcej czasu na zbadanie koperty, później zaś sfotografują wszystkie strony w notesie i podadzą nam listę osób do przesłuchania.

Dick Cavanaugh wtrącił: - On z nami pogrywa. Wydarł z notesu kartki ze swoimi danymi, założę się o to...

Millard uśmiechnął się: - Może tak, może nie. Może jest obłąkany i chce, żebyśmy go dopadli, możliwe, że niektóre z osób, których nazwiska są w tym notesie, znają go. Może technicy zdejną odciski palców z fotografii albo na podstawie odznak na mundurach zidentyfikują któregoś z tych żołnierzy. Może ten drań faktycznie przysłał nam list. Sporo tych „może”, więc powiem wam jedno, co wiemy na pewno - cała jednostka, jak tu stoicie, ma z miejsca rzucić wszystko inne i przeczesać obszar wokół miejsca, gdzie znaleziono kopertę. Harry i ja przejrzymy akta, aby sprawdzić, czy w tej okolicy nie mieszka któryś z naszych dotychczasowych podejrzanych. Potem, kiedy już zdobędziemy listę nazwisk z notesu, zabierzemy się za nie, dyskretnie. Betty była dość otwarta, jeżeli chodzi o mężczyzn, a niszczenie ogniska domowego nie jest w moim stylu. Harry?

Sears stał przy ściennej mapie przedstawiającej centrum LA; w dłoniach trzymał notes na podkładce i pióro. Wyjąkał: - Z-z-zrobimy t-t-tak krok po k-k-kroku.

Widziałem już moją prośbę o przeniesienie z pieczątką: odrzucone.

Jakieś odgłosy kłótni dochodziły z drugiego końca sali. Sprzeczącymi się byli Ellis Loew i Jack Tierney, obaj walczyli na argumenty, ale jak najciszej. Aby mieć choć odrobinę prywatności, stanęli za filarem; wślizgnąłem się do sąsiedniego kantorka z telefonem, aby podsłuchać, o czym mówią - miałem nadzieję, że dowiem się czegoś ciekawego na temat Lee.

Ale oni nie rozmawiali o Lee, tylko o niej.

- ...Jack, Horall chce odsunąć trzy czwarte swoich ludzi od dalszego śledztwa. Niezależnie od tego, że obligacje zostały przegłosowane, sądzi, że dał wyborcom dostatecznie satysfakcjonujące widowisko. Możemy to obejść, wydzielając całe sto procent do przesłuchań osób, których nazwiska widnieją w notesie. Im większy rozgłos zyska ta sprawa, tym łatwiej nam będzie storpedować poczynania Horalla...

- Niech to szlag, Ellisie...

- Nie. Posłuchaj mnie. Wcześniej próbowałem zatuszować fakt, że dziewczyna była puszczalska. W moim mniemaniu ta sprawa stała się zbyt głośna, aby to utrzymać. Wiemy, jaka ona była, a setki mężczyzn, których przesłuchamy dzięki temu notesowi, tylko to potwierdzą. Nasi ludzie będą kontynuować te przesłuchania, ja będę przekazywał nazwiska moim łącznikom z prasy i tak, krok po kroku, robiąc dużo szumu, w końcu dopadniemy zabójcę.

- To strzał w ciemno, Ellisie. W notesie prawie na pewno nie ma nazwiska zabójcy. To świr, pokazuje nam tyłek i mówi: możecie mnie cmoknąć. Ciężko będzie dopaść mordercę tej dziewczyny. Wiedziałem o tym od początku, podobnie jak ty. Ale ta sprawa może odbić się nam czkawką. Pracuję przy sześciu innych zabójstwach, mając do dyspozycji zaledwie paru ludzi, a jeśli nazwiska żonatych mężczyzn z tego notesu trafią do prasy, ich życie zmieni się w gehennę, tylko dlatego, że zdarzyło im się kiedyś znać i parę razy bzyknąć Betty Short.

Cisza przedłużała się. Wreszcie Loew rzekł: - Jack, wiesz, że prędzej czy później zostanę prokuratorem okręgowym. Jeżeli nie w przyszłym roku, to w '52. I wiem, że za parę lat Green przejdzie na emeryturę. Chyba domyślasz się, kogo chętnie bym widział na jego następcę? Mam trzydzieści sześć lat, Jack, a ty czterdzieści dziewięć. Ja mogę mieć kolejną szansę, aby wspiąć się na szczyt, ty już raczej nie. Na litość boską, spójrz na to wszystko z szerszej perspektywy.

Znów cisza. Wyobraziłem sobie kapitana Jacka Tierneya rozważającego wszystkie za i przeciw zawarcia tego paktu z diabłem mającym i noszącym kluczyk bractwa Phi Beta Kappa oraz zaprzędania mu duszy.

Kiedy odrzekł: - Dobrze, Ellisie - ja podałem list z prośbą o przeniesienie i ruszyłem,

by na powrót dołączyć do całego tego cyrku.

18.

Przez następne dziesięć dni wspomniany cyrk zmienił się w kompletną farsę z odrobiną tragedii na dokładkę.

Z „listu śmierci”, jak go nazwano, nie pozyskano żadnych innych tropów; znajdujące się w notesie 243 nazwiska rozdzielono pomiędzy cztery zespoły detektywów, o wiele mniej niż początkowo zakładano, pragnąc nadać dochodzeniu odpowiednią oprawę w radiu i prasie.

Russ Millard optował za dwudziestoma zespołami i szybką, zakrojoną na szeroką skalę operacją; kapitan Jack, poparty przez diabła z prokuratury, zdecydowanie odmówił. Kiedy Bill Koenig został uznany za zbyt gwałtownego, aby pracować przy przesłuchaniach, i przydzielono mu inne, mniej absorbujące obowiązki, moim partnerem został Fritz Vogel. Wspólnie przesłuchaliśmy blisko pięćdziesiąt osób, głównie mężczyzn, w sprawie ich kontaktów z Elizabeth Short. Nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Poznali ją w barze, postawili parę drinków, czasami także kolację, wysłuchali jej fantazji, zgodnie z którymi była narzeczoną albo wdową po bohaterze wojennym, po czym poszli z nią do łóżka albo nie. Wielu z tych mężczyzn nawet nie znało Dalii - byli znajomymi jej znajomych, a ich nazwiska pojawiały się w notesie zgoła przypadkiem, tylko dlatego, że zaliczali się do grona lubiących niezobowiązujący seks imprezowiczów.

Z przydzielonej nam listy nazwisk szesnaście należało do mężczyzn, których Fritzie określił jako tych, co „na pewno bzykali Dalie”. Byli to w głównej mierze osobnicy związani z przemysłem filmowym, choć zazwyczaj płotki - agenci, łowcy talentów i kierownicy castingów, którzy odwiedzali drogerię Schwab's, aby polować tam na chętne, żądne sławy „potencjalne gwiazdki”, z pustymi obietnicami na ustach i pakiecikami prezerwatyw w kieszeniach. Opowiadali z dumą lub zawstydzaniem o castingach organizowanych przez łóżko, historie równie smutne jak te Betty, mówiące o zapomnieniu z ogierami w mundurach. Ostatecznie mężczyzn z małego, czarnego notesu Elizabeth Short łączyły dwie rzeczy - ich nazwiska pojawiły się w lokalnych gazetach i wszyscy co do jednego posiadali alibi, które wykluczało ich z grona podejrzanych. Dochodziły również słuchy, że niektórzy z owych mężczyzn zostali potępieni w oczach opinii publicznej jako mężowie i głowy rodzin.

Z kobietami było różnie. Większość okazała się tylko koleżankami Betty - znajomymi od pogawędek, sączenia drinków czy snucia nie prowadzących donikąd planów o wielkiej,

filmowej karierze. Około tuzina z nich było dziwkami i półprofesjonalnymi aktorkami kina klasy B, które zapoznane w barach natychmiast odnajdywały z Betty wspólny język. Tropy uzyskane dzięki nim pozwoliły na dalszy rozwój dochodzenia, a ściślej rzecz biorąc, sprawdzenia pogłosek, jakoby Betty puszczała się z uczestnikami zjazdów i spotkań w kilku podrzędnych hotelikach w śródmieściu. Dziwki twierdziły wyraźnie, że Betty nie robiła tego często i nie znały jej klientów z nazwiska; Fritzie, odwiedzając wskazane hotele, nie natrafił na żaden jej ślad, a fakt, że paru innych kobiet - jak wynikało z archiwów policyjnych, zawodowych prostytutek - nie udało się odnaleźć - rozsierdził go jeszcze bardziej.

Nazwisko Madeleine Sprague nie pojawiło się w notesie ani podczas kolejnych, prowadzonych przeze mnie przesłuchań.

243 nazwiska nie naprowadziły nas na trop lesbijki ani lesbijskiego baru, ja zaś regularnie, każdego wieczoru zaglądałem na tablicę ogłoszeń na posterunku University, aby sprawdzić, czy któryś z pozostałych zespołów zdołał odkryć jej związek ze sprawą. Jak dotąd nic i zacząłem upewniać się w duchu, że postąpiłem słusznie, zatajając ten mały drobiazg. Podczas gdy śledztwo prowadzone na podstawie zapisków w notesie stało się sensacją z pierwszych stron gazet, związany z nim cyrk trwał nadal, telefoniczne, nie kończące się doniesienia kosztowały nas tysiące roboczogodzin, specjalnie oddelegowani w tym celu policjanci odbierali niezliczone ilości ociekających jadłem doniesień telefonicznych i równie zjadliwych listów, w których chorzy z wściekłości obłąkańcy oskarżali swoich wrogów za setki większych i mniejszych przykrości, jakich z ich strony doświadczyli. Porzucone elementy damskiej garderoby trafiały do laboratorium kryminalistyki na komendzie głównej, a każdy element damskiej, czarnej bielizny rozmiaru osiem, który udało się odnaleźć, wywoływał kolejną falę gruntownych przeszukań w danej okolicy.

Muszę przyznać, że najbardziej w tym wszystkim zaskoczył mnie Fritz Vogel. Uwolniony od Billa Koeniga, wykazywał się zdumiewającą bystrością umysłu, a jeżeli chodzi o użycie siły, był równie wprawnym śledczym jak Russ Millard. Wiedział, kiedy trzeba komuś przywalić, aby wyciągnąć od niego informacje, a wówczas uderzał szybko i mocno, napędzany własnym, wewnętrznym rozgoryczeniem, lecz nie potrafił tego w sobie stłumić, kiedy przesłuchiwany wydusił już z siebie wszystko, co tylko mógł. Niekiedy czułem, że się hamuje, przez wzgląd na mój elegancki styl przesłuchiwania, choć tkwiący w nim pragmatyk dobrze wiedział, jaki sposób gwarantował najlepsze rezultaty. Bardzo szybko zgraliśmy się ze sobą, jak Pat i Pataszon, choć muszę przyznać, że miałem chyba dobry wpływ na Fritziego, umiałem go pohamować i tłumić w nim znaną nam wszystkim skłonność do zadawania bólu przestępcom. Darzył mnie umiarkowanym szacunkiem za sposób, w jaki potraktowałem

Bobby'ego De Witta, i po kilku dniach wspólnej pracy gawędziliśmy nawet łamanym niemieckim, aby zabić czas i oderwać się choć na chwilę od sprawy przesłuchań. Przy mnie Fritzie mówił zdecydowanie mniej i krócej, ale i tak zorientowałem się, że był człowiekiem przyziemnym i małostkowym. Mówił o Dalii i awansie na porucznika, na którym tak mu zależało, ale nie próbował kombinować i wydawał się dość szczery, a jako że jego raporty z działań w terenie były zawsze zgodne z prawdą, uznałem, że Loew dał sobie spokój albo grał na zwłokę. Zwróciłem też uwagę, że Fritzie stale taksował mnie wzrokiem, jak gdyby wiedział, że Koenig nigdy nie trafi do wydziału śledczego, ale ja po zniknięciu Lee jestem brany pod uwagę jako jeden z potencjalnych kandydatów. Jego zachowanie mi pochlebiało i na czas przesłuchań dawałem z siebie wszystko. Pracując z Lee w egzekucyjnym, grałem zawsze drugie skrzypce, a skoro stworzyliśmy już z Fritziem zgrany tandem, chciałem, aby wiedział, że nie zamierzam grać roli służalca ani błazna, jak Harry Sears wobec Russa Millarda.

Millard, dla Fritziego antyteza prawdziwego policjanta, próbował tymczasem przeciągnąć mnie na swoją stronę. Wykorzystywał pokój 204 w hotelu El Nido w charakterze biura terenowego i zjawiał się tam codziennie po skończonej służbie, aby przeglądać drobiazgowo zebrane przez Lee akta sprawy Dalii. Teraz, kiedy Lee zniknął, czasu miałem pod dostatkiem, więc często dołączałem do niego wieczorami. Kiedy patrzył na upiorne zdjęcie Dalii, zawsze czynił znak krzyża i szeptał z nabożną czcią: „Elizabeth...”. A wychodząc, powtarzał: „Dopadnę go, kochanie”.

Zawsze wychodził o ósmej, by wrócić do żony i synów. To, że komuś tak może zależeć i że umie zarazem tak szybko się od tego odciąć, nieustannie mnie zdumiewało. Zapytałem go o to; odparł: - Nie dopuszczę, aby przemoc zaczęła kierować moim życiem.

Od ósmej moim życiem rządziły dwie kobiety; o równie silnej woli, choć z El Nido udawałem się na spotkanie z Kay. Teraz, kiedy Lee zniknął i nie opłacał już wszystkich rachunków, musiała podjąć pracę na pełen etat - jako nauczycielka szóstych klas w podstawówce, kilka przecznic od Strip. Widziałem, jak ze stoickim spokojem sprawdzała wypracowania i prace domowe dzieciaków, cieszyła się na mój widok, ale miała w sobie również pewien smutek, jakby z pozoru niewzruszona, beznamiętna postawa skrywała głęboki żal wywołany nieobecnością Lee i jej pogardą wobec mego własnego wahania. Próbowałem skruszyć tę fasadę, mówiąc Kay, że jej pragnę, ale to poskutkowało tylko, gdyby dowiedziała się, co się stało z Lee, co zresztą powiedziała mi wprost, tłumacząc że wykształcenie zdobyte za jego pieniądze świadomie i z premedytacją wykorzystywała teraz jako broń przeciwko niemu. Używała naukowego żargonu, a ja na jej zwroty w rodzaju

„tendencji paranoidalnych” czy „patologicznego egoizmu” odpowiadałem: „on cię ocalił, on cię stworzył”. Riposta Kay brzmiała: - On mi jedynie pomógł.

Nie potrafiłem odeprzeć prawd ukrytych pod tymi uczonymi zwrotami, a bez Lee, który nas scalił, byliśmy jak dwoje niemal obcych sobie ludzi albo jak rodzina bez patriarchy. To właśnie ten niezmienny stan sprawił, że przez dziesięć nocy z rzędu wychodziłem z domu i udawałem się do motelu Red Arrow.

I tak sprowadziłem Kay do Madeleine.

Najpierw się pieprzyliśmy, a potem rozmawialiśmy. Rozmowa zawsze dotyczyła rodziny Madeleine, a następnie fantazji, które snułem, aby nie czuć się w obliczu jej historii jak ubogi krewny. Moja bogata dziewczyna miała zaborczego, pazernego tatusia, tego Emmetta Sprague’a, kolegę Macka Sennetta z czasów, gdy Hollywood dopiero zaczynało raczkować, matkę pozerkę złojącą całymi dniami wodę ognistą, wywodzącą się z rodziny tych Cathcartów z Kalifornii, genialną siostrę Marthę, wziętą artystkę i wschodzącą gwiazdę reklamy największej agencji w śródmieściu. Dodać do tego należy burmistrza Bowrona, gangstera o wysokich aspiracjach, Mickeya Cohena, „Marzyciela” George’a Tildena, byłego współnika Emmetta, syna sławnego szkockiego anatoma, próżniaka i miłośnika kinematografu. Doheny’owie, Sepulveda i Mulhollandowie także byli ich bliskimi przyjaciółmi, podobnie jak gubernator Earl Warren i prokurator okręgowy Buron Fitts. Dysponując jedynie starym Dolphem Bleichertem i śp. Gretą Heilbrunner Bleichert, Japończykami, których wydałem, i znajomymi z okresu, gdy byłem piéścierzem, zacząłem zmyślać rozmaite historie - o medalach, które zdobywałem w szkole, o balach, na których byłem, o tym, że w ’43 ochraniałem Franklina Delano Roosevelta. Pławiłem się w obłudzie, aż nadchodził czas, abyśmy znów zaczęli się pieprzyć, i cieszyłem się, że przez cały ten czas nie zapalaliśmy światła, bo dzięki temu Madeleine nie mogła ujrzeć mojej twarzy ani zorientować się, co trawiło mnie od środka.

I zrozumieć, że uciekałem przed Dalią.

Za pierwszym razem to się stało przypadkiem. Kochaliśmy się i oboje zaczynaliśmy szczytować, a moja ręka ześlizgnęła się z wezglowia łóżka i nacisnęła włącznik światła, ukazując leżącą pod mną Betty Short. Przez kilka sekund wierzyłem, że to była ona, i zacząłem wołać Lee i Kay, aby mi pomogli. Kiedy moja kochanka znów stała się Madeleine, sięgnąłem do włącznika, ale ona schwyciła mnie za rękę. Napierając z całej siły, przy wtórze jęku sprężyn, w silnym świetle widziałem Madeleine/Betty i jej niebieskie oczy, zamiast piwnych, ciało Betty, zapamiętane z tamtego amatorskiego filmu i usta szepeczące bezgłośnie: - Proszę, nie. - Dochodząc, wiedziałem, że z samą Madeleine nie będzie mi tak dobrze i nagle

moja bogata dziewczyna wyszeptła: - Wiedziałam, że prędzej czy później dobierze się do ciebie. - Zacząłem szlochać, że moje opowieści dotąd to kłamstwa, po czym opowiedziałem jej wszystko, o Lee, Kay i Buckym, od samego początku i obsesji Ognia na punkcie denatki aż do jego nagłego zniknięcia Bóg wie gdzie. Kiedy skończyłem, Madeleine rzekła: - Nigdy nie będę nauczycielką z Sioux Falls, ale będę Betty czy kimkolwiek zechcesz... - Pozwoliłem, by pogładziła mnie po głowie, zadowolony, że nie muszę już kłamać, ale smutny, że to ona, a nie Kay Lake została moją powierniczką.

I w ten oto sposób Elizabeth Short i ja zostaliśmy formalnie ze sobą połączeni.

19.

Lee wciąż nie wracał, gdziekolwiek się teraz znajdował, a Madeleine pozostawała Betty, ja zaś ani na jedno, ani na drugie nic nie mogłem poradzić. Postępując zgodnie z zaleceniami osiłków z miejskiego nie mieszałem się w prowadzone przez nich dochodzenie, ale wciąż się zastanawiałem, czy zniknięcie Ognia było sprawą przypadkową, czy może zostało starannie zaplanowane. Sprawdziłem jego rachunki bankowe - 800 dolarów wciąż pozostawało na koncie i w ostatnim czasie nie podjęto zeń ani grosza; kiedy zaś dowiedziałem się, że policja w całych Stanach i Meksyku wystosowała za Lee list gończy, włącznie z opisem fordka rocznik '40, którym podróżował, ale ogólnokrajowa operacja nie przyniosła spodziewanych rezultatów - Lee zniknął jakby się zapadł pod ziemię - instynkt podpowiedział mi, że mój partner faktycznie uciekł przez granicę na południe, gdzie rurales używali przesyłanych im przez gringo z policji listów gończych zamiast papieru toaletowego. Russ Millard poinformował mnie, że w Juarez aresztowano dwóch Meksykanów, nawiasem mówiąc, obu doskonale znanych policji jako handlarze narkotyków, za zamordowanie Bobby'ego De Witta i Felixa Chasco, co sprawiło, że przez chwilę przestałem przejmować się glinami z miejskiego i ich insynuacjami, jakoby to Lee załatwił obu tych frajerów - gdy nagle, z samej góry przyszły oficjalne zarządzenia. Szef Horrall podjął decyzję o wycofaniu listu gończego i oznajmił: - Lepiej nie wywoływać wilka z lasu. - A sekretarka Thada Greena powiedziała Harry'emu Searsowi, że słyszała, jakoby Lee miał zostać wydalony z policji, jeżeli nie pojawi się w ciągu trzydziestu dni od swego zniknięcia.

Kończył się styczeń, deszczowe dni, z jednym tylko zdarzeniem, które jak promyczek słońca rozjaśniały monotonię naszej pracy na komendzie. Do biura nadeszła koperta. Wycięte z gazet litery układały się na niej na adres posterunku, wewnątrz zaś, na kartce zwykłego

papieru widniał tekst następującej treści:

ZMIENIŁEM ZDANIE.
NIE POSZLIBYŚCIE NA UCZCIWY UKŁAD.
ZABÓJSTWO DALII BYŁO USPRAWIEDLIWIONE.
MŚCICIEL CZARNEJ DALII.

Do kartki przyklejono zdjęcie niskiego, krępego mężczyzny w garniturze i z wydrapaną twarzą. Z fotografii ani z koperty nie udało się pobrać odcisków palców ani żadnych innych użytecznych śladów, a ponieważ przed prasą z przyczyn proceduralnych zatajono, iż w pierwszej przesyłce nadesłano zdjęcia Dalii z żołnierzami, wiedzieliśmy, że list numer dwa pochodził od tego samego nadawcy. W biurze uznano, że zdjęcie to musi przedstawiać zabójcę, który w symboliczny sposób odcinał się od reszty „obrazu”.

Kiedy list śmierci i fotka trafiły „na półkę”, uświadomiły nam wszystkim jeszcze jedną, smutną prawdę: nigdy nie dorwiemy tego drania. Na komendzie, gdzie przyjmowano zakłady, za obstawienie, że sprawa Dalii nie zostanie wyjaśniona, wypłacano teraz równowartość wpłaty; Thad Green powiedział Russowi i kapitanowi Jackowi, że 5 lutego Horrall zamierza oficjalnie uporządkować bałagan związany ze sprawą Dalii, przywracając większość funkcjonariuszy do ich wcześniejszych obowiązków. Plotki głosiły, że będę jednym z tych „synów marnotrawnych”, a moim nowym partnerem zostanie Johnny Vogel. Perspektywa pracy z Johnnym Cuchnącym Oddechem była jak łyżka dziegiu w beczce miodu, ale powrót do egzekucyjnego przyjmowałem niczym ponowne przyjęcie do rajy. Później Betty Short będzie istnieć tylko w jednym miejscu, gdzie pragnąłem, by się znalazła, jako maleńka iskierka pośród bezmiaru mojej wyobraźni.

20.

Następujący funkcjonariusze komendy głównej policji i biura śledczego tymczasowo przydzieleni do śledztwa w sprawie E. Short z dniem jutrzejszym 6/02/47 mają wrócić do swoich normalnych obowiązków:

Sierż. T. Anders - do wydziału ds. oszustw KG.

Det. J. Arcola - do wydziału włamań KG.

Sierż. R. Cavanaugh - do wydziału kradzieży KG.

Det. G. Ellison - do wydziału śledczego KG.

Det. A. Grimes - do wydziału śledczego KG.

Det. C. Ligget - do wydziału ds. nieletnich KG.

Det. R. Navarette - do wydziału ds. oszustw KG.

Sierż. J. Pratt - do wydziału zabójstw KG. (Patrz: por. Ruley w/s przydziału).

Det. J. Smith - do wydziału zabójstw KG. (Patrz: por. Ruley).

Det. W. Smith - do wydziału śledczego KG.

Szef Horrall i jego zastępca Green pragną, abym podziękował wam za pomoc przy prowadzeniu tego śledztwa, zwłaszcza za nadgodziny, które nad nim spędziliście. Wszyscy możecie spodziewać się pochwał na piśmie, za ofiarność i oddanie pracy.

Dziękuję również:

Kapitanowi J. V. Tierneyowi, komendantowi wydziału śledczego KG.

*

Odległość między korkową tablicą a gabinetem Millarda wynosiła około dziesięciu jardów; pokonałem ją w jedną dziesiątą sekundy. Russ uniósł wzrok znad biurka: - Cześć, Bucky. Jak leci?

- Dlaczego nie ma mnie na liście przeniesionych?

- Poprosiłem Jacka, aby zatrzymał cię przy sprawie Short.

- Dlaczego?

- Bo będzie z ciebie cholernie dobry detektyw, a w '50 Harry przechodzi na emeryturę. Coś jeszcze?

Zastanawiałem się, co dodać, gdy zadzwonił telefon. Russ odebrał:

- Wydział zabójstw, Millard przy telefonie - po czym słuchał przez dłuższą chwilę i wskazał na drugi aparat, na biurku obok.

Sięgnąłem po słuchawkę i usłyszałem męski głos, mówiący:

- ...do jednostki śledczej tu, w Fort Dix. Wiem, że otrzymujecie stale mnóstwo zgłoszeń z przyznaniem się do winy i żadne z nich nie jest warte funta kłaków, ale moim zdaniem to zasługuje na uwagę.

Russ rzekł: - Proszę mówić dalej, majorze.

- Ten żołnierz nazywa się Joseph Dulange. Jest w żandarmerii wojskowej, przydzielony do dowództwa kompanii w Dix. Przyznał się do tego swemu przełożonemu, po ostrej popijawie. Jego kumple mówią, że zawsze ma przy sobie nóż i że ósmego stycznia poleciał do Los Angeles, na urlop. Co więcej, na jego spodniach znaleźliśmy ślady krwi, lecz zbyt mało, żeby można było ustalić grupę. Osobiście uważam, że to typ spod ciemnej gwiazdy. Będąc za oceanem, często wdawał się w bójki, a jego przełożony mówi, że ten gnój notorycznie bije żonę...

- Majorze, czy ten Dulange jest gdzieś blisko pana?

- Tak. W celi po drugiej stronie korytarza.

- Niech pan wyświadczy mi przysługę. Niech pan poprosi go, aby opisał znamiona na ciele Elizabeth Short. Jeżeli umiejscowi je właściwie, mój partner i ja przylecimy do was następnym samolotem, który startuje z bazy Mac Arthur.

- Dobrze - powiedział major i na tym rozmowa z Fort Dix na razie dobiegła końca.

A Russ rzekł: - Harry ma gripę. Masz ochotę na wypad do New Jersey, bystrzaku?

- Serio?

- Jeżeli ten żołnierz wspomni choćby słowem o znamionach na pośladkach Elizabeth, to tak.

- Trzeba było go raczej zapytać o rany od noża albo o to wszystko, co zatailiśmy przed prasą.

Russ pokręcił głową. - Nie. To mogłoby go za bardzo nakręcić. Jeżeli to nasz facet, wybierzemy się tam sami i zgłosimy całą sprawę, będąc już na miejscu. Gdyby wyniuchali to Jack lub Ellis, mogliby wysłać Fritziego, a on jeszcze przed świtem usmażyłby tego chłopaka na krześle elektrycznym, nieważne czy ten gnojek jest winny, czy nie.

Wzmianka o Fritziem rozzłościła mnie. - On nie jest taki zły. Poza tym sądzę, że Loew już odpuścił sobie tę sprawę.

- Naprawdę jesteś niezwykły, bystrzaku. Fritzie to zwykły tłupek, a Ellis...

Na linii znów dał się słyszeć głos majora: - Sir, Dulange twierdzi, że dziewczyna miała trzy małe, ciemne znamiona na... ee... lewym pośladku...

- Niech pan się nie boi i powie pan po prostu, na tyłku, majorze. Już do pana lecimy.

*

Kapral Joseph Dulange był wysokim, dwudziestodwunastoletnim, muskularnym mężczyzną, o ciemnych włosach, końskiej szczęce i kanciastej twarzy, ozdobionej cienkim jak od ołówka wąsikiem. Ubrany w oliwkowe moro siedział naprzeciwko nas, przy stole, w gabinecie komendanta żandarmerii w Fort Dix. Obok niego siedział wojskowy adwokat w stopniu kapitana, prawdopodobnie aby dopilnować, byśmy z Russem przestrzegali przy przesłuchaniu stosownych procedur. Ośmiogodzinny lot na pokładzie wojskowej maszyny nie należał do spokojnych, po drodze sporo rzucało, napotkaliśmy liczne turbulencje: o czwartej nad ranem według czasu Los Angeles byłem wyczerpany, ale gotowy do działania. W drodze z lotniska major z biura śledczego, z którym rozmawialiśmy przez telefon, wprowadził mnie w sprawę Dulange'a. Był dwukrotnie żonatym weteranem wojennym, lubiącym zaglądać do kieliszka i nie stroniącym od bójek. To, czego się dowiedzieliśmy, pozostawiało spory

niedosyt, ale dwa niezaprzeczalne fakty dawały do myślenia: ósmego stycznia Dulange poleciał do Los Angeles, a siedemnastego stycznia został aresztowany, kompletnie pijany, na Pennsylvania Station w Nowym Jorku.

Russ przejął pałeczkę: - Kapralu, nazywam się Millard, a to detektyw Bleichert. Jesteśmy funkcjonariuszami policji z Los Angeles i jeśli przekonacie nas, że zabiliście Elizabeth Short, aresztujemy was i zabierzemy ze sobą.

Dulange podniósł się na krzesło i powiedział: - Pociąłem ją - wysokim, nosowym głosem.

Russ westchnął: - Słyszeliśmy to już od wielu innych osób.

- I rznąłem się z nią.

- Naprawdę? Zdradziliście żonę?

- Jestem Francuzem.

- A ja jestem Niemcem i co to ma do rzeczy? - zapytałem, wchodząc w przyjętą na siebie rolę złego gliny. - Co to ma wspólnego ze zdradzeniem żony?

Dulange cmoknął głośno i oblizwał wargi językiem, jak gad.

- Robię to po francusku. Moja ślubna tego nie lubi.

Russ szturchnął mnie łokciem. - Kapralu, dlaczego przyjechaliście na urlop właśnie do Los Angeles? Co was zaciękało w tym mieście?

- Cipki! Johnnie Walker. Używanie na całego.

- Na Manhattanie, po drugiej stronie rzeki znaleźlibyście to samo, i to w nadmiarze.

- Słońce. Gwiazdy filmowe. Palmy.

Russ roześmiał się: - W LA tego nie brakuje. Wygląda na to, że żonka trzyma cię na długiej smyczy, Joe. Taki samotny urlop...

- Ona wie, że jestem Francuzem. Nieźle jej dogadzam, kiedy wracam do domu. Robimy to na misjonarza, daję jej go całego, pełne dziesięć cali. Moja ślubna nie ma prawa się skarżyć.

- A gdyby jednak próbowała, Joe? Co byś jej zrobił?

Dulange beznamiętnym tonem odparł: - Jedna skarga, to w ruch idą pięści. Druga skarga, przerzynam ją na pół.

- Chcecie powiedzieć, że przelecieliście trzy tysiące mil, aby wylizać jakąś cipkę? - wtrąciłem.

- Jestem Francuzem.

- Jak dla mnie, wyglądacie raczej na pedzia. A cioty mają raczej krzywo i wszyscy o tym wiedzą. Co ty na to, mały kapralu?

Wojskowy adwokat wstał i wyszeptał coś do ucha Millardowi. Russ szturchnął mnie nogą pod stołem. Dulange uśmiechnął się szeroko.

- Musicie wybaczyć detektywowi Bleichertowi, Joe. Jest trochę porywczy - rzekł Russ.

- Ma krótkiego wacka. Jak wszyscy Szwabi. Jestem Francuzem, coś o tym wiem.

Russ zaśmiał się w głos, jakby usłyszał właśnie wyjątkowo zabawny dowcip. - Jesteś niezły fiut, Joe.

- Jestem Francuzem - Dulange znów mlasnął językiem.

- Jesteś śmieciem, Joe, a major Carroll mówił mi, że bijesz żonę. Czy to prawda?

- A czy czarnuchy umieją tańczyć?

- Pewno, że tak. Lubisz bić kobiety, Joe?

- Kiedy się o to proszą.

- Jak często prosi się o to twoja żona?

- Prosi mnie co noc, żebym ją zaspokoił moim dziesięciocalowym pytonem.

- Nie o to pytałem. Chcę wiedzieć, jak często twoja żona prosi się o lanie.

- Za każdym razem, kiedy zasiedzę się z Johnniem, a moja ślubna zaczyna mieć o to do mnie pretensje. Wtedy aż się prosi, żeby dostać.

- Ty i Johnnie przyjaźnicie się od dawna?

- Johnnie Walker to mój najlepszy kumpel.

- Czy Johnnie poleciał z tobą do LA?

- Miałem go w kieszeni.

Utarczka słowna z szurniętym pijakiem bardzo mnie wymęczyła, pomyślałem o Fritziem i bardziej bezpośrednim podejściu do sprawy:

- Miewasz delirium tremens, opoju? A może chcesz zarobić po łbie, żeby ci się w nim trochę przejaśniło?

- Bleichert, wystarczy!

Zamilkłem. Wojskowy adwokat łypnął na mnie spode łba; Russ poprawił węzeł krawata - był to dla mnie sygnał, abym się zamknął. Dulange strzelił kostkami palców. Russ przepchnął po blacie stołu paczkę papierosów, to najstarszy sposób na przekazanie - masz we mnie kumpla.

Francuz rzekł: - Johnnie Walker lubi, gdy palę tylko w jego obecności. Sprowadźcie tu Johnniego, to zapalę. Poza tym w jego obecności łatwiej się wywnętrzam. Zapytajcie kapelana North Port. Mówi, że kiedy przychodzę do spowiedzi, zawsze cuchnę Johnniem.

Zacząłem postrzegać Josepha Dulange'a jako szukającego rozgłosu oszołoma. Russ

rzekł: - Zeznania osób nietrzeźwych nie są w sądzie brane pod uwagę, Joe. Ale coś ci powiem. Jeżeli przekonasz mnie, że zabiłeś Betty Short, dopilnuję, żebyś wracając z nami do LA, miał przy sobie Johnniego. Podczas ośmiogodzinnego lotu będziesz miał dość czasu, aby odnowić z nim znajomość. Co ty na to?

- Ja na to, że pochlastałem Dalię.

- Uważam, że tego nie zrobiłeś. I chyba Johnnie i ty długo jeszcze się nie spotkacie.

- Pochlastałem ją.

- Jak?

- Porznąłem jej cycki i rozkroiłem usta, od ucha do ucha. Ciach. Ciach. Ciach.

Russ westchnął: - Wróćmy do tamtych dni, Joe. Wyleciałeś z Dix ósmego stycznia, we środę i tej samej nocy wylądowałeś w bazie Mac Arthur. Przybyłeś z Johnniem do LA, żeby się zabawić. Gdzie poszedłeś najpierw? Na Hollywood Boulevard? Sunset Strip? Na plażę? Gdzie?

Dulange znów strzelił kostkami. - Do salonu tatuażu Nathana, przy North Alvarado 463.

- Co tam robiłeś?

Szurnięty Joe podwinął prawy rękaw, ukazując rozwidlony węzowy język ze stylizowanym napisem „FRANCUZIK” poniżej. Napiął biceps, tatuaż zafalował. Dulange rzekł: - Jestem Francuzem.

Millard zastosował swój stary numer. - A ja jestem gliną, w dodatku coraz bardziej znudzonym. A kiedy zaczynam się nudzić, przekazuję pałeczkę detektywowi Bleichertowi. Detektyw Bleichert był niegdyś na dziesiątym miejscu na liście pięściarzy wagi półciężkiej i nie należy do miłych facetów. No nie, partnerze?

Zacisnąłem dłonie w pięści. - Jestem Niemcem.

Dulange zaśmiał się: - Nie ma flachy, nie ma nic. Nie ma Johnniego, nie ma opowiadki.

Niemal rzuciłem się na niego przez blat stołu. Russ schwycił mnie za łokieć i przytrzymał z całej siły, mówiąc równocześnie: - Joe, proponuję ci układ. Najpierw przekonaj nas, że znałeś Betty Short. Podaj kilka faktów. Nazwiska, daty, opisy. Johnnie trafi do twojej celi, abyście mogli odnowić znajomość. Co ty na to?

- Johnnie Połoweczka?

- Nie, jego starszy brat. Literek.

Francuz sięgnął po paczkę fajek i wyjął jednego papierosa; Russ podał mu ogień.

Dulange zaciągnął się głęboko i wraz z kłębem dymu z jego ust wypłynął potok słów:

- Po wyjściu z salonu tatuazu pojechałem z Johnniem taryfą do centrum i wynająłem pokój. W hotelu Havana, przy Dziewiątej i Olive, dwójka za noc, karaluchy wielkie jak szczury. Zaczęły hałasować jak jasny gwint, więc powystawiałem pułapki na myszy. To je załatwiło. Ja i Johnnie poszliśmy spać, a następnego dnia wybraliśmy się na panienki. Bez powodzenia. Dzień później, na przystanku autobusowym poderwałem tę filipińską zdzirę. Mówiła, że czeka na autobus do Frisco, a ja zaproponowałem jej piątaka za to, że zrobi dobrze mnie i Johnniemu. Ona na to, że za dwóch muszę odpalić minimum dychę. Ja jej wtedy, że Johnnie jest obdarzony jak buhaj i to mnie raczej powinna zapłacić. Wróciliśmy do hotelu, a te cholerne karaluchy tymczasem pouwalniały się z pułapek. Przedstawiłem ją Johnniemu i mówię, że on ma być pierwszy. Lala zaczyna się bać. Kto ty jesteś? - mówi, Fatty Arbuckle¹? Ja jej na to, że jestem Francuzem, za kogo ona się w ogóle uważa, sądzi, że może olać kogoś takiego jak Johnnie Walker?

Karaluchy zaczęły wyć jak banda czarnuchów. Filipinka mówi, że Johnnie ma ostre zęby, nic z tego. Ani się obejrzelśmy, jak dała nogę, a ja z Johnniem nie wychodziliśmy z pokoju aż do soboty. Mieliśmy straszną ochotę już pociupciać. A że po drodze przechodziliśmy obok tego sklepu dla wojskowych przy Broadwayu, to przywiesiłem na skórzanej kurtce parę odznaczeń, krzyż z dębowym liściem, srebrną gwiazdę, brązową gwiazdę i baretki za udział w kampaniach przeciw Japończykom. Wyglądałem jak George Patton, tylko że jestem od niego lepiej obdarzony. Wchodzę z Johnniem do knajpy o nazwie Night Owl. Dalia siedzi w środku. Johnnie mówi: „O tak, to ta. Ona jest moja. Chcę ją, tylko bez żadnych wymówek. Ma być ona i już”.

Dulange zgasił papierosa i sięgnął po następnego. Russ wciąż robił notatki; ja tymczasem w myślach określałem godzinę i lokalizację; pamiętałem Night Owl z czasów mojej służby w patrolu. Knajpa mieściła się na Szóstej i Hill, o dwie przecznice od hotelu Biltmore, gdzie „Rudy” Manley zostawił Betty Short w piątek, dziesiątego stycznia. Wersja Francuzika mimo dodatkowych atrakcji, będących bez wątpienia wynikiem delirium tremens, brzmiała całkiem przekonująco.

Russ rzekł: - Joe, czy mówimy tu o nocy z soboty na niedzielę, z jedenastego na dwunastego?

Dulange zapalił następnego papierosa. - Jestem Francuzem, nie kalendarzem, niedziela przychodzi po sobocie, sami to sobie ustalcie.

- Mów dalej.

¹ Komik filmowy, „znany” z niesławnej orgii pijackiej, po której musiał wycofać się z branży.

- Dalia i ja trochę pogawędziliśmy, a ja zaprosiłem ją do hotelu. Dotarliśmy tam, a tymczasem karaluchy, uwolnione, dostały się do boazerii. Dalia mówi, że nic ze mną nie zrobi, nie rozłoży nóg, dopóki nie wytlukę tego robactwa. To ja łaps, za Johnniego i zaczynam je rozwalać, jednego po drugim. Johnnie zapewnił mnie, że to go nie boli. Ale ta suka, Dalia, wciąż nie chce rozłożyć nóg i mówi, że mam załatwić te robale metodą farmaceutyczną. No to idę do takiego lekarza robala na końcu ulicy. Gość za piątką daje karaluchom śmiertelny zastrzyk. Potem ja i Dalia pieprzymy się jak króliki. Johnnie Red tylko patrzy. Jest zły, bo Dalia jest taka dobra, że nie chcę się nią z nim dzielić.

Przerywam jego monolog, aby przeszedł do konkretów. - Opisz jej ciało. I zrób to jak trzeba, bo nie zobaczysz Johnniego, dopóki nie wyjdiesz z mamra.

Oblicze Dulange'a zmiękło; wyglądał jak dzieciak, któremu zagrożono, że straci ulubionego, pluszowego misia. Russ rzekł: - Odpowiedz na pytanie, Joe.

Dulange uśmiechnął się. - Dopóki ich nie obciąłem, miała małe, sterczące cycki z różowymi sutkami. Nogi dość grube i fajną kępkę między udami. A do tego znamiona, o których mówiłem majorowi Carrollowi, a także zadrapania na plecach, dość świeże, jakby ją niedawno wychłostano.

Dreszcz przeszedł mi po plecach, bo przypomniałem sobie o „delikatnych śladach chłosty”, o których wspominał koroner podczas autopsji. Russ rzekł: - Mów dalej, Joe.

Dulange wyszczerzył się jak upiór: - Nagle Dalia zaczyna zachowywać się jak wariatka, pyta: „Jak to możliwe, żebyś ty, zwykły kapral, miał tyle medali?” Zaczyna nazywać mnie Mattem i Gordonem, wciąż gada o naszym dziecku, choć przecież zrobiliśmy to tylko raz i byłem zabezpieczony. Johnnie się spietrał, a karaluchy zaczynają śpiewać: „Nic z tego, to jednak nie ona, nie ta jedyna, wysniona”. Mam ochotę jeszcze pociupciać, więc zabieram Dalię na drugi koniec ulicy, do tego doktora od karaluchów. Daję mu dychę, a on robi jej lipne badanie i mówi: „Dziecko będzie zdrowe i przyjdzie na świat za sześć miesięcy”.

Kolejne potwierdzenie przetykane delirycznymi wizjami, Matt i Grodon, to bez wątpienia Matt Gordon i Joseph Gordon Fickling, wyimaginowani mężowie Betty Short. Pomyślałem, szanse są pół na pół, zamknijmy tę sprawę dla Wielkiego Lee Blancharda; Russ rzekł: - I co było dalej, Joe?

Dulange wyglądał na szczerze zakłopotanego. - Potem ją porznąłem.

- Gdzie?

- W połowie.

- Nie, Joe. Pytam, gdzie dokonałeś morderstwa.

- Ach, tak. W hotelu.
 - Numer pokoju?
 - 116.
 - Jak przetransportowałeś ciało na Trzydziestą Dziewiątą i Norton?
 - Ukradłem wóz.
 - Jaki to był wóz?
 - Chevrolet.
 - Model i rocznik?
 - Sedan, rocznik '43.
 - Podczas wojny w Stanach nie produkowano aut, Joe. Spróbuj jeszcze raz.
 - Sedan, rocznik '47.
 - Ktoś zostawił kluczyki w takiej nowiułkiej ekstra bryce? W centrum LA?
 - Odpaliłem wóz na krótko.
 - Jak odpaliłeś wóz na krótko, Joe?
 - Że co?
 - Wyjaśnij, jak to zrobiłeś?
 - Zapomniałem. Byłem wtedy pijany.
 - A gdzie znajduje się Trzydziesta Dziewiąta i Norton? - wtrąciłem.
- Dulange bawił się paczką papierosów. - Niedaleko Crenshaw Boulevard i Coliseum Street.

- Powiedz mi lepiej coś, o czym nie napisano w gazetach.
- Rozciąłem jej usta od ucha do ucha.
- Wszyscy to wiedzą.
- Ja i Johnnie zgwałciliśmy ją.
- Nie została zgwałcona, a Johnnie pozostawiłby ślady. A żadnych śladów nie było.

Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo była kiepska w łóżku.
- Bzdura. Powiedziałeś, że ty i Betty pieprzyliście się jak króliki.
- Tak czy owak, była kiepska. Nawet jak na królika.
- Po zmroku wszystkie koty są czarne, opoju. Dlaczego ją zabiłeś?
- Bo nie chciała tego zrobić po francusku.
- To żaden powód. Po francusku może ci zrobić dobrze za piątaka byle dziwka z pierwszego lepszego burdelu. Francuz jak ty powinien to wiedzieć.
- Była kiepska w robieniu „francuza”.

- Nie ma czegoś takiego!

- Pochlastałem ją!

Walnąłem w stół jak Harry Sears: - Jesteś załganym żabojadem!

Wojskowy adwokat podniósł się z miejsca; Dulange wychrypiał: - Chcę mojego Johnniego.

Russ zwrócił się do kapitana: - Proszę sprowadzić go tu ponownie za sześć godzin. - I uśmiechnął się do mnie, to był najłagodniejszy, najdelikatniejszy uśmiech, jakim mnie kiedykolwiek obdarzył.

*

Gdy stamtąd wychodziliśmy, szanse pół na pół zmieniły się na 75 do 25 przeciwko rozwiązaniu sprawy. Russ udał się, by zgłosić raport i wysłać ekipę śledczą do pokoju 116 w hotelu Havana, w poszukiwaniu śladów krwi. Ja poszedłem się przespać w pokoju przydzielonym nam przez majora Carrolla. Śniłem o Betty Short i Fattym Arbuckle'u w czerni i bieli, a kiedy zabrzmiał sygnał budzika, odruchowo zacząłem szukać obok siebie Madeleine.

Otworzywszy oczy ujrzałem Russa, ubranego w świeży garnitur. Podał mi gazetę i rzekł: - Nigdy nie lekceważ Ellisa Loewa.

Na pierwszej stronie tabloidu z Newark widniały słowa: Żołnierz z Fort Dix podejrzanym w sprawie sensacyjnego zabójstwa w Los Angeles!

Poniżej umieszczono zdjęcia Francuza Joego Dulange'a i Loewa upozowanego teatralnie przy biurku. Treść artykułu brzmiała następująco:

W wywiadzie dla naszego siostrzanego dziennika *Mirror* z LA zastępca prokuratora okręgowego, Ellis Loew, współpracujący jako łącznik policji w sprawie zagadkowego zabójstwa „Czarnej Dalii” ogłosił wczoraj wieczorem, że w śledztwie doszło do zasadniczego przełomu. „Zostałem powiadomiony przez moich dwóch najbliższych współpracowników, porucznika Russella Millarda i funkcjonariusza Dwighta Bleicherta, że kapral Joseph Dulange z Fort Dix w New Jersey przyznał się do zabicia Elizabeth Short i że jego zeznanie zostało potwierdzone kilkoma faktami, o których mógł wiedzieć wyłącznie zabójca. Kapral Dulange to znany degenerat i dalsze fakty dotyczące jego przyznania się do winy poznamy, gdy tylko moi ludzie wrócą z Dulangem do Los Angeles, gdzie zostanie on postawiony w stan oskarżenia”.

Sprawa Elizabeth Short nie daje policji spokoju od 15 stycznia, kiedy to nagie, okaleczone, przepołowione zwłoki panny Short znaleziono na pustej parceli w Los Angeles.

Zastępca prokuratora, Loew, nie chciał ujawnić szczegółów wyznania kaprała Dulange'a, wspominał jedynie, że Dulange był blisko związany z panną Short. „Szczegóły poznamy już wkrótce - powiedział. - Najważniejsze, że ten diabeł w ludzkiej skórze został zatrzymany i nikogo już więcej nie zabije”.

Zaśmiałem się. - Co naprawdę powiedziałaś Loewowi?

- Nic. Kiedy pierwszy raz rozmawiałem o tym z kapitanem Jackiem, wspomniałem tylko, że Dulange to potencjalny podejrzany. Zrugał mnie, że nie zgłosiliśmy naszego wyjazdu, i na tym sprawa się skończyła. Przy drugiej rozmowie powiedziałem mu, że Dulange sprawia wrażenie jeszcze jednego oszołoma. Bardzo się zdenerwował i teraz wiem już dlaczego.

Wstałem i przeciągnąłem się. - Miejmy nadzieję, że to faktycznie nie on ją zabił.

Russ pokręcił głową. - Śledczy mówią, że w pokoju hotelowym nie ma śladów krwi ani bieżącej wody, pod którą można by obmyć i wykrwawić ciało. W dodatku sam Carroll zaczął swoimi kanałami sprawdzać, co robił Dulange w dniach od 10 do 17 stycznia - pobyty na dołku, w szpitalu i na wytrzeźwialce. Właśnie dostaliśmy wszystkie materiały: Francuz siedział na zamkniętym więziennym oddziale szpitala św. Patryka na Brooklynie, od 14 do 17 stycznia. Silne delirium tremens. Zwolniono go wtedy rano i w dwie godziny później zgarnięto na Penn Station. Ten facet jest czysty.

Nie wiedziałem, na kogo mam się wściec. Loew i jego spółka chcieli jak najszybciej zamknąć całą sprawę, Millardowi chodziło o sprawiedliwość, ja chciałem wrócić do domu, ale ten artykuł prasowy sprawił, że czułem się jak skończony idiota.

- A co z Dulangem? Chcesz przycisnąć go jeszcze raz?

- I znów usłyszeć o śpiewających karaluchach? Nie. Carroll uzbrojony w nowe materiały sam się z nim rozmówił. Gość wyznał, że zmyślił historię o zabójstwie, aby zyskać rozgłos. Zamierza pogodzić się z pierwszą żoną i sądził, że tego typu popularność mogłaby mu w tym pomóc. Zamieniłem z nim jeszcze parę słów, ale facet bredzi jak potłuczony. Nie jest w stanie powiedzieć nam nic więcej poza swoimi delirycznymi rojeniami.

- Chryste Panie.

- Świetnie to ująłeś. Joe zostanie w przyspieszonym tempie zwolniony z wojska, a my za czterdzieści pięć minut znajdziemy się na pokładzie samolotu, który zabierze nas z powrotem do Los Angeles. Więc ubieraj się, partnerze.

Włożyłem moje pomięte, nieświeże ubranie, po czym wraz z Russem zaczekaliśmy przy bramie wyjazdowej na dżipa, który miał nas zawieźć na lotnisko. W oddali ujrzałem

mundurową postać, zmierzającą w naszym kierunku.

Wzdrygnąłem się mimowolnie: wysoki mężczyzna podszedł bliżej. Zauważyłem, że był to nie kto inny jak kapral Joseph Dulange, we własnej osobie. Dotarłszy do bramy pokazał mi poranną gazetę i swoje zdjęcie na pierwszej stronie. - Jestem sławny, jak chciałem, a o tobie piszą drobnym drukiem, jak przystało na Szwaba.

Poczułem jego oddech przesycony wonią Johnniego i wyrznąłem go prosto w szczękę. Dulange zwałił się na ziemię, jak sterta cegieł; poczułem tępy, pulsujący ból w prawej dłoni. Spojrzenie Russa Millarda przywiodło mi na myśl Jezusa, szykującego się, by skarcić jakiegoś zbłąkanego grzesznika. Powiedziałem: - Daj spokój, Russ, nie bądź takim świętoszkiem. Mógłbyś od czasu do czasu choć na chwilę przestać zgrywać takiego układnego, spolegliwego i porządnego do szpiku kości faceta.

21.

Zwołałem to zebranie z kilku powodów, Bucky - rzekł Ellis Loew. - Po pierwsze, żeby przeprosić za to, że tak się pospieszyłem z potępieniem Dulange'a. Trochę za prędko skontaktowałem się z moimi łącznikami z prasy i to ty przeze mnie oberwałeś. Przepraszam za to.

Spojrzałem na Loewa i Fritza Vogela siedzącego obok niego. „Zebranie” odbywało się w salonie domu Fritziego; sprawa Dulange'a nie schodząca przez dwa dni z pierwszych stron gazet sprowadziła mnie do roli nadgorliwego gliny goniącego za cieniem. - To czego pan tak chce, panie Loew?

Fritzie zaśmiał się; Loew rzekł: - Mów mi Ellis.

Takie zagranie stanowiło ważki dodatek do całego tego spotkania, pasowało doń jak precelki, które gospodyni Fritziego postawiła na stole, abyśmy się mogli częstować. Za godzinę miałem spotkanie z Madeleine - i pozasłużbowe bratanie się z przełożonym było ostatnią rzeczą, jakiej mogłem teraz pragnąć.

- No, dobra, Ellis.

Usłyszawszy ton mego głosu, Loew się zjeżył: - Bucky, w przeszłości często się spieraliśmy. Może wciąż to robimy. Myślę jednak, że zgadzamy się przynajmniej w jednej kwestii. Obaj pragniemy, aby sprawa Short została zamknięta i abyśmy mogli wrócić do dawnych obowiązków. Ty chcesz wrócić do egzekucyjnego, a ja chciałbym doprowadzić do procesu zabójcy, moja rola w tym dochodzeniu wymknęła mi się z rąk, już czas, abym wrócił

do starych spraw z mego rejestru.

Poczułem się jak karciany żółtodziób, który dostał pokera z ręki.

- To czego tak chcesz, Ellisie?

- Chcę z dniem jutrzejszym przywrócić cię do pracy w egzekucyjnym i chcę raz jeszcze spróbować rozwikłać zagadkę śmierci Short, zanim zajmę się moimi starymi sprawami. Obaj jesteśmy oportunistami, Bucky. Fritzie chce, abyś został jego partnerem, kiedy już zostanie porucznikiem, no a...

- Russ Millard chce, abym zajął wakat po Harrym Searsie, kiedy ten przejdzie na emeryturę.

Fritzie wtrącił z przejęciem: - Jesteś dla niego zbyt porywczy, chłopcze. Opowiada ludziom, że nie potrafi utrzymać cię w ryzach. Stary Russ to mięczak, ja jestem bardziej w twoim typie.

To była całkiem dobra przebitka. Pomyślałem o spojrzeniu pełnym odrazy, jakim obdarzył mnie Russ, kiedy dałem po pysku Dulange'owi.

- Czego ty naprawdę chcesz, Ellisie?

- No dobrze, Dwight, powiem ci. W areszcie wciąż siedzi czterech gości, którzy przyznali się do popełnienia tego zabójstwa. Nie mają alibi na czas zniknięcia Betty, mataczyli podczas pierwszych przesłuchań, a w dodatku to brutalni, agresywni, toczący pianę z ust szaleńcy. Chcę poddać ich ponownemu przesłuchaniu, z udziałem, jakby to powiedzieć, odpowiednich rekwizytów. To będzie wymagać użycia siły, Fritzie chciał, aby uczestniczył w tym Bill Koenig, ale on trochę za bardzo lubi przemoc i dlatego wybrałem ciebie. A teraz czekam, Dwight. Zdecyduj. Tak czy nie, wracasz do egzekucyjnego albo do zapieprzania w wydziale zabójstw, aż Russ Millard się tobą znudzi? Millard to cierpliwy, wyrozumiały facet, Dwight. To może potrwać dość długo.

Mój poker z ręki zmienił się w same blotki. - Tak.

Loew rozpromienił się. - Pójdiesz więc teraz do aresztu. Nowy strażnik ma formularze zwolnienia na tych czterech gości. Na parkingu stoi furgonetka do przewozu więźniów, kluczyki są pod wycieraczką. Przewieziesz podejrzanych do South Alameda 1701, spotkasz się tam z Fritziem. No i witaj na powrót w egzekucyjnym, Dwight.

Wstałem. Loew wyjął z miseczki precelka i zaczął pogryzać leniwie. Fritzie opróżnił swoją szklanę; trzęsły mu się ręce.

*

Szaleńcy czekali na mnie w areszcie, ubrani w więzienną drelichy, skuci razem, z łańcuchami na kostkach. Do formularzy zwolnień, które dał mi strażnik, dołączone były

policyjne zdjęcia i kopie akt; kiedy drzwi do celi otwały się pod wpływem elektrycznego impulsu, zacząłem porównywać twarze ze zdjęć z oryginałami.

Paul David Orchard był niski i krępy, z płaskim nosem zajmującym prawie połowę twarzy i długimi, lepкими od brylantyny, jasnymi włosami; Cecil Thomas Durkin był Mulatem około pięćdziesiątki, łysym, piegowanym, ponad sześć stóp wzrostu. Charles Michael Issler miał wielkie, głęboko osadzone, brązowe oczy, a Loren (jednego imienia) Bidwell, okazał się być słabowatym staruszkiem, z plamami wątrobowymi na skórze i w dodatku trzęsącym się jak galareta. Wyglądał tak żałośnie, że dwukrotnie sprawdziłem jego akta, aby upewnić się, że to właściwy człowiek - lista wyroków za molestowanie nieletnich, sięgająca roku 1911, potwierdziła to, w co początkowo trudno mi było uwierzyć. - Wyjdźcie na kładkę - powiedziałem. - Ruszamy.

Cała czwórka wolno wyczłapała na zewnątrz, idąc noga za nogą, z uwagi na spętane kostki; łańcuchy z brzękiem ciągnęły się za nimi. Wskazałem im boczne wyjście, znajdujące się przy kładce; strażnik otworzył drzwi od zewnątrz. Korowód świrów wyszedł na parking; strażnik trzymał ich na muszce, podczas gdy ja odnalazłem furgonetkę do przewozu więźniów i podjechałem do nich. Strażnik otworzył tylne drzwiczki furgonu; spojrzałem w lusterko wsteczne i patrzyłem, jak czwórka szajbusów pakuje się do środka. Szeptali między sobą, chwytając łapczywie rześkie powietrze i posłusznie wsiadali do furgonetki. Strażnik zamknął za nimi drzwiczki i dał mi znak, unosząc strzelbę w dłoni; odjechałem.

South Alameda 1701 to adres w dzielnicy przemysłowej wschodniego Los Angeles, około półtorej mili od aresztu. W pięć minut później odnalazłem wskazany adres, wielki magazyn, stojący pośród innych jemu podobnych, ale tylko ten jeden miał od frontu oświetlony szyld z napisem: „KOUNTY KING, PRZETWORY MIĘSNE I WĘDLINIARSKIE - KARMIMY HRABSTWO LOS ANGELES NASZYMI PRODUKTAMI OD 1923 ROKU”. Zatrzymałem furgonetkę i nacisnąłem klakson. Drzwi poniżej szyldu otwały się, światła zgasły; w progu stanął Fritzie Vogel z kciukami zatkniętymi za pas. Wyszedłem i otworzyłem tylne drzwiczki. Szajbusy, potykając się, opuścili furgon. Fritzie zawołał: - Tędy, panowie.

Cała czwórka wolno, krok za krokiem, podreptała w stronę, skąd dobiegał głos; z tyłu za Fritziem zapaliło się światło. Zabezpieczyłem furgonetkę i ruszyłem za podejrzаныmi.

Fritzie wpuścił ostatniego świra do środka i powitał mnie w progu.

- Z pozdrowieniami od władz hrabstwa, chłopie. Właściciel tego miejsca ma dług wobec szeryfa Biscailuza, a jeden z jego ludzi, porucznik pracujący po cywilnemu, ma brata, lekarza, który jest mi coś winien. Już niedługo zrozumiesz, o co mi chodzi.

Zamknąłem i zaryglowałem drzwi; Fritzie przeprowadził mnie obok podejrzanych, w głąb korytarza cuchnącego mięsem. Na końcu znajdowało się tam sporych rozmiarów pomieszczenie - z betonową posadzką wysypaną trocinami, z nielicznymi rzędami zardzewiałych haków na mięso, zwieszającymi się z sufitu. Z wielu z nich zwisały półtusze wołowe, które w tej temperaturze zaczęły się już psuć, pasły się na nich muchy. Żołądek podszedł mi do gardła; i nagle na drugim końcu pomieszczenia zobaczyłem cztery krzesła ustawione pod czterema hakami i ten obraz zaczął stawać się dla mnie coraz bardziej zrozumiały.

Fritzie zaczął zdejmować svirom kajdanki z kostek i łańcuchy, po czym skuł im ręce z przodu. Ja stałem z boku, obserwując reakcje szaleńców. Stary Bidwell trząśł się bardziej niż kiedykolwiek dotąd, Durkin nucił coś pod nosem, Orchard szczyrzył się drwiąco, z głową przekrzywioną na bok, jakby ciążyła jej wypomadowana fryzura, z tłustym od brylantyny czubem z przodu.

Jedynie Charles Issler wydawał się mieć na tyle przytomny umysł, aby przejmować się tym, co się działo - załamywał ręce i nerwowo przenosił wzrok z Fritziego na mnie i z powrotem.

Fritzie wyjął z kieszeni rolkę taśmy i rzucił mi. - Przyklej akta do ściany, obok haków. W porządku alfabetycznym.

Zrobiłem to, zwracając uwagę na przykryty prześcieradłem stół, ustawiony skośnie w drzwiach, o kilka stóp dalej. Fritzie podprowadził więźniów i kazał im stanąć na krzesłach, po czym zarzucił łańcuchy kajdanek na haki zwieszające się z sufitu. Zacząłem pośpiesznie przeglądać akta tych czterech, w nadziei że wzbudzą we mnie dość nienawiści, abym zdołał jakoś przetrwać tę noc i wrócić do egzekucyjnego.

Loren Bidwell miał za sobą trzy odsiadki w Atascadero, za napaści i wykorzystywanie seksualne nieletnich. Pomiędzy odsiadkami przyznawał się do najpoważniejszych zbrodni o charakterze seksualnym i był nawet jednym z branych pod uwagę w sprawie uprowadzenia i zamordowania dziecka Hickmanów w latach dwudziestych. Cecil Durkin był narkomanem, nożownikiem i więziennym gwałcicielem, który grał na perkusji w zespole jazzowym; trafił dwa razy do San Quentin za podpalenia, złapano go, gdy masturbował się, patrząc na ostatni z podpalonych przez siebie domów, należący do kierownika zespołu, który był mu winien pieniądze za występy w nocnych klubach. Ta wpadka kosztowała go dwanaście lat za kratkami; od czasu swego zwolnienia pracował jako pomywacz w jednej z placówek Armii Zbawienia. Charles Issler był alfonsiem i notorycznie przyznawał się do wszystkich zbrodni, których ofiarami padały prostytutki. Za stręczycielstwo odsiedział rok w więzieniu hrabstwa,

za fałszywe zeznania dwa razy umieszczano go na obserwacji, na dziewięćdziesiąt dni w zakładzie psychiatrycznym w Camarillo. Paul Orchard był zboczeńcem, męską dziwką i byłym zastępcą szeryfa w hrabstwie San Bernardino. Poza oskarżeniami o przestępstwa obyczajowe był dwukrotnie skazany za ciężkie pobicia.

Poczułem, że narasta we mnie nienawiść. Zupełnie jakbym miał zaraz wejść na ring i zmierzyć się z przeciwnikiem, co do którego nie byłem pewien, czy mogę go pokonać. Fritzie rzekł: - Czarujący kwartet, co nie, chłopcze?

- Prawdziwi ministranci.

Fritzie przywołał mnie do siebie, kiwając palcem; podszedłem i spojrzałem na czterech podejrzanych. Nienawiść powoli we mnie wzbierała, gdy powiedział: - Wszyscy przyznaliście się do zabicia Dalii. Nie potrafimy udowodnić, że to zrobiliście, więc to wy musicie nas przekonać. Bucky, zadawaj pytania związane z okresem zaginięcia tej dziewczyny. Ja będę słuchał uważnie i odpowiednio zareaguję, gdyby któryś z nich chciał bezczelnie wcisnąć nam kit.

Najpierw zabrałem się za Bidwella. Dygotał tak bardzo, że aż trzęsło się pod nim krzesło. Wyciągnąłem rękę i schwyciłem hak, aby go unieruchomić. - Opowiedz mi o Betty Short, papciu. Dlaczego ją zabiłeś?

Staruszek spojrzał na mnie błagalnie; odwróciłem wzrok.

Fritzie, zerkając na rozmieszczone na ścianie zdjęcia i akta, przerwał ciszę, mówiąc: - Nie traktuj go ulgowo, chłopcze. Ten gagatek zmuszał małych chłopców, żeby ssali jego ptaka.

Szarpnąłem za hak. - No dalej, papciu, mów śmiało. Czemu ją zabiłeś?

Bidwell odparł świszczącym, zmęczonym głosem starego człowieka:

- Nie zabiłem jej, proszę pana. Chciałem tylko trafić do mamra. Trzy gorące posiłki dziennie i kąpiel do spania, to wszystko, o co mi chodziło. Bardzo pana proszę.

Staruch wyglądał jakby nie był w stanie unieść w ręku noża, a co dopiero przepołowić ciało kobiety i przenieść je do samochodu. Podszedłem do Cecila Durkina. - Opowiedz mi o tym, Cecilu.

Ćpun odparł drwiąco: - Mam ci o tym opowiedzieć? Skąd wytrzasnąłeś ten tekst? Z „Dicka Tracy’ego” czy z „Nietykalnych”?

Kątem oka zauważyłem, że Fritzie obserwuje mnie z uwagą. - Pytam raz jeszcze, onanisto. Opowiedz mi, jak to było z Betty Short.

Durkin zachichotał. - Zerznąłem Betty Short i twoją mamuszkę też! Jestem twoim starym!

Rąbnąłem go dwoma krótkimi ciosami prostymi w splot słoneczny. Pod Durkinem ugięły się nogi, ale ustał na krześle. Oddychał ciężko, nabrał trochę powietrza i odzyskał dawny rezon: - Wydaje ci się, że jesteś taki cwany? Ty grasz tego złego, a twój kumpel to ten dobry. Ty będziesz mnie bił, ale on mnie uratuje. Czy wy nie wiecie, że ten numer wyszedł z mody wraz z wodewilem?

Rozmasowałem prawą dłoń, wciąż bolały mnie kości, po tym jak dołożyłem Lee Blanchardowi i Joemu Dulange. - Ja jestem ten dobry. Zapamiętaj to sobie, Cecilu.

To był niezły tekst. Durkin przez chwilę zastanawiał się nad ripostą, ale ja podszedłem już do Charlesa Michaela Isslera.

Tamten spuścił wzrok i powiedział: - Nie zabiłem Liz. Nie wiem, czemu to robię, i chciałem za to przeprosić. Proszę, niech mu pan nie pozwoli mnie skrzywdzić.

Wydawał się dość szczerzy, ale było w nim coś, co wzbudziło moje wątpliwości. - Przekonaj mnie - odparłem.

- Ja... nie mogę. Po prostu nie mogę.

Pomyślałem o Isslerze jako alfonsie, o Betty dorabiającej na boku jako prostytutka i zacząłem zastanawiać się, czy tych dwoje mogło coś łączyć - a potem przypomniałem sobie, że wszystkie dziwki, których nazwiska miała w notesie, a które przesłuchaliśmy, upierały się, że nie miała opiekuna i pracowała na własną rękę.

- Znałeś Betty Short? - spytałem.

- Nie.

- Słyszałeś o niej?

- Nie.

- Czemu więc przyznałeś się do jej zabicia?

- Ona... wydawała się taka słodka i piękna... kiedy zobaczyłem jej zdjęcia w gazetach, coś mnie tknęło. Poczułem, że jestem zły, bardzo zły. Zawsze przyznaję się do zabójstw pięknych kobiet.

- Z twoich akt wynika, że przyznajesz się tylko do zabójstw dziwek? Dlaczego?

- No cóż...

- Bijesz swoje dziewczyny, Charlie? Faszeryjesz je narkotykami? Zmuszasz, aby obsługiwały twoich kumpli?

Przerwałem, bo przypomniałem sobie o Kay i Bobbym De Witcie. Issler kiwał głową, zrazu powoli, potem coraz mocniej. Nagle się rozplakał. - Robię złe rzeczy. Bardzo złe. Okropne. Straszne. Jestem zły. Paskudny. Okropny.

Fritzie podszedł i stanął obok mnie, na obu pięściach miał mosiężne kastety. Mruknął:

- Taką łagodną gadką-szmatką daleko nie zajdziemy - i wykopnął Isslerowi krzesło spod nóg. Alfons wrzasnął i zaczął wic się jak ryba złapana na haczyk; trzasnęły kości, kiedy kajdanki przyjęły na siebie impet całego ciężaru jego opadającego, ciała. Fritzie mruknął: - Patrz teraz, chłopcze.

Krzycząc: - Zboczek! Czarnuch! Gwałciciel dzieci! - przewrócił pozostałe trzy krzesła. Czwórka podejrzanych wisiała teraz na hakach, wyjąc przeraźliwie i chwytając jeden drugiego nogami, jak ośmiornica w więziennych drelichach. Ich wrzaski brzmiały niczym jeden głos, dopóki Fritzie nie skupił swej uwagi na Charlesie Michaelu Isslerze.

Trzasnął go pięścią zaopatrzoną w kastet, w brzuch, na wysokości przepony; uderzał na zmianę, obiema rękami, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa, lewa. Issler wył i charczał, to było okropne; Fritzie krzyknął: - Mów wszystko o tamtych dniach, kiedy zaginęła Dalia, ty trawiony syfilisem, chory dziwkarzu!

Nogi miałem jak z waty. Issler wychrypiał: - Ja... nie... nie... wiem.

Fritzie walnął go z całej siły w krocze. - Gadaj, co wiesz!

- Wiem, że ty byłeś w obyczajówce!

Fritzie zaczął wymierzać mu kolejne, brutalne ciosy. - Gadaj, co wiesz! Czego się dowiedziałeś od swoich dziewczyn, ty trawiony syfilisem dziwkarzu!

Issler zaczął się dławić i zwymiotował. Fritzie odczekał chwilę, po czym zbliżył się i zaczął okładać jego ciało zamaszystymi ciosami.

Usłyszałem trzask pękających żeber, po czym przeniosłem wzrok w lewo, na dźwigienkę alarmu przeciwwłamaniowego, na ścianie przy wejściu. Patrzyłem i patrzyłem bez końca: nagle w moim polu widzenia pojawił się Fritzie, zacmokał w głos, po czym zdarł prześcieradło ze stołu. Na blacie leżało ciało korpulentnej kobiety, przecięte wpół w talii, z fryzury i makijażu przypominała Elizabeth Short. Fritzie schwycił Charliego Isslera za kark i wysyczał: - Pragnę wam przedstawić piękną nieznaną numer czterdzieści trzy. Każdy z was będzie miał możliwość ją pokroić, a teraz, który zrobi to najlepiej, wygrywa!

Issler zamknął oczy i mocno przygryzł dolną wargę. Stary Bidwell zrobił się purpurowy; piana puściła mu się z ust. Poczulem, że Durkinowi puściły zwieracze, i zobaczyłem połamane nadgarstki Orchardy, wygięte pod kątem prostym, ze sterczącymi kośćmi i widocznymi ścięgnami. Fritzie wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i nacisnął przycisk uwalniając ostrze.

- Pokażcie mi, jak to zrobiliście, wy śmiecie. Pokażcie mi to, czego nie napisano w gazetach. Pokażcie mi to, a będę wobec was miły i sprawię, że przestaniecie odczuwać wszelki ból! Bucky, rozkuj ich.

Nogi ugięły się pode mną. Wpadłem na Fritziego, przewróciłem go na podłogę, rzuciłem się w stronę alarmu i pociągnąłem za dzwignię. Jęk syreny alarmowej brzmiał tak donośnie, zdecydowanie i mocno, że odniosłem wrażenie, jakby to właśnie fale owego dźwięku wypchnęły mnie z magazynu, wsadziły do furgonetki i sprawiły, że dotarłem do drzwi domu Kay, bez jakichkolwiek wymówek czy pozorów zachowania lojalności wobec Lee.

I tak Kay Lake i ja związaliśmy się ze sobą na dobre.

22.

Uruchomienie alarmu było najodważniejszym dokonaniem w całym moim życiu.

Loewowi i Vogelowi udało się zatuszować całą sprawę. Mnie wydano z egzekucyjnego i przywrócono do służby mundurowej, patrolowania mego dawnego rewiru, w okolicy komendy głównej. Porucznik Jastrow, dowódca zmiany, miał układy z diabłem z prokuratury. Byłem pewien, że kontrolował wszystkie moje poczynania, czekając, aż zacznę brać w łapę, donosić albo zrobić jakiś inny, niewłaściwy ruch.

Nic z tym nie zrobiłem. W razie czego skonfrontowałiby słowo funkcjonariusza z pięcioletnim stażem, przeciwko oficerowi mającemu za sobą dwadzieścia dwa lata służby i oparcie w przyszłym prokuratorze okręgowym. Funkcjonariusze z patrolu, którzy odpowiedzieli na wezwanie, po tym jak uruchomiłem alarm, awansowali jako nowy zespół do wydziału egzekucyjnego, co miało zapewnić ich dożgonną wdzięczność i milczenie. Na pocieszenie mogę dodać, że dwie rzeczy uchroniły mnie przed popadnięciem w obłęd - Fritzie nikogo nie zabił, a kiedy sprawdziłem rejestry zwolnień z aresztu miejskiego, dowiedziałem się, że nasi czterej podejrzani zostali przyjęci jako ofiary wypadku samochodowego do szpitala Queen of Angels, a stamtąd przewieziono ich do kilku różnych szpitali psychiatrycznych „na obserwację”. Zgroza, jakiej doświadczyłem, pchnęła mnie zaś tam, dokąd przez tak długi czas, ze strachu i głupoty, pójść się nie odważyłem.

W ramiona Kay.

Tamtej pierwszej nocy była w równym stopniu powierniczką moich trosk, co kochanką. Obawiałem się hałasów i gwałtownych ruchów, więc to ona mnie rozebrała i powiedziała, żebym się nie ruszał - uciszając za każdym razem, gdy chciałem podjąć temat Fritziego albo Dalii. Dotykała mnie tak delikatnie, jakby ledwie muskała moją skórę, ja z kolei dotykałem każdego nie tkniętego fragmentu jej ciała, dopóki nie poczułem, że nie

jestem już zawziętym, skorym do bójki, zapalczywym gliniarzem. Potem powoli zaczęliśmy się wzajemnie pieścić i kochaliśmy się, a Betty Short pozostała gdzieś daleko.

W tydzień później zerwałem z Madeleine, „dziewczyną z sąsiedztwa”, której tożsamość ukrywałem przed Lee i Kay. Zrobiłem to, nie podając powodów, ale ta bogata zdzira i tak musiała mieć ostatnie zdanie: - Znalazłeś sobie kogoś bezpiecznego? Wrócisz do mnie, ja to wiem. Wyglądam jak ona.

Ona.

Minął miesiąc. Lee nie wrócił, dwaj handlarze prochami zostali skazani i powieszani za zabójstwo De Witta i Chasco, a moje ogłoszenie o Ogniu i Lodzie pojawiało się codziennie we wszystkich czterech gazetach w LA. Sprawa Short trafiła z pierwszych stron gazet na kolejne, prawie nie mieliśmy nowych doniesień i wszyscy prócz Russa Millarda i Harry'ego Searsa wrócili do swoich zwykłych obowiązków. Wciąż prowadzący jej sprawę Russ i Harry kursowali regularnie pomiędzy wydziałem a placówką terenową, spędzając wieczory w El Nido na studiowaniu akt. Kiedy schodziłem o 21 ze służby, wpadałem tam na chwilę, w drodze do domu Kay, coraz bardziej zdumiony, jak bardzo ta sprawa pochłonęła Russa Millarda. Stała się praktycznie jego obsesją. Siedział nad aktami do północy, zapominając o bożym świecie i zaniedbując swoją rodzinę. Ten człowiek wzbudzał zaufanie, aż chciało mu się wierzyć - kiedy opowiedziałem mu o Fritziem i magazynie, w ramach rozgrzeszenia objął mnie po ojcowsku i rzekł: - Podejdz do egzaminu na sierżanta. Po jakimś roku ja pójdę do Greena. On jest mi coś winien, a Harry przejdzie na emeryturę, i ty zostaniesz moim partnerem.

Była to całkiem obiecująca perspektywa i coraz częściej zacząłem bywać w hotelu. W wolne dni, kiedy Kay pracowała, a ja nie miałem nic do roboty, na okrągło czytałem akta. Teczek „R”, „S” i „T” nie było, co trochę utrudniało całą sprawę, ale poza tym wszystko zostało dopracowane idealnie. Moja prawdziwa kobieta zepchnęła Betty Short za linię Maginota, na terytorium zawodowej ciekawości, a ja czytałem, rozmyślałem i snułem hipotezy z punktu widzenia obiecującego, błyskotliwego detektywa, co zaprzepaściłem, uruchamiając alarm. Niekiedy czułem, że pewne szczegóły zaczynają łączyć się ze sobą, kiedy indziej żałowałem, że nie mam o dziesięć procent szarych komórek więcej, innym razem na widok tych kopii zaczynałem wspominać Lee.

Wciąż byłem z kobietą, którą ocalił od koszmaru. Kay i ja trzy, cztery razy w tygodniu bawiliśmy się w dom, późnym wieczorem, zwłaszcza teraz, gdy pracowałem na zmiany. Kochaliśmy się czule i omawialiśmy feralne wydarzenia minionych miesięcy, a ja mimo iż czułem się coraz lepiej, wewnętrznie pragnąłem, aby niedopowiedziane sprawy znalazły

swoje rozwiązanie - aby Lee wrócił, zabójca Dalii został schwytany, Madeleine pokochała się ze mną raz jeszcze w Red Arrow, a Ellis Loew i Fritzie Vogel ponieśli zasłużoną karę. Zawsze towarzyszyła temu mroczna wizja mnie samego, uderzającego Cecila Durkina, a zaraz potem pytanie: jak daleko posunąłbyś się tej nocy?

Najbardziej myśli te dręczyły mnie podczas pracy. Mój rewir obejmował teren Piątej Wschodniej od Main do Stanford, fatalną okolicę. Banki krwi, sklepy monopolowe sprzedające wyłącznie wódkę i tanie wino, przytułki dla bezdomnych. Niepisaną regułą było tu prawo pięści i obowiązywało również gliniarzy z patrolu. Gangi pijaczków pacyfikowało się do nieprzytomności, okładając podpitych osiłków masywną, służbową pałką; siłą wywalało się smoluchów z pośredniaka, kiedy zaczynali awanturować się, że nikt ich nie chce zatrudnić. W nieskończoność zwijało się tych samych pijaczków i bezdomnych, aby tylko wyrobić żadaną normę, a kiedy któryś z delikwentów próbował zwać z furgonetki, dostawał solidny łomot.

To była wyczerpująca praca i jedynymi funkcjonariuszami, którzy jako tako sobie radzili, byli ci przeniesieni z Oklahomy - tęgę osiłki, zatrudnieni w czasie wojny z uwagi na niedobory kadrowe. Ja podczas patrolu nie dawałem z siebie wszystkiego - ograniczałem się do lekkich szturchnięć pałką, rozdawania pijaczkom drobnych, aby zmyli się z ulicy i raczej przesiadywali w tanich barach, gdzie nie musiałbym się z nimi użerać, a co do aresztowań bezdomnych rzadko kiedy wyrabiałem normę. Zyskałem sobie reputację gliniarza „o gołęmbim sercu”; Johnny Vogel dwukrotnie przyłapał mnie, jak dawałem parę groszy bezdomnym, i robił z tego szum. Porucznik Jastrow po pierwszym miesiącu służby w patrolu wystawił mi ocenę mierną, a jak pokątnie usłyszałem, uczynił to ze względu na moją „wyraźną niechęć do zastosowania środków przymusu bezpośredniego wobec wyjątkowo krnąbrnych i zatwardziałych sprawców rozmaitych przestępstw oraz wykroczeń”. Kay miała z tego ubaw, a ja tak liche papiery, że nawet Russ Millard z całym jego entuzjazmem nie byłby w stanie przywrócić mnie do pracy w wydziale.

I tak wróciłem do miejsca, gdzie znajdowałem się przed walką i obligacjami, tyle że bardziej na wschód i w dodatku pieszo. Mojemu awansowi do egzekucyjnego towarzyszyło mnóstwo plotek, teraz zaś spekulowano, co spowodowało mój upadek. Według jednej z wersji popadłem w niełaskę za pobicie Lee, według innych wdałem się w walkę na pięści z żółtodziobem z komendy przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, zwycięzcą Złotych Rękawic z roku '46, a w dodatku wkurzyłem Ellisa Loewa, przekazując poufne informacje na temat sprawy Dalii konkurencyjnej rozgłośni radiowej, przeciwnej jego kandydaturze na prokuratora okręgowego. Wszystkie te pogłoski ukazywały mnie jako bolszewika,

dwulicowego drania, tchórza i głupca; kiedy po dwóch miesiącach mojej służby na koniec raportu ujrzałem zdanie: „Pasywne zachowanie funkcjonariusza podczas patrolu sprawiło, że wszyscy trzeźwo myślący policjanci służący na tej samej zmianie co on żywią wobec niego otwartą niechęć, a nawet wrogość”, zacząłem poważnie zastanawiać się, czy nie zacząć rozdawać biednym większych sum pieniędzy, a każdemu glińiarzowi, który krzywo na mnie spojrzy, nie przefasonować facjaty.

I wtedy ona wróciła.

Podczas służby nigdy o niej nie myślałem; kiedy studiowałem akta, wykonywałem po prostu czynności śledcze, łącząc fakty i snując rozmaite teorie. Kiedy kochając się z Kay, zbyt się zaangażowałem, przychodziła mi z pomocą, robiła swoje i znikwała, kiedy tylko kończyliśmy. Żyła natomiast własnym życiem, kiedy zapadałem w sen i stawałem się kompletnie bezbronny.

To zawsze był ten sam sen. Znajdowałem się w magazynie wraz z Fritziem Vogelem, który powoli, lecz systematycznie zakatowywał Cecila Durkina na śmierć. Ona patrzyła i krzyczała, że nie zabił jej żaden z tych świrów, obiecywała, że mi się odda, jeżeli tylko sprawię, że Fritzie przestanie okładać pięściami Charliego Isslera. Przerzywałem mu, złąkniony seksu. A potem, gdy już posiadałem Betty, Fritzie kontynuował swoje sadystyczne dzieło, a Elizabeth zalewała się łzami.

Zawsze budziłem się spragniony dziennego światła, cieszyłem się, że jest już jasno, zwłaszcza jeśli była obok mnie Kay.

4 kwietnia, prawie dwa i pół miesiąca po zaginięciu Lee, Kay dostała oficjalne pismo na urzędowej papeterii z pieczęcią policji Los Angeles. Pismo było następującej treści:

3.04.47

Droga panno Lake,

Niniejszym pragnę poinformować, że Leland C. Blanchard z dniem 15.03.47 został oficjalnie zwolniony ze służby w wydziale policji Los Angeles pod zarzutem zachowania niegodnego stróża prawa. Jest Pani beneficjentką złożonego na jego nazwisko rachunku w banku City Credit Union w Los Angeles i jako że pan Blanchard pozostaje nieuchwytny, uważamy za nasz obowiązek przesłać Pani czek na sumę, na jaką opiewa konto.

Z poważaniem
Sierżant Leonard V. Strock
Wydział Kadr

Do pisma dołączono czek na czternaście dolarów i jednaście centów. To przyprawiło mnie o białą gorączkę, miałem chęć kogoś zabić i ze zdwojoną siłą zaatakowałem opasłe akta, aby nie rozpocząć walki z całkiem nowym wrogiem - biurokracją, której stałem się niewolnikiem.

23.

Dwa dni później wychwyciłem związek: stało się to nagle i kompletnie zdębiałem.

To był mój własny raport z prac w terenie 17/01/47. Przy nazwisku Marjorie Graham napisałem: M.G. twierdzi, że E. Short używa różnych zdrobnień imienia Elizabeth, w zależności od towarzystwa, z jakim się zadaje.

Bingo.

Usłyszałem, że Elizabeth Short była nazywana „Betty”, „Beth” i raz czy dwa „Betsy”, ale tylko Charles Michael Issler, alfons, mówił o niej jako o „Liz”. W magazynie zaprzeczał, jakoby ją znał. Co prawda nie wyglądał mi na zabójcę, ale to, czego się dowiedziałem, brzmiało interesująco. Wcześniej myśląc o magazynie, myślałem o Durkinie i martwej, bezimiennej kobiecie, której widok tak mną wstrząsnął; teraz opierałem się wyłącznie na faktach.

Fritzie nieomal pobił Isslera na śmierć, ignorując trzech pozostałych świrów.

To, co robił, przetykał słowami: „Mów wszystko o tamtych dniach, kiedy zginęła Dalia”, „Gadaj, co wiesz”, „Czego się dowiedziałeś od swoich dziewczyn”.

Issler odpowiedział: „Wiem, że ty byłeś w obyczajówce”. Wydawało mi się, że tej nocy Fritziemu trzęsły się ręce; przypomniałem sobie, jak krzyczał do Lorny Martilkovej: „Puszczając się z Dalią, prawda? Mów, gdzie byłeś w dniach kiedy zniknęła!” I wreszcie ostatnie stwierdzenie, które padło podczas naszej wyprawy do Valley, kiedy Fritzie i Johnny Vogel szepotali po cichu między sobą.

„Udowodniłem, że nie jestem ciotą. Pedzie nie byliby w stanie zrobić tego co ja”, „Milcz, do cholery”.

Wybiegłem na korytarz, wrzuciłem monetę do automatu i wybrałem numer Russa Millarda w wydziale.

- Wydział zabójstw. Porucznik Millard.
- Russ, tu Bucky.
- Coś się stało, bystrzaku? Wydajesz się czymś wstrząśnięty.

- Russ, chyba coś mam. Nie mogę ci teraz powiedzieć, ale musisz mi wyświadczyć dwie przysługi.

- Chodzi o Elizabeth?

- Tak. Cholera, Russ...

- Uspokój się i mów.

- Potrzebuję z obyczajówki akta Charlesa Michaela Isslera. Był trzy razy skazany za stręczycielstwo, więc muszą mieć jego teczkę.

- I?

Przełknąłem ślinę. - Chcę sprawdzić, co robili Fritz i John Vogelowie w dniach od 10 do 15 stycznia.

- Chcesz powiedzieć...

- Mówię tylko - być może. Ale to bardzo poważne przypuszczenie.

Zapanowała długa cisza, aż w końcu: - Gdzie jesteś?

- W El Nido.

- Zostań tam. Oddzwonię w ciągu pół godziny.

Odłożyłem słuchawkę i czekałem, rozmyślając o słodkiej chwili i zemście. Telefon zadzwonił w siedemnaście minut później; błyskawicznie podniosłem słuchawkę. - I co, Russ...

- Akta zniknęły. Osobiście szukałem pod „I”. W szufladzie panował straszny bałagan, więc przypuszczam, że teczkę zabrano całkiem niedawno. Co do drugiej kwestii, Fritzie był w tych dniach na dyżurze, pracując po godzinach nad starymi sprawami, a Johnny był na urlopie; nie wiem, dokąd pojechał. Czy teraz powiesz mi, o co chodzi?

- Coś mi przyszło do głowy. Nie teraz. Spotkajmy się wieczorem. Późnym wieczorem. Gdybyś mnie tu nie zastał, poczekaj na mnie.

- Bucky...

- Później, padre...

*

Tego popołudnia wziąłem chorobowe, a tej nocy popełniłem dwa włamania z wtargnięciem.

Moja pierwsza ofiara pracowała na zmiany: zadzwoniłem do wydziału kadr i podając się za pracownika działu płac budżetówki, zdobyłem jego adres i numer telefonu. Numer się powiódł, o zmierzchu zaparkowałem wóz po drugiej stronie ulicy i przyjrzałem się kamienicy, którą John Vogel nazywał domem.

Był to trzypiętrowy budynek zdobiony sztukaterią, przy Mentone niedaleko granicy

LA-Culver City, łososioworóżowa budowla mająca po obu stronach identyczne, tyle że pomalowane na brązowo i zielono. Na rogu stała budka telefoniczna. Skorzystałem z niej, by wybrać numer Johnny'ego Nieświeżego Oddechu, w ramach upewnienia się, że tego dnia na pewno nie ma go w domu. Odczekałem dwadzieścia sygnałów, ale nikt nie odebrał. Podszedłem powoli, znalazłem drzwi na parterze z tabliczką Vogel pod otworem do wrzucania listów; przy pomocy szpilki do włosów sforsowałem zamek i wszedłem do środka.

Znalazłszy się wewnątrz, wstrzymałem oddech, spodziewając się, że lada moment rzuci się na mnie pies szkolony do zabijania. Spojrzałem na fosforyzującą tarczę mego zegarka i zacząłem rozglądać się za włącznikiem światła.

Dostrzegłem stojącą lampę. Podszedłem do niej, pociągnąłem za sznureczek i oświetliłem wnętrze schludnego saloniku. Była tu całkiem miła kanapa z fotelami, imitacja kominka, na ścianach plakaty z Ritą Hayworth, Betty Grable i Ann Sheridan Scotch, a stół do kawy udrapowano czymś, co wyglądało jak prawdziwa japońska flaga. Telefon stał na podłodze, przy kanapie, obok leżał notes z adresami. Postanowiłem poświęcić mu połowę czasu, jaki zamierzałem tu spędzić.

Sprawdziłem każdą stronę. Nie było tu nazwiska Betty Short, Charlesa Isslera ani żadnego z tych, które pojawiły się w aktach lub w małym, czarnym notesiku Betty. Pięć minut minęło, zostało jeszcze pięć.

Kuchnia, jadalnia i sypialnia przylegająca do salonu. Zgasilem lampę, podszedłem po ciemku do uchylonych drzwi sypialni i macałem przez chwilę po ścianie, w poszukiwaniu włącznika światła. Znalazłem go i nacisnąłem.

Nie posłane łóżko, cztery ściany ozdobione japońskimi flagami i duża komódka. Wysunąwszy pierwszą szufladę, ujrzałem trzy niemieckie lugery, parę zapasowych magazynków i garść naboju luzem, zamiłowanie Johnny'ego do szwabskiej broni rozbawiło mnie do łez. Potem wysunąłem środkową szufladę i aż dreszcz przeszedł mi po plecach.

Czarne, skórzane uprząże, łańcuchy, pejcze, nabijane ćwiekami obroże, kondomy z Tijuany, które przez specjalne końcówki wydłużały się o dodatkowe sześć cali. Świerszczyki ze zdjęciami nagich kobiet chłostanych przez inne kobiety i robiące loda szczerze obdarzonym przez naturę mężczyznom w skórzanych strojach. Zbliżenia ukazujące opasłe ciała, ślady po igłach, paznokcie ze zdartym lakierem i szkliste oczy. Nie było tu Betty Short, Lorny Martilkovej ani „Niewolnic z piekła rodem”, egipskiej scenografii ani nawiązania do Duke'a Wellingtona, tylko ta jedna zbieżność - pejcze i wzmianka koronera o „lekkich śladach chłosty” - ale to wystarczyło, aby od tej pory Johnny Vogel stał się podejrzanym numer jeden w sprawie Dalii.

Pozasuwałem szuflady, zgasilem lampę, wszedłem do pokoju, zapaliłem lampę i sięgnąłem po notes. „Tata i mama” byli wpisani pod numerem GRanite 9401; gdyby nikt nie odebrał, do miejsca drugiego włamania miałem stąd góra dziesięć minut drogi. Wybrałem numer, odczekałem dwadzieścia pięć sygnałów, ale Fritz Vogel nie podniósł słuchawki. Zgasilem światło i zwinąłem żagle.

Mały, drewniany domek Vogela seniora tonął w ciemnościach, kiedy zaparkowałem samochód naprzeciw niego. Siedziałem za kółkiem, przypominając sobie rozkład pomieszczeń zapamiętany z poprzedniej wizyty - z długiego korytarza wchodziło się do dwóch sypialni, kuchni, można było wyjść na ganek na tyłach, a naprzeciwko łazienki znajdowały się jeszcze jedne zamknięte drzwi. Jeżeli Fritzie miał swój prywatny gabinet, to właśnie tam. Dotarłem przez podjazd na tyły domu. Siatkowe drzwi na ganek były otwarte. Na paluszkach minąłem pralkę i dotarłem do drzwi do domu. Były zrobione z solidnego drewna, ale macając dłonią wzdłuż framugi, stwierdziłem, że zabezpieczono je zwykłym zamkiem zapadkowym. Poruszyłem klamką i poczułem, że drzwi nieznacznie ustępują; gdybym tylko znalazł jakiś metalowy przedmiot, powinienem bez trudu dostać się do środka.

Ukląknęłam i zacząłem szukać obiema dłońmi po podłodze, aż w końcu moje palce natknęły się na coś metalowego. Macając przed sobą jak ślepiec, stwierdziłem, że był to stary, prętowy wskaźnik poziomemu oleju. Uśmiechnąłem się, zadowolony, że dopisało mi szczęście, wstałem i raz, dwa otworzyłem drzwi.

Zaaferowany całą sytuacją przeszedłem przez kuchnię, dotarłem do korytarza i ruszyłem wzdłuż niego, wyciągając przed siebie obie ręce, by uniknąć bliższego spotkania z czymś, co mogło znaleźć się na mojej drodze. W blasku nocnej lampki, której światło sączyło się przez uchylone drzwi łazienki, dotarłem do drzwi pokoju, gdzie jak sądziłem, znajdował się gabinet Fritziego. Nacisnąłem klamkę, a drzwi ustąpiły.

W małym pokoiku panowały egipskie ciemności. Przez chwilę snułem się wzdłuż ścian, zahaczając o ramy zdjęć, a raz nieźle się wystraszyłem, gdy rąbnąłem kolaniem o wysoki, chwiejny przedmiot. Już miał się przewrócić, ale schwyciłem go - to była stojąca lampa. Pociągnąłem za sznurek i zapaliłem ją.

Światło.

Zdjęcia przedstawiały Fritziego w mundurze i po cywilnemu, stojącego na baczność z innymi adeptami Akademii, rocznik 1925. Pod przeciwległą ścianą stało biurko zwrócone w stronę okna przesłoniętego aksamitną zasłoną, obrotowy fotel i szafka na akta.

Wysunąłem górną szufladę i zacząłem przerzucać manilowe teczki z pieczęcią „raporty z dochodzeń, wydział włamań”, wszystkie z nazwiskami na dołączonych z boku

fiskach. Poszukując jakiegoś wspólnego mianownika, sprawdziłem pierwsze strony w następnych trzech teczkach, na jakie się natknąłem; w każdej z nich napotkałem tylko jedną, skopiowaną kartkę. Ale te pojedyncze stronicie w zupełności mi wystarczyły. Były tam rozliczenia, rachunki bankowe i wykaz majątku znanych policji przestępców, których jednak wydział nie był w stanie tknąć, w zgodzie z literą prawa. Zgodnie z zapisami u góry każdej ze stron, dokumenty miały trafić z policji do federalnych, aby agenci rządowi mogli wszcząć śledztwa w związku z niepłaceniem podatków przez tego czy innego gagatka. Odręczne adnotacje, numery telefonów i adresy na marginesach rozpoznałem bez trudu - było to pismo Fritziego Vogela.

Oddychałem płytko i nerwowo, zastanawiając się intensywnie: w grę wchodziła jakaś grubsza robota. Albo Vogel szantażował bandziorów treścią akt, które posiadał, albo dawał im cynk o sprawach, jakie miano im wytoczyć.

Wymuszenie pierwszego stopnia.

Kradzież i przechowywanie oficjalnych dokumentów policji.

Utrudnianie postępowania śledczego.

Ale ani śladu Johnny'ego Vogela, Charliego Isslera - ani Betty Short.

Zajrzałem do kolejnych czternastu teczek, w każdej z nich napotkałem identyczne, nabazgrołone raporty i sprawozdania finansowe. Zapamiętałem nazwiska na fiskach, po czym wysunąłem dolną szufladę. Zobaczyłem napis „Raport n/t notorycznego przestępcy, wydział obyczajowy policji” i pojąłem, że trafiłem w dziesiątkę.

Na jednej stronie znajdowały się szczegóły dotyczące aresztowań, modus operandi i całej niechlubnej kariery Charlesa Michaela Isslera, mężczyzny rasy białej, ur. w Joplin, Missouri, w roku 1911; na stronie drugiej zamieszczono listę „znanych współników”. Kontrola „wykazu dziwek” dokonana w czerwcu 1946 przez jego kuratora wykazała sześć nazwisk dziewcząt, ich numery telefonów, daty aresztowań i wyroki za uprawianie nierzędu. Pod znakiem zapytania i dopiskiem „Brak wcześniejszych informacji o zatrzymaniu za uprawianie prostytucji” znalazły się cztery nazwiska. Przy trzecim nazwisku „Liz Short” dopisano: „przelotna przygoda?”.

Zajrzałem na trzecią stronę i przejrzałem kolumnę opisaną jako „Znani współnicy, cd.” Moją uwagę zwróciło jedno nazwisko. „Sally Stinson” widniało na jednej ze stron czarnego notesiku Betty Short, ale żaden z czterech zespołów śledczych nie zdołał jej namierzyć. W nawiasie przy jej nazwisku jakiś funkcjonariusz obyczajówki napisał: (Obsługuje bary w Biltmore, uczestników konwentów). Wpis ten został obwiedziony tuszem, używanym przez Fritziego.

Zmusiłem się, by myśleć jak inspektor śledczy, a nie głodny zemsty dzieciak. Pomijając kwestie wymuszeń, nie ulegało wątpliwości, że Charlie Issler znał Betty Short. Betty znała Sally Stinson, która pracowała w Biltmore. Fritz Vogel nie chciał, by ktokolwiek o tym wiedział. Zapewne zaaranżował tę pokazówkę w magazynie, aby dowiedzieć się, ile Sally i/lub inne dziewczyny opowiedziały Isslerowi o Betty i mężczyznach, z którymi się zadawała.

„Udowodniłem, że nie jestem ciotą. Cioty nie byłyby w stanie zrobić tego co ja. Nie jestem już prawnikiem, więc nie nazywaj mnie ciotą”.

Poodkładałem teczki na miejsce, zasunąłem szuflady, zgasilem światło i zamknąłem tylne drzwi, po czym wyszedłem przez frontowe, jak gdyby nigdy nic, zastanawiając się przez moment, czy istniał jakiś związek między Sally Stinson a brakującą teczką z archiwum, z aktami na literę „S”. Zmierzając do mego auta, uświadomiłem sobie, że to mało prawdopodobne, Fritzie nie wiedział o naszej bazie w El Nido.

I wtedy coś mi przyszło do głowy - gdyby Issler zaczął mówić o Liz i jej klientach, musiałbym to usłyszeć. Fritzie był więc przekonany, że potrafi mnie skutecznie uciszyć. Zlekceważył mnie, a ja postanowiłem, że drogo zapłaci za swój błąd.

*

Russ Millard powitał mnie słowami: - To zdawaj raport, posterunkowy.

Opisałem mu szczegółowo całą historię. Kiedy skończyłem, zsalutował Elizabeth Short, której zdjęcia wisiały na ścianie, i rzekł: - Coś się ruszyło, kochanie - i wyciągnął do mnie rękę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, jak ojciec i syn po wielkim meczu. - Co dalej, padre?

- Teraz wrócisz na służbę, jakby nic się nie stało. Harry i ja przycisniemy Isslera u czubków, a poza tym wyznaczę paru ludzi, żeby poszukali Sally Stinson.

Przełknąłem ślinę: - A Fritzie?

- Będę musiał się nad tym zastanowić.

- Chcę go przygwoździć.

- Wiem. Ale pamiętaj o jednym. Ludzie, których szantażuje, to przestępcy, którzy nigdy nie zgodziliby się zeznawać przeciwko niemu w sądzie, i jeśli Fritzie coś zwęszy, zniszczy akta i nie będziemy go nawet mogli wsadzić za przestępstwa międzywydziałowe. Póki co, to wszystko musi pozostać między nami. A co do ciebie, lepiej się pohamuj i trzymaj nerwy na wodzy, dopóki nie będzie po wszystkim.

- Chcę wziąć udział w jego zatrzymaniu - dodałem.

Russ skinął głową: - To oczywiste. - Wychodząc, eleganckim gestem uchylił przed

Elizabeth kapelusza.

*

Wróciłem do pracy zmianowej i odgrywania roli gliny o miękkim sercu. Russ zlecił swoim ludziom poszukiwania Sally Stinson. Następnego dnia zadzwonił do mnie z dwiema wiadomościami - dobrą i złą. Charles Issler znalazł sobie prawnika, który załatwił mu, bazując na habeas corpus, zwolnienie ze szpitala. Wyszedł z wariatkowa przed trzema tygodniami. Jego mieszkanie w LA zostało gruntownie wyczyszczone, a on jakby się zapadł pod ziemię. To podziało na mnie jak kopniak między nogi, ale sprawa wymuszeń Fritziego skutecznie załagodziła ten ból.

Harry Sears sprawdził wykaz zatrzymań dokonanych przez Fritziego, od pracy w wydziale oszustw w 1934 aż do czasów obecnych i służby w wydziale śledczym komendy głównej policji. Vogel w ciągu tego okresu aresztował wszystkich przestępców, których akta przechowywał teraz w swoim prywatnym archiwum. A federalni nie skazali żadnego z nich.

Następnego dnia miałem dzień wolny i spędziłem go w El Nido, poszukując jakichś potwierdzeń. Russ zadzwonił, aby mnie powiadomić, że nie udało mu się wpaść na trop Isslera, najwyraźniej nasz ptaszek wyfrunął z miasta. Harry przez cały czas dyskretnie inwigilował Johnny'ego Vogela, a kumpel pracujący w obyczajówce w Zachodnim Hollywood podał mu kilka adresów znajomków Sally Stinson. Russ po wielokroć przypominał mi, że mam zachować spokój i zimną krew. Wiedział doskonale, że to, czego się dowiedziałem, pozwoli na wtrącenie Fritziego do Folsom, a Johnny'ego zaprowadzi do komory gazowej.

W czwartek miałem wrócić na służbę i wstałem wcześniej, aby spędzić rano na przeglądaniu akt. Właśnie zaparzyłem kawę, kiedy zadzwonił telefon.

Podniosłem słuchawkę. - Tak?

- To ja, Russ. Mamy Sally Stinson. Spotkajmy się za pół godziny przy North Havenhurst 1546.

- Już jadę.

*

Pod wskazanym adresem mieściła się kamienica w stylu hiszpańskiego zamku, z bielonego betonu wzniesiono ozdobne wieżyczki, balkony były osłonięte wyblakłymi od słońca markizami. Do drzwi poszczególnych mieszkań prowadziły ozdobne chodniki. Russ stał przy tym najdalszym po prawej.

Zostawiłem wóz na zakazie i podszedłem do Millarda szybkim krokiem. Facet w wymiętym garniturze, z tekturową czapczką na głowie, ewidentnie jakiś imprezowicz szedł

chodnikiem z szerokim uśmiechem na twarzy. - Nowa zmiana, co? - wybełkotał. - Teraz chodźcie po dwóch, jeden pisze, drugi czyta, co?

Russ ruszył pierwszy po schodach. Ja zastukałem do drzwi; niemłoda już blondynka z rozwichrzonymi włosami i rozmazanym makijażem otworzyła gwałtownie i rzuciła: - Czego zapomniałeś tym razem? - Po czym dodała: - O cholera.

Russ wyjął odznakę. - Policja. Czy pani Sally Stinson?

- Nie, Eleanor Roosevelt. Posłuchaj pan, ostatnimi czasy sporo się dzieliłam z ludźmi szeryfa na różne sposoby, więc chyba mam prawo do spokoju. O co chodzi?

Zacząłem wciskać się do środka; Russ chwycił mnie za rękę.

- Panno Stinson, chodzi o Liz Short i Charliego Isslera, możemy porozmawiać o tym tu albo w więzieniu dla kobiet.

Sally Stinson otuliła się szczerzej szlafrokiem. - Posłuchaj pan, już mówiłam tamtemu - zaczęła i nagle zamilkła. Wyglądała jak przerażona, żałosna ofiara stojąca naprzeciw potwora ze starego filmu grozy.

- Nie jesteśmy od niego. Chcemy tylko pomówić o Betty Short.

Sally otaksowała nas wzrokiem. - I on się o niczym nie dowie?

Russ posłał jej swój uśmiech ojca-spowiednika i skłamał: - Nie, to będzie poufna rozmowa.

Sally odstąpiła na bok. Russ i ja weszliśmy do typowego kurwidołka, tanie meble, gołe ściany, pod ścianą spakowane walizki, na wypadek gdyby trzeba było szybko się zwijać. Gdy Sally zamknęła drzwi na zasuwkę, ja spytałem: - Kim jest facet, o którym pani wspomniała, panno Stinson?

Russ poprawił węzeł krawata; zamknąłem się. Sally wskazała palcem kanapę. - Zróbmy to szybko. Nie cierpię rozdrapywania starych ran.

Usiadłem; blisko mego kolana z dziury w tapicerce wysunął się koniec sprężyny i trochę wyściółki. Russ usadowił się w fotelu i wyjął notes. Sally przycupnęła na walizkach, plecami do ściany, ze wzrokiem utkwionym w drzwi, jak osoba wprawiona w szybkich ucieczkach. Zaczęła od słów, które słyszałem nieraz od osób, z którymi ostatnio rozmawiałem: - Nie wiem, kto ją zabił.

Russ mruknął: - Rozumiem, ale zacznijmy od początku. Kiedy poznała pani Liz Short?

Sally podrapała malinkę między piersiami. - Latem zeszłego roku. Chyba w czerwcu.

- Gdzie?

- W barze Yorkshire House Grill, w centrum. Byłam wcięta i czekałam na...

Charliego. Liz urabiała takiego jednego starego pierdzielą, ale chyba za ostro, bo go w końcu wystraszyła. Potem zaczęliśmy rozmawiać i zjawił się Charlie.

- Co było potem? - wtrąciłem.

- Potem okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Liz stwierdziła, że jest bez grosza przy duszy, Charlie na to - możesz szybko zarobić dwie dychy, a Liz pewno, że tak, czemu nie. I wtedy Charlie wysłał nas na zjazd komiwojażerów, w Mayflower.

- I co?

- Liz była naprawdę boombowa. Jak chcecie poznać szczegóły, poczekajcie, aż wydam swoje pamiętniki. Ale mogę powiedzieć tylko jedno. Lubię ten sport, choć kiedy trzeba, umiem też poudawać, ale Liz była naprawdę niezła. Miała taką fobię, że robiła to zawsze w pończochach, ale była prawdziwą mistrzynią, należałby się jej Oscar.

Pomyślałem o filmie porno i dziwnym, wyciętym fragmencie lewego uda Betty.

- Czy słyszałaś, aby Liz występowała w jakichś filmach porno?

Sally pokręciła głową: - Nie, ale gdyby to zrobiła, byłaby naprawdę niezła.

- A znasz niejakiego Waltera „Duke’a” Wellingtona?

- Nie.

- Lindę Martin?

- Też nie.

Russ przejął pałeczkę. - Robiliście to jeszcze kiedyś razem z Liz?

Sally odparła: - Cztery, może pięć razy, latem zeszłego roku. Spotkania w hotelach. Z uczestnikami zjazdów i konwentów.

- A jakieś nazwiska? Organizacje? Rysopisy?

Sally zaśmiała się i podrapała między piersiami. - Panie policjancie, moje pierwsze przykazanie mówi, że masz mieć oczy mocno zamknięte i starać się zapomnieć. Jestem w tym dobra.

- Czy któreś z tych „hotelowych robótek” miały miejsce w Biltmore?

- Nie. W Mayflower, Hacienda House, chyba też w Rexford.

- Czy któryś z mężczyzn dziwnie zareagował na Liz? Był wobec niej brutalny?

Sally zahukała: - Przede wszystkim byli zadowoleni, bo naprawdę niezłe udawała.

Zawzięłem się na Vogela, toteż postanowiłem zmienić temat. - Opowiedz mi o tobie i Charliem Isslerze. Czy wiesz, że przyznał się do zabicia Dalii?

Sally odparła: - Z początku o niczym nie wiedziałam. Później... no cóż, wcale mnie to nie zdziwiło. Charlie ma, jakby to powiedzieć, prawdziwą słabość, taką manię do przyznawania się do tego typu rzeczy. Jeśli jakaś prostytutka zginie i trafi do gazet, w

Charliego coś wstępuje, przestaje być sobą, a potem potrzebuje sporo jodyny, kiedy już wróci, bo chłopaki z gumowymi wężami zawsze mu dołożą.

- Czemu on to robi, pani zdaniem? - zapytał Russ.

- Może dręczy go poczucie winy? Ma wyrzuty sumienia?

- Tak myślisz? - wtrąciłem. - Opowiedz nam lepiej, co robiłaś w dniach od dziesiątego do piętnastego stycznia, a potem o tym facecie, którego wszyscy nie znosimy.

- Bo nie mam wyboru, co?

- Masz. Możesz zrobić to tu albo na komendzie.

Russ mocno pociągnął za krawat. - Czy pamięta pani, gdzie spotykała się z tymi mężczyznami, panno Stinson?

Sally wyjęła z kieszeni papierosa i zapalki, po czym zapaliła jednego. - Wszyscy, co znali Liz, pamiętają, gdzie wtedy byli. To tak jak ze śmiercią Roosevelta. Chciałoby się wrócić, i, no wiecie, zmienić to.

Już miałem ją udobruchać, ale Russ wszedł mi w słowo: - Mój partner nie chciał być obcesowy, panno Stinson. Ma taką naturę, a ta sprawa jest dla niego szczególnie ważna.

To było niezłe. Sally Stinson zgasiła niedopałek na podłodze gołą stopą, po czym poklepała dłonią walizkę.

- Gdy tylko stąd wyjdziecie, zwijam się. Powiem wam, co chcecie wiedzieć, ale nie zamierzam tego powtarzać przed prokuratorem, ławą przysięgłych, czy innymi glinami. Ja nie żartuję. Jak stąd wyjdziecie, to pa, pa, Sally.

- Umowa stoi - rzekł Russ.

Na policzkach Sally pojawiły się rumieńce, a gniew w jej oczach ujął dziewczynie dobrych dziesięć lat.

- W piątek, dziesiątego, dostałam telefon do hotelu, w którym się zatrzymałam. Facet przedstawił się jako kumpel Charliego i powiedział, że chce mnie wynająć, żebym rozprawczyła jego młodszego kolesia. Dwa dni w Biltmore, za półtorej stowy. Ja mu na to, że od jakiegoś czasu nie widziałam Charliego i skąd ma mój numer? Wtedy on: „To nieważne, spotkaj się ze mną i z chłopakiem jutro w południe, pod Biltmore”. Jestem splukana, więc mówię, dobra i spotykam się z tymi dwoma. Wielkie tłuste typy z kłamami w kaburach. Wiem, że to ojciec i syn, zgrywają gliniarzy. Forsa przechodzi z rąk do rąk, synek ma cuchnący oddech, ale to mnie nie rusza. Wtedy on mówi, jak się nazywa jego stary, i zaczynam się bać, ale tatko znika, a dzieciak jest tak miękki, że poradziłabym sobie z nim bez trudu, gdyby było trzeba.

Sally zapaliła kolejnego papierosa. Russ podał mi zdjęcia Vogelów z policyjnych akt.

Pokazałem jej zdjęcia.

Mruknęła: - To oni. - I wypaliła im twarze żarzącym się koniuszkiem chesterfielda, po czym mówiła dalej. - Vogel wynajął pokój. Synek i ja poszliśmy do łóżka, próbował przekonać mnie do użycia okropnych gadżetów, które ze sobą zabrał. Ja mu na to - nic z tego, złociutki. Prędeż piekło zamarznie. I wtedy on...

Wszedłem jej w słowo: - Czy wspominał o filmach porno? O lesbijskich filmikach?

Sally parsknęła: - Cały czas gadał o baseballu i swoim wacku. Nazywał go Wielką Parówą i wiecie co? Wcale nie był taki duży...

Russ wtrącił: - Proszę mówić dalej, panno Stinson.

- No cóż, pieprzyliśmy się całe popołudnie, a ja słuchałam, jak ten gnojek chrzani o Dodgersach z Brooklynu i Wielkiej Parówie, aż miałam go serdecznie dosyć. W końcu powiedziałam: „Zjedzmy coś i odetchnijmy świeżym powietrzem” - i zesliśmy do holu. A tam siedzi sobie Liz, całkiem samiuteńka. Mówi mi, że potrzebuje forsy, a ponieważ widzę, że przypadła synkowi do gustu, ustawiam ją na numerek z tym gościem. Wracamy do pokoju, ja odpoczywam, a oni idą do sypialni. Mniej więcej o wpół do pierwszej Liz wychodzi, szepcze do mnie: „Mała Parowa” - i więcej już jej nie widziałam, do czasu, aż w gazetach pojawiły się jej zdjęcia.

Spojrzałem na Russa. Wyszeptał: - Dulange.

Pokiwałem głową, wyobrażając sobie Betty Short wałęsającą się aż do dwunastego stycznia, z samego rana, gdy spotkała Francuza Joego. Brakujące dni Dalii zaczynały łączyć się ze sobą.

Russ mruknął: - Potem ty i John Vogel znów wróciliście do przerwanych czynności?

Sally rzuciła zdjęcia na podłogę: - Tak.

- Czy mówił z tobą o Liz Short?

- Chwalił się, że bardzo polubiła jego Wielką Parowę.

- Czy mówił, że mają się jeszcze spotkać?

- Nie.

- Czy wspominał o Liz i swoim ojcu, w jakimkolwiek kontekście?

- Nie.

- A co mówił o Liz?

Sally objęła się ramionami. - Stwierdził, że lubiła bawić się w jego gierki. Ja na to: w jakie gierki? A synek wtedy: w Pana i Niewolnicę albo w Gliniarza i Dziwkę...

- Mów dalej, proszę - powiedziałem.

Sally spojrzała na drzwi: - W dwa dni po tym jak Liz trafiła na pierwsze strony gazet,

Fritz Vogel odwiedził mnie w hotelu i powiedział, że dowiedział się od syna, że tamten się z nią bzykał. Powiedział, że sprawdził moje nazwisko w policyjnych aktach i popytał tu i ówdzie o moich... opiekunów. Wspomniałam o Charliem, Vogel pamiętał go z czasów, kiedy pracował w obyczajówce. A potem się wystraszył, bo Charlie miał tę manię przyznawania się do różnych zabójstw. Zadzwoił zaraz do swego kumpla z mojego telefonu i kazał mu zwać teczke Charliem, a potem znów zadzwonił i wkurzył się na dobre, bo ten, z którym rozmawiał, powiedział mu, że Charlie już siedzi i właśnie się przyznał do zabicia Liz... Wtedy mnie pobił. Zasyłał mnie pytaniami, chciał wiedzieć, czy Liz mówiła Charliemu, że pieprzyła się z synem gliniarza. Odparłam, że Charlie i Liz byli tylko znajomymi, choć parę razy podsylał ją swoim klientom. Ale ten typ lał mnie bez przerwy i zagroził, że mnie zabije, jeśli powiem glinom o jego synu i Dalii.

Wstałem, aby wyjść; Russ siedział nieruchomo. - Panno Stinson, wspomniała pani, że kiedy John Vogel wyjawiał pani nazwisko swego ojca, przestraszyła się pani. Dlaczego?

Sally wyszeptala: - Słyszałam o pewnym zdarzeniu. - Nagle dziwnie się postarzała, wyglądała na sterana życiem, zużyta.

- Co to za zdarzenie?

Sally odparła zduszonym szeptem: - Dotyczy tego, za co został wylany z obyczajówki.

Przypomniałem sobie słowa Billa Koeniga o tym, że pracując w obyczajówce, Fritzie nabawił się syfa od dziwek i musiał poddać się leczeniu preparatem rtęciowym.

- Złapał coś, zgadza się?

Sally zebrała się w sobie i odparła: - Z tego, co wiem, gość dostał syfa i ześwirował. Był przekonany, że nabawił się tego od jednej kolorowej, więc zrobił kipisz w jednym burdelu w Watts i kazał wszystkim dziewczynom, aby go obsłużyły, zanim jeszcze poddał się leczeniu. Kazał im też wtedy trzeć się wackiem po twarzy, dwie dziewczyny od tego oślepyły.

Kolana miałem bardziej miękkie niż tamtego razu, w magazynie. Russ rzekł: - Dziękuję, Sally.

- Chodźmy po Johnny'ego - mruknąłem.

*

Pojechaliśmy moim wozem na komendę. Johnny pracował na dziennej zmianie, ale wyrabiał też nadgodziny, więc o jedenastej powinniśmy bez problemu zastać go w rewirze.

Jechałem wolno, wypatrując znajomej postaci w granatowym mundurze. Russ miał strzykawkę i ampułkę pentotalu zabraną z przesłuchania „Rudego” Manleya; nawet on zdawał sobie sprawę, że nie obejdzie się bez użycia siły. Wjechaliśmy w alejkę na tyłach misji Jezusowej, gdy nagle go zauważyłem - dobrał się do skóry dwóm pijaczkom grzebiącym po

śmietnikach.

Wysiadłem z auta. Zawołałem: - Hej, Johnny!

Vogel pogroził pijaczkom palcem i podszedł do mnie, zatykając kciuki za szeroki, skórzany pas.

Zapytał: - Co robisz w cywilkach, Bleichert? - a ja wyrznąłem go hakiem w żołądek. Zgiął się wpół, ja zaś schwyciłem go za głowę i rąbnąłem nią o dach auta. Johnny zwiotczał i osunął się na chodnik. Przytrzymałem go; Russ podciągnął mu lewy rękaw i wstrzyknął mu głupiego jasia w żyłę, w zgięciu łokcia. Teraz całkiem urwał mu się film. Wyjąłem mu z kabury 38-kę, rzuciłem na przedni fotel i wcisnąłem Johnny'ego na tylne siedzenie. Usiadłem obok niego; Russ wślizgnął się za kierownicę. Pałac gumy, pomknęliśmy w głąb ulicy, pijaczkowie pomachali do nas butelkami w papierowych torbach.

Dotarcie do El Nido zajęło nam pół godziny. Johnny chichotał za sprawą podanych mu narkotyków, parę razy niemal się przebudził; Russ prowadził bez słowa. Kiedy dotarliśmy do hotelu, Russ zajrzał do holu, stwierdził, że nie było tam nikogo i od wejścia dał mi znak, że wszystko w porządku. Przerzuciłem sobie Johnny'ego przez ramię i zaniósłem do pokoju 204 - to była najtrudniejsza i najcięższa minuta w całym moim życiu.

W drodze na górę prawie się ocknął; zatrzepotał powiekami, kiedy opuściłem go na krzesło i przykułem jego lewy przegub do rury grzewczej. Russ rzekł: - Pentotal będzie działał jeszcze przez kilka godzin. Nie da rady nas okantować.

Zmoczyłem ręcznik w umywalce i przemyłem Johnny'emu twarz. Zakasłał, a ja odsunąłem ręcznik od jego twarzy.

Johnny zachichotał.

Powiedziałem: - Elizabeth Short. - I wskazałem na zdjęcia na ścianie.

Johnny z tępym wyrazem twarzy wybełkotał: - Co z nią?

Znów użyłem ręcznika, aby go trochę otrzeźwić. Johnny zakrztusił się, upuściłem mokry ręcznik na jego podolek.

- A co powiesz o Liz Short? Pamiętasz ją?

Johnny zaśmiał się; Russ skinął na mnie, abym usiadł obok niego na poręczu łóżka. - Jest na to sposób. Ja będę zadawał pytania. Ty tylko się opanuj.

Pokiwałem głową. Johnny patrzył na nas, ale źrenice miał maleńkie jak łebki szpilek, wzrok dość mętny, a wyraz twarzy głupawy. Russ zapytał: - Jak ci na imię, synu?

Johnny odparł: - Przecież mnie znasz, poruszszniku.

- Mimo to powiedz.

- Vogel. John Charlie.

- Data urodzenia?

- 6 maja 1922.

- Ile jest szesnaście dodać pięćdziesiąt sześć?

Johnny zamyślił się przez chwilę, po czym odparł: - Siedemdziesiąt dwa. - I skupił wzrok na mnie: - Dlaczego mnie uderzyłeś, Bleichert? Nigdy w niczym ci nie zawiniłem.

Grubas wydawał się szczerze zdumiony i zasmucony. Nie odezwałem się słowem; Russ zapytał: - Jak się nazywa twój ojciec, synu?

- Przecież go znasz, poruszczeni. O... Frederick Vogel. W skrócie Fritzie.

- W skrócie tak jak Liz od Elizabeth?

- Taa... jak Liz, Betty, Beth, Dalia... jest ich mnóstwo.

- Wróc pamięcią do stycznia, Johnny. Twój ojciec chciał, żebyś stracił dziewictwo, zgadza się?

- N-no tak...

- I zapłacił dziewczynie, żeby spędziła z tobą dwa dni, zgadza się?

- Nie dziewczynie. Dziwce. Prawdziwej spszszedajnej dziwce. - Zaśmiał się i spróbował klasnąć w dłonie. Klepnął się tylko dłonią w pierś, druga ręka tkwiła w obręczy kajdanek. - To nie jest w porządku - poskarżył się. - Powiem tacie.

Russ odparł ze spokojem: - To tylko na chwilę. A więc miałeś w Biltmore prostytutkę, zgadza się?

- Tak. Tato dostał zniżkę, bo znał hotelowego glinę.

- I także w Biltmore poznałeś Liz Short, zgadza się?

Na twarzy Johnny'ego pojawiły się nerwowe tiki, jego powieki i wargi zatrzepotały, na czoło wystąpiły żyłki. Wyglądał jak znokautowany bokser, który usilnie próbuje podźwignąć się z desek ringu.

- N-no tak...

- Kto ci ją przedstawił?

- No, ta, jak jej tam... Ta dziwka.

- I co potem robiłeś z Liz, Johnny? Opowiedz mi o tym.

- Graliśmy w różne... gierki. I zapoznałem ją z Wielką Parową. Bawiliśmy się w Jeźdźca i Klaczkę. Polubiłem Liz, więc trochę ją wychłostałem. Była miłsza od tej blond dziwki. Nosila pończochy, bo mówiła, że ma znamię, którego nie chce nikomu pokazywać. Spodobała się jej moja Parowa i całowała się ze mną, nie zmuszając, bym płukał usta płynem, jak ta blond dziwka. Robiło mi się od tego niedobrze.

Przypomniałem sobie ranę na udzie Betty i wstrzymałem oddech.

Russ zapytał: - Johnny, czy ty zabiłeś Liz?

Thúscioch zaczął wiercić się na krześle. - Nie! Nie nie nie nie nie! Nie!

- Cii. Spokojnie, synu. Kiedy Liz cię zostawiła?

- Ja jej nie pociąłem!

- Wierzymy ci, synu. A teraz odpowiedz, kiedy Liz cię zostawiła?

- Później, dużo później. W sobotę późnym wieczorem. O dwunastej, może o pierwszej?

- To znaczy, już w niedzielę, tak?

- Tak.

- Czy mówiła, dokąd się wybiera?

- Nie.

- Czy wspominała jakichś mężczyzn? Wymieniała jakieś nazwiska? Mówiła, z kim ma się spotkać?

- Ee... z jakimś lotnikiem, za którego wyszła.

- To wszystko?

- Tak.

- Widziałeś się z nią jeszcze?

- Nie.

- Czy twój ojciec znał Liz?

- Nie

- Czy nakłonił glinę hotelowego, aby zmienił nazwisko w księdze meldunkowej, po odnalezieniu ciała Liz?

- Ee... tak.

- Czy wiesz, kto zabił Liz Short?

- Nie! Nie!

Johnny zaczął się pocić. Ja także. Wyglądało na to, że mimo naszych najszczerzych chęci zabrnęliśmy w ślepią uliczkę - to był tylko jednorazowy numer. Zapytałem: - Opowiedziałeś ojcu o Liz, kiedy jej nazwisko trafiło do gazet, zgadza się?

- N-no tak...

- A on opowiedział ci o niejakim Charlesie Isslerze? Facecie, który był alfonsem Liz Short?

- Tak.

- I powiedział, że Issler przyznał się do jej zabicia i trafił do aresztu?

- Ee... tak.

- Teraz powiesz mi, co zamierzał z tym zrobić, zasrańcu. Tylko powoli i wyraźnie.

Thúscioch nie próbował oponować. - Tatko chciał, żeby Ellis, ten Żydek, wypuścił Isslera, ale nie udało mu się to. Tatko znał pewnego gościa z kostnicy, który był mu winien przysługę, zabrał tę sztywniaczkę NN i przedstawivszy swój pomysł, nakłonił Żydka, żeby przystał na jego propozycję. Tatko chciał, żeby pomógł mu w tym wujek Bill, ale Żydek się uparł, że ma zabrać ciebie. Tatko powiedział, że bez Blancharda nie dasz rady, że jesteś cienias. Że pękasz, nie masz ikry, brak ci jaj.

Johnny zaczął śmiać się histerycznie, kręcąc głową i rozpryskując dokoła kropelki potu, równocześnie grzechocząc kajdankami, jak zwierzę z zoo, któremu pokazano nową zabawkę. Russ stanął przede mną.

- Nakłonię go, aby podpisał zeznanie. masz pół godziny, aby ochłonać. Napoję go kawą, a kiedy wrócisz, pomyślimy, co robić dalej.

Wyszedłem wyjściem pożarowym; usiadłem na podeście, zwieszając nogi poza krawędź. Patrzyłem na auta sunące wzdłuż Wilcox do Hollywood i powoli się uspokajałem. W końcu zacząłem rozgrywać partię oczka, wykorzystując numery z tablic rejestracyjnych, auta sunące na północ przeciwko tym zmierzającym na południe, i te to byłem to ja, krupier, a te kierujące się na północ oznaczały Lee i Kay. Południe zatrzymało się na siedemnastu, północ zarobiło asa i królową, oczko. Dedykując tę partię całej naszej trójce, wróciłem do pokoju.

Johnny Vogel podpisywał właśnie zeznanie przygotowane przez Russa, był cały czerwony i spocony, jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Stanąłem za nim i zerkając mu przez ramię, przeczytałem treść zeznania. Opisane w nim wydarzenia, które rozegrały się w Biltmore, sprawę Betty i bicie, jakie Fritzie zaserwował Sally Stinson, w sumie cztery wykroczenia i dwa poważniejsze przestępstwa. Russ rzekł: - Teraz powinienem nad tym usiąść i porozmawiać z doradcą prawnym.

- Nie, padre - odparłem. I odwróciłem się do Johnny'ego: - Jesteś aresztowany za nakłanianie do nierzędu, utrudnianie postępowania wymiarowi sprawiedliwości i współudział w napaści i ciężkim uszkodzeniu ciała.

Johnny wykrztusił: - Tatko. - I spojrzał na Russa.

Russ spojrzał na mnie i podał mi zeznanie. Włożyłem je do kieszeni, po czym skułem Juniorowi ręce za plecami, grubas pochlipywał cichutko.

Padre westchnął: - Teraz już do emerytury będziesz miał pod górkę.

- Wiem.

- Nigdy nie wrócisz na wydział.

- Zawsze miałem pod górkę, padre. Chyba do tego przywykłem.

*

Doprowadziłem Johnny'ego do mego auta i zawiozłem go cztery przecznice dalej, na komendę Hollywood. Na schodach przed wejściem kłębili się dziennikarze i reporterzy; niemal poszaleli na widok funkcjonariusza po cywilnemu, prowadzącego zakutego w kajdanki mundurowego. Błysnęły flesze, dziennikarze rozpoznali mnie, a gdy zaczęli nawoływać mnie po nazwisku, odparłem krótko: - Bez komentarza. - W budynku niebiescy na nasz widok prawie oniemieli. Podprowadziłem Johnny'ego do stanowiska oficera dyżurnego i wyszeptałem mu do ucha: - Powiedz tacie, że wiem o wymuszeniach, jakich się dopuścił, z użyciem raportu federalnych, a także o tym że miał syfa i co zrobił w burdelu, w Watts. Powiedz mu, że jutro wszyscy będą mogli przeczytać o tym w gazetach.

Johnny pochlipywał cichutko. Do stanowiska podszedł oficer dyżurny w stopniu porucznika i zapytał: - Co to wszystko ma znaczyć?

Błysk flesza oślepił mnie na moment; zaraz jednak zobaczyłem Bevo Meansa z notesem i piórem w gotowości. Powiedziałem: - Ja to posterunkowy Dwight Bleichert, a to jest posterunkowy John Charles Vogel. - Przekazując porucznikowi zeznanie na piśmie, mruknąłem: - Do aresztu z nim.

*

Na obiad spałaszowałem potężny stek, po czym wybrałem się do centrum, na komendę główną, aby wrócić na normalną służbę. Gdy wszedłem do szatni, z głośnika dobiegło ochryple: - Funkcjonariusz Bleichert zgłosi się natychmiast do gabinetu szefa zmiany.

Zawróciłem i zapukałem do drzwi gabinetu porucznika Jastrowa. Zawołał: - Otwarte! - Wszedłem i zasalutowałem jak żółtodziób służbista. Jastrow wstał, zignorował mój salut i poprawił na nosie okulary w rogowych oprawkach, jakby widział mnie po raz pierwszy.

- Od tej pory, z dniem dzisiejszym masz dwa tygodnie urlopu, Bleichert. Kiedy wrócisz na służbę, zgłoś się do szefa Greena. Przeniesie cię na inny wydział.

Napawając się tą chwilą, jakby nigdy nic, zapytałem: - Dlaczego?

- Fritz Vogel właśnie palnął sobie w łeb. Oto dlaczego.

Na pożegnanie zasalutowałem z jeszcze większą werwą; Jastrow znów zignorował ten gest. Przemaszerowałem przez hol, rozmyślając o dwóch oślepionych dziwkach i zastanawiając się, czy dowiedzą się o tym i czy choć trochę się tym przejmą. W sali odpraw było pełno niebieskich oczekujących na przydział zadań; ostatnia przeszkoda, zanim dotrę na parking i pojedę do domu. Stawiłem im czoła powoli, z dumą, sztywno wyprostowany, nie

unikając skierowanych w moją stronę spojrzeń. Za moimi plecami raz po raz rozlegały się szepty: - Zdrajca! Bolszewik!

Byłem już przy drzwiach, gdy nagle usłyszałem głośne oklaski i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Russa Millarda i Thada Greena, którzy machali mi na pożegnanie.

24.

Znalazłem się na wygnaniu, na najgorszym zadupiu i byłem z tego dumny; miałem dwa tygodnie czasu, zanim rozpocznę służbę na jakimś posterunku, gdzie diabeł mówi dobranoc. Aresztowanie jednego i samobójstwo drugiego Vogela zostało zamiecione pod dywan, pod przykrywką oskarżeń o przestępstwa wewnętrzne i załamanie psychiczne ojca, który nie mógł znieść hańby, jaką przyniósł mu jego potomek. Zamknąłem dni mojej chwały w jedyny, sensowny dla mnie sposób - ścigając człowieka, który zniknął.

Zacząłem od poszukiwania jego tropów w LA.

Lektura raportów z aresztowań dokonanych przez Lee nie przyniosła spodziewanych rezultatów; wziąłem na spytki lesby z La Verne's Hideaway, aby dowiedzieć się, czy Lee odwiedził je ponownie, ale okazało się, że nie. Padre przekazał mi kopię pełnej listy aresztowań dokonanych przez Lee - i też nic. Kay, zadowolona z naszego monogamicznego związku, stwierdziła, że to, co robię, jest głupie, i zrozumiałem, że moje zachowanie w głębi serca ją przerażało.

Poszukiwanie związków między sprawami Isslera/Stinson/Vogela upewniło mnie co do jednego, że byłem detektywem. Myślenie jak ktoś pokroju Lee to co innego, ale zamierzałem dać z siebie wszystko. Bezwzględność, z jaką się stykałem i którą skrycie podziwiałem, tkwiła w nim o wiele głębiej, czyniąc moją troskę o niego bardziej niedwuznaczną. Jeżeli chodzi o fakty, sprowadzały się do tego:

Lee zniknął, kiedy Dalia, nadmiar benzedryny i zbliżający się termin warunkowego zwolnienia Bobby'ego De Witt sprzysięgły się przeciwko niemu.

Ostatni raz był widziany w Tijuanie, w dniach, gdy zmierzał tam Bobby De Witt, a sprawa Short zahaczyła o granicę meksykańską; De Witt i jego kumpel od prochów, Felix Chasco, zostali potem zamordowani i mimo iż za to zabójstwo odpowiedziało dwóch Meksykanów, mogła być to zasłona dymna; ot po prostu rurales starali się wymazać z rejestrów niechciane zabójstwo.

Wniosek: Lee Blanchard mógł zabić De Witt i Chasco, aby uchronić się przed zemstą

Bobby'ego, a Kay przed dalszymi upokorzeniami z jego strony. Wniosek z wniosku - mało mnie to obchodziło.

Moim następnym krokiem było prześledzenie zapisów z procesu De Witt. W archiwum przyswoiłem sobie kolejne fakty:

Lee wspominał, że informatorzy, którzy dali mu cynk, jakoby to De Witt był mózgiem napadu na bank Boulevard Citizens, opuścili miasto w obawie przed zemstą kumpli Bobby'ego. Ale w policyjnych aktach informatorom nie zakładano kartotek. De Witt był wcześniej aresztowany za narkotyki, a do skazania go doprowadziły pochodzące z kradzieży, oznakowane pieniądze, znalezione w jego domu oraz fakt, że nie miał alibi na czas, kiedy dokonano napadu na bank. Z czteroosobowego gangu dwóch bandytów zginęło na miejscu przestępstwa, De Witt został schwytany, a czwarty człowiek pozostawał na wolności. De Witt twierdzi, że nie wie, kim on był, mimo iż gdyby go wydał, mógłby liczyć na złagodzenie wyroku.

Wniosek: może to gliny go wrobiły, może w całą sprawę był zamieszany Lee, może to on zainicjował to wszystko, aby załagodzić spór z Bennym Siegelem, którego forszę zgarnęli prawdziwi złodzieje i którego Lee nie bez powodu się obawiał - bądź co bądź wbrew temu, co miał zrobić, nie wyłożył się w walce z Robalem. Potem na procesie Lee poznał Kay, zakochał się w niej miłością czystą i pełną poczucia winy, a następnie na dobre znienawidził De Witt. Wniosek z wniosku: Kay nie mogła o niczym wiedzieć. De Witt był szumowiną, który dostał to, na co zasłużył.

Ostatni wniosek: musiałem poznać prawdę u źródła, ostateczne potwierdzenie lub zaprzeczenie moich przypuszczeń.

Na czwarty dzień mego przymusowego urlopu wybrałem się do Meksyku. W Tijuanie rozdawałem na prawo i lewo peso i amerykańskie dziesięciocentówki, pokazywałem zdjęcia Lee i wypłacałem po ćwierć dolara za każdą informację.

Tłumy ludzi, gdybym się poślizgnął, rozdając monety, ani chybi by mnie zdeptali. W tej sytuacji zmieniłem taktykę na tradycyjną wymianę banknotów jednodolarowych na wieści od glin.

Policjanci z Tijuany, sępy w czarnych mundurach, mówili łamaną angielszczyzną, ale międzynarodowy język mieli opanowany do perfekcji. Na ulicy zagadnąłem chyba ze dwudziestu gliniarzy z patrolu, pokazując im zdjęcia i moją odznakę, po czym siłem się na zadawanie pytań w angielsko-hiszpańskim dialekcie. Tamci chwyтали w lot, kręcili głową przecząco, uśmiechali się szeroko i próbowali wciskać mi bardziej lub mniej prawdopodobne historie.

Jeden wspomniał o „el blanco explosivo”, który rozpląkał się podczas projekcji pornosa w Chicago Club, pod koniec stycznia, inny o wielkim blondynie, który pobił do nieprzytomności trzech alfonsów, ale wyłgał się od odpowiedzialności, przekupując gliniarzy paroma dwudziestodolarowymi banknotami, wyłuskanymi z grubego pliku. Na głowę wszystkie inne biła historia o Lee, który dał dwieście dolców misjonarzowi od trędowatych, którego poznał w barze, postawił wszystkim kolejkę, po czym pojechał do Ensenady. Za tę wiadomość dałem piątaka, ale domagałem się bliższych wyjaśnień. Gliniarz powiedział: - Ten ksiądz to mój brat. Sam się wyświęcił. Vaya con Dios. I zachowaj resztę forsy.

Ruszyłem szosą wzdłuż wybrzeża, do oddalonej o osiemdziesiąt mil Ensenady, zastanawiając się, skąd miał tyle forsy, aby szastać nią na prawo i lewo. Droga była przyjemna - stoki porośnięte krzewami ustąpiły po prawej miejsca oceanowi, po lewej miałem wzgórze i doliny ociekające gęstym listowiem. Ruch na autostradzie był minimalny, od czasu do czasu dostrzegałem grupki pieszych zmierzających na północ: całe rodziny dźwigające walizki; twarze przepełnione trwogą i szczęściem równocześnie, jakby nie wiedzieli, co ich czeka po nielegalnym przejściu przez granicę, ale nawet to nieznanne było lepsze niż wysysanie forsy z turystów i ostatnich soków z tej niegościnniej ziemi.

Gdy zbliżałem się do Ensenady o zmroku, wąski strumyczek emigrantów przerodził się w istny exodus. Poboczem na północ sunął nie kończący się korowód ludzi, okutanych w koce i z ponchami przerzuconymi przez ramiona. Co piąty, szósty z nich trzymał w dłoni pochodnię albo latarnię, a niemowlęta tkwiły w nosidełkach, które matki miały przytroczone na plecach. Pokonawszy ostatnie wzgórze za rogatkami miasta, ujrzałem wreszcie w dole Ensenadę, blask neonów zlewał się ze światłami latarni, rozpraszając ciemność.

Wjechałem do miasta i w mig zorientowałem się, że mam przed sobą nadmorski odpowiednik Tijuany, nastawiony na turystów nieco wyższej kategorii. Gringos zachowywali się przyzwoicie, nie było żebrzących dzieci ani naganiaczy przed knajpami. Korowód ciągnął się hen, aż po horyzont, przechodząc przez Ensenadę, aby dotrzeć do drogi wiodącej wzdłuż wybrzeża i uiścić u rurales opłatę za pozwolenie na przemarsz.

To chyba najbezczelniejszy rekieta, jakiego miałem okazję być świadkiem. Rurales w brązowych koszulach, sztylpach i oficerkach przechodzili od jednego wieśniaka do drugiego, odbierając pieniądze i przypinając im do ubrań plakietki spinaczami biurowymi; gliniarze po cywilnemu sprzedawali paski suszonej wołowiny i suszonych owoców, wkładając zarobione monety do sakiewek przytroczonej do pasa, obok kabur z bronią. Inni rurales sprawdzali, czy wszyscy przechodzący mieli plakietki; kiedy zjechałem z głównej drogi na ulicę czerwonych latarni, dostrzegłem dwóch gliniarzy w brązowych koszulach okładających

jakiegoś nieszczęśnika do nieprzytomności kolbami strzelb śrutowych.

Uznałem, że lepiej będzie, jeśli zamelduję się u stróżów prawa, zanim zacznę wypytywać wśród mieszkańców Ensenady. Poza tym Lee widziano, jak wkrótce po opuszczeniu LA rozmawiał z grupką rurales i kto wie, może gliniarze go pamiętali.

Ruszyłem wolno, za taborem aut rocznik '30 wzdłuż ulicy czerwonych świateł, dotarłem do przecznicy biegnącej obok plaży i natrafiłem na komendę policji. Niegdyś był to kościół; okratowano okna, a nad religijnymi malowidłami zdobiącymi fronton z gliny wypalanej na słońcu, czarne litery układały się w słowo POLICIA. Na trawniku ustawiono potężny reflektor; kiedy wyszedłem z auta, z wyjętą odznaką, uśmiechając się szeroko, reflektor oświetlił mnie z wielką mocą.

Stanąłem w kręgu światła, osłaniając dłonią oczy i krzywiąc się, bo nagle zrobiło mi się piekielnie gorąco. Męski głos oznajmił: - Gliniarz amerykański, witamy.

Wyciągnął rękę, kiedy go mijałem. Wcisnąłem mu dolara i wszedłem na komendę. Wewnątrz budynek jeszcze bardziej przypominał świątynię - aksamitne draperie przy wejściu ozdobione były wizerunkami Jezusa i Jego cudów; ławy, na których siedzieli gliniarze, także wyglądały na kościelne.

Duże biurko, wykonane z ciemnego drewna, z krzyżem z przodu, najprawdopodobniej pełniło niegdyś funkcję ołtarza. Stojący przy nim opasły glina oblizwał wargi na mój widok; przywodził mi na myśl pedofila, który nigdy się nie zresocjalizuje.

Miałem dolara w gotowości, ale póki co wstrzymałem się z tym. - Jestem z policji Los Angeles, chcę się widzieć z szefem.

Potań kciukiem o palec wskazujący, po czym wskazał na mój portfelik z odznaką. Podąłem mu go, z dolarowym banknotem w środku; przeprowadził mnie przez zdobiony freskami korytarz do drzwi z napisem CAPITAN. Zaczekałem przez chwilę, podczas gdy tłuścioch wszedł do środka i zaczął mówić coś bardzo szybko po hiszpańsku. Kiedy wyszedł, strzelił obcasami i zasalutował przepisowo.

- Policjant Bleichert, zapraszam do środka.

Głos bez charakterystycznego akcentu mocno mnie zdumiał. Wszedłem do środka, aby zobaczyć, kto wypowiedział te słowa. W gabinecie stał wysoki Meksykanin, w szarym garniturze, z wyciągniętą ręką, ale nie po dolara, tylko po to, by uścisnąć moją dłoń.

Podaliśmy sobie ręce. Mężczyzna usiadł za wielkim biurkiem i postukał w tabliczkę z napisem CAPITAN VASQUEZ. - W czym mogę pomóc, panie oficerze?

Zabrałem portfelik z odznaką z biurka i położyłem na blacie zdjęcie Lee. - Ten mężczyzna to policjant z Los Angeles. Zaginął w końcu stycznia, a kiedy ostatnio go

widziano, zmierzał właśnie do tego miasta.

Vasquez obejrzał zdjęcie. Kąciki jego ust zadrżały; zaraz jednak postarał się zatuszować tę reakcję, kręcąc głową. - Nie. Nie widziałem go. Przekażę informację moim ludziom i polecę im, aby popytali wśród tutejszej społeczności Amerykanów.

Poszedłem za ciosem. - To człowiek, którego trudno przeoczyć, kapitanie. Blondyn, sześć stóp wzrostu, zbudowany jak ceglany mur.

- Ensenada przyciąga różne typy, oficerze. To dlatego tutejsza policja jest tak dobrze uzbrojona i czujna. Zabawi pan tu trochę?

- Przynajmniej do jutra. Może pańscy ludzie go przeoczyli, a ja zdołam natrafić na jakiś ślad.

Vasquez uśmiechnął się. - Wątpię. Jest pan sam?

- Dwaj partnerzy czekają na mnie w Tijuanie.

- Z jakiego pan jest wydziału?

Skłamałem w żywe oczy: - Miejskiego.

- Bardzo pan młody, jak na pełnienie tak prestiżowej służby.

Sięgnąłem po zdjęcie. - Układy rodzinne, kapitanie. Mój tatko jest zastępcą komendanta, a mój brat pracuje w konsulacie w Mexico City. No to dobrej nocy.

- I powodzenia, Bleichert.

*

Wynająłem pokój w hotelu, o rzut kamieniem od dzielnicy czerwonych latarni. Za dwa dolary dostała mi się klitka na parterze, z widokiem na ocean, umywalką w jednej ze ścian i łóżkiem z materacem grubości naleśnika oraz klucz do wspólnej toalety w korytarzu. Rzuciłem ciuchy na komódkę, a wychodząc dla bezpieczeństwa wyrwałem dwa włosy z głowy i przylepiłem je śliną do framugi drzwi. Gdyby jacyś ciekawscy zajrzeli do mego pokoju, będę o tym wiedział. Udałem się do samego centrum dzielnicy czerwonych latarni.

Na ulicach roilo się od mundurowych, brązowych koszul, żołnierzy piechoty morskiej i marynarzy. Jak okiem sięgnąć w pobliżu nie było żadnych zwyczajnych Meksykanów, a wszyscy zachowywali się przyzwoicie - nawet grupki pijanych w sztok piechociarzy. Uznałem, że to uzbrojeni po zęby rurales dbali o zachowanie spokoju. Większość brązowych koszul nie prezentowała się imponująco, ale broń, jaką mieli przy sobie, robiła wrażenie: strzelby-obrzynki, karabiny maszynowe Thompsona, automatyczne 45-ki, a przy pasach mosiężne, błyszczące kastety. Spowił mnie blask pulsujących neonów: Flame Klub, Arturo's Oven, Club Boxeo, Falcon's Lair, Chico's Klub Imperial. Boxeo po hiszpańsku znaczy boks, toteż tam właśnie skierowałem się najpierw.

Spodiewając się ciemności, wszedłem do jasno oświetlonej sali, pełnej marynarzy. Młode, półnagie Meksykanki tańczyły na kontuarze długiego baru, z banknotami dolarowymi zatkniętymi za gumkę stringów.

Głośna, egzotyczna muzyka i entuzjastyczne okrzyki sprawiły, że w lokalu panował przeraźliwy harmider; wspiałem się na palce, rozglądając za właścicielem tej knajpy.

W tylnej części sali dostrzegłem prywatną lożę ozdobioną plakatami z walk. Coś ciągnęło mnie tam jak magnes, toteż ruszyłem w tę stronę, poruszając się pomiędzy wijącymi się w tańcu, nagimi ciałami.

Ja też tam byłem, w całkiem niezłym towarzystwie pięściarzy wagi półciężkiej - wciśnięty między Gusem Lesnevichem a Billym Connem.

Był tam też Lee, tuż obok Joego Louisa, z którym stoczyłby walkę, gdyby tylko podłożył się dla Benny'ego Siegela. Bleichert i Blanchard. Dwie niespełnione nadzieje białych. Wpatrywałem się w plakaty przez dłuższą chwilę, aż w końcu hałas wokół mnie trochę przycichł, a ja nie znajdowałem się już w tandentnej knajpie, lecz na ringu, wygrywając kolejne walki i pieprząc dziewczyny zapowiadające kolejne rundy i wyglądające jak Betty Short. A Lee nokoutował następnych przeciwników, mieszkał z Kay i co niezwykle, znów byliśmy rodziną.

- Najpierw Blanchard, teraz ty. Kto następny? Willie Pep?

W okamgnieniu powróciłem do rzeczywistości, rzucając bełkotliwie: - Kiedy? Kiedy go widziałeś?

Odwracając się, ujrzałem potężnego, starszego mężczyznę. Z twarzą jak stara zbutwiała skóra, pełną pęknięć i połamanych kości - istny worek bokserski - ale głos brzmiał mocno i zdecydowanie: - Parę miesięcy temu. W lutym ostro lało. Przegadaliśmy o boksie bite dziewięć godzin.

- Gdzie jest teraz?

- Nie widziałem go od tamtej pory i kto wie, może on wcale nie ma ochoty się z tobą spotkać. Chciałem zagaić rozmowę o walce między wami, ale Wielki Lee nabrał wody w usta. Nie jesteśmy już partnerami, mówi, i zaczyna klepać, że piórkowa to najlepsza waga, funt za funt. Ja mu na to, nic z tego, nie ma jak średnia. Zale, Graziano, La Motta, Cerdan. Komu chce wcisnąć taki kit?

- Czy jest jeszcze w mieście?

- Nie sądzę. To mój lokal, a on się tu już więcej nie pokazał. Chcesz uregulować stare długi? A może masz ochotę na rewanż?

- Chciałbym raczej pomóc mu wykaraskać się z kłopotów, w jakie się wpakował.

Stary bokser przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziałem, po czym dodał: - Mam słabość do tancerzy takich jak ty, więc powiem ci wszystko, co wiem. Słyszałem, że Blanchard narobił niemałego rabanu w klubie Satan, musiał dobrze posmarować kapitanowi Vasquezowi, żeby się z tego wywinąć. Pogadaj z kucharzem Erniem. On wszystko widział. Powiedz mu, że ma być wobec ciebie szczery - to zalecenie ode mnie - a wchodząc do środka, weź głęboki wdech - tam, skąd przybywasz, nie ma takich lokali.

Klub Satan był budynkiem z cegły wypalanej na słońcu, z dachem przykrytym gontami i ozdobionym neonem w kształcie małego, czerwonego diabełka dźgającego powietrze penisem w kształcie trójzęba. Przy drzwiach pełnił straż gliniarz w brunatnej koszuli, mały Meksykanin obserwujący z uwagą wchodzących gości i pieszczotliwie głaszczący obudowę spustu zaopatrzonego w trójnóg karabinu maszynowego BAR. Pod epolety miał powtykane banknoty dolarowe, dołożyłem jeszcze jeden do jego kolekcji i wszedłem do środka, przygotowując się na najgorsze.

Zupełnie jakbym wpadł do gnojówki.

Bar był zaopatrzony w urynał. Piechociarze i marynarze masturbowali się do otworów ściekowych, macając między nogami nagie, wyuzdane kobiety z rozłożonymi szeroko nogami, prężące się na kontuarze. Pod stołami ustawionymi wokół sporego podium dziwki obrabiała swoich klientów. Na podwyższeniu facet w stroju diabła pieprzył grubą babę leżącą na materacu. Opodal stał osioł z czerwonymi, aksamitnymi diabelskimi rogami przypiętymi do uszu, pałaszując siano z michy stojącej na podłodze. Na prawym końcu sceny gringo ubrany we frak chrząkał do mikrofonu: - Tę dziewczynę, na imię jej Roseanne, może mieć bogaty pan! A ta piękna to Corinne, na pianę zbije ci płyn...

Muzykę zagłuszyły dochodzące od strony stolików okrzyki: - Osioł! Osioł! - Stałem z boku, a wielbiciele mocnych wrażeń przeciskali się obok, gdy nagle moją twarz omiółł oddech przesycony wonią czosnku: - Chciałbyś usiąść przy barze, przystojniaku? Śniadanie mistrzów, jeden dolar. A może chcesz mnie? Do raję, za dwa dolce.

Zebrałem się w sobie, aby na nią spojrzeć. Była stara, tłusta, z popękkanymi wargami. Wyjąłem z kieszeni banknoty i podałem jej, nie patrząc na nominały. Dzwinka zaczęła korzyć się przede mną, jak przed Mesjaszem; zawołałem: - Ernie. Muszę się z nim zobaczyć. Przysłał mnie facet z Klubu Boxeo.

Mamacita zakrzyknęła: - Vamanos! - i ruszyła, nie bacząc na mnie, przepychając się między piechociarzami, czekającymi, aż zwolnią się miejsca przy barze. Poprowadziła mnie do przesłoniętego kotarą korytarza przy ścianie i stamtąd do kuchni. Aromat pikantnych potraw pobudzał moje kubki smakowe, dopóki nie zobaczyłem psiego zadu wystającego z

garnka z gulaszem. Kobieta powiedziała coś po hiszpańsku do szefa kuchni, dziwnego faceta, który wyglądał jak skrzyżowanie Meksykanina z Chińczykiem. Pokiwał głową i podszedł do mnie.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie Lee i pokazałem mu. - Słyszałem, że ten facet jakiś czas temu nieźle narozrabiał.

Gość rzucił okiem na zdjęcie. - A kto chce wiedzieć?

Błysnąłem mu przed nosem odznaką i jakby przypadkiem pokazałem, że mam przy sobie spluwę. Zapytał: - To twój przyjaciel?

- W dodatku najlepszy.

Mieszaniec schował dłonie pod fartuch; wiedziałem, że w jednym ręku trzymał teraz nóż. - Twój kumpel wypił czternaście kieliszków mojego najlepszego meskalu, to rekord tego lokalu. I to mi się podoba. Wznosił toasty na cześć nieżyjących kobiet. Wisi mi to. Ale próbował zepsuć moje najlepsze przedstawienie z osłem, a na to nigdy nie pozwolę.

- Co się właściwie wydarzyło?

- Załatwił czterech moich ludzi, piątemu już nie dał rady. Rurales zabrali go do domu, aby się przespał.

- I to wszystko?

Mieszaniec wyjął spod fartucha sprężynowiec, kliknięciem wysunął ostrze i przejechał tępą stroną noża po gardle. - Finito.

Opuściłem knajpę tylnym wyjściem, obawiając się o życie Lee. Pod latarnią stało dwóch facetów w lśniących garniturach; na mój widok ożywili się, zaczęli z większym niż dotąd zainteresowaniem wlepić wzrok w ziemię i szurać nogami po żwirze. Zacząłem biec, chrzęst żwiru z tyłu uświadomił mi, że tamci rzucili się za mną w pościg.

Alejka kończyła się przecznicą dochodzącą do kolejnej ulicy w tej dzielnicy czerwonych latarni i drogą w stronę plaży. Skręciłem w nią i pognałem co sił w nogach, uliczka była tak wąska, że szorowałem ramionami o drucianą siatkę ogrodzeń po obu stronach, a łańcuchowe psy ujadały i rzucały się na płot, próbując mnie dosięgnąć. Ich szczekanie zagłuszyło do reszty odgłosy ulicy - nie wiedziałem już, czy tamci dwaj wciąż mnie gonili. Przede mną w oddali majaczył plac z widokiem na ocean; wyteżyłem siły, próbując zorientować się w otoczeniu - hotel musiał znajdować się o przecznicę stąd, po prawej. Zwolniłem kroku.

Na szczęście dla mnie, odległość wynosiła zaledwie pół przecznicy.

Oddychając ciężko, ruszyłem marszowym krokiem w stronę oddalonego o sto jardów budynku. Prawy Amerykanin wracający z wizyty w dzielnicy uciech. Na placu przed hotelem

nie było żywego ducha. Sięgnąłem po klucz do pokoju. Wtedy dostrzegłem w szparze pod drzwiami błysk światła; przy framudze nie było też moich przylepionych na ślinę włosów.

Wyjąłem 38-kę z kabury i kopniakiem otworzyłem drzwi do wewnątrz. Na krześle przy łóżku siedział mężczyzna; obie ręce miał uniesione w górę, a z jego ust natychmiast popłynęły uspokajające słowa:

- Ejże, ejże, chłopcze, wyluzuj! Jestem przyjacielem. Nie mam broni, jeśli mi nie wierzysz, możesz mnie obszukać. Mam wstać?

Wskazałem rewolwerem ścianę. Mężczyzna wstał i stanął przy ścianie, na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi uniesionymi nad głową i opartymi o mur. Obszukałem go skrupulatnie, wwiercając mu w kręgosłup lufę 38-ki; znalazłem portfel, klucze i brudny grzebień. Nie odrywając broni od ciała mężczyzny, zajrzałem do portfela. Było w nim trochę amerykańskiej gotówki i laminowana legitymacja detektywa z Kalifornii. Facet miał się nazywać Milton Dolphine, a jego biuro mieściło się rzekomo przy Copa De Oro 986 w San Diego.

Cisnąłem portfel na łóżko i przestałem wbijać lufę broni w plecy tamtego; Dolphine poruszył się nerwowo: - Ta forsa to przyszcz w porównaniu z tym, co miał przy sobie Blanchard. Pracujmy razem, we dwóch będzie nam o niebo łatwiej.

Podciąłem mu nogi. Dolphine wylądował ciężko na podłodze, wachając kurz z dywanu. - Gadaj, co wiesz, i licz się ze słowami, mówiąc o moim partnerze, albo oskarżę cię o włamanie z wtargnięciem i poznasz od środka jedną z cel więzienia w Ensenadzie.

Dolphine podźwignął się na klęczki. Wychrypiał: - Jak ci się wydaje, Bleichert, skąd wiedziałem, gdzie mam przyjechać? Nie przyszło ci do głowy, że mogłem być gdzieś blisko, gdy odprawiałeś z Vasquezem rytuał gliniarza gringo?

Otaksowałem go wzrokiem. Był po czterdziestce, otyły, łysiejący, ale wyglądał na twardego, byłego atletę, który wolniej niż inni tracił dawny spryt. - Ktoś mnie śledził - rzekłem. - Kto to był?

Dolphine wypluł z ust pajęczynę. - Rurales. Vasquezowi bardzo zależy na tym, żebyś nie dowiedział się niczego na temat Blancharda.

- Wiedzą, że się tu zatrzymałem?

- Nie. Powiedziałem kapitanowi, że będę cię śledził. Widać paru jego chłopaków musiało wypatrzeć cię po drodze. Zgubiłeś ich?

Skinąłem głową, a lufą rewolweru trąciłem węzeł krawata Dolphine'a. - Czemu jesteś taki skory do współpracy?

Dolphine delikatnie odsunął od siebie spluwę. - To leży w moim interesie, a ja w

mojej pracy nauczyłem się, że korzystnie jest pogrywać na dwa fronty. Poza tym lepiej mi się rozmawia na siedząco. Można by coś z tym zrobić?

Sięgnąłem po krzesło i postawiłem przed nim. Dolphine wstał, otrzepał garnitur z kurzu i usiadł. Włożyłem broń do kabury. - Gadaj, tylko powoli i od początku.

Dolphine chuchnął na paznokcie i wytarł je o koszulę. Przystawiłem sobie drugie krzesło i ustawiwszy je oparciem do przodu, aby w razie czego użyć go do obrony, usiadłem powoli.

- Gadaj, do cholery.

Dolphine nie próbował się dłużej ociągać. - Jakiś miesiąc temu weszła do mego biura w Dago Meksykanka. Krąglutka, miała na sobie z dziesięć warstw tapety, ale ubrana tip-top. Zaproponowała mi pięć setek za odnalezienie Blancharda i dodała przy tym, że gość powinien być gdzieś w Tijuanie albo Ensenadzie. Powiedziała, że to glina, choć ostatnio miał krzywo u przełożonych. Wiedząc o zamięłowaniu glin z LA do sałaty, zacząłem myśleć o kasie. Popytałem o niego moich informatorów, pokazując zdjęcie z gazety, które dała mi ta kobieta. Dowiedziałem się, że Blanchard był pod koniec stycznia w Tijuanie, wdając się w burdy, chlejąc i szastając groszem na prawo i lewo. A kumpel z patrolu granicznego powiedział mi, że gość ukrywa się w Ensenadzie, płacąc za ochronę rurales, którzy pozwalają mu, aby chlał na umór i wszczywał rozróby - czego Vasquez nigdy dotąd nie tolerował. No i przyjechałem tutaj, a potem zabrałem się za śledzenie Blancharda, który zgrywał bogatego gringo na całego. Widziałem, jak obił gęby dwóm Meksom, którzy obrazili jedną senioritę, a rurales obserwowali ten incydent i nawet nie kiwnęli palcem. To oznaczało, że faktycznie musiał się im opłacać, i zacząłem myśleć - forsa, forsa, forsa...

Dolphine nakreślił palcem w powietrzu symbol dolara; zacisnąłem dłonie na listewkach oparcia krzesła tak mocno, że aż zatrzeszczały.

- I dopiero teraz robi się ciekawie. Pewien wkurzony rurale, który nie załapał się na forszę od Blancharda, powiedział mi, że słyszał, jakoby Blanchard wynajął pod koniec stycznia paru ich po cywilnemu, aby załatwili jakichś jego wrogów w Tijuanie. Wróciłem do Tijuany, posmarowałem paru gliniarzom i dowiedziałem się, że dwóch gości, niejaki Robert De Witt i Felix Chasco, zostali rozwaleni w Tijuanie, dwudziestego trzeciego stycznia. Nazwisko De Witt brzmiało znajomo, toteż zadzwoniłem do kumpla pracującego w policji San Diego. Popytał tu i tam i oddzwonił do mnie. A oto czego się dowiedziałem, choć pewnie nie jest to tobie obce. W 1939 Blanchard posłał De Witt do San Q. A De Witt obiecał mu za to odplacić. Domyśliłem się, że De Witt wyszedł na warunkowe, a Blanchard sprzątnął go, aby ocalić skórę. Zadzwoniłem do mego partnera w Dago i zostawiłem mu wiadomość dla tej

Meksykanki. Blanchard jest w Ensenadzie, pod opieką rurales, którzy najprawdopodobniej sprzątnęli dla niego De Witta i Chasco.

Puściłem listewki, zdrętwiały mi dłonie. - Jak się nazywała ta kobieta?

Dolphine wzruszył ramionami. - Mówiła, że nazywa się Delores Garcia, ale nazwisko było zapewne zmyślane. Po tym, czego się dowiedziałem o rozwałce De Witta i Chasco, uznałem że musiała być jedną z panienek Chasco. Gość był żigolakiem dla wielu bogatych, napalonych Meksykanek i domyśliłem się, że babka chciała zemścić się za śmierć lubego. Chyba wiedziała, że to Blanchard stał za tymi zabójstwami, chciała tylko ode mnie wyraźnego potwierdzenia tego faktu.

- Słyszałeś o Czarnej Dalii? - zapytałem.

- A czy papież jest makaroniarzem?

- Lee pracował nad pewną sprawą przed swoim przyjazdem tutaj i pod koniec stycznia sprawdzał związane z nią meksykańskie tropy. Czy słyszałeś, żeby zadawał pytania dotyczące Dalii?

Dolphine zaprzeczył: - Nada. Chcesz dowiedzieć się reszty?

- Rapidamente.

- W porządku. Wróciłem do Dago, a mój partner powiedział, że Meksykanka odebrała wiadomość ode mnie. Wyjechałem do Reno na krótki urlop i przerzuciłem w karty całą forszę, jaką od niej dostałem. Zacząłem myśleć o Blanchardzie i wszystkich pieniądzech, jakie nosił przy sobie, zastanawiając się, co szykowała dla niego ta Meksykanka.

To nie dawało mi spokoju i w końcu wróciłem do Dago, przyjąłem kilka zleceń na poszukiwanie zaginionych osób, a w dwa tygodnie później znów zjechałem do Ensenady. I wiesz co? Po Blanchardzie nie było już śladu. Tylko głupiec wypytywałby o niego u Vasqueza czy jego ludzi, więc zasięgnąłem języka na mieście. Zobaczyłem jednego śmiecia noszącego skórzaną kurtkę Blancharda i drugiego, w jego dresowej bluzie z logo Legion Stadium. Doszły mnie słuchy, że za rozwałkę De Witt-Chasco powieszono w Juarez dwóch facetów, i uznałem, że rurales w ten sposób zacierali za sobą ślady. Zostałem w mieście, szukając haków na Vasqueza, podplącałem ćpunów, aby dowiedzieli się jak najwięcej na jego temat. I w końcu poskładałem sprawę Blancharda w jedną całość. Tak więc, jeśli faktycznie byłeś jego kumplem, przygotuj się.

Usłyszawszy, że mówi o nim w czasie przeszłym, ścisnąłem listewki krzesła tak mocno, że popękały z głuchym trzaskiem.

Dolphine mruknął: - Ej, chłopcze, daj spokój.

- Dokończ - wychrypiałem.

Detektyw mówił powoli i spokojnie, jakby miał przed sobą tykającą bombę. - On nie żyje. Zarąbano go siekierą. Znalazło go paru lumpów. Te śmiecie włamały się do domu, gdzie się zatrzymał, a jeden z nich zawiadomił gliny, aby ustrzec się przed wrobieniem w morderstwo. Vasquez kupił ich za garść pesos i trochę ciuchów Blancharda, a rurales zakopali ciało za miastem. Plotki głoszą, że nie znaleziono przy nim żadnych pieniędzy, i postanowiłem pozostać tu nieco dłużej, bo uznałem, że skoro Blanchard zaczął pracować na własny rachunek, prędzej czy później zjawi się tu amerykański glina próbujący go odszukać. Kiedy odwiedziłeś komendę, wciskając Vasquezowi kit, że jesteś z miejskiego, wiedziałem, że to na ciebie czekałem.

Próbowałem zaprzeczyć, ale nie byłem w stanie wykrztusić z siebie słowa; Dolphine dokończył swoją opowieść: - Może zrobili to rurales, ta kobieta albo jacyś jej kumple. Może jedno z nich zgarnęło tę forszę, a może żadne jej nie znalazło i to my na nią trafimy. Znałeś Blancharda, mógłbyś przykręcić śrubę komuś, kto...

Zerwałem się z miejsca i rąbnąłem Dolphine'a listewką z oparcia krzesła. Trafiłem go w szyję; detektyw znów pocałował glebę. Wymierzyłem rewolwer w jego potylicę; detektyw zaczął skomleć żałośnie, błagając o litość: - Posłuchaj, nie wiedziałem, że to dla ciebie sprawa osobista. Nie zabiłem go i nie będę się mieszał, jeśli spróbujesz dopaść tego, kto to zrobił. Proszę cię, Bleichert, daj spokój.

- Skąd mam wiedzieć, że to prawda? - mruknąłem z wysiłkiem.

- Przy plaży jest piaszczysta łacha. Rurales podrzucają tam czasem sztywniaków. Pewien dzieciak powiedział mi, że widział, jak paru mundurowych pogrzebało tam mniej więcej w tym okresie, kiedy zniknął Blanchard, postawnego białego mężczyznę. Mówię prawdę, do cholery!

Zwolniłem kurek 38-ki. - Wobec tego pokaż mi to miejsce.

*

Cmentarzysko znajdowało się dziewięć mil na południe od Ensenady, przy drodze wzdłuż wybrzeża, na górze z widokiem na ocean. Miejsce to oznakowane było wielkim, płonącym krzyżem. Dolphine zatrzymał wóz i zgasił silnik. - To nie to, co myślisz. Miejscowi podtrzymują ogień i pilnują, żeby się paliło, bo nie wiedzą, kto jest tam pochowany, a wielu z nich straciło ukochanych bliskich. Dla nich to swego rodzaju rytuał. Palą krzyże, a rurales to tolerują, jakby to było dla nich panaceum na niechciane zgony i zbyt częste sięganie po broń. A skoro o tym mowa, może wreszcie schowałbyś to kopyto?

Celowałem z rewolweru w brzuch Dolphine'a; zastanawiałem się, jak długo w niego mierzyłem. - Nie. Masz jakieś narzędzia?

Dolphine przełknął ślinę. - Sprzęt ogrodniczy. Posłuchaj...

- Nie. A teraz zaprowadź mnie do miejsca, o którym mówił ten dzieciak, i będziemy kopać.

Dolphine wysiadł z auta i otworzył bagażnik. Podeszedłem do niego i patrzyłem, jak wyjmuje ze środka duży szpadeł. Blask ognia rozjaśnił starego dodge'a; zauważyłem leżące obok zapasowej opony paliki do płotu i stare szmaty. Wsunąłem 38-kę za pasek, zrobiłem z palików i szmat dwie pochodnie i odpaliłem od krzyża. Podając żagiew Dolphine'owi, powiedziałem: - Idź pierwszy.

Wyszliśmy na piaszczystą łąkę, jak banicy, z ognistymi kulami na patykach. Miękkie podłoże utrudniało marsz, w blasku płomieni dostrzegłem ofiary nagrobne - niewielkie bukieciki i religijne figurki poustawiane tu i ówdzie wśród wydm. Dolphine mamrotał pod nosem, że ciała gringos podrzucane są po drugiej stronie. Poczułem, jak pod moimi stopami pękają kości. Dotarliśmy na szczyt jednej z wydm, a Dolphine machnął pochodnią na amerykańską, postrzępioną flagę rozłożoną na piasku. - Tutaj. Ten śmieć mówił, że przy el bannero.

Kopniakiem odrzuciłem flagę na bok, z piasku z brzęczeniem poderwała się chmara much.

Dolphine wycodził: - Skurwiele. - I machnął kilka razy pochodnią. Z wielkiego dołu u naszych stóp uniósł się odór zgnilizny.

- Kop - powiedziałem.

Dolphine wziął się do roboty; pomyślałem o duchach - Betty Short i Laurie Blanchard - czekając aż ostrze szpadla natrafi na kości. Gdy to się wreszcie stało po raz pierwszy, wyrecytowałem słowa psalmu, którego na siłę nauczył mnie ojciec, za drugim razem zaś odmówiłem Ojcze nasz, jak Denny Boyle przed każdym naszym sparringiem. Kiedy Dolphine rzekł: - Marynarz. Widzę jego bluzę - nie wiedziałem, czy chciałem ujrzeć Lee żywego, lecz pogrążonego w smutku i depresji, czy martwego, w Wielkim Nic, toteż odepchnąłem Dolphine'a na bok i sam zabrałem się do kopania.

Moje pierwsze uderzenie rozłupało czerep marynarza, drugie rozdarło przód jego bluzy i oddzieliło tors od reszty szkieletu. Miał pogruchotane nogi. Zacząłem kopać nieco dalej, wśród piasku skrzącego się od drobin miki. Po chwili natrafiłem na gniazdo robaków, wnętrzości i krynolinową, pozlepianą od krwi suknię, rozrzucone wśród piasków luźne kości - i nic więcej - i nagle moim oczom ukazała się ogorzała od słońca, różowa skóra i znajome, jasne brwi poprzecinane starymi bliznami. Po chwili Lee uśmiechnął się do mnie jak Dalia, z jego ust i oczodołów wypłynęły robaki. Upuściłem szpadeł i odskoczyłem jak oparzony.

Dolphine krzyknął: - Forsa!

Pognałem w stronę płonącego krzyża, ze świadomością, że to przeze mnie Lee miał te blizny na łukach brwiowych, to mnie je zawdzięczał. Dotarłszy do samochodu wskoczyłem do środka, wrzuciłem wsteczny, zahaczając o krzyż i przewracając go w piach, a potem z niemałym trudem wrzuciłem pierwszy, drugi, trzeci bieg i ruszyłem naprzód. Usłyszałem: „Mój wóz! Forsa!” i wypadłem jak strzała na drogę przy nabrzeżu, kierując się na północ, odruchowo sięgnąłem ręką, aby włączyć syrenę, ale tylko walnąłem dłonią w deskę rozdzielczą, bo przecież w cywilnych wozach ich nie było.

Dotarłem do Ensenady z prędkością dwukrotnie większą od dozwolonej. Zostawiłem dodge'a na ulicy pod hotelem, po czym biegiem ruszyłem w stronę mego wozu i nagle spostrzegłem trzech mężczyzn, podchodzących do mnie z trzech stron; ręce trzymali w kieszeniach.

Do mojego chevy miałem jeszcze dziesięć jardów, mężczyzną pośrodku był kapitan Vasquez, dwaj pozostali zbliżali się do mnie z prawej i z lewej. Mogłem się schronić tylko w budce telefonicznej, przy pierwszych drzwiach po lewej, na skraju placu. Jeszcze chwila i Bucky Bleichert skończy jako zimny, bezimienny trup na meksykańskim cmentarzysku u boku swego najlepszego przyjaciela. Postanowiłem, że pozwolę, aby Vasquez podszedł do mnie jak najbliżej, a potem z bliskiej odległości wpakuję mu kulę między oczy. Wtedy drzwi po lewej otworzyły się, na ulicę wyszła biała kobieta, a ja zobaczyłem szansę na wyjście cało z tej kabały.

Podbiegłem i schwyciłem ją za szyję. Zaczęła krzyczeć. Uciszyłem ją, zatykając dłonią usta. Kobieta próbowała się wyrwać i nagle zeszywniała. Wyjąłem z kabury moją 38-kę i przyłożyłem jej do skroni. Rurales zbliżali się ostrożnie, z pistoletami przy boku. Wepchnąłem kobietę do budki telefonicznej, szepcząc: - Jeżeli krzykniesz, będzie po tobie. Krzyknij tylko, a już po tobie. - Gdy znalazła się wewnątrz, unieruchomiłem ją kolanami przy ścianie i cofnąłem rękę; kobieta krzyczała bezgłośnie. Wycelowałem z rewolweru w jej usta, aby tak pozostało, sięgnąłem po słuchawkę, wrzuciłem monetę do aparatu i wybrałem „0”. Vasquez stanął przed budką, cuchnąc tanią wodą kolońską. W słuchawce usłyszałem: „Que?” operatora. Rzuciłem: - Habla ingles?

- Tak, proszę pana.

Przytrzymałem słuchawkę przyciśniętą podbródkiem przy obojczyku i wrzuciłem do automatu wszystkie monety, jakie miałem przy sobie; 38-kę trzymałem tuż przy twarzy kobiety. Kiedy automat połknął garść pesos, powiedziałem: - Z Federalnym Biurem Śledczym, a konkretnie z ich filią w San Diego. To bardzo pilne.

Operator zamruczał: „Tak jest, proszę pana, już łączę” i usłyszałem kilka cichych trzasków. Zęby kobiety grzechotały o lufę mojego rewolweru. Vasquez spróbował przekupstwa. - Blanchard był bardzo bogaty, przyjacielu. Moglibyśmy znaleźć jego forszę. Mógłbyś się tu jakoś urządzać. Wiesz, że...

- FBI, agent specjalny Rice.

Sporunowałem Vasqueza wzrokiem. - Mówi funkcjonariusz Dwight Bleichert z policji Los Angeles. Jestem w Ensenadzie i zadarłem z paroma rurales. Są gotowi rozwalić mnie bez powodu i pomyślałem, że mógłby pan odwieść kapitana Vasqueza od tego kroku.

- Co właściwie...

- Proszę posłuchać, jestem policjantem z LA, a panu radzę, żeby się pan pospieszył.

- Pogrywasz ze mną, synu?

- Do cholery, chcesz dowodów? Pracowałem w wydziale zabójstw w komendzie głównej z Russem Millardem i Harrym Searsem. Pracowałem w egzekucyjnym, a także...

- Daj no mi tego Meksa, synu.

Oddałem słuchawkę Vasquezowi. Wziął ją do ręki i wycelował we mnie automat. Ja wciąż mierzyłem w twarz kobiety. Sekundy mijały; istny pat meksykański, podczas gdy szef rurales słuchał federalnego, a jego twarz stawała się coraz bledsza. W końcu wypuścił z ręki słuchawkę i opuścił pistolet: - Wracaj do domu, puta. Wynoś się z mojego miasta, won z mojego kraju.

Włożyłem rewolwer do kabury i powoli wyslizgnąłem się z budki telefonicznej; kobieta krzyknęła. Vasquez cofnął się i gestem dłoni odprawił swoich ludzi. Wsiadłem do auta i z piskiem opon, poganiany strachem, najszybciej jak potrafiłem, opuściłem Ensenadę. Dopiero kiedy przekroczyłem granicę i znów znalazłem się w Stanach, zacząłem przestrzegać przepisów o ograniczeniu prędkości - i uświadomiłem sobie, co naprawdę stało się z Lee.

*

Nad Hollywood Hills wstawał świt, kiedy zapukałem do drzwi Kay. Stałem na ganku, rozdygotany, a chmury i promienie wschodzącego słońca jawiły się jak osobliwości, których nie miałem ochoty oglądać. Usłyszałem ze środka: „Dwight?”, a potem szcęk odblokowywanych zasuwek. Po chwili trzecia osoba z trójkąta Blanchard/Bleichert/Lake ukazała się moim oczom, powtarzając: - I w ogóle.

To było epitafium, którego nie chciałem usłyszeć.

Wszedłem do środka, zdumiony, jak dziwnie i pięknie wyglądał salon.

Kay zapytała: - Lee nie żyje?

Po raz pierwszy usiadłem w jego ulubionym fotelu. - Zabili go rurales, jakaś

Meksykanka, albo może jej kumple. Och, maleńka, ja...

Zaskoczyło mnie, że użyłem wobec niej słowa, którego zwykle używał Lee. Spojrzałem na Kay, stojącą przy drzwiach i rozjaśnioną nieśmiało jeszcze promieniami słońca.

- On wynajął rurales, aby sprzątnęli De Witta, ale to o niczym nie świadczy. Musimy zainteresować tą sprawą Russa Millarda i paru uczciwych meksykańskich gliniarzy...

Przerwałem, zapatrzony w aparat telefoniczny na stoliku do kawy. Zacząłem wybierać numer padre. Kay powstrzymała mnie. - Najpierw chcę z tobą pomówić.

Przesiadłem się z fotela na kanapę. Kay przycupnęła obok mnie. Powiedziała: - Jeżeli teraz zaczniesz świrować z tą sprawą, zranisz Lee.

Właśnie wtedy zrozumiałem, że podświadomie tego się spodziewała, że wiedziała więcej niż ja. - Nie można zranić kogoś, kto nie żyje.

- Ależ tak, maleńka, można.

- Nie mów tak do mnie!

Kay podeszła i dotknęła mego policzka. - Możesz go zranić i możesz zranić nas.

Odsunąłem się od niej. - Powiedz mi dlaczego, maleńka.

Kay ściągnęła mocniej pasek szlafroka i zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem. - Nie spotkałam Lee na procesie Bobby'ego De Witta. Poznaliśmy się już wcześniej. Zaprzyjaźniliśmy się, a ja skłamałam mówiąc mu, gdzie mieszkam, aby nie dowiedział się o Bobbym. Jednak w końcu i tak to odkrył, a wtedy opowiedziałam mu o gehennie, jaką przesłam, a on wspomniał mi o pewnej okazji wzbogacenia się, jakoś tak niespodziewanie. Nie chciał mi zdradzić szczegółów, później zaś Bobby został aresztowany za napad na bank i wszystko się rozsypało. Zrobił się chaos. To Lee zaplanował napad i zwerbował do tej roboty trzech ludzi. Tak uwolnił się od kontraktu z Bennym Siegelem, choć kosztowało go to wszystko, co zarobił na ringu. Podczas napadu zginęło dwóch bandytów, jeden uciekł do Kanady, czwartym był Lee. Lee wrobił Bobby'ego, bo nienawidził go za to, co ze mną robił. Bobby nie wiedział, że się spotykaliśmy, a my zaaranżowaliśmy wszystko tak, jakbyśmy poznali się na procesie. Bobby zdawał sobie sprawę, że został wrobiony, ale nie podejrzewał Lee, tylko ogólnie gliny z Los Angeles. Lee chciał dać mi dom i tak też się stało. Był bardzo ostrożny, jeżeli chodzi o wydawanie swojej części pieniędzy z napadu, zawsze opowiadał o forsie zaoszczędzonej z walk na ringu i wygranych w zakładach, toteż policja nie podejrzewała go o nieczystą grę. Naraził tylko na szwank swoją karierę, kiedy zamieszkał ze mną, mimo iż nie łączył nas przecież fizyczny związek. To było jak piękna bajka, aż do jesieni ubiegłego roku, kiedy ty i Lee zostaliście partnerami.

Podszedłem do Kay, zdezorientowany tym, czego się właśnie dowiedziałem. Nie miałem pojęcia, że Lee był aż do tego stopnia zdeprawowanym gliną. - Wiedziałem, że coś jest z nim nie tak.

Kay odsunęła się ode mnie. - Pozwól mi skończyć, nim zbierze ci się na wspomnienia. Kiedy Lee dowiedział się, że Bobby wychodzi na warunkowe, poszedł do Bena Siegela z prośbą, aby ten sprzątnął De Witta. Bał się, że Bobby zacznie paplać o mnie i skłała piękną bajkę okropieństwami na mój temat. Siegel nie chciał się tego podjąć, a ja sama powiedziałam mu, że to bez znaczenia, bo przecież było nas wtedy troje i prawda nie mogła nas zranić... A tuż przed Nowym Rokiem pojawił się ten trzeci człowiek z napadu na bank. Wiedział, że Bobby De Witt wychodzi na warunkowe i zaczął szantażować Lee - zażądał dziesięciu tysięcy w gotówce albo powie Bobby'emu, że to Lee zmontował ten skok i wrobił go. Ten człowiek wyznaczył Lee ostateczny termin - upływał w dniu zwolnienia Bobby'ego z San Quentin. Lee zbył go, po czym udał się do Bena Siegela, próbując pożyczyć od niego szmal. Siegel się nie zgodził. Lee błagał go, żeby chociaż sprzątnął tamtego. Na to Siegel także nie przystał. Lee jakoś dowiedział się, że ten gość kręcił się z paroma czarnuchami, którzy handlowali marychą i...

Powoli zaczynałem rozumieć; słowa Kay jak nagłówki w moich myślach zaczęły nabierać całkiem nowego znaczenia.

- Ten facet nazywał się Baxter Fitch. Siegel nie chciał mu pomóc, ale Lee miał przecież ciebie. Tamci byli uzbrojeni, więc wydaje mi się, że to, co się stało, było w pełni usprawiedliwione, choć muszę przyznać, że mieliście nie lada szczęście, że nikomu nie chciało się wnikliwiej zbadać tej sprawy. To jedyne, czego nie mogłam mu wybaczyć, nienawidziłam siebie, że to tolerowałam... I co, wciąż masz skłonność do sentymentalnych wspomnień, kowboju?

Nie potrafiłem odpowiedzieć; Kay zrobiła to za mnie.

- Chyba nie. Dokończę więc, a ty powiesz mi, czy nadal pragniesz zemsty... Wtedy wynikła ta sprawa z Short, a Lee powiązał ją ze zniknięciem swojej młodszej siostry i Bóg wie czym jeszcze. Bał się, że Fitch rozmawiał już z Bobbym i że ten dowiedział się, kto go wrobił. Chciał go zabić, własnoręcznie albo przez pośredników, a ja dzień i noc błagałam go, aby dał temu spokój, aby odpuścił, bo przecież nikt nie uwierzyłby Bobby'emu, więc po co miał kogokolwiek krzywdzić. Gdyby nie ta cholerna sztywniara, może udałoby mi się go przekonać. Ale śledztwo przeniosło się do Meksyku, a wraz z nim Bobby, Lee i ty. Wiedziałam, że piękna bajka właśnie się skończyła. I rzeczywiście...

OGIEŃ I LÓD NOKAUTUJĄ CZTERECH CZARNYCH OPRYCHÓW.

STRZELANINA W SOUTHSIDE - GLINY: 4, BANDYCI: 0.
CZTERECH ĆPUNÓW ZASTRZELONYCH
PRZEZ GLINIARZY-BOKSERÓW.

Zacząłem się podnosić, ale szło mi to z wyraźnym trudem. Kay oburącz schwyciła mnie za pas i ponownie posadziła na kanapie. - Nie! Nie uciekniesz ponownie, jak to miałeś w zwyczaju. Dość wycofywania się, Bucky! Koniec z tym! Bobby robił mi zdjęcia ze zwierzętami, a Lee położył temu kres. De Witt stręczył mnie swoim kumplom i chłostał skórzanym pasem. Lee definitywnie to zakończył. Chciał mnie kochać, ale nie chciał mnie pieprzyć; pragnął tylko, abyśmy byli razem, i gdybyś tak bardzo się go nie bał, zrozumiałbyś to. Nie możemy skalać jego dobrego imienia. Już dajmy sobie z tym spokój, wybaczymy mu i żyjmy dalej, już tylko we dwoje, i...

Właśnie wtedy zrejterowałem, zanim Kay zdążyła do reszty unicestwić to, co zostało z naszego tercetu.

*

Kowboj.

Cyngiel.

Idiota. Skończony kretyn, zbyt zaślepiony, by wiedzieć, że został wrobiony we współudział w zabójstwie.

Najsłabszy element bajkowego trójkąta.

Najlepszy kumpel gliny-organizatora napadu na bank, a obecnie powiernik jego sekretów.

Daj sobie z tym spokój.

Następny tydzień spędziłem w moim mieszkaniu w ramach tego, co pozostało z mojego urlopu. Tłukłem w ciężki worek, ćwiczyłem ze skakanką i słuchałem muzyki; przesiadywałem na schodach za domem i celowałem z palca w sójki przysiadające na sznurze do rozwieszania bielizny. Skazałem Lee za cztery zabójstwa związane z napadem na bank Boulevard-Citizens i uniewinniłem go w oparciu o śmierć numer pięć - jego własną. Rozmyślałem o Betty Short i Kay, aż zbiły się w jedno - zrekonstruowałem nasz partnerski układ jako obustronne uwiedzenie i doszedłem do wniosku, że pożałowałem Dalii, bo wiedziałem o niej wszystko, i kochałem Kay, bo wiedziała wszystko o mnie.

Cofnąłem się pamięcią o pół roku. Wszystko układało się idealnie:

Forsa, którą szastał Lee w Meksyku, pochodziła zapewne z jego działki w napadzie.

W Sylwestra słyszałem, jak szlochał; kilka dni wcześniej Baxter Fitch zaczął go szantażować.

Tamtej jesieni Lee spotykał się z Bennym Siegelem na osobności - za każdym razem, gdy chodziliśmy na pojedynki pięściarskie do Olympic; próbował przekonać go do zabicia Bobby'ego De Witta.

Tuż przed strzelaniną Lee rozmawiał przez telefon z informatorem, rzekomo na temat Juniora Nasha. Ten kapuś musiał mu wskazać Fitcha i czarnuchów, a Lee po powrocie do auta miał dziwny, nawiedzony wzrok. W dziesięć minut później tamci czterej byli martwi.

Tej nocy, kiedy poznałem Madeleine Sprague, Kay wrzeszczała na Lee: „Jak możesz robić coś takiego, po tym wszystkim, co się stało i co może się wydarzyć...” Złowieszcze słowa dotyczyły zapewne spodziewanego feralnego spotkania z Bobbym De Wittem. Przez cały okres, kiedy pracowaliśmy nad sprawą Dalii, była rozdrażniona, chimeryczna, martwiła się o Lee, a równocześnie miała mu za złe obsesyjne zainteresowanie zabójstwem Betty Short - z jednej strony zmierzała ku finałowi tej cudnej bajki, z drugiej zaś starała się go opóźnić.

Teraz wiedziałem już wszystko.

Dajmy sobie z tym spokój.

Kiedy w mojej lodówce zrobiło się pusto, po prostu poszedłem do sklepu, aby zapelnąć ją na nowo. Po wejściu do sklepu zobaczyłem pucybuta czytającego porannego *Heralda*. U dołu strony widniało zdjęcie Johnny'ego Vogela. Zajrzałem chłopakowi przez ramię i stwierdziłem, że Vogela dyscyplinarnie wydalono z policji. Mój wzrok przykuła kolumna Bevo Meansa i nazwisko Ellisa Loewa, który stwierdził, że „Śledztwo w sprawie śmierci Elizabeth Short nie jest już moim *raison d'être*. Mam ważniejsze rzeczy na głowie”. Zapomniałem o zakupach i w te pędy udałem się do West Hollywood.

Była akurat przerwa. Kay stała na placu, obserwując dzieci bawiące się w piaskownicy. Przyglądałem się jej przez chwilę z samochodu, po czym podszedłem bliżej. Dzieciaki zauważyły mnie pierwsze. Wyszczrzyłem się do nich, aż zaczęły się śmiać. Dopiero wtedy Kay się odwróciła. Powiedziałem: - To sławne podejście Bucky'ego Bleicherta.

- Dwight - rzekła Kay, dzieciaki patrzyły na nas, jakby wiedziały, że zaraz wydarzy się coś ważnego. Kay zrozumiała to w chwilę później. - Czy przyjechałeś, aby coś mi powiedzieć?

Zaśmiałem się, dzieciaki też zachichotały na widok moich końskich zębów. - Tak. Postanowiłem dać sobie z tym spokój. Wyjdiesz za mnie?

Kay odparła beznamiętnie: - I tak po prostu pogrzebiemy całą resztę? Tę cholerną sztywniarę też?

- Tak. Ją także.

Kay rzuciła mi się w ramiona. - Wobec tego, tak, zgadzam się.

Objęliśmy się nawzajem. I w tej samej chwili dzieciaki zaczęły skandować: - Panna Lake ma chłopaka! Panna Lake ma chłopaka!

*

Pobraliśmy się w trzy dni później, 2 maja 1947. Zrobiliśmy to na szybko, składając przysięgę małżeńską przed protestanckim kapłanem policji Los Angeles. Ceremonia odbyła się na podwórku, za domem Lee Blancharda. Kay miała na sobie różową sukienkę, co miało sugerować, że nie jest już dziewicą. Ja założyłem mój granatowy mundur. Moim drużbą był Russ Millard, a Harry Sears zjawił się na ceremonii jako gość. Znow zaczął się jąkać, a ja zorientowałem się, że mówił normalnie dopiero po czwartym drinku. Zabrałem też ojca z domu spokojnej starości, na przepustkę, ale on nawet mnie nie poznawał, nie wiedział, kim jestem, choć wyraźnie dobrze się bawił, pociągając z piersiówki Harry'ego, flirtując z Kay i pląsając w rytm muzyki z radia. Na stole stały wazy z ponczem i talerze z kanapkami. Cała nasza szóstka jadła i piła w najlepsze, aż w końcu obcy ludzie przechodzący ulicą, usłyszawszy muzykę i śmiech, zaczęli wpraszać się na naszą imprezę. Przed zmierzchem na podwórzu zaroilo się od nieznanomych osób, a Harry wybrał się do pobliskiego sklepu po alkohol i zakąski. Rozładowałem mój służbowy rewolwer i pozwoliłem, by bawili się nim nieznani mi cywile, Kay natomiast tańczyła polkę z kapłanem. Gdy zapadł zmierzch, stwierdziłem, że nie chcę, aby zabawa już się zakończyła, pożyczyłem więc od sąsiadów świec choinkowe i rozwiesiłem je od tylnych drzwi domu aż do sznurów na bieliznę i ulubionej juki Lee. Tańczyliśmy, piliśmy i zajadaliśmy się w najlepsze w świetle tych fałszywych, żółtych, czerwonych i niebieskich gwiazd. Około drugiej nad ranem, kiedy kluby na Trocadero zaczęły pustoszeć, do naszej gromadki dołączyli tamtejsi imprezowicze, łącznie z osobą samego Errolla Flynna, który na chwilę zamienił się ze mną na marynarki, założyłem jego frak, a jemu pożyczyłem moją mundurową bluzę z odznaką służbową i całą resztą. Gdyby nie burza z piorunami, zapewne impreza trwałaby bez końca - i w skrytości ducha tego właśnie chciałem.

Tłum zaczął się jednak rozchodzić, pośród czułych, serdecznych uścisków i energicznych pocałunków, po czym Russ odwiózł mego ojca z powrotem do domu starców. Kay Lake Bleichert i ja udaliśmy się do sypialni, aby się kochać; nie zgasilem radia, licząc na to, że dźwięki muzyki pomogą mi choć na chwilę zapomnieć o Betty Short.

To nie było konieczne - nie pomyślałem o niej ani przez chwilę.

III

Kay i Madeleine

25.

Czas płynął. Kay i ja pracowaliśmy i bawiliśmy się w młode małżeństwo. Po naszym krótkim miesiącu miodowym w San Francisco wróciłem, by zająć się tym, co pozostało z mojej policyjnej kariery. Thad Green powiedział otwarcie, że podziwiał to, co zrobiłem z Vogelami, ale uważał, że jako glina z patrolu jestem beznadziejny - większość funkcjonariuszy darzyła mnie jawną nienawiścią i dalsza służba w formacji mundurowej nie wróżyła nic dobrego. Jako że na studiach miałem same szóstki z chemii i matematyki, przydzielił mnie do wydziału kryminalistyki, w charakterze technika ds. materiałów dowodowych.

Czułem się, jakbym pracował po cywilnemu - w laboratorium w białym kitlu, a w terenie w szarym garniturze. Pobierałem próbki krwi, określałem ich grupę, zbierałem odciski palców i pisałem raporty balistyczne; zdrapywałem posokę ze ścian na miejscu zbrodni i badałem próbki pod mikroskopem, przekazując wyniki glinom z wydziału zabójstw. Ta robota polegała na pracy ze zlewkami, próbkami i krwią; nigdy jeszcze nie miałem tak bliskiej styczności ze śmiercią, co skądinąd stale przypominało mi, że nie jestem detektywem i póki co nikt nie ufał moim konkluzjom.

Obserwowałem z perspektywy dalsze poczynania wrogów i przyjaciół, jakich zyskałem, pracując nad przypadkiem Dalii.

Russ i Henry nie zlikwidowali sekretnego archiwum w El Nido, i po godzinach kontynuowali dochodzenie w sprawie Betty Short. Miałem klucz do pokoju, ale z niego nie skorzystałem, bo przecież obiecałem Kay, że pogrzebię raz na zawsze tę... sztywniarę. Niekiedy spotykałem się z padre na lunchu i pytałem o rozwój śledztwa; odpowiadał, że „sprawa rozwija się powoli”, a ja wiedziałem, że nigdy nie znajdzie zabójcy, choć z drugiej strony nigdy nie przestanie go szukać. W czerwcu '47 Ben Siegel został zastrzelony w Beverly Hills, w domu swojej przyjaciółki. Bill Koenig przydzielony do pomocy glinom z

komendy przy Siedemdziesiątej Siódmej po samobójczej śmierci Fritziego Vogela, zarobił ze śrutówki prosto w twarz, na rogu jednej z ulic w Watts, na początku '48. Oba zabójstwa pozostały nie rozwiązane. Ellis Loew z hukiem przerznął wybory w czerwcu '48, co uczciłem, pędząc w zaciszu mego kącika pracy parę zlewek mocnego, przedniego bimbrowa i upijając do nieprzytomności całą załogę mego laboratorium.

Wybory '48 sprawiły, że ponownie usłyszałem coś o Sprague'ach. Demokraci zaczęli ubiegać się o fotele w radzie miasta i zarządzie inspektoratów, hasłem ich kampanii było: Planowanie miejskie. Przekonywali, że w całym Los Angeles było mnóstwo wadliwie zaprojektowanych, niebezpiecznych dla zdrowia i życia budynków i zamierzali postawić przed sądem wykonawców robót publicznych, którzy stawiali domy w czasie tzw. boomu budowlanego w latach 20-tych. Prasa brukowa rozdmuchała całą tę aferę, w cyklu artykułów dotyczących „baronów budowlanych” - między innymi Macka Sennetta i Emmetta Sprague'a - a także ich powiązań ze światem przestępczym. W *Confidentialu* pojawiły się artykuły na temat gruntów, na których Sennett wznosił Hollywoodland, oraz tego, że Izba Handlowa zamierzała usunąć litery L-A-N-D z wielkiego napisu reklamowego Hollywoodland na Mount Lee, którym towarzyszyły zdjęcia przedstawiające reżysera slapstickowych komedii w towarzystwie krępego mężczyzny i drobnej, atrakcyjnej dziewczyny.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy byli to Emmett i Madeleine, ale mimo to wyciąłem te fotografie.

Moi wrogowie;

Moi przyjaciele;

Moja żona.

Zajmowałem się materiałami dowodowymi, Kay uczyła w szkole i przez cały czas wiedliśmy spokojne, w miarę normalne życie. Po spłaceniu domu, dysponując dwoma pensjami, pieniędzy nam nie brakowało i wykorzystaliśmy je, by uwolnić się od Lee Blancharda i uciec przed zimą '47. W weekendy wyjeżdżaliśmy w góry lub na pustynię, trzy, cztery razy w tygodniu jedliśmy kolacje w restauracjach. Zatrzymywaliśmy się w hotelach, udając potajemnych kochanków, a ja dopiero po roku zdałem sobie sprawę, że robiliśmy to, aby wyrwać się choć na chwilę z domu, opłacanego za pieniądze z napadu na bank Boulevard-Citizens. Byłem tak żądny wygodnego życia, że uświadomienie sobie tego faktu stanowiło dla mnie spory szok.

Jedna z klepek na korytarzu obluzowała się, wyjąłem ją więc, by ponownie ją przykleić. Zajrzawszy do otworu znalazłem zwitek pieniędzy, dwa tysiące, w banknotach studolarowych, spięte gumką. Nie ucieszyłem się ani nie zdeprymowałem. Mój mózg zaczął

pracować jak beznamiętna maszyna, podsuwając pytania, na które do tej pory skutecznie unikałem odpowiedzi.

Skoro Lee miał tę forszę, plus pieniądze, którymi szastał w Meksyku, dlaczego nie spłacił Baxtera Fitcha?

Skoro miał pieniądze, czemu chciał pożyczyć dziesięć patoli od Bena Siegela, aby przekazać je szantażującemu go Fitchowi? Jak to możliwe, aby Lee kupił i umeblował ten dom, opłacił studia Kay i jeszcze zostało mu sporo grosza, skoro jego działka za udział w napadzie nie mogła wynieść więcej niż pięćdziesiąt tysięcy?

Oczywiście powiedziałem o tym Kay i naturalnie nie odpowiedziała na moje pytanie; to jasne, że nienawidziła mnie za babranie się w przeszłości. Oznajmiłem jej, że przecież moglibyśmy sprzedać dom, kupić zwykłe mieszkanie, ale ona rzecz jasna nie chciała o tym słyszeć. Dom był wygodny, stylowy, stanowił ogniwo łączące ją ze starym życiem i nie chciała się z nim rozstać.

Spaliłem pieniądze w kominku zaprojektowanym przez Lee Blancharda. Kay ani razu nie spytała, co z nimi zrobiłem. Ta prosta czynność pomogła mi odzyskać część siebie, kosztowała mnie niemal całkowity rozpad małżeństwa i sprawiła, że powróciły dręczące mnie upiory.

Kay i ja coraz rzadziej się kochaliśmy. Gdy to robiliśmy, Kay doznawała krótkotrwałego uczucia powierzchownej reasekuracji, dla mnie zaś było to niczym stłumiona eksplozja. Zacząłem postrzegać Kay Lake Bleichert jako osobę zniszczoną potwornymi przeżyciami, jakich zaznała jeszcze przed trzydziestką, i powoli odzyskującą dawną czystość.

I wtedy jałem sprowadzać do naszego łóżka najgorsze rynsztokowe brudy, w ciemnościach Kay miała twarze steranych życiem dziwek. Z początku to nawet skutkowało, aż w końcu zrozumiałem, co chciałem w ten sposób osiągnąć. Kiedy w końcu skupiony jakoś dochodziłem, Kay gładziła mnie po głowie pieszczotliwie, jak matka, a ja czułem, że zdawała sobie sprawę, iż tu i teraz, raz po raz łamałem naszą przysięgę małżeńską.

Skończył się rok 1948 i zaczął 1949. Zamieniłem garaż w salę treningową, wyposażoną w gruszkę bokserską, ciężki worek treningowy, skakanki, sztangę i sztangiutki. Znow zacząłem ćwiczyć, wróciłem do formy i ozdobiłem ściany garażu zdjęciami przedstawiającymi młodego, prężnego Bucky'ego Bleichert, z lat 40-41. Moje zdjęcia oglądane przez zalewane potem oczy znacznie mnie do niej zbliżyły i zacząłem szperać w antykwariatach, w poszukiwaniu czasopism i niedzielnych dodatków do gazet. Odnalazłem w Colliers zdjęcia w kolorze sepia oraz rodzinne fotografie na stronach archiwalnych numerów bostońskiego Globe'a. Ukrywałem je starannie w garażu, a stosik tych wycinków regularnie

się powiększał, aż w końcu, któregoś popołudnia zniknął. Tego wieczora usłyszałem dochodzący z wnętrza domu płacz Kay, a kiedy poszedłem, aby z nią porozmawiać, okazało się, że drzwi sypialni były zamknięte na klucz.

26.

Zadzwonił telefon. Sięgnąłem po aparat przy łóżku i uświadomiłem sobie, że od miesiąca sypiam na kanapie; dłonią zahaczyłem o stolik do kawy. - Tak?

- Śpisz? - Głos Raya Pinkera, mojego zwierzchnika z wydziału kryminalistyki.

- Spałem.

- Dobrze, że powiedziałeś to w czasie przeszłym. Słuchasz uważnie?

- Mów.

- Mamy ofiarę samobójczego strzału z wczoraj. South June Street 514, Hancock Park. Ciało już zostało zabrane, sprawa wydaje się prosta i praktycznie jest już zamknięta. Przeprowadź niezbędne badania i podrzuć raport porucznikowi Reddinowi z komendy Wilshire. Zrobisz to?

Ziewnąłem. - Jasne. Miejsce samobójstwa zabezpieczone?

- Żona sztywniaka cię oprowadzi. Bądź uprzejmy, mamy do czynienia z osobą zamożną aż do obrzydliwości.

Odłożyłem słuchawkę i jęknąłem w głos. I nagle uświadomiłem sobie, że rezydencja Sprague'ów mieściła się o przecnicę od June Street. Nagle to zlecenie zaczęło wydawać mi się fascynujące.

*

W godzinę później zadzwoniłem do drzwi masywnej, zdobionej kolumnadą rezydencji w stylu kolonialnym. Drzwi otworzyła mi atrakcyjna, szpakowata kobieta około pięćdziesiątki, ubrana w zakurzony strój roboczy. Powiedziałem: - Funkcjonariusz Bleichert z policji. Wyrazy współczucia, pani...

Ray Pinker nie podał mi nazwiska. Kobieta odparła: - Przyjmuję kondolencje. Nazywam się Jane Chambers. A pan jest z laboratorium, tak?

Kobieta mimo zewnętrznej, niewzruszonej opoki była cała rozdygotana. Z miejsca ją polubiłem. - Tak. Jeżeli zaprowadzi mnie pani na miejsce, zajmę się wszystkim i nie będę dłużej zawracał pani głowy.

Jane Chambers wprowadziła mnie do wyłożonego drewnianą boazerią holu. - Gabinet

mieści się za jadalnią. Zobacz pan linki. A teraz proszę mi wybaczyć, mam sporo pracy w ogrodzie.

Oddaliła się, ukradkiem wycierając oczy. Odnalazłem wskazany pokój, przeszedłem ponad liną rozciągniętą przez policję i przez moment zastanawiałem się, dlaczego ten drań postanowił skończyć ze sobą w miejscu, gdzie najbliżsi mogli zobaczyć całą tę krew i szczątki. Wyglądało to na klasyczne samobójstwo z użyciem strzelby: przewrócony skórzany fotel, obrys ciała denata wykonany kredą na podłodze. Broń, dwururka kaliber 12., leżała tam, gdzie powinna, trzy stopy od ciała, wylot luf był umazany krwią i strzępami tkanek. Na jasnych ścianach i suficie widać było rozbryzniętą posokę i zaschnięte resztki mózgu, fragmenty zębów i śrutu świadczyły, że ofiara włożyła obie lufy strzelby do ust.

Przez godzinę robiłem pomiary trajektorii i kątów rozbryzniętej krwi, zdrapywałem fragmenty tkanek do próbek i przy pomocy proszku daktyloskopijnego sprawdziłem, czy na broni pozostały jakieś odciski. Kiedy skończyłem, wyjąłem torbę z pojemnika na materiały dowodowe i zapakowałem w nie strzelbę; wiedziałem, że ta broń wcześniej czy później stanie się własnością jakiegoś gliniarza, kolekcjonera strzelb myśliwskich. Potem wyszedłem do hallu i przystanąłem, ujrawszy oprawny w ramę obraz wiszący na wysokości oczu.

Był to portret kłowna, młodego chłopca z dawnych lat, który pełnił na dworze funkcję trefnisia. Ciało miał zdeformowane, garbate, a jego usta, wyglądające jak sięgająca od ucha do ucha rana cięta, wykrzywił kretyński uśmiech.

Patrzyłem jak urzeczony, rozmyślając o Elizabeth Short, której ciało odnaleziono przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton. Im dłużej patrzyłem, tym bardziej te dwa obrazy zlewały się ze sobą. W końcu oderwałem wzrok od portretu i przenieśliem na zdjęcie przedstawiające dwie objęte ramionami młode kobiety, które wyglądały jak Jane Chambers.

- Też to przeżyły. Śliczne, czyż nie?

Odwrociłem się. Wdowa była dwa razy bardziej zakurzona, cuchnęła ziemią i sprayem na insekty. - O tak, jak ich matka. Ile mają lat?

- Linda dwadzieścia trzy, a Carol dwadzieścia. Skończył pan już w gabinecie?

Pomyślałem, że córki Chambers musiały być rówieśnicami panien Sprague.

- Tak. Proszę powiedzieć temu, kto będzie tam sprzątał, aby użył amoniaku. Aha, i pani Chambers...

- Wystarczy Jane.

- Jane, czy zna pani Madeleine i Marthę Sprague?

Jane Chambers parsknęła: - Te dziewczęta i ta rodzina. A skąd pan ich zna?

- Kiedyś dla nich pracowałem.

- Ma pan szczęście, że to była przelotna znajomość.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

W holu zadzwonił telefon. Jane Chambers rzekła: - Pewnie znów kondolencje. Dziękuję za pańską uprzejmość, panie...

- Po prostu Bucky. Do zobaczenia pani, Jane.

- Do zobaczenia.

*

Napisałem raport na posterunku Wilshire, po czym zerknąłem na standardowe sprawozdanie z samobójstwa Chambersa, Eldridge'a Thomasa, zm. 02.04.49. Nie dowiedziałem się wiele. Jane Chambers usłyszała huk wystrzału, znalazła ciało i natychmiast wezwała policję. Kiedy zjawili się śledczy, powiedziała im, że mąż ciężko znosił swój pogarszający się stan zdrowia i nieudane małżeństwo córki. Samobójstwo - sprawa zamknięta, z chwilą gdy technicy zakończą prace w miejscu zgonu denata.

Moje ekspertyzy potwierdziły ten werdykt, bez najmniejszych zastrzeżeń. Ale czegoś mi brakowało i wciąż zżerała mnie ciekawość. Zasiadłem przy telefonie i zadzwoniłem do prasowych łączników Russa Millarda, by podać im dwa nazwiska: Eldridge Chambers i Emmett Sprague. Poszperali na własną rękę i oddzwonili na komendę, gdzie czekałem jak na szpilkach. Po czterech godzinach wiedziałem, co następuje:

Eldridge Chambers zmarł jako człowiek wyjątkowo zamożny.

W latach 1930-34 był prezesem Zarządu Gospodarowania Gruntami w Południowej Kalifornii.

To on nominował Sprague'a na członka Country Clubu w Wilshire w 1929, ale kandydaturę Szkota odrzucono z uwagi na jego „żydowskich współników w interesach”, czyli innymi słowy gangsterów ze Wschodniego Wybrzeża.

A teraz najlepsze - Chambers przez pośredników wywalił Sprague'a z Zarządu Gospodarowania Gruntami i Nieruchomościami, kiedy kilka z jego domów zawało się po trzęsieniu ziemi w '33.

To mogło wystarczyć dla byle pismaka z prasy brukowej, ale nie dla gliny pracującego przy zlewkach, który miał czasu pod dostatkiem i w perspektywie rozsypujące się małżeństwo. Odczekałem cztery dni, a gdy z gazet dowiedziałem się, że ciało Eldridge'a Chambersa spoczęło w ziemi, wróciłem, by ponownie rozmówić się z wdową.

Otworzyła mi drzwi w stroju do prac ogrodowych, z sekatorem w dłoni. - Zapomniał pan czegoś czy jest po prostu ciekawski, jak mi się wcześniej zdawało?

- To drugie.

Jane zaśmiała się i otarła grudki ziemi z twarzy: - Po pana wyjściu skojarzyłam pańskie nazwisko. Czy nie był pan czasem sportowcem?

- Bokserem - też się zaśmiałem. - A czy zastałem może pani córki? Czy mieszka pani teraz sama?

Jane pokręciła głową. - Sama, i tak właśnie mi się podoba. Może napije się pan ze mną herbaty?

Skinąłem głową. Jane poprowadziła mnie na ocienioną werandę z widokiem na rozległe, trawiaste podwórze, które niemal w połowie było zaorane. Usiadłem na ogrodowym fotelu; pani domu poczęstowała mnie mrożoną herbatą. - Od niedzieli sporo tu zrobiłam. To pomaga mi o wiele bardziej niż wyrazy współczucia ze strony znajomych.

- Dobrze to pani znosi.

Jane usiadła przy mnie. - Eldridge miał raka, więc poniekąd spodziewałam się tego. Tylko że nie spodziewałam się, że umrze w domu, od strzału z dubeltówki.

- Byliście ze sobą blisko?

- Nie. Już nie. Dziewczyny dorosły, i prędzej czy później wzięlibyśmy rozwód. A pan jest żonaty?

- Tak. Prawie od dwóch lat.

Jane upiła łyk herbaty. - Boże, młody zonkoś. Nie ma nic lepszego, czyż nie?

Wyraz twarzy musiał mnie zdradzić.

Jane szepnęła: - Przepraszam. - I zmieniła temat: - Skąd pan zna Sprague'ów?

- Zanim poznałem żonę, byłem związany z Madeleine. A jak dobrze pani ich zna?

Jane rozważyła moje pytanie i spojrzała przed siebie, na rozbebeszone podwórze. - Eldridge i Emmett znali się od dawna - odparła w końcu. - Obaj zarobili sporo grosza na nieruchomościach i wspólnie pracowali w zarządzie na Południową Kalifornię. Może nie powinnam tego mówić, bo jest pan policjantem, ale Emmett nie był do końca uczciwy. Podczas wielkiego trzęsienia ziemi w '33 wiele z jego domów się zawaliło, a Eldridge powiedział, że ma jeszcze mnóstwo innych budynków, które prędzej czy później się rozsypią, domów wykonanych z najgorszych, najtańszych materiałów. Eldridge wyrzucił Emmetta z zarządu, kiedy dowiedział się o lipnych firmach odpowiedzialnych za sprzedaż i wynajem tych domów - był wściekły, że Emmett nigdy nie odpowie przed sądem za to, co zrobił, gdyby doszło do kolejnej takiej tragedii.

Przypomniałem sobie, że rozmawiałem o tym samym z Madeleine.

- Wydaje się, że pani mąż był porządnym człowiekiem.

Usta Jane wykrzywiły się w uśmiechu, niemal wbrew jej woli. - Miewał takie

przebłycki.

- Nigdy nie doniósł na Emmetta na policję?

- Nie. Obawiał się jego gangsterskich powiązań. Choć robił, co mógł, aby uprzykrzyć Emmettowi życie. Usunięcie z zarządu na pewno napsuło mu trochę krwi.

- Robił, co mógł, to całkiem niezłe epitafium.

Jane uśmiechnęła się drwiąco. - Robił to z poczucia winy. Eldridge miał w San Pedro całą dzielnicę bieda-domów. Kiedy dowiedział się, że ma raka, zaczęły go na dobre dręczyć wyrzuty sumienia. W ubiegłym roku głosował na demokratów, a kiedy ci wygrali wybory, spotkał się z kilkoma spośród nowych członków Rady Miasta. Jestem pewna, że przekazał im „kwity” na Emmetta.

Przypomniałem sobie o planowanych procesach, o których donosiła prasa bulwarowa.

- Może Emmett już niedługo skończy w ryszotku. Pani mąż byłby...

Jane postukała palcem serdecznym w blat stolika. - Mój mąż był bogaty, przystojny i kiepsko tańczył charlestona, a ja kochałam go, dopóki nie dowiedziałam się, że mnie zdradza, teraz zaś znów zaczynam go kochać. To takie dziwne.

- Wcale nie - odparłem.

Jane uśmiechnęła się łagodnie. - Ile pan ma lat, Bucky?

- Trzydzieści dwa.

- A ja pięćdziesiąt jeden, i skoro uważam, że coś jest dziwne, to znaczy, że tak właśnie jest. W pana wieku nie powinno się tak łatwo akceptować wszystkich zawilosci ludzkich serc. Trzeba mieć jeszcze złudzenia.

- Drażni się pani ze mną, Jane. Jestem gliną. A gliny nie mają złudzeń.

Jane zaśmiała się serdecznie. - Touché. Teraz mnie pan zaciekawił. Jak były bokser wdał się w romans z Madeleine Sprague?

Skłamałem: - Zatrzymałem ją, gdy przejechała na czerwonym, i tak od słowa do słowa... - Poczulem nieprzyjemny ucisk w dołku. - Co o niej pani wie? - zapytałem, jak gdyby nigdy nic.

Jane tupnęła na wronę przyglądającą się krzewom róż, przy werandzie. - To, co wiem o Sprague'ach po kądzieli, ma co najmniej dziesięć lat i jest dość osobliwe. Wręcz barokowe.

- Zamieniam się w słuch.

Jane powiedziała: - Niektórzy mogliby powiedzieć, że raczej w końskie zęby. - Gdy nie zareagowałem śmiechem, przeniosła wzrok ponad zrytym podwórzem, w stronę Muirfield Road i posesji barona od nieruchomości. - Kiedy moje córki oraz Maddy i Martha były małe, Ramona urządziła na trawniku przed ich domem rozmaite spektakle i przedstawienia. Ot,

takie tam zabawy z dziewczynkami w fartuszkach i kostiumach zwierząt. Pozwoliłam, by Linda i Carol w tym uczestniczyły, choć wiedziałam, że Ramona cierpi na jakieś zaburzenia. Kiedy dziewczynki podrosły i stały się nastolatkami, te widowiska też zmieniły swój charakter i były o wiele dziwniejsze niż kiedykolwiek. Ramona i Maddy miały wprawę w robieniu makijażu, a Ramona inscenizowała te... scenki, odtwarzając zdarzenia, których bohaterami byli Emmett i jego przyjaciel Georgie Tilden podczas pierwszej wojny światowej. I tak kazała dzieciom nosić wojskowe kilty, berety i karabiny - takie niby zabawki. Niekiedy mazała im twarze sztuczną krwią, czasami też Georgie nagrywał to wszystko. Stało się to tak dziwaczne, tak irracjonalne, że zabroniłam Lindzie i Carol bawić się z córkami Sprague'ów. Aż potem któregoś dnia Carol przysłała do domu ze zdjęciami, jakie zrobił jej Georgie. Grała rolę trupa, cała była umazana czerwoną farbą. To była kropla, która przelała czarę. Udałam się w te pędy do domu Sprague'ów i złażałam Georgie'go, bo wiedziałam że Ramona nie do końca odpowiada za swoje czyny. Ten nieszczęśnik przyjął to wszystko ze spokojem, a mnie później zrobiło się go żal - bądź co bądź był zdeformowanym kaleką, ofiarą wypadku samochodowego, a ja obsobaczyłam go jak burą sukę. Niegdyś pracował z Emmettem w nieruchomościach, a teraz tylko wrywał chwasty i zbierał śmieci dla miasta.

- Co się potem stało z Madeleine i Marthą?

Jane wzruszyła ramionami: - Martha stała się kimś w rodzaju genialnej artystki, a Madeleine trochę zbyt śmiało poczyniła sobie z mężczyznami, o czym zapewne już pan wie.

Stukając obrączką w blat, Jane dodała: - Przepraszam. Może żałuję, że sama taka nie jestem. Przecież nie mogę do końca życia pielnić w ogródku, a jestem zbyt dumna, żeby wynajmować żigolaków. Co pan o tym sądzi?

- Znajdzie pani sobie jeszcze innego milionera.

- Wątpliwe, a zresztą ten jeden wystarczy mi do końca życia. Wie pan, o czym myślę? Że mamy już prawie rok 1950, a ja urodziłam się w 1898. To mnie przytłacza.

Powiedziałem to, co chodziło mi po głowie przez ostatnie pół godziny. - Sprawia jednak pani, że chciałbym, aby sprawy przedstawiały się inaczej. I żeby czasy były inne.

Jane uśmiechnęła się i westchnęła: - Czy to wszystko, czego mogę oczekiwać z pana strony, Bucky?

Odpowiedziałem też westchnieniem: - Chyba tak, ale nie tylko pani, ale inni także.

- Ale sprawia pan wrażenie ciekawego życia innych...

- A pani lubi czasem poplotkować.

- Touché. No cóż, odprowadzę pana.

W hallu moją uwagę znów przykuły przypominające bliznę od noża czerwone usta

trefnisia. Wskazując na obraz, powiedziałem: - Boże, to płótno jest naprawdę przerażające.

- I dość cenne. Eldridge kupił je na moje czterdzieste dziewiąte urodziny, ale nie cierpię go. Może zabierze je pan ze sobą?

- Dzięki, ale nie.

- Wobec tego, dziękuję. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszego powiernika do zwierzeń w tak trudnej dla mnie chwili.

- Ani ja.

I w chwilę potem już mnie nie było.

27.

Wciąż przy palniku bunsenowskim w pracy.

I przesypiający noce na kanapie w domu.

Detektyw bez sprawy, którą mógłby prowadzić.

Oto jak spędziłem wiosnę roku '49. Kay co rano wychodziła do szkoły, ja udawałem, że śpię, dopóki nie zamknęła za sobą drzwi. Samotny w moim domku z bajki, dotykałem rzeczy żony - kaszmirowych swetrów, które kupił jej Lee, prac do oceny, książek, które miała zamiar przeczytać. Szukałem pamiętnika, ale nie znalazłem żadnego. W laboratorium wyobrażałem sobie, jak Kay grzebie w moich rzeczach. Zastanawiałem się, czy nie zacząć pisać dziennika i nie zostawić go w miejscu, gdzie mogłaby go znaleźć, ze szczegółowymi opisami moich intymnych spotkań z Madeleine Sprague, aby ją zaszokować i albo uzyskać przebaczenie za obsesję na punkcie Dalii, albo do reszty rozwalić całe nasze małżeństwo. W moim kantorku napisałem całe pięć stron, ale przestałem, kiedy poczułem aromat perfum Madeleine mieszający się z wonią kurzu, wszechobecnego w motelu Red Arrow. Ostatecznie zwinąłem te kartki w rulon i użyłem na podpałkę, rozpalając w kominku.

Od czterech nocy prowadziłem inwigilację rezydencji przy Muirfield Road. Parkując po drugiej stronie ulicy, patrzyłem, jak światła zapalają się i gasną, widziałem cienie za witrażowymi szybami okien. Przyszło mi na myśl, aby wkroczyć z butami w życie Sprague'ów i roznieść je w drobny mak, udowadniając Emmettowi, jaki jestem twardy i że pieprzyłem się z Madeleine w podrzędnym motelu. Nocami nikt nie opuszczał rezydencji, wszystkie cztery auta pozostawały na podjeździe. Zastanawiałem się, co teraz robili, jakie wspólne wspomnienia próbowali odświeżać i czy któreś z nich wspomni przy okazji gliniarza, którego przed dwoma laty gościli na kolacji.

Piątej nocy, Madeleine w materiałowych spodniach i różowym swetrze podeszła do rogu, aby nadać list. Kiedy wróciła, musiała zauważyć mój wóz, bo gdy podchodziła w świetle reflektorów, spostrzegłem wyraz zdumienia na jej twarzy. Oczekałem, aż wróci pospiesznie do fortecy Tudorów, po czym wróciłem do domu, mając w myślach słowa Jane Chambers - sprawia pan wrażenie ciekawego życia innych - i kiedy wszedłem do środka, usłyszałem szum płynącej wody; drzwi sypialni były otwarte. Z gramofonu płynęły dźwięki kwintetu Brahmsa, ulubionego Kay. Przypominając sobie, jak pierwszy raz ujrzałem moją żonę nagą, rozebrałem się i położyłem na łóżku.

Woda przestała płynąć; dźwięki Brahmsa przybrały na sile. Kay pojawiła się w drzwiach, owinięta ręcznikiem. Powiedziałem „Maleńka”, a ona „Och, Dwight” i upuściła ręcznik. Oboje zaczęliśmy mówić, równocześnie przepaszając się wzajemnie. Nie słyszałem jej słów ani ona nie rozumiała moich. Już miałem wstać, aby wyłączyć gramofon, ale Kay pierwsza podeszła do łóżka.

Zaczęliśmy się całować. Trochę zbyt szybko rozchyliłem wargi, zapominając, że Kay lubiła się drażnić. Kiedy poczułem jej język, cofnąłem się, choć tego nie znosiła. Zamknąwszy oczy, zacząłem muskać ustami jej szyję, jęknęła i wiedziałem, że udaje. Jęki rozkoszy były jeszcze gorsze niż odgłosy wydawane przez aktorkę z tandetnego pornosa. Piersi Kay wydawały się wiotkie pod moimi palcami, nogi miała złączone, ale dotykała mnie całym ciałem. Rozchyliłem jej uda kolanem, reakcja była gwałtowna, spazmatyczna. Teraz, kiedy zeszywniałem, zwilżyłem Kay ustami i wszedłem w nią.

Nie zamykałem oczu i patrzyłem na nią, aby wiedziała, że byliśmy tylko my; Kay odwróciła wzrok i zrozumiałem, że mnie przejrzała. Chciałem trochę wyluzować i zwolnić, i dojść delikatnie, ale widok żyłki pulsującej na szyi Kay sprawił, że napaliłem się bardziej niż kiedykolwiek. Doszedłem, mrużąc: - Wybacz, cholera, tak cię przepaszam. - A to, co odpowiedziała Kay, zostało stłumione przez poduszkę, w której ukryła twarz.

28.

Następnej nocy zaparkowałem naprzeciwko rezydencji Sprague'ów; tym razem korzystałem z nieoznakowanego forda, którym jeździłem na ekspertyzy terenowe. Straciłem poczucie czasu, ale wiedziałem, że każda sekunda przybliżała mnie do zapukania do drzwi albo zdecydowanego wtargnięcia do środka.

W myślach wyobrażałem sobie Madeleine nagą; pozostałym Sprague'om obiecałem

zabójczą ripostę na pożegnanie... Wtem podjazd załało światło, trzasnęły drzwiczki i zapłonęły reflektory packarda. Auto wypadło na Muirfield, skręciło ostro w lewo, w Szóstą i skierowało się na wschód. Odczekałem trzy sekundy i pojechałem za nim. Packard pozostał na środkowym pasie; ja trzymałem się prawego, utrzymując bezpieczny dystans czterech aut. Wyjechaliśmy z Hancock Park do Wilshire, na południe przez Normandie i na wschód wzdłuż Ósmej Ulicy. Na przestrzeni mili przy ulicy płonęły neony barów - wiedziałem już, że Madeleine coś kombinuje.

Packard zatrzymał się przed Zimba Room, knajpą, nad wejściem której widniały dwie skrzyżowane, neonowe włócznie. Jedyne wolne miejsce znajdowało się tuż za nim, podjechałem więc, a światła reflektorów wychwyciły kierowcę zamykającego drzwiczki; kiedy zobaczyłem, kto to był, w mojej głowie zapanował nieopisany mętlik.

Elizabeth Short.

Betty Short.

Liz Short.

Czarna Dalia.

Oparłem się kolanami o kierownicę, moje drżące dłonie nacisnęły klakson. Zjawa osłoniła dłonią oczy, spojrzała pod światło, po czym wzruszyła ramionami. Ujrzałem znajome dołeczki w policzkach i powróciłem do rzeczywistości.

To była Madeleine Sprague, przebrana za Czarną Dalię. Miała na sobie obcisłą, czarną sukienkę, makijaż i fryzurę à la Betty Short. Patrzyłem, jak wchodzi do baru, dostrzegłem żółty błysk w zakręconych ku górze czarnych kędziorach i pojąłem, że zadbała o przemianę w najdrobniejszych szczegółach, miała nawet taką samą spinkę jak ona. Ten szczegół rąbnął mnie jak dwa sierpowe Blancharda. Na miękkich nogach podążyłem śladem zjawy.

Wewnątrz Zimba Room było aż gęsto od dymu, roило się od wojskowych, a w powietrzu rozchodziły się dźwięki muzyki jazzowej. Madeleine sączyła drinka przy barze. Rozglądając się wokoło, zauważyłem, że była jedyną kobietą w tym lokalu i już narobiła niezłego bałaganu - żołnierze i marynarze szturchali się nawzajem, przekazując sobie dobrą nowinę, wskazywali jeden drugiemu czarno ubraną postać i wymieniali szeptem komentarze.

Na tyłach sali napotkałem lożę w czarno-białe pasy; siedzieli w niej marynarze, przekazując sobie butelkę z rąk do rąk. Jedno spojrzenie na ich pokryte delikatnym puszkciem twarze uświadomiło mi, że byli nieletni. Wyciągnąłem odznakę i powiedziałem: - Spadajcie stąd albo za minutę będzie tu żandarmeria.

Trzech gołowąsów ulotniło się w jednej chwili, zostawiając flaszkę na stoliku. Usiadłem, by podziwiać Madeleine udającą Betty.

Parę łyków burbona skutecznie ukoilo moje nerwy, kątem oka widziałem Madeleine przy barze, otoczoną wianuszkami potencjalnych kochanków, łapczywie chłonących każde jej słowo. Byłem zbyt daleko, by móc ją usłyszeć, ale każdy gest, jaki czyniła, wydawał się obcy, zapożyczony od innej kobiety, za każdym razem, gdy dotykała kogoś z mężczyzną, odruchowo sięgałem po 38-kę. Czas płynął, a wokół kobiety w czerni gromadziło się coraz więcej mundurowych obu formacji.

Madeleine piła, gawędziła, zbywała natrętów i koncentrowała swą uwagę na krępym marynarzu. Grono jej niedoszłych kochanków topniało, w miarę jak wspomniany osiłek przeganiał ich złowrogimi spojrzeniami. Dopilem butelkę. Gapienie się w stronę baru powstrzymywało mnie od myślenia, a jazzowa muzyka zagłuszała gwar głosów; wypity alkohol odebrał mi chęć zapuszkowania krępego marynarza pod zarzutem gróźb karalnych wobec innych żołnierzy obecnych w lokalu. Wreszcie kobieta w czerni i marynarz wyszli, czule objęci; Madeleine - w szpilkach była od niego o parę cali wyższa.

Odczekałem parę sekund i pospieszyłem za nimi. Packard skręcił właśnie za róg; wziąłem ostro zakręt i zobaczyłem tylne światła wozu Madeleine przy końcu przecznicy. Podjechałem bliżej, nieomal zahaczając o tylny zderzak packarda. Madeleine wysunęła rękę przez opuszczoną szybę, dając znak, że zamierza skręcić, po czym zjechała na parking przy jasno oświetlonym motelu.

Zatrzymałem wóz, po czym cofnąłem trochę i wygasilem światła. Zobaczyłem marynarza, który stał przy packardzie, paląc papierosa, podczas gdy Madeleine poszła do recepcji po klucz. W chwilę potem wyszła na zewnątrz i jak wtedy, gdy się jeszcze spotykaliśmy, gestem dłoni dała marynarzowi znak, żeby poszedł przodem - ze mną było tak samo. Światła w pokoju zapaliły się i zgasły, a gdy podchodziłem bliżej, aby posłuchać, co działo się w środku, żaluzje w oknie zostały opuszczone, a z wnętrza pokoju popłynęły dźwięki muzyki naszej ulubionej stacji radiowej.

*

Permanentna inwigilacja.

Przesłuchania w terenie.

Technik przy palniku bunsena był teraz detektywem ze sprawą. Przez kolejne cztery noce obserwowałem, jak Madeleine nadal udaje Dalię; za każdym razem modus operandi było takie samo: knajpa przy Ósmej Ulicy, twarde futro na torsie i motel przy Dziewiątej i Irolo. Kiedy znikała z kolejnym kochankiem w pokoju motelowym, wracałem do knajpy, aby wziąć na spytki barmana i żołnierzy, których spławiła.

Jak się przedstawiała?

Nie podała imienia ani nazwiska.

O czym mówiła?

O wojnie i grze w filmach.

Czy zwróciłeś uwagę na podobieństwo do Czarnej Dalii, tej zamordowanej dziewczyny sprzed paru lat, a jeżeli tak, co twoim zdaniem starała się w ten sposób udowodnić?

Same zaprzeczenia i luźne teorie: to wariatka, która uważa się za Czarną Dalię; to dziwka czerpiącą zyski z podobieństwa do Dalii, to policjantka w przebraniu, poszukująca zabójcy Dalii, to szajbuska umierająca na raka, próbująca zwabić zabójcę Dalii i okpić chorobę.

Wiedziałem, że następnym krokiem było przyciśnięcie kochanków Madeleine, ale nie ufałem sobie, że potrafiłbym to zrobić w sposób racjonalny. Gdyby powiedzieli coś nie tak albo coś konkretnego, albo skierowali mnie we właściwym czy niewłaściwym kierunku, mógłbym zrobić coś głupiego i stracić nad sobą panowanie.

Cztery noce picia, spania w aucie i na kanapie w domu, podczas gdy Kay korzystała z sypialni, wywarły na mnie spory wpływ. W pracy upuszczałem szkiełka z preparatami i mylnie opisywałem próbki krwi, sporządzałem stenograficzne raporty zmęczoną ręką i dwukrotnie przysnąłem nad mikroskopem balistycznym, budząc się pod wpływem wizji ubranej na czarno Madeleine. Zdając sobie sprawę, że piątej takiej nocy już nie wytrzymam, zwędziłem garść tabletek benzedryny czekających na zaewidencjonowanie w wydziale narkotyków. Pozwoliły mi przemóc zmęczenie i wrazenie odrazy z powodu tego, co ze sobą robiłem, a poza tym ochroniły mnie przed Madeleine/Dalią i pozwalały stać się na powrót prawdziwym gliniarzem.

Thad Green nie opierał się, gdy zacząłem się z nim targować; miałem za sobą siedem lat służby w wydziale, o sprawie Vogelów sprzed dwóch lat prawie wszyscy już zapomnieli; nie cierpiałem pracy w kryminalistyce i chciałem wrócić do służby mundurowej, najlepiej na nocną zmianę. Uczyłem się do egzaminu na sierżanta, wydział kryminalistyki stanowił wyborną wprawkę przed osiągnięciem założonego przeze mnie celu - biura śledczego. Zacząłem skarżyć się na rozsypujące się małżeństwo i że przeniesienie na nocną zmianę pozwoli mi skutecznie uwolnić się od mojej ślubnej, a kiedy oczyma duszy ujrzałem kobietę w czerni, stwierdziłem, że niewiele mi brakowało, abym zaczął go błagać. W końcu szef detektywów uciszył mnie długim spojrzeniem i przez moment zastanawiałem się, czy widział, że byłem po prochach. Ale on rzucił tylko: - Dobrze, Bucky - i wskazał mi drzwi. Zaczekałem w zewnętrznym gabinecie, a dzięki benzedrynie to oczekiwanie ciągnęło się w

nieskończoność. Kiedy Green wyszedł, uśmiechając się szeroko, omal nie wyskoczyłem ze skóry. - Od jutra masz nocną służbę na Newton Street - oznajmił. - I postaraj się traktować po ludzku naszych kolorowych braci z tamtej okolicy. Wolałbym, żeby nie udzielił się im twój ponury nastrój.

*

Komenda przy Newton Street mieściła się na południowy wschód od centrum LA, 95 procent slumsów, 95 procent czarnuchów, 100 procent kłopotów. Na każdym rogu ulicy spotykały się gangi uliczne; sklepy monopolowe, salony prostowania włosów i salony bilardowe przy każdej przecznicy, kod trzy zgłaszano na komendę przez okrągłą dobę. Funkcjonariusze z pieszego patrolu nosili pałki nabijane metalem; gliny z komendy standardowo nosili automatyczne 45-ki załadowane kulami dum-dum. Miejscowi pijaczkowie raczyli się „zieloną jaszczurką”, brzoźówką zaprawioną portweinem Old Monterey; standardowa cena usług dziwki wynosiła dolara albo półtora, jeśli chciałeś to zrobić „u niej”, czyli w jednym z pustych aut na złomowisku przy Pięćdziesiątej Szóstej i Central. Dzieciaki na ulicach były chude, ale z pękatymi brzuskami, bezpieczne psy wyglądały wyjątkowo parszywie i szczyrzyły zębiska do każdego, sprzedawcy trzymali pod ladą nabite strzelby. Komenda przy Newton Street leżała w strefie wojny.

Zgłosiłem się na służbę, przespawszy dwadzieścia dwie godziny, co zawdzięczałem wyparowującemu ze mnie alkoholowi i benzedrynie. Komendant, podstarzały porucznik nazwiskiem Getchell, powitał mnie ciepło, stwierdzając, że zdaniem Thada Greena byłem w porządku i on to akceptuje, dopóki sam czegoś nie spieprzę i nie udowodnię mu, że jest inaczej. Osobiście nie cierpiał bokserów i kapusiów, ale co było, minęło. Gorzej z moimi nowymi kolegami z komendy, ci nienawidzili zarówno sławnych gliniarzy, bokserów jak i bolszewików, będzie trzeba ich jakoś przekonać, a Fritziego Vogela wciąż tutaj pamiętano, bo nie dalej jak cztery lata temu pracował w patrolu właśnie przy Newton Street. Serdeczny przełożony przydzielił mnie do jednoosobowego patrolu pieszego; a po tym miłym powitaniu obiecałem sobie w duchu, że nie zawiodę faceta.

Gorzej było podczas pierwszego dnia na komendzie. Kiedy sierżant dyżurny przedstawił mnie funkcjonariuszom, obyło się bez braw, wielu policjantów odwróciło wzrok albo zaczęło patrzeć na mnie wilkiem. Po odczytaniu bilansu moich dokonań, siedmiu z pięćdziesięciu pięciu ludzi podawało mi rękę i życzyło powodzenia. Sierżant oprowadził mnie po komendzie i przydzielił mapę z zaznaczonymi granicami mojego rewiru, na pożegnanie zaś powiedział: - Nie pozwól, żeby czarnuchy zaczęły tobą pomiatać.

Kiedy mu podziękowałem, dodał: - Fritz Vogel był moim dobrym kumplem. - I

odszedł.

Postanowiłem szybko udowodnić, że jestem w porządku.

Przez pierwszy tydzień musiałem się trochę namordować i pozbierać informacje o tym, kto w tej dzielnicy był naprawdę zły.

Rozbijałem za pomocą pałki zgromadzenia pijaczków sączących „jaszczurki”, ale obiecałem, że nie będę tego robił, o ile w zamian otrzymam od nich istotne informacje. Jeżeli ich nie mieli, trafiali za kratki, a nawet jeśli mieli, także tam kończyli. Kiedy poczułem woń trawki przy salonie fryzjerskim przy Sześćdziesiątej Ósmej i Beach, wszedłem do środka, rozwalając drzwi kopniakiem i zwinąłem trzech ćpunów ze sporą porcją marychy w kieszeniach. Wydali swego dostawcę, a w zamian za obietnicę, że nie trafią do aresztu, zdradzili, że szykuje się mała rozróżba pomiędzy Slausonami a Chopperami. Przekazałem tę informację na komendę i przywołałem radiowóz, aby odwiózł ćpunów na posterunek. Wizyta na cmentarzystku aut zaowocowała aresztowaniami paru delikwentek za prostytutkę, a zagroziwszy klientom, że ich żony dowiedzą się o wszystkim, zyskałem kolejne informacje. Pod koniec tygodnia miałem na koncie dwadzieścia dwa aresztowania, w tym dziesięciu poszukiwanych przestępców. I poznałem wiele nazwisk. Nazwisk, które miały stać się sprawdzianem mojej odwagi. Nazwiska te miały stać się dla mnie przepustką do sławy. I mogły sprawić, że gliniarze, którzy mnie nienawidzili, zaczną się mnie bać.

Downtowna Willy'ego Browna dorwałem, gdy wychodził z baru Lucky Time. Powiedziałem: - Twoja stara obciąga komu popadnie, czarnuchu. - Willy rzucił się na mnie. Przyjąłem trzy ciosy, a sam wymierzyłem mu sześć; kiedy było po wszystkim, Brown wypluwał nosem kolejne zęby. A po drugiej stronie ulicy dwaj gliniarze widzieli to całe zdarzenie.

Roosevelt Williams, zwolniony warunkowo gwałcieł, alfons i złodziej, był o wiele twardszy. W odpowiedzi na: „Siemasz, bucu” rzucił: „Ty biały skurwielu” i zaatakował pierwszy, wymienialiśmy ciosy prawie przez minutę, na oczach Chopperów stojących przy schodach opodal. Zaczynał mieć nade mną przewagę - i niemal sięgnąłem po moją pałkę - ale pojedynki toczony w taki sposób nie dają początku legendzie. W końcu skorzystałem z tego, czego nauczyłem się od Blancharda, zaatakowałem na przemian ciosami góra-dół i dałem z siebie wszystko, łup-łup-łup; po ostatnim uderzeniu Williams przeniósł się do Krainy Morfeusza, a ja trafiłem na pogotowie, aby założono mi łubki na dwa palce.

Od tej pory walka na gołe pięści nie wchodziła w rachubę. Ostatnie dwa nazwiska to Crawford Johnson i jego brat Willis; organizowali nielegalne gry hazardowe w karty, w jednej z sal kościoła baptystów pod wezwaniem Wielkiego Odkupiciela przy Sześćdziesiątej

Pierwszej i Enterprise, o rzut kamieniem od przytulnego baru, gdzie gliniarze jadali posiłki za pół ceny. Kiedy wszedłem razem z oknem, Willis akurat rozdawał karty. Uniósł wzrok i rzucił „Co jest?” - i w tej samej chwili ciosem mojej pałki rozwalilem mu obie ręce i blat stolika. Crawford sięgnął za pazuchę - kolejne uderzenie mojej pałki wytrąciło mu z dłoni 45-kę z tłumikiem. Bracia wypadli na ulicę, wyjąc z bólu. Podniosłem z podłogi moje nowe, zdobyczne kopyto, po czym kazałem innym hazardzistom, aby zabrali swoją forszę i wrócili do domu. Gdy wyszedłem na zewnątrz, okazało się, że mam sporą widownię - na chodniku stali zajadający się kanapkami gliniarze, przyglądając się jęczącym z bólu braciom Johnson, tulącym do piersi połamane łapska. - Niektórzy nie rozumieją, gdy mówi się do nich po ludzku! - zawołałem.

Pewien starszy sierżant, który rzekomo szczerze mnie nie znosił, odskrzyknął: - Wiesz co, Bleichert, honorny z ciebie białas! - i zrozumiałem, że uznali mnie za jednego ze swoich.

*

Walka z braćmi Johnson obrosła legendą. Koledzy z komendy stopniowo zaczęli się do mnie przekonywać, tak jak to zwykle bywa z ludźmi, którzy są zbyt odważni i porywczy i których podziwiamy, choć nigdy byśmy się z nimi nie zamienili. Tak czy owak, znów byłem sławny.

W pierwszym, miesięcznym raporcie sprawozdawczym otrzymałem najwyższą z możliwych ocen, a porucznik Getchell nagroził mnie, przydzielając samochód służbowy, Było to swojego rodzaju awansem, podobnie jak rewir, który miałem odtąd patrolować.

Plotki głosiły, że Slausonowie i Chopperowie zawzięli się na mnie i chcieli mnie sprzątnąć, a gdyby im się nie udało, następni w kolejce byli bracia Johnson. Getchell chciał przenieść mnie w bezpieczne miejsce, dopóki tamci nie ochłoną, więc przydzielił mi sektor przy zachodniej granicy naszego ogólnego rewiru. W tej okolicy panowała wszechobecna nuda. Nic się nie działo. Mieszkańcy - biali i czarni, w okolicy schludne domki i zakłady produkcyjne; jedyne, na co mogłem liczyć, to pijani kierowcy i łapiące stopa dziwki nagabujące kierowców, aby zarobić parę dolców w drodze do czarnuchowa, gdzie zamierzały kupić prochy. Zamykałem pijanych kierowców, zatrzymując ich bez najmniejszych problemów, wypisując mandaty całymi garściami i ogólnie polując na wszystko, co wydawało się podejrzane. Przy Hoover i Vermont pojawiły się bary dla zmotoryzowanych, nowoczesne lokale, gdzie mogłeś zjeść posiłek w swoim aucie, słuchając muzyki z głośników na słupkach, tuż za szybą. Spędziłem tam wiele godzin, słuchając be-bopu prezentowanego przez stację KGPI, ale przez cały czas miałem włączone policyjne radio, na wypadek gdyby podano naprawdę istotny komunikat. Gdy tak siedziałem i słuchałem, równocześnie uważnie

obserwowałem ulicę, wypatrując białych dziwek i obiecałem sobie w duchu, że jeśli zobaczę taką, która przypominałaby Betty Short, ostrzegę ją, że do Trzydziestej Dziewiątej i Norton jest stąd zaledwie parę mil i że powinna zachować szczególną ostrożność.

Większość dziwek była jednak czarnoskóra, z włosami tlenionymi na blond, niewarta moich ostrzeżeń, za to warta, by je zgarnąć, kiedy musiałem wyrobić normę zatrzymań. To były jednak kobiety i lepiej żebyś myślał o nich niż o mojej żonie, siedzącej samotnie w domu, czy o Madeleine, tarzającej się w brudzie przy Ósmej Ulicy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie skorzystać z usług przebranej za Dalię Madeleine i nie zaliczyć jej w podrzędnym motelu, które tak lubiła, ale zawsze się powstrzymywałem - to zbyt przypominałoby Johnny'ego Vogela i Betty w Biltmore. Schodząc ze służby o północy, zawsze byłem rozdrażniony, nerwowy, nie miałem ochoty wracać do domu i kłaść się spać. Czasami odwiedzałem czynne całą dobę kino w centrum, kiedy indziej któryś z jazzowych klubów przy South Central. Be-bop był w rozkwicie, a siedzenie do rana przy paru głębszych pozwalało mi rozluźnić się na tyle, że mogłem już pojechać do domu i zdrzemnąć się trochę, rzecz jasna już po wyjściu Kay do pracy.

Zwykle nie miewałem żadnych snów. Kiedy jednak ta taktyka zawodziła, pozostawało mi tylko przewracać się z boku na bok; dręczyły mnie koszmary o uśmiechniętym trefnisiu na obrazie w domu Jane Chambers, o Francuzie Dulange'u, tępiącym karaluchy, o Johnnym Vogelu z jego pejczem i Betty błagającej mnie, abym ją zerznął albo zabił jej zabójcę, jedno albo drugie, nieważne co. A najgorsze, że budziłem się potem samotnie w naszym dawnym, bajkowym domu.

Nadeszło lato. Upalne dni przesypiane na kanapie, gorące noce poświęcone na patrolowaniu zachodniego rewiru czarnuchowa, chlaniu i słuchaniu jazzu - Royal Flush, Bido Lito, Hampton Hawes, Dizzy Gillespie, Wardell Gray i Dexter Gordon. Niespokojne próby przygotowania się do egzaminu na stopień sierżanta i przemożna chęć, aby uwolnić się od Kay, wyrwać się z bajkowego domu i wynająć jakąś klitkę, gdzieś w pobliżu mojego rewiru. Gdyby nie ten widmowy pijaczek, pewnie ciągnęłoby się to w nieskończoność.

Parkowałem właśnie przy Duke's Drive-in, lustrując wzrokiem grupkę wyglądających na dziwki dziewcząt przy przystanku autobusowym, jakieś dziesięć jardów ode mnie. Radio miałem wyłączone, a z głośnika przy szybie płynęły dzikie rytmy Kentona. Było potwornie wilgotno, zero wiatru, mundur lepił mi się do ciała. Od tygodnia nie dokonałem ani jednego aresztowania. Dziewczyny próbowały zatrzymywać przejeżdżające auta, jedna tleniona blondyna kusząco zakręciła biodrami. Zacząłem synchronizować te jej ruchy z muzyką i zastanawiać się, czy ich nie zgarnąć i nie sprawdzić, czy nie były poszukiwane. Właśnie

wtedy pojawił się ten pijaczek z flaszką w jednym ręku i wyciągniętą po drobniaki drugą dłonią.

„Blondyna” przestała tańczyć i nawiązała z nim rozmowę; muzyka osiągnęła crescendo - same zgrzyty i piski - i to bez jej akompaniamentu. Błysnąłem światłami, pijaczek osłonił oczy, po czym pokazał mi palec. Wskoczyłem z auta i rzuciłem się na niego. Moje wsparcie stanowił zespół Stana Kentona.

Kilka prawych i lewych sierpowych, ze dwa podbródkowe i krótkie proste na żołądek. Krzyki dziewczyny zagłuszyły Wielkiego Stana. Pijaczek zaczął kłać w żywy kamień, lżył całą moją rodzinę i rodziców. Syreny zawyły w mojej głowie, poczułem woń gnijącego mięsa w magazynie, choć wiedziałem, że to przecież niemożliwe. Stary pijaczek rzucił błagalnie: - Prooszę.

Począłem do budki na rogu, wrzuciłem monetę do automatu i wybrałem mój domowy numer. Dziesięć sygnałów, Kay nie odbiera, nie ma jej, bez namysłu wybieram WE-4391. Jej głos: - Rezydencja Sprague'ów. - Nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa i wtedy ona pyta: - Bucky? Bucky, czy to ty? - Pijaczek podchodzi do mnie chwiejnym krokiem, popijając z butelki, mimo rozbitych, krwawiących ust. Sięgam do kieszeni, wyciągam garść banknotów i rzucam mu, pieniądze lądują na chodniku. - Przyjedź, kochanie. Cała reszta jest w Lagunie. Będzie jak za starych...

Puściłem słuchawkę, a pijaczek pozbierał skrzętnie większą część mojej ostatniej wypłaty. Jechałem do Hancock Park jak szalony, tak bardzo pragnąłem znów znaleźć się w domu, pod dachem. Gdy zapukałem do drzwi, upewniłem się w moich przekonaniach. A potem ją zobaczyłem: Madeleine. Czarny jedwab, włosy upięte do góry, żółta spinka. Wyciągnąłem do niej ręce, ale cofnęła się i rozpuściła włosy; opadły czarną falą na jej ramiona. - Nie. Jeszcze nie. To wszystko, co mam, aby zatrzymać cię przy sobie...

IV

Elizabeth

29.

Przez miesiąc trzymała mnie w uścisku aksamitnej pięści.

Emmett, Ramona i Martha spędzali czerwiec w rodzinnym domu przy plaży w Orange County, pozostawiając Madeleine, aby doglądała rezydencji przy Muirfield Road. Mieliśmy do swojej dyspozycji dwadzieścia dwa pokoje w wymarzonej domu, będącym dziełem ambicji imigranta. Było to znaczne udogodnienie, po pokoiku w Red Arrow i monumencie Lee Blancharda na cześć zbrodni i napadu na bank. Madeleine i ja kochaliśmy się w każdej sypialni, zdzierając jedwabne prześcieradła i barokowe narzuty; otaczały nas płótna Picassa, holenderskich mistrzów i wazy z dynastii Ming, warte tysiące dolarów. Sypialiśmy do południa, a potem musiałem jechać do czarnuchowa; spojrzenia, jakimi obdarzali mnie sąsiedzi, gdy szedłem do samochodu, w pełnym mundurze, były po prostu bezcenne.

To było ponowne spotkanie zepsutych, wyuzdanych kochanków, którzy mają świadomość, że z żadnym innym partnerem nie było im tak dobrze. Madeleine wyjaśniła mi, że udając Dalię, miała nadzieję, iż znów przyciągnie mnie do siebie; widziała mnie tamtej nocy w aucie i uznała, że dzięki naśladowaniu Betty zdoła mnie odzyskać. Kryjące się za tym pożądanie poruszyło mnie niemal równie mocno, jak wielką odrazę wzbudziła wymyślność tego wyrafinowanego podstępu.

Odrzuciła kamuflaż, kiedy tylko drzwi zamknęły się za nami po raz pierwszy. Szybkie splukanie i jej włosy odzyskały dawny kasztanowy kolor, wróciła fryzura „na pazia”; obcisła czarna sukienka miękko zsunęła się z jej ciała, Próbowałem wszystkiego oprócz błagania i grózb, że odejdę; Madeleine wciąż powtarzała tylko: - Może kiedyś.

Kompromisem dla nas obojga były rozmowy o Betty. Ja zadawałem pytania, ona używała dygresji. Szybko zaczęło nam brakować autentycznych zdarzeń i relacji ze znanych faktów, od tej pory reszta była czystą interpretacją.

Madeleine mówiła o jej absolutnej podatności; Betty była jak kameleon, który by

kogoś zadowolić, potrafił stać się, kimkolwiek zechciał. Stanowiła dla mnie osnowę najbardziej zagadkowego policyjnego śledztwa, z jakim miałem okazję się zetknąć, zniszczyła życie najbliższych mi osób, była tajemnicą, o której musiałem dowiedzieć się wszystkiego. To była moja ostateczna perspektywa i wydawała mi się przeraźliwie pusta.

Po Betty, zmieniłem temat rozmowy na rodzinę Sprague'ów. Nie powiedziałem Madeleine, że znałem Jane Chambers, a o tym, czego dowiedziałem się od niej, wspominałem w pokrętny, zawoalowany sposób. Madeleine powiedziała, że Emmett trochę się martwi planowanymi pracami remontowo-rozbiórkowymi przy napisie reklamowym Hollywoodland; twierdziła, że przedstawienia organizowane przez jej matkę oraz jej zamiłowanie do dziwnych ksiąg i średniowiecznej wiedzy to nic innego jak narkomańskie natręctwa - ma po prostu za dużo wolnego czasu i bierze za dużo leków. Po pewnym czasie zaczęła unikać moich pytań i odpowiadała półsłówkami albo wcale. Kiedy z kolei wzięła się za wypytывanie mnie, kłamałem jak najęty, a w głębi duszy zastanawiałem się, dokąd zmierzałem, jeżeli moja własna przeszłość była wszystkim, co mi jeszcze pozostało.

30.

Zatrzymując się przed domem, zobaczyłem wóz firmy przeprowadzkowej, stojący na podjeździe, i plymoutha Kay, załadowanego mnóstwem pudeł. To o czymś świadczyło.

Zaparkowałem na drugiego i wbiegłem po schodach, czując na sobie zapach Madeleine. Ciężarówka zaczęła się cofać; zawołałem: - Hej, wracaj tu, do cholery!

Kierowca zignorował mnie; słowa od strony ganku powstrzymały mnie przed ściganiem samochodu:

- Nie tknęłam twoich rzeczy. Możesz też zatrzymać meble.

Kay miała na sobie skórzaną kurtkę i tweedową spódniczkę, tak jak wtedy, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy.

Powiedziałem: - Maleńka... - I dodałem krótko: - Dlaczego?

Moja żona skontrowała: - Sądzisz, że pozwolę, aby mój mąż zniknął na trzy tygodnie, a ja nic z tym nie zrobię? Wynajęłam detektywów, aby cię śledzili, Dwight. Ona wygląda jak ta pieprzona martwa dziewczyna, więc możesz mieć ją, ale nie mnie.

Suche oczy Kay i spokojny głos były gorsze niż to, co mówiła. Poczułem, że zaczynam dygotać, moim ciałem wstrząsały silne dreszcze.

- Maleńka, do cholery...

Kay cofnęła się poza zasięg moich ramion. - Dziwkarz, tchórz. Nekrofil.

Dreszcze przybrały na sile; Kay odwróciła się i ruszyła do swego auta; zwinnym, płynnym piruetem ulotniła się z mego życia. Znów poczułem zapach Madeleine i wszedłem do domu. Meble z giętego drewna wyglądały tak samo, ale na stoliku do kawy nie leżały kwartalniki literackie, a w kredensie, w jadalni nie było kaszmirowych swetrów. Poduszki na kanapie ułożono starannie, jakbym nigdy tam nie sypiał. Mój gramofon wciąż stał przy kominku, ale płyty Kay zniknęły.

Podniosłem ulubiony fotel Lee i roztrzaskałem o ścianę, cisnąłem bujanym fotelem Kay w kredens, rozwalając go w drobny mak. Przewróciłem stolik do kawy i wytłukłem nim frontową szybę, po czym cisnąłem go na ganek. Zmaltretowałem dywany butami, powyciągałem szuflady, przewróciłem lodówkę i z młotkiem w ręku pomaszerowałem do łazienki, by rozbić na kawałki umywalkę. Poczułem się jak po dziesięciorundowym pojedynku; kiedy ręce osłabły mi do tego stopnia, że nie mogłem kontynuować mej niszczycielskiej działalności, zabrałem moje mundury, 45-kę z tłumikiem i wyszedłem, pozostawiając otwarte drzwi, aby sępy z okolicy mogły ogołocić dom do reszty.

Jako że pozostali Sprague'owie mieli niebawem wrócić do LA, mogłem udać się tylko w jedno miejsce. Pojechałem do El Nido, pokazałem recepcjoniście moją odznakę i wyjaśniłem, że ma odtąd nowego lokatora. Trochę sarkał, ale dał mi zapasowy klucz. Niebawem poczułem w nozdrzach woń tytoniowego dymu Russa Millarda i burbona Harry'ego Searsa. I stanąłem oko w oko z Elizabeth Short, której zdjęcia zdobiły cztery ściany, żywej i uśmiechniętej, naiwnie mówiącej o świetlanej przyszłości i wybebeszonej na porośniętym chwastami placu.

I wiedziałem już, co muszę zrobić.

Zdjąłem pudła z aktami z łóżka, poukładałem je w szafie, po czym zdjąłem koce i narzuty. Zdjęcia Dalii były poprzybijane do ścian. Łatwiej było je zasłonić, i tak też uczyniłem. Doprowadziwszy pokój do ładu, wybrałem się na poszukiwanie niezbędnych rekwizytów.

W Western Costume odnalazłem czarną perukę z włosami upiętymi do góry, a żółtą spinkę w sklepie z tysiącem i jeden drobiazgów przy Boulevard. Znów miałem dreszcze, byłem jak nawiedzony. Pojechałem do Firefly Lounge, licząc, że lokal ten wciąż był pod opieką gliniarzy z obyczajówki z Hollywood.

Jeden rzut oka wystarczył, by potwierdzić moje przypuszczenia. Usiadłem przy barze, zamówiłem podwójnego Old Forestera i wlepiłem wzrok w dziewczęta zebrane na estradzie wielkości pudełka zapalek. Oświetlały ją nieduże lampy wprawione w podłogę. I poza

dziewczętami w tym lokalu nic więcej nie było oświetlone.

Wypiłem drinka. Wszystkie dziewczęta wyglądały jednakowo - zaćpane dziwki w tanich, głęboko wyciętych kimonach. Patrzyłem, jak palą papierosy i rozchylają poły kimona, by odsłonić większy kawałek gołych nóg. Żadna się nie nadawała.

Wtedy na estradę weszła szczupła brunetka, w zwiewnej, koktajlowej sukience. Zamrugła od silnego blasku, podrapała się po zadartym, perkatym nosku i zaczęła kręcić stopą ósemki na podłodze.

Skinieniem palca przywołałem barmana. Podszedł z butelką - nakryłem szklaneczkę dłonią. - Ta dziewczyna w różowym. Ile, żebym mógł zabrać ją do siebie na godzinkę, może dwie?

Barman westchnął. - Panie, my tu mamy trzy ciche pokoiki. Dziewczyny nie lubią...

Uciszyłem go nowiutkim pięćdziesiątakiem. - Dla mnie zrobisz wyjątek. I bądź też hojny dla siebie.

Banknot zniknął, a wraz z nim barman. Napelniłem szklaneczkę i opróżniłem, nie odrywając wzroku od kontuaru, dopóki nie poczułem, że ktoś dotyka mego ramienia.

- Cześć, jestem Lorraine.

Odwróciłem się. Z bliska wyglądała jak przeciętna, niebrzydka brunetka - idealna do dalszego ukształtowania. - Cześć, Lorraine. Ja jestem... B-B-Bill.

Dziewczyna zachichotała drwiąco: - Cześć, Bill. Pójdziemy?

Skinąłem głową; Lorraine ruszyła przodem, w promieniach słońca dostrzegłem oczka w jej pończochach i ślady po igle na przedramionach. Kiedy weszła do auta, zauważyłem, że oczy miała matowo-brązowe; gdy zaczęła stukać paznokciami o deskę rozdzielczą stwierdziłem, że jedynym szczegółem, który sprawiał, że przypominała Betty, był zdrapany lakier na paznokciach.

To wystarczyło.

Podjechaliśmy do El Nido i bez słowa udaliśmy się do mego pokoju. Otworzyłem drzwi, po czym usunąłem się na bok, aby wpuścić Lorraine do środka, ten gest ją zaskoczył; wywróciła oczami, po czym gwizdnęła cicho, a ja wyjąłem perukę i podałem jej. - Masz. Załóż ją, gdy się rozbierzesz.

Lorraine zrobiła niezbyt udany striptiz. Jej buty spadły ze stukotem na podłogę. Zdejmując pończochy, porozdzierała je do reszty. Chciałem rozpiąć jej sukienkę, lecz uprzedziła mnie, odwróciła się i zrobiła to sama. Stojąc tyłem do mnie, rozpięła biustonosz, zdjęła majtki i zaczęła nakładać perukę. Odwróciwszy się do mnie twarzą, spytała: - To cię kręci?

Peruka trochę się przekrzywiła, jak u kłowna, tylko jej piersi wyglądały perfekcyjnie. Zdjąłem marynarkę i zacząłem rozpinąć pasek. Nagle coś w oczach Lorraine sprawiło, że znieruchomiałem. Zauważyłem, że przeraził ją widok mojej spluwy i kajdanek. Chciałem uspokoić ją, mówiąc, że jestem gliną, ale to spojrzenie sprawiło, że upodobniła się jakby trochę do Betty i nabrałem wody w usta.

Dziewczyna wymamrotała: - Chyba nic mi nie...

Na co burknąłem: - Nic nie mów.

Poprawiłem jej perukę, upychając pod nią przetłuszczone, brązowe włosy. Mimo to wciąż wyglądała jak przebrana, tania dziwka. I cała się trzęsła, dygotała od stóp do głów, gdy wpinałem jej we włosy żółtą spinkę, aby nieco poprawić jej wizerunek.

Nic z tego. Peruka wciąż przekrzywiała się w jedną stronę, a spod spodu wystawały kosmyki cienkich, brązowych włosów. Dziewczyna nie przypominała mojej Betty, wyglądała raczej jak kłown z ustami rozplatanymi od ucha do ucha.

- Połóż się na łóżku - powiedziałem. Dziewczyna wypełniła polecenie, nogi miała sztywno wyprostowane i złączone, dłonie wciśnięte pod pośladki, chude ciało raz po raz przeszywały silne dreszcze. Gdy się tak położyła, peruka znalazła się na poły na jej głowie, na poły na poduszce. Świadom, że zdjęcia na ścianach wzmogą złudzenie doskonałości, odsłoniłem je.

Spojrzałem na idealne portrety Betty/Beth/Liz; dziewczyna krzyknęła: - Nie! Morderca! Policja!

Odwracając się na pięcie, ujrzałem nagą oszustkę wlepiającą wzrok w zdjęcia zrobione przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton. Rzuciłem się na łóżko, zatkałem jej usta dłonią i przytrzymałem, cedząc słowa: - Chodzi o to, że ona używała różnych wariantów swego imienia, ale jej już nie ma i nie mogę mieć jej dla siebie, co gorsza, nie mogę się z nią utożsamić, za każdym razem, kiedy próbuję, kończy się to fuszerką, mój kumpel ześwirował, bo jego młodsza siostra mogłaby stać się kimś takim jak ona, gdyby jakiś zboczeniec jej nie zabił...

- Zabił...

Peruka leżąca w nieładzie na pościeli.

Moje ręce na szyi dziewczyny.

Puściłem ją i wstałem powoli, wyciągając obie ręce przed siebie w uspokajającym geście. Dziewczyna mimo że bardzo się starała, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Rozcierała szyję, której przed chwilą dotykały moje dłonie i gdzie pozostały wyraźne, czerwone ślady. Cofnąłem się pod ścianę bez słowa.

Impas na całego.

Dziewczyna rozmasowywała obolałą szyję; jej oczy stały się lodowate. Wstała z łóżka i stojąc twarzą do mnie, ubrała się; lód w jej oczach stawał się nie do wytrzymania. Wiedziałem, że nie zniosę tego dłużej, sięgnąłem więc po moją legitymację służbową i odznakę o numerze 1611 i pokazałem jej. Uśmiechnęła się. Spróbowałem powtórzyć ten gest. Podeszła do mnie i splunęła na moją blachę. Po chwili trzasnęły drzwi, zdjęcia na ścianach zafalowały, a ja odzyskawszy głos, zawołałem na całe gardło: - Dopadnę go dla ciebie, już cię więcej nie skrzywdzi, odpłacę mu za ciebie, na rany Chrystusa, Betty, obiecuję, że tak właśnie będzie!

31.

Samolot leciał na wschód, rozcinając zwały chmur i czyste, błękitne niebo. Kieszenie miałem pełne banknotów ze zlikwidowanego konta bankowego. Porucznik Getchell kupił moją historyjkę o poważnej chorobie najlepszego kumpla z liceum w Bostonie i udzielił mi tygodniowego urlopu. Na podołku miałem plik dokumentów z policji bostońskiej, skopiowanych mozolnie z akt w El Nido. Miałem już ułożony plan przesłuchań, w czym pomogła mi mapa Bostonu, nabyta na lotnisku w LA. Kiedy samolot wylądował, odwiedzę kolejno Medford/Cambridge/Stoneham i zagłębię się w przeszłości Elizabeth Short, tej, której szczegóły nie pojawiły się na pierwszych stronach gazet.

Za główne akta zabrałem się wczoraj wieczorem, kiedy tylko przestałem się trząść i uświadomiłem sobie, jak bliski byłem unicestwienia mego mózgu, a z pewnością jego części czołowej. Zdawałem sobie sprawę, że śledztwo w LA zabrnęło w ślepią uliczkę, a gdybym pozostał tu dłużej, przez Madeleine i Kay niewątpliwie postradałbym rozum. Musiałem wiać, a jeśli obietnica złożona Elizabeth Short cokolwiek znaczyła, musiałem zająć się jej realizacją. Nawet gdyby okazało się, że ścigam cienie, będzie to dla mnie wyprawa na nowe, nieznane terytorium, gdzie moja odznaka i żyjące kobiety raczej nie powinny sprawić mi większych kłopotów.

Nie mogłem zapomnieć odrazy malującej się na twarzy tamtej dziwki, wciąż czułem w nozdrzach woń jej tanich perfum i wyobrażałem ją sobie, obrzucającą mnie prócz inwektyw słowami, których wcześniej użyła Kay, choć znacznie mocniejszymi, bo wiedziała, kim byłem - szmatą z odznaką. Myślenie o niej było jak ostateczne poniżenie, osiągnięcie dna i upadek na kolana, pocieszeniem był dla mnie fakt, że niżej już upaść nie mogłem, prędzej

łyknę kulkę ze służbowej 38-ki.

Samolot wylądował o 19.35. Byłem jednym z pierwszych, którzy opuścili maszynę, z torbą podrózną i notesem w ręku. Na terenie terminalu znajdował się punkt wynajmu samochodów; wynająłem chevy coupe i skierowałem się do centrum Bostonu, pragnąc wykorzystać nieco ponad godzinę pozostałą do zmierzchu. Miałem w notesie adresy matki Elizabeth, jej dwóch sióstr, jej gimnazjum, restauracji, gdzie pracowała w '42 i kina, gdzie w '39 i '40 sprzedawała słodycze. Postanowiłem przejechać przez Boston do Cambridge, a stamtąd do Medford, gdzie Betty zaczęła się na dobre rozkręcać.

Boston, taki staroświecki, zauroczył mnie. Dotarłem za znakami do Charles River Bridge i przejechałem do Cambridge - kamienice w stylu georgiańskim, na ulicach pełno studentów. Za znakami dojechałem do Harvard Square i mojego pierwszego przystanku - U Ottona Hofbrau, chatki jak z piernika, z wnętrza której płynęła woń kapusty i piwa.

Zatrzymałem wóz przy parkometrze i wysiadłem. Na ścianach dominowały motywy z bajek - głównie Jaś i Małgosia, stoliki i krzesła z drewna, reklamy piwa, kelnerki w regionalnych spódnicach. Poszukałem wzrokiem szefa lokalu i mój wzrok padł na starszego mężczyznę stojącego przy kasie.

Podszedłem do niego, ale coś mnie tknęło i nie pokazałem mu swojej odznaki. - Bardzo przepraszam. Jestem reporterem, piszę cykl artykułów na temat Elizabeth Short. O ile mi wiadomo pracowała tu w '42 i pomyślałem, że mógłby mi pan co nieco o niej opowiedzieć.

- O jakiej Elizabeth? - zapytał mężczyzna. - Czy to jakaś gwiazda filmowa?

- Zginęła w Los Angeles, parę lat temu. To słynna sprawa. Czy mógłby pan...

- Kupiłem tę knajpę w '46 i jedyną tutejszą pracownicą jeszcze od czasów wojny jest Roz. Rozzie, chodź no tu! Pan chce z tobą pomówić!

Pojawiła się prawdziwa hetera - taka słonica w spódnicy do pól uda. Szef powiedział: - Ten pan jest reporterem. Chce z tobą porozmawiać o Elizabeth Short. Pamiętasz ją?

Rozzie żuła gumę. Strzeliła balonem w moją stronę. - Mówiłam o tym reporterom z *Globe'a*, *Sentinel*a, i gliniarzom, którzy tu przychodzili; nie zmienię ani słowa z tego, co powiedziałam. Betty Short miała dwie lewe ręce, tłukła talerze jak rzadko która oferma, a w dodatku była marzycielką i nie przetrwałaby tu jednego dnia, gdyby nie to, że ściągała tu sporą klientelę. Słyszałam, że zagięła parol na bohaterów wojennych, ale nie znałam jej chłopaków. Koniec historii. A pan nie jest żadnym reporterem, tylko gliną.

- Dzięki za ten błyskotliwy komentarz - burknąłem i wyszedłem.

Zgodnie z mapą Medford znajdowało się o dwanaście mil stąd, w linii prostej, wzdłuż

Massachusetts Avenue, Dotarłem tam z zapadnięciem nocy, najpierw jednak poczułem, a dopiero potem zobaczyłem to miejsce.

Medford było miastem przemysłowym, na jego obwodzie wznosiły się buchające dymem kominy wielkich odlewni. Podniosłem szybę, by nie czuć gryzącej woni siarki; pozostawiając fabryki za sobą dotarłem do dzielnicy wąskich domów z czerwonej cegły, stojących w odległości niecałej stopy jeden przy drugim. Przy każdej ulicy znajdowała się co najmniej jedna knajpa albo nawet dwie, a gdy ujrzałem Swaney Boulevard - ulicę, przy której stało kino - opuściłem szybę, aby sprawdzić, czy tutaj nie było już czuć smrodu siarki. Okazało się, że nie, ale na szybie pozostała warstewka tłustego osadu i sadzy. Dotarłem do odległego o parę przecznic Majestica, typowego dla Medford budynku z czerwonej cegły, gdzie jak głosił neon, wyświetlano właśnie „W pułapce miłości” z Burtem Lancasterem oraz „Pojedynek w słońcu” w gwiazdorskiej obsadzie. W kasie nie było nikogo, toteż wkroczyłem do holu i podszedłem do kontuaru, gdzie sprzedawano drobne przekąski. Mężczyzna przy kasie powiedział: - Coś się stało, panie władzo? - Wkurzyłem się, że nawet trzy tysiące mil od domu obcy ludzie rozpoznawali mnie na pierwszy rzut oka.

- Nie, bynajmniej. Pan jest kierownikiem?

- Właścicielem. Ted Carmody. Pan z lokalnej policji?

Z pewnym wahaniem pokazałem mu odznakę: - Z Los Angeles. Chodzi o Betty Short.

Ted Carmody przeżegnał się: - Biedna Lizzie. Ma pan jakiś nowy trop? Dlatego pan tu przyjechał?

Położyłem na ladzie pięć centów, wziąłem sobie snickersa i rozpakowałem batonik.

- Powiedzmy, że jestem coś winien Betty i mam kilka pytań.

- Śmiało.

- Po pierwsze, gdy przeglądałem dokumenty przesłane przez policję, nie znalazłem wśród nich relacji z pańskiego przesłuchania. Czy nikt z panem nie rozmawiał?

Carmody oddał mi pięć centów. - To na koszt firmy, a z policją z Bostonu nie rozmawiałem, bo oni źle wyrażali się o Lizzie, jakby była jakimś wycieruchem. Nie mam w zwyczaju współpracować z ludźmi, którzy obrażają bogu ducha winne osoby.

- To godne podziwu, panie Carmody. Ale co by im pan powiedział?

- Na pewno żadnych brudów. Jak dla mnie Lizzie była całkiem w porządku. Gdyby policja jak należy szanowała zmarłych, właśnie to bym im powiedział.

Ten człowiek zaczynał mnie męczyć. - Ja potrafię uszanować ludzi. Niech pan udaje, że cofnęliśmy się w czasie o dwa lata, i powie mi, co ma do powiedzenia w tej sprawie.

Carmody nie bardzo rozumiał, o co mi chodziło, więc aby dać mu trochę luzu,

zaczęłam pogryzać batonik. - Dodałbym może, że Lizzie była kiepską pracownicą - rzekł w końcu. - Ale tak właściwie mało mnie to obchodziło. Przyciągała facetów jak magnes, a jeśli nawet zakradała się czasem do sali, żeby obejrzeć film za darmo, to co z tego? Za pięćdziesiąt centów na godzinę nie mogłem oczekiwać, że zostanie moją niewolnicą.

- A co z jej chłopakami? - zapytałem.

Carmody rąbnął pięścią w kontuar; różne przekąski przewracały się. - Lizzie nie była puszczalska! Jedynym chłopakiem, którego znałem, był ten niewidomy, ale on był tylko jej kolegą. Chce pan wiedzieć, jaka była Lizzie? Powiem panu. Wpuszczałem tego niewidomego chłopaka za darmo, aby mógł posłuchać filmu, a Lizzie po cichu opowiadała mu, co dzieje się na ekranie. No, wie pan, opisywała mu kolejne wydarzenia. Czy tak zachowuje się latawica?

To było dla mnie jak cios w serce. - Nie. Bynajmniej. Czy pamięta pan może nazwisko tego chłopaka?

- Tommy jak-mu-tam. Ma kawalerkę przy VFW Hall, przecnicę stąd, i jeśli to on jest zabójcą, to zamacham rękami, wzbiję się w powietrze i odleczę do Nantucket.

Wyciągnąłem do niego rękę: - Dziękuję za batonik, panie Carmody.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Carmody rzekł: - Jeżeli dorwie pan tego, co zabił Lizzie, kupię panu całą fabrykę, która je produkuje!

A wtedy powiedziałem słowa, które uczyniły tę chwilę jedną z najważniejszych w całym moim życiu.

- Dorwę go.

VFW Hall znajdował się po drugiej stronie ulicy, niedaleko Majestica - ot jeszcze jedna brudna od sadzy ceglana kamienica.

Pomaszerowałem tam, myśląc o Tommym jako o wielkiej niewiadomej, o kimś, z kim miałem porozmawiać, aby załagodzić wizerunek Betty, aby stała się dla mnie bardziej znośna.

Wszedłem bocznymi schodami na górę i minąłem skrzynkę na listy z plakietką T. Gilfoyle. Nacisnąłem dzwonek i usłyszałem muzykę; gdy zajrzałem przez okno, zobaczyłem, że w mieszkaniu było całkiem ciemno. Wtedy zza drzwi dobiegł mnie głos: - Słucham, o co chodzi?

- Jestem z policji Los Angeles, panie Gilfoyle. Chodzi o Elizabeth Short.

W oknie zapaliło się światło, muzyka ucichła. Drzwi otworzyły się i wysoki, korpulentny mężczyzna w ciemnych okularach zaprosił mnie do środka. Wyglądał nieskazitelnie, w sportowej koszulce w paski i materiałowych spodniach, ale mieszkanie wyglądało jak chlew, było zakurzone, zaniedbane, a nagle zapalenie światła spłoszyło

wędrujące tu i tam insekty.

Tommy Gilfoyle rzekł: - Mój nauczyciel Braille'a czyta mi gazety z Los Angeles. Dlaczego wypisują o Beth takie okropne rzeczy?

Spróbowałem dyplomatycznego podejścia: - Bo nie znali jej tak dobrze jak pan.

Tommy uśmiechnął się i klapnął na mocno wytarty fotel. - Czy to mieszkanie naprawdę aż tak źle wygląda?

Na kanapie walały się płyty gramofonowe; odsunąłem parę z nich i usiadłem: - Przydałoby się trochę tu ogarnąć.

- Czasami robię się niechlujny... Czy śledztwo w sprawie Beth zostało wznowione? Znowu jest sprawą numer jeden?

- Nie. Przyjechałem tu sam. Skąd pan zna policyjny żargon?

- Mam kumpla policjanta.

Strząsnąłem z rękawa tłustego karalucha. - Tommy, niech pan opowie mi o sobie i Beth. I da mi coś, o czym nie pisano w gazetach. Tylko niech to będzie coś naprawdę dobrego.

- Czy to dla pana sprawa osobista? Coś jak wendeta?

- Nawet więcej.

- Mój przyjaciel mówi, że gliniarze, którzy traktują swoją pracę osobiście, zwykle popadają w kłopoty.

Zadeptałem karalucha, który próbował wspiąć się na mój but. - Chcę po prostu dopaść skurwiela.

- Nie musi pan krzyżeć. Nie jestem głuchy, tylko niewidomy, ale nie byłem ślepy na pewne drobne mankamenty Beth.

- To znaczy?

Tommy sięgnął po laskę stojącą przy jego fotelu. - Cóż, nie będę się długo nad tym rozwodził, ale Beth była rozwiązła, tak jak o tym pisano w gazetach. Wiedziałem, co było tego powodem, ale milczałem, bo nie chciałem kłaść jej pamięci, i zdawałem sobie sprawę, że to nie pomoże policji w schwytaniu jej zabójcy...

Mężczyzna toczył zacięty, wewnętrzny bój, walcząc pomiędzy chęcią zachowania i wyjawienia tajemnic, które były mu znane. Powiedziałem: - Może ja to osądzę. Jestem doświadczonym detektywem.

- W pańskim wieku? Po głosie wyczuwam, że jest pan młody. Mój przyjaciel powiedział, że aby zostać detektywem, trzeba odsłużyć co najmniej dziewięć lat.

- Do cholery, niech pan mnie nie zbywa. Przyjechałem tu z własnej woli i nie

zamierzam wysłuchiwać... - Przerwałem, gdy stwierdziłem, że tamten jest przerażony, a jedną ręką sięgnął już po telefon.

- Proszę mi wybaczyć. Mam za sobą długi dzień i znalazłem się dość daleko od domu.

Tommy uśmiechnął się, czym mnie zaskoczył: - Ja też przepraszam. Po prostu nie przywykłem do czyjegoś towarzystwa i zrobiłem się gburowaty. Dobrze więc, opowiem panu o Beth, jej drobnych grzeszkach i w ogóle...

Na pewno wie pan, że miała obsesję na punkcie gwiazdorstwa, i to rzeczywiście prawda. Na pewno domyśla się pan, że nie miała dużego talentu, i to także prawda. Beth czytała mi różne sztuki, z podziałem na role i wychodziło jej to okropnie. To był prawdziwy dramat. Wiem, co mówię, bo słowo mówione to jedyne, co mi pozostało...

Beth była lepsza, jeśli chodzi o pisanie. Gdy chodziłem do Majestic, Beth siedziała przy mnie i opisywała mi sytuacje rozgrywające się na ekranie. Była w tym naprawdę dobra, namawiałem ją, żeby zaczęła pisać scenariusze do filmów, ale ona tylko chciała zostać aktorką, jak te wszystkie głupie gąski, marzące o wyrwaniu się z Medford.

Miałem tak wielką ochotę, aby opuścić to miejsce, że byłem gotów kogoś zabić, aby tylko dopiąć swego. - Tommy, wspomniał pan, że zna powód, dlaczego Betty była rozwiązła.

Tommy westchnął. - Kiedy Beth miała szesnaście czy siedemnaście lat, napadło ją dwóch drabów, gdzieś w Bostonie. Jeden z nich ją zgwałcił, a drugi już się do tego szykował, ale wtedy zjawili się tych dwóch - żołnierz piechoty morskiej i marynarz - i przegonili opryszków. Beth była pewna, że może zająć w ciążę, więc poszła do lekarza, aby ją zbadał. Dowiedziała się od niego, że ma na jajnikach łagodne cysty i nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Beth oszalała, bo zawsze chciała mieć dużo dzieci. Zaczęła szukać tych żołnierzy, którzy ją uratowali, a gdy ich odnalazła, błagała, by zrobili jej dziecko. Chciała, żeby któryś z nich został jego ojcem. Żołnierz piechoty morskiej ją spławił, a marynarz wykorzystywał Beth, dopóki nie odesłano go za ocean.

Natychmiast pomyślałem o Francuzie Joem Dulange'u, jak wspominał, że Dalia twierdziła, że jest w ciąży, a potem umówił ją na spotkanie ze swoim kumplem, lekarzem, który przeprowadził lipne badania. Najwyraźniej ta historia nie była wyssana z dna butelki, wbrew temu, co początkowo zakładaliśmy ja i Russ Millard, stanowiła jeden z elementów układanki dotyczącej brakujących dni z życiorysu Beth, a kolega doktor mógł stać się, jeśli nie podejrzanym, to w najlepszym razie istotnym świadkiem w tej sprawie. Zapytałem: - A zna pan nazwisko tego piechociarza i marynarza? Albo może doktora?

Tommy pokręcił głową. - Nie. Ale od tej pory Beth zaczęła zadawać się z mundurowymi. Uważała ich za swoich wybawicieli, liczyła, że dadzą jej dziecko, małą

dziewczynkę, która zostanie wielką aktorką, w razie gdyby jej się to nie udało. To smutne, ale słyszałem, że Beth była świetną aktorką wyłącznie w łóżku...

Wstałem: - Co było potem z panem i Beth?

- Straciliśmy ze sobą kontakt. Ona wyjechała z Medford.

- Dostarczył mi pan nowy, niezły trop, Tommy. Dziękuję.

Ślepiec postukał laską w stronę, skąd dobiegał mój głos: - Wobec tego niech pan dopadnie tego, kto ją zabił, ale nie pozwoli, aby jej pamięć ucierpiała na tym jeszcze bardziej.

- Zrobię to.

32.

Sprawa Short znów nabierała rumieńców, mimo iż prócz mnie nie wiedział o tym nikt inny.

Godziny spędzone w pubach w Medford pozwoliły mi poznać inne oblicze rozwiązej Betty i było to dość rozczarowujące po rewelacjach Tommy'ego Gilfoyle'a. Złapałem nocny samolot do LA i z lotniska zadzwoniłem do Russa Millarda. Przyznał mi rację, że „doktor od robali” Francuza Joego był prawdopodobnie prawdziwym lekarzem niezależnie od urojeń cierpiącego ma delirium tremens Dulange'a. Proponował mi, abym skontaktowałem się ze śledczymi z Fort Dix, aby dowiedzieć się więcej szczegółów od zwolnionego świrusa, a potem w trzyosobowych zespołach wybrać się z wizytą do gabinetów lekarskich w śródmieściu, zwłaszcza tych, które znajdowały się w pobliżu hotelu Havana, gdzie Dulange spółkował z Betty. Zasugerowałem, że lekarz może być typową ćmą barową, „specem” od nielegalnych aborcji albo oszustem; Russ przyznał mi rację. Stwierdził, że pogada ze swoimi informatorami i za niecałą godzinę, wraz z Harrym Searsem wyruszy w teren. Podzieliliśmy się strefami: od Figueroa do Hill - od Szóstej do Dziewiątej dla mnie, a od Piątej do Pierwszej dla nich. Odłożyłem słuchawkę i pojechałem do centrum.

Zwędziłem książkę telefoniczną i sporządziłem listę dyplomowanych lekarzy i kręgarzy, zielarzy oraz pseudouzdrawicieli, którzy wciskali ludziom kit i rozmaite zioła pod szyldem działalności lekarskiej. W książce było też paru ginekologów i położników, ale instynkt podpowiadał mi, że Joe Dulange wpadł na lekarza, o którym mówił, przypadkowo; nie szukał konkretnego specjalisty, aby uspokoić Betty.

Poziom adrenaliny w moim wnętrzu narastał.

Większość lekarzy przyłapałem w miarę wcześniej i spotkałem się z ich strony z

najszczerszymi zaprzeczeniami w całej mej gliniarskiej karierze. Każdy szanujący się lekarz przekonywał mnie, że kumpel Francuza musiał być trochę szemrany. Zjadłszy na lunch solidną kanapkę, zabrałem się za tych bardziej podejrzanych gagatków.

Zielarzami okazali się bez wyjątku sami Chińczycy, uzdrowicielami były albo niezrównoważone kobiety, albo jakieś rąbnięte oszołomy. Mimo to uwierzyłem, gdy zaprzeczali, jedno po drugim. Wyobrażałem sobie, że Francuz zbytnio by ich przerażał, aby mogli przystać na jego propozycję. Już miałem zacząć odwiedzać knajpy i wypatrywać przesiadujących tam lekarzy, ale wyczerpanie dało mi o sobie znać. Pojechałem do „domu”, do El Nido i przespałem w sumie dwadzieścia minut.

Zbyt pobudzony, aby móc zmrużyć oko, próbowałem myśleć logicznie. Było już po osiemnastej, gabinety lekarskie pozamykane, a w barach pierwsi klienci zaczęli schodzić się za jakieś trzy godziny. Russ i Harry mieli do mnie zadzwonić, gdyby odkryli coś istotnego. Zabrałem się za akta i pogrążyłem w lekturze.

Czas płynął; nazwiska, daty, miejsca i policyjny żargon nie pozwoliły mi zasnąć. I wtedy spostrzegłem coś, czego wcześniej nie zauważyłem, mimo iż czytałem te akta z tuzin razy.

Dwie krótkie notatki:

18.01.47: Harry, skontaktuj się z Buzzem Meeksem z Hughes, niech zacznie wypytywać o potencjalne kontakty E. Short w światku filmowym. Bleichert twierdzi, że dziewczyna miała bzika na punkcie zostania gwiazdą. Zrób to tak, żeby Loew się o tym nie dowiedział. Russ.

22.01.47: Russ - Meeks mówi, że to pic na wodę, fotomontaż. Szkoda. Bardzo chciał pomóc. Harry.

Teraz, gdy na świeżo miałem w głowie filmową manię Betty, te notatki nabrały dla mnie innego znaczenia. Przypomniałem sobie, że Russ wspominał, iż zamierza wziąć na spytki Meeksa, szefa ochrony w Hughes Aircraft, i nieoficjalnych informatorów z Hollywood. Było to w czasie, kiedy Ellis Loew zatajał dowody rozwiążności Betty, w nadziei, że zapewni sobie przez to lepszy start jako prokuratora oskarżającego w spodziewanej, głośnej sprawie. Poza tym, w małym, czarnym notesie Betty było sporo nazwisk osób związanych w ten czy w inny sposób z filmem, osoby te zostały w roku '47 przesłuchane.

Wreszcie pytanie:

Jeśli Meeks naprawdę poszperał tu i tam, dlaczego nie podał Russowi i Harry'emu przynajmniej kilku nazwisk z tej skądinąd długiej listy?

Wyszedłem na korytarz i zadzwoniłem pod numer ochrony Hughesa. Po chwili

usłyszałem w słuchawce śpiewny, kobiecy głos: - Ochrona. Czym mogę służyć?

- Poproszę z Buzzem Meeksem.

- Pana Meeksa nie ma w tej chwili w biurze. Kto chce z nim mówić?

- Detektyw Bleichert z policji LA. Kiedy wróci?

- Kiedy skończy się spotkanie w sprawie budżetu. Czy mogę zapytać, w jakiej sprawie pan dzwoni?

- Służbowej. Proszę mu przekazać, że za pół godziny zjawię się w jego biurze.

Odłożyłem słuchawkę i nie odrywając stopy od pedału gazu, w dwadzieścia pięć minut dotarłem do Santa Monica. Strażnik wpuścił mnie na parking; wskazał barak ochrony stojący na końcu długiego ciągu lotniczych hangarów. Zaparkowałem wóz i zapukałem do drzwi. Otworzyła mi kobieta o śpiewnym głosie: - Pan Meeks prosił, aby zaczekał pan w jego gabinecie. Niedługo przyjdzie.

Wszedłem do środka; kobieta wyszła, najwyraźniej zadowolona, że kolejny dzień pracy dobiegł końca. Wnętrze baraku wyklejono plakatami samolotów Hughesa, artystycznie na poziomie obrazków z pudełek po płatkach. Gabinet Meeksa urządzone nieco lepiej - zdjęcia przedstawiały krępego, krótko ostrzyżonego mężczyznę z licznymi hollywoodzkimi gwiazdkami, aktorkami, których nazwisk nie potrafiłem podać, oraz George'a Rafta i Mickeya Rooneya.

Usiadłem. Krępy mężczyzna zjawił się w kilka minut później i odruchowo wyciągnął do mnie rękę, jak ktoś, kto na co dzień ma stale do czynienia z wieloma ludźmi: - Witam. Detektyw Blyewell, zgadza się?

Wstałem. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Zwróciłem uwagę, że Meeksa zbulwersował widok mojego nieświeżego, pomiętego garnituru i trzydniowego zarostu. - Nazywam się Bleichert.

- Oczywiście. Co mogę dla pana zrobić?

- Mam kilka pytań w związku ze starą sprawą, przy której pomagał pan wydziałowi zabójstw.

- Rozumiem. Jest pan z komendy głównej?

- Z patrolu w Newton.

Meeks usiadł za biurkiem. - To trochę wykracza poza pańskie uprawnienia, czyż nie? Poza tym sekretarka wspomniała, że jest pan detektywem.

Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie. - To dla mnie sprawa osobista.

- To wyżyj się i dołóż zdrowia paru ekstra czarnuchom, co chleją na umór i wałęsają się po ulicach. A może nie słyszałeś, że gliny, co za bardzo biorą sobie do serca niektóre

sprawy, w końcu przymierają głodem?

- Stale to słyszę, ale mówię wtedy, że to jest moje miasto. Często rzniesz gwiazdki filmowe, Meeks?

- Dymałem Carole Lombard. Dałbym ci jej numer, ale ona nie żyje.

- Czy dymałeś też Elizabeth Short?

Strzał w dziesiątkę; policzki Meeksa poczerwieniały, zaczął miętosić leżące na biurku papiery i po chwili wychrypiał: - Przyjąłeś o parę ciosów na głowę za dużo w walce z Blanchardem? Ta cipa Short nie żyje.

Odgarnąłem połą marynarki, aby pokazać Meeksowi 45-kę, którą miałem przy sobie. - Nie nazywaj jej tak.

- No dobra, twardzielu. A teraz może powiesz mi łaskawie, o co chodzi. Potem pogadamy i uporamy się z tą szaradą, nim wymknie się nam spod kontroli. Comprende?

- W '47 Harry Sears prosił cię, abys popytał wśród swoich informatorów o Betty Short. W odpowiedzi spławiłeś go, że to ślepa uliczka. Skłamałeś. Dlaczego?

Meeks sięgnął po otwieracz do listów. Przesunął palcem po ostrzu, zorientował się, co robi, i odłożył nożyk. - Nie zabiłem jej i nie wiem, kto to zrobił.

- Przekonaj mnie albo zadzwonię do Heddy Hopper i dam jej materiał do jutrzejszego artykułu. Jak ci się to podoba? Szef ochrony z Hollywood zataja dowody w sprawie Dalii, bo... puste miejsce. Ty zapelnisz to puste miejsce albo ja to zrobię, na łamach prasy. Comprende?

Meeks raz jeszcze spróbował zgrywać twardziela. - Bleichert, zadzieras z niewłaściwym człowiekiem.

Wyjąłem 45-kę, sprawdziłem, że tłumik jest dobrze przykręcony, i przeładowałem. - Nie, jest dokładnie na odwrót.

Meeks sięgnął po karafkę z kredensu, przy biurku i nalał sobie szklaneczkę, i wypił duszkiem. - Prawda jest taka, że zabrnąłem w ślepa uliczkę, ale jeśli chcesz, mogę ci o tym opowiedzieć.

Zawiesiłem pistolet na palcu wskazującym wsuniętym pod obudowę spustu. - Najwyżej będę przymierał głodem, krętaczu. Gadaj, co wiesz.

Meeks otworzył sejf wbudowany w biurko i wyjął zeń plik papierów. Zaczął je przeglądać, po czym obrócił się na fotelu i przemówił do ściany: - Dostałem cynk na Burta Lindscotta, producenta z Universalu. Dał mi go ten koleś, który nienawidził kumpla Lindscotta, Scotty'ego Bennetta. Ten Scotty był alfonsem i bukmacherem i podawał domowy numer Lindscotta w Malibu wszystkim atrakcyjnym cielęcinkom, które trafiały na castingi do

Universalu. Ta Short dostała wizytówkę Scotty'ego i zadzwoniła do Lindscotta. Całą resztę, daty i tak dalej, poznałem od samego Lindscotta. Dziesiątego stycznia, późnym wieczorem dziewczyna zadzwoniła do niego z centrum Biltmore. Kazał jej, by mu się opisała, i spodobało mu się to, co usłyszał. Powiedział dziewczynie, że rankiem przeprowadzi z nią próby przed kamerą, kiedy wróci z pokera w klubie. Dziewczyna wyznała, że nie ma gdzie się podziać, więc Lindscott zaprosił ją do siebie, jego służący miał ją nakarmić i dotrzymać jej towarzystwa. Przyjechała autobusem do Malibu, a lokaj, pederasta, rzeczywiście dotrzymał jej towarzystwa. Następnego dnia około południa Lindscott i jego trzech kumple wrócili do domu pijani. Faceci postanowili się zabawić, więc przeprowadzili z dziewczyną próbę zdjęciową z czytaniem jednego ze scenariuszy, które Burt przynosił na kopy. Dziewczyna była marna, tamci ją wyśmiali, a potem Lindscott złożył jej propozycję - jeśli obsłuży całą ich czwórkę, da jej rolę w następnym filmie. Dziewczyna wciąż była na nich wściekła, że tak ją potraktowali na próbie, i dostała szału. Zaczęła wykrzykiwać, że migają się od wojska, wyzywała ich od zdrajców, mówiła, że nie nadają się na żołnierzy. Burt wykopał ją około wpół do trzeciej tego popołudnia, w sobotę, jedenastego. Lokaj mówił, że była splukana i zamierzała wrócić do centrum na piechotę.

Tak więc Betty musiała pokonać pieszo lub autostopem dwadzieścia pięć mil, aby w sześć godzin później spotkać się z Sally Stinson i Johnnym Vogelem w hotelu Biltmore. Powiedziałem: - Meeks, dlaczego tego nie zgłosiłeś? I patrz mi w oczy.

Meeks odwrócił się na fotelu; na jego twarzy malowało się zawstydzenie. - Próbowałem skontaktować się z Russem i Harrym, ale byli gdzieś w terenie, więc zadzwoniłem do Ellisa Loewa. Zabronił mi zgłaszać to, co wyniuchałem, i zagroził, że gdybym to zrobił, cofnie mi uprawnienia ochroniarza. Później dowiedziałem się, że Lindscott był republikańską grubą rybą i obiecał Loewowi poparcie w jego walce o posadę prokuratora okręgowego. Dlatego Loew nie chciał mieszać tamtego w sprawę Dalii.

Zamknąłem oczy, aby nie patrzeć na Meeksa; siedział jakby skruszony, podczas gdy ja oczyma duszy widziałem wygwizdywaną, wyszydzaną, wykorzystywaną Betty, wyrzuconą na ulicę jak zбитy pies, aby tam zginęła.

- Bleichert, ale ja sprawdziłem Lindscotta, jego lokaja i tych kolesiów. Mają niepodważalne alibi. Żaden z nich nie mógł jej zabić. Wszyscy byli w swoich domach i w pracy, od dwunastego aż do siedemnastego stycznia, w piątek. Żaden z nich nie mógł tego zrobić, a ja nie siedziałbym z założonymi rękami, gdyby to któryś z tych typków ją zarznął. Mam na to dowody, mogę ci je pokazać.

Otworzyłem oczy; Meeks manipulował przy drzwiczkach ściennego sejfu.

- Ile Loew zapłacił ci za milczenie? - zapytałem.

- Patola - wychrypiął Meeks i cofnął się, jakby obawiał się, że mu przyłoży.

Budził we mnie zbyt wiele odrazy, abym chciał brudzić sobie nim ręce, wyszedłem więc, zanim jeszcze przebrzmiało echo ceny, za jaką można było go kupić.

*

Znałem już część zagadki, wiedziałem, co robiła Elizabeth Short w ciągu kilku z brakujących dni z jej życia - „Rudy” Manley wysadził ją o zmierzchu, w piątek 10 stycznia przed hotelem Biltmore i stamtąd zadzwoniła do Burta Lindscotta, a jej przygoda w Malibu trwała do 14.30 następnego popołudnia. Tego wieczora, w sobotę jedenastego wróciła do Biltmore, spotkała w hallu Sally Stinson i Johnny’ego Vogela i rznęła się z Johnnym jeszcze do północy, po czym odeszła. Później w nocy lub nad ranem poznała kaprała Josepha Dulange’a w „Night Owl”, przy Szóstej i Hill - dwie przecznice od Biltmore. Następnie udała się z Dulange’em do hotelu Havana, gdzie przebywała do południa lub wieczora w niedzielę, dwunastego, kiedy Joe zabrał ją do swego „kumpla, lekarza”.

Wracając do El Nido, mimo wyczerpania wciąż nie dawały mi spokoju brakujące fragmenty tej układanki. I wtedy, mijając budkę telefoniczną, coś mi przyszło do głowy - jeżeli Betty dzwoniła do Lindscotta w Malibu, rozmowa powinna zostać zarejestrowana przez Pacific Coast Bell. Jeżeli odbyła jeszcze jakieś inne rozmowy tamtego dnia o tej porze, albo jedenastego, przed tym lub po tym, jak poszła do łóżka z Johnnym Vogelem, PCB powinna mieć to w swoich rejestrach; kompania telefoniczna archiwizowała wszystkie połączenia dla potrzeb przyszłych badań i dla własnej informacji, z uwagi na pobierane opłaty. Zmęczenie znowu prysło jak mydlana bańka.

Resztę drogi pokonałem bocznymi uliczkami, nie zważając na znaki stopu i czerwone światła. Dotarłszy na miejsce, zatrzymałem wóz przy hydrancie i pobiegłem do swego pokoju po notes. Szedłem właśnie do telefonu w korytarzu, kiedy ktoś zadzwonił. Podniosłem słuchawkę:

- Tak?

- Bucky, kotku, to ty? - To była Madeleine.

- Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać.

- Byliście umówieni na wczoraj, pamiętasz?

- Musiałem wyjechać z miasta. W sprawie służbowej.

- Mogłeś zadzwonić. Gdybyś nie wspomniał mi o tym swoim małym azylu, pomyślałabym, że nie żyjesz.

- Madeleine, na Boga...

- Muszę się z tobą zobaczyć, kotku. Jutro mają usuwać ostatnie litery z tego wielkiego napisu Hollywoodland na rusztowaniach i wyburzać też część tamtejszych bungalowów, należących do mego ojca. Co prawda prawo własności przeszło na miasto, ale tatko kupił te grunty i postawił na nich domy pod własnym nazwiskiem. Używał najgorszych materiałów, a inspektor z Rady Miejskiej zaczął węszyć wśród wynajętych przez ojca specjalistów od spraw podatkowych. Jeden z nich opowiedział mi o jego wrogu, który popełnił samobójstwo, pozostawiwszy Radzie szczegółowy raport na temat machlojek ojca i...

To brzmiało jak bełkot - twardy jak stal tatko w kłopotach, pora więc zwrócić się po pocieszenie do drugiego, równie twardego Bucky'ego Bleicherta. Powiedziałem: - Posłuchaj, naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. - I odłożyłem słuchawkę.

Teraz czekała mnie naprawdę ciężka, detektywistyczna robota. Położyłem notatnik i pióro na półce przy telefonie i opróżniłem kieszenie z nagromadzonych przez cztery dni monet, które powinny wystarczyć mi na sporo rozmów. Najpierw zadzwoniłem do centrali Pacific Coast Bell, z żądaniem listy wszystkich płatnych rozmów oraz rozmów na koszt abonenta z aparatów telefonicznych w hotelu Biltmore, wieczorem 10, 11 i 12 stycznia 1947 roku, a także nazwiska i adresy osób, do których dzwonił, oraz dokładny czas rozmowy.

Stałem nerwowo, trzymając w dłoni słuchawkę, podczas gdy pracownica centrali wypełniała swe obowiązki, i łypałem spode łba na innych lokatorów El Nido, którzy także chcieli skorzystać z telefonu. Wreszcie pół godziny później znów usłyszałem w słuchawce jej głos.

Numer i adres Lindscotta wyskoczyły na liście dziesiątego, ale nie napotkałem nic więcej, co mogłoby zwrócić moją uwagę. Mimo to zapisałem wszystkie informacje, a kiedy kobieta przeszła do połączeń z jedenastego, tuż po tym, gdy Betty spotkała Sally Stinson i Johnny'ego Vogela w holu hotelu Biltmore, trafiłem w dziesiątkę.

Zarejestrowano w sumie cztery rozmowy z gabinetami położników w Beverly Hills. Zapisałem nazwiska i numery, wraz z adresami rejestrowanych przez operatora połączeń. Co do innych numerów z tamtego wieczoru, nie było rewelacji - ale i tak je zanotowałem. A potem zaatakowałem Beverly Hills z garścią drobniaków.

Aby dostać to, o co mi chodziło, wydałem wszystkie monety, jakimi dysponowałem.

Operatorom rejestrującym zgłoszenia mówiłem, że to sprawa służbowa; a wówczas łączyli mnie z lekarzami w ich domach. Lekarze polecieli swym sekretarkom, aby udały się do biura, sprawdziły połączenia i oddzwoniły do mnie, do El Nido. Cały proces trwał dwie godziny. I oto co miałem na koniec.

Wczesnym wieczorem 11 stycznia 1947 „pani Fickling” i „pani Gordon” zadzwoniła

w sumie do czterech gabinetów położników w Beverly Hills, domagając się przeprowadzenia testu ciążowego. W rejestracji umówili ją na wizytę na 14 i 15 stycznia. Porucznik Joseph Fickling i major Gordon byli dwoma bohaterami wojennymi, z którymi spotykała się Betty i udawała, że jest ich żoną. Na żadną z wizyt się nie zjawiała, ponieważ czternastego była właśnie zamęczana na śmierć, a piętnastego już jako zimne, przepołowione zwłoki trafiła na pustą parcelę przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton.

Zadzwoiłem do Russa Millarda z komendy głównej i znajomy głos w słuchawce powiedział: - Wydział zabójstw.

- Proszę z porucznikiem Millardem.

- Jest w Tucson, przewozi więźnia.

- Harry Sears też?

- Tak. Co u ciebie, Bucky? Mówi Dick Cavanaugh.

- Dziwię się, że poznałeś mnie po głosie.

- Harry Sears mówił, że zadzwonisz. Zostawił dla ciebie listę lekarzy, ale nie mogę jej teraz znaleźć. O to ci chodzi?

- Tak, i muszę pogadać z Russem. Kiedy wróci?

- Jutro po południu, jak sądzę. Czy mogę złapać ciebie pod jakimś numerem, gdybym znalazł listę?

- Będę w terenie. Zadzwoń.

Trzeba było zadzwonić pod inne numery, ale trop położników był zbyt mocny, aby go odpuścić. Udałem się do centrum, aby poszukać kumpla Dulange'a, doktora. Nie czułem już zmęczenia. Trzymałem fason do północy, odwiedzając bary wokół Szóstej i Hill, rozmawiając z ómami barowymi, stawiając drinki i w zamian dostałem nawet kilka adresów, gdzie można było przeprowadzić na pozór legalną aborcję.

Kolejny bezsenny dzień dobiegał końca; jeździłem od knajpy do knajpy, z włączonym radiem, aby nie zasnąć. Słuchałem wiadomości o planowanej „gruntownej renowacji” reklamowego napisu na zboczu Mount Lee, usuwane L-A-N-D z Hollywoodland miało być, zgodnie z tymi relacjami, największym cudem świata od czasu narodzenia Jezusa. Mack Sennett i sprawa Hollywoodland zajmowała sporo czasu w eterze, a w kinach Hollywood ponownie święciły tryumfy stare slapstickowe komedie z udziałem Keystone Kops.

Tuż przed zamknięciem barów sam czułem się jak glina ze slapstickowej komedii i wyglądałem jak bezdomny - miałem zarost jak szczotka, brudne ciuchy i błędny wzrok. Kiedy pijackowie spragnieni kolejnych drinków i towarzystwa zaczęli zbytnio się do mnie kleić, potraktowałem to jako wyraźną aluzję, pojechałem na opuszczony parking, zatrzymałem tam

samochód i zasnąłem.

*

O świcie obudził mnie skurcz w nodze. Wytoczyłem się z auta, wypatrując telefonu - opodal przejechał radiowóz, otaksowali mnie wzrokiem. Odnalazłem budkę na rogu i wybrałem numer padre.

- Wydział zabójstw. Sierżant Cavanaugh.

- Dick, tu Bucky Bleichert.

- Właśnie chciałem cię szukać. Dobrze, że dzwonisz. Znalazłem tę listę. Masz pod ręką ołówek?

Wyjąłem z kieszeni notes: - Wal.

- Dobra. To lekarze, którym cofnięto licencję. Harry powiedział, że prowadzili praktykę w centrum, w '47. Jeden, Gerald Constanzo Breakwater 1841, Long Beach. Dwa, Melvin Praeger, North Verdugo 9661, Glendale. Trzy, Willis Roach... Czyli robał albo karaluch, siedzi na Wayside Honor Rancho, skazany za handel morfiną w...

Dulange.

Delirium tremens.

...więc zabieram Dalię do tego doktora od karaluchów. Daję mu dychę, a on robi jej lipne badanie...

Oddychając płytko, spytałem: - Ale Harry zapisał adres pod którym praktykował ten Roach?

- Tak. South Olive 614.

Dwie przecznice od hotelu Havana. - Dick, zadzwoń do Wayside i powiedz naczelnikowi, że przyjadę niezwłocznie, aby przesłuchać Roacha w sprawie zabójstwa Elizabeth Short.

- O ja pierdołę.

- Doskonale to ująłeś.

*

Prysznic, golenie i zmiana ubrania w El Nido sprawiły, że wyglądałem wreszcie jak glina z wydziału zabójstw - telefon Dicka Cavanaugha do Wayside powinien zapewnić mi wszystko, czego jeszcze potrzebowałem. Ruszyłem na północ, obstawiając pół na pół, że to doktor Willis Roach był zabójcą Elizabeth Short.

Podróż zajęła nieco ponad pół godziny; przez radio towarzyszyła mi relacja dotycząca zmiany w napisie Hollywoodland. Zastępca szeryfa przy bramie obejrzał moją odznakę, legitymację i zaprosił do głównego budynku, aby potwierdzić moją tożsamość, coś jednak

sprawiło, że energicznie strzelił obcasami i zsalutował przede mną. Brama zabezpieczona drutem kolczastym otwarła się powoli. Minąłem baraki dla więźniów i zatrzymałem się przed dużym budynkiem w stylu hiszpańskim, z frontonem ozdobionym kafelkowym portykiem. Gdy zaparkowałem wóz, podszedł do mnie kapitan w mundurze służby więziennej, uśmiechając się nerwowo. - Witam, Bleichert, jestem naczelnik Patchett.

Wysiadłem i potraktowałem tamtego miażdżącym uściskiem dłoni.

- Bardzo mi miło, panie naczelniku. Czy Roach wie, o co chodzi?

- Nie. Jest teraz w pokoju przesłuchań. Czeka na pana. Sądzi pan, że to on zabił Dalie?

Ruszyłem szybkim krokiem, Patchett wskazał mi kierunek. - Jeszcze nie wiem. Co może mi pan o nim powiedzieć?

- Ma czterdzieści osiem lat, jest anestezjologiem, w październiku '47 został aresztowany za sprzedawanie szpitalnej morfiny funkcjonariuszowi wydziału narkotyków LAPD. Dostał pięć lat, odsiedział rok w Quentin. Wylądował tutaj, bo potrzebowaliśmy pomocy w izbie chorych i uznano, że nie stanowi on większego ryzyka. Nie był wcześniej zatrzymywany, to wzorowy więzień.

Weszliśmy do niskiego, brązowego, ceglanego budynku, typowej budowli państwowej w tym hrabstwie - długie korytarze, stalowe, głęboko wpuszczone drzwi, z numerami, bez tabliczek. Mijając ciąg weneckich okien, Patchett schwycił mnie w pewnej chwili za rękę: - To on - rzekł. - To Roach.

Zajrzałem do środka. Przy stoliku siedział kościsty mężczyzna w średnim wieku, w więziennych drelichach, przeglądając jakieś pismo. Wyglądał na sprytnego ptaszka - wysokie czoło okalały kosmyki rzednących, siwych włosów, oczy miał żywe i bystre, dłonie, jak to często u lekarzy, poprzecinane grubymi, widocznymi żyłkami. Zapytałem:

- Zechce pan przy tym być, panie naczelniku?

Patchett otworzył drzwi. - Za nic bym tego nie przepuścił.

Roach uniósł wzrok. Patchett powiedział: - Doktorze, to detektyw Bleichert. Jest z policji Los Angeles i ma do pana kilka pytań.

Roach odłożył pismo - lekarski periodyk. Patchett i ja zasiedliśmy naprzeciw niego. Lekarz/handlarz prochami rzekł: - O ile tylko będę w stanie na nie odpowiedzieć, bardzo chętnie - w jego kulturalnym głosie pobrzmiwała łagodność i akcent ze wschodu.

Rzuciłem mu się do gardła: - Doktorze Roach, dlaczego zabił pan Elizabeth Short?

Roach uśmiechnął się powoli, na jego ustach stopniowo pojawił się szeroki uśmiech. - Spodziewałem się pana wizyty jeszcze w '47, po tym smętnym zeznaniu złożonym przez kaprala Dulange'a. Spodziewałem się, że wejdzie pan „z drzwiami” do mego gabinetu.

Dziwię się jednak, że zjawia się pan dopiero w dwa i pół roku później.

Świerzbila mnie skóra, zupełnie jakby niewidoczne robale próbowały zrobić sobie ze mnie przekąskę. - Jeżeli chodzi o morderstwo, nie ma czegoś takiego jak przedawnienie.

Uśmiech Roacha zniknął, na jego twarzy pojawiła się powaga, wyglądał jak lekarz z filmu, który ma przekazać pacjentowi złe wieści. - Panowie, w poniedziałek 13 stycznia '47 poleciałem do San Francisco i zatrzymałem się w hotelu Saint Francis, przygotowując się do wystąpienia na dorocznym zjeździe członków Akademii Amerykańskich Anestezjologów. Wygłosiłem tam wykład we wtorek wieczorem, a w środę rano, piętnastego stycznia przemawiałem podczas uroczystego pożegnalnego śniadania. Przez cały czas byłem w towarzystwie moich kolegów, a obie noce, poniedziałkową i wtorkową, spędziłem w Saint Francis z moją byłą żoną. Gdybyście chcieli potwierdzenia moich słów, wystarczy zadzwonić do Akademii, pod jej numer w Los Angeles i do mojej eks-żony, Alice Carstairs Roach, w San Francisco, CR-1786.

- Sprawdzi pan to dla mnie, panie naczelniku? - spytałem, nie spuszczać wzroku z Roacha.

Patchett wyszedł, a doktor rzekł: - Wygląda pan na rozczarowanego.

- Brawo, Willisie. A teraz opowiedz mi, jak to było z tobą, Dulange'em i Elizabeth Short...

- Czy powiadomi pan wydział zwolnień warunkowych o mojej gotowości do współpracy?

- Nie, ale jeśli nie dowiem się tego, co chcę wiedzieć, powiadomię prokuratora okręgowego z LA, żeby oskarżył cię o utrudnianie pracy organów ścigania.

Roach uśmiechnął się. - Brawo, detektywie Bleichert. Wie pan rzecz jasna, że wszystkie te daty zapamiętałem tak dobrze z uwagi na rozgłos wywołany przez tragiczną śmierć panny Short. Tak więc może pan zaufać mojej pamięci.

Wyjąłem notes i pióro: - Wał, Willisie.

Roach rzekł: - W czterdziestym siódmym prowadziłem na boku dość lukratywny handel lekami. Sprzedawałem je głównie w barach, wojskowym, którzy podczas wojny za oceanem nabrali nowych nawyków i skłonności. Właśnie w ten sposób poznałem kaprała Dulange'a. Chciałem i jego wciągnąć na moją listę, ale on folgował sobie wyłącznie złopiac Johnnie Walkera.

- Gdzie to było?

- W barze Yorkshire House, przy Szóstej i Olive, niedaleko mego gabinetu.

- Słucham dalej.

- To było we czwartek albo w piątek przed nagłą śmiercią panny Short. Dałem moją wizytówkę kapralowi Dulange'owi. Co, jak się okazało, było błędem - nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś go zobaczę. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że się pomyliłem. Byłem podówczas w kiepskiej kondycji finansowej, bo grałem na wyścigach i nie bardzo mi szło. Tak czy owak, mieszkalem w moim gabinecie. Wczesnym wieczorem 12 stycznia kapral Dulange odwiedził mnie w moim gabinecie, w towarzystwie pięknej, młodej kobiety imieniem Beth. Był mocno podpity, odprowadził mnie na stronę, wcisnął do ręki dychę i powiedział, że uroczej Betty wydaje się, że jest w ciąży. Czy zechciałbym przeprowadzić krótkie badanie i potwierdzić ten fakt...

Co tu dużo gadać, zrobiłem to. Kapral Dulange wyszedł do poczekalni, a ja zbadałem puls i ciśnienie uroczej Beth, po czym stwierdziłem, że faktycznie jest w ciąży. Jej reakcja była dość dziwna - wydawało się, że równocześnie odetchnęła z ulgą i posmutniała. Sądziłem, że chciała w ten sposób usprawiedliwić swą rozwiązłość, a ciąża wydawała się po temu odpowiednim wyjściem.

Westchnąłem. - A kiedy gazety zaczęły na pierwszych stronach rozpisywać się o jej śmierci, nie poszedłeś na policję, bo nie chciałeś, żeby gliny zwęszyły, że handlowałeś prochami?

- Otóż to. Ale to nie wszystko. Beth zapytała mnie, czy może skorzystać z telefonu. Zgodziłem się, a ona wybrała numer z prefixem Webster i poprosiła o rozmowę z Marcy. Powiedziała: „Tu Betty”, słuchała przez chwilę, po czym spytała: „Naprawdę? Mężczyzna z medycznym wykształceniem?” Nie usłyszałem reszty rozmowy, a kiedy odłożyła słuchawkę, rzekła: „Mam randkę”. Dołączyła do kaprała Dulange'a w poczekalni i wyszli razem. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że na ulicy bardzo szybko go spławiła. Kapral Dulange odszedł jak niepyszny, a Beth przecięła na ukos Szóstą Ulicę i usiadła na przystanku przy Wilshire Boulevard, dla autobusów w kierunku zachodnim. To było około wpół do ósmej, w niedzielę, dwunastego. To wszystko. Nie znał pan tej ostatniej części, prawda?

Skończyłem sporządzać stenograficzne zapiski. - Nie. Nie znałem.

- Powie pan wydziałowi od zwolnień, że otrzymał ode mnie ważną dla śledztwa informację?

Patchett otworzył drzwi. - Bleichert, on jest czysty.

- Co pan nie powie - mruknąłem.

*

Kolejny fragment z zaginionych dni Betty został ujawniony; kolejny powrót do El Nido, tym razem aby sprawdzić, które z numerów w archiwum miały prefix Webster.

Przeglądając papiery, stwierdziłem, że Sprague'owie mieli taki właśnie prefix, autobus z Wilshire przejeżdżał o kilka przecznic od ich rezydencji, a „Marcy”, o której wspominał Roach, można było pomylić z Maddy albo Marthą. Czegoś tu jednak brakowało; w tygodniu, kiedy zaginęła Betty, cała rodzina przebywała w domu w Lagunie, Roach był pewien co do „Marcy”, a ja wycisnąłem z Madeleine wszystko, co wiedziała o Dalii.

Mimo to ta myśl nie dawała mi spokoju, jakby jakaś częśćka mnie pragnęła skrzywdzić tę rodzinę za moje stoczenie się do rynsztoka z ich córką i samo ich dorobienie się fortuny. Zarzuciłem jeszcze jeden haczyk, ale okazało się, że nic na niego nie złapałem - logika zdarzeń pozostała niewzruszona.

Kiedy Lee Blanchard zniknął w '47, z jego akt zginęły teczki z nazwiskami na literę „R”, „S” i „T”. Może była także wśród nich teczka Sprague'ów.

Ale przecież nie było teczki Sprague'ów, Lee nie wiedział o ich istnieniu, zataiłem przed nim wszystko, co się z nimi wiązało, aby nie wyszły na jaw wizyty Madeleine w barach dla lesbijek.

Kontynuowałem przegląd akt w gorącym, dusznym pokoju. Nie pojawiły się inne prefixy z Webster, a ja zacząłem mieć koszarne przebłyski: Betty siedzącej na przystanku w Wilshire, w kierunku zachodnim, o wpół do ósmej, dwunastego, machającej pa-pa, Bucky, na pożegnanie i skok ku wieczności. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do wydziału komunikacji i nie wziąć na spytki kierowców na tej trasie, ale ślad był za zimny, gdyby jakiś kierowca zapamiętał Betty, na pewno zgłosiłby to jeszcze w '47. Miałem chęć zadzwonić pod inne numery otrzymane z Pacific Coast Bell - ale odrzuciłem je jako nie pasujące pod względem czasowym, nie przystawały do tego, o czym już wiedziałem, gdzie Betty była o danej porze. Zadzwoniłem do Russa na komendę główną i dowiedziałem się, że wciąż jeszcze przebywał w Tucson, a Harry próbował zapanować nad tłumem podczas usuwania znaku Hollywoodland. Dokończyłem przegląd akt i nie napotkałem innego prefixu z Webster. Byłem skłonny zajrzeć do wykazu połączeń Roacha, ale w końcu sobie odpuściłem. Jako lokalna, ta rozmowa nie była opłacona, a więc nie została zarejestrowana.

I wtedy znów tego doświadczyłem, z pełną, druzgocącą mocą; pa-pa Bleichert, na przystanku autobusowym, żegnaj, frajerze, cieniasie, kapusiu, dręczycielu czarnuchów. Wymieniłeś dobrą kobietę na tanią szmatę, wszystko, co otrzymałeś, obróciłeś wniwecz, twój zapal kończy się na ósmej rundzie pojedynku, kiedy wyszedłeś naprzeciw prawego sierpowego Blancharda, zaliczając deski, i to kim byłeś i co znaczyłeś, zmieniło się w stertę cuchnącego łąjna. Pa-pa, Betty, Beth, Betsy, Liz, byliśmy oboje włóczęgami i śmieciami, szkoda, że nie poznaliśmy się, zanim trafiłaś na róg Trzydziestej Dziewiątej i Norton, może

by się nam udało, może nas dwoje byłoby czymś, czego nie zdołalibyśmy dokumentnie spieprzyć...

Zbiegłem na dół, dopadłem samochodu i zgłosiłem kod trzy, po czym pałac gumy i energicznie zmieniając biegi, żałując, że nie mam koguta i syreny, ruszyłem w drogę. Za Sunset i Vine na ulicach zaczęło robić się tłoczno. Sznury aut skręcały na północ, wzdłuż Gover i Beachwood. Nawet z odległości wielu mil widziałem napis Hollywoodland obudowany rusztowaniami i dziesiątki małych jak mrówki ludzi wspinających się po zboczu Mount Lee. Spowolnienie rytmu jazdy trochę mnie uspokoiło i przydało celowości, której poszukiwałem.

Powiedziałem sobie, że to jeszcze nie koniec, że pojadę na komendę i zaczekam na Russa, a potem we dwóch zamkniemy tę sprawę, że wszystko, co musiałem zrobić, to pojechać na posterunek.

Korek zrobił się jeszcze większy - ciężarówki filmowców mknęły na północ, podczas gdy motocykliści lawirowali między pojazdami, utrudniając ruch w kierunku wschodnim i zachodnim. Dzieciaki spacerowały po poboczu, z plastikowymi pamiątkami z napisem Hollywoodland i rozdawały na prawo i lewo ulotki reklamowe. Usłyszałem wołanie: „W kinie Admirał znów gliny z Keystone! Kaysone Kops w klimatyzowanym kinie! Zobaczcie raz jeszcze cykl starych, dobrych komedii”. Ktoś podsunął mi pod nos ulotkę i kątem oka wychwyciłem napisy Keystone Kops, Mack Sennett i Wytworne, klimatyzowane kino Admirał, prawie ich nie dostrzegając, zdjęcie u dołu strony wydawało mi się krzykliwe i niewłaściwe, jak mój własny krzyk.

Trzej gliniarze Keystone stali pomiędzy kolumnami w kształcie węży pożerających własne ogony; z tyłu za nimi widać było fragment egipskich hieroglifów. W prawym, górnym rogu zdjęcia na miękko wyściełanej kanapie leżała młoda dziewczyna. Były to bez wątpienia te same dekoracje, które wykorzystano podczas kręcenia pornosa z udziałem Lindy Martin/Betty Short.

Znieruchomiałem. Powiedziałem sobie, że to dlatego, iż Emmett Sprague znał Macka Sennetta w latach 20-tych i pomagał mu budować dekoracje do planów filmowych w Edendale, ale to nie oznaczało, że miał coś wspólnego z pornoem z '46. Linda Martin mówiła, że film nakręcono w Tijuanie; do jego autorstwa przyznał się nie odnaleziony do tej pory Duke Wellington... Kiedy ruch na szosie został wznowiony, skręciłem ostro w lewo, w Boulevard, zaparkowałem wóz i wysiadłem. Gdy kupowałem bilet w kasie kina Admirał, kasjerka dziwnie na mnie spojrzała i cofnęła się; po chwili stwierdziłem, że leci ze mnie strugami.

W klimatyzowanym wnętrzu pot szybko zamarzł i teraz wydawało mi się, jakbym miał na sobie ubranie z lodu. Na ekranie napisy na tle piramid z papier mâché. Zacisnąłem dłonie w pięści na widok: Asystent reżysera - Emmett Sprague. Wstrzymałem oddech, gdy podano, gdzie nakręcono ten obraz. A potem już mogłem spokojnie obejrzeć film.

Była to historia o gliniarzach z Keystone przeniesionych do czasów biblijnych; osiã akcji były pościgi, rzucanie tortem i wzajemne kopanie się po zadkach. W tle kilkakrotnie pojawiły się dekoracje z pornosa, co potwierdzały widoczne wyraźnie szczegóły. Plenery nakręcono zapewne w Hollywood Hills, ale nie było scen, dzięki którym można by stwierdzić, czy plan zdjęciowy znajdował się w studio, czy w prywatnej rezydencji. Wiedziałem już, co zrobię, lecz potrzebowałem jeszcze jednego, niezbitego faktu, który potwierdziłby moją logikę rozumowania. Wciąż zastanawiałem się, „co by było, gdyby...”

Film ciągnął się w nieskończoność. Dygotałem, zlany zimnym potem. Wreszcie pojawiły się napisy końcowe: Film powstał w Hollywood, w USA. I moje „co by było, gdyby” posypało się jak kręgle.

Wyszedłem z kina, drżąc jak osika, bo na zewnątrz panował potworny upał. Zauważyłem, że nie zabrałem z El Nido mojego służbowego rewolweru ani zdobyczej 45-ki, wróciłem więc i zaopatrzyłem się w kopyto. I nagle usłyszałem: - Halo! Czy pan to Bleichert?

To był sąsiad zza ściany, stał w korytarzu, z aparatem telefonicznym w dłoni. Błyskawicznie schwyciłem podaną mi słuchawkę i rzekłem: - Russ?

- To ja, Harry. Jestem na k-k-końcu B-B-Beachwood Drive. Wyburzali tam część bungalów i t-t-ten p-p-policjant n-n-natrafił na t-t-tę chatę. B-B-Było w niej pełno krwi. Z-Znaleziono t-t-tam bilet z dwunastego na trzynastego, no i...

I Emmett Sprague był właścicielem tamtejszych gruntów, to on stawiał te domy; po raz pierwszy usłyszałem, jak Henry jąka się po południu: - Z-z-zabiorę swój sprzęt. Dwadzieścia minut.

Odłożyłem słuchawkę, wziąłem z akt odciski palców Elizabeth Short i zbiegłem do samochodu. Ruch uliczny nieco zelżał; w oddali widać było napis Hollywoodland, już bez ostatnich dwóch liter. Zjechałem na wschód, na Beachwood Drive, a stamtąd na północ. Gdy zbliżałem się do granicy parku okalającego Mount Lee, zauważyłem, że wszelkie prace toczyły się za sznurami pilnowanymi przez kordon mundurowych. Zaparkowałem na drugiego i ujrzałem podchodzącego w moją stronę Harry'ego Searsa, z odznaką przypiętą do kieszeni marynarki. Oddech miał przesycony wonią alkoholu i już się jąkał.

- Chryste Panie, ale fart. Ten robotnik miał za zadanie przepędzać włóczęgów z tych chałup, nim ekipa rozbiórkowa zacznie je wyburzać. Wszedł do tej chaty, a gdy z niej

wyszedł, zaraz mnie zawiadomił. Wygląda na to, że od '47 od czasu do czasu przemieszkivali tam bezdomni, ale mimo to może uda ci się odnaleźć jakieś ślady.

Sięgnąłem po torbę ze sprzętem do gromadzenia materiałów dowodowych. Harry i ja ruszyliśmy w górę zbocza. Ekipy rozbiórkowe wyburzały bungalowy przy ulicy równoległej do Beachwood, robotnicy krzyczeli coś o gazie ułatwiającym się z rur. Opodal stały wozy straży pożarnej, strażacy czekali ze szlauchami w dłoniach wymierzonymi w wielką stertę gruzów. Buldożery i koparki stały wzdłuż ulicy, a mundurowi nie dopuszczali miejscowych poza granicę wytyczonego kordonu. Przed nimi zaś w najlepsze rozgrywał się wodewil.

Na zboczu Mount Lee zamontowano cały system bloków i wielokrążków wspieranych przez masywne rusztowania wpuszczone w ziemię, u podnóża stoku. Wysokie na prawie pięćdziesiąt stóp „A” z wyrazu Hollywoodland zsuwało się w dół zbocza na grubym kablu, podczas gdy kamery rejestrowały całe zdarzenie, błyskały flesze, gapie się gapili, a politycy ze spokojem sączyli szampana. Wszędzie unosił się kurz z krzewów wyrwanych z korzeniami; orkiestra z hollywoodzkiego gimnazjum siedziała na składanych krzeselkach, na prowizorycznej estradzie o kilka stóp od głównego centrum operacji. Kiedy litera „A” z hukiem wylądowała na ziemi, orkiestra zaintonowała „Wiwat Hollywood”.

- Tędy - rzekł Harry. Zeszliśmy na wąską polną ścieżkę ciągnącą się od podnóża stoku. Po obu jej stronach rosły gęste zarośla. Harry poszedł pierwszy, idąc bokiem, wąską trasą prosto pod górę. Pospieszyłem za nim, gałęzie krzewów muskały mnie po twarzy i zahaczały o ubranie. Pięćdziesiąt jardów dalej ścieżka przechodziła w niewielką polankę, przez którą płynął płytki strumień. Stała tam niewielka, kanciasta chata z bloków żużlu; drzwi były otwarte. Wszedłem do środka.

Boczne ściany oblepiono pornograficznymi zdjęciami przedstawiającymi kalekie, zdeformowane kształty. Mongoloidalne postacie ssące sztuczne penisy, nagie dziewczęta z uschniętymi, cienkimi jak patyki nogami i założonymi na nich klamrami, pozbawione kończyn potworki szczerzące się do obiektywu. Na podłodze leżał materac, był cały sztywny od krwi, jaka weń wsiąkła. W tej skorupie dostrzec można było zaschnięte robaki i muchy, które ugrzęzły w niej i zastygły, przyplacając swe łakomstwo śmiercią. Na tylnej ścianie przypięto kolorowe fotografie, wyglądające, jakby zostały wyrwane z podręczników anatomii i przedstawiały w zbliżeniu chore organy ociekające krwią i gęstą ropą.

Na podłodze widać było rozbryznęte ślady; przy materacu na niedużym trójnogu ustawiono mały reflektor, jego promień był skierowany na środek posłania. Zastanawiałem się nad źródłem prądu, ale przyjrzawszy się podstawie urządzenia, stwierdziłem, że było zasilane z baterii akumulatorowej. W rogu leżał stos poplamionych krwią książek, głównie

powieści science fiction, wśród nich jednak wyróżniały się „Anatomia dla zaawansowanych” Graya i „Człowiek śmiechu” Wiktora Hugo.

- I co, Bucky?

Odwrociłem się. - Zawiadam Russa. Powiedz mu, co znaleźliśmy. Ja tymczasem pobiorę próbki do badań.

- Russ wróci z Tucson jutro. A ty, dzieciaku, nie wyglądasz nazbyt zdrowo, jeżeli chodzi o ścisłość i...

- Do cholery, zabieraj się stąd i pozwól mi pracować!

Harry wyszedł, wściekły jak osa, tłumiąc w sobie urażoną dumę. Pomyślałem, jak blisko było stąd do rezydencji Sprague'ów i marzyciela Georgiego Tildena, włości mieszkańca w starych ruderach, syna słynnego szkockiego anatoma... „Naprawdę? Mężczyzna z wykształceniem medycznym?”

W chwilę potem otworzyłem moją torbę i zacząłem przetrząsać koszmarny dom w poszukiwaniu materiałów dowodowych.

Najpierw gruntownie przetrząsnąłem całą chatę od góry do dołu. Pomijając ślady błota pozostawione niedawno - zapewne przez bezdomnych, o których wspominał Harry, pod materacem odkryłem kilka cienkich włókien ze sznura. Zdrapałem z nich coś, co wyglądało jak fragmenty tkanek; do drugiej próbki włożyłem zaschniętą krew; jeżeli chodzi o różnice w odcieniu, stwierdziłem, że miała zwykły, brązowy kolor i pobrałem tuzin próbek.

Oznakowałem je i odłożyłem na bok, wraz ze stronicami z podręcznika anatomii i zdjęciami porno. Na podłodze spostrzegłem krwawy odcisk męskiego buta, zmierzyłem go i przeniosłem na kalkę wzór protektora na podeszwie.

Teraz była kolej na odciski palców.

Używałem hojnie proszku daktyloskopijnego, pokrywając nim każdą potencjalnie dotykana, chwytaną i naciskaną powierzchnię w tym przybytku. Nie omieszkalem sprawdzić grzbietów książek i ilustracji w książkach, które leżały na podłodze. Odkryłem głównie rozmazane smugi, podobnie jak na innych powierzchniach, a do tego ślady rękawiczek i dwa odrębne, bardzo wyraźne odciski. Gdy skończyłem, wyjąłem pióro i obrysowałem mniejsze ślady na drzwiach, framudze i ścianie przy wezglowiu materaca. Następnie wyjąłem lupę, powiększony zestaw odcisków palców Betty Short i dokonałem analizy porównawczej.

Jeden punkt zbieżny.

Drugi.

Trzeci - to wystarczy dla sądu.

Czwarty, piąty, szósty - trzęsły mi się ręce, bo nie ulegało wątpliwości, że Dalię

zamordowano właśnie tu, w tym miejscu; trzęsły się tak bardzo, że nie byłem w stanie przenieść drugiego zestawu odcisków na specjalne szklane płytki. Nie zastanawiając się długo, scyzorykiem wykroilem z drzwi prostokątny kawałek drewna i owinąłem w bibułę - ot, zwykła noc technika-amatora. Spakowałem swoje rzeczy, rozdygotany wyszedłem na zewnątrz, zauważyłem strumień i pojąłem, że to właśnie w tej wodzie zabójca odsączył ciało z krwi. Wtedy mój wzrok przykuło coś kolorowego wśród skał przy potoku.

Kij baseballowy - jego grubszy koniec był pokryty warstwą brudnobrązowej, zaschniętej posoki.

Wróciłem do auta, myśląc o Betty, żywej, szczęśliwej, zakochanej w jakimś facecie, który nigdy jej nie zdradzi. Przejeżdżając przez park, uniosłem wzrok i spojrzałem na stok Mount Lee. Napis brzmiał teraz: Hollywood; orkiestra grała „Nie ma jak show-business”.

*

Pojechałem na komendę główną. Biuro imigracyjne, naturalizacyjne i wydział spraw osobowych były o tej porze zamknięte. Skontaktowałem się z naszym archiwum, ale nie znalazłem niczego na temat urodzonego w Szkocji Georgiego Tildena. Wiedziałem, że oszaleję, jeżeli przyjdzie mi czekać do rana na uzyskanie pisemnego potwierdzenia moich hipotez. Miałem do wyboru - wezwać przełożonego, dokonać włamania z wtargnięciem albo dać komuś w łapę.

Przypominając sobie dozorcę, sprzątającego przy wejściu do biura wydziału spraw osobowych, spróbowałem trzeciego rozwiązania. Starsuszek wysłuchał mojej bajeczki, przyjął dwa banknoty dziesięciodolarowe, otworzył drzwi i wpuścił mnie do archiwum. Otworzyłem szufladę z napisem Dozorcy Własności Miejskiej - Pół Etatu, wyjąłem szkło powiększające i pokryty proszkiem daktyloskopijnym kawałek drewna, po czym wstrzymałem oddech.

Tilden, George Redmond - urodzony w Szkocji, w Aberdeen 04.03.1896, wzrost pięć stóp, jednaście cali, waga 185 funtów, włosy brązowe, oczy zielone. Bez adresu stałego. Kontakt w sprawie pracy przez E. Sprague'a; WE-4391. Prawo jazdy z Kalifornii, #LA 68224, pojazd: ford pikap rocznik 1939, numer rejestracyjny 6B119A, teren do sprzątania od Manchester do Jefferson, od La Brea do Hoover - Trzydziesta Dziewiąta i Norton znajdowały się dokładnie pośrodku tego terenu. U dołu strony odciski palców lewej i prawej dłoni; jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć punktów zbieżnych - trzy wystarczą do wydania wyroku skazującego, sześć dalszych to bilet w jedną stronę do komory gazowej. Witaj, Elizabeth.

Zasunąłem szufladę, dołożyłem dozorcę dziesiątaka ekstra, żeby nabrał wody w usta, pozbierałem swój sprzęt i wyszedłem na zewnątrz. Zapamiętałem dobrze tę chwilę: 20:10,

środa, 20 czerwca 1949 roku. Właśnie o tej porze pewien nieokrzesany, bezczelny glina rozwikłał najślynniejsze, nie rozwiązane zabójstwo w całej historii Kalifornii. Dotknąłem trawy, by przekonać się, czy coś się zmieniło, pomachałem do mijających mnie pracowników biura, wyobraziłem sobie siebie, przekazującego tę wiadomość padre, Thadowi Greenowi i szefowi Horrallowi. Ujrzałem samego siebie, w komendzie głównej, jak w ciągu roku awansują mnie na porucznika. Lód pokazuje, na co go stać, przewyższając wszelkie oczekiwania Lodu i Ognia. Ujrzałem swoje nazwisko w nagłówkach gazet i Kay wracającą do mnie. Zobaczyłem Sprague'ów splukanych co do grosza, okrytych hańbą przez współudział w zabójstwie, nawet cała fortuna, jaką dysponowali, nie była im w stanie pomóc. I właśnie to sprawiło, że otrząsnąłem się z tej euforycznej zadumy - nie było bowiem możliwości, abym mógł dokonać aresztowania, nie ujawniając przy tym, że w '47 zataiłem pewne istotne dowody dotyczące Madeleine i Lindy Martin. Miałem do wyboru - anonimową chwałę albo publiczne poniżenie.

I trzecie rozwiązanie - cicha, samozwańcza sprawiedliwość.

Pojechałem do Hancock Park. Na okrągłym podjeździe nie było cadillaca Ramony ani lincolna Marthy. Stały tam tylko chrysler Emmetta i packard Madeleine. Zaparkowałem mego pospolitego chevy obok nich, wjeżdżając tylnymi oponami na różany klomb. Frontowe drzwi rezydencji sprawiały wrażenie nie do pokonania, ale boczne okna były otwarte. Wślizgnąłem się przez nie do salonu. Wypchany pies Balto wciąż stał przy kominku, strzegąc stojących na podłodze kilkudziesięciu skrzyń i pudeł do przeprowadzki. Zajrzałem do nich - były wypełnione ubraniami, srebrami i delikatną chińską porcelaną. W kartonowych pudłach opodal znajdowały się tanie koktajlowe sukienki - co mogło stanowić dziwaczną anomalię samą w sobie. W rogu pudła wciśnięto szkiełko, na pierwszej stronie widniały rysunki przedstawiające kobiece twarze. Pomyślałem o Marthie, genialnej artystce reklamowej, i nagle usłyszałem dochodzące z góry głosy.

Ruszyłem w tę stronę, wyciągając pistolet spod marynarki i mocno dokręcając tłumik na końcu lufy. Głosy dochodziły z głównej sypialni: usłyszałem charakterystyczny głos Emmetta i nadąsany głosik Madeleine. Przyłgnałem całym ciałem do ściany w korytarzu, prześlizgnąłem się wzdłuż niej w stronę drzwi i nasłuchiwałem z uwagą.

- ...poza tym jeden z moich brygadzystów powiedział mi, że z tych cholernych rur ulatnia się gaz. Rozpęta się istne piekło, moja mała. W najlepszym razie postawią mi zarzuty o łamanie zasad bezpieczeństwa i narażanie zdrowia i życia mieszkańców tych domów. Pora już abym pokazał waszej trójce Szkocję i dał szansę naszemu żydowskiemu przyjacielowi Mickeyowi C., aby pokazał, jak umie radzić sobie z prasą. On się tym zajmie. Sprawi, że

wina spadnie na starego Macka, kozła ofiarnego, lub jakiegoś dogodnego dla nas wszystkich sztywniaka. A kiedy sprawy przycichną, znów tu wrócimy.

- Ale tatku, ja nie chcę jechać do Europy. O Boże, Szkocja. Zawsze gdy o niej mówiłeś, narzekałeś, że jest okropna i prowincjonalna.

- Sądysz, że twój wielkozęby koleś będzie za tobą tęsknił? Cóż, może i tak. Pozwól, że ukoję twoje rozkołatane serce. W Aberdeen jest wielu krzepkich, prostych facetów, którzy wiedzą, gdzie ich miejsce. Bądź pewna, że nie zabraknie ci prawdziwych ogierów. Bleichert dawno temu wypełnił swoje zadanie wobec nas, a ty sprowadziłaś go z powrotem tylko dlatego, że uwielbiasz niebezpieczeństwo. Muszę przyznać, że to dość ryzykowne. I nieroztropne.

- Ależ tatku, ja wcale nie...

Odwróciłem się i wszedłem do sypialni. Emmett i Madeleine leżeli na łożu z baldachimem, w ubraniach, ona ułożyła głowę na jego podołku, on mocnymi rękoma cieśli masował jej ramiona. Ojciec-kochanek zauważył mnie pierwszy. Madeleine wydeła wargi, kiedy ojciec przestał ją pieścić. Mój cień padł na łóżko; Madeleine krzyknęła.

Emmett uciszył ją w okamgnieniu, zatykając usta dłonią ciężką od pierścieni z drogimi kamieniami. Powiedział: - Tu nie ma nic z rozpusty, chłopcze. To jest ojcowskie uczucie.

Ten człowiek miał klasę, świadczył o tym jego wytworny ton głosu i niezwykle refleks. Postanowiłem zburzyć jego spokój.

- Georgie Tilden zabił Elizabeth Short. Zjawiła się tu dwunastego stycznia, a jedno z was spiknęło ją z Georgiem. Przyjechała na spotkanie z nim autobusem z Wilshire. Teraz chcę poznać całą resztę tej historii.

Madeleine z rozszerzonymi oczami drżała pod dotykiem ojcowskiej dłoni. Emmett patrzył na wymierzony w siebie pistolet. - Nie zamierzam podważać twoich słów ani twego skądinąd dość spóźnionego pragnienia, aby sprawiedliwości stało się zadość. Czy mam powiedzieć ci, gdzie możesz znaleźć Georgiego?

- Nie. Najpierw opowiedz mi o was dwojgu, a potem o tym ojcowskim uczuciu.

- To nie ma związku ze sprawą. Pogratuluję ci bystrości dedukcji, powiem, gdzie znaleźć Georgiego, i na tym na razie zakończymy. Żadne z nas nie chce, aby Maddy cierpiała, a rozmowy o przykrych sprawach rodzinnych są dla niej wyjątkowo bolesne.

Jakby dla potwierdzenia swej ojcowskiej troski, Emmett cofnął rękę. Madeleine starła rozmazaną szminkę z policzków i mruknęła: - Tatku, każ mu przestać.

Zapytałem: - Czy to tatuś kazał ci się ze mną pieprzyć? Czy tato kazał ci zaprosić

mnie na kolację, abym nie zainteresował się twoim alibi? Sądziście, że odrobina gościnności i seksu do reszty mnie otumani i będziecie mieli mnie z głowy? A może...

- Tatku, niech on przestanie...

Dłoń Emmetta znów przecięła powietrze: Madeleine ukryła w niej twarz. Szkot konsekwentnie szedł za ciosem.

- Przejdźmy do konkretów, chłopcze. Nie zaprzataj sobie głowy historią rodziny Sprague'ów. Czego właściwie chcesz?

Rozejrzałem się po sypialni, wychwytyjąc kolejne obiekty - i ich ceny, którymi Madeleine kiedyś mi się pochwaliła. Na jednej ze ścian wisiał olejny obraz Picassa - sto dwadzieścia tysięcy. Na komódce stały dwie wazy z epoki Ming - po siedemnaście patoli każda. Płótno jednego z holenderskich mistrzów kosztowało jakieś dwieście tysięcy; paskudny prekolumbijski gargulec na nocnym stoliku dobrych dwanaście i pół pattyka.

Emmett, uśmiechając się, rzekł: - Umiesz docenić piękne rzeczy. Doceniam to. Piękne rzeczy takie jak te mogą być twoje. Powiedz tylko, czego chcesz.

Najpierw strzeliłem do Picassa. Pistolet z tłumikiem wydal z siebie ciche pyknięcie i pocisk kalibru 45 z wydrążonym czubkiem rozerwał płótno na dwoje. Potem przyszła kolej na dwie wazy z epoki Ming; fragmenty skorup rozsypały się po całym pokoju. Za pierwszym razem nie trafiłem w gargulca, ale jako nagrodę pocieszenia rozbiłem lustro w złotych ramach. Tatuś i jego ukochana córeczka przytulili się do siebie na łóżku. Wymierzyłem w Rembrandta, Tycjana, czy co to było za cholerstwo. Kolejna kula wyszarpała w obrazie wielką dziurę, a przy okazji wyrwała spory kawałek ściany. Rama przechyliła się i runęła, uderzając Emmetta w ramię, gorący pistolet parzył moją dłoń. Mimo to nie upuściłem go, w komorze wciąż miałem jeden nabój i zamierzałem go użyć.

Kordyt, dym i pył gipsowy sprawiły, że w pokoju prawie nie dało się oddychać. Czteryście tysięcy poszło w diabły. Dwoje Sprague'ów kurczyło się na łóżku; Emmett pierwszy doszedł do siebie, pogładził Madeleine po głowie, przetarł oczy i lekko przymrużył powieki.

Przyłożyłem wylot tłumika do jego potylicy. - Ty, Georgie, Betty. Mów szczerze albo rozwalę cały ten dom w drobny mak.

Emmett zakasłał i pogładził Madeleine po odstających włosach; ja dodałem: - Ty i twoja własna córka.

Bogata dziewczyna spojrzała na mnie; łzy na jej policzkach obeschły, została szminka. - Tato nie jest moim prawdziwym ojcem, a poza tym my nigdy tak naprawdę... tu nie było nic złego.

- Wobec tego kto nim jest? - zapytałem.

Emmett obrócił się i delikatnie odsunął od siebie pistolet. Nie wyglądał na załamane czy rozgniewane. Raczej na biznesmena, który prowadzi trudne negocjacje w sprawie nowego, lukratywnego kontraktu.

- Ojcem Madeleine jest marzyciel Georgie, a jej matką Ramona. Chcesz znać szczegóły czy ci to wystarczy?

Usiadłem na fotelu z jedwabną, brokatową tapicerką, o kilka stóp od łóżka.

- Chcę wiedzieć wszystko. I nie kłam, bo i tak będę wiedział, że próbujesz mnie wykiwać.

Emmett wstał i doprowadził się do porządku, otaksowując ze smutkiem poziom zniszczeń dokonanych w sypialni. Madeleine wyszła do łazienki; w chwilę potem usłyszałem szum płynącej wody. Emmett usiadł na skraju łóżka, opierając dłonie na kolanach, jak na spotkaniu dwóch serdecznych przyjaciół. Wiedziałem, że sądził, iż opowiedziawszy mi to, co chciałem wiedzieć, zdoła wyłgać się od odpowiedzialności. Ja zdawałem sobie sprawę, że jeśli go odpowiednio przycisnę, wyjawy mi wszystko.

- Dawno temu, w latach 20-tych Ramona zapragnęła mieć dziecko - powiedział. - Ja go nie chciałem i miałem już dość ciągłego marudzenia, i namawiania mnie, abym został ojcem. Którejś nocy upiłem się i powiedziałem: „Matka, chcesz mieć dziecko, więc dam ci chłopaka takiego jak ja”. Wziąłem ją bez zabezpieczenia, a potem zaraz o tym zapomniałem. Wtedy o tym nie wiedziałem, ale zaczęła spotykać się z Georgiem, aby zrobić sobie bachora, na którym tak jej zależało. Urodziła się Madeleine i uznałem, że to owoc tamtego bezmyślnego, nieodpowiedzialnego stosunku. Uznałem ją - moją małą dziewczynkę. Dwa lata później zdecydowałem, że chcę mieć parkę... i tak przyszła na świat Martha... Chłopcze, wiem, że zabiłeś dwóch ludzi, a to więcej niż ja mógłbym się pochwalić. I dlatego też musisz wiedzieć, co oznacza ból. Maddy miała jedenaście lat, kiedy stwierdziłem, że wygląda kubek w kubek jak Georgie. Odnalazłem go i starym, ostrym jak brzytwa nożem zagrałem na jego twarzy w kółko i krzyżyk. Kiedy nie zdechł, zawiozłem go do szpitala i dałem w łapę komu trzeba, aby odnotowali w swoich rejestrach, że Georgie został ciężko ranny w wypadku samochodowym. Kiedy Georgie wyszedł ze szpitala, wyglądał jak żalony, zdeformowany wrak człowieka. Błagałem go, by mi wybaczył, dałem mu pieniądze i załatwiłem pracę polegającą na sprzątaniu moich osiedli i zbieraniu śmieci na rzecz miasta.

Madeleine faktycznie nie przypominała żadnego z rodziców. I przypominałem sobie, że Jane Chambers mówiła mi o wypadku samochodowym Georgiego i że od tego czasu facet kompletnie się stoczył. Jak dotąd wierzyłem w opowieść Emmetta. - A co z samym

Georgiem? Czy nigdy nie wyczułeś, że jest obłąkany? Niebezpieczny?

Emmett poklepał mnie po kolanie, jak dobrego, starego kumpla. - Ojcem Georgiego był Redmond Tilden, dość sławny lekarz ze Szkocji. Anatom. W Aberdeen w owych czasach kościół wciąż miał spore wpływy i doktor Redmond zgodnie z prawem mógł dokonywać sekcji wyłącznie na zwłokach straconych prawomocnym wyrokiem kryminalistów i pedofilów, którzy zostali złapani i ukamienowani przez społeczność miasta lub wioski. Georgie lubił dotykać organów, które jego ojciec usuwał z ciał. Kiedy byliśmy jeszcze młodzi, usłyszałem pewną historię i wydaje mi się ona wiarygodna. Doktor Redmond kupił kiedyś zwłoki od złodziei ciał. Rozciął klatkę piersiową, aby dostać się do serca, a ono wciąż biło. Georgie to zobaczył i bardzo go to podnieciło. Zacytowałem tę historię, ponieważ pod Argonne Georgie dźgał ciała martwych szkopów bagnietem. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że tu, w Stanach, dopuszczał się także bezczeszczenia grobów. Zdejmował skalpy i wycinał organy wewnętrzne. To doprawdy upiorne.

Dostrzegłem coś, pewną lukę, choć ten strzał w ciemno mógł okazać się strzałem w dziesiątkę. Jane Chambers wspominała, że Georgie i Ramona wystawiali przedstawienia, których treść oparta była na przygodach Emmetta podczas I wojny światowej, a dwa lata temu, przy kolacji Ramona powiedziała, że było to „odtworzenie pewnych epizodów z przeszłości pana Sprague’a, o których wolałby on raczej zapomnieć”. Dałem szansę moim przeczuciom.

- Jak mogłeś znosić kogoś tak szalonego?

- W swoim czasie ty także byłeś idolem mas. Wiesz, jak to jest, kiedy słaby mężczyzna potrzebuje opieki silniejszego. To szczególna więź, jakbyś miał młodszego brata-przygłupa.

- Miałem kiedyś starszego brata-przygłupa - odparłem. - I był dla mnie autorytetem.

Emmett zaśmiał się nieszczercze. - To punkt widzenia, którego nie brałem nigdy pod uwagę.

- Doprawdy? Eldridge Chambers twierdzi coś innego. Zanim umarł, pozostawił w Radzie Miejskiej szczegółowy raport. Chyba był świadkiem kilku przedstawień wystawianych przez Ramonę i Georgiego w latach trzydziestych. Małe dziewczynki w kiltach i z karabinami - zabawkami. Georgie powstrzymujący Niemców, ty dający drapakę i pierzchający, jakby tchórz cię obleciał.

Emmett zaczerwienił się i próbował zrobić dobrą minę do złej gry, na jego ustach pojawił się nerwowy tik. - Tchórz! - zawołałem i spoliczkowałem go z całej siły, a ten twardy szkocki sukinsyn rozplakał się jak dziecko. Madeleine wyszła z łazienki, ze świeżym

makijażem i w czystym ubraniu. Podeszła do łóżka i objęła „tatkę” równie mocno jak on ją przed paroma minutami.

- Mów dalej, Emmecie - wycodziłem.

Szlochał, z głową na ramieniu swej przyszywanej córki, Madeleine głaskała go dziesięć razy delikatniej niż mnie kiedykolwiek.

W końcu wyszeptał z przejęciem: - Nie mogłem pozbyć się Georgiego, bo ocalił mi życie. Niemiecki patrol się zbliżał, dżgając bagnietami ciała napotkanych Brytyjczyków, zarówno tych martwych jak i tych, co jeszcze żyli. Georgie przykrył nas trupami Niemców. Ciała były rozszarpane od wybuchu pocisków mózdzierzowych. Georgie kazał mi wpełznąć pod tę stertę pourywanych rąk, nóg i wyprutych flaków i leżeć w bezruchu, a kiedy było po wszystkim, doprowadził mnie do porządku i opowiadał o Ameryce, by dodać mi otuchy. Tak więc sam widzisz, że nie mogłem...

Szept Emmetta ucichł. Madeleine pogłaskała go po ramieniu, zmierzwiła mu włosy. Ja ciągnąłem swoje: - Wiem, że tego pornosa z Betty i Lindą Martin nie nakręcono w Tijuanie. Czy Georgie miał z nim coś wspólnego?

Głos Madeleine brzmiał jak głos Emmetta, jakiś czas temu, kiedy to on trzymał atuty w ręku. - Nie. To Linda i ja rozmawiałyśmy w La Verne's Hideaway. Mówiła mi, że potrzebuje miejsca, aby nakręcić mały filmik. Wiedziałam, o co jej chodzi, i chciałam być znowu z Betty, toteż pozwoliłam, by skorzystali z jednego z pustych domów ojca, tego gdzie w salonie znajdowały się stare dekoracje. Beth, Linda i Duke Wellington nakręcili ten film, a Georgie widział, jak to robili. Zawsze kręcił się w pobliżu pustych domów tatki i dostał świra na punkcie Betty. Prawdopodobnie dlatego, że wyglądała jak ja... jego córka.

Odwrociłem się, aby było jej łatwiej mówić dalej. - I co potem?

- Potem, tak około Święta Dziękczynienia, Georgie przyszedł do tatki i powiedział: „Daj mi tę dziewczynę”. Zagroził, że rozpowie całemu światu, że tatko nie jest moim prawdziwym ojcem i co ze sobą robimy, tak by wyglądało to na kazirodztwo. Zaczęłam szukać Betty, ale nie mogłam jej znaleźć. Później dowiedziałam się, że była wtedy w San Diego. Tatko pozwolił Georgiemu zamieszkać w garażu, ale Georgie wysuwał coraz to nowe żądania. Tatuś dał mu nawet pieniądze, aby go uciszyć, ale on wciąż zachowywał się strasznie i paskudnie. Wreszcie w niedzielny wieczór ni stąd, ni zowąd zadzwoniła Betty. Była pijana, mówiła do mnie May, czy jakoś tak. Powiedziała, że wydzwaniała do wszystkich przyjaciół ze swojego małego, czarnego notesu z prośbą o pożyczkę. Dałam tatkę do telefonu, a on zaproponował Betty randkę z pewnym miłym mężczyzną, swoim znajomym. Rozumiesz... sądziliśmy, że Georgie chce przespać się z Betty.

- Naprawdę tak uważaliście, po tym wszystkim, co wiedzieliście na jego temat? - rzuciłem z przekąsem.

Emmett zawołał: - On lubił dotykać tylko martwych istot! Był pasywny! Nie spodziewałem się, że to cholerny morderca!

Spróbowałem ich trochę uspokoić. - I powiedziałaś jej, że Georgie ma medyczne wykształcenie?

- Tak, bo Betty szanowała lekarzy - odparła Madeleine. - Nie chciałam, aby czuła się jak dziwka.

Omaliem nie wybuchnąłem śmiechem. - Co było dalej?

- Resztę chyba już znasz.

- Mimo to opowiedz.

Madeleine wykonała polecenie; cała aż pałała z nienawiści. - Betty przyjechała tu autobusem. Potem ona i Georgie odjechali. Sądziłyśmy, że pojechali do jakiegoś przytulnego miejsca.

- Na przykład do motelu Red Arrow?

- Nie! Raczej do któregoś ze starych domów taty, o które Georgie tak dbał! Betty zapomniała torebki, uznaliśmy więc, że po nią wróci, ale już się nie pojawiła, Georgie zresztą też nie, a potem na pierwszych stronach gazet ukazały się te straszne artykuły i zrozumieliśmy, co się musiało stać.

Jeżeli Madeleine sądziła, że jej wyznanie dobiegło końca, to się pomyliła. - A teraz opowiedz mi, co zrobiłaś później. Jak próbowałaś to wszystko zatuszować.

Madeleine głaskała Emmetta, mówiąc: - Zaczęłam szukać Lindy Martin i znalazłam ją w motelu, w Valley. Dałam jej pieniądze i powiedziałam, że gdyby zgarnęła ją policja, zapytana o film miała odpowiedzieć, że nakręcono go w Tijuanie, z meksykańską ekipą. Dotrzymała swojej części umowy, kiedy ją dopadłeś, a o filmie powiedziała tylko dlatego, że miała w torebce jego kopię. Usiłowałam odnaleźć Duke'a Wellingtona, lecz bez powodzenia. To mnie zmartwiło, zwłaszcza gdy potem przesłał do *Herald Express* swoje oświadczenie wraz z alibi, i ani słowem nie wspomniał, gdzie naprawdę kręcono ten film. Tak więc byliśmy bezpieczni. I wtedy...

- I wtedy pojawiłem się ja. A ty zaczęłaś mnie podpuszczać i karmić drobnymi informacjami na temat Georgiego, aby sprawdzić, czy złapię przynętę.

Madeleine przestała głaskać tatę i wlepiła wzrok w swe wymanikiowane paznokcie. - Tak.

- A co z alibi, które mi podałaś? Ten pobyt w Lagunie, przecież mogłem zapytać o to

służbę?

- Dostali pieniądze, na wypadek gdybyś faktycznie chciał to sprawdzić. Nie mówią za dobrze po angielsku, a poza tym przecież mi uwierzyłeś. - Madeleine uśmiechała się. Ja zapytałem: - A kto wysłał zdjęcia Betty i jej mały, czarny notesik? Przysłano je w kopertach, a ty wspomniałaś, że Betty zostawiła tu swoją torebkę.

Madeleine zaśmiała się. - To moja genialna siostra, Martha. Wiedziała, że znałam Betty, ale tamtej nocy, kiedy Betty i Georgie umówili się na spotkanie, akurat nie było jej w domu. Nie wiedziała, że Georgie szantażował ojca ani że to on zabił Betty. Wyrwała z notesu stronę z naszym numerem telefonu i wydrapała twarze mężczyzn widocznych na zdjęciach, jakby chciała dać do zrozumienia: Szukajcie lesbijki, czyli innymi słowy, mnie. Chciała mnie wrobić, zniszczyć moje dobre imię. Zadzwoiła też na policję i dała im cynk na temat La Verne's. Wydrapane twarze, to było ze strony Marthy genialne posunięcie - kiedy się wścieka, zawsze drapie pazurami jak kotka.

Coś w jej słowach wydało mi się nieszczerze i fałszywe, ale nie potrafiłem tego umiejscowić. - Wiesz o tym od Marthy?

Madeleine pokazała mi swoje czerwone szpony. - Kiedy w gazetach napisano o małym, czarnym notesie, natychmiast zorientowałam się, że to robota Marthy. Wyduśiłam z niej prawdę.

Odwróciłem się do Emmetta: - Gdzie jest Georgie?

Stary drgnął nerwowo. - Prawdopodobnie zagnieździł się w którymś z opuszczonych domów. Przyniosę ci listę.

- A oprócz tego paszporty całej waszej czwórki.

Emmett wyszedł z sypialni, która zmieniła się w pole bitwy. Madeleine rzekła: - Wiesz, Bucky, naprawdę cię polubiłam. I to bardzo.

- Zachowaj to dla tatusia! Teraz ty tu rządysz, więc to na pewno mu się przyda.

- Co zamierzasz zrobić?

- Po pierwsze pojedę do domu i spiszę to wszystko; wystosuję też wezwania na policję dla ciebie i ojca jako świadków, w sprawie o zabójstwo. Potem pozostawię je w rękach innego funkcjonariusza prowadzącego tę sprawę, na wypadek gdyby tatko zwrócił się do swego kumpla, Mickeya Cohena, z prośbą, aby mnie sprzątnął. A kiedy się z tym uporam, poszukam i dopadnę Georgiego.

Wrócił Emmett i podał mi kartkę papieru oraz cztery paszporty. Madeleine powiedziała: - Jeżeli zmusisz nas do złożenia zeznań, zrujnujemy cię przed sądem. Wyjdzie na jaw cała prawda o nas obojgu.

Podniosłem się i mocno, zdecydowanie pocałowałem bogatą dziewczynę w usta. -
Wobec tego pójdziemy na dno wszyscy razem.

*

Nie pojechałem do domu, aby to wszystko opisać. Zaparkowałem o kilka przecznic od rezydencji Sprague'ów i zacząłem lustrować listę adresów, zdumiony i zaniepokojony odwagą okazaną przez Madeleine oraz faktem, iż zdawała sobie sprawę, że osiągnęliśmy sytuację na wskroś patową.

Domy znajdowały się w dwóch dzielnicach: Echo Park i Silverlake i po drugiej stronie miasta w Watts, kiepskim terytorium jak dla pięćdziesięcioletniego białego mężczyzny. Silverlake-Echo znajdowało się o kilka mil na wschód od Mount Lee; był to pagórkowaty teren pełen krętych uliczek, zieleni i gwarantujący prywatność - wymarzone miejsce, gdzie mógłby ukrywać się podstarzały nekrofil. Pojechałem tam, zakreślając pięć adresów na kartce otrzymanej od Emmetta.

Pierwsze trzy chaty były całkiem opuszczone, brak prądu, wybite okna. Nie zauważyłem forda pikapa rocznik '39 o numerze rejestracyjnym 6B119A - a po ulicach hulał wiatr Santa Ana wiejący od strony Hollywood Hills. Zmierzałem właśnie w stronę czwartego domu, kiedy tuż po północy przysła mi do głowy pewna myśl. Nieodparta myśl.

Zabij go.

W ten sposób uniknąłbym pohańbienia ze strony opinii publicznej i nie doznałbym żadnych zaszczytów wynikających ze schwytania poszukiwanego zbrodniarza. Oto bezlitosna sprawiedliwość wymierzona po cichu, z dala od ciekawskich oczu. Do diabła ze Sprague'ami, a może nim nacisnę spust, wydobędę z Georgiego szczegółowe zeznanie. Przeleję je na papier, a potem obmyślę sposób, jak im dopiec przy najbliższej możliwej okazji.

Zabij go.

A potem spróbuj z tym jakoś żyć.

I wieść normalne życie, ze świadomością, że dobry kumpel Mickeya Cohena szykuje się, żeby zrobić to samo ze mną.

Odeгнаłem od siebie tę myśl, ujrzawszy czwarty dom na końcu niedużej, ślepej uliczki; był zadbany, trawnik przed domem przycięty. Zaparkowałem dwa budynki dalej, po czym wróciłem na piechotę. Nie zauważyłem nigdzie forda pikapa, choć miejsc do parkowania było tu pod dostatkiem.

Przyjrzałem się budynkowi z zewnątrz. Była to zdobiona sztukaterią budowla z lat dwudziestych, nieduża, pudełkowa, z bielonymi ścianami i dachem wspartym na drewnianych krokwiach. Okrążyłem budynek od podjazdu przez małe podwórze na tyłach, by przejść

wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką i znów stanąć przed domem od frontu.

Zero światła - w oknach zaciągnięto grube, ciemne zasłony. W domu panowała kompletna cisza.

Nacisnąłem dzwonek, trzymając w drugim ręku pistolet. Dwadzieścia sekund i nikt nie odpowiedział. Przesunąłem palcami do punktu, gdzie drzwi łączyły się z framugą, namacałem popękane drewno, wyjąłem kajdanki i wsunąłem je jednym końcem w miejsce, gdzie powinien znajdować się mechanizm zapadki. Zębki wytrzymały; zacząłem rozłupywać drewno przy zamku, aż w końcu poczułem, że zapadka ustępuje. Lekko kopnąłem w drzwi i otworzyłem je na oścież.

Światło z zewnątrz pozwoliło mi odnaleźć włącznik na ścianie. Nacisnąłem go, zobaczyłem pusty, obwieszony pajęczynami pokój, cofnąłem się na ganek i zamknąłem drzwi. Grube, jak używane podczas zaciemnień, kotary nie przepuszczały ze środka ani odrobiny światła. Wszedłem z powrotem do domu, zamykając za sobą drzwi i wtykając w otwór zapadki kilka drewnianych drzazg, aby unieruchomić zamek.

Zablokowawszy wejście od frontu, przeszedłem na tyły domu. Z pokoju przylegającego do kuchni płynęła woń środków farmaceutycznych. Stopą uchyliłem drzwi i przez chwilę macałem dłonią wzdłuż ściany w poszukiwaniu włącznika światła. Odnalazłem go i przekręciłem. Silne światło mnie oślepiło. Wreszcie odzyskałem zdolność widzenia i rozpoznałem tę woń - formalina. Na półkach ciągnących się wzdłuż ścian stały słoje pełne zakonserwowanych organów; na podłodze leżał materac, do połowy przykryty wojskowym pledem. Leżał na nim rudowłosy skalp i dwa notesy. Odetchnąłem ciężko i zmusiłem się, by przyjrzeć się temu wszystkiemu. W płynach konserwujących unosiły się mózgi, gałki oczne, serca i wnętrzności. Była tam kobieca dłoń; na palcu serdecznym wciąż jeszcze tkwiła obrączka. Języki, bezkształtne fragmenty trzewi, słoje pełne penisów. Szczęki ludzkie ze złotymi zębami.

Poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła, i przykucnąłem obok materaca, aby nie widzieć reszty tych okropieństw. Sięgnąłem po jeden z notesów i zacząłem go kartkować; stronice były pełne starannie opisanych rabunków grobów - w oddzielnych kolumnach podano nazwę konkretnego cmentarza, czyj grób został splądrowany i kiedy, z dokładną datą. Kiedy zobaczyłem napis „Wschodni cmentarz luterński w Los Angeles”, gdzie pochowano moją matkę, cisnąłem notes precz i zacisnąłem obie dłonie na kocu, lecz pokrywająca koc warstwa zaschniętego nasienia sprawiła, że zdarłem pled i rzuciłem w stronę drzwi. Otworzyłem drugi notes w połowie i staranne męskie pismo przeniosło mnie do dnia 14 stycznia 1947 roku:

Kiedy się obudziła, we wtorek rano, widać było, że długo już tego nie wytrzyma i że nie można ryzykować dalszego pobytu na wzgórzach. Lada moment mogli się zjawić jacyś bezdomni albo kochasie. A i ona wciąż była taka dumna ze swoich cycków, chociaż tak ostro poprzypalanych od wczoraj papierosami. Trzeba je będzie odcinać wolno, bardzo wolno.

Wciąż była odrętwiała albo w szoku. Mogła sobie obejrzeć ten kij baseballowy, który od niedzieli wieczorem sprawił mi tak wiele przyjemności. A jego nowe zastosowanie zaraz ją otrzeźwiło. Wystarczyło wetknąć koniec kija w tę jej małą szparę, a wtedy omal nie połknęła knebla. Szkoda, że taki kij nie jest nabijany gwoździami, jak żelazna dziewica, albo pas cnoty, którego długo by nie zapomniała. Ale dało się trzymać ten kij przed jej twarzą, a potem nożem otwierać ślad po papierosie na jej lewej piersi. Przygryzła wtedy knebel tak mocno, że z tych jej pokaleczonych ust popłynęła znowu krew. Szczególnie po namacaniu nożem kości i przekręceniu ostrza w ranie. A kiedy próbowała krzyczeć, to udusiłaby się tym kneblem. Aż trzeba jej było go wyjąć na chwilę. Ale wtedy się wydarła. No to znowu był knebel i chlastanie nożem po prawej piersi.

Widać, że rany i otarcia od sznura zaczynają się paprać. Wdała się infekcja. Z otarć od pęt na kostkach sączy się już ropa...

Odłożyłem notes, wiedziałem, że mogę to zrobić, wiedziałem, że gdybym przeczytał kolejnych parę stron, stałbym się innym człowiekiem. Wstałem; moją uwagę zwróciły słoje z zakonserwowanymi organami, martwe przedmioty stojące w długich rzędach, tak równe, tak doskonale. Zastanawiałem się, czy Georgie zabił już kiedyś wcześniej, gdy nagle spostrzegłem słój stojący samotnie na parapecie okna, ponad posłaniem.

Trójkątny fragment tkanek z tatuażem. Przedstawiał serce z insygniami amerykańskiego korpusu powietrznego pośrodku i napisem Betty i major Matt poniżej.

Zamknąłem oczy i zadygotałem od stóp do głów. Otuliłem się ramionami i próbowałem powiedzieć Betty, że jest mi przykro, że zobaczyłem ten szczególny fragment jej ciała, że nie chciałem być tak wścibski, że chciałem jej tylko pomóc. Powtarzałem to, a raczej próbowałem powtarzać bez końca. I wtedy coś dotknęło mnie delikatnie, a ja ucieszyłem się, że stało się to w tak łagodny sposób.

Odwróciłem się i ujrzałem mężczyznę, z całą twarzą w bliznach, trzymającego w dłoniach niewielkie, zakrzywione, brutalnie ostre instrumenty, narzędzia przeznaczone do cięcia i sondowania. Przyłożył sobie ostrza skalpeli do policzków, a ja otrząsałem się z chwilowego odrętwienia i sięgnąłem po broń. Srebrzyste smugi przecięły powietrze, a 45-ka wyslizgnęła się z mego paska i spadła na podłogę.

Cofnąłem się o krok, ostrza zahaczyły teraz o moją marynarkę i rozplatały obojczyk. Z całej siły kopnąłem Tildena w krocze; hiena cementarna straciła równowagę, ale zaraz skoczyła naprzód, uderzając we mnie całym ciałem i spychając mnie w stronę półek na ścianie.

Rozległ się trzask tłuczonych słoików, formalina rozbryznęła się na wszystkie strony, odrażające fragmenty ciał posypały się jak deszcz na podłogę. Tilden napierał na mnie z całej siły, próbując dosięgnąć mnie trzymanymi w dłoniach skalpelami. Schwyciłem go za nadgarstki, a potem wyrznąłem kolanem między nogi. Stęknął głośno, ale nie odpuścił, jego twarz coraz bardziej przybliżała się do mojej. Gdy dzieliła go ode mnie odległość kilku cali, wyszczerzył zęby i kłapnął nimi; poczułem, jak wgryza się i rozrywa mój policzek. Znów kopnąłem go kolanem i w końcu napór jego ramion zaczął słabnąć. Ugryzł mnie raz jeszcze, tym razem w podbródek, i puściłem jego ręce. Skalpele wbiły się w półkę, z tyłu za mną; rozpaczliwie zacząłem szukać jakiejś broni, moje palce napotkały spory odłamek szkła. Wbiłem go w twarz Georgiego, w chwili gdy zdołał uwolnić ostrza skalpeli; szalenciec krzyknął, ostra stal zagłębiła się w moje ramię.

Półki runęły. Georgie zwałił się na mnie całym ciężarem, z pustego już oczodołu chlustała krew. Dostrzegłem moją 45-kę leżącą kilka stóp dalej, na podłodze, podczołgałem się tam wraz z moim brzemieniem i podniosłem pistolet. Georgie uniósł głowę, skowycząc jak zwierzę. Rzucił mi się do gardła, zobaczyłem przed sobą jego rozdziawione usta. W tej samej chwili wbiłem koniec tłumika w pusty oczodół psychopaty, pociągnąłem spust i odstrzeliłem mu cały wierzch czaszki.

33.

Russ Millard zadbał, aby sprawa Short zyskała odpowiednie epitafium.

Nabuzowany adrenaliną, opuściłem dom śmierci i udałem się na komendę. Padre właśnie wrócił z Tucson, ze swoim więźniem; kiedy aresztant trafił do celi, odprowadziłem Russa na stronę i opowiedziałem mu wszystko o moich przejściach ze Sprague'ami - od lesbijskiego cynku Marjorie Graham do zastrzelenia Georgiego Tildena. Russ, z początku zbulwersowany, odwiózł mnie do Central Receiving Hospital. Na ostrym dyżurze lekarz zrobił mi zastrzyk przeciwężcowy i powiedział: - Boże, te ukąszenia wyglądają jak od ludzkich zębów - i pozszywał je. Rany od skalpela były powierzchowne, wymagały jedynie oczyszczenia i opatrzenia.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, Russ rzekł: - Sprawa musi zostać otwarta. Jeżeli opowiesz komuś, co się wydarzyło, wyleją cię z policji. A teraz jedźmy i zajmijmy się Georgiem.

Była trzecia nad ranem, kiedy dotarliśmy do Silverlake. Padre był wstrząśnięty tym, co zobaczył, ale trzymał fason. A potem ten najlepszy człowiek, jakiego znałem, zdumiał mnie. Najpierw powiedział: - Idź i stań przy samochodzie - po czym myszkował przez chwilę przy rurach biegnących przy ścianie domu, odszedł na dwadzieścia jardów i strzelił w te rury, opróżniając cały bębenek służbowego rewolweru. Zapłonął gaz, dom stanął w ogniu. Odjechaliśmy stamtąd, nie zapalając świateł. Russ rzucił pod nosem: - Nie można pozwolić, aby takie plugastwo istniało choćby przez chwilę dłużej.

Potem górę wzięło nade mną kompletne wyczerpanie - i sen. Russ wysadził mnie pod El Nido, zaraz padłem na łóżko i pogrążyłem się na ponad dwadzieścia godzin w błogiej nieświadomości. A po przebudzeniu pierwsze, co zobaczyłem, to cztery paszporty Sprague'ów na komódce i pomyślałem: Muszą za to zapłacić.

Nie chciałem, aby ta zamożna rodzina uciekła za granicę, musiała zostać tutaj, aby odpowiedzieć za to, co zrobili. Zadzwoiłem do urzędu paszportowego, podałem się za kapitana z wydziału śledczego i poprosiłem o wstrzymanie wydania nowych paszportów dla całej czwórki Sprague'ów, w oparciu o dochodzenie, które jest w związku z nimi prowadzone. Był to drobny w sumie gest - ot, jak klepnięcie po ręku. Wykąpałem się i ogoliłem ostrożnie, aby nie naruszyć szwów ani bandaży.

Pomyślałem o końcu sprawy, aby nie zastanawiać się nad tym, do jakiego stanu zostało doprowadzone moje życie. Przypomniałem sobie, że coś, co Madeleine powiedziała tamtego dnia, zabrzmiało nieszczerze, fałszywie, podejrzanie. Zastanawiałem się nad tym, ubierając się, po czym wyszedłem, aby coś przekąsić - i wpadłem na to. Madeleine powiedziała, że Martha zadzwoniła na policję z informacją dotyczącą La Verne's Hideaway. Tyle tylko, że wiedziałem o sprawie Short więcej niż jakikolwiek inny gliniarz, znałem wszystkie akta i nie było w nich żadnej wzmianki na ten temat. I wtedy przypomniałem sobie o dwóch zdarzeniach. To było jak olśnienie. Po pierwsze Lee odbywający długą rozmowę przez telefon podczas naszego dyżuru telefonicznego, tego ranka, kiedy poznałem Madeleine; i Lee udający się prosto do La Verne's, po tym jak narobił zamieszania podczas projekcji filmu porno. Tylko „genialna” Martha mogła udzielić mi odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Pojechałem więc do Ad Agency Row, aby wziąć ją w obroty.

*

Odnalazłem prawdziwą córkę Emmetta Sprague'a jedzącą samotnie lunch na

ławeczce, w cieniu Young & Rubicam Building. Nie uniosła wzroku, kiedy usiadłem naprzeciw niej; przypomniałem sobie, że mały czarny notesik i zdjęcia Betty Short zostały wybrane ze skrzynki pocztowej o przecznicy stąd.

Patrzyłem, jak korpulentna dziewczyna zajada sałatkę i czyta gazetę. W ciągu dwóch i pół roku, odkąd ją poznałem, skutecznie walczyła z nadwagą i problemami skórnymi, ale wciąż wyglądała jak obrzmiała, opuchnięta kopia Emmetta.

Martha złożyła gazetę i dostrzegła mnie. Spodziewałem się zobaczyć wyraz wściekłości w jej oczach, ale zaskoczyła mnie, mówiąc: - O, witaj, Bleichert - i lekko się uśmiechnęła.

Podszedłem i usiadłem obok niej. *Times* był otwarty na stronie, gdzie w dziale miejskim widniało: „Tajemniczy pożar w Silverlake, wśród zgliszczy znaleziono zwęglone, niezidentyfikowane zwłoki”.

Martha rzekła: - Przepraszam za ten rysunek, który zrobiłam tamtego wieczoru, kiedy przyszedłeś do nas na kolację.

Wskazałem na gazetę: - Nie wydajesz się zdziwiona moją wizytą.

- Biedny Georgie. Nie, nie zdziwiłam się, że tu przyjechałeś. Ojciec wspominał, że poznałeś prawdę. Przez całe życie byłam lekceważona i zawsze odnosiłam wrażenie, że Maddy i ojciec lekceważą cię.

Puściłem ten komplement mimo uszu. - Czy wiedziałaś, co zrobił „biedny Georgie”?

- Tak. Od samego początku. Widziałam, jak Georgie i ta Short odjeżdżają tej nocy spod naszego domu furgonetką Georgiego. Maddy i ojciec nie mają pojęcia, że o tym wiedziałam, ale tak właśnie było. Tylko matka nigdy się nie domyśliła. Zabiłeś go?

Nie odpowiedziałem.

- Zamierzasz skrzywdzić moją rodzinę?

Duma kryjąca się w słowach „moją rodzinę” była dla mnie jak cios nożem w plecy. - Nie wiem jeszcze, co zrobię.

- Nie winię cię za to, że chcesz ich skrzywdzić. Ojciec i Maddy są naprawdę okropni i gdybym tylko mogła, sama bym im dopiekła. Nawet próbowałam.

- Wtedy, kiedy wrzuciłaś do skrzynki rzeczy Betty?

W oczach Marthy zapłonęły małe ogniki. - Tak. Wyrwałam z notesu stronę z naszym numerem, ale uznałam że będzie tam dostatecznie dużo innych numerów, które doprowadzą policję do ojca i Maddy. Nie starczyło mi odwagi, aby pozostawić tam nasz numer telefonu. A powinnam była to zrobić. Tak...

Uniosłem dłoń do góry. - Dlaczego, Martho? Czy wiesz, co by się stało, gdyby policja

dowiedziała się wszystkiego o Georgiem? Gdyby poznała jego historię? Oskarżenie o współudział, sąd, więzienie...

- Nie dbam o to. Maddy miała ciebie i ojca, matka i ja nie miałyśmy nic. Chciałam, żebyśmy wszyscy poszli na dno. Teraz matka ma toczyć, zostało jej zaledwie parę lat życia. Ona umrze i to jest naprawdę niesprawiedliwe.

- A te zdjęcia i wydrapanie twarzy. Co one miały oznaczać?

Martha splotła palce dłoni i zaczęła je wykręcać, aż pobieleły jej kłykcie. - Miałam dziewiętnaście lat i jedyne, co umiałam, to rysować. Chciałam obsmarować Maddy jako lesbijkę, a ostatnie zdjęcie przedstawiało ojca, z wydrapaną twarzą. Sądziłam, że na odwrocie mogły zostać jego odciski palców. Bardzo chciałam mu dopiec.

- Ponieważ dotykał cię, tak jak Madeleine?

- Ponieważ tego nie robił!

Przygotowałam się na kolejny cios. - Martho, czy ty zadzwoniłaś na policję z informacją o La Verne's Hideaway?

Martha opuściła wzrok. - Tak.

- I rozmawiałaś z...

- Opowiedziałam temu policjantowi o mojej siostrze, lesbijce, o tym, jak ubiegłego wieczora w La Verne's poznała gliniarza, niejakiego Bucky Bleicherta, i że miała mieć z nim tego dnia randkę. Maddy chwaliła się tobą przed całą rodziną, a ja byłam zazdrosna. Ale chciałam skrzywdzić ją, nie ciebie.

Lee przyjął ten telefon, siedząc naprzeciw mnie, przy biurku na komendzie University; Lee pojechał wprost do La Verne's, kiedy Niewolnice z piekła rodem doprowadziły go do białej gorączki... Głośno rzuciłem: - A teraz powiedz mi całą resztę, Martho.

Martha rozejrzała się dokoła i wzięła się w garść - nogi złączone, łokcie przy bokach, dłonie zaciśnięte w pięści. - Lee Blanchard zjawił się w domu i powiedział ojcu, że rozmawiał z kobietami w La Verne's, lesbijkami, które mogły powiązać Maddy z Czarną Dalią. Powiedział, że sam musi opuścić miasto i za odpowiednią cenę nie doniesie na Maddy przełożonym. Ojciec przystał na to, po czym dał mu wszystkie pieniądze, jakie miał akurat w swoim sejfie.

Lee naćpany benzedryną, znikający z dnia na dzień z komendy i posterunku University; powodem tego, że opuścił miasto, miało być zbliżające się wyjście na warunkowe Bobby'ego De Witta. To pieniędzmi Emmetta tak szastał w Meksyku. - Coś jeszcze?

Martha była potwornie spięta. - Blanchard wrócił następnego dnia. Zażądał więcej forsy. Ojciec go spławił, a wtedy on pobił ojca i zaczął go wypytywać o Elizabeth Short.

Maddy i ja słyszałyśmy to z sąsiedniego pokoju. To mi się spodobało, ale Maddy nagle dostała szału. Wyszła, gdy nie mogła już dłużej znieść, jak jej ukochany tatko kaja się i korzy, ale ja słuchałam dalej. Ojciec bał się, że Blanchard wrobi w to zabójstwo kogoś z nas, zgodził się więc dać mu sto tysięcy dolarów i opowiedział mu, co zaszło między Georgiem a Elizabeth Short.

Porozbijane kłykcie Lee; jego kłamstwo - to pokuta za Juniora Nasha. Madeleine mówiąca tego dnia przez telefon „Nie przyjeżdżaj tu. Tatko ma biznesowe spotkanie”. Nasz rozpaczliwie gwałtowny seks w Red Arrow, godzinę później. Lee, bogaty do obrzydliwości, gdzieś w Meksyku. Lee pozwalający, aby George’owi Tildenowi upiekło się okrutne zabójstwo.

Martha otarła oczy, przekonała się, że były suche, i oparła dłoń na moim ramieniu. - Następnego dnia przysłała jakaś kobieta i odebrała te pieniądze. I to już wszystko.

Wyjąłem z portfela zdjęcie Kay i pokazałem jej.

- Tak. To ona.

Wstałem, po raz pierwszy od czasu powstania naszego trójkąta poczułem się samotny. Martha rzekła: - Nie krzywdź już naszej rodziny. Proszę.

Odparłem: - Wyjedź stąd, Martho. Nie pozwól im, aby cię zniszczyli.

*

Pojechałem do szkoły podstawowej w West Hollywood i siedząc w aucie, patrzyłem na plymoutha Kay, na parking dla personelu. W moim umyśle szalał duch Lee, kiepskie towarzystwo jak na dwie godziny oczekiwania. Punktualnie o trzeciej zabręczał dzwonek; Kay wyszła z budynku, wśród tłumu dzieci, w kilka minut później.

Kiedy stanęła samotnie przy swoim aucie, podszedłem do niej. Włożyła plik podręczników i papierów do bagażnika, odwrócona do mnie plecami. - Ile z tych stu tysięcy Lee pozwolił ci zatrzymać? - zapytałem.

Kay zamarła w bezruchu, trzymając w dłoniach plik dziecięcych rysunków.

- Czy Lee powiedział ci wtedy o mnie i Madeleine Sprague? Czy dlatego tak nienawidziłaś Betty Short?

Kay przesunęła dłońmi po rysunkach, po czym odwróciła się i stanęła twarzą do mnie. - W niektórych rzeczach jesteś naprawdę niezrównany.

To kolejny komplement, którego nie chciałem usłyszeć. - Odpowiedz na moje pytania.

Kay zatrzasnęła klapę bagażnika, przez cały czas patrzyła mi prosto w oczy: - Nie przyjąłem ani centa z tych pieniędzy i nie wiedziałam o tobie i Madeleine Sprague, dopóki wynajęci przeze mnie detektywi nie powiedzieli mi, jak ona się nazywa. Lee zamierzał uciec,

niezależnie od wszystkiego. Nie wiedziałam, czy jeszcze kiedyś go zobaczę i chciałam, aby było mu dobrze, o ile to w ogóle możliwe. Nie ufał sobie, nie chciał ponownie spotkać się z Emmettem Sprague'em, więc to ja odebrałam pieniądze w jego imieniu. Dwight, on wiedział, że jestem w tobie zakochana, i chciał, abyśmy byli razem. To jeden z powodów, dlaczego odszedł.

Poczułem się, jakbym tonął w lotnych piaskach starych kłamstw.

- On nie odszedł, uciekł przez napad na bank Boulevard-Citizens, uciekł, bo wrobił w tę robotę Bobby'ego De Witta, a poza tym miał cholerne kłopoty w naszym wydziale...

- On nas kochał! Nie próbuj mu tego odebrać!

Otaksowałem wzrokiem parking. Inni nauczyciele, stojący przy swoich autach, patrzyli, jak mąż i żona kłócą się w najlepsze. Byli za daleko, aby móc usłyszeć, o czym rozmawialiśmy; pewnie podejrzewali, że poszło o dzieci, hipotekę albo zdradę małżeńską. Powiedziałem: - Kay, Lee wiedział, kto zabił Elizabeth Short. Wiedziałaś o tym?

Kay wbiła wzrok w ziemię. - Tak.

- Po prostu to odpuścił...

- Właśnie wtedy zaczęło się prawdziwe szaleństwo. Lee pojechał do Meksyku za Bobbym i zapowiedział, że kiedy wróci, zajmie się mordercą. Ale nie wrócił, a ja nie chciałam, abyś ty także tam pojechał.

Schwyciłem żonę za ramiona i ścisnąłem tak mocno, że aż na mnie spojrzała.

- I nawet później nie powiedziałaś mi o tym? Nie powiedziałaś o tym nikomu?

Kay znów opuściła wzrok; zmusiłem ją, by na mnie spojrzała.

- Nikomu o tym nie mówiłaś?

Kay Lake Bleichert odparła z niezmaconym spokojem, jak typowa nauczycielka. - Mało brakowało, a powiedziałabym tobie. Ale znów zacząłeś mnie zdradzać, zbierać jej zdjęcia. Chciałam się zemścić na kobiecie, która zniszczyła dwóch mężczyzn, których kochałam.

Zamachnąłem się, by ją uderzyć, ale powstrzymałem się, gdy ujrzałem w myślach twarz Georgiego Tildena.

34.

Poprosiłem o resztę mego urlopu zdrowotnego i spędziłem tydzień, zabijając czas, w El Nido. Czytałem, słuchałem jazzu i starałem się nie myśleć o przyszłości. Godzinami

ślęczałem nad aktami, mimo iż wiedziałem, że sprawa była zamknięta. Moje sny nawiedzały dziecięce odpowiedniki Marthy Sprague i Lee. Niekiedy pojawiał się w nich kłown Jane Chambers z ustami jak rana od ucha do ucha, drażniąc się ze mną i wydobywając głos z ziejących otworów w twarzy.

Codziennie kupowałem wszystkie cztery wychodzące w LA gazety i czytałem je od deski do deski. Minęło już zamieszanie z usuwaniem liter w znaku Hollywood, nie było wzmianek o Emmecie Sprague'u, ławie przysięgłych, debatującej nad wadliwymi budynkami, czy spalonym domu i zwęglonych zwłokach. Zacząłem odnosić wrażenie, że coś jest nie tak.

Trochę to trwało - długie godziny poświęcone na wpatrywaniu się w ściany, niemyśleniu o niczym - ale w końcu zorientowałem się, w czym rzecz.

Zrodziło się we mnie przeczucie, że Emmett Sprague wystawił Lee i mnie Georgiego Tildena, by się go pozbyć. Chciał jego śmierci. W moim przypadku rzucił buńczucznie: „Czy mam powiedzieć ci, gdzie możesz go znaleźć?” - to było absolutnie w jego stylu. Stałbym się bardziej podejrzliwy, gdyby próbował mówić wymijająco. Wysłał Lee za Georgiem zaraz po tym jak Lee go pobił. Czy miał nadzieję, że gniew Lee osiągnie szczyt, gdy Blanchard stanie oko w oko z zabójcą Dalii? Czy wiedział o posępnej kolekcji trofeów Georgiego i liczył, że ich widok wprawi nas w makabryczny szal? Czy spodziewał się, że to Georgie zainicjuje konfrontację, która doprowadzi do wyeliminowania jego lub wścibskich/chciwych gliniarzy, którzy mu się naprzykrzali? Ale dlaczego? Co mogło stanowić motyw? Czy próbował w ten sposób ochraniać siebie? Teoria wciąż miała jedną zasadniczą lukę, przede wszystkim niemal samobójczą zuchwałość Emmetta, a on nie był typem samobójcy.

Teraz, kiedy Georgie Tilden, zabójca Czarnej Dalii, odpowiedział za swój czyn, nie było żadnych konkretnych powodów, dlaczego miałbym dłużej zajmować się tą sprawą. A jednak wciąż nie dawały mi spokoju pewne luźne wątki, które pozostawały nie rozwiązane:

Gdy po raz pierwszy kochałem się z Madeleine, w '47, wspominała, że pozostawiała w wielu barach liściki do Betty Short. „Ta bardzo podobna do ciebie chciałaby cię poznać”. Gdy powiedziałem jej, że może mieć przez to kłopoty, odparła: - Zajmę się tym.

Tym, który miał się zająć tą sprawą, był bez wątpienia policjant, a ja odmówiłem. Poza tym, chronologicznie, Madeleine wypowiedziała te słowa mniej więcej wtedy, gdy Lee Blanchard po raz pierwszy zaczął szantażować jej ojca i zażądał pieniędzy.

To wszystko było grubymi nićmi szyte, pełne domysłów i hipotez, bardziej kolejne kłamstwo, półprawda albo ciąg bezużytecznych informacji. Luźne wątki badane przez feralnego glinę, którego życie zostało wzniesione na fundamencie kłamstwa. Ale nawet tak

wątki powód był lepszy niż żaden, aby nakłonić mnie do podążenia dalej tym tropem. Bez sprawy nie miałem wszak niczego.

*

Pożyczyłem cywilny samochód Harry'ego Searsa i przez trzy dni i trzy noce obserwowałem rezydencję Sprague'ów. Martha jeździła do pracy i z powrotem; Ramona nie wychodziła za próg; Emmett i Madeleine robili zakupy i załatwiali inne codzienne sprawy. Cała czwórka pierwszy i drugi wieczór spędziła w rezydencji. Trzeciego wieczoru Madeleine udała się w przebraniu Dalii na łowy. Pojechałem za nią do baru przy Ósmej Ulicy, do Zimba Room, gdzie roilo się od mundurowych, a w końcu do motelu przy Dziewiątej i Irolo. Nie czułem zazdrości ani podniecenia seksualnego. Nie tym razem. Stając przed oknem, usłyszałem dochodzące z pokoju dźwięki radia włączonego na stację KMPC, żaluzje były opuszczone, nie udało mi się zajrzeć do środka. Jediną różnicą było w tym przypadku to, że Madeleine porzuciła swego wybranka o drugiej w nocy i wróciła do domu; wkrótce po tym jak weszła do rezydencji, w pokoju Emmetta zapaliło się światło.

Odpuściłem sobie czwartego dnia i wróciłem na punkt obserwacyjny przy Muirfield Road dopiero po zmierzchu. Już miałem wysiąść z auta, by rozprostować nogi, gdy nagle usłyszałem: - Bucky? To pan?

Ta była Jane Chambers, wyprowadzająca brązowo-białego spaniela. Poczulem się jak dzieciak przyłapany na kradzieży cukierków: - Dzień dobry pani, Jane.

- Tylko bez bajerów. Co pan tu robi? Szpieguje? Czeka na Madeleine?

Przypomniałem sobie naszą rozmowę o Sprague'ach. - Postanowiłem odetchnąć rześkim, nocnym powietrzem. Co pani na to?

- Ja na to, że kłamstwo i tyle. Może lepiej wypijmy małego drinka u mnie?

Przeniosłem wzrok na fortecę w stylu Tudorów; Jane powiedziała:

- Chłopie, chyba naprawdę ma pan bzika na punkcie tej rodziny.

Zaśmiałem się, aż zabołały mnie rany od ukąszeń. - A niech tam, przekonała mnie pani. Napijmy się.

Skręciliśmy w June Street. Jane spuściła pieska ze smyczy; spaniel podreptał przed nami i wspiął się na schody kolonialnego domu gdzie mieszkała Jane. Zrównaliśmy się z nim w kilka chwil później; Jane otworzyła drzwi. I znów zobaczyłem mego koszmarnego towarzysza - trefnisia o ustach jak rana.

Wzdrygnąłem się. - To doprawdy okropne.

Jane uśmiechnęła się. - Mam go dla pana zapakować?

- Dzięki, ale nie.

- A wie pan, po naszej poprzedniej rozmowie zainteresowałam się bliżej jego historią. Pozbyłam się większości rzeczy Eldridge'a i zamierzałam przekazać obraz na cele charytatywne. Ale jest zbyt cenny, aby go oddać. To oryginalny Frederick Yannantuono, obraz powstał z inspiracji starą, klasyczną powieścią Wiktora Hugo „Człowiek śmiechu”. Ta książka opowiada o...

W chacie, gdzie zamordowano Betty Short, leżał egzemplarz „Człowieka śmiechu”. Byłem tak poruszony, że prawie nie słyszałem tego, co mówiła Jane.

- ...grupie Hiszpanów w XV i XVI stuleciu. Nazywano ich Comprachicos; porywali i torturowali dzieci, po czym okaleczali je i sprzedawali arystokratom, aby służyli na dworach jako trefnisie. Czyż to nie okropne? Ten błazen z portretu to główny bohater książki, Gwynplain. W dzieciństwie rozplątano mu usta od ucha do ucha. Bucky, dobrze się pan czuje?

Usta rozplątane od ucha do ucha.

Zmroziło mnie. - Nic mi nie jest. To tylko ta książka coś mi przypomniała, taki zbieg okoliczności...

Jane przyjrzała mi się z uwagą. - Chyba nie tylko, ale czy chciałby pan usłyszeć o jeszcze jednym zbiegu okoliczności? Wydawało mi się, że Eldridge nie utrzymywał żadnych kontaktów ze Sprague'ami, ale znalazłam rachunek. To Ramona Sprague sprzedała mu ten obraz.

Przez mgnienie oka wydawało mi się, że Gwynplain splunął na mnie krwią. Jane chwyciła mnie za ramiona. - Bucky, co się dzieje?

Odnalazłem w sobie głos. - Mówiła pani, że mąż kupił ten obraz na pani urodziny, dwa lata temu, zgadza się?

- Tak. Ale o co...

- W '47?

- Tak, Buck...

- A którego ma pani urodziny?

- Piętnastego stycznia.

- Chcę zobaczyć ten rachunek.

Jane wyraźnie zdziwiona zaczęła szperać w szufladzie stolika na końcu korytarza. Spojrzałem na Gwynplaina, nakładając na jego oblicze twarz ofiary odnalezionej przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton.

I w końcu: - Proszę. Czy teraz powie mi pan o co chodzi?

Wziąłem od niej kartkę. Na fioletowej papeterii widniały proste, wykonane

dziwacznym, jakby męskim charakterem pisma, drukowane słowa: Potwierdzam odbiór 3.500 dolarów od Eldridge'a Chambersa za sprzedaż płótna Fredericka Yannantuono „Człowiek śmiechu”. Niniejszy kwit potwierdza, że pan Chambers jest odtąd właścicielem rzeczonoego obrazu. Ramona Cathcart Sprague, 15 stycznia 1947 r.

Charakter pisma był identyczny jak słowa w dzienniku z zapisem tortur, który czytałem przed zastrzeleniem Georgiego Tildena. To Ramona Sprague zamordowała Elizabeth Short.

Uściskałem mocno Jane i wyszedłem, nim zdążyła otrząsnąć się z oszołomienia. Wróciłem do auta, uznałem, że zrobię to w pojedynkę i patrząc, jak w wielkim domu zapalają się i gasną światła, powoli, krok po kroku dokonywałem rekonstrukcji zdarzeń: Ramona i Georgie wspólnie i każde z osobna torturujący swoją ofiarę, przepoławiający ją, rozdzielający zbędne fragmenty i przewożący zwłoki dwoma samochodami do Leimert Park. Odtworzyłem w myślach każdą możliwą alternatywę i zastanawiałem się, co mogło być przyczyną tej tragedii. Zastanawiałem się nad wszystkim, tylko nie nad tym, co zrobię, kiedy spotkam się z Ramoną Sprague w cztery oczy.

O 8.19 Martha wyszła z domu, niosąc w ręku teczkę, wsiadła do swego chryslera i odjechała w kierunku wschodnim.

O 10.37 Madeleine z walizką w dłoni opuściła rezydencję, zasiadła za kierownicą packarda, po czym ruszyła na północ, wzdłuż Muirfield. Emmett pomachał jej od progu. Postanowiłem, że dam mu jeszcze godzinę, półtorej na opuszczenie domu albo rozmowę się z jego żoną w jego obecności. W kilka minut po dwunastej w południe on także odjechał, z radia w jego aucie popłynęły dźwięki jakiejś opery.

Po miesiącu zabawy w dom z Madeleine dość dobrze znałem obowiązki służby - dzisiaj, we czwartek, gosposia i ogrodnik mieli wolne; kucharz zjawiał się o wpół do piątej, aby przygotować kolację. Walizka, którą niosła Madeleine, świadczyła, że opuszczała dom na dłużej; Martha wróci dopiero po osiemnastej. Pozostawał Emmett.

Przeszedłem przez ulicę i zacząłem zastanawiać się, co dalej. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz, boczne okna zablokowane. Mogłem albo zadzwonić do drzwi, albo zaryzykować włamanie.

Wtedy usłyszałem stukanie w szybę i zobaczyłem rozmyty, biały kształt wycofujący się do salonu. W kilka sekund później na podjeździe dało się słyszeć echo otwieranych frontowych drzwi. Obszedłem budynek, by stanąć oko w oko z Ramoną.

Kobieta czekała na mnie w drzwiach, w jedwabnym białym szlafroku wyglądała jak zjawa. Włosy miała w nieładzie, twarz opuchniętą, pokrytą czerwonymi plamami, zapewne

od płaczu i niedoboru snu. Jej ciemnobrązowe oczy, identycznego koloru jak moje, były czujne i przepelnione niepokojem. Wyjęła z kieszeni szlafroka mały, damski pistolet automatyczny i wymierzyła we mnie. Wycedziła: - Powiedziałeś Marcie, żeby mnie zostawiła.

Wytrąciłem jej broń z ręki, pistolecik wylądował na słomiance z napisem Rodzina Sprague'ów. Ramona przygryzła dolną wargę, jej oczy zmętniały. Odparłem: - Martha zasługuje na coś lepszego, niż towarzystwo morderczyni.

Ramona wygładziła przód szlafroka i przyklepała włosy. To była reakcja typowa dla ćpunka z wyższych sfer. Lodowatym głosem, typowym dla wszystkich Sprague'ów, rzekła: - Nie powiedziałeś jej, prawda?

Podniosłem pistolecik, włożyłem do kieszeni, po czym spojrzałem na kobietę. Musiała brać prochy od dobrych dwudziestu lat, ale jej oczy były tak ciemne, że nie widziałem źrenic i nie potrafiłem stwierdzić, czy były zwężone, czy nie. - Chcesz powiedzieć, że Martha nie wie, co zrobiłaś?

Ramona usunęła się w bok, aby wpuścić mnie do środka. Potem odpowiedziała: - Emmett mówił mi, że jest już bezpiecznie. Że zająłeś się Georgiem i że nie wrócisz, bo masz zbyt wiele do stracenia. Martha mówiła Emmettowi, że nas nie skrzywdzisz, a on się z nią zgodził. Uwierzyłam mu. Zawsze był przewidujący, jeżeli chodzi o interesy. Miał nosa do tych spraw.

Wszedłem do środka. Jeżeli nie liczyć stojących na podłodze pudeł i skrzyń do przeprowadzki, salon wyglądał tak samo jak zawsze. - Emmett napuścił mnie na Georgiego, a Martha nie wie, że to ty zabiłaś Betty Short, tak?

Ramona zatrzasnęła drzwi. - Tak. Emmett liczył, że zajmiesz się Georgiem. Był pewien, że Georgie nie wmiesza mnie w tę sprawę, ten człowiek był kompletnie stuknięty. Emmett to tchórz, sam wiesz. Nie miał odwagi, aby to zrobić samemu, więc znalazł sobie pomocnika, który go w tym wyręczył. I, na Boga, czy naprawdę uważasz, że pozwoliłabym, aby Martha dowiedziała się, do czego jestem zdolna?

Okrutna dręczycielka i morderczyni była szczerze skonsternowana, że zakwestionuję jej kwalifikacje jako matki. - Prędzej czy później i tak się dowie. A ja wiem też, że była tu tamtej nocy. Widziała, jak Georgie i Betty odjeżdżają razem.

- Ale jakąś godzinę później Martha wyjechała, by odwiedzić kolegę w Palm Springs. Nie było jej przez tydzień. Emmet i Maddy wiedzą. Martha nie. I na miłość boską, nie może się dowiedzieć.

- Czy ty wiesz, że jako pani Sprague...

- Nie nazywaj mnie panią Sprague! Jestem Ramona Upshaw Cathcart! Nie możesz zdradzić Marcie, co zrobiłam, w przeciwnym razie zostawi mnie! Powiedziała, że chce zamieszkać oddzielnie, a mnie nie zostało już wiele czasu!

Odwrociłem się do niej plecami i zacząłem spacerować po salonie, zastanawiając się, co robić dalej. Przyjrzałem się obrazom na ścianach i pokoleniom przyodzianych w kilty Sprague'ów, Cathcartom przecinającym wstęgi na otwarciu gajów pomarańczowych i placów, na których miano rozpocząć budowę nowych osiedli. Była tam też mała, gruba Ramona, w gorsecie, który musiał odcinać jej dopływ krwi. Emmett trzymał ciemnowłose dziecko za rękę i uśmiechał się promiennie. Ramona o szklistych oczach przytrzymała rączkę Marthy. Mack Bennett i Emmett dla żartu przyprawiali jeden drugiemu „rogi”. Na zdjęciu przedstawiającym grupę Edendale, dostrzegłem młodego Georgiego Tildena, przystojnego, bez blizn na twarzy. Poczulem, że Ramona cała drżąca staje tuż za mną. - Opowiedz mi o wszystkim - poprosiłem. Wyjaśnij mi, dlaczego.

*

Ramona usiadła na kanapie i mówiła przez trzy godziny, jej ton był czasem gniewny, niekiedy smutny, kiedy indziej zaś brutalnie beznamiętny. Obok niej, na stoliku stały małe, porcelanowe figurynki. Przez cały czas nimi manipulowała. Ja spacerowałem po pokoju, oglądając portrety rodzinne i czując, jak te postacie wtapiają się w jej historię.

Poznała Emmetta i Georgiego w 1921, kiedy byli jeszcze zwykłymi, szkockimi imigrantami pragnącymi zawojować Hollywood. Nienawidziła Emmetta, że traktował Georgiego jak lokaja, i siebie, że nie zabrała głosu w tej sprawie. Nie pisnęła słówka, bo Emmett chciał ją poślubić - dla pieniędzy jej ojca - z czego zdawała sobie sprawę, jako kobieta z tych nieładnych.

Wyszła za niego i rozpoczęła nowe życie u boku bezwzględnego, młodego przedsiębiorcy budowlanego, powoli urastającego do rangi prawdziwej grubej ryby w tym biznesie. Człowieka, którego coraz bardziej nienawidziła. I z którym po cichu walczyła, gromadząc informacje.

Georgie przez pierwsze lata ich małżeństwa mieszkał w pokoiku nad garażem. Dowiedziała się, że lubił dotykać martwych stworzeń i że Emmett właśnie z tego powodu brzydził się nim. Zaczęła podsypywać trucizną kotom, które zapuszczały się do jej ogródka, i pozostawiać truchła przy garażu, gdzie mieszkał Georgie. Kiedy Emmett odrzucił jej propozycję, aby postarali się o dziecko, poszła do Georgiego i uwiodła go, uradowana, że miała moc, aby podniecić go czymś naprawdę żywym - jej własnym, tłustym ciałem, które mierziło Emmetta do tego stopnia, że szydził zeń i z rzadka tylko wypełniał obowiązki

małżonka. Ich romans trwał krótko, ale jego wynikiem było dziecko - Madeleine. Odtąd żyła w przerażeniu, że podobieństwo do Georgiego stanie się aż nadto wyraźne, i zaczęła brać przepisywane przez lekarza opiaty. Dwa lata później Emmett splodził Marthę. To było jak zdrada wobec Georgiego i znów zaczęła podsypywać truciznę wałęsającym się po ulicach psom i kotom. Któregoś dnia Emmett przyłapał ją na tym i pobił za „współudział w plugastwach wyczynianych przez Georgiego”. Kiedy opowiedziała Georgiemu o pobiciu, on z kolei wyjawiał jej, jak na wojnie ocalił życie Emmettowi, zadając kłam wersji rozpowszechnianej przez Emmetta. Od tej pory zaczęła opracowywać własne, małe przedstawienia, aby się na nim zemścić, symbolicznie i w tak subtelny sposób, że Emmett nawet nie zorientowałby się, co naprawdę o nim myślała.

Madeleine kochała Emmetta ponad życie. Była cudownym dzieckiem, a on miał do niej wyjątkową słabość. Martha stała się ulubienicą mamusi, mimo że wyglądała wypisz, wymaluj jak Emmett. On i Madeleine pogardzali Martha, uważając ją za grubą beksę. Ramona chroniła ją, nauczyła ją rysować i układając ją każdej nocy do snu, upominała, by Martha nie żywiła nienawiści do siostry i ojca, choć rzecz jasna tak właśnie było. Ochrona Marthy i wpojenie jej umiłowania sztuki stało się jej racją bytu, jej siłą w małżeństwie, które było dla niej niewysłowionym brzemieniem.

Kiedy Maddy skończyła jedenaście lat, Emmett zwrócił uwagę na jej podobieństwo do Georgiego i pociął jej ojcu twarz, masakrując ją nie do poznania. Ramona zakochała się w Georgiem, teraz fizycznie był on jeszcze bardziej nieatrakcyjny niż ona i poczuła, że więź między nimi stała się silniejsza niż kiedykolwiek.

Georgie zbywał jej coraz bardziej natarczywe awanse. I właśnie wtedy natknęła się na „Człowieka śmiechu” Wiktora Hugo; poruszyła ją historia Comprachicos i ich brutalnie okaleczonych ofiar. Kupiła obraz Yannantuono i trzymała w ukryciu, wpatrując się weń w samotności i wyobrażając sobie Georgiego jako Gwynplaina.

Kiedy Maddy stała się nastolatką, zaczęła prowadzić rozwiązły tryb życia, dzieląc się szczegółami z Emmettem, tuląc się do niego w łóżku; Martha tworzyła obsceniczne rysunki przedstawiające znienawidzoną siostrę; Ramona zmuszała ją, aby raczej dla rozładowania napięcia i pohamowania gniewu malowała sielankowe sceny i pejzaże. Aby pogłębić Emmetta, zaczęła odgrywać swoje przedstawienia; mówiące nieoficjalnie o jego tchórzostwie i chciwości. Walące się domki dla lalek miały odzwierciedlać tanie domy, które runęły podczas trzęsienia ziemi w '33, a które były dziełem ekip Emmetta; dzieci chowające się pod manekinami w niemieckich mundurach miały przedstawiać tchórzostwo Emmetta. Wielu rodziców uważało te przedstawienia za dziwaczne i zabroniło swoim dzieciom bawić się z

córkami Sprague'ów. Mniej więcej w tym okresie Georgie zniknął z ich życia, zajmując się sprzątaniami, zbieraniem śmieci; mieszkał odtąd w opuszczonych domach, ruderach będących dziełem Emmetta.

Czas mijał. Skoncentrowała się wyłącznie na wychowaniu Marthy, naciskała, by przed terminem ukończyła gimnazjum i zdobyła stypendium Otis Arts Institute, a tym samym otworzyła przed sobą nowe, świetlane perspektywy. Martha czuła się w nowym środowisku jak ryba w wodzie; Ramona żyła tak jak dawniej, brała coraz więcej prochów i często myślała o Georgiem; tęskniła za nim, pragnęła go.

I wtedy, jesienią '46 Georgie powrócił. Podśluchiwała, jak próbował szantażować Emmetta, aby „dał mu” dziewczynę z pornosa albo opowie całemu światu o mrocznej przeszłości nieskazitelnej z pozoru rodziny. Zaczęła nienawidzić i zazdrościć „tamtej dziewczynie”, a kiedy 12 stycznia '47 Elizabeth Short zjawiła się w domu Sprague'ów, jej gniew eksplodował. „Ta dziewczyna” tak bardzo przypominała Madeleine, że odniosła wrażenie, jakby ktoś zrobił jej wyjątkowo niesmaczny dowcip. Kiedy Elizabeth i Georgie odjechali jego furgonetką, zwróciła uwagę, że Martha poszła do swego pokoju, aby spakować się na wyjazd do Palm Springs. Zostawiła jej na drzwiach pożegnalny liścik, napisała w nim, że zamierza wcześniej się położyć. A potem, jakby od niechcienia zapytała męża, dokąd Georgie zabrał „tę dziewczynę”.

Odpowiedział, że Georgie wspominał o jednym z opuszczonych domów w North Beachwood. Wyszła z domu tylnymi drzwiami, wsiadła do drugiego packarda, pojechała do Hollywoodland i cierpliwie czekała. Georgie i dziewczyna w kilka minut później zjawili się w parku, u podnóża Mount Lee. Podążyła za nimi pieszo do chaty w lesie. Weszli do środka, w chacie zapaliło się światło. Jego blask odbił się od lśniącego przedmiotu opartego o pień drzewa - kija baseballowego. Kiedy usłyszała, jak dziewczyna chichocze i pyta: - Nabawiłeś się tych blizn na wojnie? - weszła do chaty, wymachując tym kijem.

Elizabeth Short próbowała uciekać. Ramona silnym ciosem pozbawiła ją przytomności, po czym nakazała Georgiemu, aby rozebrał i zakneblował dziewczynę i położył ją związaną na materacu. Obiecała, że da mu niektóre części jej ciała, aby mógł zatrzymać je na zawsze. Wyjęła z torebki egzemplarz „Człowieka śmiechu” i zaczęła czytać na głos fragmenty, zerkając od czasu do czasu na leżącą bezwładnie, nieprzytomną dziewczynę. Potem zaczęła kroić jej ciało, przypalać je i masakrować kijem baseballowym, a kiedy dziewczyna mdlała z bólu, Ramona dokonywała kolejnych wpisów w notesie, z którym nigdy się nie rozstawała. Georgie przyglądał się temu wszystkiemu, po czym oboje z Ramoną zaintonowali pieśni Comprachicos. A po dwóch dniach takich tortur Ramona rozplatała usta

Elizabeth Short od ucha do ucha na podobieństwo Gwynplaina, aby nie znenawidziła jej po śmierci. Georgie rozkroił ciało na dwoje, umył obie połowy zwłok w strumieniu płynącym za chatą i zaniósł je do auta. Później, nocą przewieźli ciało na plac przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton, który Georgie sprzątał dla miasta. Porzucili tam zwłoki Elizabeth Short, aby mogła stać się Czarną Dalią, po czym Ramona odwiozła Georgiego do miejsca, gdzie pozostawił swoją furgonetkę, sama zaś wróciła do Emmetta i Madeleine, by poinformować ich, że już wkrótce dowiedzą się, gdzie była, i nauczą się szanować jej wolę. W akcie oczyszczenia sprzedała płótno przedstawiające Gwynplaina lubiącemu się targować miłośnikowi sztuki Eldridge'owi Chambersowi mieszkającemu nieopodal, i jeszcze na tym zarobiła. Potem zaś były już tylko dni i tygodnie pełne grozy i trwogi, że Martha dowie się o wszystkim i znenawidzi ją, i coraz większe dawki laudanum, kodeiny i środków nasennych, przyjmowanych coraz częściej, aby zabić ten przeklęty niepokój.

*

Patrzyłem na rząd oprawnych w ramki reklam z czasopism, nagrodzonych prac Marthy, kiedy Ramona przestała mówić. Cisza stała się dla mnie nie do zniesienia, wciąż miałem w myślach jej historię. W pokoju panował chłód, ale ja byłem spocony.

Pierwsza praca Marthy, nagrodzona przez Radę Reklamy, przedstawiała przystojnego mężczyznę w garniturze, który patrzył na opalającą się dziewczynę. Nie zwracał uwagi na to, co działo się wokół niego, i nie wiedział, że w jego kierunku zmierza olbrzymia fala. Napis u góry brzmiał następująco: „Bez obawy! On i jego garnitur od Harta, Shaffnera i Marxa Featherweighta wyschnie i już wieczorem będzie mógł poderwać ją na tańcach w klubie!” Dziewczyna była szczupła - miała rysy Marthy, w złagodzonej, uroczej wersji, w tle otoczona palmami stała rezydencja Sprague'ów.

Ramona przerwała milczenie: - I co zamierzasz zrobić?

Nie mogłem na nią spojrzeć. - Nie wiem.

- Martha nie może się dowiedzieć.

- Już to mówiłaś.

Facet z reklamy wyglądał jak wyidealizowany Emmett - Szkot zrobiony na hollywoodzkiego amanta. Rzuciłem pytanie godne policjanta, jedyne jakie nasuwało mi się po wysłuchaniu opowieści Ramony. - Jesienią '46 ktoś podrzucał na hollywoodzkie cmentarze martwe koty, czy to byłaś ty?

- Tak. Byłam o nią potwornie zazdrosna i chciałam, by Georgie wiedział, że wciąż mi na nim zależało. Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Idź na górę, Ramono. Chcę zostać sam.

Usłyszałem ciche kroki, gdy wychodziła z pokoju, potem szloch, a później już nic. Pomyślałem o zjednoczonych rodzinnych wysiłkach, aby ocalić Ramonę, o tym, że jej aresztowanie zrujnowałoby moją karierę jako policjanta, o zarzutach o zatajanie informacji i utrudnianie postępowania wydziałowi sprawiedliwości. Pieniądze Sprague'a uchroniłyby ją przed komorą gazową, ale w Atascadero lub w więzieniu dla kobiet zostałaby pożarta żywcem, dopóki nie zabiłby jej toczeń; Martha byłaby skończona, a Emmett i Madeleine wciąż mieliby siebie nawzajem - oskarżenia przeciw nim wydawały się zbyt słabe, aby można było wytoczyć im sprawę w sądzie.

Gdybym zapuszkował Ramonę, oznaczałoby to mój koniec jako policjanta; gdybym puścił ją wolno, byłbym skończony jako mężczyzna, a w jednym i drugim przypadku Emmett i Madeleine wspólnie mieli szansę przetrwać najgorsze chwile.

Dlatego też jak na Bucky Bleicherta przystało, w sytuacji patowej usiadłem w fotelu, otoczony wizerunkami protoplastów tego dumnego rodu i pogрузyłem się w głębokiej zadumie. Skrzynie i pudła stojące na podłodze świadczyły, że Sprague'owie szykowali się do wyjazdu, gdyby Rada Miejska zaczęła sprawiać im zbyt wiele problemów, a zaglądając do jednej z nich, napotkałem tanie koktajlowe sukienki i szkicownik pełen kobiecych twarzy, bez wątpienia rysunkowe alter ego Marthy, które trafią na reklamy pasty do zębów, kosmetyków i płatków. Może opracowałyby własną kampanię reklamową, aby wyciągnąć Ramonę z Tehachapi. A może bez mamy-oprawczyni zabrakłoby jej ikry, aby dalej tworzyć.

Opuściłem rezydencję i zabijałem czas, odwiedzając stare śmieci. Zajrzałem do domu opieki, gdzie mój ojciec już mnie nie poznawał, ale wyglądał na pełnego złości i jadu. W Lincoln Heights zaroiło się od nowych domów - budowli z prefabrykatów, czekających na lokatorów. „Bez opłat z góry” dla byłych żołnierzy. W Eagle Rock Legion Hall wciąż reklamowano piątkowe wieczory pięściarskie, a w moim dawnym rewirze wciąż było pełno pijaczków, świrów i oszołomów głoszących ponowne nadejście Chrystusa. O zmierzchu poddałem się - jeszcze raz rzucę okiem na bogatą dziewczynę, zanim zapuszkuję jej matkę: w ten sposób będę miał ostatnią szansę, aby zapytać ją, czemu wciąż udawała Dalię, choć wiedziała, że nigdy więcej jej nie tknę.

Pojechałem do knajpy przy Ósmej, zaparkowałem przy rogu i czekałem, obserwując wejście do Zimba Room. Miałem nadzieję, że walizka, którą niosła Madeleine, nie oznaczała, że wybrała się w jakąś podróż, liczyłem, że jej występ w roli Dalii, sprzed dwóch dni nie był jednorazowym wybrykiem.

Siedziałem w aucie, obserwując, co działo się na ulicy: żołnierze spragnieni mocnych trunków, cywile i osoby z sąsiedztwa wchodzili i wychodzili z knajpy niemal nieprzerwanym

strumieniem. Przez chwilę też miałem chęć wejść do środka, ale pomyślałem o tym, co czekało mnie później - aresztowanie Ramony - i zmytygowałem się. Parę minut po północy pojawił się packard Madeleine. Wóz zatrzymał się. Wysiadła zeń Madeleine z walizką w ręku. Nie wyglądała jak Elizabeth Short. Zaskoczony patrzyłem, jak dziewczyna wchodzi do baru. Minął kwadrans. Minuty płynęły powoli. W końcu znów się pojawiła - w przebraniu Czarnej Dalii. Wrzuciła walizkę na tylne siedzenie packarda i weszła do Zimba Room.

Odczekałem minutę, po czym podszedłem i zajrzałem do środka. W knajpie była zaledwie garstka mundurowych, wygodne łóżka świeciły pustkami. Madeleine piła samotnie. Dwaj żołnierze przyglądali się jej z boku, szykując się do ataku. Runęli w jej stronę chwiejnym krokiem. W barze było za mało ludzi, żebym mógł kontynuować inwigilację: wycofałem się do samochodu.

Madeleine i porucznik w letnim mundurze khaki wyszli z lokalu mniej więcej w godzinę później. Zgodnie z jej utartym zwyczajem, wsiadł do packarda i pojechali do motelu przy Dziewiątej i Irola. Byłem tuż za nimi.

Madeleine zatrzymała wóz i poszła do recepcji po klucz; żołnierz czekał przy drzwiach do pokoju nr 12. Pomyślałem o narastającej frustracji, radiu włączonym na cały regulator, stacji KMPC i opuszczonych żaluzjach. W końcu Madeleine wyszła z budynku recepcji, zawołała żołnierza i wskazała mu inny domek. Mężczyzna wzruszył ramionami i pomaszerował w jej stronę; Madeleine dołączyła do niego i otworzyła drzwi. Wewnątrz zapaliło się i zgasło światło.

Dałem im dziesięć minut, po czym podszedłem do bungalowu, spodziewając się ciemności i głośnej muzyki. Z wnętrza dobiegały jęki, ale muzyki nie było. Zauważyłem, że jedno z okien było uchylone na jakieś dwie stopy i nie dało się domknąć przez złuszczoną farbę na framudze. Przystanąłem w cieniu kratownicy obrośniętej winoroślą, przykucnąłem i nasłuchiwałem z uwagą.

Coraz głośniejsze jęki, skrzypienie sprężyn, męskie stęknienia. Jej miłosne jęki osiągnęły crescendo, były bardziej gwałtowne, niż kiedy robiła to ze mną. Żołnierz stękał przeraźliwie, nie było słychać nic więcej i nagle rozległ się głos Madeleine mówiącej z udawanym akcentem:

- Szkoda, że nie ma tu radia. W moich stronach odbiorniki były w każdym motelu. Przyśrubowane do półki i trzeba było wrzucić monetę, żeby grały, ale nie ma to jak odrobina muzyki.

Żołnierz, próbując złapać oddech, wyszeptał: - Słyszałem, że Boston to miłe miasto.

Dopiero teraz zrozumiałem, co miał oznaczać udawany akcent Madeleine - to był

akcent z Nowej Anglii, typowy dla klasy robotniczej - tak rzekomo miała mówić Betty Short.

- Medford nie jest miłym miejscem - mówiła dalej - wcale a wcale. Raz po raz zmieniałam pracę, ale nie mogłam znaleźć dla siebie nic odpowiedniego. Kelnerka, sprzedawczyni słodyczy w kinie, urzędniczka w fabryce. Właśnie dlatego przyjechałam do Kalifornii, aby odmienić swój los. Bo w Medford było naprawdę okropnie.

Akcent Madeleine stawał się coraz wyraźniejszy; mówiła jak typowa bostońska wywłoka. Mężczyzna powiedział: - Przyjechałaś tu podczas wojny?

- Uhm-hm. Dostałam robotę w kantynie w Camp Cooke. Jeden z żołnierzy mnie pobił, a ten bogaty czubek, laureat wielu nagród, mnie uratował. Jest teraz moim ojczymem. Pozwala mi być z kimkolwiek zechcę, grunt, żebym do niego zawsze wracała. Kupił mi ten śliczny, biały wóz i moje ekstra czarne sukienki, a poza tym uwielbia masować moje ciało, bo nie jest moim prawdziwym tatą.

- Miło mieć takiego ojca. Mój kupił mi kiedyś rower i dołożył parę dolców do pierwszego auta z wyprzedaży. Ale na pewno nigdy nie kupiłby mi packarda. Masz naprawdę kochanego ojca, Betty.

Nachyliłem się jeszcze bardziej i zajrzałem przez szparę w oknie; jedyne, co zdołałem dostrzec, to ciemne kształty na łóżku, pośrodku pokoju. Madeleine/Betty rzekła: - Czasami mojemu ojczymowi nie podobają się chłopcy, z którymi się zadaję. Nigdy nie robił z tego powodu problemów, bo nie jest moim prawdziwym tatą i dlatego może mnie masować. Był kiedyś taki jeden chłopak, policjant. Mój ojczym powiedział, że to nieudacznik ze skłonnością do przemocy. Nie uwierzyłam mu, bo chłopak był duży i silny, a w dodatku miał niesamowite końskie zęby. Próbował mnie skrzywdzić, ale tatko zajął się nim jak trzeba. Tatko umie radzić sobie ze słabymi facetami, którzy są łasi na forsy i próbują skrzywdzić miłe dziewczęta. Był bohaterem pierwszej wojny światowej, a ten policjant próbował migać się od wojska.

Głos Madeleine zaczął się zmieniać, stawał się niski, gardłowy. Przygotowałem się na kolejny słowny cios - żołnierz powiedział: - Tych, co próbują migać się od wojska, powinno się deportować do Rosji albo odstrzelić. Nie, kula w łeb to zbyt łagodna kara. Raczej powinno się ich wieszać, wiesz za co...

Głos Madeleine przeszedł w ochryple wibrato, z idealnym, meksykańskim akcentem: - Siekiera lepsza, co nie? Ten policjant miał partnera. Załatwiał dla mnie pewne niedokończone sprawy, takie, którymi nie powinna zajmować się porządna dziewczyna. Ten partner pobił mego przybranego ojca i uciekł do Me-chi-ko. Narysowałam jego podobizny i kupiłam tanią sukienkę. Wynajęłam detektywa, aby go odnalazł, i odegrałam przy tym małe przedstawienie. Potem w przebraniu pojechałam do En-si-na-dy. Ubrałam się w tanią sukienkę, udając

żebraczkę, i zapukałam do jego drzwi: - Gringo, gringo, dać parę groszy. Ja potrzebowałam pieniędzy. - On się odwraca, a ja wyciągam siekiere i rach-ciach, porąbałam go na kawałki. Potem zabrałam pieniądze, które ukradł mojemu ojczymowi. Przywiozłam do domu siedemdziesiąt jeden tysięcy dolarów.

Żołnierz wykrztusił: - Ejże, ty tylko żartujesz, prawda? - A wtedy ja wyciągnąłem moją 38-kę i kciukiem odwiódłem kurek. Madeleine jako „zamożna Meksykanka” Milta Dolphine’a zaczęła przeklinać po hiszpańsku. Wymierzyłem przez szparę w oknie; w pokoju zapaliło się światło; żołnierz zaczął pospiesznie nakładać mundur i zasłonił sobą zabójczynię, uniemożliwiając mi oddanie celnego strzału. Oczyma duszy ujrzałem ciało Lee spoczywające w piaszczystym grobie i robaki wypełzające z jego oczodołów.

Żołnierz, na wpół ubrany, wybiegł z domku, a Madeleine, która zaczęła już wciągać na siebie obcisłą, czarną sukienkę, była łatwym celem. Złożyłem się do strzału, ale widok jej nagiego ciała sprawił, że opróżniłem cały bębenek w powietrze. I kopniakiem wybiłem okno.

Madeleine patrzyła, jak gramolę się do pokoju. Nie przeraził jej huk strzałów ani brzęk tłuczonego szkła. Z niezmaconym spokojem oznajmiła: - Była dla mnie kimś jedynym prawdziwym i musiałam opowiedzieć o niej ludziom. U jej boku umiałam radzić sobie ze wszystkim. Miała wrodzony talent, a ja byłam tylko naśladowczynią. Ona należała do nas, mój drogi. To ty ponownie sprowadziłeś ją do mnie. To ona sprawiała, że było nam ze sobą tak dobrze. Należała do nas.

Zmierziłem włosy Madeleine, niszcząc fryzurę à la Dalia, aby wyglądała jak jeszcze jedna, kruczowłosa wywłoka. Zakułem ją w kajdanki, wykręcając jej ręce do tyłu i ujrzałem samego siebie w piaszczystym grobie, jako żer dla robaków, podobnie jak mój partner. Z oddali dobiegł jęk syren; przez wybite okno do wnętrza domku wpadły światła reflektorów nadjeżdżających pojazdów. Z oddali, z Wielkiego Nic doszedł mnie głos Lee Blancharda i słowa, które wypowiedział podczas zamieszek w meksykańskiej dzielnicy: - Cherchez la femme, Bucky. Pamiętaj o tym.

35.

Upadek dotknął nas obojga.

Na odgłos moich strzałów zjawily się aż cztery radiowozy. Wyjaśniłem funkcjonariuszom, że czeka nas przejazd z włączonym kogutem i syreną na komendę Wilshire - bo właśnie aresztowałem pewną kobietę za morderstwo. Na posterunku Madeleine

przyznała się do zabójstwa Lee Blancharda, wymyślając zgrabną historyjkę o trójkacie kochanków - Lee/Madeleine/Bucky, nadmieniając, że utrzymywała z nami obojgiem intymne kontakty zimą '47. Byłem obecny przy jej przesłuchaniu i muszę przyznać, że Madeleine poradziła sobie znakomicie. Nawet wytrawni gliniarze z wydziału zabójstw kupili jej bajeczkę bez mrugnięcia okiem; Lee i ja mieliśmy rywalizować o jej rękę, Madeleine w roli potencjalnego przyszłego męża widziała raczej mnie. Lee pofatygował się do Emmetta, domagając się, aby „oddał” mu córkę, a gdy ten odmówił, pobił go niemal na śmierć. W odwecie Madeleine pojechała za Lee do Meksyku i odnalazłszy go w Ensenadzie, zarząbała go siekierą. Ani słowa o Czarnej Dalii.

Potwierdziłem wersję Madeleine, stwierdzając, że całkiem niedawno dowiedziałem się, że Lee został zamordowany. Później już tylko czekała mnie konfrontacja z nią i potwierdzenie pewnych fragmentów zeznania, dotyczących zabójstwa. Potem Madeleine została przewieziona do kobiecego więzienia w LA, a ja wróciłem do El Nido, przez cały czas zastanawiając się, co mam zrobić z Ramoną.

Następnego dnia wróciłem na służbę. Pod koniec zmiany, w szatni czekało na mnie kilku gliniarzy z wydziału miejskiego. Maglowali mnie przez trzy godziny; poszedłem za ciosem i potwierdziłem zmyśloną przed Madeleine bajeczkę. Historyjka była na tyle prawdopodobna, a moja reputacja tak zszargana, że jakoś przez to przebrnąłem i nikt nawet słowem nie wspomniął o Dalii.

W następnym tygodniu sprawa dostała się w tryby aparatu sprawiedliwości. Meksykański rząd odmówił postawienia Madeleine w stan oskarżenia pod zarzutem zamordowania Lee Blancharda - bez ciała i dowodów dodatkowych nie było mowy o wszczęciu procedury ekstradycyjnej. O jej losie miała zdecydować nowo powstała ława przysięgłych; Ellis Loew został wybrany, by przedstawić sprawę z ramienia miasta Los Angeles. Powiedziałem mu, że mogę jedynie złożyć zeznania na piśmie. Przystał na to, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że jestem kompletnie nieprzewidywalny i nieobliczalny. Zapelniałem bite dziesięć stron kłamstwami na temat „miłosnego trójkąta”, te bajeczki były godne romantycznych historyjek, jakie w dniach swojej świetności rozgłaszała na prawo i lewo Betty Short. Zastanawiałem się, czy doceniłaby ironię tej sytuacji.

Emmett Sprague został uznany przez inną ławę przysięgłych winnym stawianych mu zarzutów o łamanie zasad bezpieczeństwa i spowodowanie zagrożenia ludzkiego zdrowia i życia, wskutek prowadzenia działalności o charakterze przestępczym, przy współudziale osób z tzw. półświatka i stawianie budowli nie zachowujących niezbędnych, powszechnie przyjętych norm. W sumie ukarano go grzywną w wysokości 50 000 dolarów, ale nie

postawiono mu żadnych zarzutów o charakterze kryminalnym. Biorąc pod uwagę 71 000, które Madeleine zwięzła Lee, Sprague i tak był na tym interesie o jakieś 20 tysięcy do przodu.

Wiadomości o trójce kochanków trafiły do prasy w dzień po tym, jak Madeleine stanęła przed ławą przysięgłych. Odkurzono wspomnienia o pojedynku Blanchard-Bleichert i strzelaniu w Southside; przez tydzień znów byłem sławny. A potem dostałem telefon od Bevo Meansa z *Heralda*. - Uważaj, Bucky. Emmett Sprague szykuje się do kontrofensywy, będzie gorąco. To tyle ode mnie.

W końcu gwóźdź do mojej trumny wbił *Confidential*.

W dniu 12 lipca ukazał się artykuł na temat trójki. Zamieszczono w nim cytaty z wypowiedzi Madeleine, które za sprawą Emmetta przeciekły do brukowca. Dziewczyna miała nakłaniać mnie do opuszczania służby, aby gzić się ze mną w motelu Red Arrow. W dodatku zwijałem rzekomo jej ojcu butelki whisky, aby móc jakoś przetrwać nocne dyżury, zdradzałem tajemnice służbowe i wyzywałem się na czarnuchach. Insynuacje sugerowały o wiele gorsze przewinienia, ale wszystko, co powiedziała Madeleine, było prawdą. Zostałem wydalony z policji Los Angeles, pod zarzutem nieprzestrzegania ogólnie przyjętych zasad moralnych i zachowania niegodnego funkcjonariusza. Decyzję podjęła jednogłośnie specjalnie powołana rada inspektorów i zastępców komendantów policji, a ja nie próbowałem wnieść odwołań. Zastanawiałem się, czy nie wydać Ramony, w nadziei na odwrócenie mojego dość marnego losu, ale w końcu z tego zrezygnowałem. Russ Millard mógłby zostać zmuszony do wyznania wszystkiego, co wiedział, i to sporo by go kosztowało; pamięć Lee zostałaby jeszcze bardziej zbrukana, no i o wszystkim dowiedziałaby się Martha. Zresztą i tak wydalono mnie z policji o dwa i pół roku za późno; *Confidential* tylko przyspieszył to, co nieuniknione. Nikt nie wiedział o tym lepiej ode mnie.

Zdałem mój służbowy rewolwer, zdobyczną 45-kę i odznakę numer 1611. Wróciłem do domu, który kupił Lee, pożyczyłem od padre 500 dolarów i odczekałem, aż rozgłos w mojej sprawie trochę ucichnie, aby zacząć rozglądać się za jakąś pracą. Ciężko na mnie brzemień Betty Short i Kay; niejako przy okazji odwiedziłem szkołę Kay, poszukując jej wzrokiem. Dyrektor, łypiąc na mnie jak na robaka, który wypełził spod boazerii, stwierdził, że w dzień po tym jak w prasie pojawiło się moje nazwisko, Kay złożyła wypowiedzenie z pracy. Rzekomo wybierała się w długą podróż samochodem po Stanach i nie zamierzała wrócić do Los Angeles.

Decyzją ławy przysięgłych Madeleine miała wkrótce stanąć przed sądem pod zarzutem zabójstwa z premedytacją, pod wpływem silnego napięcia psychicznego, przy

udziale innych czynników stresogennych. Jej adwokat, wielki Jerry Giesler, oznajmił, że oskarżona przyznaje się do winy i prosi o jak najniższy wymiar kary. Jako że na wyrok wpłynąć miała opinia biegłych psychiatrów, którzy uznali Madeleine za „cierpiącą na poważne zaburzenia schizofreniczne i przejawiającą symptomy rozszczepienia osobowości”, sędzia ostatecznie skazał ją na pobyt na czas nieokreślony w szpitalu psychiatrycznym Atascadero, gdzie miała poddać się przymusowemu leczeniu, nie krótszy jednak niż najniższy wymiar kary dla osób skazanych za podobne przestępstwa, czyli dziesięć lat pozbawienia wolności.

I w ten sposób córka rodu wzięła na siebie całą winę jej rodziny, podobnie zresztą jak ja. Moim pożegnaniem ze Sprague’ami było zdjęcie na pierwszej stronie *LA Daily News*. Funkcjonariuszki policji wyprowadzały Madeleine z sali sądowej, podczas gdy Emmett szlochał przy stanowisku obrony. Ramonie, o zapadniętych policzkach, toczoną śmiertelną chorobą, towarzyszyła nieodłączna Martha, wyglądająca jak zwykle nienagannie w eleganckim kostiumie. To zdjęcie raz na zawsze skłoniło mnie do zachowania milczenia.

36.

Miesiąc później dostałem list od Kay.

Sioux Falls Płd. Dakota

17.08.49

Drogi Dwighcie,

Nie wiem, czy wprowadziłeś się z powrotem do domu, nie mam więc pojęcia, czy ten list do ciebie dotrze. Przeglądałam w bibliotece gazety z Los Angeles i wiem, że już nie pracujesz w policji, toteż nie mam innego adresu, pod który mogłabym do ciebie napisać. Po prostu wyślę ten list i zobaczę, co się wydarzy.

Mieszkam w Sioux Falls, w hotelu Plainsman. To najlepszy hotel w mieście i chciałam zamieszkać tu, odkąd byłam jeszcze małą dziewczynką. Oczywiście nic nie jest tak, jak to sobie wyobrażałam. Chciałam po prostu zmyć z siebie niesmak Los Angeles, a Sioux Falls stanowi najlepszą antytezę LA na całej ziemi, bo o locie na Księżyc nie mam przecież co marzyć.

Moje koleżanki z liceum powychodziły za mąż i mają dzieci, dwie są wdowami, ich mężowie zginęli na wojnie. Wszyscy mówią o wojnie, jakby wciąż trwała, a rozległe prerie za

miastem są przygotowywane pod budowę osiedli mieszkalnych. Te, które już pobudowano, są po prostu okropne i w dodatku w takich jaskrawych, gryzących barwach. Sprawiają, że tęsknię za naszym starym domem. Wiem, że go nienawidzisz, ale dla mnie był ostoją przez dziewięć lat mego życia.

Dwight, przeczytałam wszystkie gazety i ten artykuł ze szmatławca. Naliczyłam z tuzin kłamstw. Zastanawiam się, co się stało, choć w gruncie rzeczy chyba wcale nie chcę tego wiedzieć. Ciekawi mnie, dlaczego nie wspomniano ani słowem o Elizabeth Short. Może jestem obłudna, ale ubiegłej nocy raz jeszcze policzyłam wszystkie kłamstwa. Te, które wmawiałam tobie, i których nigdy ci nie powiedziałam, nawet kiedy wszystko między nami grało. Zbyt jestem zażenowana, aby zdradzić ci, ile ich naliczyłam.

Przykro mi z ich powodu. I podziwiam to, co zrobiłeś z Madeleine Sprague. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele dla ciebie znaczyła, ale wiem, ile cię kosztowało, aby ją zaarrestować. Czy to naprawdę ona zabiła Lee? A może to kolejne z jej kłamstw? Czemu nie mogę w to uwierzyć...?

Mam trochę pieniędzy, które zostawił mi Lee (kłamstwo przeoczenia, wiem, wiem) i za dzień, dwa wybiorę się na wschód. Chcę się znaleźć z dala od Los Angeles, w jakimś miłym, zacisznym, starym zakątku. Może w Nowej Anglii albo wśród Wielkich Jezior. Wiem, że gdy ujrzę to miejsce, będę wiedziała, że to właśnie ono.

Mam nadzieję, że ten list do ciebie dotrze.

Kay

PS Czy nadal myślisz o Elizabeth Short? Ja myślę o niej bez przerwy. Nie żywię wobec niej nienawiści, po prostu o niej myślę. To dziwne, po tylu latach.

K.L.B.

Zachowałem ten list i przeczytałem go chyba ze sto razy. Nie zastanawiałem się, co mógł oznaczać, jeżeli chodzi o przyszłość moją, Kay, czy nas obojga. Czytałem go tylko na okrągło i rozmyślałem o Betty.

Wyrzuciłem teczkę z aktami z El Nido do śmieci i myślałem o niej. H.J. Caruso dał mi posadę sprzedawcy aut, a ja, reklamując auta rocznik '50, myślałem tylko o niej. Przejeżdżając przy Trzydziestej Dziewiątej i Norton, widziałem domy stojące na miejscu tamtego placu, i myślałem o niej. Nie kwestionowałem moralnych pobudek, które skłoniły mnie, abym spojrział na czyn Ramony przez palce, darując jej winy, ani nie zastanawiałem się, jak przyjęłaby to Betty. Po prostu o niej myślałem. I jak zawsze Kay, ta bystrzejsza z nas dwojga, poskładała to wszystko w jedną całość.

Jej drugi list nosił stempel z Cambridge w Massachusetts; napisano go na papeterii z nadrukiem motelu w Harvard.

11.09.49

Drogi Dwighcie,

Jestem naprawdę okropną kłamczuchą, a w dodatku skończonym tchórzem. Wiedziałam od dwóch miesięcy, ale dopiero teraz zebrałam się na odwagę, aby ci powiedzieć. Jeżeli ten list do ciebie nie dotrze, spróbuję zadzwonić do domu albo do Russa Millarda. Zacznę jednak w ten sposób.

Dwight, jestem w ciąży. To musiało się stać mniej więcej na miesiąc przed tym, jak się wyprowadziłam. Termin mam wyznaczony w okolicy Bożego Narodzenia i chcę urodzić i zatrzymać to dziecko.

Oto typowa reakcja Kay Lake, atak z zaskoczenia i wycofanie się na z góry upatrzone pozycje. Napiszesz albo zadzwonisz? Jak najszybciej? Natychmiast?

To te najważniejsze wieści.

A teraz, co myślisz o moim PS w ostatnim liście? Wydał ci się dziwny? Elegijny? A może po prostu zabawny, tak czasem bywa.

Cóż, wciąż myślę o Elizabeth Short. O tym, jak zniszczyła nasze życie, mimo iż przecież nawet jej nie znaliśmy. Kiedy dotarłam do Cambridge (Boże, uwielbiam miasteczka akademickie) przypomniałam sobie, że dorastała niedaleko stąd. Pojechałam do Medford, zatrzymałam się na kolację i nawiązałam rozmowę z niewidomym, który siedział przy sąsiednim stoliku. Byłam w nastroju do pogawędek i wspomniałam o Elizabeth Short. Tamten pan zrazu wydawał się zasmucony, ale w końcu się rozchmurzył. Opowiedział mi o policjancie z LA, który przybył do Medford trzy miesiące temu, aby odnaleźć zabójcę „Beth”. Opisał twój głos i sposób mówienia co do joty. Poczułam się dumna jak nigdy dotąd, ale nie powiedziałam mu, że ten policjant to mój mąż, bo nie wiedziałam, czy wciąż nim jesteś.

I nadal się zastanawiam.

Kay

Nie zadzwoniłem ani nie napisałem. Wystawiłem dom Lee Blancharda na sprzedaż i kupiłem bilet na najbliższy lot do Bostonu.

W samolocie zastanawiałem się nad wszystkimi rzeczami, które będę musiał wyjaśnić Kay, by żadne nowe pokłady kłamstw nie unicestwiły znowu nas dwojga - a raczej trojga.

Musiała wiedzieć, że byłem detektywem bez odznaki i że przez jeden miesiąc w 1949 roku odkryłem w sobie dość odwagi i siły woli, by dokonać naprawdę wielkiego poświęcenia. Musiała dowiedzieć się, że piekło tamtych wydarzeń na zawsze skalało moje wnętrze, czyniąc mnie podatnym na rozmaite mroczne osobliwości. Musiała jednak uwierzyć, że uczynię wszystko, aby ten mrok nigdy nie zrobił jej krzywdy.

Musiała także wiedzieć, że Elizabeth Short dawała nam drugą szansę.

Gdy zbliżaliśmy się do Bostonu, samolot wleciał w gęstą pokrywę chmur. Ogarnął mnie niewysłowiony lęk, jakby świadomość ojcostwa i ponownego zjednoczenia zmieniła mnie w kamień spadający bezwładnie ku ziemi. I wtedy zwróciłem się do Betty; ciche słowa brzmiały prawie jak modlitwa. W chwilę potem chmury rozstały się, a samolot zaczął powoli podchodzić do lądowania; hen daleko na dole, pośród gęstniejącego zmierzchu dostrzec można było światła wielkiego miasta. W myślach poprosiłem Betty, aby w zamian za moją miłość bezpiecznie sprowadziła mnie na ziemię.